

Dawid Juraszek

Xiao Long
Biały Tygrys



Najbliższym

Za cierpliwość i wsparcie

Rozdział 1

*w którym świeżo upieczony baka-
larz Xiao Long¹ ulega własnym na-
mietnościom i pakuje się w cudze
kłopoty*

Ciszę jesiennego popołudnia zburzył po-
dejrzany dźwięk. Xiao zatrzymał konia i
zaczął nasłuchiwać. Po chwili nie miał
wątpliwości – działo się coś niedobrego.

Młodzieńca od miasta dzieliło już tylko
kilka li, ale okolica wciąż pozostawała od-
ludna. Na prawo od wijącej się pośród łą-
godnych wzniesień drogi rosły kamforow-
ce, na lewo ciągnęły się pola ryżowe, zru-
działe już o tej porze roku. Dalej sterczały
zwichrowane szczyty Gór Szczęścia. Ba-
kałarz marzył właśnie o kulinarnych i cie-

¹ z regułami wymowy chińskich nazw i imion można za-
poznać się na końcu książki.

lesnych uciechach czekających go w Yangzhou, kiedy tuż przed zakretem wierzchovec jął strzyc uszami.

Xiao, gdyby potrafił, też zastrzygłby swoimi. Gniewne posapywania, trzaski i świsty nie ustawały. Przełknął ślinę i zeskoczył w czerwony pył drogi. Nie miał broni, a jedynie nadzieję, że w razie czego zdąży dopaść konia i czmychnąć z powrotem.

Odziany w biel chłopak nie zauważył bakalarza. Dysząc i złorzecząc, siekł wąskim a cienkim mieczem gałęzie kamforowców. Szło mu tym łatwiej, że przewyższał Xiao o dwie głowy. Był za to o połowę chudszy. Sił miał jednak pod dostatkiem, o czym świadczyły rozmiary spustoszenia, jakie zdążył poczynić w lesie.

Widząc, że sprawca zamieszania jest odeń młodszy, Xiao poczuł przyływ

śmiałości. Poprawił bakalarski czepiec, zapiał rozchełstany od upału chałat i zdecydowanym krokiem postąpił naprzód.

– A cóż to wyrabiasz, hultaju? Twój to las? Godzi się dobra Cesarza, oby żył dzień tysięcy lat, ciąc niczym polne chwasty? Uchodź stąd, ale już!

Zwymyślany opuścił na chwilę oręż i ciężko sapiąc, spojrzął samozwańczemu strażnikowi cesarskich lasów w oczy. Bakalarzowi zrzęda mina. Wyrazu twarzy chudzielca nie podjąłby się ująć w słowa.

– Zaniechaj, chłopcze, tego dzieła zniszczenia – zdołał wydukać, zbity z tropu. – Jeśli zobaczy cię jakiś uczonec na urzędzie, postąpi srożej niżli ja...

Wysoki chłopak nie odpowiedział, tylko wzniosłszy broń, ponowił strącanie gałęzi. Xiao zmełł w ustach przekleństwo i zawrócił po konia.

Dopiero kiedy zza któregoś kolejnego zakrętu wyłoniły się mury Yangzhou,

przestał myśleć o oszalałych oczach nieznanego.

Zapytany o dom uciech przechodzień nie wahał się ani chwili. Podziwiając połyskujące w pożegnalnym blasku dnia zielone dachówki zdobiące okapy wrót wystawnej siedziby kurtyzan, Xiao w duchu jeszcze raz podziękował opasłemu mężczyźnie za wskazówki. Przybytek kwiatów i wierzb musiał być najlepszy w całym Yangzhou.

Poczerniała ze starości gęba stręczycielki rozjaśniła się, kiedy bakałarz dobył z rękawa pierwszą sztukę srebra. Posadzony w Hibiskusowej Altanie o wielobarwnych filarach, otoczonej donicami z wonnym kwieciem, mógł wreszcie odpocząć.

– Długo jesteś, mój panie, w podróży? – zagadnęła stręczycielka Wang, jednocze-

śnie bijąc służkę po ciemieniu za uронienie kilku kropel jaśminowej herbaty. – Widzę, żeś utrudzony.

– Z egzaminów wracam – wyjaśnił Xiao, wymownym gestem poprawiając czepiec. Stara pojęła w lot:

– Najszczęsże gratulacje! Wielki to zaszczyt gościć cesarskiego urzędника w skromnych progach „Domu Wiosennej Świeżości”. Zaraz każę podgrzać dzban chryzantemowego wina.

– To zbyteczne – zachnął się bakałarz. – Do wysokich stanowisk daleka jeszcze droga przede mną. Dopiero postawiłem pierwszy krok. Wprawdzie duży, niemniej pierwszy.

– A gdzie dom rodzinny? Chyba nie w Yangzhou, bo o tak znakomitym młodzieńcu musiałabym usłyszeć – przymilała się Wang.

– Pochodzę z prowincji Liaodong, w stolicy której zdawałem egzaminy.

– Cóż zatem sprowadza aż tutaj? – zdumiała się stręczycielka. – Chyba, panie, nie zbłądziłeś?

– Nadłożyłem trochę drogi, to prawda. – Xiao uśmiechnął się i siorbnął herbaty. – Ale tylko o kilka dni opóźni to mój powrót do rodzinnego Hengshanu. Sława prowincji Jiangbei sięga daleko poza jej granice i domaga się świadectwa własnych oczu. I rąk – dodał, zerkając na służkę. Apetyczne to było dziewczę, o twarzy w kształcie pestki arbuza i cudnie wykrojonych brwiach. Jedyne ślady po ospie cokolwiek ujmowały jej urody.

Łakomy wzrok gościa nie uszedł uwagi Wang.

– Poczekaj, panie, aż ujrzysz Nefrytową Wazę. Ta tutaj to kuchenne ścierwo, kurtyzana nie zostanie, chyba że we łbie poprzestawia mi się na starość dokumentnie i za-

pomnę, jak się interes prowadzi. Poczekaj, a nie rozczarujesz się.

Do altany weszły trzy następne służki, niosąc strawę i wino. Na stole wylądowały miseczki z gotowaną wieprzową głowizną, pieczoną baraniną, duszonym kurczakiem i rybą na parze. Nadto przegryzki do wina, suszone mątwy i krewetki, marynowane pędy bambusa oraz kluseczki z prosa. Xiao nawet nie opłukał pałeczek w herbacie, tylko od razu jął pochłaniać jadło.

Wang klasnęła dwukrotnie. Wnet zjawiła się śpiewaczka z księżycową lutnią w oprawie z wężowej skóry. Odziana w niebieski kubrak i zieloną spódnicę wyszywaną w ptaki wyglądała jeszcze powabniej niż ospowata służka. Rozbrzmiała delikatna muzyka. Stręczycielka zabawiała Xiao rozmową, a on odpowiadał półsłówkami między jednym kęsem a drugim.

Nie spałaszował nawet połowy rarytów, gdy zza muru dobiegły głośnie po-

krzykiwania i tętent kopyt. Harmider zagłuszył słowa Wang. Bakałarz nasrożył się na tak obcesowe zakłócanie wieczery. Widząc, jak marszczy brwi, stara czym prędzej dołała mu wina.

– To gwardia gubernatora. Im wolno mącić spokój na ulicach choćby głuchą nocą, ale biada komu zwykłemu hałasować pod siedzibą Czerwonego Tygrysa...

– A po cóż tak gromadnie tu zjechali? – zainteresował się Xiao. – Ze słuchu wnoszę, że było ich dobre ćwierć setki!

– Nic nie wiesz, panie, boś przyjezdny, lecz całe miasto huczy. – Stara wbrew własnemu słowom nachyliła się i konfidentycznie ściszyła głos. – Płatnerz tutejszy, najlepszy w prowincji, mistrz Zhao Quan, dostał był zlecenie na miecz od samego gubernatora. Zadatek wziął, ale potem z robotą cokolwiek zwłóczył. Rok ognia w

kuźni nie rozniecał...

– Rok?! Toż ten płatnerz o łamanie palców się prosi!

– Gorzej, mój panie. Gubernator długo o zleceniu nie pamiętał, kiedy jednak sobie w końcu przypomniał, posłał gońca do mistrza Zhao. Ten wziął się wreszcie do pracy, ale coś nieskoro mu szło. Drugiego gońca Czerwony Tygrys posłał...

– Czy temu Zhao życie niemiłe?

– Mistrz wreszcie pracę skończył i pojechał z mieczem do Beizhou, stolicy prowincji. Wczoraj tylko jego pacholek wrócił.

– Czyżby...

– Tak, panie. Gubernator w gniew wpadł, że tyle musiał czekać, i miecz próbując, zdjął mistrzowi Zhao głowę jednym cięciem.

– Nie do wiary!

– Oby skolopendra długa jak kij od szczotki ugryzła mnie w zadek, jeśli kła-

mię! Biedna dusza Zhao Quana pęta się teraz po zaświatach, nie mogąc znaleźć drogi. Na domiar złego gubernator czy to z niepamięci, czy złośliwości ogłosił, że zadatek wniósł był za dwa miecze, i od rodziny zwrotu chce żądać. Wieści te przyniósł pacholek. Wymknął się z pałacu Czerwonego Tygrysa i wrócił, by ostrzec rodzinę. Wierny sługa! Powiadają, że uciekł tej nocy.

– Więc ci gwardziści...

– Dziś rano przyjechali po rodzinę płatnerza. Syn jego, co go Wybujaliśmy Bambusem zwa, pono zemstę...

Bakałarz uciszył stręczycielkę ruchem ręki.

– Czy ten chłopak – zapytał powoli – nie jest aby wysoki a chudy i mieczem sprawnie nie robi?

– A tak, wysoki jest, panie, nie po ojcu

jednak. Mistrz Zhao kurdupel był pokracczy.

– Chyba widziałem go dziś za miastem – mruknął Xiao. Kiedy Wang wytrzeszczyła oczy, opowiedział jej o spotkaniu na drodze.

– To musiał być on, nikt inny! – Pokiwała głową. – Zniknął wczoraj bez śladu, tylko broń z warsztatu ojca wziął. Jak go jeźdźcy Czerwonego Tygrysa uzbrojonego znajdą, żywy nie ujdzie.

– Trzeba mu przysiąc nad księgami, zdać egzaminy cesarskie, a nie myśleć o płochy zemście, bo życia szkoda – westchnął sentencjonalnie Xiao i odstawił miseczkę. Wang klasnęła trzykrotnie. Jak spod ziemi wyskoczył kolejny sługa i łącząc dłonie w geście szacunku, pokłonił się bakałarzowi.

– Zaprowadź gościa do komnat Nefrytowej Wazy i dopilnuj, by wszystko stało się po jego myśli.

Pożegnawszy się z Wang, młodzieniec ruszył przez wypielegnowany ogród, teraz spowity wieczornymi cieniami i rozbrzmiewający owadziim rozgwarem. Kurtyzana mieszkała w pawilonie otoczonym rabatkami róż i piwonii. Zostawiwszy służbę pod drzwiami, wszedł do środka. W świetle olejnych lampek ukazały mu się stojące wzdłuż ścian jedwabne parawany, malowane w cztery piękności wyobrażające pory roku.

Nie czekał długo. Szelest bambusowej zasłony ogłosił przybycie Nefrytowej Wazy. Oto, co ujrzał Xiao:

złote szpile wpięte w gęste pukle

biały kaftanik na gibkim niczym wierz-
bina ciele

kwietny wzór na fioletowej spódnicy
okrywającej krągłe biodra

małeńkie stopy w czerwonych pantofel-

kach haftowanych w kaczuszki

umalowane oblicze, które chyba i bez makijażu zdolne byłoby zachwycić

Rozsiewając wokół woń pizma, dziewczyna złożyła ukłon i kryjąc twarz za wachlarzem, poprosiła gościa, by spoczął na krześle. Potem, ujawszy smukłymi palcami porcelanową czarękę z wonną herbata, nachyliła się ku Xiao.

Jej bliskość przyprawiła bakałarza o słodki dreszcz.

Jak powiada poeta:

*Gdy zbiorą się chmury brzemienne,
błyskawic blask niebo rozjuszy,
dudniący grom rozgrzmi potężnie,
rzęsy deszcz wtenczas spaść musi.*

– Nie omieszkaj, panie, wspomnieć o przymiotach mych kurtyzan swym krewnym i przyjaciółom. – Stara Wang zgięła się w ukłonie. Siedzący w siodle Xiao

uśmiechnął się i miał już odpowiedzieć, kiedy ich uszu dobiegł zgiełk. Spojrzeli oboje w głąb ulicy.

Uliczni handlarze w pośpiechu zwijali stoiska, kolejki porannych klientów jadłodajni rozpierzchały się, lektyki skręcały pod ściany, bo oto całą szerokością drogi sunęli gwardziści gubernatora. Szyszaki z pióropuszcami, długie lance i płytkowe zbroje połyskiwały w słońcu, kopyta ciężkich rumaków wzbijały kurz, wiatr przywiewał odór potu.

Bakałarz cofnął konia w cień bramy, Wang schroniła się za skrzydłem wrót.

Xiao zmrużył oczy, gdy wraz z parszczącymi wierzchowcami nadciągnął rój much. Wreszcie nawała jeźdźców przerzedziła się. Nie zdążył odetchnąć z ulgą, bo wtem ujrzał przerzucone przez grzbiet jednego z pędzonych na końcu luzaków ciało.

Młdzieńcze, chude, w zakrwawionym białym chałacie. I bezgłowe.

– O Nieba... – wybełkotał. Odwrócił się do stręczycielki. Przytaknęła smętnie.

– Mówiłam, że nie ujdzie żywy.

Nie tylko oni dojrzelili trupa. Wielu przechodniów i przekupniów już pędziło ile sił w nogach, by nadążyć za oddalającą się kawalkadą. Xiao skinął starej Wang na pożegnanie i powodowany niewiadomym impulsem popędził w ślad za gwardzistami.

Niebawem jeźdźcy zatrzymali się pod okazałym domem. U bramy wartował gubernatorski żołnierz. Jeden z konnych wszedł do wnętrza, inny zdjął ciało z wierzchowca i zawłókł pod wrota.

Po chwili z domu wypadła kobieta, a za nią trzy dziewczęta. Widząc zwłoki, rzuciły się na kolana i bijąc się po twarzy, podniosły lament. Tłum gapiów gęstniał z każdą chwilą. Z wysokiego siodła bakałarz miał dobry widok na rozdzierającą scenę.

Wreszcie z wnętrza wolnym krokiem wytoczył się dostoyny mandaryn we wzorzystej jedwabnej sukni, czepcu ze skrzydełkami i ze złożonym wachlarzem w dłoni. W ślad za nim dreptał sługa z parasolem. Ujrzawszy zwłoki chłopaka, gubernatorski urzędnik gromkim głosem nakazał wprowadzenie rodziny z powrotem do domu. Potem przywołał dowódcę oddziału. Ten chwacko zeskoczył z konia i pokłonił się nisko:

– Czcigodny, zwiad nasz po okolicy nie przyniósł rezultatu w postaci ujęcia zbiegłego sługi. Znaleźliśmy jednak ciało Zhao młodszego, którego rozpoznaliśmy z opisu. Trafność naszych spostrzeżeń potwierdziły łzy jego krewnych.

– Nie wy go zatem ścięliście? – surowo spytał mandaryn.

– Nie, czcigodny. Znaleźliśmy jego cia-

ło przy drodze, sześć li za miastem. W straszliwej walce musiał polec, bowiem drzewa wokół były bardzo pokaleczone. Głowy mimo usilnych starań...

– Czcigodny! – niespodziewanie dla samego siebie wtrącił się Xiao. Na samą myśl, że jego wiedza może okazać się przydatna w istotnym śledztwie na wysokim szczeblu, aż drżał podekscytowany. – Nie było żadnej walki.

Kiedy spoczął na nim groźny wzrok urzędnika, o mało nie pożałował swej gorliwości. Przywołany skinieniem palca zakończonego długim paznokciem poprowadził konia przez tłum. Gdy tylko tłok wokół zelżał, zeskoczył na ziemię i zgiął się w pokłonie.

– Nazwisko moje brzmi Cheng, imię osobiste Chang, społeczne zaś Xiao Long. Jestem nędznym bakałarzem z Hengshanu, o czcigodny.

– Mów – oschle rzucił mandaryn.

– Tego dziś już martwego człowieka spotkałem wczoraj na drodze do Yangzhou. Ścinał gałęzie kamforowców i mimo moich usilnych namów nie poniechał swej szkodliwej działalności.

– Czy byłeś obecny przy śmierci Zhao młodszego?

– Nie, czcigodny.

– Skąd zatem wiesz, że walka nie miała miejsca już po twym odejściu?

Xiao poczuł, że traci grunt pod nogami.

– Nie wiem, o czcigodny, ale wiem, że ścinał on gałęzie własnoręcznie...

– Wystarczy. Pojedziesz z nami do gubernatora.

Xiao otworzył usta, by zaprotestować, lecz jeden z gwardzistów już stanowczo nakazał mu wracać na siodło, a drugi do wędzidła jego wierzchowca przywiązał sznur i zaczepił sobie o łęk. Widząc, że

słowa ważą tu mało, bakałarz zagryzł wargi i pograżył się w ponurym milczeniu.

Tymczasem z wnętrza domu dochodziły rozpaczliwe biadania i lamenty. Wreszcie na ulicę wypchnięto matkę z córkami. Za nimi wybiegły służące, żołnierze jednak kopniakami zagnali je z powrotem do środka. Opierające się kobiety wsadzono przemocą na konie i związano. Xiao współczuł im, ale nie mógł się nadziwić tym protestom. Zamiast okazać władzy posłuszeństwo i wszystko spokojnie wyjaśnić, tylko pogarszają sytuację, pomyślał z dezaprobatą.

Owinięte w płótno ciało chłopaka przełożono przez koński grzbiet. Orszak z krytym powozem mandaryna w środku wreszcie ruszył. Do samej północnej bramy towarzyszył im pochód mieszkańców. We wrzawie setek głosów dało się słyszeć wyrazy współczucia, ale też złorzeczenia. Rodzina płatnerza miała widać tyle samo

przyjaciół, co wrogów.

Jeśli chcecie się dowiedzieć, co czekało bakalarza u celu podróży, przeczytajcie następny rozdział!

Rozdział 2

o tym, jak Xiao Long stanął przed obliczem gubernatora Czerwonego Tygrysa i za co został sprzed tego oblicza usunięty

Kiedy po południu trzeciego dnia na równinie zamajaczył samotny stożek Błogosławionej Góry, a pod nim plama stolicy prowincji Jiangbei, Beizhou, Xiao miał już serdecznie dość całej tej awantury. Wychowany w cieniu Świętej Góry Heng, podróżując po nizinach, czuł się nieswojo. Jego niezadowolenie potęgowały jeszcze noclegi w podłych zajazdach, wszechobecne muchy, wojskowe maniery, takiż smród oraz lament udręczonej rodziny płatnerza. Siedziba gubernatora, choćby miał nim być furiat nadużywający miecza, wydawała się przy tym niebiańską krainą.

Beizhou przenosiło Yangzhou rozmiarami co najmniej trzykrotnie. Kiedy orszak podjechał bliżej, Xiao musiał uznać, że nawet jego rodzinny Hengshan nie dorównuje tej metropolii potęgą. Przedsmak tego, co zastaną na miejscu, otrzymali, już przebijając się przez rozległe i ludne przedmieścia. A oto, co ukazało się oczom bakałarza, kiedy podjechali pod mury Beizhou:

potężne kamienne bloki przewyższają
człowieka

gliniane cegły zdają się sięgać pod samo
niebo

na bastionach i między nimi kręcą się
straże

utworzona z ujarzmionych wód rzeki
fosa opływa mury dokąd sięgnąć okiem

sama rzeka, szumiąc, wpływa zakrąto-
wanym otworem do miasta

obok zionie graniasta brama, zwieńczo-

na basztą o blankowanym szczycie

ogromne, wzmocnione żelazem wrota
zdobią płaskorzeźby bezszponnych smoków

z klateczek rozwieszonych ku przestro-
dze nad bramą wyzierają opuchłe głowy
skazańców

w obie strony długiego na kilkanaście
kroków przejścia prą hałaśliwie tłumy han-
dlarzy, kupujących i zwykłych przechod-
niów

za bramą zaczyna się ruchliwa arteria,
prosta jak z kuszy strzeł i ujęta w dwa
rzędy chodników

wzdłuż niej ciągną się parterowe domy,
drewniane lub z suszonej cegły

w perspektywie drogi widać jeden za
drugim łuki ceremonialne, pod którymi
tłumy zdają się jeszcze gęstnieć

i domy, i łuki wieńczą połyskujące por-
celanowe dachy o zakrzywionych ku górze
krawędziach

z podcieni dobiegają nawoływania kupców i straganiarzy, niedowierzających chyba skuteczności samych szyldów ani woni i widokowi towarów

w oddali, na wskroś chmar owadów i oparów ludzkiej ciżby, widać rozłożyste, wywinięte na krawędziach, niczym skrzydła bażanta w locie, niebieskie dachy pałacu naczelnika prowincji

Gubernatorskie znaki i buta rozpychających się bezceremonialnie żołnierzy sprawiły, że palankiny i lektyki, których po głównej arterii sunęło chyba więcej niż w całym Yangzhou, z wyprzedzeniem ustępowały im z drogi. U bram pałacu, których prócz warty strzegły dwa olbrzymie kamienne lwy, orszak się rozdzielił. Do gubernatorskich ogrodów wszedł tylko mandaryn w towarzystwie kilku oficerów oraz jeńcy.

Brukowana alejka wiła się pośród kwiatów i krzewów niczym smok, którego wyobrażała. Tam, gdzie wydłużone cielsko przechodziło w rozdziawioną paszczę, zaczynały się schody prowadzące do ociekającego przepychem Pawilonu Wiecznej Mądrości, jednego z licznych budynków tworzących siedzibę władz prowincji.

Wewnątrz panował błogi chłód. Podtrzymujące dach drewniane filary pokryte były symbolami szczęśliwości i długowieczności, zwoje zwisające ze ścian przedstawiały wytwory sztuki kaligraficznej poprzednich gubernatorów, jaśniały wspaniałe lampiony, na swe zadania czekali słudzy z bronią. Xiao poczuł ulgę, widząc, że nakryty tygrysią skórą tron gubernatora jest pusty. Nie zdążył się jednak tym faktem nacieszyć, kiedy rozbrzmiał gong i w towarzystwie urzędników do sali wszedł Czerwony Tygrys.

Odziany w purpurową haftowaną szatę z

nefrytowym pasem i czepiec z połyskliwym guzem gubernator był już posunięty w latach, lecz ruchy wciąż miał energiczne i pewne. Dłoń o długich na pół piędzi, zakrzywionych paznokciach wspierał na inkrustowanej klejnotami głowicy miecza w lśniaco czarnej lakowanej pochwie – ani chybi roboty mistrza Zhao. Wieloletnia posada rządowa nie zmiękczyła zaprawionego w bojach ciała; znać było, że ten dziś pochylony, a niegdyś słusznego wzrostu mężczyzna zasluzenie cieszy się sławą pogromcy, który gołymi rękoma ubił był tygrysa ludojada na przełęczy Jingyang.

Zasiadłszy na tronie, długo i z lubością patrzył, jak przybyli, klęcząc, biją mu pokłony. Wreszcie przestał gładzić posiwiałą bródkę i władczym gestem zakończył część ceremonialną.

Mandaryn postąpił naprzód.

– Czcigodny gubernatorze, obyś żył tysiąc lat! Oto rodzina tego psa płatnerza Zhao. Niecny syn jego nie dożył, niestety, sprawiedliwej kary z twej ręki. Przywieźliśmy ciało oraz świadka, który rzucić może światło na okoliczności tej niefortunnej śmierci. Osądź w swej mądrości, czy twoi nędzni poddani dobrze wywiązali się z zadania.

Wzrok władcy spoczął na jeńcach. Cała czwórka przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz. Kobieta ledwo nie mdlała, dziewczęta wyplakały już wszystkie łzy

Czerwony Tygrys skinął palcem na brzuchatego sługę o eunuszej aparycji i wyszeptał do nachylonego skwapliwie ucha kilka słów.

– Czcigodny gubernator pyta, gdzie jest drugi miecz. – Grubas wyprostował się.

Odpowiedzią było milczenie. Żona Zhao Quana pokręciła ze zdziwieniem głową. Padło drugie pytanie:

– Co macie na swe usprawiedliwienie?

Znów zapadła cisza, tylko jedna z córek łkała cicho.

Eunuch jeszcze raz nachylił się do gubernatora.

– Jeśli nie wyjawicie miejsca ukrycia drugiego miecza, wasz majątek zostanie skonfiskowany. Jeśli nie wytłumaczycie się ze swego niecnego zamiaru uśmiercenia gubernatora, czeka was zgon w męczarniach.

Sala rozbrzmiała rozdzierającym szlochem nieszczęsnych kobiet. Xiao najchętniej zakryłby uszy dłońmi, gdyby nie dworska etykieta. Czerwony Tygrys dłuższą chwilę beznamietnie obserwował wijące się na podłodze kobiety. Wreszcie skinął dłonią. Słudzy w okamgnieniu wyprowadzili je na zewnątrz.

Gubernator spojrzał teraz na Xiao. Man-

daryn w krótkich słowach zreferował okoliczności śmierci Zhao młodszego i informacje od bakałarza. Pod badawczym wzrokiem Czerwonego Tygrysa młodzieniec czuł się jak tłusta cyweta na straganie. Próbował opanować drżenie rąk, ale na próżno.

– Przywołać mnicha – rozległ się ochrypły głos, naznaczony ciężkim południowym akcentem. Zaskoczony bakałarz podniósł oczy. Oto przemówił władca.

Do sali wszedł odziany w czarną oponczę mężczyzna. Długie, lśniące włosy, upięte wysoko na czubku za pomocą czarnej zapinki w kształcie dłoni, gładka twarz i gibki krok znamionowały młody wiek. Znowu odezwał się eunuch:

– Mnich Gan Bao z Klasztoru Wiekuistej Sprawiedliwości przybył tu wczoraj, zajeżdżwszy konia na śmierć, z głową młodszego Zhao, który wedle jego słów nastawał na życie czcigodnego gubernato-

ra. Głowę zbrodniarzowi ściął po długiej walce w lesie kamforowym, w trakcie której poczynili w przyrodzie wielkie spustoszenie. – Mnich skłonił się, potwierdzając słowa grubasa. – Swym poświęceniem dał dowód najwyższej wierności Cesarzowi i gubernatorowi, oby przeżyli nas wszystkich.

Xiao wyczuł na skroni kroplę potu. Wpadł niczym krab we wrzątek. Na znak od Czerwonego Tygrysa przełknął ślinę i odpowiedział najostrożniej jak umiał:

– Czcigodny gubernatorze! Prawdą jest, że spotkałem na drodze do Yangzhou syna płatnerza Zhao, oby się był nigdy nie narodził, jak strącał gałęzie drzew kamforowych. Nie zareagował na moje połajanki, a ja odjechałem do miasta, by na drugi dzień ujrzeć jego martwe ciało. Nie twierdzę, jakoby do walki nie doszło; twierdzę jedy-

nie, że wiele z owych gałęzi stracił samodzielnie. Osądź w swej niezmiarzonej mądrości prawdziwość słów niegodnego człowieka, jakim jestem, i wydaj sprawiedliwy werdykt.

To rzekłszy, przycisnął czoło do kamiennej posadzki i czekał.

Usłyszał kroki, a potem poczuł ciężkie dłonie na ramionach. Serce stanęło mu w piersiach.

Kiedy bezwolnego Xiao postawiło na nogi dwóch oficerów, w sali nie było już Czerwonego Tygrysa, mandaryna ani mnicha. Oficerowie ustąpili miejsca sługom gubernatora i również wyszli. Pozbawionego nagle towarzystwa znajomych osób bałarza poprowadzono w głąb rezydencji.

Minęli kilka pawilonów i kilkanaście altan, bajecznie wkomponowanych w przedudnej urody ogrody, klomby, stawy i kaskady, by wstąpić na koniec do pawilonu ukrytego za gęstym zagajnikiem cypryso-

wym. W czerwonym świetle Xiao dostrzegł gubernatora i mnicha w otoczeniu sług oraz rzuconą na ziemię rodzinę Zhao Quana. Ciałami kobiet wstrząsał bezgłośny szloch. Wnętrze pomieszczenia rozświetlały płomienie buzujące pod stojącym w centrum kotłem z brązu. Naczynie rzeźbione w osiem trygramów miało średnicę długości ramienia mężczyzny. W środku bulgotała ciemna, spieniona woda. Bakałarz, który po cichu liczył na symboliczną chłostę i wypędzenie, struchlał na myśl o męskach, które najpewniej szykował pojmanym gubernator.

Widząc, że są w komplecie, Czerwony Tygrys skinął na grubego sługę. Ten zniknął na chwilę, by wrócić z pudłem z malowanego drewna. Gubernator rzekł:

– Zdradziecki pies Zhao i jego niegodny syn w skrytości zamierzali ugodzić po-

przez moją osobę w Syna Niebios, oby żył wiecznie, i w jego błogosławione panowanie nad Cesarstwem Środka. Ale Niebiosa pokierowały moją ręką i ręką mnicha Gana Bao. Dziś zadbam o to, by dusze zbrodniarzy nigdy nie zaznały spokoju.

Sługa odemknął wieko. Nawet z odległości kilkunastu kroków Xiao poczuł smród gnijącego mięsa. Przerażony śledził, jak władca teatralnym gestem sięga do pułki.

Kobiety wydały z siebie piskliwy jęk. Wstrząśnięty bakałarz pojął, że widzi zniekształconą twarz płatnerza Zhao.

Czerwony Tygrys podniósł głowę wysoko w górę, a następnie cisnął do kotła. Wrzątek przysł na boki. Głowa na chwilę zniknęła pod powierzchnią wody, by wyskoczyć z powrotem i wirując w pianie, wpatrzeć się martwym wzrokiem w belki sufitu.

– Oddzielę ciało od kości, zetnę w pył i

każę zakopać na czterech krańcach prowincji – wychrypiał gubernator, znów sięgając do pudła. W straszliwym olśnieniu Xiao zrozumiał na jedno uderzenie serca wcześniej, co zobaczy.

Oczy chłopaka wciąż miały tamten szalony wyraz.

Kolejny rozbryzg zrosił podłogę. Żona mistrza Zhao zemdłała, bakałarz zmusił się do zaciśnięcia powiek. Taniec dwóch głów w bulgoczącej cieczy odrażał, ale i niezdrowo fascynował.

– Jeśli nie zdradzicie miejsca ukrycia miecza, planów zamachu na gubernatora oraz nazwisk członków spisku, czeka was ten sam los – beznamiętnie powiedział gruby sługa. Jedna z córek rzuciła się do nóg władcy, ale poza szlochem nie potrafiła nic z siebie wydusić.

– Bambusowe kije rozwiążą wam języki

– prychnął Czerwony Tygrys. Lamenty wyprowadzanych kobiet wnet ucichły w oddali.

Xiao oddałby swój bakalarski czepiec za łyk niebiańskiego eliksiru niewidzialności. Wzrok gubernatora spoczął na nim po raz kolejny

– No i co teraz powiesz, bakałarzu z Hengshanu? Przykład tych głupich i nikczemnych żółwiczek nie skłania cię do przemyślenia swych zeznań?

Powiedzieć, że Xiao struchlał, byłoby policzkiem zadanyą prawdzie. Młodzieniec zmoczył chałat.

– Czcigodny – rzekł trzęsącym się głosem – jestem nic nieznaczącym człowiekiem, ale wiernym poddanym Cesarza, powiedziałem prawdę i nie wiem, czym zasłużyłem sobie na nieufność.

Czerwony Tygrys dłuższą chwilę trawił te słowa.

– Jak wyglądał miecz Zhao młodszego?

– zapytał wreszcie.

Bakałarz o mało nie zemdłał ze szczęścia. Podziękował w duchu Niebiosom za możliwość wykazania się użytecznością i odpowiedział gorliwie:

– O czcigodny, miecz był niepozorny, pozbawiony ozdób i niezbyt długi, lecz bardzo ostry. Niewielki ruch wystarczał, by na ziemię spadały konary dorodnych kamforowców. Wielka to szkoda dla przyrody...

– Ganie Bao, co się stało z mieczem? – przerwał mu gubernator, zwracając się do mnicha.

Ten wyszedł z cienia i pokłonił się nisko.

– Czcigodny, w ferworze walki nie poświęciłem oględzinom miecza należytego czasu – rzekł miękki, głęboki głosem.
– Z wprawnym, choć młodym szermie-

rzem miałem do czynienia. Przed ostatnim ciosem, którym śmierć spiskowcowi zadałem, oręż wytrąciłem rywalowi z ręki i nie mogłem go potem odnaleźć pośród bujnej roślinności.

Nastała długa cisza, wypełniona tylko bulgotaniem warzącej się w kotle ohydnej kipieli. Ważyły się i losy Xiao. Po raz setny wyrzucał sobie, że wyjawiał mandarynowi spotkanie przy drodze. Po co mieszał się w cudze sprawy?

– Posłać oddział do odnalezienia miecza. Bakalarza zamknąć w Pawilonie Leżących Chmur. Mnicha w Pawilonie Szumiących Wierzb – ogłosił Czerwony Tygrys i opuścił pomieszczenie.

Wyprowadzany Xiao skrzyżował spojrzenie z Ganem Bao. We wzroku mnicha, o dziwo, nie było niechęci. Siedząc w ascetycznej, ciasnej komnacie z wąskim okienkiem wychodzącym na mrok dziedzińca, bakalarz jeszcze długo próbował

zrozumieć znaczenie tego smutnego, lecz
życzliwego spojrzenia.

*Aby dowiedzieć się, co kryło się za tym spojrzeniem, czy-
tajcie dalej!*

Rozdział 3

o tym, co ukazało się Xiao Longowi w tajemniczym śnie i w straszliwym kotle

Kamforowce rozstępują się, podnosząc korzenie niczym suknie. Wpływa w powstały prześwit i podąża przed siebie. U kresu drzewnej alei widzi dwóch ludzi. Stoją na granicy lasu, za tło mając rozświetlone słońcem pole. Słyszy, jak rozmawiają, widzi, jak dłoń opada na ramię w pokrzepiającym geście.

Odgłos kroków wyrwał Xiao ze snu, ale zdążył dojrzeć twarze.

Gan Bao ścisnął ramię młodszego Zhao.

Słudzy nakazali rozespanemu bakałarzowi natychmiast się ubrać. Gorączkowo narzucił chałat, wsunął stopy w satynowe

pantofle. Zdażył jeszcze wcisnąć na głowę czepiec, nim wyprowadzono go na zewnątrz.

Kiedy zorientował się, że idą do pawilonu w cyprysowym zagajniku, pierzchły resztki senności. Wewnątrz czekał już mnich w otoczeniu pilnujących go sług. Xiao rozmyślał z lękiem o zmiennej łasce Czerwonego Tygrysa, gdy ten wręcz wbiegł do środka w towarzystwie eunucha.

– Co to ma znaczyć? – wychrypiał, zanim zdążyli się pokłonić. – Jeśli nikt mi tego nie wyjaśni, skończycie wszyscy w klatce z głodnymi szczurami!

Młodzieniec wtulił szyję w ramiona, patrząc nic nierozumiejącym wzrokiem w twarz gubernatora.

– Nie nasza to zasługa ani wina, czcigodny – rzekł mnich. – To jeden z tych fenomenów natury, które tylko Niebiosa po-

trafią objaśnić.

– Chcesz mi powiedzieć, że dowiem się dopiero po śmierci, od samego Nefrytowego Cesarza?

Czerwony Tygrys zadał pytanie spokojnie, ale w jego głosie brzmiały dziwne nuty. Gan Bao pochylił głowę.

– Przeniknięcie niektórych rzeczy nie leży w gestii ludzi nawet tak potężnych i czcigodnych jak ty, panie.

– Bakalarzu! – władca nieoczekiwanie zwrócił się do Xiao. – Może ty udzielisz mi konkretnej odpowiedzi? – I widząc, że młodzieniec nadal nie rozumie, wskazał szponiastym palcem kocioł.

Xiao zmrużył oczy i postąpił kilka kroków ku dymiącemu naczyniu. Oczekując smrodu rozgotowanego ciała, wstrzymał oddech, ale opary czuć było tylko ziołami i minerałami. Rozwiął je dłonią i ostrożnie, by chałat nie zajął się ogniem, zajrzał w kipiącą toń.

W ukropie pływało sześć głów. Na twarzach kobiet Zhao zastygł grymas cierpienia. Wstrząśnięty bakałarz chciał odwrócić się ze wstrętem, kiedy uświadomił sobie, że twarze ojca i syna także są nienaruszone.

Mimo całej nocy gotowania w żrącym wywarze ich oblicza nie tylko nie doznały szwanku; jeszcze wczoraj zdeformowane postępującym rozkładem, teraz wyglądały jak żywe.

Cofnął się gwałtownie i upadł na plecy. Odczołgującego się w panice bakałarza postawili na nogi i przytrzymali słudzy.

Czerwony Tygrys długo badał wzrokiem przerażonego Xiao. Wreszcie zwrócił się do Gana:

– Mnichu, znasz przecież konieczne rytuały. Przywołaj duchy zmarłych i dowiedz się, cóż znaczy to zjawisko i jak mu

przeciwdziałać!

– Czyż sam, czcigodny, nie kazałeś pozbawić ich głów, aby na wieczność błędzili w zaświatach na podobieństwo ślepców?

– Młodemu Zhao tyś odrąbał głowę – przerwał gubernator.

Gan Bao pokłonił się lekko.

– Wybacz, czcigodny, zuchwałość, lecz uczyniłem to w uczciwej walce, nie z zemsty.

– Dość! Czego potrzebujesz? Ofiary z barana? Byka? Zastępu mnichów do odśpiewania zaklęć? Byle te łby szczyły wreszcie! – warknął Czerwony Tygrys i chwycił za miecz. Paznokcie zaklekotały sucho o klejnoty rękojeści.

– Moja reguła nie obejmuje przywoływania duchów, czcigodny. A gdybym nawet znał tajemne zaklęcia, nie zdołałbym przywołać zagubionej bezgłowej duszy. Niewielu ma do tego prawo. – Mnich pokłonił się niżej, odsłaniając nagi kark pod

ciasno upiętym kokiem, jak gdyby dopraszał się cięcia.

Gubernator zgrzytnął zębami i postąpiwszy w kierunku kotła, zniecka wyciągnął miecz Zhao Quana. W blasku płomieni złowieszczo zaśnił delikatny geometryczny wzór na długiej klindze. Opary zawirowały, rozbryzgi zrosiły komnatę. Mężczyzna siekł bez opamiętania, ostrze raz po raz uderzało głośno o krawędź kotła, a głowy z pluskiem zanurzały się w toń, by zaraz wypływać z powrotem.

Na twarzach sług malowała się konsternacja. Ramię gubernatora zaczęło zwalniać, by wreszcie opaść po raz ostatni.

Nie zważając na gorąco, władca oparł dłoń o krawędź kotła i zbliżył twarz ku kipieli. Na kilka chwil wszyscy w komnacie zamarli. Co ja tu w ogóle robię, powtarzał w myślach Xiao, lecz chłonał scenę

szeroko otwartymi oczyma.

– One żyją – wychrypiał nagle Czerwony Tygrys. – One żyją! – jęknął i całym ciężarem ciała naparł na kocioł. Skraj szaty wpadł w otwory paleniska. Błysnął płomień. Słudzy puścili bakalarza i rzucili się odciągnąć władcę, ale ten obrócił się z mieczem w dłoni i ciął na oślep. Jeden z mężczyzn padł zalany krwią na podłogę, drugi, ściskając rozplątane ramię, z krzykiem rzucił się pod ścianę. Eunuch uniósł ręce w pokojowym geście, ale gubernator rzucił się nań i byłby odrąbał mu dłonie, gdyby grubas nie uskoczył w porę.

Czubek miecza sieknął kamienną posadzkę, krzesząc snop iskier. Uderzenie wstrząsnęło ramieniem Czerwonego Tygrysa. Wypuścił oręż z ręki i wpatrzył się w swą dłoń, krwawiącą z ran po oderwanych paznokciach.

– Czcigodny, tu trzeba medyka. – Grubas znów był przy panu, zdeptując tłący

się skraj gubernatorskiej szaty. – Pójdźmy do Pawilonu Wonnych Ziół.

Władca wolnym krokiem ruszył do wyjścia. Za jego plecami eunuch gestem przekazał sługom kilka szybkich poleceń.

Xiao i mnicha wyprowadzono z pomieszczenia. Ułamek chwili wystarczył, by bakałarz zdumionym wzrokiem objął zawartość kotła.

Wszystkie głowy zwrócone były twarzami ku górze.

I wszystkie miały otwarte oczy.

Jeśli interesuje Was, co spotkało Xiao Longa nazajutrz z ręki gubernatora Czerwonego Tygrysa, czytajcie dalej!

Rozdział 4

w którym nieostrożni eunuchowie toczą zbyt głośne rozmowy, Czerwony Tygrys wpada w gniew, mnich Gan Bao dokonuje rzeczy zdumiewających, a w rece bakalarza trafia niezwykle przedmiot

Nawet gdyby goniec konia zajeździł, cenzor zjawi się najwcześniej za tydzień. A i to tylko jeśli uzna, że gubernator nie jest w prawie.

– Wojsko odsyłane do szukania jakiegoś miecza, cesarskie srebro marnotrawione na zabobonne praktyki i jeszcze pięć osób ściętych bez sądu, to ma być w prawie? Cenzor musiałby być bratem gubernatora!

– Jest jego krajanem i przyjacielem. Obaj znają się z Akademii Cesarskiej w Południowej Stolicy.

– Ale podarkami dawno się nie wymie-
niali, może przyjaźń wygasła. I ten furiacki
atak na nas powinien zaniepokoić cenzora.

– Żałosny Zhang! Tak się pysznił jako
naczelnny eunuch, a o mało łap nie postra-
dał...

Głosy się oddaliły. Xiao sapnął i pu-
ściwszy krawędź okna, zeskoczył na pod-
łogę. Starał się dmuchać na iskierkę na-
dziei roznieconą podsłuchaną rozmową,
ale z mizernym skutkiem. Nawet jeśli od-
działy cenzora zjawią się w końcu w Be-
izhou, zastać mogą w kotle nie sześć, ale
siedem albo i więcej głów... Wyciągnął się
na słomianej macie i próbował uspokoić.

Sen nie przychodził. Bakalarz bez prze-
rwy obracał w myślach odpowiedzi na
możliwe pytania Czerwonego Tygrysa. Bo
tego, że zostanie rankiem wezwany do pa-
wilonu wśród cyprysów, był pewien. Tak

samo jak tego, że każde nieopatrznie wypowiedziane słowo może go kosztować głowę.

Dopiero nad ranem zmrużył oczy.

Zhao młodszy gestem nakazuje Ganowi Bao się odsunąć. Podnosi miecz i kręcąc ostrzem, łapie słoneczne błyski, potem zgina się w ukłonie i nagłym cięciem odrąbuje sobie głowę. Ciało nie zwala się jednak w ślad za nią na ziemię. Zhao pochyła się i podnosi głowę, a potem podaje ją mnichowi. Dopiero kiedy przekazuje Ganowi miecz, pada bezwładnie.

Xiao, ciężko dysząc, otworzył oczy. Mógłby przysiąc, że łomot jego serca słychać w sąsiednich komnatach. Wstał i sięgnął po dzban z ciekłą herbatą. Duszkiem wypił całą zawartość i usiadł w kącie na cebrzyku, by sobie ulżyć.

Słońce za oknem wskazywało południe,

kiedy zgrzytnęły zasuwę. Wygłodniały bakałarz podniósł się z nadzieją, ale w miejsce sługusa z miską ryżu stanął w nich sam eunuch Zhang.

– Gubernator wzywa – obwieścił głucho.

Zamiast jednak udać się prosto ku cyprysowemu zagajnikowi, grubas wciągnął bakałarza do jednej z mijanych altanek.

– Nie narażaj się na gniew gubernatora – powiedział zdumionemu Xiao. – A raczej nie narażaj gubernatora, by wyładowując na tobie gniew, wpadł w niełaskę Niebios. Władca jest południowcem, temperament ma krewki, nie prowokuj go zatem. Posiada też moce, o których lepiej nie wiedzieć...

– Ależ ja... – chciał protestować bakałarz.

– Czyń, co ci każe, chyba że ja powiem

inaczej. Wtedy być może zobaczysz dziś zachód słońca – uciał Zhang i pociągnął Xiao z powrotem na alejkę.

Wnętrze pawilonu wyglądało inaczej niż poprzedniego dnia. Kocioł nadal stał pośrodku, ale ściany obwieszono malunkami przedstawiającymi dwanaście gwiazdozbiorów, w każdym kącie dymiała kadzielnica, a z belki sufitowej zwieszały się niezliczone odświętne lampiony. Między kotłem a ścianą w głębi ustawiono ołtarz przykryty żółtym jedwabiem i otoczony kręgiem świec. Odziany w czerń Czerwony Tygrys nadzorował uwijające się sługi.

– Jesteście wreszcie – powiedział niespodziewanie ciepłym głosem. – Czekaliśmy na was.

Xiao podążył wzrokiem w kierunku sagana. Przez zawiesiste opary z trudem dostrzegł twarze. Wszystkie patrzyły w sufit.

– Przebierz się – polecił gubernator i skinął na sługę. Ten podał bakałarzowi

czerwoną szatę i zdobiony czepiec. Pomny słów Zhanga młodzieniec bez zwłoki zrzucił odzienie i włożył nowe.

Dopiero patrząc na krój stroju, pojął, że ma na sobie ceremonialne obrzędowe szaty. Spojrzał pytająco na eunucha, ale Czerwony Tygrys odezwał się wcześniej:

– Gan Bao mimo perswazji nie zgodził się poprowadzić obrzędu Odesłania Zmarłych, a skoro, jak słyszę, jesteś, bakalarzu, rodem ze Świętej Góry Heng, być może spłynęła na ciebie cząstka świętości wystarczająca do niesprofanowania rytuału.

Xiao cały sprężył się w sobie i pamiętając wciąż o słowach Zhanga, rzekł:

– Czcigodny, zaszczyt to ogromny dla mej nader skromnej osoby, ale zadanie zbyt wielkie. Czy we wspaniałej stolicy tak rozległej prowincji nie ma mnichów dość świątobliwych, by poprowadzili obrzędy

dla tak wielkiego gubernatora?

Pożałował tych słów, zanim jeszcze wypowiedział je do końca. Twarz władcy w okamgnieniu straciła jowialny wyraz, obandażowane palce zacisnęły się na głowicy miecza.

– Czy myślisz, że traciłbym czas na taki żółwi pomiot jak ty, gdybym nie był do tego zmuszony? – wychrypiał. – Od mnichów i ich żebraczych misek zwykle roi się na ulicach Beizhou, lecz kiedy są potrzebni, nagle uchodzą nie wiedzieć gdzie, a klasztory pustoszeją.

– Nie każ gubernatorowi powtarzać. Ruszaj do ołtarza – syknął eunuch. Poblady Xiao skwapliwie przytaknął.

Przyjmując od sługi płonący ogarek, nie mógł powstrzymać drżenia rąk. Z trudem zapalał kolejne świece, przy którejś zaś tak się zatrząsł, że lichtarz upadł z donośnym brzękiem.

Uczynny sługa błyskawicznie ustawił

świecznik z powrotem, ale wnet następny poleciał na podłogę. Czerwony Tygrys zaklął:

– Oby ci pokręciło grzbiet, ty koślawy pokurczu! Przyprawadźcie Gana Bao. I weźcie palcościsk, może tym razem się zgodzi.

Słudzy przywlekli mnicha. Twarz mężczyzny nosiła ślady bicia, dłonie pokrywała zakrzepła krew. Z trudem ustał przed gubernatorem.

– Czy osoba nieduchowna może zapalać świece? – zazgrzytał zębami Czerwony Tygrys. Widać Gan Bao był aktualnie jedynym w okolicy znawcą liturgii.

Mnich uniósł posiniaczoną twarz.

– Może – odparł pogodnie. – Jak każdy. Tylko rytuał nie będzie miał wtedy żadnej mocy.

Władca powalił go jednym uderzeniem

sękatej pięści.

– Masz ostatnią sposobność, by opuścić to miejsce żywy. Albo poprowadzisz obrzęd, albo wykrwawisz się tutaj na śmierć.

– W mej regule nie ma rytuału przywoływania duchów – spokojnie powtórzył Gan. – A nawet gdyby...

Kopniak przerwał mu w pół zdania. Gubernator odwrócił się z wściekłością do bałarza.

– Zapalaj świece, żółwi synu, ale już! I bacz, by żadnej już nie strącić.

– Czcigodny – zniecka odezwał się jeden ze sług – a może zaczekać, aż z Klasztoru Nieprzemijającej Radości przybędzie... – nie zdążył dokończyć. Chrupnęły zęby, mężczyzna upadł, brocząc krwią.

– Czcigodny... – zaczął Zhang, ale umilkł, widząc wyraz twarzy Czerwonego Tygrysa.

Gubernatorowi szkarłat wystąpił na obli-

cze, płomień zatańczył w oczach. Wystawił naprzód stopę, wsunął kciuki za pas i powiódł strasznym wzrokiem po zgromadzonych. Potem znenacka tupnął, aż echo poszło po sali, i ryknął wielkim głosem:

– Precz!

Nikt nie oponował. Wszyscy, którzy byli w stanie, ruszyli do wyjścia. Xiao już przekraczał próg, kiedy jego uszu dobiegło chrapliwe polecenie:

– Bakalarz zostaje. Mnich też. Ścierwo wynieście.

Kiedy za ostatnim sługą, ciągnącym ciało bezzębego kolegi, zamknęły się drzwi, w pomieszczeniu zapanowała cisza, przerywana tylko świszczącym oddechem Gana Bao. Xiao stał z zamkniętymi oczyma, błagając Niebiosa o ratunek. Zamiast niego nadszedł rozkaz gubernatora:

– Zapalaj. A potem wygłoś zaklęcia.

Leżą obok ołtarza.

Bakałarz uporał się ze świecami i sięgnął po starożytne zaklęcia. Ledwo obeszedszy ołtarz wokół, odczytał z trudem jedną kartkę, gdy w kotle zabulgotało.

– Działa – szepnął Czerwony Tygrys.

Kiedy Xiao zamilkł ze strachu, władca dobył miecza i ryknął:

– Czytaj!!!

Bakałarz zrobił, jak kazano. Kolejno odczytywał i palił kartki z zaklęciami. Przerażony i poganiany, mylił się i połykał nieznane mu wyrazy, ale bulgotanie wciąż się wzmagało. Gubernator zaczął chichotać:

– Rozpuszczą się, rozpuszczą... – i wystukiwać z radości rytm mieczem na posadzce.

W tym momencie młodzieniec przestał czytać, a bulgotanie przycichło. Czerwony Tygrys wybuchnął gniewem, ale bakałarz przetrzymał wszystkie dochodzące zza jego pleców inwektywy i kiedy gubernator

przerwał dla nabrania oddechu, wyjąkał:

– Zaklęcia się skończyły...

– To czytaj od początku! – zagrzemiał władca.

– Spaliłem je... Zgodnie z rytuałem...

Usłyszał gniewne sapnięcie, a potem odgłos kopniaka, jęk mnicha i szamotaninę. Odwrócił się i ujrzał gubernatora próbującego postawić Gana na nogi.

– Co teraz robić! Gadaj, co teraz robić!
– chrypiał Czerwony Tygrys.

Twarz mnicha była cała we krwi, ale spróbował się uśmiechnąć.

– Nie wiem, o czcigodny, moja reguła nie zna tego rytuału.

– Musisz wiedzieć! – wysyczał gubernator. – Musiałeś chociaż gdzieś usłyszeć, przeczytać!

Gdy mnich znowu uśmiechnął się przepaszająco, władca odepchnął go i odwró-

ciwszy się nagle w kierunku Xiao, mruknął:

– To poprawi ci pamięć.

Bakałarz nie zdążył mrugnąć okiem, kiedy w jego grdykę wbił się czubek miecza. Nie na tyle głęboko, żeby zabić, dość jednak, by utoczyć kroplę krwi. Xiao odchylił się do tyłu, lecz za sobą miał ołtarz.

– Teraz coś ci świta, mnichu? – zaśmiał się Czerwony Tygrys i lekko przekręcił ostrze, wyciskając z ust bakałarza jęk bólu.

– Może teraz przypomnisz sobie odpowiedni rytuał?

– Oby Niebiosa cię przygniotły, nędzniku – syknął Gan Bao. Ciepło bez śladu zniknęło z jego głosu.

– Wreszcie prawisz do rzeczy – zarechotał gubernator. – Więc jaki jest następny krok rytuału?

Mnich dłuższą chwilę nie odpowiadał.

– Dusze zamordowanych domagają się zemsty – rzekł wreszcie. – Dopóki się nie

dokona, nie zaznają ukojenia. Dołączyć do nich musi kolejna ofiara, aby mogły udać się na posadę w Niebiosach. A ty na męki do najgłębszego kręgu Piekieł.

– Ho, ho, więc tą ofiarą mam być ja? – parsknął Czerwony Tygrys.

– Potrzebne są dwie ofiary. I zostaną dziś złożone – w głosie Gana brzmiała niezachwiana pewność.

Gubernator zmienił błyskawicznie pozycję i wbił Xiao czubek miecza w kark.

– Skoro dwie, to nawet wiem które. Do kotła, szybciej!

Z ostrzem na karku i żelazną dłonią na ramieniu roztrzęsiony bakałarz musiał postąpić do przodu. Kiedy stanął nad parującą tonią, uderzył go wyraz sześcioro patrzących nań twarzy. Były nieruchome, a jednak niezaprzeczalnie emanowały życiem. Oczy błyszczały jakby radośnie, usta wy-

krzywiało coś na kształt uśmiechu.

– Mam wygłosić jakąś formułkę czy wystarczy po prostu uciąć mu głowę? – kpiąc rzucił władca.

Xiao nie dowierzał własnym uszom, kiedy padła odpowiedź mnicha.

– Wystarczy uciąć głowę.

Ucisk na karku zelżał. Ciężkie od kadzidlanego dymu powietrze zadrżało, gdy miecz Czerwonego Tygrysa wzniósł się w górę. Xiao rzucił rozpaczliwe spojrzenie w kierunku Gana Bao. I ujrzał, jak mnich rozchyła poranioną ręką poły opończy, odsłania szeroki skórzany pas, sięga za plecy i jakby znikąd wysuwa cienki, giętki miecz. Ostrze wyprostowało się z jękiem.

Gubernator puścił ramię bakalarza. Ten z paniką w ruchach uskoczył w bok, a miecze zwały się w powietrzu.

Czerwony Tygrys krzyknął, gdy nie zdołał odbić ciosu mnicha i klinga zagłębiła się w jego barku. Wypuścił broń, ude-

rzył ciałem o kocioł. Wtem krzyknął jeszcze głośniejsze i kurczowo zacisnął dłonie na parzących krawędziach, patrząc niczym zahipnotyzowany w kipiel.

Gan Bao zamierzył się i jednym cięciem strącił głowę gubernatora prosto w bulgoczącą toń.

Xiao wrzasnął, krwawy rozbryzg zmoczył mu chałat. Bezgłowe ciało osunęło się na ziemię.

Mnich cisnął miecz w kąt i podniósł ceremonialny oręż Czerwonego Tygrysa. Zza ścian pawilonu dobiegły nerwowe nawoływania. Gan Bao skoczył w kierunku bakałarza i dokładnie w chwili, kiedy od uchylających się drzwi trysnął snop światła, zamaszystym ruchem ciął młodzieńca w czoło.

Nim krew zalała oczy Xiao, ujrzał jeszcze, jak mnich, nachyliwszy się nad ko-

tłem, jednym ruchem odrąbuje sobie głowę. Rozległ się plusk, by zaraz przejść w ogłuszający syk. Pod sufit pawilonu buchnął gejzer.

Do sali wpadli służby i bogato odziane kobiety, zapewne konkubiny gubernatora. W powstałym chaosie, którego epicentrum stanowiły zwłoki władcy, nikt nie zwrócił uwagi na Xiao. Bakalarz czaił się chwilę w rogu sali, by wreszcie podejść do kotła. W pryskającym ukropie nie tańczyły już głowy, a zgęstniała ciecz przybrała jednolitą konsystencję i barwę.

Do ocierającego krew z twarzy młodzieńca podbiegł Zhang i wyprowadzwszy na zewnątrz, kazał opatrzyć medykowi.

Krzyk sług i lament konkubin Czerwonego Tygrysa nie ustawały jeszcze długo.

Koń na widok Xiao nawet ogonem nie machnął. Bakalarz wyprowadził zwierzę

ze stajni i zaczął kulbaczyć. Szło mu niemrawo; myśli miał zaprzątnięte przesłuchaniem u cenzora. Niewiele brakowało, a cierpiałby teraz rany zadane batem z wilczych ścięgien. Kto wie, może nawet partryłby już, jak kat szykuje dlań garotę.

Cenzor okazał się zawziętym, podejrzliwym człowiekiem, węszącym w każdym zeznaniu drugie dno. Nie chciał zrazu przyjąć wersji o obłędzie Czerwonego Tygrysa. Bakałarza od tortur wyratował zadany przez mnicha cios, którego świadkami byli spieszący na ratunek słudzy gubernatora.

I jedno kłamstwo.

– Chciałem powstrzymać oszalałego mnicha przed zabiciem gubernatora, ale było za późno. Zaalarmowani moim krzykiem słudzy wbiegli do pawilonu i to nie pozwoliło mu ponowić wymierzonego we

mnie ciosu. Wybrał śmierć z własnej ręki.

Cenzor, w powłóczystej szacie haftowanej w jednorożce, otoczony zastępem wachlarzystów, świdrował Xiao lodowatym wzrokiem, podczas gdy bakałarz pocił się z gorąca i strachu. Obiecał sobie, że za tę urągającą duszy zmarłego mnicha leż odpali na Świętej Górze Heng trzykroć po dwanaście petard.

Sprawdził juki i dosiadłszy wierzchowca, ruszył ku tylnej bramie posiadłości. Dziś był pomyślny dzień na rozpoczęcie podróży do domu. Zresztą nikt nie oczekiwał, że bakałarz zostanie na uroczystościach pogrzebowych.

Po wielu dniach zamknięcia opuszczał wreszcie gubernatorski pałac. Swego czasu pragnął odwiedzić wspaniałe Beizhou i zaznać rozkoszy wśród tutejszych wilg i wierzb. Teraz marzył tylko o tym, by mury miasta czym prędzej zostawić za plecami. Torując sobie drogę przez tłum, starał się

myśleć o radości, jaką sprawi ojcu i przodkom swym bakalarskim czepcem, ale nie potrafił. Trapiły go krwawe obrazy. I wspomnienie snów.

Na próżno starał się wyrzucić z pamięci straszne i niezrozumiałe wydarzenia ostatnich dni. Nocami nawiedzał go wciąż ten sam koszmar. W kamforowym lesie stał bulgoczący kocioł. Kłęby pary formowały się w twarze odpływające z wiatrem. Wizje były krótkie, lecz nie pozwalały zasnąć przez resztę nocy. Nigdy nie miał tak plastycznych marzeń sennych. I nigdy więcej nie chciał ich mieć.

Oddalwszy się od murów na dobre dziesięć li, zatrzymał konia i długo patrzył na regularną sylwetkę Błogosławionej Góry. Kiedy ruchliwy trakt opustoszał na dłużej, sięgnął pod chałat i zamaszystym ruchem rozwinął miecz.

Cienkie ostrze załśniło w przedpołudniowym słońcu niczym polerowane srebro.

Nie mogąc nadziwić się mistrzowskiej robocie, kolejny raz przytknął kciuk do podstawy klingi i mocno przycisnął. Ostrze nagle wygięło się z cichym brzękiem. Giętki brzeszczot dawał się zwinąć w rulonik nie większy od pięści. Machnął bronią i klinga na powrót zeszywniała. Uśmiechnął się i schował miecz. Podjął podróż, kalkulując leniwie, ile będzie kosztowało dorobienie zwodniczo niepozornego pasa.

Jeśli pragniecie poznać, czego imał się Xiao Long po powrocie w rodzinne strony oraz jak sobie radził, nie przerywajcie lektury!

Rozdział 5

o tym, jak Xiao Long wziął na swe barki niełatwe zadanie i jak udał się z nim borykać na Świętą Górę

Wypluta pestka stuknęła o brzeg miseczki, odbiła się i zniknęła za krawędzią lakowanego biurka. Xiao skrzywił się na myśl o wstaniu z fotela i obiecawszy sobie, że podniesie pestkę przy najbliższej okazji, sięgnął po następną soloną czerwoną śliwkę.

Jesienny poranek włókł się leniwie. Załatwiona dzięki koneksjom ojca posada pisarza sądowego w Hengshanie, stolicy powiatu, dawała wprawdzie aż nadto czasu na naukę do kolejnego stopnia cesarskich

egzaminów, ale skoro bakalarski czepiec wystarczał do sięgnięcia po tak dobrą synekurę, Xiao nie odczuwał przesadnej skłonności do ksiąg. Wolał delectować się suszonymi śliwkami, gapić na papierowy parawan malowany w żurawie i rozmyślać o Modrym Lotosie.

Kurtyzana też upodobała sobie młodzieńca. Odkąd zaczął odwiedzać dziewczynę, zamykała drzwi przed innymi gośćmi. Sięgnął po kolejny owoc i odchyliwszy się wygodnie, przymknął oczy. Ach, jakież ona ma cudne...

Ze słodkich marzeń wytrącił go gwar na dziedzińcu jamenu. Pan Hu chyba jeszcze nie wrócił? – zaniepokoił się. Stale zaciętej twarzy sędziego nie rozjaśniło nawet przywiezione przez gońca z Ministerstwa Kar pismo o ceremonialnym wręczeniu nowej godności urzędowej. Kiedy Hu wróci, zamiast zajadać śliwki, trzeba będzie od czasu do czasu markować pracę – Xiao był

tego aż nadto świadomy.

Brutalnie wyrwany z rozmyślań westchnął i wyprostował się w fotelu. Stos raportów czekał na przepisanie. Sięgnął po czystą kartkę papieru i roztarłszy tusz, jął szybkimi ruchami pędzelka kopiować ideogramy.

Za ścianą rozległy się kroki. Bakałarz zdrzął, ale zaraz się uspokoił. Jeśli to pan Hu, to w lepszym momencie nie mógł mnie zastać, pomyślał. Gdy zza parawanu ktoś wyszedł i stanął przed biurkiem, młodzieniec nie podniósł wzroku, udając pochłoniętego pracą.

– Panie Xiao! – to był strażnik sądowy.
– Świadkowie zbrodni ośmielają się prosić o wysłuchanie.

Bakałarz znieruchomiał, a potem zapytał niepewnie:

– Czy nie mogą poczekać, aż wróci się-

dzia Hu?

Strażnik ukłonił się.

– Mam ich zatem odprawić?

Xiao odłożył pędzelek. W jamenie nie było nikogo, kto mógłby wysłuchać doniesienia. Sędzia oraz jego zastępca, podsędek Chu, wyjechali do Północnej Stolicy, zostawiając na posterunku tylko pisarza i strażników. W powiecie niewiele się działo, odkąd pan Hu nakazał uświadamiać pententom kijami, że składanie zawiadomień o przestępstwach burzy spokój w Cesarstwie Środka. Ktoś najwidoczniej o tym nie wiedział lub wydarzyło się coś naprawdę poważnego.

– Niech wejdą – westchnął wreszcie i sprzątnął z biurka miseczki.

Po chwili do gabinetu wkolebali się dwaj starcy. Ich szare opończe nosiły ślady zużycia, łysiny pokrywały wątrobiane plamy. Padli na kolana i jęli bić pokłony.

– Z czym przychodzicie? – Xiao od-

chrząknął i od niechcienia wskazał im taborety. Nie skorzystali z oferty, nadal kiwając się na wyłożonej płytkami podłodze.

– Dostojny sędzio! – zaczął jeden. Bakałarz chciał się zachnąć, ale po namyśle zrezygnował. – Wielka jest twoja mądrość i wyrozumiałość. Wybacz nam, prostym ludziom, że ośmielamy się zaprzątać ci głowę. Jednak stała się rzecz straszna.

– Kim jesteście i skąd przybywacie? – zapytał i sięgnął po pędzelek. Zastanawiał się, czy starcy widzieli kiedykolwiek sędziego samodzielnie sporządzającego notatkę.

– Czcigodny panie, jesteśmy ubogimi pielgrzymami. Przybyliśmy na Świętą Górę Heng, by oddać cześć bogom w starożytnych klasztorach. Kiedy dotarliśmy wczoraj do Klasztoru nad Wschodnim Brzegiem Rzeki, oczom naszym ukazał się

straszliwy widok! – Starcem wstrząsnął dreszcz, z wąskich ust pociekła ślina. Xiao skrzywił się i zwrócił do drugiego:

– Cóż takiego ujrzeliście?

– Dostojny sędzio, klasztor, do którego zdążaliśmy, na uboczu jest położony. Zdziwiło nas, że nie słychać dzwonów ani ludzi. Brama była otwarta, a za nią leżał trup furtiana z poderżniętym gardłem!

Xiao wpatrzył się w kleks, który postawił na kartce. Morderstwo? Tu trzeba było sędziego, nie pisarza!

Pierwszy starzec uporał się ze ślinotokiem.

– Czcigodny, w całym klasztorze nie było żywego ducha, choć przecież mieszkają tam dziesiątki mnichów! Dopiero po długim czasie znaleźliśmy w sali modlitewnej drugiego mnicha. Leżał pod ołtarzem. Śmierć zaskoczyła go chyba podczas modłów. Jakże on strasznie wyglądał! Twarz miał wykrzywioną niby w potwor-

nej ręce, dłonie niczym szpony, ciało wygięte, jakby skręcał się z ogromnego bólu...

– ...ale nie miał nigdzie żadnej rany! – wtrącił drugi.

– A pod jednym budynkiem – pierwszy nie dał sobie odebrać głosu – leżało trzech zbrojów tak samo jak ten mnich wykrzywionych!

Bakałarz przebiegł wzrokiem zapisane kartki. Okropna sprawa. Cóż się tam, u lisa, wydarzyło?

– Co było dalej?

– My dwaj zeszliliśmy ze Świętej Góry i dziś rano pojechaliśmy do miasta zawiadomić ciebie, dostojny panie, a reszta pielgrzymów została na miejscu, by o ciała zadbać i klasztoru na pastwę złodziejom nie zostawić.

– Ilu was tam było?

– Dwakroć po siedmiu, panie.

– Czemu zatem tylko wy dwaj przybyliście z doniesieniem? – Xiao uznał, że najwyższy czas zachować się jak prawdziwy sędzia. – Czy myślicie, że na wiarę przyjmę słowa zaledwie dwóch osób nikczemnego stanu?

– Dostojny panie – starcy odezwali się prawie jednocześnie – jakże śmielibyśmy kłamać przed twym obliczem? Przyjechaliśmy, bo tylko my dwaj potrafimy jeszcze dosiąść osła. Jesteśmy zaledwie nędznymi pielgrzymami o powolnych umysłach, ale zlituj się nad nami i przyjmij nasze słowa za prawdę!

Xiao pokiwał głową i dłuższą chwilę udawał, że z uwagą czyta własne notatki. Nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Dotychczas jedynie spisywał to, co padło podczas prowadzonych przez sędziego Hu rozpraw, nie zastanawiając się zbytnio nad ich celem i sensem.

– Hmm... – mruknął, próbując zyskać na czasie. Sprawa była poważna i nagląca, a Hu i Chu wrócić mieli dopiero za kilka dni. Obracał w palcach pędzelek, skakał wzrokiem z jednej kartki na drugą. Wreszcie westchnął. – Zajmę się tym.

Starcy, bijąc czołami o podłogę, zaczęli głośno dziękować. Uciszył ich ruchem ręki.

– To mój urzędowy obowiązek. Każę okulbaczyć konie i zobaczymy na miejscu, jak się sprawy mają. Ale jeśli okaże się, że coś zmyślacie, gorzko pożałujecie!

Pierwszy starzec pokłonił się ponownie.

– Czcigodny sędzio, w swej niezmierzonej dobroci wybacz nam, jeśli uchybimy ci w jakikolwiek sposób, ale zechciej przychylić się do naszej prośby. Jesteśmy już podeszli wiekiem, pielgrzymowaliśmy od wielu dni, dzisiejsza jazda i chłód nas wy-

czerpały, w drodze do klasztoru będziemy cię opóźniać. Czy byłbyś tak łaskawy, by pozwolić nam odsapnąć jakiś czas, nim podejmiemy trud powrotu na Górę?

Bakałarz chwilę rozważał prośbę. Trochę łaski nie zawadzi, pomyślał i przytaknął z powagą.

– Niech tak będzie. Jeśli brak wam pieniędzy na gospodę, możecie skorzystać z tych skromnych pieleszy.

– To aż nadto na nasze znikome potrzeby! – Starcy znów rzucili się bić pokłony.

Zawoławszy sługi, młodzieniec kazał zaprowadzić pielgrzymów do komnat gościnnych. Potem wybrał dwóch rzutkich a barczystych strażników, Chenga i Denga, i kazał przygotować trzy wierzchowce. Niedługo później byli już w drodze. Przed nimi piętrzyła się zamglona sylwetka Świętej Góry Heng.

– Żądacie po prostu za dużo!

Stali przy imponującej bramie, będącej początkiem głównej drogi do serca górskiego pasma. Z pozostałych stron świata dostępu broniły skalne urwiska. Niżej, w centrum wzniesionego nad brzegami Czystej Rzeki miasteczka Nanshan, widać było Świątynię Najwyższej Czystości, choć kontury dachów zacierają się gęstniejąca z każdą chwilą mgła.

Tragarze zaklinali się, że po ostatnich deszczach górskie ścieżki są śliskie, że klasztor położony jest niemożliwie wysoko, wreszcie że dla tak bogatego pana te kilka sznurów monet warte jest tyle, co plwocina, dla nich zaś to jadło na wiele dni. Xiao jednak wciąż kręcił głową. Nie znał się na cenach, podczas żadnej z dorocznych rodzinnych pielgrzymek nie korzystał z lektyk, ale kulisi żądali stanowczo za dużo. Zresztą trochę zbyt późno zorien-

tował się, że w ferworze wyjazdu wziął za mało miedziaków. Wciąż jeszcze mógł wrócić po konie, oddane na przechowanie do pobliskiej gospody, choć nie znał drogi do klasztoru, a wąskie i strome ścieżki groziły upadkiem w przepaść. Mógł też wymienić w mieście sztuki srebra na sznury po sto miedziaków i targować się dalej. Lecz coś mu mówiło, że przeciągające się układy z biedotą szkodzą autorytetowi jamenu. Musiał wreszcie uciąć sprawę.

– Trzy sznury. Więcej dać nie mogę i nie dam!

Tragarze poszeptali chwilę. Wreszcie odezwał się najbardziej wyszczekany, Lu.

– Niech będzie. Tracimy na tym, ale to zaszczyt nieść tak czcigodnych pielgrzymów.

Szóstka krępych i krzepkich mężczyzn uniosła lektyki i podśpiewując, ruszyła w chybotliwą drogę. Bakałarz pamiętał, że sylwetka pierwszego klasztoru, z widoczną

tuż po przejechaniu przez bramę Świątynią Rozkwitającego Lotosu, wzniesioną nad Jeziorem Srebrnej Fali, co roku robiła na nim ogromne wrażenie. Teraz jednak tylko prześlizgnął się wzrokiem po czerwonych murach, wyrastających jakby wprost z lustra wody. Nie dlatego, że mgła przykryła już prawie całe jezioro. Nie dlatego też, że był tu z powodu morderstwa. Głównie dlatego, że wsiadając do lektyki, usłyszał strzęp rozmowy między Dengiem i Chengiem:

– ...pan Hu nigdy by nie zapłacił tym zawszonym wieśniakom...

Mijając pierwszy i największy klasztor, poza który nigdy dotąd się nie wyprawiał, zastanawiał się, czy strażnicy mieli na myśli skapstwo starego sędziego, czy naiwność młodego pisarza.

Xiao zaszczękał zębami i ciaśniej opiął na sobie chałat. Żałował, że nie pomyślał o zabraniu ocieplanych szat. Tragarze przestali już nucić. W miarę wspinaczki robiło się coraz zimniej, krajobraz również przyparował o dreszcze. Spowity mgłą las niewiele miał wspólnego z zadbanymi ogrodami przy świątyniach na dole. Do tego niedawno przeszła tu wichura – dziwne, bo w mieście przez ostatnie dni powietrze było spokojne. Już kilka razy musieli wysiadać z lektyk i o własnych siłach przekraczać obalone sosny. Zewsząd sterczały rozszczepione i połamane pnie.

Nagle rozległ się ludzki głos. Po chwili na ścieżce przed nimi zamajaczyła sylwetka mężczyzny. Wieśniak w szerokim stożkowym kapeluszu prowadził na postronku czarną świnię i pomstował wniebogłosy.

– Czegóż tak złorzeczysz, dobry człowieku? – zagadnął go Xiao, jednocześnie nakazując tragarzom się zatrzymać. Skwa-

pliwie skorzystali z okazji do odpoczynku.

Wieśniak podniósł nieprzytomny wzrok, przyjrzał się szatom rozmówcy, a potem padł twarzą w błoto.

– Szlachetny panie! Nie gniewaj się, że głupimi utyskiwaniami zakłóciłem spokój twych rozmyślań.

– Kim jesteś i skąd w tobie tyle złości?

– Szlachetny panie! Jestem wójtem wioski tu w dolinie. Od dwóch nocy wichry dzikie szaleją po górach, drzewa łamią, straszą zwierzęta. Wczoraj tak wyło w lesie, że świnie chlew rozwalily, córkę mi po drodze stratowały, po okolicy się rozbiegły, ledwo drugą sztukę dotąd znalazłem! Jeśli połowę zwierząt odnajdę, będę świętował.

– Jak się czuje córka?

– Córka? Już pochowana. A miał syn iść świnie karmić, gdyby zginął, nie wiem, co

by się z rodziną stało...

– Obyś wszystkie swe świnie odnalazł.

Xiao klepnął tragarza w ramię. Zostawili wieśniaka z czołem wciśniętym w błoto.

Nie na darmo powiadają: syn w domu – przybytek, córka – smutek i ubytek.

Las rzedniał. Kiedy wydostali się na otwartą przestrzeń, z wyrąbanej w urwisku wąskiej ścieżynki rozpostarł się widok na sterczące pod niebo skały, między którymi unosiły się pasma mgieł. W dole huczała na kaskadach rzeka.

– To Trzej Mnisi. – Tragarz ruchem podbródka wskazał grupę skał daleko na przedzie. Niemal identyczne iglice następowały po sobie niczym idący krok za krokiem pochyleni starcy. Iluzja, spotęgowana mgłą, była niepokojąco wyrazista.

– Jak powstały te skały? – zapytał zdumiony Xiao.

Tragarz potrząsnął głową:

– Nie wiem. Pewnie jakaś boginka usta-
wiła je na przestrożę.

Przez chwilę słychać było tylko szurgot
kroków na kamienistym podłożu i grzmot
wody.

– Daleko do klasztoru?

– Daleko. – Tragarz zacisnął zęby.
Dróżka pięła się wyżej, kamyki zgrzytały i
spadały w przepaść.

*Jeśli chcecie się przekonać, dokąd dotarł Xiao Long i co
został na miejscu, przeczytajcie następny rozdział!*

Rozdział 6

o tym, jak Xiao Long znalazł makabryczne zwłoki i szukał wyjaśnienia zagadki, a także o tym, jak ukazały mu się nowe okoliczności

Czemu przenieśliście tu ciała? Jak ja mam teraz dojść prawdy?

Xiao był zły. Żałował, że nie odprawił rano pielgrzymów, że nie kazał im czekać na powrót sędziego Hu. Stał teraz w wilgotnym ubraniu w ciemnej sali, słuchał mamlających staruchów w cuchnących opończach i spoglądał na pięć trupów, z których tylko jeden trupem był co się zowie.

Widok poskręcanych jak w paroksyzmie straszliwego bólu trzech drabów w czarnych, złodziejskich strojach oraz równie odrażająco zniekształconego łysego mni-

cha w zgniłozielonej opończy mógł rozstroić nerwowo. W takim towarzystwie drugi mnich z masą zakrzepłej krwi pod brodą prezentował się wręcz godziwie i przyzwoicie.

– Dostojny panie, wybacz nam, nędznym pielgrzymom! – Łysy garbus, zwany Yangiem, chyba zgiął się w ukłonie, ale trudno było po nim poznać. – Ten oto mnich tu właśnie padł martwy, a tamci czterej leżeli pod gołym niebem, na deszczu, jakże to ich nie przenieść pod dach? Nie sroż się, czcigodny panie!

– Zaprowadźcie mnie tam, gdzie ich znaleźliście, byle szybko – rzucił Xiao i nie czekając, wyszedł na zewnątrz. Łaknął świeżego powietrza.

Klasztor wzniesiono na łagodnym zboczku, z najważniejszą świątynią, do której poprzez mniejsze świątynie prowadziły

rozsypujące się kamienne schody, u samej góry i pagodą z boku. Xiao spojrział w dół, na obszerny dziedziniec, w centrum którego znajdowała się zdobna studnia, i oto, co ujrzał:

z brązowej kadzielnicy wydobywają się
smużki aromatycznego dymu

na wprost widnieją tyły mniejszej świątyni

drewniane ściany jaśniejają kolorem czerwonej papryki

wywnięte na narożnikach dachy kołają w oczy brudnymi ceramicznymi dachówkami

po bokach dziedzińca kołyszą się lekko sędziwe cyprysy

zza wewnętrznego muru po bokach wyzierają pomniejszych budynki i kwatery mnichów

za murami zewnętrznymi szumi sosnowy las

ponad wierzchołki najwyższych drzew sięga nadgryziona zębem czasu siedmio-

piętrowa pagoda

jej szczyt niknie w ciągnącej ku niewiadomym przestworom mgle

Gdziekolwiek spojrzeł, nic nie wskazywało, by niedawno wydarzyło się tu coś wymagającego interwencji sędziego.

Pielgrzymi wykuśtykali ze świątyni, chwilowo zamienionej na dom pogrzebowy. Za gromadą podążali wyraźnie znużeni Cheng i Deng.

– Furtian leżał przy bramie z podciętym... – zaczął Yang, ale Xiao przerwał:

– Leżał za czy przed bramą?

– No... za bramą.

– Czyli musiał znać napastników, inaczej by ich nie wpuścił...

Garbaty ponownie jakby się uklonił.

– Dostojny panie, w bramie było okienko, mogli ciąć go, gdy je otworzył, by sprawdzić, kto stuka. Albo podszyć się pod

uczciwych pielgrzymów i zaatakować, gdy uchylił bramy w dobrej wierze.

Xiao pokiwał głową, zły, że sam na to nie wpadł.

– A tamci trzej?

– Zaraz dostojnego pana zaprowadzimy, gdzie trzeba. To tajemnicza sprawa!

Ruszyli wzdłuż obrośniętego mchem, chylącego się muru. Po długim – nie z powodu dystansu, lecz tempa narzuconego przez pielgrzymów – marszu ich oczom ukazała się niewielka, samotna świątynia. Okalały ją zdziczałe krzewy, dach porastało zielsko, a z krawędzi otwartych drzwi zwisały poszarpane paski papieru.

– Odkąd tu pielgrzymujemy, a pielgrzymujemy od tuzina z górą lat, nie pamiętamy, by świątynia ta była kiedykolwiek otwarta. – Yang nie wiedzieć czemu zaczął szeptać, czym dodatkowo zdenerwował już i tak poirytowanego Xiao. – Złoczyńcy leżeli tutaj, o, i tam, jakby chcieli uciec

przed śmiercią. – Kostropatą ręką zakreślił łuk. – Nie ruszaliśmy ich narzędzi, żeby dostojny sędzia mógł sam je obejrzeć. – Wskazał metalowe przedmioty w trawie. – Pewnie myśleli, że jak zamknięte, to znaczy, że skarb...

– A co tam jest naprawdę? – Bakałarz spojrzał niepewnie w mroczne wnętrze świątyni. Nawet w tak zimny dzień ze środka wiało chłodem.

Garbus pokręcił głową.

– Nie wiemy. Czekaliśmy na ciebie, dostojny panie.

Xiao przełknął ślinę. Chwilę gorączkowo rozważał, co robić. Wreszcie skinął na strażników.

– Cheng, zerknij do środka, czy potrzeba pochodni. Deng, przyjrzyj się tym porzuconym narzędziom.

A Yanga zapytał:

– Te paski papieru na drzwiach, co one znaczą?

Starzec rozłożył przepraszająco ręce, ale w gromadzie pielgrzymów ktoś zawołał słabym głosem:

– Dostojny sędzio, jeśli raczysz wysłuchać mnie, prostego człeka, rzeknę, co wiem.

Xiao skinął przyzwalająco, pielgrzym postąpił naprzód. Jedynie on miał na czaszce trochę włosów, za to wspierał się na dwu laskach. Jak dostał się aż tutaj, bakałarz nie był w stanie pojąć. Chyba że skorzystał z lektyki, ale to by znaczyło, że ma sporo pieniędzy jak na pielgrzymia i że jak na pielgrzymia dziwnie za nic ma umartwienie.

– Te paski własnoręcznie nałożyli przeorzy wszystkich klasztorów Świętej Góry Heng – powiedział kaleka drżącym głosem. – Noszą one ich pieczęcie.

– Po co je sporządzono? – zaciekawiał się

Xiao.

– Nie wiem, czcigodny panie. Kiedyś tu podszedłem i odczytałem znaki. Jest tam jeszcze ostrzeżenie, żeby pod żadnym pozorem nie otwierać świątyni.

Pisarz pokiwał w zamyśleniu głową. Ostrzeżenie nie zostało rzucone na wiatr, jak udowadniały zwłoki trzech drabów.

– Jest bezpiecznie, pochodni nie trzeba – zawołał Cheng. Xiao podziękował kalece skinieniem i wszedł do świątyni.

W środku było dużo zimniej niż na zewnątrz. Bakalarz miał wręcz wrażenie, że jego wilgotne ubranie za chwilę zacznie chrzęścić lodem. Panował półmrok, ale światła było dość, by wzrok szybko się przyzwyczaił.

– Jedna dziura w podłodze, druga w dachu, panie – mruknął Cheng.

Xiao rozejrzał się, lecz nie dostrzegł ni-

czego poza kurzem i pajęczynami.

– Za ołtarzem – odpowiedział strażnik.

Dopiero teraz bakałarz zwrócił uwagę, skąd pochodzi światło. Poświata dobiegała zza ołtarza, pustego, okrytego tylko czymś, co musiało niegdyś być ozdobną tkaniną. Zachęcony przez Chenga przeszedł do drugiej części świątyni.

Otwór w dachu miał chyba ze dwa łokcie średnicy, w podłodze połowę tego. Obok na posadzce leżała okrągła kamienna płyta, pokryta smoczymi pieczęciami i feniksowymi znakami, a na tylnym ołtarzu stała rzeźba zółwia. W snopie światła padającego z góry snuły się spirale mgły. Biło od nich nieziemskie zimno. Lód na chałacie Xiao nie był już tylko wrażeniem.

Cheng podniósł z podłogi kawałek drewna odpadły z dachu i wrzucił w otwór u ich stóp. Czekali, ale z czeluści nie dobiegł żaden dźwięk. Bakałarz poczuł, jak okrywa się gęsią skórką.

– Pójdę po pielgrzymów – rzucił, szcękając zębami, i wyszedł.

– Zwykle narzędzia włamywaczy, panie – podszedł doń Deng. Bakalarz zamachał na Yanga.

– Chodź tu, starcze, chcę, abyś coś zobaczył.

Pielgrzym zaczął dygotać, ledwo poczuł pierwszy podmuch zimna. Ujrawszy otwór i płytę, pokręcił tylko głową i wyrzeził:

– Dostojny panie, wybacz, jam stary, ciemno tu, nic nie widzę, zimno odbiera mi oddech. Zawołaj kogo młodszego, o lepszych oczach...

– Dobrze, idź już – machnął ręką zniecierpliwiony Xiao. Garbus oddreptał czym prędzej.

Bakalarz długo patrzył w otchłań. Zdawała się idealnie czarna i pozbawiona

ścian. Stracił kolejny kawałek dachówki, ale znów nie rozległ się najdrobniejszy dźwięk.

– Przykryjmy to lepiej, jeszcze ktoś zleci do środka. Albo coś ze środka wyleci – mruknął do Chenga. Kiedy zasunęli ciężką płytę, w świątyni od razu zrobiło się cieplej. Rozejrzeli się po raz ostatni i wyszli.

Obrazy musiały liczyć sobie wiele lat. Xiao z trudem rozpoznał na ściennych malowidłach mnichów w różnobarwnych opończach. Otaczały ich świątynie, pagody i skały, ale to, co robili, trudno było uznać za typowe mnisze zajęcia.

Bakałarz pokonywał kolejne kondygnacje pagody. Co piętro zatrzymywał się i oglądał następne odsłony tej samej historii, by z każdym obrazem nabierać większej pewności.

Mnisi na malowidłach walczyli. Nie z pokusami tego świata. Nie modlitwą i pra-

cą. Walczyli ze sobą, dzierżąc miecze i łuki, włócznie i pałki.

Schody prowadzące na ostatnie piętro były tak wąskie, że ledwo się na nich zmieścił. Kiedy tylko uchylił drzwiczki, w twarz chlusnął mu zimny wiatr. Klasztor zewsząd osłaniały mury i las, ale wierzchołek pagody wystawiony był na pastwę żywiołów.

Pokonując napór pędzącego powietrza, przecisnął się na galeryjkę. Przy pięknej pogodzie roztaczać się stąd musiał rozległy widok. Xiao zmrużył oczy i patrzył na dziwką galopadę mgieł, pośród których mignęła czasem samotna turnia, lesisty szczyt czy pagoda.

Tak, pagoda. Trwało to ułamek chwili, ale bakałarz był pewien, że się nie mylił. Utkwił wzrok tam, gdzie w ulotnym prześwicie dostrzegł był budowlę. Jego cierpli-

wość została wreszcie wynagrodzona.

Pagoda stała blisko, bardzo blisko. Jak to się stało, że nie widział jej w drodze do klasztoru? Wystarczyłoby przecież, by mgła na moment zrzędła. Miał już schodzić, kiedy budowla mignęła ponownie i mógłby przysiąc, że na galeryjkach stoją ludzie.

Biały tuman gęstniał, zimny wiatr z ła-twością przenikał przez wilgotny chałat. Xiao poniechał dalszych obserwacji i zszedł z powrotem. Na dole zoczył przechodzącego nieopodal pielgrzyma.

– Hej, starcze, podejdź no tutaj – zawo-łał.

Zapytany chyba nie dosłyszał, bakałarz musiał się więc pofatygować doń osobi-ście.

– Nie słyszałeś? Wołałem! – Złapał im-pertynenta za ramię, lecz wyraz autentycz-nego zaskoczenia na jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości. Starzec musiał być

głuchy jak pień.

Dopiero obok głównej świątyni bakałarz wpadł na grupę pielgrzymów z Yangiem na czele.

– Co to za klasztor niedaleko? Dlaczego nie szukaliście tam pomocy? Dlaczego nikt mnie o nim nie powiadomił? – zarzucił starców pytaniami.

Garbus łypnął okiem.

– Daruj nam, czcigodny, ale dla nas tamten klasztor nie istnieje.

Xiao potrząsnął głową.

– Co rzekłeś?

Yang kaszlnął, splunął na ziemię i odpowiedział:

– Nie istnieje. Nie wiemy, dlaczego tak jest, ale kto pielgrzymuje do tego klasztoru, unika tamtego, a kto pielgrzymuje do tamtego, unika tego. Tak było, odkąd pamiętamy. Wiemy tylko, że nazywa się

Klasztorem nad Zachodnim Brzegiem Rzeki.

Bakałarz nagle poczuł, że chce stąd odejść, uciec czym prędzej, wrócić do miasta, do nudnego gabinetu i miseczki suszonych śliwek, a wieczorem zasnąć spocony w ramionach kurtyzany. Co ja tu w ogóle robię? Niech mnie lisy porwą, jeśli wiem, co się tu dzieje! – pomyślał w rozpacz.

W tej chwili słabości zastali go Cheng z Dengiem.

– Przeszukaliśmy każde pomieszczenie – zameldowali. – Mnisi rzeczywiście znikli bez śladu, zostawiając wszystko na miejscu.

– Dostojny panie – w głosie Yanga słychać było niecierpliwość – w swej niezmiernej dobroci pozwól nam już się oddalić.

– Dokąd? – głos Xiao zdradzał, że było mu już wszystko jedno.

– By dopełnić pielgrzymki, trzeba nam

odwiedzić jeszcze wiele tutejszych świątyń. Skoro nad tym klasztorem pieczę ma już urząd sędziowski, radzi bylibyśmy móc ruszyć w drogę.

– Idźcie. Niechaj wasza droga z wiatrem wiedzie.

Starcy pokłonili się trzykrotnie i oddali. Już znikali za załomem muru, gdy Xiao zawołał za nimi:

– A do jakiego klasztoru się udajecie?

– Niebiańskiego Tygrysa – ktoś odkrzyknął z oddali.

– Nie opuszczajcie go przez tydzień, mogę was jeszcze potrzebować – dodał słabym głosem, jakby sądząc, że i tak go nie usłyszą.

Cheng i Deng przyglądali się bakałarzowi badawczo. Stare wygi, pomyślał. Służą sędziemu Hu już kilka lat, niechybnie mnie z nim porównują.

– Co z ciałami? – zapytał Deng.

– Co z klasztorem? – dodał Cheng.

Pisarz z trudem powstrzymał jęk. Skoro pielgrzymi odjechali, to spadały nań nowe zadania. Zadania, których za nic nie chciał wziąć na swe barki. Ale wciąż mógł zachować twarz. Wiedział przecież o czymś, o czym strażnicy nie wiedzieli. Wykrzesał z siebie resztkę sił.

– Tym zajmą się mnisi z sąsiedniego klasztoru – powiedział z nieźle udaną pewnością siebie.

Mężczyźni skinęli rzeczowo, choć przez ich twarze przemknęło zaskoczenie. To wystarczyło, by w Xiao wstąpiły nowe siły.

– Wracajmy do tragarzy. To blisko, ale szkoda nóg – rzucił i ruszył ku bramie.

Jeśli ciekawi Was, co czekało Xiao Longa w sąsiednim klasztorze, przeczytajcie następny rozdział!

Rozdział 7

o tym, jak Xiao Long zadawał pytania, ale nie usłyszał odpowiedzi

Jestem bakałarz Xiao Long. Przybywam z jamenu w Hengshanie. Oczekuję udzielenia mi wszelkiej pomocy, jaką uznam za konieczną.

Xiao już w lektyce zrozumiał, dlaczego po drodze nie widzieli pagody. Klasztor nad Zachodnim Brzegiem Rzeki znajdował się za Klasztorem nad Wschodnim Brzegiem Rzeki, przez co dla osób wjeżdżających główną bramą do tego drugiego był niewidoczny. Dopiero gdy w bród pokonywali rzeczkę dzielącą oba zgromadzenia, z mgły wynurzyła się pagoda i szare mury.

Mnisi w jaskrawopomarańczowych

opończach pokłonili się nisko. Najwyższy i najchudszy z nich, który przybył do bramy zawołany przez furtiana, pokłonił się nisko, w całej okazałości prezentując głębokie blizny na łysinie po umartwianiu się palonym węglem drzewnym.

– Jestem Najwyższym Kapłanem Klasztoru nad Zachodnim Brzegiem Rzeki – wyszczerzył w uśmiechu krzywe i pożółkłe zęby – Witaj w naszych jakże skromnych progach, dostojny sędzio! Czym zasłużyliśmy sobie na wizytę cesarskiego urzędnika? Wnet przygotujemy poczęstunek i ugościmy cię zgodnie z twym majestatem.

Ujęty tak wylewną gościnnością, Xiao poczuł się nieswojo.

– Gwoli sprostowania, nie jestem sędzią, a zaledwie pisarzem sądowym. Moi zwierzchnicy wyjechali do stolicy, więc uznawszy, że sprawa nie cierpi zwłoki, postanowiłem się nią zająć...

Zmianę nastroju dało się zauważyć od razu. Ukłony z głębokich nagle stały się płytkie, uśmiech Najwyższego Kapłana zbladł.

– Zapraszamy w nasze skromne progi – powtórzył mnich, ale już znacznie chłodniej.

Postąpili w głąb dziedzińca. Wzniesione z kamienia mury otaczały kwadratowy zespół budowli położonych na płaskim terenie. Inaczej niż w Klasztorze nad Wschodnim Brzegiem Rzeki, nie było tu jednego ciągu świątyń. Budynki o bordowych ścianach i zielonych glazurowanych dachówkach otaczały położoną centralnie pagodę, stanowiącą zarazem główną świątynię.

Poprowadzonej do obszernej sali gościnniej trójce przybyszów wskazano trzcinowe maty na podłodze i podano postne dania. Bakalarz, który nagle uświadomił sobie,

jak jest głodny, nawet nie poczuł, kiedy w jego żołądku wylądowało gotowane proso z liśćmi bliżej nieokreślonej rośliny. Niepokrzepiony przedstawił Kapłanowi sytuację i głęboko przejętego poprosił o widzenie z przeorem.

Mnich ze smutkiem pokręcił głową, skromnie wbijając wzrok w ziemię.

– Świątobliwy przeor więcej lat sobie liczy niż was trzech razem. Rzadko uczestniczy w życiu klasztoru. W południe odprawił Modły Początków Zimy, jest bardzo wyczerpany. Obawiam się, że widzenie z wami jest dziś już ponad jego siły.

– Ktoś jednak musi zatroszczyć się o ciała zmarłych, o mienie klasztoru! – oponował Xiao.

– Ależ to jasne. Mam na tyle władzy, że mogę wysłać braci po ciała i do ochrony klasztoru. Do tego nie trzeba niepokoić przeora.

– Naprawdę nic nie zwróciło waszej

uwagi? Nie słyszeliście krzyków, bicia w dzwony?

– Nie. To spokojna, odludna okolica. Gdyby coś się działo, na pewno byśmy zauważyli.

– A jednak coś się stało. – Bakalarzowi zaczęło brakować tytułu sędziego. I idącej z nim w parze usłużności rozmówców. Zwłaszcza tak nikczemnego stanu.

– Być może pielgrzymi nie powiedzieli całej prawdy.

Xiao zadumał się. Dotąd nie wątpił w słowa starców, ale historia była rzeczywiście tak tajemnicza, że najłatwiej było założyć czyjeś kłamstwo. Albo zatajenie prawdy.

– Skąd animozja między klasztorami po obu stronach rzeki? – zapytał nagle.

Kapłan pierwszy raz od dłuższej chwili spojrzał wprost na młodzieńca.

– Animozja? Nie rozumiem.

– Pielgrzymi powiedzieli, że odkąd pamiętają, muszą wybierać między modłami w tamtym a w waszym klasztorze. Stąd wnoszę, że jest między obu zgromadzeniami jakiś konflikt.

Mnich westchnął.

– Nie ma i nie było żadnego konfliktu. Jest za to dowód prawdomówności pielgrzymów. Jeśli raz skłamacz, skąd pewność, że nie zełgali wszystkiego?

Xiao głośno zaburczało w brzuchu. Kapłan uśmiechnął się pierwszy raz od spotkania przy bramie.

– Nam, mnichom, przysługują tylko dwa posiłki dziennie, lecz dla gości możemy zrobić wyjątek.

Wyszedł, by już nie wrócić. Po chwili w sali pojawił się nowicjusz z trzema miskami prosa. Mimo głodu każdy kęs rósł Xiao w ustach.

*Jeśli frapuje was, jak spało się tak nakarmionemu Xiao,
nie odkładajcie książki!*

Rozdział 8

o tym, jak niezrozumiały sen i nieznajomy mnich dają Xiao Longowi wskazówki

*Trzy twarze wpatrują się w niewidocz-
nego rozmówcę; ogromne, wykrzywione
usta otwierają się łapczywie, odslaniając
zepsute zęby; oczy błyszczą jak w gorączce
palącej duszę żądzą posiadania; uszy nad-
stawiają się chciwie, by nie uronić żadne-
go słowa...*

Gdyby Xiao spał na podwyższeniu, spadłby na podłogę, tłukąc się solidnie. Na szczęście tylko sturlał się z maty na brudne deski. Dłuższą chwilę próbował ustalić, gdzie się znajduje. W skąpym świetle padającym przez okno z natłuszczonego papieru dojrzał wreszcie ołtarzyk przy

drzwiach.

Mnisza cela liczyła cztery na pięć kroków. Uszczelnione gliną belki ścian słabo chroniły przed przenikliwym wiatrem. Schwytany w szpony sennego koszmaru bakałarz nie czuł zimna. Teraz miał wrażenie, że perlący mu się na czole pot wnet zacznie zamarzać.

Wstał i okrywszy się kocem, poczłapał obolały do miski z wodą, w której próbował się poprzedniego dnia umyć. Przebił palcami warstewkę lodu i zwilżył piekące powieki, starając się wymazać z pamięci natrętne obrazy.

Twarze ze snu należały do drabów, którzy włamali się do zapieczętowanej świątyni.

Odsunął nogą kawałek deski w kącie i przykucnął nad otworem, pod którym na całej długości budynku ciągnęła się klo-

aka. Przymrozek miał swe dobre strony.

Wyszedł z celi jednocześnie z biciem dzwonu. Przez drzwi krzyknął Chengowi i Dengowi, żeby rozejrzeli się w terenie, i zszedł po drabinie na dziedziniec.

Obejście całego obszaru nie zajęło wiele czasu. Klasztor, choć spory, był dużo mniejszy od Świątyni Rozkwitającego Lotusu, którą Xiao zdążył od małego poznać jak własny rękaw. Ale o ile tam mnisi rozpływali się w uśmiechach i służyli odwiedzającym wszelką pomocą, to tutaj przemykali z kamiennymi twarzami, nie zauważając bakałarza. Przez chwilę zastanawiał się, czy ofiara na klasztor coś by zmieniła. Po namyśle sięgnął po wyłożone na użytek pielgrzymów trociczki. Obok stał wysoki dzban na zapłatę, lecz Xiao tylko zamarkował, że coś tam wrzuca, i zapalił je przed główną świątynią. Na nic więcej klasztor, zwłaszcza tak nieprzyjazny, nie zasługiwał.

Poza okazywaną pisarzowi sądowemu obojętnością mnisi zachowywali się zupełnie zwyczajnie. Wreszcie udał się znudzony do sali jadalnej, gdzie kilka osób dojadło już ryżową na liściach. Chwilę stał w progu, nie mogąc zdecydować się, czy wejść, kiedy nieoczekiwanie jeden z mnichów postawił na najbliższej ławie pełną miskę i uprzejmym gestem zachęcił gościa do jedzenia.

Zupa zdążyła już przestygnąć – jeśli w ogóle kiedykolwiek była gorąca – lecz wygłodniały Xiao i tak pochłonął ją błyskawicznie. Gdy odstawiał naczynie na ławę, wyczuł pod palcami przyklejony do miski skrawek papieru. Widniały na nim pośpiesznie skreślone ideogramy:

SPOTKANIE W OGRODZIE WARZYWNYM

Bakałarza przeszył dreszcz. Przyszedł czas na tajne wiadomości? W co ja się wmieszałem, pomyślał. Przez chwilę walczył z chęcią odszukania tragarzy i ucieczki lektyką do świata, gdzie jedyną zagadką jest przygotowany przez Modry Lotos repertuar uciech na najbliższy wieczór. Poczucie obowiązku zwyciężyło, ale jakoś nie cieszył się tym zwycięstwem.

Schował papier do rękawa i wyszedł jak gdyby nigdy nic. Podczas porannej przechadzki zahaczył był o ogród warzywny, lecz zadowolił się wówczas tylko rzutem oka na puste i ponure pole, okolone drzewkami owocowymi. Teraz miał tam zabawić dłużej.

Przymrozek jeszcze trzymał, ale w miarę jak słońce wędrowało coraz wyżej, wzmagala się woń ludzkiego nawozu. Xiao czuł, że nie wytrzyma długo. Kiedy usłyszał kroki, doznał ulgi, zmieszanej jednak z niepokojem.

To był mnich, który podał mu był zupeł. Zamiast uśmiechu miał teraz na twarzy trudny do nazwania grymas. Złapał bakalarka za ramię i pociągnął za drzewa, pod mur.

– W jaskini obok Wodospadu Grubej Małpy mieszka pustelnik – syknął. – Wiele lat był przeorem Klasztoru nad Wschodnim Brzegiem Rzeki. On wszystko wie, on ci wszystko wyjaśni. Ze mną nigdy nie rozmawiałeś. – Po raz ostatni prysnął śliną w ucho pisarza, odwrócił się i oddalił szybkim krokiem.

Xiao dopiero po dłuższej chwili opuścił ogród. Rozmarzające błoto przyklejało się do butów. Dawno nie miał takiej ochoty na mocne wino. Ani takiej pewności, że w promieniu wielu li nie znajdzie nawet kropelki. Przeklęte łyse osły!

Deng napatoczył się w samą porę. Pisarz

kazał mu odnaleźć Chenga i tragarzy, a sam udał się do Najwyższego Kapłana. Zgodnie z przewidywaniami znalazł go w głównej świątyni. Nie tylko zresztą jego. Bakalarz miał mieszane uczucia, widząc, jak jego miedziaki uchodzą z dymem i hukem petard, odpalanych całymi pękami przez tragarzy.

– Oby dzisiejszy dzień był dla ciebie pomyslny. – Sprowadzony z wyższych pięter pagody przez zaczepionego mnicha Kapłan lekko zgiął się w pokłonie.

– Jak i dla ciebie – odklonił się Xiao i od razu przeszedł do rzeczy: – Wyjeżdżam. Niech przeor się nie oddala, bowiem ja lub sędzia Hu możemy mieć doń pytania.

– Przeor nigdzie się nie oddali, za to mogę ręczyć. – Łysy mężczyzna skinął głową. – Pozostaje mi zatem życzyć postępów w dążeniu do prawdy.

– Poczynię je niechybnie. – Bakalarz zacisnął szczęki. I niczego nie pragnął w tej

chwili bardziej, niż dotrzymać słowa.

Jeśli chcecie poznać postępy, jakie poczynił Xiao Long, i przekonać się, co zastał w pustelni, sięgnijcie po następny rozdział.

Rozdział 9

w którym Xiao Long szuka odpowiedzi u pustelnika, a znajduje ukojenie w gorzałce

Panie Xiao – szepnął Deng – proszę wybaczyć, ale czy te psy nie dostały za dużo?

Pisarz nie musiał podążać za wzrokiem strażnika, by wiedzieć, o kogo chodzi. Popasali w skalnych wnękach Przesmyku Kamiennej Tablicy, w połowie drogi do pustelni. W niszy naprzeciwko tragarze zażywali odpoczynku po słusznym posiłku. Xiao podejrzewał, że musieli wybłagać strawę od mnichów, bo wcześniej nie widział u nich takich sakw.

– Inaczej by nas tu nie zanieśli – odmruknął.

Kiedy kulisi usłyszeli, że mają iść do Wodospadu Grubej Mały po drugiej stro-

nie górskiego pasma, zażądali dodatkowej zapłaty. Młodzieniec uległ szantażowi i cały czas zastanawiał się, czy postąpił właściwie.

– Ale te nędzne worki flaków już i tak się obłowiły! – syknął Deng. – Powinni nieść nas za ćwierć tego, co dostali, jeśli nie za darmo!

Bakałarz zagryzł wargi.

– Możesz donieść panu Hu, jak marnuje urzędowe pieniądze.

Od razu pożałował swych słów. Deng skłonił się i odszedł, ale widać było, że poczuł się urażony. Xiao zazgrzytał zębami. Już drugi dzień czuł się jak krucha dżonka unoszona rzeczonym prądem w nieznaną, a teraz jeszcze miał przeciwko sobie strażników. Pogratulować.

Powodowany nagłym impulsem podszedł do tragarzy.

– Możemy już ruszać? Pogoda coraz bardziej się pogarsza.

Lu beknął i wciągnawszy chrapliwie flegmę nosem, splunął obficie na kamienie.

– Jeszcze chwila, przed nami stromizny, musimy odpocząć.

– Jeśli złapie nas deszcz, na nic wam ta chwila nie przyjdzie. Zbierać się, ale już!

Ostry ton Xiao zaskoczył tragarzy, lecz i jego samego. Mężczyźni, ociągając się, wstali i położyli oparte o skałę lektyki na ziemi. Bakalarz bez zwłoki wsiadł do swojej, zastanawiając się, czy na najbliższym urwisku nie wyląduje w przepaści. Zbyt wiele pieniędzy mogę im jeszcze dać, pochrzepił się w myślach.

U wylotu przesmyku oczom wędrowców ukazała się rzeczona Kamienna Tablica. Wysoko w skalnej ścianie wykuto przed laty pionowy prostokąt, by wyryć na nim niegdyś pomalowane na czerwono, a

dziś zbrązowiałe ze starości ideogramy
głoszące wszem wobec:

PRZESMYK
KAMIENNEJ TABLICY.

Ledwo opuścili skalne schronienie, w twarze uderzył im wiatr. Pędzące pasma mgły niosły ze sobą wilgoć. Xiao wciąż nie mógł przywyknąć do chłodu namokłej odzieży. Miał nadzieję, że u pustelnika będzie można rozniecić ogień i osuszyć się.

Na chwilę osłoniła ich gęsta kępa krzewów, ale zaraz znowu wyszli na otwartą przestrzeń. W trwającym jedno mgnienie oka prześwicie między kłębami mlecznego tumanu Xiao dojrzał jaśniejszą linię ścieżki pnącej się stromo ku nagiej grani. Wtulił szyję w wyłogi chałatu i naciągnął na uszy czepiec. Nie pomogło.

Cheng pierwszy znalazł pustelnię dawnego przeora. Wodospad Grubej Małpy i kaskady poniżej rozcinały na dwie części labirynt skalny pełen grot i wnęk. Choć łatwo było tu o zgubienie drogi, rozdzielili się, by w jak najkrótszym czasie przeszkącić jak największy obszar. Teraz wszyscy ruszyli tam, skąd dochodziły nawoływania Chenga.

Przy wejściu do jaskini kisiła się kupa zgniłych warzyw. W długim i wąskim wnętrzu panował przenikliwy chłód, unosił się smród choroby i wydaliny. Wąty starzec leżał na niegdysiejszej macie z bambusa, a teraz już tylko płataninie szerniałych pacyczków. Poza matę, paleniskiem, stosem drewna i kilkoma narzędziami rolniczymi w pustelni nie było żadnych sprzętów.

– Mniczu! Słyszysz mnie?

Starzec zrazu nie zareagował na głos Xiao. Dopiero poklepany po zapadniętym

policzku otworzył oczy. Bakałarz przedstawił się i zapytał o zdrowie, lecz nie usłyszał odpowiedzi. Pustelnik patrzył tylko i powoli mrugał oczyma. W pewnej chwili chciał unieść rękę, ale opadła bezwładnie.

– Trzeba by go jakoś wzmocnić, bo ledwo zipie – mruknął Xiao do Chenga. – Mamy coś do jedzenia?

– Zostało mi trochę ryżu w liściach bambusa, ale zimny jest, twardy, stary nie przełknie. Może tragarze coś mają? – Strażnik oddalił się, a bakałarz począł zachodzić w głowę, dlaczego nie wziął dla siebie żadnej strawy. Obraz taniej i obfitej kuchni serwowanej pielgrzymom w Klasztorze Rozkwitającego Lotosu utkwił mu był chyba zbyt głęboko w pamięci.

Kulisi mieli do zaoferowania już tylko placki ze słoniną, równie zimne, co nadpsute. Pisarz kazał rozpalić ognisko i nago-

tować wody, a sam przykucnął pod ścianą i potarł zawiane ucho. Starzec cały czas obserwował ich z maty, lecz nadal milczał.

Kiedy zupa z ryżowych zawijańców Chenga zaczęła bulgotać, a w grocie zrobiło się cieplej, pustelnik nieco się ożywił. Powiedzieć, że po kilku łykach polewki tryskał wigorem, byłoby przesadą, ale nabrał na tyle sił, że wyciągniętym z maty patyczkiem nagryzmolił na glinie kilka znaków.

– „Nie mogę mówić, trzeba mi ziół” – odcyfrował z trudem Xiao i westchnął: – Jakich ziół? Skąd tu wziąć medyka?

– Panie, niedaleko jest Wioska Krzywej Skały – odezwał się jeden z tragarzy – Mieszka tam pewien zielarz, najlepszy w całym powiecie.

– Mnich podróży może nie przetrzymać – mruknął bakałarz. – Dacie radę sprowadzić tu tego zielarza jeszcze dziś?

Mężczyzna się stropił.

– W tym właśnie szkopał, że ów zielarz starszy jest chyba nawet od tego tu mnicha. Też może nie przetrzymać podróży. – Rozłożył bezradnie ręce.

Xiao byłby jęknął, gdyby nie dziewięć par oczu wpatrujących się weń wyczekująco. To do niego należała decyzja. Zrobią, co każe. Ale nie wiedział, co postanowić.

– Nagotujcie jeszcze wody. Musimy się rozgrzać i posilić – powiedział wreszcie. Czyjeś usta od razu zaczęły dmuchać na żarzące się drwa, ktoś poszedł z kociołkiem po wodę, ktoś inny wyciągnął z sakwy placki. Xiao przycupnął w mrocznym kącie i ukrył twarz w dłoniach.

Pustelnik stęknął głośno. Sam w sobie byłby to może pomyślny znak, dający nadzieję, że starcowi wraca mowa, ale w tych okolicznościach nie napawał otuchą. Scho-

dzili oto stromą ścieżką przez gęsty las ku wiosce, a każdy gwałtowniejszy ruch lektyki wyrywał jęk z ust mnicha. Wbrew słowom tragarza wioska leżała daleko. Oby nie zbyt daleko dla pustelnika.

Na częstych postojach Deng i Cheng wymieniali się miejscem w lektyce, a Xiao próbował nawiązać kontakt z chorym. Bezskutecznie. Starzec nie otwierał już oczu, sprawiał wrażenie, jak gdyby osuwał się coraz głębiej w bezprzytomność. Bakałarz nieustannie prosił wszystkich bogów Niebios, by tuż za następnym zakrętem postawili pierwsze zabudowania wioski. Wreszcie jego modły zostały wysłuchane.

Osada rozpościerała się od wapiennych skał po jednej stronie do brzegu rzeki po drugiej. Biedne drewniane domostwa przylegały do siebie, tworząc krzyżujące się ciągi. Nad trzcinowe strzechy wybijała się kryta gontem świątynka.

Chłop obarczony pełnymi ryb nosidłami

skierował ich do chaty medyka. Kiedy jednak zatrzymali się pod wskazanym domem, na spotkanie gościom wyszedł nie zgarbiony starzec, a energiczny młodzik.

– Dziad mój niedomaga, od dawna nikt go już nie leczy. Płyńcie do Nanshan szukać pomocy.

Sztuka srebra z rękawa bakałarza okazała się bardziej stanowcza niż owo „nikogo”. Niedługo potem w zagraconej i ciemnej chacie legli obok siebie dwaj starcy i jęli pojękiwać w duecie.

Wnuk uzdrowiciela długo badał tętno przeora.

– Co z nim? – zapytał sceptycznie Xiao. Nie ufał zbyt wiele umiejętnościom młodzika.

– Stary jest. Można go podleczyć, ale długo nie przetrzyma. Wnet spotkają się z moim dziadem na złotym moście w drodze do następnych wcieleń... – zadumał się za-

pytany.

– Lub na srebrnym moście w drodze do Niebios – dopowiedział bakałarz.

Wnuk uzdrowiciela skinął głową. Chwilę milczeli.

– Muszę z nim porozmawiać – przerwał ciszę Xiao. – To bardzo ważne. Napisał wcześniej, że zioła mogą przywrócić mu mowę.

Młodzik długo przeglądał baterię nalewek na ścianie chaty.

– Być może da się coś zrobić. Trzy sztuki srebra za surowce i dwie za pracę. Płatne z góry. Proszę przyjść jutro.

– Jutro? – westchnął Xiao; na wysokość zapłaty nie miał już siły narzekać. Milcząc, odliczył pieniądze. Młodzik chwilę przyglądał się bakałarzowi badawczo, a potem zdjął z półki gliniany dzbanuszek.

– Pomoże i na ból ucha, i na wyczerpanie umysłowe.

– Ile?

– To darmowa próbka. Jutro kupisz, panie, dwa duże dzbany, zareczam.

Xiao wziął, podziękował i wyszedł. Dzbanuszek ziołowej gorzałki wychylił zaraz za progiem. Mało nie rymnął jak długi na ziemię, ale zdzierzył i po niejakiem czasie był w stanie zrobić parę kroków.

– Zdążymy z powrotem do klasztoru przed zmrokiem? – wychrypiał do rozciągniętych na trawie tragarzy.

W oczach mężczyzn błysnęła żądza mordy.

– Panie, w ciągu tych dwóch dni przeszliśmy tyle, co zwykle przez tydzień! Musimy odpocząć!

– Zarobiliście też tyle, ile przez tydzień, albo i więcej. A zarobicie drugie tyle, jeśli dowieziecie nas do klasztoru przed zmrokiem.

Było widać, jak w tragarzach zmęczenie

walczy z chciwością. Wreszcie Lu mruknął: „Zobaczmy, popytamy” i cała szóstka zniknęła między nędznymi zabudowaniami.

Xiao poczuł, jak dopada go zmęczenie. Uwalił się w lektyce i ukołyszany ciszą pograżył w drzemce.

Do rzeczywistości przywrócił go zapach gotowanego mięsa. Uniósł powieki i zobaczył przed sobą parującą psią nogę.

– Kupiłem od jednej baby – wyszczerzył się Cheng.

Bakałarz łapczywie wgryzł się w gorące mięso. Kiedy tragarze wrócili, wyrzucali właśnie oskrobane do czysta kości w krzaki.

– Jest krótsza droga. Spłyniemy łodzią po Czystej Rzece aż do Kaskad Przyczajonego Żółwia. Stamtąd do klasztoru prowadzi stara ścieżka, powinniśmy zdążyć przed zmrokiem.

Rozgrzany posiłkiem lubo gorzałką

Xiao skwapliwie pokiwał głową. Niebawem stanęli nad mętным i wezbranym nurtem. Łodzie już na nich czekały. Wprawdzie rękaw pisarza zelżał o następne sztuki srebra, ale rozpierała go pewność siebie. Czuł, że będzie potrafił zmusić Najwyższego Kapłana do zorganizowania spotkania z przeorem. A potem wszystko się wyjaśni.

Jeśli chcecie wiedzieć, jak wyglądała podróż powrotna Xiao Longa oraz co się okazało podczas rozmowy z przeorem, zajrzyjcie do kolejnego rozdziału.

Rozdział 10

o tym, co się Xiao Longowi przyśniło, i o tym, jak przechytrzył Najwyższego Kapłana

Zastrzyk energii, jakim był dla tragarzy błysk srebra, nie wystarczył na długo. Gdy na którymś z kolei wzniesieniu lektyka z Dengiem mało nie spadła kilkaset kroków ze zbocza, Xiao zdecydował, że strażnicy pójdą pieszo, a kulisi wymieniać się będą przy jego lektyce. Kiedy jednak w narastających ciemnościach jeden z niosących upadł, tłukąc kolano, i bakałarz postanowił skorzystać z własnych nóg.

Wyczerpani dotarli wreszcie do znajomego kamiennego muru. Furtian wpuścił ich bez słowa. Najwyższy Kapłan nie wydawał się zaskoczony widokiem pisarza

sądowego.

– Witam ponownie w naszym skromnym klasztorze. Czemu zawdzięczamy kolejną wizytę? – spytał z uprzedzającym uśmiechem, wychodząc z głównej świątyni.

Xiao zdążył już stracić poprzednią pewność siebie, ale nadal chciał zrealizować to, co sobie postanowił.

– Trzeba mi widzieć się z przeorem. Najlepiej jeszcze dzisiaj – rzekł najmocniejszym głosem, na jaki było go stać.

Kapłan pokręcił ze smutkiem głową.

– Niestety, przeor jest niezwykle słaby. Obawiam się, że nękanie go rozmową będzie wykluczone co najmniej przez kilka dni, jeśli nie...

– To nie jest kwestia do dyskusji, Kapłanie – przerwał bakałarz. Udawany smutek mnicha rozdrażnił go naraz bardziej niż

protekcjonalna grzeczność. – Stoi za mną autorytet władz powiatu. Jeśli będziecie utrudniać śledztwo, jamen unieważni wasze pięciokolorowe świadectwa, a klasztor zostanie zdelegalizowany.

W czerwonym świetle lampionów pobladły nagle Kapłan wyglądał jak zjawa. Chwilę przetrwał w milczeniu słowa Xiao, by wreszcie wycedzić przez zaciśnięte zęby:

– Skoro tak, zorganizuję spotkanie. Proszę tylko o czas do jutra rana. Przeor już śpi i nieoczekiwanie teraz obudzony nie będzie w stanie prowadzić rozmowy.

Bakałarz przytaknął łaskawie.

– Będę czekał w tej samej kwaterze, co ostatnio. I obym nie czekał zbyt długo – dodał z bijącym sercem. Kapłan pochylił głowę, lecz przez twarz przebiegł mu dziwny grymas, ni to niepokoju, ni to determinacji.

Do skromnej celi chyba nikt dotąd nie

zajrzał, bo w misce stała ta sama woda, a koc leżał pomięty tam, gdzie padł rzucony rano. Młodzieniec nabrał świeżej wody z cebra na korytarzu i oszukawszy burczący brzuch kilkoma łykami, walnął się na posłanie.

Pomimo zmęczenia sen nie przychodził. Xiao leżał skulony na macie, patrzył w ciemność i badał swe odczucia. Wreszcie musiał przyznać przed samym sobą, że mimo strachu czeka na wizje senne. Rozstrajały go nerwowo, ale nie mógł dłużej udawać, że są przypadkowe. Chyba pójdę do jakiegoś wróżbity, pomyślał. Niech wyjaśni, skąd mi się to bierze. Umościł się jak mógł najwygodniej i zamknął oczy.

Resztki jedzenia w okalającym usta zaróście, ropiejąca blizna na policzku, czoło upstrzone krostami, przekrwione oczy...

Trzy pary oczu... A w nich zarys rozmówcy. To jego tak chciwie słuchają, to jemu tak skwapliwie przytakują. Bliżej, bliżej... Mroczna sylwetka jaśnieje, oko mruga, zachodzi warstewką wilgoci, sylwetka nabiera kolorów... Pomarańczowa opończa.

Xiao obudził się, kaszląc ciężko. Paliło go w piersiach, gardło miał opuchnięte. Mróz ścisnął bardziej niż ostatniej nocy. Wygramolił się spod koca i długo odkaszliwał do otworu kloaczego.

Klasztor pokryty był szronem. Cienkie buty, nadwyreżone już wszechobecną wilgocią, chłoneły wodę niczym bibuła. Zziębnięty bakałarz poczuł się lepiej, dopiero kiedy w jadalni dostał słabej, lecz gorącej herbaty. Siedząc na ławie, na próżno rozglądał się za mnichem z ogrodu warzywnego. Tak zastał go Cheng.

– Panie Xiao, Kapłan polecił przekazać, że przeor wzywa.

Myślałby kto, że to on chce się ze mną widzieć, a nie odwrotnie, pomyślał bakałarz, bez zwłoki podążył jednak za strażnikiem.

Kwatera przeora mieściła się w niepozornym budynku z dala od centrum klasztoru. W progu stał Najwyższy Kapłan. Widząc, że nadchodzą, gestem zaprosił ich do środka i bez słowa zniknął we wnętrzu.

Przeor siedział ze skrzyżowanymi nogami na podwyższeniu. Odziany był w pozbawioną ozdób ciemną szatę, jedynie na głowie nosił pomarańczowy czepiec. Rządka biała broda spływała mu aż do pasa. Nie poruszył się, kiedy weszli. W sieci zmarszczek znaczących sędziwą twarz trudno było poznać, czy ma otwarte oczy.

– Przeor mówi z wielkim trudem – rzekł Kapłan. – Tylko ja potrafię go zrozumieć.

Wysłucha pytań, ale odpowiedzi przekaże ja.

Xiao nie był zadowolony z takiego stanu rzeczy, lecz nie pozostawało mu nic innego, jak przystać na te warunki.

– Czcigodny przeorze – zaczął powoli i wyraźnie – zadam ci kilka pytań. Nie wątpię, że wiesz już o wydarzeniach, jakie zaszły w Klasztorze nad Wschodnim Brzegiem Rzeki. Dlatego pragnę z twych ust usłyszeć, jak to możliwe, że pomimo tak niewielkiej odległości dzielącej oba klasztory nie wiedzieliście nic o zniknięciu kilkudziesięciu mnichów i śmierci pięciu osób, dopóki nie usłyszeliście tych wieści ode mnie?

Przeor zaczął poruszać wargami. Kapłan nachylił się błyskawicznie, słuchając niewyraźnego mamrotania starca.

– Z wielkim bólem przeor przyjął owe straszne doniesienia. – Kapłan wyprostował się, kiedy usta leciwego mnicha na po-

wrót wtopiły się w płataninę głębokich zmarszczek. – Nie sposób wprost wyrazić żalu, jaki przeszył jego jestestwo w związku z tą tajemniczą tragedią. To powiedziawszy, podtrzymać musi, że zdarzenie było dlań całkowitym zaskoczeniem. Wbrew pozorom klasztory położone są od siebie na tyle daleko, że przy niepogodzie nie ma między nimi żadnej łączności. Szanujemy też wzajemnie swe odosobnienie i poza najważniejszymi świętami nie składamy sobie wizyt.

– Co w takim razie mogło wydarzyć się w Klasztorze nad Wschodnim Brzegiem Rzeki? – zapytał bakałarz.

– Pragnienie wyjaśnienia tej tajemnicy nie opuszcza żadnego z tutejszych mnichów nawet we śnie – przekazał słowa przeora Kapłan. – To rzekłszy, należy być świadomym, że jeśli Niebiosa pozwolą,

prawda ujrzy światło dzienne, jeśli zaś postanowią zakryć ją przed oczyma ludzi, tak też się stanie bez względu na podejmowane wysiłki. Toteż przeor pokłada całą ufność w wyroku Niebios i z pokorą wstrzymuje się od podejmowania jakichkolwiek kroków w celu wyjaśnienia tajemnicy.

No to rozgrzewkę mamy za sobą, zdecydował Xiao i zadał z dawna przygotowane pytanie:

– Jakie źródła ma animozja między oboma klasztorami?

Najwyższy Kapłan łypnął na bakałarza ze złością. Ten znał już jego odpowiedź, ale nie miał powodu, by podawać w wątpliwość słowa pielgrzymów. O ile wyjaśnienie przeora nie będzie przekonujące.

– Nie ma żadnej – padło po dłuższej chwili. – Dowodem tego są bliźniacze nazwy naszych klasztorów. Jedyne, co nas dzieli, to płynąca między nami rzeka, z której świętych wód korzystamy jednak

pospołu i w harmonii.

– Skąd zatem obrazy na ścianach pagody zaprzyjaźnionego klasztoru przedstawiające walki mnichów?

Trafił w dziesiątkę. Kapłan zacisnął zęby, przeor na moment rozwarł szeroko powieki. Nie spodziewali się, pomyślał z satysfakcją Xiao.

– Obrazy owe dotyczą dawnych wojen mnichów – Kapłan odrzekł w końcu zniecierpliwionym tonem. – To ponury okres w dziejach Świętej Góry. Walki rozgrywały się wiele dziesiątków lat temu i nikt poza najstarszymi mnichami już o nich nie pamięta. Nasze bliźniacze klasztory stały po jednej stronie w tej walce, czym zacieśniły swą braterską więź.

– Jaka więc przyczyna inna niż międzyklasztorna waśń każe pielgrzymom wybierać między modłami w tym i tamtym

klasztorze?

Z gardła przeora wydobył się nieartykułowany dźwięk. Kapłan nie musiał się nachylać, by odpowiedzieć pisarzowi.

– Nie ma żadnej przyczyny i nie ma żadnej waśni. Pielgrzymi kłamali w jakichś swych ciemnych celach i nie nas należy o to pytać. Powiada przysłowie: Łatwiej sprzedać w chwilę worek kłamstw niżli w tydzień szczyptę prawdy.

– Cóż mogłoby motywować pielgrzymów... – zaczął Xiao, ale wtedy stała się rzecz nieoczekiwana.

Przeor zatrzęsł się cały, otworzył szeroko oczy i wstał o własnych siłach, wołając drżącym głosem:

– Uchodź precz, małpi pomioście! Nie hańb świętej ziemi tego klasztoru swymi niecznymi stopy! Uchodź precz i zgnij na poboczu drogi, gdzie pasie się bydło! Nie każ mych starych uszu swymi bezecnymi słowy! Obyś nigdy... – zakrztusił się, do-

padł go paroksyzm kaszlu. Kapłan rzucił się ratować starca, śląc w kierunku pisarza mordercze spojrzenie.

– Wyjdźcie, proszę was – syknął, ale ton jego głosu przypominał bardziej rozkaz niż prośbę.

Bakałarz nie kazał sobie powtarzać. Na zewnątrz wciągnął głęboko w płuca zimne powietrze.

– Panie, zachowanie przeora można by podciągnąć pod obrazę urzędnika cesarskiego – mruknął Cheng.

Xiao uśmiechnął się i spojrzał w górę, gdzie pomiędzy dachami świątyń sterczała pagoda. Jej górne piętra ginęły we mgle. Nie uzyskał żadnych szczerych odpowiedzi, a przecież dowiedział się bardzo wiele. Kaszlnął i skinął na strażnika.

– Nic tu po nas.

Tragarze byli już po śniadaniu. Kulis ze

stłuczonym kolaniem nie mógł chodzić, wraz z bratem chciał zostać w klasztorze. Xiao niechętnie na to przystał. Pozostali z ociąganiem wzięli na ramiona pręty; strażnicy mieli zmieniać się w lektyce. Przy bramie nikt ich nie zatrzymywał.

– Do Wioski Krzywej Skały – polecił pisarz, a widząc zmęczone spojrzenia, dodał: – Muszę jeszcze porozmawiać z pułkownikiem. Potem, o ile nic nieprzewidzianego się nie wydarzy, spłyniemy rzeką do Nanshan.

Nieprzewidziane zdarzyło się niespełna dwie li od klasztoru, w rzadkim sosnowym zagajniku. W zakolu rzeczki na przybrzeżnych kamieniach osiadło ciało. Pomarańczowa oponcza z daleka przyciągała wzrok.

Cheng z Dengiem wywlekli zwłoki mnicha z wody. Mężczyzna miał zgruchotaną potylicę, a na ciele kilka otarć.

– Mógł poślizgnąć się, gdy przechodził

na drugi brzeg – stwierdził Deng po zakończeniu oględzin. – Uderzył głową o kamień, śmierć na miejscu.

– Równie dobrze mógł oberwać pałką, kiedy uciekał – ocenił Cheng. – Albo oberwać nią w jakimś innym miejscu, do rzeki wrzucono go potem.

Xiao długo patrzył na twarz nieboszczyka. Rozpoznał go, choć widzieli się tylko dwa razy, a rozmawiali raz. Był to mnich, który poradził mu udać się do pustelni obok Wodospadu Grubej Mały.

Tragarze zaczęli się niecierpliwić.

– Panie, to nie jest dobre miejsce. – Lu przebierał nogami. – Oddalmy się stąd jak najprędzej, a tego trupa niech zwierzyna rozwłóczy.

Xiao uciszył ich ruchem ręki. Nieboszczyk bardzo komplikował sytuację. Bakałarz chętnie skorzystałby z rady tragarza,

ale wiedział, że nie powinien zostawiać ciała na pastwę dzikich zwierząt. Mogło stanowić ważny dowód w sprawie i sędzia na pewno chciałby je obejrzeć.

– Trzeba znieść zwłoki na dół – zdecydował.

Oburzenie tragarzy wypłoszyło z pobliskich krzewów wszystkie ptaki.

– Dostojny panie, błagamy, tak się nie godzi! Jesteśmy znużeni, dodatkowy ciężar...

– Strażnicy pójda pieszo.

– Ale trup w lektyce? To niechybny pech! Jeśli nawet przeżyjemy teraz zejście, co byłoby istnym cudem, w przyszłości się to na nas zemści! Osierocimy rodziny...

– Zapłacę dodatkowo.

Nawet ta obietnica nie uciszyła protestów.

– Żywy człowiek sam się trzyma, trupa trzeba przywiązać, a my lin nie mamy... Cuchnąć zaraz zacznie, jadowite muchy

przywabi, pomrzemy w męczarniach...
Oszczędź nam wszystkim nieszczęścia!

Bakałarz zadumał się. Branie ze sobą trupa rzeczywiście nie wyglądało na dobry pomysł. Ale cóż pozostawało innego?

– Cheng, Deng, zaszyjcie się w lesie ze zwłokami, tylko dobrze, aby nikt was nie widział. Ja udam się do Nanshanu, a potem do Hengshanu. Postaram się wrócić z sędzią jak najszybciej, lecz pewnie będziecie musieli wytrzymać tu co najmniej jedną noc.

Strażnicy spojrzeli na siebie ponuro.

– Tak, panie – skinął Cheng, a zaraz po nim Deng, ale znać było, że nie uśmiecha im się ta perspektywa.

Tragarzom wręcz przeciwnie.

– Dostojny pan będzie na dole szybciej, niż się spodziewa! – Rozpromienili się. – Już nasza w tym głowa!

Xiao uzgodnił ze strażnikami sygnał rozpoznawczy – po trzykrotnym zadęciu w trąbkę mieli wyjść z kryjówki na spotkanie orszaku sędziego – i pożegnawszy się, wsiadł do lektyki.

Z lekkim bakałarzem, bez ciężaru, jakim byli postawni strażnicy, sunęli rzeczywiście dużo szybciej. Xiao miał nadzieję, że pustelnik odzyskał mowę i wszystko wnet wyjaśni, a jeszcze większą, że pan Hu już wrócił i dowiedziawszy się, gdzie pojechał pisarz, wyruszył zawczasu ku Świętej Górze. Młodzieniec chciał jak najprędzej zreferować sprawę i przelać odpowiedzialność na znaczniejsze barki.

Jeśli pragniecie się dowiedzieć, czy Xiao Longowi udało się dotrzeć na czas do pustelnika, czytajcie dalej!

Rozdział 11

w którym Xiao Long używa ukrytego miecza i tajemnego dekoktu, a także spotyka Króla Gór

Kamień poleciał w dół zbocza, odbił się od skalnej półki poniżej i zniknął. Wirująca mgła miłosiernie skrywała przed oczyma Xiao bezdenną przepaść. Zaciskał kurczowo zbielełe palce na prętach lektyki, ale jego strach nie wzbudzał litości tragarzy.

– Dawaj srebro, psia padlino! Nie będziemy dłużej czekać! Jak zlecisz w dół, pożalujesz swego skąpstwa!

Xiao zacisnął powieki. Nie mógł patrzeć na stromiznę, ku której przechylała się jego lektyka, ale wciąż jeszcze miał przed

oczyma obraz kamienia tonącego we mgle i ciągle słyszał, jak trzeszczą bambusowe pręty. Otwierał właśnie usta, kiedy tragarze znów zatrzęśli lektyką.

– Jeszcze się ociągasz, pokurczu? To cię nauczy!

Jeden z tragarzy pchnął swój koniec bambusów ku przepaści i skoczył, by złapać drugiego w pól. Lektyka zakolebała się i opadła na strome zbocze, bakałarz poleciał przodem na twarde pręty. Jęknął, kiedy zatrzymały go ramiona. Targnęły nim impet i ból.

– Wyciągnijcie mnie! – zawołał płaczliwie.

– Dałeś się przekonać, psi ochłapie? Szykuj już srebro, nie będziemy czekać – zaśmiał się Lu. Kulisi zaczęli wciągać lektykę z powrotem na drogę prowadzącą wysoko po wąskiej grani.

Kiedy tylko Xiao wyczuł pod nogami stabilny grunt, odepchnął się rękoma od

górnym przętów lektyki i osunął w dół przez otwór na końcu siedziska. Ułamek chwili balansował, kucając na krawędzi drogi, za którą zaczynało się strome zbocze, ale zdzierzył, sięgnął za plecy, namać sprzączkę i energicznie wyciągnął z pasa ukryty miecz. Giętka klinga jęknęła i zeszywniała.

Zamachnął się w samą porę, by ciąć w nogi nadbiegającego tragarza. Mężczyzna wrzasnął i straciwszy równowagę, zleciał z rozpędu w przepaść. Bakałarz poderwał się i już wyprostowany stawiał czoła dwóm kulisom z wyciągniętymi nie wiedzieć skąd bambusowymi pałkami. Niezgrabnie uchyliwszy się przed ciosem, ciął pierwszego napastnika w szyję. Ugodzony zacharczał, a potem padł na kolana. Zanim bakałarz podniósł broń, pałka Lu dosięgła jego ramienia. Nieco precyzyjniej wymierzona

trafiłaby wyżej, w szyję lub w głowę, kończąc całe starcie. Młodzieniec krzyknął i zatoczył się z bólu, ale tnąc powietrze na oślep, zdołał trafić mężczyznę w policzek. Tragarz wypuścił kij z dłoni, rękoma sięgnął ku twarzy, cofnął się i sturlał w dół drugiego, łagodniejszego zbocza, niknąc we mgle.

Z bijącym sercem bakalarz rozejrzał się za czwartym tragarzem, ale uchwycił tylko zarys uciekającej sylwetki. Widoczność sięgała kilkudziesięciu kroków, rozpływająca się we mgle grań wyglądała jak droga w zaświatach. Xiao stał w środku mleczej nicości, za całą rzeczywistość mając kawałek ścieżki, dwie przewrócone lektyki i ciało w kałuży krwi. Wiatr świszczął na skalnych krawędziach, blade pasma przelatywały niczym zjawy, niosąc zimną wilgoć.

Pod Xiao ugięły się nogi, miecz wypadł z omdlałej dłoni. Młodzieniec zamknął

oczy, legł ciężko na kamieniach i pogrążył się w dziwnym letargu, gdzie jedynym dźwiękiem był łoskot jego serca, a wszystko miało kolor czerwieni.

Woda była lodowata, lecz Xiao zacisnęła zęby i trzymał głowę pod tryskającą strugą, dopóki nie poczuł bólu. Dopiero wtedy cofnął się i osuszył czuprynę skrajem chałatu.

Pomogło. Upinając włosy, bakałarz rozejrzał się po skalnym labiryncie otaczającym wąską boczną odnogę Wodospadu Grubej Małpy. Wokół były tylko skały, krzewy i mgła. Zniknął czubek miecza rozorujący wciąż na nowo policzek tragarza, przybladły wszechobecne plamy czerwieni. Xiao wreszcie mógł myśleć klarownie.

Klucząc między głazami, skupił się na czekającej go w Wiosce Krzywej Skały

rozmowie z pustelnikiem. Oby medyk dobrze się sprawił, pomyślał z nadzieją. I oby miał jeszcze na składzie tę ziołową nalewkę.

Kilka razy gubił drogę. Ścieżka wiła się najpierw ledwo dostrzegalnie pośród szachownicy skał, potem snuła między rzadką roślinnością łagodnego zbocza. Dopiero w lesie mógł przyspieszyć kroku, zamiast kontemplować mylące rozstaje.

Zimny prysznic, choć pomógł ochłonać, podrażnił zaleczone ucho. Ból zaatakował bakałarza ze zdwojoną mocą, pulsujący szum zlewał się z wiatrem w koronach drzew. Przy kaszlu aż dudniło mu w skroniach. Na łatwiejszych zejściach Xiao zaczął zbiegać, byle prędzej znaleźć się w wiosce, ale gwałtowne ruchy rozbudziły stłuczone ramię, a zimny powiew prowokował do wzmożonego kaszlu.

Wreszcie, dysząc chrapliwie, wpadł między zabudowania. Przed chatą medyka

stało kilkunastu ludzi, lecz bakałarz prze-
pchnął się i wszedł do środka.

– Jak się czuje pustelnik? – zawołał od
progu.

Wnuk uzdrowiciela wyszedł z cienia w
kącie chaty.

– Żyje. Ale nie ma dlań nadziei; umrze
jutro, a najdalej za dwa dni.

– Mówił coś?

Młodzik pokręcił głową.

– Jest nieprzytomny.

Xiao zagryzł wargi.

– Mogę go zobaczyć?

– Niebawem. Najpierw przeniosę ciało
mego dziada do świątyni przodków.

Nim bakałarz zdołał odpowiedzieć, mło-
dzik wyszedł do zgromadzonych przed do-
mem ludzi. Po chwili rozległ się lament i
do środka wstąpili pogrążeni w żalu krew-
ni.

Xiao przeczekał pierwsze akordy żałoby, snując się po ulicy. Kiedy wyniesiono wreszcie zwłoki, nieśmiało zajrzał do wnętrza.

– Czy mogę...

– Tak.

– Zechciej przyjąć moje najszczęśliwsze...

Młody medyk skinął w podzięcie.

– Dziad nie zdążył przekazać mi całej swej wiedzy. A była ogromna. Nie ma ksiąg, których by nie zgłębił. Znał doskonale „Wykaz i stosowanie leków”, „Zasadnicze pouczenia Żółtego Cesarza”, „Księgę pulsu”, „Badanie tętna przez starożytnych”, „Trzydzieści przepisów na dodanie i ujęcie”, „Traktat o gorączce i innych schorzeniach”, „Tysiąc cudownie skutecznych lekarstw”, „Boski środek na długowieczność”... – mężczyzna mógłby chyba w nieskończoność wymieniać tytuły, ale zanim bakałarz się zniecierpliwił, zmienił temat: – oraz wiele innych. Roz-

różniał zakłócenia pierwiastków jin i jang, siedem drgnień tętna od przegubu od góry i osiem od spodu, potrafił wyczuwać tętno żyłne na wszystkie cztery sposoby. Razem z nim odeszło wiele receptur i kuracji, które sam obmyślił. Bez jego mądrości będzie mi trudno leczyć. Ale tak jak on był samoukiem, tak i ja wszystkiego z czasem się nauczę. Księgi czekają, a jak powiada przysłowie, zawsze warto otworzyć księgę.

Chwilę trwali w milczeniu. Wreszcie Xiao rzekł półgłosem:

– Czy mnich leży tam, gdzie...

– Nie, przeniosłem go do innej izby.

Chodź za mną.

Ciepłą klitkę niemal w całości wypełniało obszerne ceglane łoże kang, na którym spoczywał pustelnik. Wyglądał, jakby już umarł. Medyk ułożył mu pod nosem jedwabne nici. Wygięły się i opadły, by po

chwili wygiąć się znowu. Starzec dychał jeszcze.

Medyk pogmerał chwilę przy piecyku pod kangiem.

– Czas jego życia dobiega końca. Dzieściu sędziów podziemnego Królestwa Ciemności rozeszło już za nim posłańców. Niebawem przybędą, a wtedy nici opadną na zawsze.

– Mówiłeś przecież, że będziesz potrafił przywrócić mu mowę. Zapłaciłem srebrem – przypomniał Xiao. Rozwiązanie tajemnicy było tak bliskie, a tak nieosiągalne, zamknięte w czaszce umierającego starca.

Medyk odezwał się po chwili milczenia:

– Można skoncentrować resztki jego siły życiowej, by obudził się i mógł mówić. Ale wtedy nie umrze jutro, a jeszcze dziś, i to przed zachodem słońca.

Bakałarz otworzył usta, ale zaraz zamknął je z powrotem. Patrzył na wyniszczone ciało i wynędzniałą twarz pustelnika

i chciało mu się płakać.

– Cóż takiego może ci ten starzec powiedzieć, że chcesz przed czasem posłać go w zaświaty? – szepnął medyk.

Xiao nie był w stanie wydusić słowa. Próbował coś, cokolwiek, odrzec, lecz na języku miał supeł. Młody mężczyzna spoglądał nań długo, by wreszcie wyjść i po chwili wrócić z kamionkowym dzbanuszkiem.

– Wlej mu do ust kilka kropel i czekaj. A potem wywiedz się szybko, czego potrzebujesz.

Podał pisarzowi naczynie i zostawił samego z chorym.

Bakałarz długo stał w bezruchu, patrząc na drgające nici pod nosem starca. A później usiadł na kangu, niepewnymi palcami rozchylił mnichowi wargi i wlał między nie pięć kropel ciemnej cieczy.

Nie czekał długo. Klitkę wypełnił świszczący oddech, kang zadrżał od krótkich, lecz gwałtownych konwulsji. Starzec wyprężył się, a potem otworzył oczy i spojrzał mętym wzrokiem w pobladłą twarz Xiao.

– Czcigodny przeorze – wyszeptał bakałarz zbielałymi usty – wybacz, że niepokoję cię na łożu boleści, ale twoi dawni podopieczni zniknęli, być może już nie żyją, a ja muszę znaleźć winowajcę.

Pustelnik nie zareagował. Młodzieniec czuł się nieswojo pod jego nieruchomym spojrzeniem. Starzec nie mrugał.

– Przeorze – spróbował jeszcze raz – coś bardzo złego stało się w Klasztorze nad Wschodnim Brzegiem Rzeki. Podejrzewam, że odpowiadają za to mnisi z Klasztoru nad Zachodnim Brzegiem Rzeki. Pewien człowiek oddał życie, bym mógł do ciebie dotrzeć i dowiedzieć się prawdy. – A widząc, że starzec nadal nie reaguje, do-

dał desperacko: – Jaka waśń dzieli wasze klasztory?

Pustelnik otworzył usta. Zrazu wydobył się z nich tylko nieskładny jęk, lecz wnet popłynęły słowa, ochryple, urywane, ale zrozumiałe:

– Dzieckiem wtedy byłem, słyszałem tylko strzepy... Kiedy zostałem nowicjuszem, z czasem dowiedziałem się więcej... Wojna niesłychana, wojna między zakonami Świętej Góry... Wszyscy walczyli ze wszystkimi, a cel każdy miał swój... Wielu mnichów życie postradało, nim kres wojnie położono. Klasztor Płomiennego Feniksa znał sztuki przedwieczne a zakazane... Przywołali demony piekielnych otchłani, by zniszczyć Klasztor Nefrytowego Obłoku... Nie znali jednak natury demonów. Uwolnione stwory piekielne potwornością swą zabiły wszystkich, co w klasz-

torze wówczas byli... I szczęście się stało, że tylko zabiły... Bo śpiących demony by porwały ze sobą i uczyniły na swe podobieństwo... – starzec zamilkł, żeby po chwili podjąć: – Przeżyli tylko ci, co na pielgrzymkach albo w niewoli innych klasztorów pozostawali... A demony rozproszyły się po Świętej Górze i siać jęły zamęt. Opuścić Góry nie mogły, Pierścień Pagód trzymał je i dusił... Szał demonów zakończył jednak wojnę. Mnisi ze wszystkich zakonów zjednoczyli się pod wodzą Klasztoru Niebiańskiego Tygrysa... Demony okiełznali i uwięzili w Klasztorze Nefrytowego Obłoku... Klasztor Płomiennego Feniksa zamieszkali mnisi zwolnieni z kajdan i przybyli z pielgrzymek... Zapanował pokój...

Starzec zamilkł. Cały ten czas jego nieruchomy wzrok świdrował twarz Xiao. Zlany potem bakałarz zapytał:

– Te klasztory... Gdzie one leżą?

Długo trwało ciężkie milczenie.

– Po wojnie nazwy klasztorów zmieniono na znak zgody. Ale istotnie nie zmieniło się nic... Jeno przez rok mnisi nosili bliźniacze cieliste opończe na znak braterstwa... Potem wpierw jedni, a potem drudzy wrócili do swych dawnych barw... Mnisi Nefrytowego Obłoku do zgniłej zieleni, a Płomiennego Feniksa...

– ...do ognistego oranżu! – krzyknął ba-kałarz.

– Odwiecznej niezgody nie odmieniają barwy – ciągnął coraz ciszej starzec. – Kiedy zostałem przeorem, próbowałem nas zbratać, ale przeor drugiego klasztoru wciąż pamięta, że moi poprzednicy więzili go za młodu jako jeńca... Zawsze odtrącał mą rękę... Porzuciłem klasztor, chcąc dokonać żywota w samotności...

Pustelnik przymknął oczy. Ostatnie sło-

wa Xiao odczytał z jego warg. Zaniepokojony klepnął starca po policzku, wreszcie chwycił go za ramiona i uniósł. Cienkie jak jedwab powieki uchyliły się lekko.

– Dlaczego uwolnione demony nie zabiły też mnichów Nefrytowego Obłoku? – dopytywał się bakałarz. Starzec gasł w oczach.

– Dzieli i chroni klasztory święta woda rzeki... – wyszeptał. – I póki czystą będzie, dzielić i chronić nie przestanie...

Nici zadrżały po raz ostatni i znieruchomiały. Xiao puścił zwiotczącego pustelnika, a potem zacisnął pięści. Nie czuł, jak paznokcie wbijają mu się w ciało.

Próżny dzban roztrzaskał się na kamieniach. Xiao miał już otworzyć drugi, kiedy z mgły wyłoniła się wąska łódź i podплыnęła do brzegu.

Bakałarz skwapliwie skorzystał z wyciągniętej ręki rybaka, odzianego w płaszcz

ze słomy ryżowej. Nogi zaczęły się już młodzieńcowi plątać, ale ucho i ramię nadal bolały, a wzrok pustelnika wciąż świdrował.

– Do Nanshan, prędko – powtórzył. Rybak skinął głową. Pierwszą sztukę srebra już dostał, drugą miał otrzymać na końcu podróży. Widać spieszno mu do niej było, bo bez ociągania zanurzył w wodzie bambusową żerdź i odepchnął się mocno. Zresztą nic dziwnego – tak hojnego pasażera pewnie nigdy dotąd nie miał i mieć już nie będzie.

Brzeg wkrótce zniknął w białym тумanie. Xiao siadł wprost na bambusach pokładu, nie zważając na wodę wsączającą się w chałat i kormoranie odchody, którymi upstrzony był tył łodzi. Ptak używany do łowienia ryb został na łodzi. W końcu nie płynęli na połów.

Rzeka wiała się wąską doliną między skalnymi ścianami. Sunęli w całkowitej ciszy, maconej od czasu do czasu tylko pluśkiem niewidocznej ryby czy wyciąganego kija. Bakałarz sącył ziołową gorzałkę z dzbana i popadał w błogosławione otepienie.

Powoli w ciszę wkradł się szum, a potem huk pędzącej wody. Rybak trącił bakałarza w ramię.

– Niedaleko Kaskady. Musimy je obejść.

Szybciej, niż Xiao się spodziewał, przed wywiniętym dziobem łodzi pojawił się kamienisty brzeg. Niezgrabnie wyskoczył na ląd, zanurzając się po kostki w wodzie.

– Musimy przenieść łódź. – Mężczyzna zatrzymał oddalającego się bakałarza. Xiao odwrócił się i zmierzył go wzrokiem. Szeroki kapelusz nie pozwalał dostrzec twarzy.

– Zapłaciłem srebrem nie po to, żeby

dźwigać szlamowate bambusy – wybełkotał. Niezrażony rybak zaczął wyciągać łódź na brzeg.

– Inaczej nie dotrzesz, panie, do... – zaczął, kiedy nagle zza mlecznej zasłony dobiegł ich trzask tratowanych krzewów i ogłuszający ryk.

Bakałarz rzucił się do łodzi, zderzając się z mężczyzną. Przelecieli obaj nad pokładem i wpadli do wody. Lodowaty dreszcz otrzeźwił młodzieńca. Zwolniona ze sznura łódź uległa silnemu prądowi. Rybak skoczył za nią w pław, a Xiao złapał się głazu, o który wyrznął przed momentem, i wpatrzył się ze strachem w brzeg.

Dłuższą chwilę poza hukami Kaskad nie było słychać niczego. Raptem mgła pociemniała i skryzalizowała się w sylwetkę tygrysa.

Król Gór podszedł do brzegu i nie zwa-

żając na skulonego za kamieniem zaledwie parę kroków dalej bakałarza, zanurzył w wodzie potężny pysk. Kiedy skończył pić, parsknął, strzelił kroplami z wąsów i obróciwszy się płynnie, zniknął na powrót we mgle.

Przeszywające zimno wyгнаło Xiao z wody. Stał drżący na kamieniach, gdy wtem opar od strony rzeki znów pociemniał. Na brzegu stanął rybak. Miał gołą głowę; kapelusz musiał spłynąć z nurtem.

– Łódź wciągnęły Kaskady. Nie dopłyniemy do miasta. A ja muszę zrobić nową łódź – stwierdził po prostu, zdejmując ubranie.

– Nie chcę już do miasta – zaszczekał zębami Xiao. – Trzeba mi do Klasztoru Niebiańskiego Tygrysa.

Mężczyzna rozebrał się do naga i zaczął metodycznie otrzepywać słomiane wdzianko. Xiao poszedł w jego ślady, choć wykręcanie płóciennego chałatu i spodni nie

rokowało zbyt wielkich nadziei.

– Klasztor Niebiańskiego Tygrysa daleko stąd – przerwał milczenie rybak. – I wysoko.

– Jest tu jakaś droga? – beznamiętnie zapytał bakałarz. Chałat z przemoczonego zrobił się mokry.

– Tutaj nie. Trzeba iść wzdłuż rzeki jakieś pięć, sześć li, aż będzie ścieżka. Klasztor stoi na samym szczycie. Przed zmrokiem, panie, nie zdążysz.

Xiao, wstrząsany dreszczami, wciągnął na siebie wilgotny strój.

– Masz tu dwie sztuki srebra. Za łódź. – Rzucił rybakowi i ruszył we mgłę.

– Niech droga twa, panie, z wiatrem wiedzie – zawołał mężczyzna.

Jeśli chcecie wiedzieć, czy Xiao Longowi udało się dotrzeć do Klasztoru Niebiańskiego Tygrysa, przeczytajcie rozdział kolejny!

Rozdział 12

w którym Xiao Long walczy ze śmiercią, śni brzemienny w znaczeniu sen i słucha przepowiedni

Po raz kolejny wyczuł, że stoi przed zboczem zbyt stromym, by je pokonać. Kaszlnął, skręcił i kontynuował mozolną drogę po omacku.

Otaczała go lepka ciemność, wypełniona szumem wiatru i przejmującym chłodem. Ścieżkę zgubił niedługo po tym, jak zapadł zmrok. Od tamtej pory szedł jak ślepiec bez laski: z wyciągniętymi rękoma, wolno stawiając stopy. Ciało miał obolałe od upadków; pośród trawy i ziół porastających stok wałały się zdradliwe kamienie. Wycieńczone mięśnie łaknęły odpoczyn-

ku, ale wiedział, że jeżeli się zatrzyma, niechybnie zaśnie i w wilgotnej odzieży nie przeżyje nocnego przymrozku.

Dotarł do skalnej ściany. Posuwał się wzdłuż piędź po piędzi, dopóki jego stopa nie zawisła w pustce. Wycofał się powoli i spróbował obejść przeszkodę górą. Na wysokości twarzy miał skalną półkę. Wspiął się z największym trudem. Ponad półką zaczynało się zachęcająco łagodne, porośnięte krzakami zbocze. Niemal bez tchu w piersiach ruszył w górę, wydatnie pomagając sobie rękoma.

Stok rychło przeszedł w płaskie pole. Xiao, potykając się, parł przed siebie, dopóki teren nie zaczął opadać. Skręcił, ale zamiast w górę zaczął znów iść w dół. Zawrócił tylko po to, by wreszcie skonstatować, że jest na szczycie.

Ale klasztoru nie było.

Przystanął, dygocząc, w miejscu, które wedle jego intuicji było najwyższym punk-

tem wzniesienia, i długo wpatrywał się w mgłę. Nadaremnie. Wyjących ciemności nie rozświetlał najmniejszy ognek.

Sięgnął do rękawa po dzbanuszek. Być może tej nocy czekał go kres. Miał jednak skuteczny przeciwśrodek.

Dekokt, który wydobył na chwilę z objęć śmierci dogorywającego starca, by zaraz wepchnąć go w nie ze zdwojoną mocą.

Xiao potrzebował wszystkich sił, by przetrwać tę noc.

Jeśli istniała jedna szansa na sto, że przeżyje, musiał z niej skorzystać.

Wyszukał gęstą kępę krzewów i umościł się głęboko pod gałęziami po zawietrznej. W bok kłuły go kamienie i korzenie, ale było to niczym w porównaniu z błogą rozkoszą bezruchu. Poczul, jak morzy go sen, więc czym prędzej odkorkował dzbanuszek i przyłożył sobie do ust. Mikstura

miała smak, ale nie zdążył rozpoznać jaki.

Bakałarza prócz zupełnej ciemności ogarnęła naraz absolutna cisza.

Łopoczą zerwane pieczęcie, w mrocznym wnętrzu pełga ognik. Trzy utkane z czerni postaci unoszą okrągłą płytę. Pochylają się nad przepastnym otworem, gestykulują. Naraz w górę tryska strumień światła. Czeluść jaśnieje zimną poświatą. Mężczyźni odsuwają się pod ściany. Poświata wzmagą się, by nagle rzygnąć z otchłani snopem poskręcanych bladych ciał. Pocisk przebija dach, lodowate postaci rozpryskują się na boki. Mężczyźni rzucają się do ucieczki, ale demony pędzą za nimi z szybkością tajfunu. Trzech ludzi zwija się w męce, kiedy kilka lotnych sylwetek przenika przez ich ciała raz za razem. Pozostałe demony suną ku kwaterom mnichów. Przenikając przez śpiących, nabierają blasku, podczas gdy ciała ludzi wiotczeją i

nikną. Kiedy cele pustoszeją, demony wzbijają się w niebo nad pogrążonymi w mroku górami i wirują w tężejącej mgłę.

Bakałarz przez chwilę nie wiedział, czy ma otwarte oczy Otaczała go całkowita ciemność. Niepewnie pomacał wokół siebie ręką. Kiedy natrafił na gałęzie krzewu, wróciła mu pamięć.

Dłuższą chwilę nasłuchiwał. Wiatr ucichł i tylko wszechobecna czerń pozwała przypuszczać, że nad Heng nadal unosi się lodowata mgła.

Opuścił głowę. Wciąż żył. Mimo zawieszego chłodu w powietrzu było mu ciepło. Pod dłonią wyczuł dzbanuszek. Leżał poziomo, pusty. Xiao desperacko włożył doń język i zlizął osad ze ścianek.

Mur pęka, wiatr hula przez szczeliny...

Pierścień pęka, zsuwa się, spada...

Głosy były coraz donośniejsze, szarpanie dotkliwsze. Xiao otworzył oczy i dostrzegł wokół siebie mnichów w granatowych opończach i z wysoko upiętymi włosami. Nad nimi jaśniały gwiazdy. Całe chmary gwiazd.

Pozwolił postawić się na nogi. Zawirowało mu w głowie, płucami targnął kaszel. Po kilku krokach mięśnie zaczęły nieznosnie rwać, w skroniach zapulsowało boleśnie. Podniósł umęczoną twarz i zobaczył mroczną bryłę klasztoru.

Zespół budowli świątynnych stał na sąsiednim wzgórzu, czy raczej wypiętrzeniu tego samego szczytu, składającego się z dwóch kulminacji rozdzielonych płytką przełęczą. Bakalarz nocował w krzakach oddalony od porządnej słomianej maty w zadaszanej celi o jedną li.

Spekane drewniane wrota zdobiła barw-

na płaskorzeźba tygrysa drapieżnym susem wskakującego na obłok. Mnisi poprowadzili Xiao wąskimi przejściami do swych kwater. Tam rozebrali do naga, oblali kilkoma kubłami letniej wody, odziali w suchą opończę i napoili ziołową gorzałką, by na koniec powieść do okazałej siedziby przeora.

Mężczyzna jeszcze nie tak dawno musiał być w sile wieku. Wysoki i chudy, nosił prostą granatową opończę i kok z zapinką w kształcie dłoni, trzymającą w ryzach długi warkocz. Kiedy wprowadzono Xiao, podniósł się sprzed ołtarza, na którym zapalał trociczki przed świętym posągiem, i pokłonił.

– Witaj, uczony bakałarzu i posłańcu ziemskich sądów.

Obolały Xiao z trudem odwzajemnił ukłon. Przeor wskazał mu miejsce na ma-

cie i sam usiadł ze skrzyżowanymi nogami. Zanim Xiao zdążył otworzyć usta, mnich rozwiął jego nadzieje:

– Nie odpowiem na żadne z pytań, bo wiem twym losem jest znać pytania, ale wciąż szukać odpowiedzi, Xiao Longu.

Bakałarz zamilkł, mrugając oczyma. Przeor uśmiechnął się.

– Zesłano mi w nocy wizję – ciągnął. – Podstępnie pozbawieni życia wrócili dokończyć pomsty. Padła zaporą, zło zostało wyzwolone. Dzisiejsze czyny wrócą do ciebie jutro. Teraz nic już od ciebie nie zależy. Ale bardzo wiele zależeć będzie w przyszłości. Strzeż się Koguta i podejmuj każde wyzwanie.

Mnich wstał. Nie wiadomo skąd w jego ręce pojawił się amulet na długim jedwabnym sznureczku. Brązowe lusterko, o średnicy równej pół długości palca, z jednej strony wypolerowano na gładko, z drugiej pokryto ośmioma trygramami. Przeor pod-

szedł i przełożył Xiao amulet przez głowę.

– Niechaj strzeże twego serca.

Następnie ceremonialnie złączył dłonie, pokłonił się i zniknął w sąsiednim pomieszczeniu.

Pisarz siedział bez ruchu, dopóki mnisi nie zaprowadzili go z powrotem do kwater. Machinalnie zjadł ryż z grzybami i kawałeczkami mięsa, popił dzbankiem zielonej herbaty. Trwał w apatii dopóty, dopóki nie przyniesiono mu wysuszonego chałatu. Przebrał się, podziękował i wyszedł.

Świtało. Z oddali dobiegło głębokie bicie dzwonu. Pośród bogato zdobionych budynków świątynnych przemierzali się mnisi.

Błąkający się bez celu bakałarz dotarł w najwyższy punkt klasztornej zespołu, gdzie wznosiła się ogromna hala świątynna. Krawędzie podwiniętego granatowego

dachu zdobiły wyraźnie odbijające się na tle błękitniejącego nieba figurki ziemskich zwierząt i stworów z zaświatów.

Pośród mnichów zapalających u wejścia trociczki Xiao dostrzegł znajomą sylwetkę pielgrzyma o kulach. Odczekał, aż ten dokończy rytuały, i podszedł bliżej.

– Witaj, starcze.

Pielgrzym pokłonił się na tyle nisko, na ile pozwalały mu bambusowe laski.

– Witaj, czcigodny panie! Cóż za radość dla mych oczu widzieć cię znowu.

– Gdzie twoi pobratymcy?

– Udali się w dalszą pielgrzymkę.

– I zostawili cię tu, starcze, samego?

– Nie, panie. Zostałem tu, by opiekować się Yangiem. Jeśli los da, spotkam się z resztą na dole, jeśli nie, być może za rok, o ile życia starczy.

– A co z Yangiem?

Pielgrzym skurczył się w sobie.

– Zmarł wczoraj.

Bakałarz poczuł ukłucie w piersi.

– A co mu było?

– Chłód, panie. Chciał wykaszleć zimną flegmę, ale krwią zaczął spluwać. Zioła nie pomogły i wczoraj zamknął oczy. Szczęśliwy był, że przyszło mu umrzeć w Klasztorze Niebiańskiego Tygrysa.

Znowu ozwał się dzwon, tym razem znacznie głośniej. Brązowy instrument znajdował się w pobliskim otwartym pawilonie; mnich rytmicznie uderzał weń podwieszoną drewnianą belką.

Xiao skinął dłonią. Starzec pokłonił się nisko i zniknął we wnętrzu świątyni.

Bakałarz walczył chwilę z ogarniającą go słabością, wreszcie przemógł się i wstał do świątyni, gdzie skręcił do najbliższej z bocznych sal i ukląkł przed jednym z licznych posągów. W mroku nie widział, do jakiego bóstwa się modli. Ważny był

zapach trociczek, ciemność i ciche stąpanie mnichów w głównej sali.

Ocknął się z zamyślenia, kiedy snop światła słonecznego przebił się przez jego powieki. Otworzył oczy i podniósł głowę.

Krępy osobnik o ciemnej twarzy i splątanej brodzie odziany był w szatę i czepiec uczonego. Szkaradne oblicze wykrzywiało okrutny grymas. Bakałarz klęczał przed posagiem Zhong Kuia, Demona-Pogromcy Demonów.

Słońce wschodziło, oślepiające promienie przesączały się przez ażurowe okiennice i penetrowały wnętrze świątyni. Kiedy Xiao wyszedł na zewnątrz, uderzyło go piękno porannego krajobrazu.

Po mgłę i chłodzie nie został nawet ślad. Ciemną zieleń górskiego masywu wieńczyły drobne sylwetki pawilonów i pagód. W dole wiła się rzeka, nad nią krążyło stado ptaków.

Bakałarz zaczął obchodzić świątynię do-

okoła. Za drugim narożnikiem piękno widoku zmaćił słup dymu snujący się zza jednego ze szczytów. Bakalarz patrzył zaskoczony, wreszcie zbiegł po schodkach i zaczepił przechodzącego mnicha.

Ten nie wydawał się poruszony.

– To Klasztory nad Brzegami Rzeki. W nocy widać było płomienie, teraz już dogasły. – A na zdumione spojrzenie młodzieńca dodał: – Jesteśmy zbyt daleko, by cokolwiek zrobić. Ratunek należy do ich bóstw-patronów.

– Muszę tam dotrzeć jak najprędzej. – Bakalarz cały się trząsł. Apatia minęła jak ręką odjął.

– Jest skrót, dzięki któremu dotrzesz tam jeszcze dziś – do rozmowy włączył się przechodzący mnich. – Ale to droga nie dla każdego...

Jeśli nie wiecie, a chcielibyście się dowiedzieć, jaką dro-

gę wskazali Xiao Longowi mnisi, nie przerywajcie lektury!

Rozdział 13

w którym Xiao Long doświadcza niemiłych konsekwencji swych czynów, a widzi też ich konsekwencje straszliwe

Xiao zateęsknił za mgłą, kiedy liny ugięły się pod jego ciężarem i zakołysały. Rzadko rozstawione bambusowe szczeble zmuszały do patrzenia pod nogi i niżej. Po obu stronach bielily się wapienne skały, daleko w dole błyszczała rzeka. Ale Most Niebiańskiego Tygrysa stanowił najkrótszą drogę na sąsiednie pasmo górskie.

Bakałarz zacisnął zęby i zrobił kolejny krok. Wedle legendy mnisi niosący materiały budowlane niebezpieczną ścieżką w poprzek urwiska ujrzeli tygrysa, który

przeskoczył z jednej ściany skalnej na drugą. W miejscu tego nadzwierzęcego wyczynu przerzucili most linowy, a klasztor i kanion nazwali na cześć odważnej bestii.

Xiao patrzył, ile kroków ma jeszcze do przejścia, i nie wierzył w ani jedno słowo legendy. Istotnie, wysokie stoki nigdzie indziej nie zbliżały się do siebie na mniejszą odległość, ale żadne normalne zwierzę nie zdołałoby przeskoczyć dzielącej je przepaści.

Nie na darmo nazwali tygrysa „niebiańskim”, pomyślał bakałarz i uczynił kolejny krok. Na moment otoczyła go chmara wazek. Szedł dalej, mimo że im bliżej był środka, tym silniej most się kołysał.

Kiedy wreszcie stanął po drugiej stronie kanionu, najchętniej padłby plackiem i odpoczywał, lecz smugi dymu wciąż widoczne na niebie nie pozwalały tracić czasu. Zaczerpnął parę łyków herbaty z bukłaka i potruchtał zdyszany kamienistą ścieżką.

Słońce minęło już najwyższy punkt swej drogi, gdy stanął u zbiegu ścieżek. Tędy nieśli ich tragarze pierwszego dnia. Nabrał wody z przecinającej szlak strużki i ruszył w górę. Trzej Mnisi garbili się pod palącym niebem.

Braku sił nie dało się długo nadrabiać determinacją. Po kolejnym zakręcie zygza-
kującej w górę ścieżki półzywy Xiao usiadł na kamieniach, a potem położył się, nie zważając na nierówności podłoża.

Usłyszawszy ludzkie posapywania, z trudem uniósł głowę. Po ścieżce sunęło kilka lektyk. Ociekający potem tragarze drżącymi z wysiłku nogami stawiali kolejne kroki po zdradliwym żwirze.

Bakałarz otworzył szeroko oczy, kiedy spomiędzy firanek mijającego go palankinu surową twarz wystawił sędzia Hu.

– Stać! – wrzasnął Hu. Tragarze z ulgą

postawili lektyki na ziemi, młodzieniec zerwał się na równe nogi i pokłonił nisko. – Xiao Longu! Jak śmiałeś podjąć czynności operacyjne bez mej wiedzy!

– Dostojny sędzio, wybacz mnie nędznemu, lecz słowa pielgrzymów... – zaczął zgięty wpół Xiao, ale Hu nie dał mu dokończyć.

– Dość tych tłumaczeń! Przejąłeś się bajdurzeniem starych głupców, zamiast wrzucić ich do lochu i poczekać, aż wino wywietrzeje im z głów! Przegnałem dziadów precz, zbyt wiele bajan już w życiu słyszałem. A ty dałeś im się omotać!

Bakałarz pokłonił się i otworzył usta, lecz sędzia znów go zagłuszył.

– Widziałem, ile pieniędzy wzięłeś z sądowej kasy! Oczekuję, że co do sztuki wrócą do szkatuły! Jeśli zaś je zmarnowałeś, co by mnie nie zdziwiło, pisać będziesz darmo póty, póki ich nie odpracujesz! Ten samowolny wybryk nie ujdzie ci

na sucho. Już niedługo tu zabawię, niebawem wyjeżdżam do stolicy objąć wysoki urząd w Ministerstwie Kar. Jeśli jednak sędzia Chu będzie ci pobłażał, bądź pewien, że dowiem się o tym i wyciągnę najsurowsze konsekwencje!

Tym razem Xiao ograniczył się tylko do pokłonu.

– Jeśli zbrodnie jakieś popełniono w klasztorze – ciągnął sędzia – miałeś aż nadto czasu, by wszystko wyświecić. Czekam na wyjaśnienia!

Bakałarz zaczął opowiadać wydarzenia ostatnich dni. W miarę jednak jak mówił, sroga twarz pana Hu ściągała się jeszcze bardziej. Gdy Xiao dotarł do momentu, kiedy spotkanie nad rzeką natchnęło go do odwiedzenia Klasztoru Niebiańskiego Tygrysa, sędzia nie wytrzymał.

– To ma być relacja ze śledztwa?! To ja-

kaś gawęda, anegdota, nie raport dla sędziowskich uszu! Xiao Longu, do niczego się nie nadajesz, a do śledztw już najmniej! Widzę, że coś istotnie jest na rzeczy, ale tyś nie zabrał się do sprawy od właściwej strony. Trzeba było potraktować tych łysych osłów żelazem, dawno wszystko byś wybadał! Już ja dobioreę się im do skóry. I tobie też, poczekaj tylko, aż wrócimy do miasta. Zmykaj na koniec, ale już!

Upokorzony Xiao udał się za ostatnią lektykę, obarczoną potężnym strażnikiem sądowym, i z pochyloną głową podjął marsz. Odważył się niepokoić pana Hu, dopiero gdy zbliżyli się do lasu nieopodal klasztoru.

– Dostojny sędzio, tu właśnie zostawiłem strażników. Bądź tak łaskaw i...

– Wiem – uciał Hu. Wnet po lesie poniosł się czysty dźwięk trąbki. Lecz choć strażnik nadymał się jak mógł, nikt nie wyszedł z lasu.

– Widocznie lekce sobie poważyli twe instrukcje – kąśliwie rzucił sędzia i nakazał podjęcie podróży.

Ledwo przejechali zagajnik, ich oczom ukazał się ponury widok.

Środkiem ogromnej polany płynęła rzeczka, nad której brzegami wznosiły się dwa zespoły klasztorne. Nad budowlami po wschodniej stronie unosił się dym. Zamiast smukłej pagody sterczał pociemniały kikut, czerwone ściany świątyń szpeciła smolista czerń, dachy pozapadały się do środka.

Klasztor po stronie zachodniej na pierwszy rzut oka zdawał się nienaruszony. Mimo jednak że dachy lśniły, a pagoda górowała dostojnie nad okolicą, wyglądał na opustoszały.

Kiedy podjechali do wrót Klasztoru nad Zachodnim Brzegiem Rzeki, na progu uj-

rzeli wykrzywione w straszliwej męce ciało mnicha. Na dziedzińcu zwłok były już dziesiątki. Każdy krok w głąb klasztoru ujawniał nowe. Nawet sędzia Hu, jeszcze przed chwilą tak hardy, zbladł jak papier.

Cały teren klasztoru usłany był zniekształconymi trupami. Najwięcej leżało w okolicy pagody i wokół ołtarza w jej wnętrzu, tak jak gdyby mnisi w obliczu niebezpieczeństwa szukali tu schronienia. Nada remnie.

Xiao rozpoznał w mijanym budynku siedzibę przeora. Hu łaskawie wyraził zainteresowanie. Weszli tylko po to, by cofnąć się ze zgrozy.

Podłogę sali pokrywały kałuże krwi. Wysączyła się ona z poszlachtowanych ciał Najwyższego Kapłana i kilku innych mnichów, leżących bezładnie wewnątrz kręgu utworzonego z wygasłych już kadzielnic. W centrum na linii przerzuconej przez belkę sufitową wisiał sędziwy prze-

or. Starzec opończę miał nadpaloną, w zaciśniętej kurczowo dłoni trzymał zakrwawiony nóż. Twarz wykrzywiał mu grymas tego samego cierpienia, którego doświadczyli mnisi na dziedzińcu, uliczkach i w świątyni.

Nie zdążył uciec w śmierć przed zemstą demonów.

Xiao dopadło nagle potworne zmęczenie. Jego umysł domagał się powrotu do normalności. Sędzia i strażnicy ruszyli w dalszy rekonesans, zostawiając bakałarza na progu kwatery przeora. Pograżony w odrętwieniu wstał opornie, dopiero kiedy podbiegł doń jeden z ludzi Hu.

– Sędzia wzywa.

Ruszyli przez labirynt uliczek, a potem w dół ciemnych schodów prowadzących pod mnisze kwatery.

U wejścia do obskurnej celi stali strażni-

cy. Bakalarz niepewnie postąpił naprzód.

W świetle lampek olejnych widać było leżące na kamiennej posadzce poskręcane ciało. Xiao zmarszczył brwi i z przerażeniem uświadomił sobie, że poznaje spętanego powrozem mężczyznę.

Cheng.

Musiał nie spać, kiedy przybyły demony. Umarł w konwulsjach, jak mnisi, którzy go więzili.

Wzrok bakalarza powędrował w bok, gdzie powinien spoczywać Deng. Ale nie spoczywał. Na kamieniach zostały tylko powiązane powrozy, ułożone tak, jak gdyby pętały kogoś śpiącego. Wzrok sędziego Hu nie mógł wyrażać większego potępienia.

Jakość ceremonialnych petard urągała ostatniej sztuce srebra, jaką zdeterminowany Xiao za nie zapłacił, ale uparłszy się i zagryzłszy zęby, zdołał odpalić wszystkie.

Kiedy trzaskanie ucichło, zamknął oczy i wciągnął w płuca woń spalenizny.

Z oddali dobiegł dźwięk dzwonu. Pierwsi mnisi z klasztorów Heng przybyli nad zachodni brzeg zając się ciałami zmarłych. To oznaczało, że sędzia Hu niebawem ruszy w drogę do miasta. I nie będzie czekał na swego nieudacznego pisarza.

Młodzieniec podopalał wygaszone trociczki w kadzielnicy i wytarł ręce w chałat. Nasączona wilgocią główna sala świątynna nie spłonęła bynajmniej jak wiązka słomy, ale dym zdołał pokryć otoczenie grubą warstwą sadzy.

Ostatni raz spojrzął na zapadnięty dach świątyni i szpetny kikut pagody odcinający się posepnie od błękitnego nieba. Potem odwrócił się i zszedł po schodach, zostawiając za sobą zgliszcza.

Jeśli interesuje Was, jak Xiao Long uszedł gniewu sędzie-

go, czytajcie dalej.

Rozdział 14

o tym, jak Xiao Long zegnał krewnego, a także o tym, jak trafił pod pieczę mistrza Qinga, co żadnemu z nich nie poszło w smak

Zszarzałe poletko ryżowe, wrzynające się tarasami w zbocze niskiego pagórka, znikło w oddali. Ostatnie wiejskie chaty minęli kilka zakrętów wcześniej. Wzdłuż coraz węższej i bardziej wyboistej drogi ciągnęły się dziczejące z każdą przebytą li chaszczce, a mistrz Qing wciąż nie kwapił się zakończyć podróży.

Xiao skrzywił się boleśnie, kiedy rozklekotaną dwukółką znów zatrzęsło. Milczący ponuro starzec siedział na wyściełanym koźle pod daszkiem z listewek bambusa,

bakalarzowi zostawiając twardą, wąską i nieosłoniętą deskę z tyłu. Dobrze, że nie kazał mi biec za wozem, pomyślał Xiao. Biorąc pod uwagę, jak niechętnie Qing zgodził się zabrać młodzieńca ze sobą, byłoby to całkiem do pomyślenia.

Koło wpadło w wypełnioną błotem koleinę, siejąc wokół rozbryzgami. Xiao spojrzał smętnie na swój lniany chałat. Im niżej, tym gęściej zgrzebną biel płótna pstrzyły plamy. Ale cóż to miało za znaczenie teraz, kiedy z każdym krokiem wychudłej szkapy oddalali się od miejsca pochówku tego, dla którego bakalarz przywdział żałobne szaty...

– Jego oddech zgasł, ciało przyjmie ziemia, duch uleci w przestworza. Ile jeszcze razy przyjdzie mu zmieniać oblicza? Nie wiemy, gdzie znów się zjawi i w jakiej postaci, lecz jego podobizna zostanie, a potomni będą na nią spoglądać...

Kapłan zamilkł, huknęły petardy, rozległ się powszechny lament. Popiół z papierowych ofiar opadł na wieko czerwonej trumny. Xiao czym prędzej spalił swe dary i przecisnął się do tyłu, byle dalej od przenikliwego zawodzenia wynajętych płaczek.

Gdyby nie śmierć stryja, bakałarz siedziałby teraz w jamenie w Hengshanie i przepisywał mdlejącą dłonią całkowicie zbędne dokumenty, wysłuchując docinków sędziego Hu i znosząc zimne spojrzenia strażników. Za to winien był nigdy na oczy niewidzianemu stryjowi wdzięczność. Ale nie mógł się zdobyć na więcej niż wymuszone tradycją minimum.

Kiedy nad usytuowanym zgodnie ze wskazówkami geomanty grobem usypano kopiec, najstarszy syn zabrał podobiznę oraz tabliczkę zmarłego i na czele konduk-

tu ruszył z powrotem. Po drodze przez miasteczko do żałobników przyłączyło się jeszcze kilkoro mieszkańców. Stryj Xiao cieszył się w Yongxing dobrą opinią.

W domu zmarłego geomanta nakleił nad każdymi drzwiami zaklęcia na żółtym papierze dla odstraszenia złych mocy. Tabliczka spoczęła na domowym ołtarzyku. Xiao jako jeden z pierwszych wziął udział w ceremonii ofiarowania zaklętemu w tabliczce duchowi herbaty i czym prędzej wyszedł na zewnątrz.

Yongxing okazało się właściwie przerośniętą wioską, i to niezbyt bogatą. Otaczające ją wały były rozmyte przez deszcz i niestrzeżone, wzdłuż wąskich, niebrukowanych ulic ciągnęły się kryte gontem chałupy o glinianych ścianach. Tylko tu i ówdzie stały okazalsze domostwa, ale i one nie posiadały wysokich murów chroniących przed napadem zbrojnych band. Wrażenie ubóstwa potęgowały nagie o tej

porze roku drzewka owocowe.

Rodzina stryja Xiao należała do najznajmniejszych w okolicy, a jej siedziba wznosiła się prawie w centrum miasteczka, lecz w Hengshanie sytuowałyby się znacznie niżej i dalej.

Chłodny wiatr już prawie zagonił bakałarza na powrót do wnętrza domostwa, kiedy wtem zza rogu wyłoniła się najpierw koścista chabeta, a potem zadaszony wóz z brodatym starcem na koźle. Oto, co ujrzał Xiao:

głowę woźnicy szpeci wyszmelcowany
czepiec uczonego o oklapłych doszczętnie
skrzydełkach

zgarbione ciało okrywa błękitny niegdyś
chałat z przetartymi wyłogami i takimże
kołnierzem

buty i owijacze mają barwę błota, któ-
rym przesiąkły

splątana broda zwisa aż do pasa
wypukłe czoło znamionuje niepospolitą
mądrość

z pomarszczonej twarzy emanuje złość i
zniechęcenie

Przybysz zajechał pod dom stryja Xiao i
zgramoliwszy się z wozu, wszedł, podpie-
rając się kosturem, do środka. Nie był chy-
ba tak niedołączny, jak sugerowały ociążałe
ruchy i siwa broda. Zgarbione, acz szerokie
plecy rozpierały chałat, zaś pokryta
plamami dłoni dzierżyła kij całkiem krzep-
ko. Młodzieniec postąpił jeszcze trochę, by
wreszcie przemóc się i podążyć za, jak się
wkrótce miało okazać, wyczekiwany go-
ściem.

– ...aż przybędziesz, mistrzu, na ceremo-
nię! Co cię zatrzymało? – dopytywał ojciec
Xiao.

– Wóz stary, droga wyboista. Dajcie no
ofiary, trzeba mi pokłonić się drogiemu
zmarłemu – zachrypli głos starca przepeł-

niało zniecierpliwienie.

Xiao zatrzymał się w przejściu przed dziedzińcem. Tu nadal było chłodno, ale wiatr ucichł. W powietrzu unosiła się nieświeża woń, rozsiewana najpewniej przez brudne odzienie brodacza.

Bakałarz zdążył zobaczyć plecy kuzyna odprowadzającego mistrza w głąb domu. Skrzyżował wzrok z ojcem i zaraz tego pożałował. Mężczyzna przywołał syna gestem. Czego on znowu chce? – westchnął w duchu młodzieniec, ale podszedł posłusznie.

– Tak, ojcze?

– Wiesz, kto to był?

– Nie wiem, ojcze.

– To mistrz Qing, niegdyś kaligraf samego łaskawego cesarza Hongzu! On nauczy cię kaligrafować jak nikt inny w powiecie. Przyda ci się do egzaminów. Nie

możesz przecież do końca życia przepisywać pism sądowych! Zaraz po głównych uroczystościach pojedziesz doń pobierać nauki. Usprawiedliwię cię przed sędzią Hu. I tak lepiej, żebyś zszedł mu z oczu. Swoją głupotą na Świętej Górze mogłeś zaprzepaścić karierę całego życia!

Xiao zmilczał i tylko sztywno pokłonił się w podzięcie. Nic innego mu nie pozostawało. Zresztą... Wprawdzie towarzystwo niemytego dziadygi i ćwiczenie pisania nie uśmiechały mu się szczególnie, ale jeśli przez te kilka dni jego nieobecności sędzia Hu wyjedzie wreszcie do stolicy na to swe zasłużone latami płaszczenia się stanowisko w Ministerstwie Kar, bakałarza po powrocie do jamenu będzie czekać upragniony spokój.

Ściemniało się, a wóz wciąż jechał i jechał. Kamienisty trakt ledwo już było widać spod zrudziałej trawy. Teren opadał;

przed chwilą pokonali niską przełęcz. Po prawej stronie mieli teraz pnący się po łagodnym zboczu rzadki las sosnowy, po lewej szeroko rozlaną rzekę, a za nią pola i łańcuch wzgórz. Ponure kształty podupałych, krytych strzechą chat kazały bakalarzowi sądzić, że jadą oto przez porzuconą osadę, lecz nie pytał o szczegóły. Mistrz Qing od opuszczenia Yongxing nie odezwał się do Xiao ani słowem, mimo że ten próbował zrazu nawiązać rozmowę. Młodzieniec rychło poniechał nawet pytań o dystans do celu podróży. Wiedział już, że to na nic.

Po kiego grzyba mun dziad się w ogóle godził, skoro teraz stroi fochy, pomyślał w przyływie złości. Ale czy starcowi wypadało odmówić bratu zmarłego przyjaciela?

Xiao słyszał, jak Qing początkowo wymawiał się, że nie może czekać, gdyż

spieszno mu wracać, na co ojciec odparł, że syn nie potrzebuje niczego poza głową, żeby udać się na nauki. Tak młodzieniec znalazł się na wozie, zanim zdążył zamienić z mistrzem choć słowo.

Skoro był kaligrafem na cesarskim dworze, to co robi tak daleko na prowincji! – nie przestawał rozważać całej sytuacji bałażarz. Czuł się cokolwiek niepewnie, bołało go siedzenie, w żołądku miał ssącą pustkę, a wraz z nadciągającą nocą coraz częściej wstrząsały nim dreszcze.

Z przydrożnego mroku wyłoniła się kolejna samotna chata, wóz zwolnił. Xiao patrzył zaskoczony, jak Qing zatrzymuje konia przed chwiejącym się obejściem, do złudzenia przypominającym niedawno mijane opuszczone chałupy.

– Złaź.

Xiao posłusznie zeskokczył na grunt, z ulgą prostując zdętwiałe nogi.

– Tu śpisz. O świcie szukaj mnie w cha-

cie niedaleko. Nie spóźnij się – burknął starzec.

Zaskoczony bakałarz nie zdążył odpowiedzieć, nim wóz rozpląnął się w ciemnościach. Jeszcze chwilę rozlegał się turkot i skrzypienie, a potem zapadła cisza, niezmacona nawet brzęczeniem owadów.

– Oby nie było za co kupić sznura do spuszczenia twojej trumny do grobu, stary, nieużyty gburze – mruknął Xiao i rad nie rad ruszył ku chacie.

Na dobry początek o mało nie przewrócił się przez bambusowe żerdzie, jakby na złość ułożone na progu. Złorzeczając, postąpił w głąb, macając rękoma po uszczelnianych gliną ścianach. Izba była praktycznie pusta, nie licząc bliżej nieokreślonych szczap i kijów. Już zaczął rozważać, czy nocować potulnie na gołej ziemi, czy też iść do Qinga z pretensjami, kiedy trafił na

opartą o ścianę zrolowaną matę trzciniową.

Drżąc z zimna, rozłożył wyleżaną matę w kącie i zwinął się w kłębek, wtulając szyję w kołnierz chałatu. Miecz ukryty w pasie boleśnie pił w biodro. Zapowiadała się ciężka noc – chłodna, głodna, niewygodna. Musiał jak najszybciej zasnąć, by zdołać wstać przed świtem. Qing udowodnił już, do czego jest zdolny; Xiao na wszelki wypadek wolał się nie spóźnić.

Jeśli chcecie się przekonać, co Xiao Long zobaczył ciemną nocą na tym pustkowiu, przeczytajcie następny rozdział.

Rozdział 15

o tym, jak Xiao Longowi się spało, jadło i pisało pod okiem mistrza Qinga

Klnąc jak na powódź, Xiao podniósł się z kucek i zapiął chałat. Nie dość, że musiał wstać w środku nocy za potrzebą, to jeszcze poślizgnął się i wpadł w błoto za chatą. Zmarznięty i zły potoczył bezradnym wzrokiem po okolicy.

Księżyc już wzeszedł. Zimne światło dobywało z ciemności bezbarwne pola ciągnące się aż do posepnych wzgórz łagodnym łukiem okalających kotlinę. Rzeka i rozlewisko połyskiwały złowieszczo. Tu i ówdzie czerniły się chaty.

Spojrzał w kierunku domu Qinga. Tafle

rozlewiska rozcinała tam długa wyspa, na skraju której sterczała samotna skała. Obok, na brzegu, stało kilka chat; przez papierowe okno największej z nich przesączała się nikła poświata.

Dziad śpi przy świetle, w ciepłe i pewnie z pełnym żołądkiem, a ja gnieźdźę się głodny w ciemnej, wilgotnej ruderze, pomyślał bakałarz z goryczą. Gdyby ojciec wiedział...

Z jeszcze większą goryczą wyobraził sobie, co najpewniej powiedziałby ojciec: „Mistrz Qing wie, co dla ciebie dobre. To część nauki. Ufam mu bezgranicznie”.

Już miał iść z powrotem, kiedy kątem oka dojrzał ruch. Wyteńczył wzrok.

Ku oświetlonej chacie sunęła drobna postać. Sunęła to właściwe słowo; przemieszczała się bowiem płynnie niczym sampan niesiony nurtem Rzeki Perłowej.

Postać zbliżyła się do domu Qinga. Z oddali dobiegło kołatanie. Drzwi otworzyły

się – w snopie światła błysnęła kobieca sylwetka – i zamknęły na powrót.

– Jedz.

Xiao chciał w pierwszym odruchu podziękować, ale ugryzł się w język. Skoroś ty nie odpowiedział na moje powitanie, ja nie odpowiem na twoje „zaproszenie”, pomyślał ze złośliwą satysfakcją i sięgnął po kawałek niedopieczonej ryby.

Kucali przy prowizorycznym palenisku nad brzegiem. Od rzeki ciągnęła lodowata poranna mgła, Qing wydawał się jednak nieprzejęty chłodem. Bakałarz żuł niesmaczną rybę, patrzył na mokre buty i przemoczony powyżej kolan chałat starca i zastanawiał się, czy to poza, czy też rzeczywiście mistrz nie zwraca uwagi na niewygody.

Spotkali się bladym świtem. Młodzie-

niec stukał bezskutecznie do drzwi chaty, kiedy usłyszał za sobą chlupot. Odwrócił się i ujrzał Qinga wynurzającego się z rzecznej mgły. Brodacz w jednej ręce dzierżył kostur, w drugiej bambusową wędkę i kosz pełen podrygujących ryb. Zignorował przywitanie bakałarza, pustym wzrokiem prześlizgnął się po jego umorusanym chałacie i odstawiwszy kosz, zniknął w szopie, by po chwili wyjść, uginając się pod naręczem drew. Żelazo zazgrzytało o krzemień, trysnęły iskry; wkrótce na brzegu zajaśniało ognisko.

– Idziemy.

Xiao uniósł wzrok. Zamyślony nie zauważył, że Qing skończył już jeść; odsunął się w samą porę, by uniknąć ochlapania wodą z cebra. Ogień syknął, buchnęła para.

– A herbata, mistrzu? – wybąkał zaskoczony.

Starzec wreszcie zaszczycił młodzieńca

wzrokiem.

– Napij się wody – burknął, ujął kostur i ruszył wolno przed siebie.

– Żebyś wiedział, że się napiję – mruknał pod nosem Xiao w ślad za oddalającą się sylwetką. Wstał z zamiarem podejścia do brzegu, kiedy jego uwagę przyciągnął drewniany cebrzyk. Niewiele myśląc, złapał naczynie i podniósł do ust.

Paprochy i nieświeży smak omal nie przyprawiły bakałarza o wymioty. Z obrzydzeniem przyjrzał się zawartości cebra.

W wodzie pływały zawiesziste smugi i resztki trawy.

Rzucił naczynie na ziemię i plując gdzie popadnie, ruszył za starcem.

Świątynia mierzyła kilka na kilkanaście kroków. Czerwona farba płatami odcho-

działa ze ścian, wichry zerwały część dachówek. Skuteczniej niż glazurowane na zielono lwiątko stojące u wejścia wstępnie broniła przewrócona kadzielnica, zdobiona głowami smoków.

– Pisz.

Xiao o mało nie parsknął śmiechem. Trudno było o bardziej absurdalne polecenie. Stali u szczytu wzgórza, obok opuszczonej świątynki, wokół mając gęste chaszczki, wysmagane wiatrem sosny i poprzewracane kamienne tablice, bez papieru, pędzelków ani tuszu, a on miał pisać!

– Patrz tu.

Qing stuknął butem najbliższą tablicę. Xiao oderwał wzrok od górzystej panoramy i zmarszczył brwi.

FORMA NIE JEST RÓŻNA OD PUSTKI

Nigdy nie widział takiej kaligrafii. Znał pięć stylów pisma, ten był jednak niepo-

dobny do żadnego z nich.

– Napisałbym, mistrzu, lecz... – Rozłożył ręce, patrząc bezradnie na brodacza. Qing bez słowa wskazał splacheć błota pod przewróconym drzewem.

Bakałarz zachnął się, ale starzec najwyraźniej traktował polecenie poważnie. Xiao z trudem złapał rzucony znienacka kostur.

– Dobry kaligraf napisze nawet na wzburzonym morzu. – Qing po raz pierwszy uśmiechnął się, odsłaniając pojedyncze pieńki zębów, i spoczawszy z widoczną ulgą na zwałonym pniu, bacznie obserwował młodzieńca.

Pogadamy, jak wrócimy nad rzekę, pomyślał Xiao, ale podszedł i nakreślił pierwszą linię. Ledwo zdążył oderwać kostur od błota, kiedy mistrz wyrównał je butem.

– Źle.

Gbur, wariat, a do tego kabotyn, pomyślał wściekle Xiao i spróbował ponownie.

Kilkanaście tablic i kilkaset prób później, gdy blade słońce chowało się już za horyzont, kostur wypadł bakałarzowi z omdlałych rąk. Qing zmierzył wyczerpanego adepta wzrokiem.

– Na dziś wystarczy.

Zmusiwszy obolałe ciało do jeszcze jednego wysiłku, Xiao podążył za starcem. Głodny i spragniony marzył tylko o pieczonej rybie z zimną wodą. Marzeń nie dane mu było spełnić.

– Jutro przed świtem. – Brodacz zatrzymał idącego machinalnie za nim bakałarza i wskazał samotną chatę. – Tym razem się nie spóźnij.

Zmęczenie przeszło Xiao jak ręką odjął. To już zakrawało na ciężkie kpiny.

– Jestem głodny, przemoczony, brudny, nie mam czym się okryć ani jak rozpalić

ognia – zaprotestował. – Jestem zaledwie nędznym bakałarzem, ale ojciec posłał mnie do ciebie, mistrzu, na naukę, nie po nauczkę!

Przez twarz Qinga przebiegł dziwny grymas. Milczał długo.

– Ognia ci nie trzeba – odezwał się wreszcie. – Rzeka nocami nie zamarza. Mam tylko jeden koc. Ryby możesz łowić sam. – Wyciągnął z rękawa haczyk z brązu i kłębek cienkiego sznurka. – Ale nie wolno ci ich piec.

– Mam jeść surowe ryby?!

– Nie zapalaj ognia – z naciskiem powtórzył starzec. – Możesz nałowić ryb, upieczemy jutro.

– Wybacz, mistrzu, lecz ja jestem głodny teraz! – Xiao był wstrząśnięty

– Powiedziałem! – krzyknął starzec i nagle zadygotał cały w ataku kaszlu. Ode-

pchnął próbującego go podtrzymać bakałarza i dłuższy czas rzeził zgięty w pół.

– Życie w luksusie – wydyszał wreszcie – jest jak zatrute wino. Pustelnik nie może sobie folgować. Inaczej niczego się nie nauczy.

Xiao chciał odpowiedzieć, że nie jest pustelnikiem. Że ogień i suche odzienie to żaden luksus. Że nic pustelnikowi nie przyjdzie z nauki, jeśli zemrze z głodu.

Nie odpowiedział jednak. Wolał nie ryzykować, że przy następnym paroksyzmie staruch kopnie w kalendarz księżycowy.

– Weź. – Qing doszedł wreszcie do siebie i wcisnął bakałarzowi kłębek do ręki. – Wstaniesz jutro przed świtem i nałowisz nam ryb. To będzie nauka.

– Ale ja nie potrafię! – sprzeciwił się Xiao.

– Nauczysz się. Inaczej obaj nie będziemy mieli co jeść – uciał starzec i odwrócił się. – I nie próbuj rozpalać ognia! – rzucił

jeszcze na odchodnym.

Xiao dygotał z wściekłości. Sznurek przyjemnie wypełniał dłoń; korciło rzucić kłębkem w plecy upartego dziadygi. Starszym winny jest szacunek, skarcił się w myślach bakałarz i zgrzytając zębami, ruszył do siebie.

Uciszywszy żołądek rzeczną wodą, położył się na macie i próbował zasnąć. Wyobraźnia natarczywie podsuwała obraz trzaskającego ogniska oraz pieczonych ryb; zmuszał się, by myśleć o czymś innym. Qing był bardzo stanowczy w kwestii rozpalania ognia. Młodzieniec zastanawiał się dlaczego. Wtem coś go tknęło. Wyszedł na zewnątrz.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł, ale skupisko chat, gdzie mieszkał starzec, dawało się łatwo odnaleźć. Tylko tam paliło się światło.

Poprzednio światło paliło się w środku nocy. Kto wie czy nie całą noc.

Może Qinga dręczyła bezsenność?

Może czekał na kogoś?

A może ogniem dawał temu komuś znaki?

Z głową pełną podejrzeń bakałarz wrócił na posłanie. Nie obawiał się, że zaśpi. Mógł liczyć na domagający się śniadania żołądek.

Jeśli chcecie się dowiedzieć, jak Xiao Long poradził sobie z łowieniem ryb, zapoznajcie się z następnym rozdziałem!

Rozdział 16

w którym Xiao Long wreszcie się najadł, a także odkrył okropną tajemnicę światła w domu mistrza Qinga

Złaź.

Skąła wrzynała się głęboko w rzekę, jej szczyt zwisał karkołomnie nad nurtem. Miejsce wyglądało na idealne do łowienia ryb. Ale Xiao brakowało przynęty.

Jeszcze księżyc nie zaszedł, kiedy obudziło go burczenie we własnym brzuchu. Spośród bambusowych żerdzi dobrał najcieńszą i najdłuższą i wyteżając wzrok oraz palce, zmajstrował wędkę. Wgramoliwszy się na skałę, uświadomił sobie jednak, że nagi haczyk nie wróży sukcesu.

Klął w żywy nefryt, gdy spod skały odezwał się Qing:

– Oddaj mi to.

Jak starzec zdołał podejść tak bezgłośnie, bakałarz nie miał pojęcia, lecz z ulgą pozbył się wędki. Mistrz wygrzebał z przybrzeżnego mułu kilka wijących się stworzeń i nie bacząc na wodę obmywającą mu stopy, stanął u brzegu.

– Weź drewno z szopy i przygotuj ognisko – burknął niewyraźnie.

Młodzieniec nie mógł się doczekać, kiedy rybna pieczeń dojdzie. Qing zaś dla odmiany przeciągał ceremonię nad śniadaniem. Pochłaniając przypieczone kawałki, Xiao nie myślał wcale o złośliwości starca. Chciał tylko się najeść.

Słońce dopiero wstawało, gdy podjęli wspinaczkę na wzgórze. Tym razem jednak zadanie było trudniejsze.

– Tutaj.

Rozlatujący się but Qinga wskazał czer-

wonawe pasmo ziemi pod ścianą świątyni. Młodzieniec nie widział w tym krzty sensu, ale karnie drapał kosturem oporny grunt. Wiedział, że na nic zdadzą się protesty.

Koło południa mistrz zezwolił na odpoczynek. Wyciągnął nawet suchy ryżowy placek, ale ku oburzeniu Xiao zaczął ciskać okruchy buszującym w zaroślach wróblom.

– Chciałeś mnie o coś spytać – stwierdził zniechęcony. Bakałarz milczał zaskoczony.

– Właściwie tak... – odparł wreszcie. Qing skinął zachęcająco. – Dlaczego wioska i świątynia są opuszczone?

Brodacz wydawał się niezadowolony z tego pytania.

– Od dawna nikt tu nie mieszka. Zająłem już puste chaty. Ale przecież nie to cię

ciekawo – dodał z irytacją.

Xiao umilkł, myśląc usilnie. Wróble zamakowały w okruchach, podchodziły coraz śmielej. Kobieta! – olśniło go naraz. Już otwierał usta, kiedy zniecierpliwiony starzec uciszył bakałarza gniewnym gestem. Ptaszki z furkotem wzbiły się w powietrze.

Siedzieli w ciszy. Wróble znów jęły się zbliżać. Qing wyjął okazały kłębek.

– Rozplącz to.

Po chwili w rękach bakałarza pojawiła się szeroka jedwabna siateczka, obciążona na krawędziach żłobionymi kamykami. Qing cisnął wróblom ostatni kawałek placzka. Rozgorzała walka na skrzydełka i dzióbki; zbitych ptaków zdawała się wrzeć. Starzec wziął od młodzieńca siatkę, a potem jednym płynnym ruchem przykrył nią całe stadko.

– Wracaj do pracy.

Xiao stłumił jęk i sięgnął po kostur. Na

dłoniach miał już pęcherze. Przyjrzał się wskazanej tablicy i jął mozolnie orać twar-
dą ziemię do wtóru panicznego ćwierka-
nia.

– Kiedy skopiujesz wszystkie tablice ze
wzgórza, zabiorę cię do Klasztoru Żółtego
Smoka, do sędziwego mistrza Ji, a gdyby
niedomagał, to do Klasztoru Niebiańskiej
Lutni, do mistrza Ma. To dwa dni drogi
stąd, na zachodnim krańcu tych wzgórz.
Tam będziesz kontynuował nauki.

Pałaszujący pieczoną wróblinę Xiao
omal się nie udławił. Cokolwiek nazbyt do
serca wzięłaś sobie, mistrzu, swe zadanie,
pomyślał. Pierwsza od trzech dni kolacja
osłabiła wprawdzie nieco mocne postano-
wienie bakałarza o jak najszybszym po-
wrocie, ale i tak zamierzał najdalej naza-
jutrz dać Qingowi jasno do zrozumienia,

że na nauce kaligrafii życie się nie kończy.

– Wiem, chłopcze, wolałbyś, żebym to ja uczył cię nadal – Qing najwyraźniej źle zinterpretował grymas młodzieńca. Ten nie zamierzał wyprowadzać go z błędu. – Nie-stety, nie mogę cię tu trzymać. Mam inne... – zawahał się – zobowiązania.

Bakałarz skinął głową. Najbezpieczniej było zmilczeć.

Qing rozejrzał się, zerknął w mroczne niebo i podniósł się ociężale.

– Weź jedzenie i idź już.

Nie czekając, wylał na ognisko wodę, bezceremonialnie zraszając przy okazji wciąż piekące się mięso, i zniknął w swej chacie.

– Nie zjadł Zheng, Zhangowi nie dał – stęknął młodzieniec, ale wziął resztki wróbliny i poszedł do siebie.

– Wybacz, czcigodny mistrzu, jam niegodny nauk u ciebie pobierać, umysł mój

nazbyt powolny... A, bambusowy kij ci w oko!

Xiao usiadł rozeźlony na macie i wpatrzył się w klepisko skąpane w dochodzącej przez otwór drzwiowy poświacie księżycy.

Przez ostatnie dwa dni mazał ideogramy błotem na ścianie świątyni oraz wyrzynał nożem na drzewach. W tej sytuacji trudno było mieć jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, czy stary jest przy zdrowych zmysłach. Do skopiowania została już tylko jedna, największa, tablica i bakałarz wolał nie myśleć, jak i na czym przyjdzie mu kaligrafować pradawne znaki. Trzeba było zmykać, póki czas. Tylko co powiedzieć Qingowi, by nie odmalował Xiao przed ojcem w najczarniejszych barwach?

Młodzieniec westchnął i położył się z powrotem. Na dodatek Yongxing nie leża-

ło za najbliższą groblą. Wprawnemu piechurowi samotne przemierzanie takich dystansów nie nastęczało zapewne trudności większych niż jedzenie drewnianymi pałeczkami, ale zasiedziałego w mieście, niskiego rangą pisarza sądowego na samą myśl przechodził dreszcz. Nie mówiąc już o tym, że bez cenzurki wystawionej przez mistrza Qinga nieukontentowany ojciec gotów odesłać syna z powrotem...

Głuchą ciszę zburzył krzyk.

Właściwie nie krzyk, tylko jęk, skowyt, wycie urwane w połowie, choć powietrze wibrowało jeszcze długo. Bakałarza zmroziło do szpiku kości. Wyteżył słuch. Zdało mu się, że słyszy plusk sennych ryb w rzece i szum lasu w lekkich podmuchach wiatru, ale kolejnego krzyku już nie usłyszał.

Dusząc w sobie strach, wstał i wyszedł ostrożnie na zewnątrz.

Okolica wyglądała tak jak przez ostatnie

noce. Księżyc świecił jasno, wyławiając z ciemności osrebrzone kształty chat, drzew i wzgórz. Xiao spojrział w kierunku domu Qinga.

Światło w oknie płonęło jak zwykle.

Chociaż nie; przyjrząwszy się, młodzieniec dostrzegł, że nieregularnie przygasa i jaśnieje, jakby płomień ustępował pod naporem wiatru lub we wnętrzu ktoś się poruszał.

Bakałarz przełknął ślinę, sięgnął za plecy i wyciągnął z pasa miecz. Ostrze wyprostowało się z jękiem.

Może Qing miał atak choroby?

A może ktoś go właśnie zabił?

Im bardziej Xiao się zbliżał, tym bardziej wątpił, czy migotanie, które dojrzał, nie było aby zwykłym złudzeniem. Światło w oknie jaśniało teraz nieruchomo. Lecz kiedy podszedł, nasłuchując, pod drzwi

chaty, porzucił wszelkie wątpliwości.

Qing nie był sam.

To mogła być kobieta, którą bakałarz widział tamtej nocy.

W jękach Qinga nie słyszał jednak rozkoszy.

Choć kto go tam wie.

Xiao zawahał się. Nie chciał nakryć starca na krzesaniu ognia. Po pierwsze dlatego, że Qing miał prawo použíwać sobie w jesieni żywota, a po drugie, bakałarz ja-koś nie był ciekaw szczegółów. Jeżeli jednak mistrzowi coś miało grozić...

Wycofał się i podszedł do okna. Manewrując czubkiem miecza, sięgnął przez oczko w kratownicy i ostrożnie przebił papier. Wstrzymując oddech, pochylił się i zajrzał przez szparę do środka.

Serce na jedną bolesną chwilę stanęło mu w piersi. Odskoczył gwałtownie w tył.

Rozdzianego Qinga sposobem odwróconego kwiatu ujeżdżała ogromna lisica.

Z wnętrza chaty dobiegł kolejny jęk starca. Xiao przemógł się i ponownie zajął do środka.

Mistrz leżał sam, z głową odchyloną za krawędź łóżka. Nie ruszał się.

Serce podeszło młodzieńcowi do gardła. Kurczowo ścisnął rękojeść miecza i ruszył ku drzwiom.

Były tylko przymknięte. Pchnął je i wszedł. Izbę z dwoma filarami pośrodku wypełniały zdeformowane cienie. Żelazny piecyk stał obok niskiego, zbitego z surowych desek łóżka. Poza nimi jedyny sprzęt stanowiła stara skrzynia. Podłogę zaścielały wystrzępione ryżowe maty.

Po lisicy ani śladu. Xiao podbiegł, usiadł na skraju łóżka i nachyliwszy się ku twarzy Qinga, wstrzymał oddech.

Starzec nie żył.

Ze ściśniętym sercem bakałarz podniósł

głowę i nagle drgnął. Oto bowiem, co ukazało się jego oczom:

piękna dziewczyna podchodzi powoli
spod ściany obok drzwi

nagie krągłe członki lśnią potem w blasku płomieni

stromo opadające ramiona kołyszą się
kusząco

stópki maleńkie jak pąki lotosu chybczą się na podłodze

czarne włosy opadają mokrymi pasmami
na szeroką twarz

przymrużone oczy ślą uwodzicielskie
spojrzenia

Xiao ledwo ochłonął ze strachu, by wpaść w rozpacz, a już próbowała nim owładnąć kolejna, jakże odmienna emocja. Ciało młodzieńca ulegało urokowi dziewczęcia, ale rozum kazał wyciągnąć przed siebie broń.

W okamgnieniu rozmarzony wyraz twarzy kusicielki ustąpił wstrętowi. Cofnęła

się, zakrywając drobne piersi rękoma, a potem odwróciła się i wybiegła.

Czerwona płachta spadła na oczy baka-
łarza. Zerwał się i rzucił w pościg.

*Jeśli ciekawi jesteście, czy Xiao złapał lisicę-czarownicę,
nie omieszkajcie przeczytać następnego rozdziału!*

Rozdział 17

w którym Xiao Long ściga lisicę i odkrywa przeraźliwe skutki jej czarów

Dziewczyna była już daleko. Xiao pędził ile sił w nogach, ale nim dobiegł do lasu, znikła między drzewami. Biegł jednak dalej. Jego wysiłek został wynagrodzony, kiedy między pniami mignęła drobna sylwetka. Wyteżył siły, była coraz bliżej, już widział targane pędem powietrza czarne kosmyki, już sięgał ku nim ręką, gdy stanął mu na drodze powalony pień. Młodzieniec gruchnął na ziemię, dłoń wypuściła miecz, z ust wyrwał się jęk. Korony drzew, czarne na tle rozświetlonych blaskiem księżyca chmurnych smug, zawirowały obłąkańczo przed oczyma bakalarza.

Długo się zbierał. Przemógłszy wreszcie ból stłuczonego golenia, odszukał miecz i stanął na nogi. Wokół miał tylko drzewa. Pnie zwierzały się w ciemność wypełnioną brzęczeniem cykad.

Potrząsnął głową. Skąd tu teraz cykady? Zaciskając przy każdym kroku zęby, ruszył przed siebie.

Po upadku stracił orientację. Wiedział tylko, że musi stronić od wzniesień; rzekę miał w dole. Grunt był jednak jak dotąd płaski. Gdy dotarł wreszcie do łagodnego stoku i jał z ulgą zmierzać w dół, zatrzymało go dalekie piskliwe wycie.

Nie, nie dalekie.

Bliskie. Coraz bliższe.

Z lasu poniżej na bakałarza ciągnęła ruchoma masa.

Morze długoogoniastych, ostropyskich lisów.

Zawrócił i rzucił się do ucieczki.

Stok piał się wyżej i stromiej, gałęzie chłostały po twarzy, zdradliwe pnącza łapały za chałat. Słyszał za sobą poszum i wrzask ścigających go lisów, coraz głośniejszy, coraz bliższy. I kiedy wypadł wreszcie na znajomy szczyt wzniesienia, miał już pewność, że osaczyły go od strony rzeki. Mógł tylko biec przed siebie, w głąb lasu, ku wzgórzom.

Albo schronić się w świątyni.

Jednym susem przesadził leżącą kadzielnicę, pochylił głowę, wsunął się przez wąski otwór do wnętrza, odwrócił na pięcie i z miejsca ciął przez łeb pierwszego rzucającego się do ataku lisa. Zwierzę – a może demon – bez życia padło na ziemię.

Skamląca chmara pobratymców niešťeśliwca cofnęła się i zamarła. Xiao oparł się o krawędź otworu, dysząc ciężko. Dziękował Niebiosom za szansę złapania oddechu przed atakiem, który – tego był

pevien – musiał niebawem nastąpić.

Wtem spomiędzy drzew wynurzył się kształt ogromnego lisa. Xiao przetarł oczy z niedowierzania. Zjawa znikła, zwierzęta rozstępowały się przed nagą dziewczyną.

Serce zabiło młodzieńcowi mocniej. Targały nim sprzeczne uczucia. Żądza, aby to ponętne ciało zdusić w uścisku, walczyła z chęcią zatopienia w nim miecza.

A najchętniej uczyniłby jedno i drugie.

Dziewczyna podeszła do kadzielnicy. Już unosiła stopę, by ją przekroczyć, kiedy bakałarz wyciągnął przed siebie miecz. Czarownica-lisica zatrzymała się.

Wkrótce osłabione dniami ciężkiej kaligrafii ramię Xiao opadło. W okamgnieniu lisy podeszły bliżej, a dziewczyna postawiła stopę na kadzielnicy. Młodzieniec momentalnie poderwał broń; lisy znieruchomiały, dziewczyna znowu przystanąła, za-

padła długa cisza.

Xiao postąpił na próbę krok naprzód. Z boku przyskoczył lis. Bakalarz odwrócił się i ciał go w kark, ale wtedy z drugiej strony zaatakowały dwa kolejne. Położył oba trupem, lecz dziewczyna już stała na kadzielnicy. Spojrzał w jej przepastne źrenice. Magnetyczne spojrzenie obiecywało niebiańskie rozkosze. Oszołomiony byłby opuścił miecz, ale wtem ujrzał oczyma wyobraźni Modry Lotos, swą ulubioną kurtyzanę. Cofnął się, z całej siły starając się zachować spokój.

Z jakichś względów oręż trzymał bestie na odległość. Wystarczyło jednak na moment ustąpić nieco pola, żeby już go nie odzyskać.

Chwilę rozważał, czy warto zaatakować dziewczynę bezpośrednio. Jeden ruch, jedno pchnięcie by wystarczyło. Nie wiedział jednak, co zrobią wtedy lisy. Atakowany z kilku stron naraz nie miałby szans.

Skoncentrował wzrok na czubku miecza. Celował w mrok pod twarzą dziewczyny. Starał się nie patrzeć wyżej. Ani niżej. W uszach huczała mu wzburzona krew i natrętnie bzyczenie cykad.

Nie wiedział, ile czasu upłynęło. Ramiona pulsowały bólem, naprężone nogi drżały ze zmęczenia. Bał się wykonać choćby najmniejszy ruch. Nie chciał zburzyć kruchej równowagi.

Naraz pośród lisów zapanowało poruszenie. Te czyhające na skraju stada chyłkiem czmychały do lasu, te stojące w środku rozglądały się, skowycząc nerwowo. Xiao nagle uświadomił sobie, że księżyc zaszedł. Świtało.

Większość lisów już umknęła. Korony drzew pojaśniały. Dziewczyna do końca stała na kadzielnicy i patrzyła na Xiao. Ten jak ognia unikał jej wzroku, błagając w

myślach, by wreszcie sobie poszła. I akurat kiedy pojął, że przecież teraz może zabić ją bez obawy, znikła. Ostatni lis uszedł do lasu. Bakalarz sapnął i padł wyczerpany na kolana. Miecz brzęknął o posadzkę świątyni, zwijając się w spiralę.

Gdy Xiao podniósł wreszcie ciężką głowę, na zewnątrz był już ranek. Po martwych lisach nie został nawet krwawy ślad. Wstał niemrawo, sięgnął po miecz i wtedy zobaczył.

Przy ołtarzu leżał trup.

Bakalarz potknął się i wypadł na zewnątrz. Miał już za dużo wrażeń jak na jedną noc, a dzień zaczął się od kolejnego wstrząsu. Ponownie zajrzał do wnętrza, dopiero kiedy promień wstającego słońca oświetlił kąt, w którym spoczywał mnich.

Opończa leżała obok wysuszonego na wiór nagiego ciała. Pożółkła skóra oblepiała ciasno czaszkę mężczyzny. Półotwarte usta zdawały się łapać powietrze albo...

krzyczeć. Xiao nie chciał widzieć więcej. Nie chciał, by widok trupa nawiedzał jego wspomnienia.

Z mieczem w dłoni jął schodzić ku rzece.

Jeśli chcecie wiedzieć, co Xiao Long zastał po powrocie nad rzekę, przeczytajcie rozdział kolejny!

Rozdział 18

o tym, czego Xiao Long się dowiedział i nauczył od mistrza Qinga

Qing leżał zwinięty w kłębek. W przy-
pływie nadziei Xiao podbiegł i potrząsnął
starcem. Ten poruszył się z Jękiem. Baka-
łarz czym prędzej nakrył go kocem i wy-
padł do szopy po drewno.

Ogrzany, napojony wrzątkiem Qing
uniósł powieki.

– Zabiłeś ją? – Kurczowo złapał Xiao za
rękę.

Młodzieniec potrząsnął głową. Przez
bladą twarz mistrza przemknął dziwny
grymas. Zamknął oczy.

– Biegłem za nią, dopóki lisy nie zaczę-
ły biec za mną – zaczął wyjaśniać baka-
łarz. – Schroniłem się w świątyni na wzgó-
rzu. Nie wiem dlaczego, ale mój miecz... –

zamilkł, bo Qing zapadł w sen.

Xiao opatulił go dokładnie i wyszedł. Trzeba było nałowić ryb, nakarmić starca, a potem wsiąść na wóz i wyjechać. Przed zmrokiem powinni być po drugiej stronie wzgórz.

Najszczerze chęci oraz najszczytniejsze zamiary młodzieńca okazały się niewystarczające. Kiedy po chacie rozniosła się wreszcie woń pieczonej ryby, pochodziła z jednej zaledwie sztuki.

– Nie wiedziałem, że to lisica... – odezwał się zniechęcony Qing.

Zaskoczony bakałarz podniósł wzrok znad piecyka.

– Taka piękna, piękna dziewczyna... Zbyt piękna... Potrafiła złamać moje ciało... Wiele lat trenowałem tajczy i techniki Drogi w Świątyni Czystej Siły przy Pałacu Cesarskim, potrafiłem czerpać roz-

kosz bez utraty żywotnej esencji... Ale ona...

Xiao zaczął rozumieć. Słyszał historie o czarownicach-lisicach nawiedzających samotnych mężczyzn, ale nie sądził, że osobiście przyjdzie mu poznać siłę lisich czarów.

– Podejrzywałem... Na odludziu... Zbyt chciwie spijała ze mnie eliksir żywota... Ale tyle rozkoszy nigdy nie zaznałem...

Zakrztusił się, gestem zażądał wody. Napojony gorącym płynem nabrał wigoru.

– A przecież kiedy przybyłem tu na wiosnę, znalazłem w chatach wysane trupy. Ile tych lisic było, nie śmiem stwierdzić. Jak żyję, nie słyszałem, by całą wioskę...

Bakałarz podał Qingowi kęs ryby. Starzec żuł długo.

– Ale kto to wie... Co innych, co mnie tknęło, by tu zamieszkać... Dobrze mi było w Klasztorze Żółtego Smoka. A jednak samotności chciałem zaznać, takiej, co nie

smutek, a mądrość przynosi...

Zjedli, ale bakałarz nie widział dobrego momentu, by zaproponować powrót. Coś mówiło mu, że zatopiony w głośnych rozmyślaniach mistrz jeśli nawet go usłyszy, to nie posłucha.

– Gdyby nie ty, wykorzystałaby mnie dziś do cna... Powiadali wprawdzie starożytni, że ta rozkosz... Że kiedy z ostatnich chmur spadną ostatnie krople deszczu...

Tym razem zamilkł na długo. Gdy się w końcu odezwał, patrzył Xiao prosto w oczy.

– Chciałeś mnie o coś spytać. Pytaj.

Bakałarz zaczerpnął powietrza. Reakcja lisów na miecz nie przestawała go nurtować. Już miał zadać pytanie, ale Qing był szybszy.

– Dobry cesarz Hongzu – odpowiedział sam sobie – oby żył dziesięć tysięcy lat,

doceniał mnie, ale eunuchowie... Moje kaligrafie wisiały w wielkiej sali audiencyjnej, moje zużyte pędzle adepci przechowywali niczym relikwie, lecz złych języków było zbyt wiele nawet jak na łaskawość Cesarza... Jedno tylko udało mi się przed banicją wybłagać.

Xiao uniósł brwi w udawanym zaciekawieniu. Myślał już, jak by tu delikatnie dać do zrozumienia, że pora się zbierać.

– Dzięki mnie twemu stryjowi darowano życie.

Młodzieniec wybałuszył oczy.

– Tego srebra, które przez nieuwagę straciłem ja, twój stryj i jeszcze kilku urzędników, skarb Cesarza nie mógł odczuć, ale znaleźli się szubrawcy, którzy na naszych karkach wspiać się chcieli wyżej. I się wspięli. Gdyby nie moje zasługi dla Syna Niebios, obaj dostalibyśmy żółty sznur. Udało mi się przekonać Cesarza, żeby mnie i twego stryja wygnał, zamiast

skazywać na samobójstwo.

Xiao słuchał z zapartym tchem. Nigdy nie zastanawiał się, dlaczego stryj, niegdyś tak chwalony przez ojca jako chluba rodu, odkąd wrócił w rodzinne okolice, przestał być wskazywany za przykład. Teraz wiedział.

– Ostatniego dnia pobytu w Pałacu musieliśmy uczestniczyć w samobójstwie naszych przyjaciół. Dwaj wypili opium, dwaj udusili się złotą folią, a piątemu musieliśmy wyjąć spod nóg krzesło. Twój stryj miał przezornie zaoszczędzone dość srebra, by osiąść z rodziną na wsi, ja jednak tułałem się od klasztoru do klasztoru... Niegdyś miałem wszystko, dziś nie mam nawet trumny... – zamilkł znowu.

– To dlatego mój ojciec... – wyrwało się myślącemu gorączkowo bakałarzowi.

Qing pokręcił głową.

– Twój ojciec to dobry człowiek i wielki ma szacunek dla mądrości, ale swemu bratu nigdy nie dorównywał. Ponadto zbyt wielką ufność pokłada w przełożonych, a to nader często znaczy, że nie dorasta do kariery. Stąd lubiany jest powszechnie, lecz stanowisk wysokich nigdy nie zajmował... Widzisz... – stary zebrał się w sobie – cesarz Hongzu dobry jest i mądry, ale wszyscy, co niżej, rzucenia psom niewarci.

Ostatnie słowa wypowiedział ze wstrętem, co podkreślić chciał splunięciem. Brakło mu jednak siły, by posłać plwocinę na ziemię, zakrztusił się tylko i długo rzeził, nim odzyskał głos.

– Ministrowie, gubernatorzy, cenzorzy, sędziowie nie myślą wcale o pomyślności całego Cesarstwa, o dobrobycie ani szczęściu ludzi... Interesuje ich tylko prywatnie. I to nie taka jak twego stryja, trochę srebra dla dobra rodziny... Ich ciągnie do wielkich bogactw, do zemsty, do sławy, do ko-

biet, do wpływów. Dążą do wojny, bo dla wojny cesarski skarbiec zawsze stoi otworem... Jeszcze przejrzysz, chłopcze, na oczy... A wtedy być może jak ja wybierzesz chatę nad brzegiem i samotność...

Xiao chciał coś powiedzieć, lecz zmilczał. Po co miał burzyć spokój starca, który widać dorobił sobie do swej banicji całą ideologię. Zamiast tego zaproponował:

– Mistrzu, ojciec mój rad by już pewnie usłyszeć o mych skromnych postępach. Jeśli teraz na wóz wsiądziemy, będziemy z dala od lisów, zanim zmrok zapadnie...

Starzec znów zamilkł na długo. Wreszcie odparł cicho:

– Brak mi sił. Zbyt wiele esencji straciłem. Niebawem umrę.

Coś w oczach Qinga kazało bakałarzowi nie protestować.

– Jutro rano pojedziesz do najbliższego

klasztoru po kapłana. Powiesz, że chcę być spalony. Niech wszystko przygotują. Dzisiejszą noc przetrzymamy. Przynieś mi papier, tusz i pędzelki.

Wskazał zaskoczonemu Xiao skrzynię. A jednak można i tak pisać, pomyślał bezwiednie młodzieniec, podając mistrzowi tradycyjne przybory piśmiennicze.

Mimo najlepszych chęci Qing nie był w stanie rozetrzeć laseczek tuszu. Bakałarz zrobił to za niego.

– Patrz – Qing powrócił do swej zwykłej zwięzłości i zaczął kaligrafować.

Dla Xiao był to tydzień odkryć. Przez ostatnie dni poznawał szósty styl pisma, o którym nie miał dotąd pojęcia, a teraz na jego oczach starzec kreślił styl siódmy, najbardziej zawiły i najdziwniejszy z dotychczasowych.

– Nauki pobierałem za młodu u beziennego mnicha w Smoczych Wrotach daleko na zachodzie... Tak poznałem potęgę

gę kaligrafii... Przywraca ona związek znaków ze światem, z którego się wywodzą... Wywołuje ruch sił harmonijnych lub przeciwnych... Łącząc znaki, wykradamy tajemnice duchom wszechświata... – prze-rwał dla nabrania oddechu. – Jeśli spisziesz zaklęcia jednym z pięciu stylów, osiągną ćwierć mocy. Jeśli spisziesz zaklęcia naturalnym stylem, którego cię nauczyłem, zaklęcia osiągną połowę swej mocy. Jeśli spisziesz je świętym stylem, który właśnie widzisz, osiągną jej pełnię... Zapamiętaj to...

Bakałarz przytaknął, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia, o jakie zaklęcia chodzi.

Starzec skończył kaligrafować. Potem polecił:

– Przepisz je w tylu kopiach, na ile wystarczy papieru. Potem spal kilka, popiół

wymieszaj z wrzątkiem, trzeba wypić. Resztą objij ściany, drzwi, okno.

I padł wyczerpany na wznak, oddychając chrapliwie.

Xiao jęknął. Skrzynia była do połowy wypełniona kartami. Z westchnieniem ujął pędzelek i jął pracowicie kaligrafować. Kopiowanie niezwykle interpretowanych ideogramów wciągnęło go jednak tak bardzo, że podsycając od czasu do czasu ogień pojedynczą szczapą, nie zauważył nawet, jak za oknem nastał mrok.

Qing wreszcie się ocknął. Widząc niezliczone kopie ideogramów, sapnął i pokiwał z uznaniem głową.

– Masz do tego dryg, chłopcze. Gdybym ja miał czas...

Ich uszu dobiegły szmery i szelesty. Otaczały chatę. Znieruchomieli obaj. Bakalarzowi przebiegł po grzbiecie zimny dreszcz. Spojrzał na mistrza z nadzieją, ale błyskawicznie ją stracił.

Jeśli chcecie się przekonać, dlaczego Xiao Long stracił nadzieję, czytajcie dalej!

Rozdział 19

w którym Xiao Long zmierzyć się musi z lisimi czarami i uzyskuje niezwykłą pomoc

Stuk! Stuk! Stuk!

– Nie zdążyliśmy – wymamrotał starzec. W twarzy nie miał już ani kropli krwi.

Stuk! Stuk! Stuk!

Xiao zerwał się i wyciągnął z pasa miecz.

Stuk! Stuk! Stuk!

– Gdyby przy bramie piekła stał odźwierny, wiecznie by musiał klucz obracać – szepnął Qing, wbijając wzrok w sufitowe belki.

Stuk! Stuk! Stuk!

– Xiao – starzec po raz pierwszy zwrócił się do bakałarza po imieniu – zostaw mnie. Ona nie...

Drzwi pękły z chrzęstem. Rozległy się obmierzłe skamlenie i wycie. Do środka wdarł się wicher, kratownica w oknie trzasnęła i ustąpiła, karty papieru zawirowały w rozwścieczonym powietrzu, a potem strumieniem wyfrunęły na zewnątrz. Reszta zajęła się ogniem od paleniska, przez kilka chwil rozświetlając pomieszczenie dzikim płomieniem.

Wiatr ucichł. Pierwsze do chaty weszły lisy. Wkrótce wypełniały każdy zakamarek oprócz łóżka, na którym nad leżącym starcem stał Xiao z wyciągniętą bronią.

Kiedy wydawało się, że w środku nic już się nie zmieści, otwór drzwiowy wypełniła sylwetka dziewczyny. Lisy rozstały się posłusznie. Podeszła do łóżka. Xiao wziął zamach, gotów do zadania śmiertelnego ciosu, gdy jego ciałem targnął potężny skurcz. Z jękiem wypuścił

miecz z dłoni i upadł na podłogę pomiędzy zwierzęta.

Niezliczone zęby wyszczerzyły się poły-skliwie. Chciał zasłonić ręką gardło, ale nie mógł się ruszyć, bezradny niczym przysłowiowy karp w wyschniętym stawie, niczym krab pozbawiony odnóży. Dziewczyna nachyliła się nad nim. Urodziwą twarz zaciemnił mroczny uśmiech. Pulchna, krótkopalca dłoń dotknęła policzka młodzieńca, potem szyi, sunęła w dół, rozchyliła chałat, musnęła pierś, niżej...

Oblicze czarownicy wykrzywił ból, spo-między kuszących warg dobył się krzyk. Odskoczyła w tył, a za nią lisy.

...Niechaj strzeże twego serca...

Amulet od przeora Klasztoru Niebiań-skiego Tygrysa wibrował, emanując ku sercu bakalarza pulsującym ciepłem.

Dziewczyna odwróciła się do starca. Jej słudzy otoczyli wciąż bezwładnego Xiao, ale trzymali się odeń na piędź. Z najwyż-

szym trudem przekrzywił głowę.

Nie było już dziewczyny. Na łóżko mistrza Qinga wskoczyła ogromna lisica.

Sparaliżowany Xiao zamknął oczy, uszu jednak zamknąć nie mógł. Aż do środka czaszki wbijał mu się świdrujący krzyk, lecz nade wszystko dychawiczny jęk, w którym agonia mieszała się z rozkoszą.

Zapadł w dziwny trans, słysząc, ale nie słuchając, co się wokół dzieje. Dopiero szum i poruszenie kazały mu otworzyć oczy. Kiedy poczuł wokół siebie tupot łap uciekających lisów, wrócił do pełnej świadomości.

Pomieszczenie płonęło. A przynajmniej jeden z jego kątów. Lisica właśnie zeskakiwała z łóżka. Nie spojrzała nawet na leżącego bakałarza. Pazurzasta łapa omal nie nadepnęła na bok młodzieńca, ale w ostat-

niej chwili cofnęła się. Czarownica opuściła chatę.

Płomień wspinał się coraz wyżej po drewnianych ścianach. Bakalarz zdołał unieść głowę, ale członki wciąż nie chciały go słuchać. Wytężając całą siłę woli, podniósł się na jednym łokciu.

Na łóżku leżał Qing.

Czy raczej to, co zeń zostało.

Przypominał trupa mnicha ze świątyni.

Tylko skóra ciasno opinająca kości była szara, nie żółta.

Xiao zawył z wściekłości, rozpacz, bezsilności. Płacząc, z trudem przewrócił się na brzuch. Boleśnie skrzywiony, zdołał wyciągnąć drżącą dłoń po leżący pod ścianą miecz, a potem jął się czołgać ku drzwiom.

Nim dotarł do progu, dogoniło go nieznosne ciepło. Wypęłwszy na zimną ziemię, czuł, że musi odpocząć, lecz żar i trzeszczenie poddającej się konstrukcji ka-

zały mu przecć ku rzece. Kiedy zanurzył wreszcie dłonie w mule, zakręciło mu się w głowie.

Dwie kobiety, dwie twarze nachylają się niżej i niżej...

Spod czułego uśmiechu jednej przeziera lisi pyszczek,
zatroskane oblicze drugiej prześwituje pustymi...

Zakrztusił się, parsknął zimną wodą. Uniósł głowę i zanosząc się kaszlem, odczołgał od brzegu. Za nim płonęły już wszystkie chaty. Blask pożaru rozświetlał noc na czerwono.

Amulet wystygł.

Świątynia spłonęła szybko. Xiao wciągnął w płuca znajomy zapach spalenizny i

spojrzał w dół.

Ciągnące się od wzgórz do wzgórz pola wyglądały spokojnie, ale bakalarz wiedział, że to tylko złuda. Ileż nieszczęść musiało się tu wydarzyć, nim wioska opustoszała. I zdarzały się wciąż, jeśli tylko ktoś postanowił zająć wyludnione chaty.

Kuśtykając, zaczął schodzić. Pożar zniszczył wóz, przy rzece czekała jednak ocalona szkapa.

Po domu Qinga i sąsiednich pozostało pogorzelisko, lecz wzdłuż drogi w kierunku przełęczy stało jeszcze wiele chat oferujących zwodnicze schronienie, a w nich być może ciała czekające na pochówek.

Puszczenie wioski z dymem wyglądało na rozwiązanie obu problemów.

Przynajmniej dopóki ktoś nie rozpali nocą ognia pod gołym niebem.

Na pewno nie domyślacie się, jak Xiao Long radził sobie po powrocie do jamenu, sięgnijcie więc po następny rozdział!

Rozdział 20

o tym, jak Xiao Long najpierw przeżył rozczarowanie, potem ujrzał nieszczęście, a wreszcie nabrał podejrzeń

Jesteśmy na miejscu, panie!

Xiao odgarnął zasłonki i skrzywił usta. Lodowaty wicher wywiał z dzielnicy kwiatów i wierzb wszystkich przechodniów. Rozczarowany wygramolił się z lektyki.

Wypłacając tragarzom słońą stawkę, nie przestawał w duchu przeklinać zimowej aury. Elegancki palankin, czterech kulisów, nowy jedwabny chałat i takiż czepiec, a pod bramą przybytku Baixue zamiast hałaśliwego tłumu spragnionych wieczornej rozrywki swawolników hulał tylko wiatr. Cały kosztowny szpan na nic.

Tragarze odtruchtali z pieniędzmi, kuląc

się z zimna. Bakalarz czym prędzej podszedł do wrót wyjątkowego w okolicy, bo piętrowego budynku, zastukał kołatką w kształcie zwierzęcego łba i poszedł za służką wzdłuż ponurego dziedzińca ku przepastnym pomieszczeniom.

W ciepłym mroku, przesyconym poświatą wielobarwnych lampionów padającą na zdobione filary i ażurowe ścianki, zabawa trwała w najlepsze. Nowy nabytek Baixue, szesnastoletnia Bukiet Kwiatów, stała na stole i śpiewała „Tonąc w chmurach”, dwie kurtyzany akompaniowały jej na księżycowych lutniach, trzy tancerki płaśły zwiewnie na środku sali, a goście pili, jedli, śmiali się i rozbierali dziewczyny wzrokiem, szykując się do lubych potyczek. Pieśń Bukietu Kwiatów słyszał każdy, ale nikt jej nie słuchał.

*Nie lękam się wiatru z zachodu.
On chmur tych nigdy nie przegna,
w których zapadłam za młodu
i z rozkoszą wnet utonęłam.*

*Nie lękam się wiatru z południa.
On chmur tych nigdy nie zmiecie,
w biel których wtulam się co dnia
i w których szczęśliwa zasypiam.*

*Nie lękam się wiatru ze wschodu.
On chmur tych nigdy nie spędzi,
do których chowam się chłodu,
gdy żar we mnie zbyt rozgorzeje.*

*Lękam się wiatru z północy,
bo on te chmury rozwieje,
pieszczotę ich kłębów odbierze
i gdzie ja się wtedy podzieję?*

Jak spod ziemi przed Xiao wyrosła Ba-ixue. Twarz kurtyzany, sławnej niegdyś w

całym powiecie jako Śnieżna Piękność dzięki cerze gładkiej niczym świeży śnieg, dziś pokryta była siecią głębokich zmarszczek.

– Witaj. – Skinęła głową. Młodzieniec nie należał do tych, którym trzeba oddawać najniższe pokłony. – Spocznij, proszę, i wychyl czarękę herbaty. Zawołam, kiedy tylko Modry Lotos będzie gotowa.

Służka postawiła przed bakałarzem dzbanek herbaty ze smażonym na miodzie kumkwatem. Sącząc gorący napar, Xiao patrzył na czarującą Bukiet Kwiatów, ale widział tylko Modry Lotos. Nie każdy ma kurtyzanę na wyłączność, pomyślał z satysfakcją.

Zdażył się już zniecierpliwić, gdy wreszcie Baixue przesłała mu upragniony sygnał. Zapłacił i jak na skrzydłach wbiegł na galeryjkę na piętrze. Poprawił na sobie

chałat, odetchnął i wszedł do komnaty kurtyzany.

Dziewczyna siedziała na rzeźbionym krześle, z haftowaną poduszką pod plecami i łokciem wspartym o lakowany stoliczek. W złocistym bezrękawniku, z barwiczką na ustach i bielidłem na twarzy wyglądała niczym bohaterka opowieści o konkubinach dawnych cesarzy. Na widok Xiao podniosła się z wdziękiem. Zaszumiała fałdowana spódnica, błysnęły kolczyki z nefrytu. Bez słowa pociągnęła bakalarza do sypialni.

Usiedli na łóżu osłoniętym muślinową moskitierą, rozdzieleni stoliczkiem, na którym stał już porcelanowy dzbanek z migdałową herbata, talerze z gęsimi żołądeczkami, płaty jesiota i węgorza. Ze stojącej obok kadzielnicy dobywał się zapach drewniak sandałowca, a piecyk żarowy emanował przyjemnym ciepłem. Zaczynało się pogodne a leniwe preludium burzliwej i

wyczerpującej nocy.

Xiao sięgał właśnie po ostatni kawałek ryby, a Modry Lotos po lutnię, kiedy na korytarzu rozległy się pijackie głosy.

– ...bez znaczenia! Mój towarzysz ma ochotę spędzić dziś noc z Modrym Lotosem!

Bakałarz struchlał. Znał ten głos. Aż za dobrze.

Zza cienkiej ściany dobiegła stłumiona odpowiedź. To Baixue starała się załagodzić sytuację, ale nadaremnie.

– Mój dzień czy nie mój dzień, moja jest kurtyzana i ja nią rozporządzam! Jak możesz odmówić człowiekowi, który bywał tu jeszcze, kiedy sama musiałaś śpiewać?

Podniesione głosy wybuchły ze zdwojoną mocą. Mężczyźni wdarli się do komnaty i ruszyli w kierunku sypialni.

– Modry Lotos, wstawaj! Przyprowadzi-

łem ci nowego wielbiciela...

Sędzia Chu na widok Xiao zachwiał się i stanął jak wryty. Bakalarz zamarł z rybą złapaną w szczypce pałeczek. Kurtyzana wtuliła głowę w ramiona. Ciężkie kroki ucichły w pierwszym pokoju.

– Mówiłaś, że śpi... – wymamrotał Chu, odwracając się do Baixue. Staruszka milczała. Znać było, że kalkuluje, jaką strategię obrać. Raptem zgięła się w ukłonie, od którego zaskrzypiał jej wiekowy kręgosłup.

– Wybacz, czcigodny panie! Ciężkie czasy nastały, nowe domy kiełkują w mieście niczym fasola mung w wodzie! Cóż miałam robić ja, prosta rajfurka, jak tylko znaleźć zamożnych patronów...

– Mój pisarz sądowy zamożnym patronem? – Chu parsknął śmiechem, lecz zaraz spoważniał. – Modry Lotos była moja na wyłączność. Mieliliśmy umowę.

– Wybacz, panie! – Baixue, klęcząc, za-

miatała już nosem podłogę. – Nie mam nic na swe usprawiedliwienie poza widmem nędzy, jaka zajrzała mi w oczy...

– Dość tych bzdur! – Chu zazgrzytał zębami i odwrócił się do Xiao. – Od kiedy gzisz się z tą bezwstydną ścierką? Gadaj!

Bakałarza przeszedł dreszcz. Czuł się zdradzony i oszukany, ale wyzwiska należały się stręczycielce, nie Modremu Lotosowi. Przełknął ślinę i drżącymi palcami włożył sobie do ust ostatnią porcję ryby.

– Od dawna – wymlaskał, markując spokój.

Oczy Chu rozbłysły wściekłością.

– Jeszcze się policzymy – warknął i obróciwszy się chwiejnie, wyszedł, potrącając Baixue. Po chwili kroki obu mężczyzn ucichły.

Staruszka podniosła się i z dezaprobatą spojrzała na bakałarza.

– Niedobrze sędziemu odpowiedziałeś, panie, bardzo niedobrze. Wściekły teraz będzie, dom mój nieprędko odwiedzi...

– A odwiedzał od kiedy? – przerwał Xiao.

Rajfurka schyliła głowę w ukłonie.

– Sytuacja zmusiła mnie do szukania bogatych patronów...

– Pleciesz! – Xiao dość miał kłamstw. – Od jak dawna Chu odwiedzał Modry Łotos?

Baixue nie zdołała ukryć błakającego się po jej ustach uśmiechu.

– Od dawna, panie, od dawna...

Urażony bakałarz odwrócił się do kurtyzany. Patrzyła nań z iskierkami rozbawienia w oczach, głaszcząc od niechcienia lutnię. Otworzył usta, by zwymyślać obie kobiety, kiedy nagle złość ustąpiła miejsca obojętności.

– Wystawiasz barani łeb, a sprzedajesz psie mięso – rzucił chłodno do Baixue. –

Nie spodziewajcie się prędko mej następnej wizyty.

Odwrócił się i wyszedł szybkim krokiem.

A przecież kto czyta poezję, ten wie:

*Pułapka na mężczyzn
mroczna niczym grotą.
Mury jak więzienne,
ciała jak w kostnicy.*

*Kto kupuje miłość,
ten niechaj pamięta:
zapłaci przy bramie,
zapłaci za bramę.*

Przecierając zaczerwienione z niewyspania oczy, Xiao wszedł do taniej lektyki. Miasto było na nogach już od świtu, ale pracownicy jamenu mieli pewne przywile-

je. To petenci powinni czekać na sąd, nie sąd na petentów.

Kulisi dreptali przez miasto, niemiłosiernie trzęsąc i podrzucając pasażerem. Kiedy skręcili w główną arterię, spowił ich gwar i odór tłumów. Lektyki i palankiny wszelkiej klasy, handlarze obciążeni nosidłami, jeźdźcy oraz zwykli przechodnie sunęli we wszystkich kierunkach, przepychając się, krzycząc, nawołując bezustannie. Przez ciżbę wokół spinających obie strony drogi łuków ceremonialnych, gdzie pomiędzy wysokimi filarami i pod zdobnymi okapami rozkładali swe towary straganiarze, ledwo można było się przecisnąć. Xiao chętnie zaciągnąłby zasłonki, lecz jego lektyka składała się tylko z dwóch żerdzi bambusowych i siedziska z deszczułek.

Mimo podrygiwania byłby się zdrzemnął i rymnął na ziemię wprost pod stopy i kopyta, gdyby nie zmiana w tonie głosów

ulicy. Wrzawa nie była już beznamiętnym szumem. Zaczął ożywiać ją jeden cel, jedno uczucie. Bakalarz podniósł głowę. W samą porę.

Z okazałej bramy mijanej rezydencji ściągano właśnie zwłoki wisielca.

– Z tego to już się nie wywinie, rozwiążły birbant!

– Przeklęty Sun, cóż on musiał temu biedakowi zrobić!

– Teraz mu się dobiorą do skóry.

– Jakież straszne nieszczęście pchnęło tego człeka do zemsty?

Tłum szemrał na tę samą nutę. Nie było nikogo, kto patrzyłby w innym kierunku i kto nie podejrzewałby właściciela rezydencji, niegdyś wysokiego urzędnika, a dziś wpływowego bogacza, Suna, o wszystko, co najgorsze. Jakżeby inaczej, skoro na całej ulicy, wzdłuż której ciągnęły się same

ponure budynki o mrocznych dziedzińcach, posiadłość notabla była jedyną z ogromnym ogrodem, pełnym ozdobnych drzew, których wierzchołki z pychą wystawały ponad wyniosły mur.

Xiao patrzył, jak miejscy strażnicy ściągają ciało, i rozmyślał nad najbliższą przyszłością. Nie czuł się na siłach spędzić całego dnia na asystowaniu sędziemu Chu i spisywaniu zeznań, ale zapewne to właśnie go czekało.

Kiedy ciało odwieziono wreszcie spod bramy, tłum zaczął powoli rzednąć; wracano do zwykłych zajęć. Lektyka ruszyła ślamazarnie naprzód, lecz całą drogę Xiao słyszał zewsząd te same złorzeczenia pod adresem Suna. Ulica będzie miała o czym rozprawiać przez kilka najbliższych dni.

W bramie jamenu Xiao o mało nie zderzył się z gońcem.

– A dokąd tak pędzisz? – zagadnął młodzieńca. Jun był rówieśnikiem Xiao i dale-

kim krewnym Chu, a zarazem całkiem sympatycznym chłopakiem. Sędzia sprowadził go do jamenu kilka tygodni wcześniej.

– Na rynek, ogłosić wyniki śledztwa! – wydyszał zapytany.

Bakałarz zmarszczył brwi.

– Jakiego śledztwa?

– W sprawie samobójcy w posiadłości pana Suna!

Xiao uniósł brwi.

– Jak to, już? Kiedy tu jechałem, dopiero...

– Nie mam czasu, kazano mi ogłosić wyniki jak najszybciej! – Chłopak skrzywił się przepaszająco i zostawił skołowanego bakałarza sam na sam z myślami.

– Sędzia wzywa – rzucił krótko strażnik i zniknął.

Xiao z westchnieniem odstawił czarę, którą właśnie odnosił do ust. Od pierwszych chwil w swym gabinecie oczekiwał wezwania, a kiedy wreszcie nadeszło południe i uznał, że może spokojnie napić się herbaty, przypomniał sobie o nim. Chcąc nie chcąc wstał i wzięwszy przybory do picia, udał się do gabinetu Chu.

Sędzia przywitał pisarza spojrzeniem lodowatym niczym szczyt Świętej Góry Heng w środku zimy.

– W nocy pewien sklepikarz nazwiskiem Peng powiesił się na bramie posiadłości czcigodnego Suna – zaczął oschle. – Powodem była kradzież, jakiej dokonał jeden ze sług Suna, Wei, w jego sklepie. Pozbawiony środków do życia Peng podjął postanowienie o zemście na Weiu. Oto jego list. – Wskazał leżącą na biurku kartkę. – Powiesił się, wierząc, że jako duch wymierzy złoczyńcy sprawiedliwą karę. Nad ranem znaleziono Weia martwego.

Sprawa jest zamknięta. Werdykt już ogłosiłem publicznie.

Xiao sięgnął po list. Zawierał tylko krótkie oskarżenie pod adresem Weia i solenną przysięgę, że nie ujdzie on sprawiedliwości na żadnym ze światów.

– Żeby formalnościom stało się zadość, muszę zadać Sunowi kilka pytań. Przy okazji poinformuję go o umorzeniu śledztwa z powodu śmierci winowajcy i jego ofiary. Bądź gotów do wyjazdu. Poślę po ciebie. – Odprawił pisarza ruchem ręki.

Herbata zdążyła ostygnąć. Xiao sączył letni napar i rozmyślał. Tempo, z jakim sprawa została zamknięta, było niezwykle. Ale też Sun nie był zwykłym mieszkańcem Hengshanu.

Jeśli chcecie się dowiedzieć, jak wyglądała rozmowa sędziego Chu z czcigodnym Sunem i co o niej myślał Xiao Long, przeczytajcie następny rozdział.

Rozdział 21

o tym, jak Xiao Long bierze sprawy w swe ręce, ale daje siedziemu Chu ostatnią szansę

Pan Sun już czeka.

Dwaj słudzy zgięli się w ukłonie. Chu i Xiao ominęli murek chroniący przed demonami i udali się w głąb posiadłości. Nawet teraz, kiedy zieleni prezentowała się szaro i brzydko, w stawach zamiast pomarańczowych rybek pływała kasza lodowa, a z kwiatowych donic sterczały suche baidyle, obszerne, z rozmachem zaplanowane i dobrze utrzymane ogrody robiły wrażenie. Jeszcze większe robiły reprezentacyjne altany i pawilony, których wywinięte na krawędziach ku górze granatowe dachy

dumnie godziły w ołowiane niebo.

Właściciel – zwalisty, zadbany mężczyzna o długich paznokciach godnych urzędnika pałacowego – przyjął ich na progu budynku głównego, odziany w kosztowny chałat przewiązany jaspisowym pasem. Miał już swoje lata, ale wciąż trzymał się krzepko. Towarzyszył mu chudy mężczyzna w średnim wieku, jak się okazało, rządca De. Przywitali się wylewnie z Chu; na Xiao nawet nie spojrzeli.

Wewnątrz dostatek wyzierał z każdego kąta. O wielkich tradycjach rodu Sunów świadczyły wspaniałe pośmiertne portrety przodków. Malowanych jedwabnych parawanów nie powstydziliby się w swym apartamencie żaden gubernator, zwoje z górskimi pejzażami wyszły niewątpliwie spod pędzelka najprzedniejszych malarzy, a na meblach spocząć mógłby wzrok samego cesarza.

Nic dziwnego zatem, że i podarki, jakie

Sun przyszykował dla sędziego, mogły przyprawić o zawrót głowy.

– Czcigodny sędzio, wybacz marność mych darów – kajał się notabl, kiedy słudzy wnosili kolejno zwoje jedwabiu przetykanego złotą nicią, misternie rzeźbione nefrytowe pucharki, srebrne posążki Nieśmiertelnych, zbiór dzieł literackich, pałeczki z kości słoniowej i jaspisowy pas ze złoceniami. – Ośmielam się przekazać ci owe nędzne przedmioty, wierząc, że przydadzą się chociaż dla służby.

Chu długo się wzbraniał, by wreszcie ze łzami zaskoczenia i wdzięczności w oczach przyjąć dary. Potem usiedli wreszcie; podano herbatę i przekąski. Tak chyba musi smakować Sześciokrotny Pokój, składowana w daninie cesarzowi, pomyślał Xiao po pierwszym łyku. Prawdę rzekłszy, nie zdziwiłby się, gdyby właśnie tę niezwykle

drogą herbatę miał teraz przed sobą. De udał się do swych obowiązków, a Chu zaczął z notablem zwyczajową rozmowę o niczym. Dopiero kiedy sługa zmienił dzbanek, Sun zmienił i temat.

– Jesteś tu, dostojny sędzio, w sprawie służbowej. Nie mam sumienia marnować twego cennego czasu na trywialne pogaduszki.

– Ależ, czcigodny panie, dla tak skromnego urzędnika jak ja to zaszczyt móc rozmawiać z tak wybitną osobą – zachnął się Chu.

– Niemniej pozwolę sobie przejść do rzeczy. Chodzi, jak sądzę, o owego niešťczęśnika, który dokonał żywota na mej bramie? – Notabl westchnął refleksyjnie.

– W rzeczy samej. – Chu skinął na pisarza. Xiao zdjął z taśmy przy pasie pędzelek, przygotował papier i trochę niepewnie rozłożył na cennym stole kamień ścierny i laseczki tuszu, dając znak słudze, by przy-

niósł trochę wody. – To tylko formalność, sprawę uznałem już za zamkniętą, niemniej wymogom prawa musi stać się za-
dość. Otóż śledztwo wykazało, że to twój
sługa, niejaki Wei, był sprawcą całego za-
mieszania...

– Zdrada zaufanego sługi boli nie mniej
niż jego śmierć. – Sun pokiwał głową w
zadumie. – Wei służył mi wiernie przez
wiele lat, lecz dopiero te jakże ponure oko-
liczności ukazały mi jego prawdziwe obli-
cze.

– Czy znaleziono już dobra, jakie ów be-
zecnik ukradł był samobójcy Pengowi?

– Niestety nie. Zleciłem dokładne prze-
szukanie posiadłości, ale jak dotąd niczego
nie znaleziono. O ile jednak wiem, przez
ostatnie kilka dni Wei nie sprawował się
najlepiej, znikał na całe dnie i wracał pija-
ny. Podejrzewam, że roztrwonił łup na ko-

biety, wino i hazard.

Xiao roztarł wreszcie tusz i zaczął gorączkowo notować.

– Jak umarł Wei? – ciągnął Chu.

– Zamknął oczy prawdopodobnie nad ranem. Słudzy zauważyli jego brak, kiedy wszyscy wylegli na dziedziniec, po tym jak zaalarmowano nas o wisielcu na bramie. Znaleziono go w łóżku. Poprzedniego dnia też wrócił pijany, być może zmarł z przepicia albo...

– Albo? – podchwycił sędzia.

– Albo duch Penga dokonał błyskawicznej zemsty – dokończył Sun. – Kazałem opłacić mnichów, by zanosili modły za całą mą rodzinę i służbę. Nabyłem również przedmioty strzegące przed złymi duchami.

Odślonił kołnierz chałatu. Na tęgiej szyi wisiały nefrytowe amulety pokryte ochronnymi symbolami.

Chu uśmiechnął się.

– Tyle chciałem wiedzieć. Xiao Longu, wracaj do jamenu i wpisz zeznania pana Suna do końcowego raportu. Mają być gotowe, kiedy wrócę! Złożę pieczęć i jak najszybciej pošlę raport do gubernatorstwa.

Notabl przywołał sługę. Xiao pokłonił się, ale Sun zignorował pożegnanie.

Im bliżej bramy prowadził bakałarza sługa, tym silniej Xiao czuł, że musi coś zrobić. Przesłuchanie było farsą, wersja z Pengiem wieszającym się z powodu kradzieży dokonanej przez sługę Suna nie miała krzty sensu. Wolał nie myśleć, co działo się teraz w gabinecie Suna, ale wizja piętrzącej się przed Chu sterty kolejnych „nędznych” darów narzucała się sama. Jak to mówią o ludziach wpływowych, pawilon nad wodą pierwszy kąpie się w blasku księżyca. Fundamenty pawilonu Suna stały wprost w rzeczonym nurcie.

– Gdzie mogę obejrzeć ciało Weia? – wyrzucił wreszcie z siebie Xiao. Starał się pytać rzeczowo, lecz obawiał się, że głos mu zadrżał.

Sługa zatrzymał się i spojrzał zdziwiony. Bakalarz potrząsnął gniewnie papierami.

– Mam opisać zwłoki. Do raportu sędziowskiego.

Mężczyzna skinął głową.

– Tędy.

Zaprowadził pisarza do jednego z bocznych pawilonów. Prostota wystroju, wręcz ubóstwo świadczyły jasno, że to pomieszczenia dla służby.

Wei leżał w obskurnym pokoiku, na starych drzwiach wyjętych z zawiasów. Twarz okrytego złachmanioną kołdrą mężczyzny zasłaniał kawałek pomiętego białego płótna.

– To tylko chwilka. – Xiao uspokajająco skinął słudze i ściągnął zasłonę.

Wei był stary. Tak stary, że pewnie jedna jedyna wizyta w przybytku rozkoszy skończyłaby się dlań śmiercią na miejscu. Bakalarz przewyciężył wstręt i nachylił się ku sieniej twarzy trupa. Nie wyczuł alkoholu. Spod boków zwiotczącej szyi wypełzały niebieskofioletowe plamy, na grdyce widniały ciemne sińce. Nagryzmolił na kartce kilka ideogramów i jak gdyby od niechcienia odgarnął kołdrę. Nagie, wychudzone ciało straszło wyraźnie zarysowanymi pod skórą kośćmi, boki tułowia pokrywały plamy, łokcie były otarte. Zasłonił zwłoki i skinął na służę.

Dopiero kiedy wyszedł na ulicę i wszedł do lektyki, pozwolił sobie na stłumione przekleństwo.

– Przekaż to Junowi, niech pośle z najbliższą pocztą.

Chu odłożył pędzelek i podał Xiao opieczętowany raport. Widząc, że bakałarz nie kwapi się do wyjścia, rzucił opryskliwie:

– Na co czekasz?

Młodzieniec wziął głęboki oddech.

– Wybacz, panie, śmiałość, ale... Wei nie okradł Penga.

Chu zmrużył kpiąco oczy.

– Co ty powiesz! Skąd ten wniosek?

Bakałarza zabolalo szyderstwo w głosie sędziego, ale nie dał po sobie nic poznać.

– Po pierwsze, dlaczego Peng po prostu nie wniósł na Weia skargi do sądu? Pan Sun nie angażowałby się w obronę pospolitego złodzieja, po co więc odbierać sobie życie, skoro karę Weiowi wymierzyłby sąd? Po drugie, po świecie chodzą już chyba prawnuki Weia. Ostatnia rzecz, jaka powstałaby w głowie tak starego i schorowanego człowieka, to kradzież, nie mówiąc o...

– Skąd wiesz, że Wei był stary? – prze-rwał cicho sędzia.

Coś w wyrazie twarzy Chu powiedziało pisarzowi, by nie zdradzał, że samowolnie dokonał oględzin ciała.

– Pan Sun powiedział, że służył mu wiele lat...

Chu odchylił się w krześle.

– Co do winy Weia nie ma wątpliwości. Peng jego właśnie oskarżył...

– Samobójcy zwykle piszą listy na skórze – przerwał Xiao. – Papierowy list mógł podłożyć...

– Nie brnij w to, chłopcze. – Głos Chu stwardniał niczym yinduńska stal po zahartowaniu w cieple jeńca. – Sun jest bardzo ustosunkowany i fałszywie go oskarżając, możesz mu się narazić. Nie mam tyle władzy, by cię osłonić.

– Nie chcę nikogo oskarżać. Chcę jeno dojść prawdy – zaprotestował Xiao.

Chu wskazał palcem raport.

– Prawda jest tutaj. Ofiara i przestępca nie żyją. Sprawa zakończona.

– Kiedy byliśmy dziś w posiadłości pana Suna, nie mogłem jednak oprzeć się wrażeniu, że...

– Dość! Dość! Powiedziałem, że masz to zostawić! – ryknął Chu i walnął pięścią w biurko. – Sprawa jest za-koń-czo-na! – wycedził. – Zabieraj raport i nie pokazuj mi się na oczy przez najbliższy tydzień! Albo lepiej dwa! – Nieuznającym sprzeciwu gestem wskazał bakałarzowi drzwi.

Xiao wyszedł z bijącym sercem i płonąca twarzą. Półprzytomny z gniewu odszukał Juna, przekazał mu raport i wyszedł ochłonać na ulicę.

Straszliwe podejrzenie nabierało wszelkich znamion prawdy. Musiał jeszcze tylko ustalić dwie sprawy.

Czy na skórze Penga znajdują się znaki i co mają do powiedzenia jego krewni.

Bo o tym, że stary Wei zginął uduszony,

nie wątpił już wcale.

Jeśli chcecie wiedzieć, jak Xiao Long ustalał obie te sprawy, zapoznajcie się z następnym rozdziałem.

Rozdział 22

w którym Xiao Long ogląda nieboszczyka i udaje się do jego domu, gdzie spotyka pewnego Luia i otrzymuje niezwyklej podarek

Na dziedzińcu ucichło. Sędzia pojechał na noc do siebie, w jamenie zostało tylko dwóch strażników. I pisarz, zakopany w dokumentach w swym gabinecie.

Xiao na wszelki wypadek odczekał jeszcze trochę, a potem skierował się do kostnicy. Sprawa została zakończona, więc rodzina mogła już odebrać zwłoki, ale nie uważał, by do jamenu ktoś przyszedł po ciało.

Kostnica znajdowała się na tyłach zespołu budynków tworzących hengshański jamen. Tak jak przypuszczał, w pobliżu nikt się nie kręcił. Strażnicy nie ruszali się

z wartowni przy bramie i pewnie grali w madżonga. Bakalarz podkręcił płomień w lampce olejnej i wszedł do budynku.

Coś smyrnęło po podłodze. Xiao zatonął światłem krąg i tupnął kilka razy nogą. Potem podszedł do leżącego na ceglanej podłodze Penga, kucnął i drżącą ręką nachylił lampkę. Szczury zdążyły już napocząć członki, ale tułów pozostał jeszcze cały. Bakalarz lustrował zsiniałą skórę Penga piędź po piędzi, starając się nie patrzeć na zniekształconą twarz nieboszczyka ani nie myśleć, że ma przed sobą zwłoki samobójcy, którego duch być może wciąż krąży po okolicy.

Na brzuchu Penga widniała ciemniejsza plama. Bakalarzowi wystarczyło jedno dłuższe spojrzenie, by nabrać pewności. To tu znajdował się napis, który następnie wbrew prawu zatarto. Nachylił się jeszcze

bardziej. W świetle pełgającego płomyka starał się odcyfrować ostatnie słowa samobójcy. Ale ktokolwiek zbeczczył ciało zmarłego, dobrze wykonał swą robotę. Po ideogramach zostały tylko blade cienie.

Oczy pisarza zaczęły łzawić. Prędeż oślepnę, niż cokolwiek odczytam, pomyślał, i miał już wstać, kiedy błędzącym wzrokiem trafił na opuchnięte oblicze Pen-ga.

Xiao poczuł, jak coś ściska go w gardle. Ten człowiek targnął się na własne życie, by wymierzyć karę za zło. Czegoś takiego nie robi się bez powodu. Teraz knowania nikczemników były na najlepszej drodze do zniweczenia tego chwalebego zamiaru.

Podkreślił płomyk i ponownie nachylił się nad rozmazaną plamą. Wpatrywał się w cienie po ideogramach, nie zważając na cisnące się do oczu łzy. Obrócił się, by zobaczyć napis spod innego kąta, i wtedy to do-

strzegł.

Jeden ideogram.

Był prawie pewien.

Żona

Pokrzepiony wpatrywał się w plamę jeszcze jakiś czas, ale bez skutku. Wreszcie dał za wygraną. Wyszedł, nie oglądając się za siebie. Wziął z gabinetu trochę listów, by upozorować zaległą pracę, i zajął do wartowni.

– Wychodzę – ogłosił, jakby było oczywiste, że wciąż jest w jamenie. Zaskoczenie strażników wnet zastąpiła źle skrywana wrogość.

– Jeszcze jedno. – Xiao zignorował nieprzyjazne spojrzenia. Znał ich przyczynę. I rozumiał. – Ten wisielec rano... Przyjdzie poń rodzina?

Jeden ze strażników odezwał się z wyraźną niechęcią:

– Był tu jego ojciec dzisiaj po południu, ale mieliśmy przykazane od sędziego, żeby dać mu dwadzieścia razów ciężkim kijem i przegnać.

Xiao głośno wciągnął powietrze. Mimo wszystko nie spodziewał się czegoś takiego po Chu.

– A gdzie on mieszka? – zapytał po chwili wahania.

Strażnik wygiął niecierpliwie usta, ale zniechęcony odezwał się drugi:

– Mają sklep na ulicy Zielonej Topoli. Sprzedali mi tam kiedyś imbir cały wygniły w środku.

Xiao opuścił jamen. Nie życzył strażnikom spokojnej nocy. Wiedział, że i tak nie odwzajemnią pozdrowienia.

Wszyscy w jamenie, może poza Chu, którego to niewiele obchodziło, i Junem, który pracował tu od niedawna, obwiniali

bakałarza o śmierć strażników Chenga i Denga. Xiao nie miał im tego za złe. Sam wiedział, że jest winny. Choć przestał już winnym się czuć.

Pawilon w rezydencji Suna.

Bakałarz obudził się przeświadczony, że całą noc śnił jeden obraz: przytulony do muru z jednej i osłonięty cyprysami z drugiej strony pawilon. Kiedy był z Chu u Suna, nie widział tego budynku, ale styl, w jakim został wzniesiony, i kolor dachówek nie pozostawiały wątpliwości.

Zdumiał się, gdy sługa powiedział mu, że ulica Zielonej Topoli znajduje się zaledwie dwie przecznice dalej. Ranek był zimny i wietrzny, jednak zrezygnował z lektyki i ruszył na piechotę.

Sklepik Penga z przyprawami znajdował

się na rogu. Szyld i pęczki produktów wiszące na drzwiach Xiao musiał widzieć codziennie w drodze do jamenu, lecz dotąd nie zwrócił na nie uwagi. Kiedy patrzył na spuszczone okiennice i zaryglowane drzwi, podszedł doń zażywny grubasek w obcym chałacie.

– Właśnie się dowiedziałem. – Mrugnął porozumiewawczo. – Trzeba chyba będzie zaopatrywać się u Krzywego Changa, ale tam jakości nie można być pewnym...

Xiao przytaknął niby w zadumie, grając na czas. Musiał się zastanowić, co odrzec. Grubasek mówił o czymś, o czym Xiao nie miał najbliższego pojęcia, ale co mogło mieć znaczenie.

– Stary Peng jest? – bąknął wreszcie.

Grubasek pokręcił głową.

– Byłem u nich przed chwilą, ze służką rozmawiałem. Stary Peng odszedł w nocy ku Zachodniemu Niebu. W sądzie był, pięćdziesiąt kijów dostał, cud, że do domu

zdążył się dowlec...

Xiao odłożył na później ustalenie, ile tych kijów naprawdę było.

– Źle się stało – rzekł smutno. – Cóż mi teraz począć?

Grubasek uśmiechnął się szeroko.

– Zapas jakiś u Penga powinien być, a jak nie, to ja mam jeszcze trochę na zbyciu. Lui jestem!

Wymieniwszy grzeczności, ruszyli wąskim, wilgotnym przesmykiem na tyły sklepu. Lui wszedł do środka bez zapowiedzi. Młodziutka służka siedziała na skotłowanym kangu i zapinała kubrak. Na widok grubaska spłonęła rumieńcem. Ożywioną musieli stoczyć rozmowę, pomyślał Xiao.

– Chao, ptaszyno, ten oto pan życzy sobie rozejrzeć się po asortymencie. – Nie czekając, wszedł do mrocznej sali sklepowej. Zgrzytnęły okiennice, do środka wpa-

dło szare światło poranka. Zanim jeszcze Xiao ujrzał wewnątrz sklepiku, już wyczuł, co w nim znajdzie. Bo oto:

z haków zwieszają się
kiście papryki
pęczki czosnku
wiązki grzybów;
półki, szafki i stoliki uginają się
od butelek z trunkami
dzbanków z sosami
tac i tacek z kardamonem
gałką muszkatołową
bryłkami aloesu
goździkami
cynamonem
imbirem
suszonymi rybkami
i setką innych wydzielających mocną
woń towarów

Na pierwszy rzut oka był to typowy sklep z przyprawami, Lui nie dał się jednak zwieść pozorom. Nucąc pod nosem,

podszedł do stojącej skromnie w kącie szafki i triumfalnie wyjął papierowe pudełeczko.

– Proszę! Niepotrzebnie się trapiłeś, po-hasasz dziś ze swą pięknością, że hej! Chodź, spróbujemy potargować się z dziewczyną.

Chao zdążyła się już odziać, ale wciąż rumieniła się pod bezpośrednim spojrzeniem Luia. Ten nie zakopywał jajek w ziemi.

– Byłem klientem Penga od lat, nie miałby mi więc za złe, gdybym odebrał sobie zamówioną i opłaconą wcześniej przesyłkę specjalną, prawda? – Służka machinalnie skinęła głową. – Wybacz, kwiatuszk, ale czas nam w drogę, więc...

– Chwileczkę – przerwał Xiao. – Gdzie leży stary Peng?

Skinęła brodą w kierunku bocznej izby.

Panowały tam kompletne ciemności, lecz bakałarz nie miał ochoty ich rozświecić.

– Czy ktoś z rodziny zajmie się ciałami?
– zapytał.

Chao w końcu otworzyła usta. Miała nieprzyjemny, jazgotliwy głos.

– Nie mieli w Hengshanie rodziny. Ale za parę dni powinien przyjechać przyjaciel pana Penga z towarem, może on...

– Chodźmy! – zniecierpliwił się Lui. – Pewnie nie wiesz, przyjacielu, jak trafić do Krzywego Changa, ale...

– Później – uciał Xiao i zwrócił się do służki: – Mieszkali sami? Nie mieli żon, rodzeństwa, konkubin?

Dziewczyna jakby skurczyła się w sobie.

– Młodszy pan miał żonę, ale... znikła dwa tygodnie temu. Podobno porwał ją jeden z klientów. Nic więcej nie wiem! – Wtuliła szyję w ramiona i spojrzała na bakałarza wzrokiem pełnym obaw.

– Peng powiesił się na bramie pana Suna. – Xiao patrzył jej prosto w oczy. – Na pewno o tym wiesz. Czy Sun zachodził tu do sklepu?

– Co to jest, przesłuchanie? – zaśmiał się Lui; bakałarz zignorował drwinę.

Służka skurczyła się jeszcze bardziej. Milczała. Młodzieńcowi mocniej zabiło serce.

– Przecież ślepa nie jesteś! Musiałaś go widzieć!

– Ja tu tylko sprzątam... – wybąkała dziewczyna.

– Nie bój się Suna, on już nie żyje – szyderczo rzucił Xiao i nagle zamilkł.

Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie powiedział.

Lui poruszył się nerwowo.

– O czym ty mówisz? Sun nie żyje?

Bakałarz potrząsnął głową.

– Żyje, żyje, chciałem tylko rzec, że... – nie dokończył. Nie wiedział, co chciał rzec.

– Musimy pogadać – mruknął Lui, złapał Xiao za rękaw i pociągnął na zewnątrz. – Uważaj z takimi słowami – rzucił ściszym głosem, kiedy szli w głąb ulicy Zielonej Topoli. – Sun to sukinsyn, ale ustosunkowany sukinsyn. Zna gubernatora i każdego wysokiego urzędnika w prowincji. Wszyscy wiedzą, że kładzie łapę na co zgrabniejszym tyłeczku, na którym spocznie jego oko. Stary jest, a wciąż jak mało kto jary, każdy głupi widzi, że zebrał w życiu sporo kobiecej energii. Ale porwania mu nie zarzucaj ani śmierci nie życz, bo nie wiesz, kto słucha.

– Peng powiesił się nie bez powodu – syknął bakałarz.

– Toż ja nie mówię, że Sun nie zbałamucił i żony Penga! Widziałem ją parę razy, Peng musiał chować dla niej jakieś specjal-

ne pigułki, bo inaczej nie wiem, jak ten biedak utrzymałby przy sobie taką ślicznotkę! Ale nie indaguj ludzi o to, bo skończysz jak stary Peng. Chyba że wcześniej powiesz się, jak młody.

Xiao wyszarpnął rękaw z uścisku Luia.

– Skąd to wszystko wiesz?

Grubasek parsknął.

– Ma się oczy i uszy, a we łbie trochę rozumu. Co ci przyjdzie z oskarżania Suna? On się ze wszystkiego wywinie, a ty tylko napytasz sobie biedy. A właściwie to dlaczego tak cię to rusza? – zaciekawiał się nagle. – Nie jesteś Pengom swat ani brat. Masz w tym jakiś interes?

Xiao machnął ręką.

– Muszę już iść. Wszystkiego dobrego.

– Odwrócił się, ale Lui zawołał:

– Czeka! A pigułki?

– Nie potrzebuję – warknął, lecz grubas

już wtykał mu pudełeczko w dłoń.

– Bierz, jak dają. Tu jest sześć pigułek. Jedna wystarczy na całą noc uciech, dwie sprawiają, że podołasz dziesięciu kobietom naraz, a po trzech umrzesz z rozkoszy. Podobno Sun brał dwie, a trzy kazał łykać swym oblubienicom!

Jakiś impuls kazał bakałarzowi wziąć pudełko. Odszedł bez pożegnania.

Jeśli ciekawi Was, dokąd udał się Xiao Long i co tam robił, przeczytajcie rozdział kolejny.

Rozdział 23

w którym dokonuje się pierwsza zemsta, a Xiao Long podejmuje wielkie ryzyko i odkrywa ponurą tajemnicę

W pawilonie na terenie posiadłości Suna czekało ostateczne rozwiązanie. Xiao był tego pewien. Kręcił się jednak po ulicy już czas jakiś i wciąż nie wiedział, jak bezpiecznie dostać się do wnętrza.

Okazałe wrota uchyliły się nagle, a pomiędzy nich wysunęło się siedem wspaniałych palankinów. Środkowy niosło aż sześciu tragarzy. Xiao szybko przewertował w myślach, co wiedział o rodzinie notabla. Wyglądało na to, że w posiadłości została tylko służba.

Pojawiła się oto szansa, by względnie bezpiecznie wejść na teren posiadłości. Wystarczyło powołać się na Chu. Słudzy musieli pamiętać, że wczoraj towarzyszył sędziemu. Ale coś kazało bakałarzowi przywołać najbliższą lektykę.

– Prosto. Potem powiem, gdzie dalej.

Dwaj tragarze ze stęknięciem podnieśli lektykę z niezdecydowanym pasażerem i ruszyli za orszakiem Suna.

Kiedy zobaczył zbliżający się mur Świątyni Trzciny Fajarki, poczuł ukłucie zawodu. Pewnie jada się modlić, stwierdził. Jednak nie kazał tragarzom zawracać. Wiedział, że być może traci szansę na rekonesans w posiadłości Suna, ale podskórnie czuł, że musi iść naprzód.

Palankiny zatrzymały się przed bramą świątyni. Xiao zapłacił i skryty w tłumie obserwował, jak z pojazdów wysiadają kolejno rządca De, cztery konkubiny Suna, jego żona i na końcu on sam. Gołym

okiem widać było problemy notabla ze spłodzeniem potomka.

Cała siódemka weszła do świątyni. Xiao podbiegł do jednego ze straganów ustawionych pod murem; za garść miedziaków kupił słomiany kapelusz i pęczek trociczek, by wraz z wiernymi wejść przez tłoczną bramę do środka.

Wszyscy oprócz Suna zdążyli już zniknąć w jednym z budynków. On sam zaś zagadnął jakiegoś mnicha, który w te pędy pomknął w głąb świątyni. Xiao zapalił trociczki i stanął między dymiącą kadzielnicą z brązu a notablem, udając modły.

Nie czekał długo. Do Suna podszedł odświętnie ubrany wysoki kapłan lub nawet sam przeor. Xiao przysunął się bliżej pograżonej w rozmowie dwójki.

– ...postaramy się temu zaradzić – mówił mnich. – Tylko codzienne modły i

szczodre datki dają szansę na odegnanie trapiących ciebie, panie, i twą rodzinę zmór.

– Dobra. – Bakalarza zaskoczył opryskliwy ton Suna. – To co mamy dziś tu robić i ile na was wydać?

– Jakikolwiek datek będzie mile widziany, choć nie mogę przed tobą, panie, ukrywać, że im mniejszy datek, tym słabszy skutek odniesie...

– Tyle srebra wystarczy?

Xiao zaryzykował zerknięcie spod kapełusza. Kapłan giął się unizenie, Sun zaś podawał mu dobrze wypchane sakiewki.

– Udaj się, panie, przed ołtarz. – Mnich wciąż się nie prostował. – Złóż Pięciokrotne Modły przed posągiem Zhanshenga, a potem Trzykrotne Modły przed posągiem każdego z pomniejszych patronów świątyni...

– Ile to wszystko potrwa? – burknął notabl.

– Nie dłużej, niż to konieczne, by modły przyniosły skutek. – Kapłan pokłonił się ostatni raz i wskazał Sunowi wnętrze głównej świątyni.

Xiao odczekał chwilę i wciąż ściskając w złożonych dłoniach tłące się trociczki, wsunął się do środka. Otoczył go mrok, intensywny zapach kadzidła i niezliczone czerwone szarfy zwieszające się z sufitu. Odniósł wrażenie, że olbrzymi złożony posąg Zhanshenga patrzy nań z dezaprobatą, ale oderwał wzrok od hipnotyzujących oczu i odszukał notabla.

Sunowie klęczeli u stóp figury, zanosząc Pięciokrotne Modły. Xiao odszedł w głąb sali i stanął przed pierwszym lepszym posągiem, pogrążając się w niby-modlitwie, by od czasu do czasu rzucać spojrzenia w kierunku Suna.

Pierwszy rytuał dobiegł końca. Cała sió-

demka udała się w powolny obchód. Posągów wszystkich patronów świątyni było dobre trzy dziesiątki.

Bakałarz wędrował od bóstwa do bóstwa, nie spuszczać Sunów z oka dłużej niż na kilkanaście uderzeń serca. Tym większe było jego zdumienie, kiedy poczuł na ramieniu ciężką dłoń.

– Myślisz, że cię nie poznałem, brudny kundlu?

Xiao odwrócił się i spojrzał prosto w nałaną, cuchnącą, szyderczo wykrzywioną twarz.

– Czcigodny pan Sun? – udał zaskoczonego, lecz mężczyzna zacisnął palce. Bakałarz skrzywił się z bólu, gdy długie, kręjące się paznokcie wraziły mu się w szyję.

– Tylko nie opowiadaj, że przybyłeś tu na modły. Widziałem twe chytre oczka, jak byłeś u mnie z Chu. Nie podobam ci się, co? Ty też mi się nie podobasz. I twoje szczęście, bo nie chcesz wiedzieć, co po-

trafię zrobić z takimi chłoptasiami.

Jeszcze mocniej zacisnął dłoń. Bakalarz szarpnął się konwulsyjnie, ale na próżno. Sun nachylił się i syknął mu prosto w nos:

– Teraz wyjdiesz i nigdy więcej nie będziesz się za mną kręcił. Gdyby nie to, że znam twego ojca, kazałbym Chu obić cię do krwi. Nie miałby żadnych skrupułów, zwłaszcza po tym, jak ośmieszyłeś go u Baixue. Znikaj!

Odepchnął Xiao od siebie. Młodzieniec zatoczył się i uderzył potylicą o metalową stopę posągu Zhong Kuia. Ból eksplodował w czaszce bakalarza, zmieniając strach w gniew.

– Panie Sun! – krzyknął w kierunku pleców notabla. Mężczyzna znieruchomiał, znieruchomieli wszyscy w świątyni. Sun odwrócił się powoli.

– Miałeś szansę, wszarzu – zaczął, ale

wtedy bakałarz przyskoczył i zerwał mu z szyi amulety.

Zaskoczony Sun złapał się za nagle ogołoconą szyję. W jego oczach błysnęła żądza mordy. Zamierzył się do ciosu, kiedy raptem świątynia zadrżała w posadach.

Modlący się nie zdążyli odzyskać równowagi po pierwszym tąpnięciu, kiedy nastąpiło drugie. Szarfy zafalowały, z sufitu poleciał kurz, podłoga pod Sunem zatrzęszczała i ustąpiła. Mężczyzna zapadł się po kolana.

– De! – wrzasnął. Xiao rzucił się w tył w samą porę, by umknąć uwadze nadbiegającego rządcy.

– Nie bój się, panie! – krzyknął przestraszony De. – Zaraz cię wyciągnę...

– Sam dam radę! – Notabl gniewnie odtrącił rękę rządcy. – Lepiej łap tego...

Kolejny wstrząs. Któryś posąg gruchnął na posadzkę, mężczyzna zapadł się do pasa. W jego oczach pojawił się strach.

Wyciągnął rękę do rządcy. Ten, nie zważając na lecące z sufitu odłamki, jał ofiarnie wyciągać swojego pana. Podbiegli doń dwaj mnisi. Wspólnymi siłami podciągnęli Suna, lecz wtedy stało się coś niewyobrażalnego:

z mieszaniny zgruchotanego kamienia i drewna wokół notabla wynurza się półprzezroczysta sylwetka człowieka

szkliste ramiona oplatają masywne ciało
jednym ruchem wyrywają je z uścisku ratujących

przeraźliwy krzyk Suna rozdziera stęchłe powietrze świątyni

mężczyzna wyciąga ręce do góry rozpaczliwym gestem

De i mnisi są już jednak poza zasięgiem notabl, skowycząc i wrzeszcząc, zapada się coraz niżej

szklana istota wciąga go nieubłaganie w

ziemię

gruz sięga Sunowi już do piersi

już do gardła

naraz krzyk urywa się jak ucięty nożem

jeszcze tylko ręce wystają z dołu

jeszcze dłonie szamoczą się rozpaczli-
wie

i wszystko cichnie

Żadnych więcej tąpnięć. Żadnych więcej krzyków. Tylko żona Suna jęknęła i upadła na ziemię.

Wtem coś zatrzeszczało, zadudniło i z ogłuszającym hukiem na posadzkę runął posąg Zhanshenga.

Albowiem powiada przysłowie: im cięższe drzewo, tym głośniejsze upada.

Xiao mimowolnie zamknął oczy. Kiedy je otworzył, w świątyni panował chaos. Krzyki rannych mieszały się ze szlochem przerażonych, kurz wirował w powietrzu, jedni wybiegali bez zmysłów, inni wbiegali z pomocą. Bakałarz przełamał osłupienie

i rzucił się do wyjścia.

W powstałym tumulcie zgubił nakrycie głowy i rozdarł chałat, ale poza tym zdołał cało przedrzeć się przez bramę niemal zablokowaną cisnącym się w obu kierunkach tłumem. Biegł, dopóki nie skręcił w ulicę, gdzie tragarze czekali na pasażerów, zamiast biec ku świątyni. Z trudem wydyszał adres i klapnął na deski siedziska.

Tak jak się spodziewał, informacja o katastrofie w Świątyni Trzcinowej Fujarki nie dotarła jeszcze w okolice posiadłości Suna. Miał niewiele czasu. Opłacił kulisów i zastukał do bramy.

Otworzyła młoda służka. Beznamiętnie wysłuchała przywitania Xiao, a potem bez słowa zamknęła mu drzwi przed nosem. Zdesperowany bakałarz miał już znów stukać, kiedy wrota otwarły się ponownie.

Tym razem stała w nich starsza, gruba służąca.

– Z jamenu? Po co? – rzuciła krótko.

Xiao stłumił przekleństwo, poza pędzelkiem nie miał ze sobą żadnych przyborów do pisania. Na zmianę scenariusza było już jednak za późno.

– Przysyła mnie sędzia Chu. Do końcowego raportu zamykającego śledztwo potrzeba jeszcze naszkicować topografię posiadłości. To potrwa tylko chwilę. – Uśmiechnął się sztucznie.

Służąca otaksowała go wzrokiem. Rozdarcie chałatu Xiao zdołał ukryć pod przyciśniętym do boku ramieniem, ale braku czepca ani blizny tuż pod linią włosów nie mógł zamaskować. Dobrze, że choć kok miał zgrabnie i ciasno upięty.

– A gdzie dokumenty do szkicowania? – zapytała, sceptycznie spoglądając na cienki pędzelek wiszący Xiao u pasa.

– Żeby nie zajmować cennego czasu,

posiadłość teraz obejrzę, a naszkicuję w sądzie. To jedynie formalność, szkoda kłopotać pana Suna...

– Pana nie ma w domu – oschle rzuciła kobieta, lecz uchyliła szerzej wrót.

Ku uldze pisarza do pilnowania gościa wyznaczyła młodą służkę. Dziewczyna snuła się za Xiao z wyrazem całkowitego znudzenia na płaskiej twarzy. Bakałarz udawał, że z uwagą bada każdy szczegół, ale tak naprawdę rozglądał się tylko za jednym.

Wreszcie jego wysiłki zostały nagrodzone. Położony na uboczu pawilon wyglądał dokładnie jak budynek ze snu. Teraz musiał w jakiś sposób pozbyć się dziewczyny.

– Przynieś mi kilka sztuk papieru do rysowania. O tuszu nie muszę chyba wspominać? – dodał z wyższością przystojąca urzędnikowi sądowemu. Zakładał, że

dziewczyna nie słyszała jego rozmowy z grubaską.

Nie przeliczył się. Służka obojętnie skinęła głową, po czym oddaliła się niespiesznie. Xiao rozejrzał się na boki i podszedł do pawilonu. Drzwi były zamknięte. Zaciśnął zęby i upewniwszy się, że jest sam, naparł na nie ramieniem. Zaskrzypiały, ale zamek nie ustąpił. W desperacji porzucił resztki ostrożności, cofnął się kilkanaście kroków i gruchnął w drzwi z rozbiegu.

Poddały się zaskakująco łatwo. W ostatnim momencie zauważył filar i złagodził uderzenie rękoma. Odetchnął i od razu tego pożałował.

Mdlący odór panujący w mrocznym wnętrzu przywodził na myśl zaplecze rzeźni w upalny dzień. Bakalarz wtulił nos w zgięcie łokcia i zaczął się rozglądać. Miał bardzo niewiele czasu. Dziewczyna mogła wrócić w każdej chwili.

Pawilon okazał się pusty. Znajdowały

się w nim jedynie cztery drewniane filary i trochę narzędzi ogrodniczych. Xiao obszedł wszystkie kąty, ale na próżno. Słychać było wyłącznie jego zduszony oddech i skrzypienie desek podłogowych.

Stuknął nogą w podłogę. Nie tylko niemożliwie wręcz skrzypiała, ale i wyglądała na zadziwiająco nierówną. Pochylił się i dotknął desek.

Dały się bez trudu oderwać, odsłaniając nagą ziemię. Pogrzebał w niej butem, potem chwycił pierwszą z brzegu deskę i zagłębił w podłoże.

Zatrzymała się na czymś twardym.

Złapał najbliższą ze stojących pod ścianą łopat i kilkoma ruchami wydobył na powierzchnię owalny przedmiot. Z niedowierzaniem strząsnął zeń resztki ziemi.

Poczuł falę mdłości.

Głowa.

A raczej pokryta odłóżającą skórą czaszka.

Przez jedno uderzenie serca stał, wstrzymując oddech, a potem rzucił łopatę w kąt i wybiegł na zewnątrz.

W samą porę przypomniał sobie o drzwiach. Kiedy oddzieliły go od cuchnącego mroku wnętrza pawilonu, usłyszał za sobą kroki.

Drżącymi rękoma wziął od dziewczyny tabliczkę tuszu i idąc w kierunku bramy, usiłował udawać, że coś kreśli. Obojętność służki ustąpiła miejsca podejrzliwości, kiedy nie rozrobił tuszu, tylko zwilżonym w ustach pędzelkiem szurał po papierze, ale zmilczała. Już zamykała za nim wrota, gdy przypomniał sobie, że wypada oddać niekniętą tabliczkę tuszu. Nie zareagowała na wypowiedziane łamiącym się głosem pożegnanie.

Jeśli frapuje Was, dokąd Xiao Long udał się z nową wie-

dza, nie przerywajcie lektury!

Rozdział 24

w którym obywatele miasta znajdują potwierdzenie swych przypuszczeń, zbrodnie układu prawie wychodzą na jaw i dokonuje się druga zemsta

Dobrze mu tak – skinęła Baixue i zapytała z wyczuwalną drwiną: – Coś jeszcze? Modry Lotos ma dziś klienta. Chyba że możesz przebić jego cenę.

Xiao zignorował szyderczą propozycję. Nie po to zmusił się do przyjscia tutaj, by dać się sprowokować byle uwagą i wyjść przedwcześnie.

– Jak często odwiedzał twój przybytek?

Rajfurka wydeła usta.

– Taki wielki pan? Od lat go nie widziałam. Chu musiał być porządnie upity, że go tu przyciągnął. Ma własne zaopatrzenie.

I dobrze.

– Dlaczego dobrze? Nie płacił?

Bakałarz widział, że kobieta zaczyna się niecierpliwić. Siedzieli w bocznym pomieszczeniu, lecz wyraźnie słyszeli odgłosy zabawy w głównej sali. Kiedy tylko przycichną, Baixue bez skrupułów porzuci gościa i uda się doglądać interesu.

– Świetnie płacił – odpowiedziała niechętnie. – Najlepiej. Ale kaleczył. Mnie oszczędził, bo byłam wtedy już najdroższą kurtyzaną w Hengshanie, jednak dla nowych dziewczyn nie miał zmiłowania. Jeśli żonę Penga potraktował podobnie, nie dziwię się, że ten się powiesił. W sądzie nie miałby przecież żadnych szans...

Nie po raz pierwszy Xiao miał wrażenie, że przekracza granicę znanego mu świata. Wszyscy zdawali się wiedzieć o zbrodniach Suna. I je akceptować.

– Ciała zakopuje na swej posiadłości – mruknął.

Baixue pokiwała głową.

– To doń podobne. Kiedy był u mnie ostatni raz, chyba w Roku Psa, chciał wykupić ciało dziewczyny, ale kazałam je spalić za murami miasta. Przynajmniej dostała namiastkę prawdziwego pogrzebu.

Xiao nie miał więcej pytań. A raczej ochoty, by czegokolwiek się dowiadywać.

W głównej sali przycichło, ktoś przema-
wiał pospiesznie, rozległ się szum.

Rajfurka bez słowa wstała i opuściła sal-
kę. Bakalarz podążył za nią.

Część klientów wybiegała w pędzie, po-
zostali siedzieli z wyrazem zdumienia na
twarzach. Baixue ostrym tonem zapytała
służkę, co się stało.

– Ciało pana Suna... wyszło na po-
wierzchnię... – wybąkała dziewczyna.

– Co ty mówisz? – podniosła głos Ba-
ixue, lecz Xiao już nie słuchał. Pobiegnął za

innymi.

Wieść obiegła miasto lotem błyskawicy. Każdy chciał naocznie przekonać się o prawdziwości pogłoski. I wyrazić swe wzburzenie.

Plotka nie kłamała. Kiedy Xiao przecisnął się w końcu przez rozgorączkowany tłum, jego oczom ukazał się posepny widok:

u zbiegu ulic na wysokość dorosłego mężczyzny wybrzusza się kopiec

kamienne płyty i glinę pokrywa krew

na szczycie karykaturalnie wykrzywiony

leży Sun

nie

raczej jego zmasakrowane zwłoki obwiązane jaspisowym pasem

Tłum był wzburzony. Tłum wyciągał wnioski. O pojawieniu się ducha w Świątyni Trzcinowej Fujarki wiedział już cały

Hengshan. Teraz wystarczyło skojarzyć fakty. Wszyscy pamiętali samobójstwo Penga poprzedniego dnia i błyskawiczny komunikat Chu o niewinności Suna. Ale duch nie mógł się mylić.

Bakałarz zaczął przeciskać się do tyłu. Dusza Penga została zaspokojona, lecz Xiao wciąż czuł w głębi duszy niepokój. Miał coś do zrobienia.

„...ponadto bezzasadnie skazał starego Penga na ciężką chłostę, co dla owego człowieka skończyło się śmiercią. Komitywa, w której sędzia Chu poprzestaje z Sunem, i wysiłki, jakie czyni na rzecz zatuszowania jego ohydnych zbrodni, hańbią prawo i stanowią żywotne zagrożenie dla ładu i porządku publicznego. Bo czyż domownik może czuć się bezpieczny, jeśli stróż wpuszcza do domu wilki i kasa razem z nimi?”

Oderwał pędzelek od papieru. Z ulicy

dobiegły stłumione krzyki. To rozganyo resztki protestujących. Oburzenie, jakie wybuchło na ulicach po wyjściu na jaw zbrodni Suna i Chu, ustąpiło miejsca panice, gdy sędzia wezwał na pomoc starostę. Konne oddziały szybko uporały się z miejską biedotą. Na ulice powracały ład i porządek. Tylko pozornie. Xiao znów chwycił za pędzelek: „Słuszny gniew, jaki ogarnął ludność miasta na widomy znak tych nieprawości, został bezlitośnie stłumiony. Sędzia Chu nie cofnie się przed żadną nikczemnością, by zachować stanowisko. Z tych względów niegodny jest piastowanej przez siebie funkcji, tak jak wąż nie nadaje się do pilnowania kaczek”.

Nie podał swego nazwiska, nie przybił pieczęci. Znajomości Suna i Chu mogły sięgać wysoko. Włożył list w stos zaległej korespondencji urzędowej i z pakunkiem

pod pachą wyszedł z gabinetu.

Pokazywanie się w jamenie wbrew wyraźnemu nakazowi Chu było ryzykowne, ale jeszcze bardziej ryzykowne byłoby wysyłanie jednego listu. Urzędnicy pocztowi z reguły nie przeglądali korespondencji sądowej, lecz pojedynczy list do cenzora i jego nadawca łatwo mogły utkwąć komuś w pamięci. Xiao wołał już bardziej się nie narażać.

Zanim wyszedł na dziedziniec, zatrzymał się i zlustrował plac. Na pewno nie chciałby spotkać teraz sędziego. Tłumaczenia zdałyby się na nic.

Uspokojony ruszył przed siebie, kiedy nagle usłyszał z boku znajomy głos:

– Trzeba było powiedzieć! Akurat jadę...

To był Jun. Wyprowadzał ze stajni konia. Z uśmiechem wskazał juki.

– Jeszcze trochę miejsca się znajdzie. Właśnie się zastanawiałem, dlaczego tak mało raportów z tego miesiąca...

Bakałarz zaklął w duchu. Jednak ostatnia rzecz, jaką chciał zrobić, to wzbudzić podejrzenia.

– Świetnie! Już się bałem, że będę sam się z tym tarabanił... – Z uśmiechem podał chłopakowi listy. Przez okamgnienie rozważał, czy nie zaproponować, że potowarzyszy mu w drodze do poczty, lecz porzucił ten pomysł. Nie było miejsca, nie było potrzeby, nie było zwyczaju. Było tylko ryzyko.

Jun odjechał, zostawiając bakałarza z próżnymi rękoma na pustym dziedzińcu, za to pełnego obaw. Do zrobienia zostało jedno – spakować się i wyjechać. Oficjalnie, by wykorzystać dwutygodniowe „wyznanie” na ćwiczenia kaligrafii w którymś z okolicznych klasztorów. Naprawdę, by przeczekać z dala od Hengshanu aż do przybycia inspekcji cenzorskiej.

Zbyt wielu świadków widziało, co duch Penga zrobił z Sunem, żeby Chu zdołał sprawę zatuszować. Ale przez te dwa tygodnie ktoś na pewno odkryje zerwaną podłogę w pawilonie, a słudzy przypomną sobie wizytę Xiao. Dopóki Chu nie zostanie pojmany, ryzyko było dla bakalarza zbyt wielkie.

Nie chciał myśleć, co będzie, jeżeli cenzor sprawy nie podejmie lub wręcz poinformuje o liście Chu. To oznaczałoby koniec. Jednak tak naprawdę Xiao miał już dość Hengshanu. W jakimś momencie przestał traktować stanowisko pisarza sądowego jako synekurę. Widział już zbyt wiele. I nie chciał przymykać oczu.

Przywołał lektykę i kazał zawieźć się do domu.

– To Xiao – zazgrzytał zębami Chu, odprawiając uśmiechniętego Juna. List latał mu w rękach.

– Ten gryzipędzelek? – De pokręcił z

niedowierzaniem głową. – Czy on się na rozum z bawołem wodnym pozamieniał?

Siedzieli rozparci na rzeźbionych w drewnie i kamieniu fotelach, odziani w białe żałobne szaty. Na stole obok stały wykwintne przekąski i drogie Żółte Wino. Od lamentów opłaconych płaczek terroryzujących swym wyciem posiadłości Suna i całą okolicę oddzielały mężczyzn grube drzwi wspaniałego gabinetu nieboszczyka.

Chu opanował wzburzenie i sięgnął po liczi świeżo sprowadzone z południa.

– Wszystko przejrzał, gnojek świński. Podałby mnie cenzorowi jak na tacy.

– Gdyby nie twój kuzyn...

– Zrobię go pisarzem. A Xiao...

– Znam odpowiednich ludzi. – De łyknął podgrzanego wina.

Sędzia poruszył się niespokojnie.

– To zbyt ryzykowne. Jego ojciec...

Obawiam się, że w rozpaczy mógłby narobić nam kłopotów. Lepiej go nie prowokować.

– Co więc proponujesz?

Chu chwilę wysysał owoce.

– Włamał się do pawilonu, są na to świadkowie. Jeszcze dziś każę go pojmać, osadzić w areszcie, obić kijem, połamać palce, może zmądrzeje. Porozmawiam z ojcem, po znajomości doradzę przypilnować syna...

– Nie wystarczy. – Rządca odstawił czarzkę. – Żywy pisarz może nam bardzo zaszkodzić.

– Przecież ci mówiłem... – zniecierpliwił się Chu, ale De uspokajająco podniósł dłoń.

– Mam lepszy pomysł. Banicja! Trzeba wysłać go karnie daleko stąd, gdzie łatwo o wypadek. Najlepiej na północ, do Wielkiego Muru. Rodzina dowie się z opóźnieniem, nie będzie mogła niczego dojść.

Twarz Chu wykrzywiła się w uśmiechu.

– Mam jeszcze lepszy pomysł. Niebiosa widocznie stoją po naszej stronie, bo w przyszłym tygodniu zdążyć będzie przez Hengshan na Dalekie Południe oddział posiłkowy Armii Cesarskiej. Na pewno przydałby im się wyedukowany pisarz. Wyślemy Xiao tam, gdzie o wypadek najłatwiej: na wojnę!

Nie bez racji powiadali starożytni:

Liu pije, a wołają, że Lui jest pijany;

Chciano ściąć morwę, a upadła wierzba.

Jeśli chcecie wiedzieć, czy knowania sędziego Chu i rządcy De odniosły skutek, zajrzyjcie do następnego rozdziału.

Rozdział 25

w którym upokorzony Xiao Long szuka wyjścia z matni i dokonują się kolejne zemsty

Byliście kiedyś w domu uciech Baixue?

Zamiast odpowiedzi rechot strażników zadudnił głucho w ciemnej celi aresztu. Słynny przybytek starej rajfurki nie był na rękaw przeciętnego mieszkańca. Siedzący na lodowatej posadzce, zakuty w ciężkie dyby Xiao w duchu dziękował Niebiosom, że nie trafił dotąd do znacznie surowszego miejskiego więzienia i że pilnowali go strażnicy nowi w jamenie, jeszcze parę dni temu podwładni starosty. Z ludźmi pamiętającymi Chenga i Denga nie zdołałby zamienić słowa.

– Mam tam znajomości. Nie zapłacicie nawet miedziaka.

Tym razem nie roześmiali się, lecz z ciekawieni spojrzeli z wysokości kamiennego podestu na siedzącego w dole bakalarsza. Prostaki, ledwo co nogi im po sadzeniu ryżu obeschły. Dotąd mogli tylko pomarzyć o ładnych, wprawnych i zadbanych kurtyzanach.

– Mam też coś specjalnego. Magiczne pigułki. Można dziesięć kobiet zmóc w ciągu jednej nocy i nie poczuć zmęczenia...

– Gdzie masz te pigułki? – wychrypiął niższy strażnik.

– W gabinecie.

Dokładnie opisał miejsce, gdzie tydzień z górą temu zostawił pudełko. Miał wszelkie prawo przypuszczać, że na niepozorny pakunek nikt nie zwrócił uwagi.

Skinąwszy głową, wartownik wyszedł. Xiao zgarbił się pod ciężarem drewnianych dybów i syknął boleśnie, kiedy plecami

dotknął chropawej ściany. Zajęty rozmową zapomniał na chwilę o obitym grzbiecie. Ale o upokorzeniu pamiętał cały czas.

Miał szczęście, że te kilka kijów, które dostał, ominęło pośladki i nogi. Wtedy mógłby tylko leżeć w udreće. Wiedział, co chłosta potrafi zrobić z człowiekiem. Pamiętał swój strach, kiedy strażnicy wlekli go na placyk jamenu. Gdy skończyło się na paru uderzeniach w plecy, z płaczem chciał dziękować Chu za łaskę. Teraz jednak nie czuł już tej wdzięczności. Poznał karę, jaką mu wyznaczono.

Na Wieży Bębnow wybijano właśnie Godzinę Szczura, kiedy strażnik wrócił, potrząsając pudełkiem. Razem z kompanem jęli badać zawartość.

– Co się z tym robi? – zapytał wreszcie wyższy.

– Połyka, a potem idzie z kobietą do łóżka – niecierpliwie wyjaśnił bakałarz. Miał coraz mniej czasu. Musiał zagrać na uczu-

ciach.

– Jutro jadę walczyć na Dalekie Południe. Za tydzień mogę już nie żyć. Takich domów uciech jak tu tam nie będzie. Dziś w nocy mam ostatnią okazję zażyć jakiejś ślicznotki.

Zarechotali, ale jakby sympatyczniej. Niższy mężczyzna łypnął cwaniacko okiem.

– A nie uciekniesz?

– No jak, z tym? – Xiao wymownie poruszył nogami. Brązowy łańcuch zagrzechotał o posadzkę.

– A jak z tym będziesz tej ślicznotki zażywał? – zaśmiał się wyższy, ale drugi uciszył go przekleństwem.

– Czyli mówisz, że to byłoby za darmo?
– upewnił się.

– Całkowicie – skwapliwie potwierdził bakałarz.

– Bierz. – Niższy podsunął młodzieńcowi pudełeczko. – No bierz! Pierwsi tego nie weźmiemy.

Xiao z udawaną pewnością siebie wziął pigułkę. Tak naprawdę nie miał pojęcia, czym są i jak działają te ciemne, obsypane cynobrem kulki. Musiał zaufać słowom Luia.

Środek był obrzydliwie gorzki. Gdyby nie gęsta ślina, która wezbrała mu ze wstępu w ustach, nie zdołałby go przełknąć. Strażnicy spojrzeli po sobie, a potem poszli w ślady bakałarza.

Nie mógł uwierzyć, kiedy zdjęli zeń ciężkie dyby, pozostawiając tylko kajdany na nogach, podnieśli i wyprowadzili z lochu. Wkrótce dwukołowy wóz wyjechał przez bramę jamenu na pogrążoną w nocnych ciemnościach ulicę. Mimo bicia, zamknięcia, kajdan i strachu, pętających jego wolę, Xiao wciąż miał szansę. Przy odrobinie szczęścia...

„Powinieneś dziękować sędziemu Chu, że był dla ciebie tak łaskawy. Służba na Dalekim Południu być może nauczy cię życia”. Słowa ojca wróciły z zakamarków pamięci, by popsuć jedyną radosną chwilę w ostatnich dniach. „Nie trzeba było zadzierać z Sunem”. I to, co zabolalo najbardziej: „Ludźmi takimi jak on można w sercu gardzić, ale na zewnątrz trzeba okazywać im szacunek”. Xiao przytakiwał, jak dobremu synowi przystało, ale teraz z gorczą wspominał ostatnią radę ojca. Przecież sam na pozór okazywał mu posłuszeństwo, choć w głębi duszy czuł kiełkujący bunt.

Przed przybytkiem Baixue było pusto, ale tym razem Xiao nie czuł żalu. Na widok wozu z trzema mężczyznami, w tym jednym ze spętanymi nogami, służka wydała pisk zdumienia. Xiao poczuł płomień

narastający w podbrzuszu, którego nie ugasiła nawet pomarszczona gęba Baixue.

– Jeszcze nie w górach Dalekiego Południa? – zaczęła kpiarsko, wpuszczając ich na dziedziniec, lecz na widok kajdan zrzędała jej mina.

– Zaprosiłem dwóch towarzyszy na miły wieczór – rzucił Xiao i z trudem zsiadł.

– Nie chcę kłopotów – Baixue zniżyła głos, cofając się kilka kroków.

– Nie będzie kłopotów. Zabawimy się, a rano grzecznie dam się odwieźć pod Północną Bramę.

Rajfurka popatrzyła ponuro, a potem skapitulowała i wpuściła całą trójkę do sali głównej. Była prawie pusta. Klienci rozeszli się już do pokojów, na ławach siedziało czy raczej leżało tylko dwóch gości, którzy w ramach gry wstępnej nadużyli trunków, w rogu sali spała tancerka.

– Mam jeszcze kilka wolnych dziewczyn – mruknęła stara. – Jest was trzech, to

będzie po...

– Już zapłaciłem – przerwał Xiao. – Kiedy przeszkodził nam Chu. Zapłaciłem za całą noc z twą najlepszą kurtyzaną, a zdażyłem jedynie zakosztować przekąsek. Niebawem świta, a tych dwóch zadowolą najtańsze dziewczyny – nie ściszył głosu. Strażnicy byli zbyt zajęci ślinieniem się na widok skulonej tancerki, żeby zwrócić uwagę na rozmowę. Xiao też poczuł ciepło na widok odsłoniętego biustu śpiącej.

Rajfurka chwilę przetrawiała te słowa. Wreszcie kiwnęła głową.

– To uczciwe. A dla ciebie?

– Ja chcę porozmawiać z Modrym Lotosem.

– Porozmawiać? – parsknęła Baixue.

– Tak – odparł z naciskiem.

– Jest u niej klient.

– Poczekam.

Wydeła usta, ale nie odpowiedziała. Zamiast tego skinęła na strażników.

– Zaprowadzę was na górę.

– A ten co? – wychrypiął niższy, wskazując na bakałarza.

– Nim zajmę się potem – rzuciła opryskliwie. Wybuchli dwuznacznym śmiechem.

– Ale jak go o świcie tu nie będzie – strażnik spoważniał – to zeznamy, że to wszystko twoja sprawka.

– Tak, i może jeszcze, że porwałam was trzech z aresztu i tu przywlokłam? – odpyaskowała Baixue. Xiao zagryzł wargi, zobaczywszy, że do mózgów strażników dotarła wreszcie świadomość ryzyka, jakie podejmują. Spojrzeli po sobie; wyższy już miał coś powiedzieć, kiedy tancerka poruszyła się i jęknęła przez sen.

Rozumny błysk w ich oczach zgasł zastąpiony ogniem podniecenia.

– Masz tu być o świcie, rozumiesz? –

warknął niższy do Xiao, a na Baixue machnął ręką: – Na co czekasz! Prowadź!

Xiao został sam. Siadł na najbliższej ławie, mimowolnie opierając się plecami o ścianę. Nie poczuł bólu. Nie czuł niczego poza buzującym w trzewiach płomieniem. Nawet złość wyparowała, zastąpiona przez chłodną determinację. Spojrzał na kajdany pętające jego nogi i podłużną brązową kłódkę sprężynową. Któryś z chrapiących ochlapusów miał zapewne przy sobie jakiś nóż, zaś rajfurka powinna trzymać na zapleczu narzędzia.

Ale nie o ucieczkę mu chodziło.

Przyszedł tu się zemścić.

A może raczej kogoś pomścić.

Kiedy Baixue pojawiła się na schodach, zapytał bez ogródek:

– Czy jest u niej Chu?

– Tak – odpowiedziała równie otwarcie.

– Jak często tu przychodzi?

– Regularnie od tygodnia.

Kiedy podeszła bliżej, uderzył ją. Słabo, ale wystarczyło. Upadła z jękiem i znieruchomiała.

Z trudem zaciągnął kobietę do jednej z bocznych sal i ułożył za ławą. Na wszelki wypadek skrępował rajfurkę jej własną jedwabną szarfą, a do ust wetknął oderwany strzęp spódnicy. Miał nadzieję, że się nie zadławi. Podeszedłszy do schodów, pochylił się, ujął jedną ręką łańcuch i zaczął powoli wspinać się na piętro.

Drzwi do komnaty Modrego Lotosu były zamknięte. Dochodziły zza nich jęki i posapywania. Zastukał raz i drugi. Jęki umilkły, posapywanie zmieniło się w warkot.

– Zawarte, nie widać?

Słyszając głos Chu, Xiao uśmiechnął się pod nosem i zastukał jeszcze raz, mocniej.

W komnacie rozległy się złorzeczenia,

łóżko zaskrzypiało, zaszurały kroki.

– Pożałujesz, kimkolwiek jesteś, przeklęty...

Drzwi otwały się. Xiao sięgnął do miecza ukrytego w pasie. Przetrwał był bezpiecznie rewizję, choć mało brakowało, by znudzony strażnik rozpoznał w nietypowej sprzączce zmyślnie wkomponowaną rękojęść. Gdybyś tylko miał lepszych ludzi, pomyślał Xiao, patrząc prosto w rozszerzone oczy Chu, i ciał go w szyję.

– To ja, Xiao Long! – krzyknął w kierunku sypialni, wpadając do środka.

Chu runął na wznak, trzymając się za rozplątane gardło. Bezskutecznie próbował krzyczeć. Bakalarz przygniótł go kolanami do podłogi, twarz przydusił poduszką porwaną z krzesła. Narzucony chałat sędziego rozchylił się, odsłaniając obrzmiały jaspisowy szept.

– Zaraz u ciebie będę, nie wstawaj! – zawołał do Modrego Lotosu, walcząc ze słabnącym Chu. Nie myślał, że pójdzie tak łatwo. W istocie nie myślał w ogóle. Po prostu to zrobił.

Nogi sędziego wyprężyły się po raz ostatni i znieruchomiały. Poduszka przesiąkła krwią na wskroś. Xiao wstał niezgrabnie i sięgnąwszy po dzbanek z zimną herbata, zmył z dłoni czerwone plamy. Nie czuł zmęczenia, nie czuł strachu, nie czuł odrazy. Tylko ogień w podbrzuszu wciąż buzował.

– Już idę – sapnął, dokładnie zamknął drzwi na korytarz i wszedł do sypialni.

Chu zdążył był sporo nauczyć się od Suna. Modry Lotos leżała na plecach. Bandaż na jej lotosowych stopkach rozplątano i przerzucono przez pręty moskitiery tak, by unieść i rozszerzyć jej nogi. Chu musiał długo się z nią zabawiać, bo była półprzytomna i wciąż jęczała cichutko.

Bakałarz wyjął z rękawa trzy pigułki, zważył je w dłoni. Potem sięgnął po opróżniony do połowy dzban wina, uniósł głowę kurtyzany i włożył jej do ust dwie pigułki. Zakrztusiła się, ale przełknęła. Sam połknął trzecią.

Ostry smak przywrócił Modry Lotos do przytomności. Otworzyła oczy. Przez urodziwą twarz przemknął wyraz zdumienia, zastąpiony zaraz wyuczonym uśmiechem. Xiao rozebrał się i zaczął na przemian wzniecać i gasić pożar.

Jedno milczy jak głaz w leśnym zakątku, drugie kwili niczym wilga w krzewach.

Nie raz wąż znalazł schronienie w grocie, nie dwa razy spieniły się fale morza i nie trzy esencja wypełniła czarę.

Wysoko nad jego barkami jak dwa sierpy księżycy błyszczą jej łydki.

Złote szpile wypadają z włosów rozsypanych wonnym obłokiem na jedwabnej poduszce. Ulewny deszcz spada z wezbranych chmur, by gasić pożar, który wybuchą wciąż na nowo.

Jak motyl upojony słodyczą kwiatu nie może zerwać się do lotu, tak on po długich potyczkach pada wreszcie bezwładny, nie mogąc uronić już z jaspisowego szeptu ani kropli.

Jego czarne brwi spoczywają podwójnym łukiem na jej obliczu gładkim niczym nefryt.

I niczym nefryt zimnym.

Drzwi jednej z komnat były uchylone. Xiao zajrzał do środka i ku swej uldze poznał chałat niższego strażnika.

– Wstawaj, już świta! – syknął.

Mężczyzna zerwał się jak oparzony. Jego kurtyzana spała z tyłkiem bezwstydnie wypiętym za krawędź łóżka. Modry

Lotos nigdy... – pomyślał bakałarz i poczuł nagły skurcz serca.

Strażnik oprzytomniał zadziwiająco szybko. Jeszcze nie całkiem ubrany zaczął łomotać do komnaty, gdzie spał jego towarzysz. Zdążyli zbiec na dół, nim słońce wychyliło się zza widnokręgu.

Mimo dowodu dobrej woli bakałarza strażnicy zrozumieli chyba, jakie szaleństwo popełnili, dając się ponieść zmysłom. Jak gdyby dzisiejszą gorliwością można było nadrobić wczorajsze zaniedbanie, trzymali więźnia kurczowo, popychając przed sobą bezceremonialnie. Poranek był mroźny, niebo zasnute chmurami. Jadąc ku Północnej Bramie, strażnicy poganiali konia, ile się dało. Raptem mgliste powietrze wypełniło się wirującymi drobinkami śniegu. Strażnicy wydali sapnięcie zdumienia. Lecz Xiao siedział obojętnie. Ostatni raz

widział śnieg na ulicach Hengshanu, będąc małym chłopcem. Na Dalekim Południu nie ujrzy go tym bardziej. Jeśli w ogóle dożyje następnej zimy. Ale to nie miało znaczenia.

Dotarli pod Północną Bramę akurat w chwili, kiedy na znak dany tabliczką dowódcy wartownicy zdzierali z wrót papierową pieczęć. Wrota stanęły otworem.

Zostawiwszy wóz w mieście, strażnicy wyszli z Xiao poza mury, na budzące się do życia przedmieście. Oddział Armii Cesarskiej spieszący na południe nie miał w planie zatrzymywania się w Hengshanie. Gdyby rozminęli się z więźniem, strażnicy zapłaciliby skórą na plecach, a Xiao prawdopodobnie głową.

Błada poświata rosła nad horyzontem. W oddali zamajaczył nareszcie oddział. Strażnicy wsunęli w kłódkę podłużny klucz i zdjęli bakałarzowi kajdany. Oswobodzonego pokleпали ze śmiechem po ple-

cach. Nie odwzajemnił gestu.

Jeźdźcy przemknęli obok, cwałując drogą wzdłuż fosy. Odłączyła się od nich niewielka grupa, wiodąca ze sobą luzaka. Bakalarz bez słowa wskoczył na siodło. Pomknęli ku głównemu oddziałowi, nie oglądając się na pisarza. Nie musieli. I on, i oni wiedzieli doskonale, że próba ucieczki skończyłaby się dlań strzałą w plecy.

Po raz ostatni spojrzął na mury miasta oraz potężną sylwetkę Świętej Góry, widoczną przez mgłę jak cień na moskitierze. Potem wbił wzrok w grzywę konia i więcej nie oglądał się za siebie.

Modry Lotos umarła w jego ramionach, z twarzą wykrzywioną w upiornym połączeniu rozkoszy i cierpienia.

Nie rozumiał, dopóki nie zobaczył na stoliku obok łóżka papierowego pudełka, takiego samego, jakie dostał od Luia.

Ale to nie było jego pudełko.

Jeśli chcecie się dowiedzieć, jak Xiao Longowi wiodło się na Dalekim Południu, przeczytajcie następny rozdział.

Rozdział 26

o tym, jak Xiao Long mozolnie wypełniał obowiązki i podziwiał krajobraz, a także jakie są skutki wzdychania do niechętnej muzy

*W zwierciadlanej toni odbija się księżyc,
a dziewczyna z ogrodów jaśnieje jak
słońce.*

Wdzięczniejsze jej lica od gwiazd...

W korytarzu rozległy się kroki. Zabazgrana kartka znikła pod stertą papierów, a pędzelek bakałarza jął kreślić poważniejsze znaki:

„...respekt każe niedobitkom Guyue kryć się przed cesarską armią. Pomimo sprzyjających warunków naturalnych nie

wykorzystują górzystego i zalesionego terenu do przeprowadzania akcji partyzantycznych. Dotąd odnotowano tylko jeden atak na oddział cesarskiej armii. Jednakże prawdziwe umocnienia pozwalają południowym barbarzyńcom spowalniać nieuchronny postęp granic Cesarstwa Środka. Mimo oporu stawianego przez Guyue, tchórzliwie chowających się w warownych miastach na niedosiężnych skałach, bezbłędna taktyka generała Bana Guo doprowadziła już do zajęcia wszystkich twierdz z wyjątkiem jednej...”

Fałszywy alarm; kroki oddaliły się i ucichły. Xiao podniósł wzrok i spojrzał w twarz barbarzyńcom.

Ciasny gabinet, pełniący zarazem funkcję sypialni, pomieścić mógł niewiele ponad matę z trawy i niski stolik. W jednym kącie na wyciągnięcie ręki piętrzyła się sterta dokumentów, w drugim tłoczyły dzbanki z napojami. I choć przez okienko

w kamiennym murze bakałarz z trudem przecisnąłby głowę, z wąskiego otworu wraz ze słonecznymi promieniami nieznośne gorąco ciągnęło fala za falą.

Nawet jednak tak skromne pomieszczenia poprzedni, barbarzyńscy właściciele twierdzy uznawali za godne ściennego malowidła. Od podłogi do sufitu kamień pokrywały wyblakłe i miejscami zatarte, jednak wciąż wyraźne postaci akrobatów i tancerzy. Nie płasali pośród warownych murów, lecz na niedostępnych szczytach skał, tworzących do niedawna ich ojczyznę.

Xiao sięgnął po dzbanek z herbatą. Był pusty. Westchnął, otarł pot z czoła, przewiązał sznurkiem podniszczony błękitny chałat i odgarnąwszy bambusową zasłonkę, wyszedł z dzbankiem na korytarz.

Tu ściany również pokryto malowidła-

mi, lecz w półmroku trudno było dostrzec szczegóły. W oczy za to rzucały się zniszczenia. Jak to mawiają: oręż zwycięzców naznacza mocniej niż pędzelek zwyciężonych.

Bakałarz skierował kroki w stronę źródła szumu dochodzącego z głębi korytarza i wnet z westchnieniem ulgi wsadził czu-prynę pod strumień lodowatej wody. Struga tryskała z kamiennej rury prowadzącej gdzieś w trzewia wzgórza, na którego zboczach Guyue wzniesli niegdyś Niedźwiedzią Warownię.

Napełniwszy dzbanek, chciał wrócić do siebie, ale sama myśl wykrzywiła mu usta grymasem zniechęcenia. Odkąd trafił był na Dalekie Południe, dzień w dzień spisywał raporty, relacje i podsumowania, z twardą matą pod tyłkiem, spocony, wdychając kurz. Zasługiwał na przerwę.

Tylko wyrwać się nie było dokąd.

Wielu młodych rzucało przybory pi-

śmiennicze i ruszało do wojska. A on został pisarzem wojskowym.

Stał z brwi krople wody i rozejrzawszy się, ruszył szybkim krokiem przed siebie. Na wypadek gdyby ktoś go zoczył, miał zwyczajową wymówkę – trzeba sprawdzić topografię okolicy do raportu.

Półmrok ustąpił, przed bakałarzem zająśniało wyjście na taras. Dawnych mieszkańców musiał zachwycać okoliczny pejzaż; taras bez trudu pomieściłby chyba połowę populacji twierdzy.

Wychodząc na otwartą przestrzeń, Xiao zasłonił oczy dłonią. Słońce zaczęło się już zniżać, ale tu, na Dalekim Południu, traciło moc, dopiero dotknąwszy horyzontu. Szedł przed siebie, omijając dziury pozostałe po cesarskich pociskach, póki nie oparł się kolanami o kamienną ławę przy murze. Wtedy podniósł wzrok i jak zawsze

wstrzymał oddech.

Guyue powinni zacieklej bronić swego kraju. Tymczasem oddawali go Ludziom Środka niemal bez walki. A przecież żyli pośród piękna godnego pędzelka dawnych mistrzów, których cudownymi malowidłami Xiao napawał się niegdyś w pawilonach siedziby władz prowincji, gdzie udał się być zdawać egzaminy bakalarskie:

smukłe, pokryte bujną roślinnością
turnie wznoszą się na setki i tysiące stóp

spękane szczyty godzą w rozpalone niebo
leniwe upalne powietrze drży, igrając z
konturami gór

szczelinami skał prą w dół siklawy

las wapiennych gigantów ciągnie się aż
po sam horyzont

tam kres wyznacza zamglony płaskowyż
Smoczy Mur

wystrzela z ziemi ku niebu

pękając na pół kanionem Rzeki Tuzina
Zakrętów

Wzrok bakałarza powędrował tam, gdzie na zboczach topornego Szczytu Pięści rozsiadła się ostatnia twierdza Guyue – Podniebny Fort.

Xiao potrząsnął głową. Przepisał już tyle raportów dla władz okręgu, że obowiązujące triumfalistyczne słownictwo zaczęło mu się udzielać. A zarazem zbyt wiele tych raportów znał, by nie doczytać między wierszami prawdy o kampanii wojennej na Dalekim Południu.

Najpotężniejszy smok nie zdusi najędzniejszego węża w jego własnej norze, powiada przysłowie. Podniebny Fort nie był „już ostatnim fortem dzielącym nas od zwycięstwa”. Był raczej ciągle niezdojty, choć od szturm na tę właśnie twierdzę zaczęła się kampania. Guyue bronili się mężnie, tylko... inaczej, niż to przewidywali stratedzy Cesarstwa Środka. Mimo prze-

wagi, jaką dawała Guyue znajomość terenu, nie atakowali wojsk inwazyjnych, nie wciągali w zasadzki mniejszych oddziałów, nie sabotowali z ukrycia, nie prowadzili dywersji. Zaszyci w swych warowniach biernie czekali, aż w mury uderzą pierwsze pociski z machin miotających, których budowie z miejscowego drewna nie próbowali nawet przeszkodzić. Ale wtedy odpowiadali z całą siłą. Ich łuki, kusze i maszyny, choć swą prostotą nie licowały z kunsztem architektonicznym przodków obrońców, zbierały krwawe żniwo wśród tłoczących się w dole najeźdźców.

Każdą z tuzina twierdz Guyue w końcu zdobyto, mozolnie i olbrzymim kosztem, nie wcześniej wszakże, nim mury i budynki legły w gruzach, a mieszkańcy zginęli co do jednego. Tylko Niedźwiedzią Warownię udało się zająć bez zrównywania z ziemią. Dziś mieściła się tu siedziba armii Bana Guo. Niektórych z obrońców ponoć

dotąd trzymano w lochach ich własnego miasta.

A Podniebny Fort stał niewzruszony, poza zasięgiem największych nawet machin, chroniony wysokością i rzeką obmywającą stopy wzgórza, napojony dzięki czystym źródłom i syty dzięki płodnym ogrodom lub, jak szeptali niektórzy, dzięki pomocy przynoszonej z nieznanych miast jeszcze dalej na południu, gdzie rozciągają się znane i nieznane królestwa... Bo Guyue nazywani byli przez już podbite ludy na północ od nich, a za nimi przez cesarskich żołnierzy Latającymi Ludźmi. I nikt z tych, którym dane było zobaczyć naskalne miasta, nie wymawiał tego miana z krzywym uśmiechem.

Xiao spojrział w dół, w lesistą przepaść, a potem przed siebie, na sylwetkę Podniebnego Fortu. Nigdy nie słyszał, by ktokol-

wiek wznosił wielkie warowne miasto wokół samotnej turni, nad kotłującą się daleko w dole rwącą rzeką. Wiedział wprowadzić o Wiszącym Klasztorze na jednym z urwisk słynnej Świętej Góry Hua, ale tamtą budowlę wzniesiono z drewna spuszczonego na linach z dostępnego od drugiej strony szczytu. Tego nie dało się w żaden sposób porównać do fortów Latających Ludzi.

Myślami cofnął się o dwa miesiące, kiedy to obolały i znużony wjeżdżał na końskim grzbiecie przez wąski przesmyk wiodący ku Niedźwiedziej Warowni. Zobojętniały po wielodniowej wędrówce wgapiął się w drogę, nie pragnąc już niczego poza wygodnym łóżkiem. Ale w otępiałym mózgu coś zaiskrzyło na widok kości wgniatanych kopytami w ziemię. Najłatwiejszym wyjaśnieniem zdawała się dawno stoczona tu bitwa, gdy jednak wyprostował zmęczony kark, na ścianie przesmyku dojrzał po-

zostałości drewnianych pali. Zdumiony spoglądał coraz wyżej: obie ściany najeżone były palami, a im wyżej, tym częściej spoczywały na nich ciemne podłużne kształty. Inni jeźdźcy też to zauważyli; przez oddział przebiegł szum. Wtedy odezwał się oficer, wracający na południe z nowymi rozkazami:

– To trumny Guyue! Głupcy myślą, że wyżej będą bezpieczni! – I zaniósł się śmiechem.

Ten sam oficer zginął wczoraj, kiedy jego koń poślizgnął się na wąskiej ścieżce i runął w przepaść. Bakałarz dopisał teraz jego nazwisko do listy oficerów, którzy ponieśli śmierć w Miesiącu Węża.

Woda, którą zrosił był czuprynę, wyschła. Płomienie jeły bezlitośnie prażyć zamysłonego bakałarza. Po raz ostatni ogarnął wzrokiem imponującą panoramę i ru-

szyl z powrotem.

Pociski miotane przez maszyny Ludzi Środka nie zdążyły zniszczyć piękna Niedźwiedziej Warowni. Zadarłszy głowę, Xiao podziwiał jasne, poprzecinane tarasowymi ogrodami mury wspinające się coraz wyżej i wyżej, prawie pod sam szczyt. Widział krzątających się pośród drzew i krzewów mieszkańców i wyobrażał sobie, jak by to było dostać gabinet przy takim ogrodzie. Trafił tu jednak karnie i powinien się cieszyć, że miał w celi chociaż okno. Ale jakoś nie potrafił wykrzesać z siebie entuzjazmu.

Przeciągał strunę, szwendając się tyle czasu z dala od obowiązków, i wiedział o tym, ale kiedy usłyszał delikatne dźwięki cytry, nogi same zaniósły go ku jednemu z niżej położonych i rozleglejszych ogrodów, zwanemu na wyrost Brzoskwinio-
wym Sadem. Ten należał do naczelnika cesarskiej poczty. Nie za brzoskwiniami

wszakże rozglądał się Xiao. Nie za naczelnikiem nawet; w istocie spotkania z tym ostatnim, wysokim urzędnikiem władnym ukarać wygnanego pisarza sądowego za najdrobniejsze przewinienie, chciał za wszelką cenę uniknąć. Ale postać Zu Zi, córki urzędnika, miała w sobie urok, który przyciągał bakalarza bez względu na ryzyko.

Była tam. Jak na klasycznym obrazie siedziała pod brzoskwiowym drzewkiem, a spod jej palców płynęła muzyka przywodząca na myśl wysokie góry i płynącą wodę. Czy myśli o mym wierszu? – pomyślał Xiao, patrząc na jej drobną, hibiskusowo piękną twarz. Wiele już świec dostarczyło mu wosku na tajemne pociski z płodami jego serca i pędzelka... W przypływie weny, a może strachu, że jak zwykle zmierzy go obojętnym spojrzeniem,

szybkiem krokiem ruszył do siebie.

Jeszcze nie przyzwyczał oczu do półmroku, a już wydobywał spod sterty szeszczących dokumentów niedokończony wiersz. Chwycił pędzelek, ale ten zdążył wyschnąć; chciał rozrobić tusz, gdy stwierdził, że dzban z wodą zostawił na ławie. Zerwał się, by wybiec, kiedy wtem zatrząś się od śmiechu. Chichocząc, patrzył na zabazgraną kartkę, a potem nagłym ruchem podarł ją wpół i roztrącając dzbanki, sięgnął po flakon sorgowej wódki.

Jeśli pragniecie poznać, jak wyglądał poranek Xiao Longa, czytajcie dalej!

Rozdział 27

o tym, jak Xiao Long otrzymuje zadanie specjalne, i o tym, jak nie wszystkim się to spodobało

Korytarzem przetoczył się brzęk mo siężnego gongu.

Xiao z trudem rozwarł powieki. Przełamując opór ciężkich kończyn, podniósł się powoli i zaczerpnąwszy łyk zielonej herbaty, wykonał niemrawo kilka figur tajczi. Odkąd zmuszony był spędzać całe dnie na podłodze dusznej klitki, docenił klasyczną sztukę ćwiczeń. Przepłukawszy usta, wypłuł herbatę na posadzkę korytarza i zlął do stołówki po przydział wodnistej zupy.

Ledwo zdążył wrócić, kiedy zjawił się posłaniec.

– Dziesięcioosobowy oddział zwiadowczy został wciągnięty w zasadzkę Guyue w rejonie źródeł Rzeki Tuzina Zakrętów. Zginął dowodzący kapitan Liu Zhan i sześciu żołnierzy. Wiadomość przyniósł kapral Hu Ming, który z dwoma żołnierzami wrócił nad ranem. Dopisać do listy.

Goniec odwrócił się na pięcie i zniknął, zostawiając bakalarza grzebiącego w pędzelkach.

Dziwny grymas wypełził Xiao na twarz, kiedy zapisywał nazwisko dowódcy. Pamiętał Liu Zhana z pierwszych dni swego pobytu na ziemiach Guyue. Pamiętał też grupę kilkunastu Latających Ludzi pędzonych z warowni do wojskowego obozu w dolinie. Młody, przystojny oficer rodem z Północnej Stolicy uwijał się konno wokół spętanych wojowników. Bakalarz patrzył wtedy na całą scenę szeroko otwartymi oczyma. Nie tylko dlatego, że nigdy nie widział naraz tylu tak wysokich ludzi –

wszyscy Guyue przewyższali przeciętnego Człowieka Środka co najmniej o głowę – ale także dlatego, że okrutny spektakl najeżdżania koniem, okładania ciężką włócznią, opluwania słownego i dosłownego najlepiej wprowadzał w reguły gry na ogarniętym wojenną pożogą Dalekim Południu.

A teraz Liu Zhan sam zginął z rąk Guyue...

Zadumany Xiao zorientował się, że od dłuższego czasu wpatruje się bezmyślnie w nazwiska zabitych oficerów. Liu Zhan figurował na końcu spisu zajmującego już całą stronę. Gotową listę trzeba było odnieść.

Chwilę wygrzebywał ze stosu resztę aktualnych dokumentów, by wreszcie wstać i poprawiwszy na sobie obszarpany strój, udać się do gabinetu naczelnika poczty.

Kwatery wyższych urzędników różniły się od klitek zesłańców nie tylko schludnością i światłem, wpadającym przez liczne otwory okienne, ale i brakiem malowideł Guyue; te pieczołowicie skuto lub zamalowano, by nie raziły oczu elity narodu. Pod drzwiami gabinetu było pusto. Xiao zbliżył się niepewnym krokiem. Dobrze uczynił, bo skrzydło energicznie pchnięte przez wychodzącego żołnierza ledwo ominęło twarz bakałarza.

Za malowanym parawanem w głębi przestronnego gabinetu stało gustowne czarne biurko odziedziczone po jakimś oficjelu Guyue. Naczelnik we wzorzystej jedwabnej szacie i koku przebitym srebrną szpilą stał z pędzlem w dłoni, kaligrafując coś dla przyjemności. Za nim w oknie zieleniły się cytrusowe drzewka w donicach stylizowanych na miniaturowe ogrody. Pod ścianami leżały skrzynie na papier z drewna kamforowca.

– Oto gotowe dokumenty, dostojny... – zaczął Xiao, pochylając się w ukłonie i powitalnie składając dłonie, ale gospodarz tylko wskazał skrzynie i szczechnął nieprzyjemnym, suchym głosem:

– Idź do pułkownika Rena. Tylko wnet! No już, na co czekasz!

Bakałarz schował papiery i wycofał się posłusznie. Pułkownik Ren, kimkolwiek był, przebywał najpewniej w kwaterach wojskowych, czyli w odległej części twierdzy. Chcąc nie chcąc bakałarz musiał przemierzyć pół naskalnego miasta, by na miejscu zasięgnąć języka.

– Gdzie mogę zastać czcigodnego pułkownika Rena? – zagadnął przechodzącego wojaka. Skierowany na koniec korytarza minął schody prowadzące w dół, do żołnierskich kwater. Czując zaduch dobiegający z czeluści, zmusił się, by z większą

sympatią pomyśleć o swej celi.

Gabinet pułkownika nie mógłby bardziej różnić się od biura naczelnika poczty. Prosty, zbity z desek stół tonął w mapach, krzesła zarzucono skórami zwierząt, kąty zastawiono włóczniami, na podłodze zaś walały się naczynia po winie raczej niż herbacie.

Ren był dorodnym mężczyzną, dorównującym chyba wzrostem większości Guyue, odzianym pomimo gorąca w skórzany strój i kolczugę. Pot na wysmaganej wiatrem, wąsatej twarzy jasno wskazywał, że słońce Dalekiego Południa daje się wojownikowi we znaki, ale zacięte rysy znamionowały determinację i wierność tradycji, choćby za cenę cierpienia.

– Ty jesteś Cheng Chang, inaczej Xiao Long? – zapytał z silnym północnym akcentem i zanim jeszcze bakałarz zdążył potwierdzić, dodał: – Za co tu trafiłeś?

– Za włamanie – odmruknął Xiao.

– I niesubordynację – uzupełnił pułkownik. – To już wiesz, żeby na drugi raz takich głupstw nie popełniać. Bo szkoda pozbywać się pisarza, czy to z sądu, czy wojska. Ale jak trzeba, to trzeba. Pisać potrafisz? – upewnił się. – Ja pisać nie potrafię, lecz wiem, że to ważne. No to będziesz pisał.

Wobec braku pomysłu na stosowną odpowiedź bakałarz tylko pochylił się w ukłonie.

– Guyue byli dla nas przez te wszystkie lata twardym kokosem do rozbicia, jak tu mawiają – kontynuował Ren na poły do siebie, na poły do gościa. – Ale teraz wreszcie zgnieciemy ich do końca niczym pluskwy czy inne moskity. Oni chyba o tym wiedzą, inaczej nie zaatakowaliby oddziału. Przynajmniej tak uważa generał Ban. Znasz sprawę, pisałeś o tym chyba?

Więc zaatakowali, a generał uważa, że warto rzecz zbadać. Mam to niby ja zrobić, a skoro trzeba raport napisać, to muszę mieć kogoś do pomocy. Ale mam teraz na głowie kampanię, więc w przesłuchania się bawił nie będę, zwłaszcza że kapral Hu Ming ciężko ranny, w Obozie Wołu przebywa, stawić się nie może, a ja się tam teraz nie wybieram. A że i tak ty masz pisać, to i ty się wypytasz o wszystko. W sądzie pracowałeś, wiesz, co robić... Wiesz?

Xiao zwlekał z odpowiedzią. Monotonia jego obecnej egzystencji miała jedną ważną zaletę: oferowała święty spokój. Role zostały już jednak rozdzielone.

– Tak, czcigodny panie pułkowniku – odparł martwym głosem.

– Żaden inny z naszych pisarzy na sądownictwie się nie zna, więc sam widzisz. Tu masz imiona tych, co wrócili, a tu upoważnienie do opuszczenia twierdzy i list do komendanta obozu. – Xiao posłusznie

wziął wskazane dokumenty. – Tylko spiesz się, raport ma być u mnie jutro wieczorem, bo ofensywa na Podniebny Fort tuż-tuż! Wiesz wszystko? No. To ruszaj, bo masz mało czasu... I jeszcze jedno – dorzucił, kiedy Xiao już się wycofywał. – Nie naciskaj ich za bardzo. Ot, parę pytań do każdego, żeby w raporcie wyglądało jak trzeba. Nie ma co generałowi problemów przysparzać. A jak za bardzo się rozpiszesz, to poszukam dla ciebie posady w kopalni nefrytu czy gdzieś. Tam też potrzebują pisarzy. Rozumiemy się?

Już za drzwiami Xiao stoczył wewnętrzną walkę z rodzącym się w nim buntem. Otrzymał obowiązki, których nie chciał się podjąć, zadania, których celu nie rozumiał, niejasne wskazówki i oczywiste groźby. Gdyby był teraz w rodzinnym Hengshanie...

Jeszcze niedawno nie do pomyslenia byłoby dlań opuszczenie rodzinnych stron i ucieczka gdzieś na prowincję, gdzie nie znaleźliby go ani ojciec, ani urzędnicy. Teraz żałował, że nie może tak właśnie postąpić. Ale to było wojsko, to był wciąż jeszcze obcy kraj. Gdyby nawet nie wytropili i nie zabili go żołnierze, zginąłby z głodu lub rąk barbarzyńców.

Zagryzł wargi i spojrzał na ściskane w dłoni dokumenty.

– ...szliśmy spokojnie, jak kazano, nic nie robiliśmy... Po co w ogóle to przesłuchanie? Przecież kapral Hu Ming wszystko wam już powiedział! – głos Zhe Di drżał.

– Ale nikt tego jeszcze nie spisał – wyjaśnił Xiao, tłumiąc westchnienie zmęczenia.

Stali w bocznym tunelu, wyrąbanym głęboko pod twierdzą. Kwatery żołnierzy oświetlone były nad wyraz skąpo. Niedaleko w niewielkich pomieszczeniach zasta-

wionych ciasno pryczami leżeli, siedzieli, rozmawiali, milczeli i spali najniżsi rangą. Na wilgotnych ścianach tańczyła nikła poświata olejnych lampek.

– A po co to zapisywać, na co to komu potrzebne... – Młodym żołnierzem wstrząsnął dreszcz. Bakalarzem też, ale od chłodu.

– Guyue nie atakują na otwartym terenie – tłumaczył cierpliwie. Czuł, że jeśli pozwoli sobie na złość, Zhe Di wpadnie w histerię. – Skoro zaatakowali, to znaczy, że...

– Brednie! – prawie krzyknął chłopak. – Nic nie zrobiliśmy! Nic! Nic! Kapral Hu Ming mówił, że wszystko wam wyjaśni!

Echo pobrzmiewającego paniką głosu wróciło z najdalszych czeluści korytarzy, w kwaterach żołnierzy przycichł szum. Xiao zdecydował się nie drażyć tematu.

– A więc szliście zwykłą trasą – powtó-

rzył – według planu. Guyue zaatakowali. Jak?

W mroku trudno było dostrzec grę emocji na twarzy wojaka, ale w jego tonie dało się wyczuć napięcie.

– Pojawili się nagle. Znikąd. Albo z skał. Dwóch zabili od razu. Z łuku. Nie zdążyliśmy sięgnąć po broń, a już trafili dwóch następnych. Gdybyśmy nie schronili się pomiędzy skały, toby nas wystrzelali jak...

– Ilu ich było?

– Nie wiem. Dwudziestu, trzydziestu? Uciekaliśmy, nie patrząc za siebie...

– Dokąd biegliście?

– Do drogi, do koni.

– Zostawiliście konie same na drodze?

– Nie, z Wangiem Li. Do drogi dobiegliśmy w trójkę, ale kiedy wskoczyliśmy na koń, trafili kapitana Liu Zhana. Trzymał się krzepko, ale jak już dojeżdżaliśmy do Obozu Koguta, spadł i skrzył kark.

Xiao skinął głową. Starał się wszystko uporządkować w pamięci. W mroku i na stojąco trudno byłoby pisać, zresztą przecież nie chciało mu się wracać po przybory.

– Zwiad zawsze przeprowadza się, zostawiając konie?

Żołnierz milczał chwilę.

– Nie mieszczą się między skałkami – odparł wreszcie.

– Jak myślisz, dlaczego zaatakowali? – spytał bakałarz ostrożnie.

– A czemu nie mieliby? – opryskliwie rzucił chłopak. – To jest wojna! Bijemy się! My ich, a oni nas! Jedni siedzą i grzebią się w papierach, a inni nadstawiają karku!

Xiao zacisnął szczęki.

– Coś się musiało stać, żeby Guyue...

– Bali się, że wytropimy ich kryjówki! –

głos żołnierza znów zahaczył o wysokie tony.

– Dostałem informację – Xiao podjął najspokojniej jak umiał – że ataku dokonano u źródeł Rzeki Tuzina Zakrętów. Z tego, co wiem, to mokradła. Skąd zatem skały...

– Tu wszędzie są skały! Wszędzie! Nic więcej nie wiem! Rozmawiaj z kapralem Hu, ja już wszystko powiedziałem. Daj mi spokój! – syknął chłopak bakałarzowi prosto w twarz i odwróciwszy się gwałtownie, zniknął w mroku korytarza.

Xiao westchnął i bagatelizując szczypiące zimno, oparł czoło o mur.

Ta krótka, nieprzyjemna rozmowa wyzwoliła w nim ponure myśli, które nawiedzały go zwłaszcza nocami, nie pozwalając zasnąć i zatruwając sen. Miał powyżej uszu śledztw, dochodzeń i przesłuchań. Nie chciał być czyimś narzędziem. Nie chciał też brać na swe barki odpowiedzial-

ności za innych. Odkąd jednak zdał egzamin bakalarski i wkroczył w dorosłość, życie wymknęło mu się z rąk. A kiedy nawet miał coś do powiedzenia, wybierał źle. Gdzieś popełnił błąd. Ale nie był całkiem sam sobie winien. W kluczowych momentach coś nieustannie podstawiało mu nogę – albo podawało dłoń...

Dotknął amuletu na szyi, potem blizny na czole, pomyślał o mieczu ukrytym w pasie pod chałatem. Przez ostatnie miesiące otrzymał od losu aż nadto błogosławieństw i kar. I nie miał na nie żadnego wpływu. Nie pamiętał już samego siebie sprzed tamtych dni w pałacu Czerwonego Tygrysa. Teraz kierowały nim inne emocje i inne pragnienia niż wtedy, gdy wracał zadowolony do domu z egzaminów w stolicy prowincji. Tamten chłopak pewnie robiłby, co doń należy, nie czując bezdennej gory-

czy i bezsilnej wściekłości.

Zaburzało mu w brzuchu, poczuł ból palców wpijanych w chropawą ścianę korytarza. Potrząsnął głową i poszedł na początek tunelu.

– A Wang Li? – rzucił do dyżurującego wojaka.

– Co Wang Li?

– Zhe Di znalazłem. Gdzie ten drugi?

– Nie ma go? – zapytał głupio strażnik.

– Nie – odparł bakałarz beznamiętnie.

– Zaraz sprawdzę – mruknął mężczyzna i ruszył w głąb korytarza. Wkrótce lochami zatrzęsło donośne wołanie. Głos pomnożony przez echo dudnił jeszcze długo. Wreszcie strażnik wyłonił się z mroku. – Nie ma go. Pewnie jest w którymś z obozów.

– W którym?

– A skąd mam wiedzieć? Jak chcesz, zapytaj żołnierzy – odburknął i demonstrując brak dalszego zainteresowania problemem,

oparł się o ścianę i wbił wzrok w sufit.

Xiao skinął sam sobie i począł wspinać się po mrocznych schodach. Nie wiedział, gdzie szukać kolejnego ocalańca z pechowego oddziału. Ale to mniejsza. Przynajmniej póki się nie naje. Bo od śniadaniowej zupy nie miał nic w ustach, a zbliżała się pora zupy obiadowej.

Ciemność rozbłysła i zadygotała. Ból ogarnął bakalarza dopiero po chwili. Padając, zdołał machinalnie wyciągniętą ręką złagodzić upadek na ziemię. Kopniaka w brzuch złagodzić już nie zdołał.

– Nic nie wiemy, rozumiesz? – syknął przepełniony nienawiścią głos. Silne ręce złapały Xiao za chałat i powlokły dalej w mrok. – Nic! Masz ładnie napisać to, co ci powiedział Zhe Di i co ci powie kapral Hu Ming. Rozumiesz? Bo jeśli nie, to nie skończy się na złamanym nosie!

Bakałarz nie zdążył zasłonić twarzy. Ciemność znów rozbłysła, a potem zgasła na dobre.

Jeśli ciekawi jesteście, czy Xiao Long wyszedł z oparów obronną ręką, przeczytajcie następny rozdział.

Rozdział 28

o tym, jak Xiao Long przemierzał dawne sadyby barbarzyńców, by porozmawiać z kapralem Hu Mingiem, oraz o tym, czego się odeń dowiedział

Brzęk gongu z trudem przebił się do świadomości Xiao. Pół nocy przewracał się na macie, ściskając pulsujący brzuch i chłodząc opuchniętą twarz stęchłym wywarem z ziół. W którymś momencie zapadł w pełen majaków sen; poranek zastał go zupełnie niewyspanym.

Spędził pod strugą wody dobre sto uderzeń serca, nim otrzeźwiał. Ostrożnie dotknął nosa. Był cały, skrzepy wreszcie zeszyły. Obrzęk rozbitych warg, otarcia ani

guzy jeszcze nie.

Długo leżał był nieprzytomny i niezauważony w podziemiach twierdzy. Dopiero wieczorem ocknął się i dowlókł do medyka. Był wdzięczny gburowatemu mężczyźnie, że ten o nic nie pytał; bakałarz i tak nie mógłby – nie chciałby – szczerze odpowiedzieć.

Teraz czekała go podróż do Obozu Wołu. Wprawdzie już teraz potrafiłby napisać raport, jakiego żądał Ren, ale zeznanie zastępcy dowódcy zwiadu było najważniejsze. Formalnościom musiało stać się zadość.

W północnym skrzydle, od którego zakosami w dół prowadziła droga, spodziewał się zastać gońców; mógłby do nich dołączyć. Istotnie siodłali właśnie konie. Do drogi szykował się też oddział kilkunastu żołnierzy, a wśród nich pułkownik Ren w łuskowej zbroi.

– Jedziesz wysłuchać kaprała Hu? – za-

pytał, prześlizgując się nic niewidzącym wzrokiem po zmaltretowanej twarzy Xiao. Uwadze bakałarza nie umknęła obojętność pułkownika. Ani jego słownictwo. Miał oto jechać WYŚLUCHAĆ, nie przesłuchać kaprala. – Na moje oko niepotrzebnie. Atak nastąpi szybciej, niż planowaliśmy. Ale generał nie odwołał rozkazu, więc wsiadaj. Tylko dobrze się trzymaj. Przed nami nie-licha stromizna.

Ostatnie słowa powracały w myślach bakałarza przez całą długą drogę na dół. Kiedy wjeżdżał do Niedźwiedziej Warowni po raz pierwszy i jedyny, było mu łatwiej – nie patrzył w przepaść, a koń ciągnął pod górę powoli i pewnie. Teraz kopyta co rusz zarywały się w skalnym rumoszu, a przed oczyma Xiao rozpościerał się ogrom skąpanej w porannym słońcu panoramy skalnych iglic.

Kiedy zjechali wreszcie do tętniącego życiem lasu, błyskawicznie oblepił ich wilgotny upał, obleciały natarczywe owady. Warownię udało się zdobyć dzięki pojmaniu grupy dowódców. Pozbawiona przewodnictwa załoga uległa szantażowi i otworzyła bramy. Jako jedyni wciąż żyli. Przynajmniej kilku z nich, głęboko w lochach twierdzy. To dlatego las szybko zabił rany i stał teraz w dole niewzruszony, w przeciwieństwie do jałowej pustyni pozostałej po latach oblężenia Podniebnego Fortu.

Leśny trakt ustąpił drodze pośród labiryntu głazów, a potem szerokiemu duktowi wijącemu się między potężnymi podstawami turni. Z pokrywających skały drzew i zarośli dobiegały krzyki makaków, ze wsząd huczało monotonne brzęczenie cykad.

Za kolejnym zakrętem otworzyła się rozległa przestrzeń porośnięta chaszczami i kę-

pami bambusa. Tu dukt się rozdzielał. Węższa odnoga kierowała się na południe, szersza oddalała od skalnych ścian, omijając zwał gruzu. Głazy i kawały muru zasypały niegdysiejszy staw. Bakalarz zadarł głowę, mrużąc oczy. To musiały być resztki Twierdzy Migoczącego Księżyca. Nawet teraz, po zniszczeniach zadanych przez cesarskie maszyny, dawało się dostrzec pierwotny kształt wyniosłej ludzkiej osady na pionowej skale.

Znów przykrył ich las, przetrzebiony jednak i cichy. Xiao poczuł dreszcz podniecenia na widok przezierającej między drzewami nadrzecznej równiny. Kiedy wyjechali na otwartą przestrzeń, pomknął wzrokiem nad bambusową palisadą i okrągłymi namiotami Obozu Wołu tam, gdzie w niebo mierzyła najbardziej majestatyczna i wytrwała twierdza Guyue.

Niedźwiedzia Warownia była imponującą budowlą, ale Podniebny Fort przyćmiewał nawet ją. Częściowo była to zasługa Szczytu Pięści, samotnego kopulastego wzgórza obmywanego zewsząd wartkim nurtem Rzeki Tuzina Zakrętów. Miasto rozsiadło się w połowie wysokości góry, wyżej niż jakakolwiek inna warownia Guyue, niczym gruba bransoleta na nadgarstku, z klejnotem – główną twierdzą – od południa. Wzgórze zagospodarowano po sam szczyt: w oczy rzucały się tarasy pól uprawnych i pastwisk. Poniżej Fort jaskrawił się sadami, przetykającymi mury niczym mech splekany gład. Latający Ludzie żyli swoim rytmem ponad głowami najeźdźców.

Dotąd nikt nie zagroził twierdzy. Głazy i bomby z machin o największej sile nie były w stanie sięgnąć wysokich murów, a dostępny od zachodu Smoczy Mur znajdował się zbyt daleko, by dało się zeń ostrze-

lać miasto. Ale Ban Guo poczytywał sobie za punkt honoru zdobycie Fortu. I właśnie teraz miał zamiar zadać Guyue ostateczny cios.

Obóz Wołu, frontową siedzibę generała, założono nad strumieniem na równinie w pół drogi między rzeką a zalesionymi skałami. „Równina” ta w innym miejscu Cesarstwa Środka nazwana byłaby być może „kamiennym lasem”. Pośród jednak wszechobecnych szczytów połąć terenu, z której sterczało zaledwie kilka skał godnych miana turni, zdawała się niemal płaska.

W obozie wrzało. Między setkami namiotów uwijały się tysiące ludzi, niosąc nieprzeliczone ilości broni i innych dóbr. W nieruchomym powietrzu prawie widać było krążące pasma odoru. Bakalarz chętnie wtuliłby nos w zgięcie łokcia, ale nikt z

towarzyszących mu jeźdźców nie zdradzał obrzydzenia. Pozostawało zacisnąć zęby i przyzwyczaić się.

– Zaprowadź go do kaprała Hu Minga – doleciało do uszu Xiao. Jeden z przybocznych Rena podjechał i skinął na bakałarza.

– Tędy.

Xiao popatrzył w stronę pułkownika, lecz ten nie zaszczycił go spojrzeniem. Odwrócił się zatem i skierował konia w ślad za przewodnikiem.

Żołnierz zostawił pisarza pod niczym niewyróżniającym się namiotem w środku obozu i odjechał z oboma wierzchowcami. Bakałarz postać chwilę, by wreszcie niepewnie uchylić zasłony wejściowej.

W środku panowała przyjemnie przygaszona jasność i nieprzyjemnie skondensowana woń skoszarowanej ludzkości. Na ziemi zasłanej ścinkami bambusa leżało kilkanaście trawiastych mat, a na nich dwóch mężczyzn. Jeden spał w cuchnącym

na odległość skórzanym stroju, drugi, odziany w podarty chałat, pólleżał i stukał glinianymi dzbanuszkami. Na widok intruza podniósł wzrok.

– Kapral Hu Ming? – zapytał bakałarz.

Mężczyzna przytaknął milcząco.

– Witaj, panie. Jestem Xiao Long, pisarz urzędowy z Niedźwiedziej Warowni. Z polecenia...

– Tak, tak – wychrypiał mężczyzna. – Siadaj.

Bakałarz podszedł, niepewnie stawiając stopy między matami, i przykucnął nieopodal kaprała. Ten przyjrzał mu się, a potem z westchnieniem złożył głowę na macie i zamknął oczy.

– Szliśmy tą samą trasą co zwykle – zaczął słabym głosem. Mówił akcentem z ojczystej prowincji Xiao, Liaodong. – Przez mokradła nieopodal Obozu Koguta. Nic

nie zapowiadało ataku. Guyue pojawili się nagle, w sile około dwudziestu ludzi. Mieli przewagę, więc kapitan Liu Zhan zarządził odwrót. Do koni dotarliśmy tylko w trójkę. Już na drodze dosięgły nas strzały. Kapitan dostał w plecy, wytrzymał prawie do samego Obozu Koguta, ale nie utrzymał się na koniu i skrzył kark. Ja oberwałem w nogę. – Odslonił chałat. Przed oczyma bakałarza pojawiło się opuchnięte, pokryte skrzepem, sine udo. – Nie chce się goić, medyka porządnego też tu nie ma, a jestem zbyt niski rangą, by odwieziono mnie do jakiegoś miasta. Dobrze, że dotarłem choć tutaj, bo w Obozie Koguta od mokradeł ciągnie pasudna wilgoć i wyziewy.

Pomacał ranę, syknął, sięgnął po jeden z dzbanuszków. Wkrótce po namiocie rozniósł się ostry zapach medykamentów, nie dość mocny jednak, by przyćmić odór.

– To tyle. Idź pisać, póki ktoś chce to czytać – mruknął i znów zamknął oczy.

Xiao poruszył się niepewnie. Wreszcie, przełamując wewnętrzny opór, rzekł:

– Czy na mokradłach są skały?

Hu Ming uniósł powieki.

– Skąd to pytanie? – w jego głosie po-brzmiewały dziwne nuty.

Bakałarz westchnął i podniósł się.

– Wybacz, panie. Niepotrzebnie pytam. Słusznie prawisz, że...

– Czekaj, czekaj. Odpowiem. Tylko wytłumacz, skąd to pytanie.

– Rozmawiałem wcześniej z jednym z żołnierzy – niechętnie wyjaśnił Xiao. Żałował, że w ogóle się odzywał. Mógłby już wracać do warowni spisywać relację. – Powiedział, że uciekaliście pomiędzy skałkami.

Hu zamyślił się. Potem sięgnął po opróżniony dzbanuszek i rzucił w śpiącego wojaka.

– Idź precz! – zawołał nadspodziewanie mocno. – I nie wracaj, póki nie skończę rozmowy.

Wcierał w ranę dekolt, póki obcesowo wyrwany ze snu mężczyzna, złorzecząc, nie zniknął na zewnątrz.

– To ekstrakt żółwiowy – rzucił ni z tego, ni z owego. – Nie pomaga, ale pozostałe środki szkodzą. Pewnie chodzi ci o Zhe Di?

Xiao skinął głową.

– No tak. Wang Li jest na to za stary koń. To on cię tak urządził? – Wskazał pokiereszowane oblicze pisarza.

Bakałarz przełknął ślinę.

– Myślę, że tak.

– No widzisz. A potem przychodzisz do mnie i zadajesz te same pytania. Szukasz nowego guza? Czy pułkownik Ren nie dał ci jasno do zrozumienia, żebyś po prostu spisał, co mówimy?

– Gdybym dosłownie spisał tve, panie, i

Zhe Di słowa, ktoś zorientowałby się, że coś jest nie tak.

– Być może. Ale pieczęć i ustne sprawozdanie pułkownika Rena wystarczyłyby, żeby generał Ban zapomniał o sprawie, nawet nie patrząc na papier.

Xiao milczał. Najchętniej wyszedłby, wsiadł na konia i odjechał.

– Skoro obiecałem, to odpowiem. – Kapral ostrożnie przekręcił się na bok i podparł łokciem. – Mokradeł w okolicy jest wiele. Niektóre usiane są skałami, niektóre nie.

– A to, na którym was zaatakowano? – odważył się zapytać bakałarz.

– A jak myślisz?

Xiao poczuł, że znów zaczyna w nim kiełkować znajome uczucie.

– Po co to pytanie? Mało mam jeszcze zgryzot? – zapytał z ledwo tłumioną zło-

ścią.

Stęchłe powietrze zadrżało od śmiechu.

– Popatrz na siebie. Chcesz wiedzieć, ale nie chcesz się dowiadywać. Pytasz, ale sam nie chcesz odpowiadać.

– Po co mi to wszystko mówisz, panie? Przecież jeśli to się znajdzie w raporcie...

– ...będę miał kłopoty, tak? – Hu spoważniał. – Nie wiem. Może się nudzę? Może wiem, że za tydzień gorączka dojdzie do serca? Może zaszkodziło mi słońce? – Chwilę bawił się glazurowanym dzbanuszkim, by jednym ruchem wlać sobie zawartość do gardła. Krzywiąc się okrutnie, rzucił próżnym naczyniem w zasłone wyjściową. Z zewnątrz dobiegł brzęk tłuczonej ceramiki. – Paskudztwo, ale pomaga. Od środka – wyjaśnił, ocierając usta wierzchem dłoni. – Ale widzisz, Xiao Longu. Żeby twój raport przyniósł mi prawdziwe kłopoty, musiałyby spełnić dwa warunki; po pierwsze, trafić prosto do rąk gene-

rała, po drugie, zawierać prawdę. A tej przecież nie znasz.

Bakałarz nie mógł zaprzeczyć. Zresztą nawet nie próbował. Myśłami był w swej klitce i trzymał w dłoniach flakon sorgówki.

– Wiesz, jak doszło do pierwszego ataku Guyue? – zapytał kapral. Xiao machinalnie pokręcił głową. – Cesarscy żołnierze spacyfikowali ostatnie półdzikie plemiona na północy i stanęli u wrót kraju Guyue. Ci wysłali delegację złożoną z najwyższych przywódców Niedźwiedziej Warowni z przyrzeczeniem płacenia trybutu w zamian za suwerenność. Oczywiście zostali uwięzieni, a twierdza pokazem siły zmuszona do kapitulacji. Potem zaczęliśmy plądrować osady wieśniaków w dolinach. Zwykłe rolnicze wioski mogliśmy wyrzynać w pień, Guyue nawet nosa z miast nie wy-

chylali. To nas tylko rozzuchwaliło. Ale pewnego razu stuosobowy oddział zaatakował osadę położoną u wejścia do niepozornego przesmyku. Wtedy Guyue z najbliższego fortu ruszyli jej na pomoc. I choć mieli ogromną przewagę, zostali wybici co do jednego. Nie mogło być inaczej, skoro ich miecze pokrywał wciąż kurz ścian. Po tamtej klęsce zaszyli się w murach, a my niszczyliśmy ostatnie wioski jedną po drugiej. Nie wyszło nam to na dobre, bo zrujnowane zasiewy i hodowle nie mogły wyżywić armii. Nieudolny generał Do De został ścięty, a na jego miejsce przyszedł Ban Guo. Ale najważniejsze jest to, że nawet kiedy zaczęliśmy puszczać z dymem kolejne twierdze, Guyue nie przychodzili sobie z pomocą. Dlaczego?

– Drżą przed potęgą armii Cesarza Hongzu, oby żył dziesięć tysięcy lat? – spytał Xiao.

Hu uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście. Wedle przysłowia, gdyby wszyscy nasi żołnierze naraz smagnęli batami Żółtą Rzekę, jej nurt stanąłby w miejscu. – Zamilkł, by wkrótce podjąć zamyślony: – Ale też dlatego, że Guyue nie stają w obronie żywych, ponieważ wyżej cenią martwych.

Bakałarz wysunął dolną wargę.

– Przecież kiedy zaatakowaliście tamtą wioskę...

– Nie widziałeś nigdy wioski Guyue, prawda? – przerwał kapral. Xiao potrząsnął głową. – Jakżebyś mógł, skoro zniszczono je w pierwszym roku podboju. Dziś zostały po nich jeno zarosłe zgliszcza. Ale trumny Guyue musiałeś widzieć.

Bakałarz przytaknął.

– Pewnie nie miałeś okazji przyjrzeć się z bliska, bo położone są wysoko... Nie zawsze tak było. Wiele wisiało raptem dzie-

sięć stóp nad ziemią. Tamta wioska leżała na straży kości przodków. Przesmyk prowadził do wąwozu, na którego ścianach zawieszono setki trumien. Dziś już ich nie zobaczysz. Straciliśmy wszystkie. Z ciekawości. W środku obok mumii znaleźliśmy choćby takie rzeczy. – Sięgnął do cholewki buta. – Zobacz.

Wyciągnął niewielki żelazny sztylet o rękojeści zmyślnie uformowanej w kształt skaczącego tygrysa.

– To symbol Guyue. Na ścianach na wysokości oczu jeszcze niedawno można było oglądać malowidła tygrysów, Latających Ludzi, ich obrzędów, akrobacji. Dziś zobaczysz je tylko na niedostępnych zboczach, w okolicach których nie zdołaliśmy rozlokować machin miotających. Rozkaz Cezara jest jasny. Po Guyue ma zginąć wszelki ślad. Nawet Niedźwiedzia Warownia zostanie zniszczona, kiedy zawładniemy całym terenem. A oni poza tamtym jedynym

razem nigdy już nie podejmowali rozmów, nie próbowali się poddać.

Bakałarz obracał w dłoniach sztylet. Tygrys wyglądał jak żywy, a mimo to rękojeść doskonale leżała w dłoni.

– Kiedy zorientowaliśmy się, że w trumnach znajdują się cenne rzeczy – ciągnął Hu – strącanie ich stało się naszym głównym celem. Biorąc naukę z przysłowia, że otoczony zwierz będzie kąsał, plądrowaliśmy nekropole odpowiednio liczebni i uzbrojeni. Ale dowództwo szybko uznało, że znalezione przy mumiach przedmioty powinny zasilać kasę armii, nie pojedynczych żołnierzy. Od tamtej pory do tego zadania wyznaczono oddziały specjalne pod nadzorem wysokich urzędników. A ich Guyue nie odważyli się atakować. Już poznali smak klęski w starciu z potęgą cesarskiej armii.

– Przedwczoraj zaatakowali – zauważył bakałarz.

– Przecież wiesz, ilu nas było.

– Oddziały zwiadowcze zwykle są małe, a nigdy nie były atakowane.

– Skąd ta pewność?

Xiao milczał. Powoływanie się na oficjalne raporty nie wydawało się na miejscu.

– Nie znam liczb, nikt ich nie zna, lecz Guyue atakują mniejsze oddziały pewnie nie rzadziej niż co kilka dni. Nie wiemy, czy opuszczają Podniebny Fort w jakiś nieznany nam sposób, czy może ukrywają się w lasach, dość rzec, że oddziały liczące mniej niż kilkunastu żołnierzy są regularnie atakowane przez niewielkie zastępy Guyue.

– I nikt nie ginie? – zaprotestował Xiao.

– Przecież poległych trzeba imiennie raportować...

– Jeno oficerów. A ci na te eskapady się

nie wybierają. Zostawiają to swym ludziom.

– Dlaczego zatem był z wami kapitan Liu Zhan?

– Liu Zhan to był chojrak. Drań, ale odważny.

– Czy na mokradłach są... – bakałarz chciał zapytać wprost, ale Hu pokręcił głową.

– Na samych mokradłach nie. Za to od południa mokradła okala grupa skał zwana Tygrysią Łapą. Dostęp jest trudny, jednak po tylu latach nienaruszone zostały już tylko takie miejsca.

– Warto było?

Kapral zamilkł na długo. Wreszcie wyciągnął rękę po sztylet.

– Takie drobiazgi otrzymują żołnierze oficjalnych oddziałów. To zabawki, można je sprzedać za niezły pieniądz, lecz to

wciąż zabawki. Wszystko, co lepsze, idzie do dowództwa i skarbcza Cesarza. Nie wiesz pewnie nic o egzekucji kapitana Qina? Było to ze dwa lata temu. Wziął paru ludzi na zwiad, zaatakowali ich Guy-ue, wrócił sam. Sprawa przeszłaby bez echa, gdyby ktoś nie podejrział, że na przedramionach nosi złote bransolety. Od razu wszystko oddał, ale i tak został poćwiartowany. To ryzykowny interes. W sam raz dla ludzi takich jak Liu Zhan.

– A dla ciebie, panie? – rzucił Xiao, zanim zdążył się powstrzymać.

Na twarzy mężczyzny zakwitł smutny uśmiech. Spojrzał na zaognioną ranę, a potem na bakałarza.

– Zanim coś ci pokażę, chcę wiedzieć, co napiszesz w raporcie.

– Oddział Liu Zhana przeprowadzał rutynowy rekonesans okolic źródeł Rzeki Tuzina Zakrętów, kiedy został zaatakowany przez przeważające liczebnie siły Guy-

ue, zdesperowanych perspektywą nieuchronnej klęski. – Widząc, że Hu milczy, dodał głośniejszym głosem: – Klnę się na góry i morze, że to właśnie napiszę!

Kapral sięgnął pod chałat. Brzuch obwiązany miał szerokim pasem. Przesunął dłoń za plecy i jednym płynnym ruchem wyciągnął giętki miecz. Klinga jęknęła i zeszywniała.

– To nie jest zwykły oręż i nie został stworzony do zwykłej rąbaniny – powiedział, z uśmiechem przyglądając się lekkiej klindze. – Wszedł spod ręki wyśmienitego płatnerza i wart jest niemało. Gdyby go przy mnie odkryto, skończyłbym jak Qin. Ale gdyby udało mi się sprzedać... – Zagryzł wargi. – Słońce nade mną zachodzi, droga przede mną się kończy. Moja rodzina próżno czekać będzie na wiadomość. Ale ty mógłbyś dopisać moje nazwisko do

listy oficerów. Dla ciebie to dwa znaki, a dla mej rodziny szybciej zaczęta i zakończona żałoba, dla mnie zaś spokój duszy. Jesteś z Liaodong, prawda? Gdyby dane ci było kiedyś wrócić z wygnania, odwiedź miasteczko Nanshan u stóp Świętej Góry Heng i opowiedz memu synowi...

Niemogący oderwać wzroku od miecza bakalarz otwierał właśnie usta, gdy z zewnątrz dobiegł chóralny okrzyk. Gwarny obóz stał się jeszcze głośniejszy. Hu przędźko schował miecz do pasa i przybrał surowy wyraz twarzy.

– Rozejrzyj się i powiedz mi, co się dzieje.

Xiao zrobił, jak kazano. Po chwili stał w upale, rozglądając się za źródłem hałasu. Lecz ten rozlegał się wszędzie. Na zewnątrz wylegli wszyscy i wydając okrzyki podniecenia, patrzyli w jedno miejsce. W górę. Na szczyt skały wznoszącej się nieopodal.

Nad płaski wierzchołek i porastające go drzewa wznosiła się niezwykła konstrukcja. Wokół uwijali się ludzie, z tej odległości nie więksi od mrówek. Bale, liny i deski przemyślną sztuką przemienili w coś, co nie mogło Podniebnemu Fortowi dobrze wróżyć.

Hu na pytanie bakałarza pokiwał głową.

– To zachodnia machina miotająca projektu mistrza Dina. Od tygodni wciągali ją w częściach na szczyt tamtej skały. Dotąd żadna machina nie miała dość zasięgu, by wyrządzić szkodę Fortowi. Ta ponoć ma. Skoro udało się ją wreszcie złożyć, możemy się spodziewać ataku jeszcze dzisiaj.

Jakby w odpowiedzi ściany namiotu zawibrowały od dalekiego huku. Xiao skulił się w sobie. Kapral podniósł głos, z trudem przekrzykując hałas powracający zwielokrotnionym echem spomiędzy szczytów.

– To runęły skałki w górze rzeki! Generał Ban chce osuszyć koryto, aby łatwiej zająć Fort!

Oszołomiony, ale zafascynowany bakałarz wypadł z namiotu w samą porę, by zobaczyć, jak od maszyny odrywa się pocisk, zatacza łuk i spada do rzeki pod twierdzą. Tuż przed zanurzeniem ciemny punkt przysnął ogniem na wszystkie strony, do uszu bakałarza dotarł nowy huk. Z tysiąca gardel wyrwał się ryk.

– Trafili? – krzyknął ze środka Hu.

– Nie! – Xiao zajrzał pod zasłonę. – Wpadło do wody! Co to w ogóle jest?!

– Bomby grzmiące! Kruszą mury i zabijają wszystko w promieniu pięćdziesięciu kroków. Jak lepiej wycelują, to zobaczysz, co się będzie działo!

I Xiao zobaczył.

Jeśli chcecie oczyma wyobraźni ujrzeć to, co na własne oczy ujrzał Xiao Long, nie przestawajcie czytać!

Rozdział 29

w którym jawa i sen ukazują rzeczy straszne, Xiao Long się miota, pomoc przychodzi z najmniej oczekiwanej strony, a los niespodzianie pokazuje drogę ucieczki

Chyba nawet obsługa maszyny dawno już straciła rachubę. Słońce zachodziło. Najbardziej zapaleni wojacy wciąż stali pośród namiotów i krzyczeli przy każdym strzale, lecz większość zwyczajnie się znużyła lub chciała odpocząć przed mającym nastąpić szturmem. Na wpół ogłuszony Xiao obserwował zniszczenie, jakie w Podniebnym Forcie siało dzieło mistrza Dina, kimkolwiek był. Na wyszczerbionych tarasach płonęły ogrody, rozświetlając skały dzikim blaskiem. Niżej zwężone koryto rzeki zaścielały kamienne bloki i

gruz. Z każdym kolejnym hukiem Podniebny Fort zmieniał się z dumnej, niezdobytej twierdzy w żalosną ruinę. A atak wciąż trwał.

Od hałasu i błysków bakałarza w końcu rozboleła pod czaszką. Wszedł do namiotu, w którym oprócz Hu siedziało już kilkunastu jego towarzyszy.

Dominującym obok huku i gwaru dźwiękiem w namiocie było zgrzytanie zębów. Kapral wskazał Xiao misę z mięsem. Żując łykowatą pieczeń, bakałarz przychylniejszym okiem spojrzał na wodniste, lecz łatwiejsze w konsumpcji zupy serwowane w Niedźwiedziej Warowni.

Niedźwiedzia Warownia.

Nie powinni jej burzyć, pomyślał. Nic więcej po Guyue nie zostanie. Jeden ślad po niewielkim narodzie nie może zagrozić potędze Cesarstwa Środka.

Nagły podmuch załopotał płótnem namiotu. Gwar przycichł. Huk pocisków stał się przytłumiony i odległy. Biesiadnicy spojrzeli po sobie.

Xiao wyjrzał na zewnątrz, zanim kazał mu to zrobić Hu. Wolał uprzedzić polecenie, niż je wykonać. Choć wykonałby je i tak.

Blask płonącego Fortu przygasł, widne jeszcze nie tak dawno niebo znikło w szarości. Na obóz opadała kurtyna mgły. I opadała szybko. Światła gasły, odgłosy cichły.

Za bakałarzem z namiotu wyszło jeszcze kilku mężczyzn.

– Co się tam dzieje? – zawołał Hu. Xiao nie zdążył otworzyć ust, kiedy rozległ się świst, a świat eksplodował.

Bakałarz na moment ośleplł i ogłuchł. Czuł tylko, że przygniata go wyciskający powietrze z płuc ciężar. Wiercił się i czołgał, dopóki nie wyswobodził się spod brze-

mienia. Przetarł oczy i zobaczył na ziemi przed sobą oderwaną dłoń. Rzucił się w tył, ale uderzył grzbietem w ciężką, podatną masę. Odwrócił się tylko po to, by spojrzeć w szkliste oczy trupa.

Kolejny błysk i huk, i wstrząs. Przez dzwonienie w nadwyreżonych uszach do świadomości Xiao dotarły

dobiegające zewsząd krzyki. Ale mgła i mrok, choć rozświetlane na pomarańczowo blaskiem płomieni, nie pozwalały widzieć dalej niż na wyciągnięcie ręki. Bakalarz podniósł się chwiejnie i rozejrzał, a potem zgięty w pół puścił się pędem tam, gdzie było najciemniej.

Zaledwie po kilku uderzeniach serca z tyłu znów huknęło i błysło, a coś miękkiego rąbnęło Xiao w plecy, wyduszając z ust jęk. Wolał nie zastanawiać się, czym oberwał. Z trudem zachowawszy równowagę,

biegł przed siebie.

Nie zatrzymał się, dopóki nie uderzył z impetem w pień drzewa. Zamroczony postąpił jeszcze kilka chwiejnych kroków w głąb lasu i zwałił się nieprzytomny na ziemię.

Chu pada na wznak, trzymając się za rozplątane gardło. Modry lotos oddaje ducha z twarzą wykrzywioną w upiornym połączeniu rozkoszy i cierpienia. Haixue otwiera oczy, szamocze się, chce krzyczeć, wciąga do tchawicy prowizoryczny knebel.

– Tu jest następny!

Xiao z trudem podniósł powieki. Ktoś szturchał go w bok, klepał po policzkach.

– Żyje!

Niewiele później kuśtykał już, prowadzony przez żołnierza ku skale, w której długim porannym cieniu rozłożyli się obozem wojownicy. Tu roślinność nie była tak

stratowana jak w Obozie Wołu; opiekun bakałarza co rusz siekł twarde łądygi krótkim mieczem. Xiao rozejrzał się. Mgła znikła. Las i chaszczki między skałami przeczesywali żołnierze. Kiedy spojrzął w kierunku Obozu Wołu, zrozumiał, czego szukają.

Niedobitków, cudem ocalałych z pogromu.

Nie ostał się ani jeden namiot. Równinę dziurawiły głębokie, wciąż dymiące leje. Wokół nich spaloną ziemię zaścielały ludzkie ciała pośród szerniałych płócien.

– Dobrze, że oddziały z pozostałych obozów pojawiły się dopiero dzisiaj – odezwał się żołnierz, widząc, że bakałarz się rozgląda. – Inaczej wythukliby nas wszystkich za jednym zamachem.

Xiao pochylił kark. Pnącza zaczepiały o buty, musiał uważać. I nie chciał patrzeć

na dzieło zniszczenia.

W cieniu wokół tryskającego ze skały źródelka leżało, pólleżało lub siedziało kilkudziesięciu rannych i umierających. Xiao precisnął się do wody i pił, dopóki ktoś nie zaczął głośno złorzeczyć. Wtedy zmoczył włosy, oddalił się i rozejrzał.

Nie poznawał nikogo. Żaden ze zgromadzonych ocalańców nie był Hu Mingiem ani którymkolwiek z uczestników jego ostatniej wieszery. Bakałarz i tak nie żywił wielkiej nadziei, nie odczuł więc zanadto, kiedy zgasła do końca.

– A jednak żyjesz! – donośny głos wytrącił go z zamyślenia. – Tylu dobrych żołnierzy godnych pochowania w końskiej skórze straciło życie. A taki pisarz przeżył!

Pułkownik Ren siedział pod kępą bambusów. Lewą skroń i ucho miał poparzone, włosy i wąsy spalone.

– Co się stało? – zapytał Xiao, zapominając o grzecznościowych formułkach. Ale

i Ren nie dbał o etykietę.

– Wiemy tylko, że te diabły wdrapały się jakoś na skałę, zabiły załogę maszyny łącznie z mistrzem Dinem i skierowały ją na obóz. Pomogła im nagła zmiana pogody, ludzie nie wiedzieli, dokąd uciekać... A tobie się udało. – Popatrzył ciekawie na bakalarza.

– Biegłem przed siebie, szczęście, że w dobrą stronę.

Xiao zdecydował się usiąść na trawie. Dopiero teraz w pełni odczuł ogarniające go zmęczenie, cielesne, ale i duchowe. Ren jednak pokręcił głową.

– Nie, chłopcze. Musisz jechać z nami. – A na zdziwione spojrzenie bakalarza dodał: – Masz sporo szczęścia. Nie miało go wielu innych. Pojedziesz z nami do Fortu, zobaczysz sobie, jak go zdobywamy, wszystko zapamiętasz, a potem opiszesz.

Rozległ się tętent i szum tratowanej trawy.

– Pułkowniku Ren! Wszystko gotowe do szturm, czekamy tylko na twój rozkaz!

Oficer wstał i uśmiechając się do bakałarza, mruknął:

– Opisz mnie dobrze, a nie zapomnę o tobie, gdy już wdzieję generalskie szaty.

Woda sięgała koniom do pęcin. Obniżony, ale wciąż wartki nurt odsłonił zbutwiałe pozostałości mostu. Bakałarz nie patrzył jednak w dół, tylko w górę, gdzie nad jeźdźcami piętrzył się zrujnowany, podziurawiony, lecz wciąż imponujący Podniebny Fort.

Z czoła pochodu dobiegło naraz głuche uderzenie i kwik konia. Nieszczęsny jeździec zwałił się na kamienie i spłynął z nurtem, nim ktokolwiek zorientował się, co się stało. Potężna, ale nadwyreżona skała ronila gruz na skradających się ku niej

najeźdźców.

Oddział dotarł na drugi brzeg bez dalszych niespodzianek. Zaczęła się mozolna wspinaczka zygzakowatą drogą, tym trudniejsza, że kilka pocisków upadło i tutaj, zmuszając jeźdźców do ryzykownego omijania wyrw i lejów. Xiao rychło zorientował się, że jego koń, widać zaprawiony w górskich eskapadach, drogę wybiera umiejętniej, niż zrobiłby to on sam. Pozostało mu tylko zdać się całkowicie na intuicję zwierzęcia.

Zamiast bramy przywitały ich zgliszcza. Xiao zagryzał wargi, oczekując zwałów ciał. Lecz drogi i dziedzińce, które przemierzali, były puste. Jeśli nie liczyć gruzu ze zrujnowanych murów.

I wiązek zwiędłych kwiatów.

I pęczków spalonych trociczek.

I stosów pustych naczyń.

Były wszędzie.

Jak gdyby cała ludność twierdzy oddała się dzikiemu rytuałowi.

– Wino bambusowe – skonstatował jeden z wojaków, odjąwszy od ust podniesiony z ziemi dzbanek. – Mieli tu niezłą popijawę.

– Gdzie ich wywiało? – ktoś rozmyślał głośno.

– Odlecieli dalej na południe! Ale i tam ich dopadniemy – zarzął ktoś inny.

– Skoczyli do rzeki?

– Ukryli się?

Ren uciął te spekulacje jednym warkliwym rozkazem. Oddział odczekał na resztkach tarasu, niegdyś jeszcze większego niż ten w Niedźwiedziej Warowni, aż z wyższych i niższych poziomów nie zaczęli przybiegać zwiadowcy z zadziwiająca, lecz dobrą wiadomością.

– Pusto!

– Nikogo!

– Bezpiecznie!

Wtedy do akcji ruszyli żołnierze z worami. To był szaber. Ale zorganizowany. Ren przywołał Xiao gestem.

– Gdzie się podzieli Guyue, zastanowimy się potem. Widziałeś już dość. A zresztą i tak wiesz, jak masz mnie odmalować. Wiesz? No to wracaj do obozu. Pojedziesz do Niedźwiedziej Warowni razem z dwoma posłańcami, oni przekażą rozkazy, a ty zabierzesz się zaraz do pisania. Wieczorem relacja z podboju ma czekać na mnie w gabinecie. Zrozumiano?

Xiao skinął głową, Ren jednak już tego nie widział. Przywołał kilku żołnierzy i poszedł szabrować.

Drugi w ciągu dwóch dni zjazd był jeszcze bardziej przerażający niż pierwszy. Nawet doświadczony wierzchowiec z trudem radził sobie na zdradliwej stromiźnie.

Xiao nie chciał być w skórze wojaków, którzy wracać będą obładowani łupem.

Rzekę przekroczył, bojaźliwie wypatrując w górze spadających głazów. Ledwo dotarł do brzegu, puścił się galopem do obozu pod skałą.

Posłańcy jakby nań czekali. W trójkę ruszyli ku leśnemu duktowi. Zanurzali się już w cień, kiedy dobiegł ich narastający szum.

Odwrócili się i oto, co ujrzeli:

korytem rzeki sunie fala

kipiąca nagromadzoną energią rzeka w okamgnieniu połyka przestrzeń

przełamawszy w górze tamę, pędzi przed sobą kamienie i drzewa

na swej drodze ma Szczyt Pięści

kiedyś go mijała

ale nie dziś

dziś jest zbyt silna

uderza z całym impetem w podstawę wzgórza

huk
wstrząs
szum
biel spienionych fal
przez chwilę nic się nie dzieje
skała stoi niewzruszona, jak stała od po-
czątku czasu
potem do szumu wodnej masy dołącza
narastający rumor

Podniebny Fort zdaje się dygotać...
...i z ogłuszającym hurgotem osuwa się
w dół
ciężar skał rozbija w pył wezbrane wody
podstawę szczytu spowija biała chmura
grzmot wstrząsa posadami gór

Xiao szeroko otworzył oczy i usta. To
się działo naprawdę.

Posłańcy z krzykiem spięli konie i pu-
ścili się galopem po wibrującej ziemi z po-
wrotem do obozu. A Xiao stał, patrzył na

kataklyzm i żałość ścisnęła mu serce.

Gdyby tak się nie spieszył, gdyby nie pokazał się nikomu przed katastrofą, każdy, kto wiedział cokolwiek o jego egzystencji, założyłby, że zginął. Byłby wolny, mógłby już pędzić na południe lub gdziekolwiek indziej, byle dalej od wojny, byle dalej od kary. Ale...

Wtem poczuł ciepło nowej nadziei. To tylko posłańcy! Może zbagatelizują jego zniknięcie, może nie zauważą nawet, że nie dotarł do Niedźwiedziej Warowni, może...

Zawrócił konia i ruszył galopem do Warowni. A raczej w jej kierunku. Przecież wcześniej był rozstaj i droga na południe, ku przełęczy, na drugą stronę gór, gdzie jeszcze nie znano cesarskich wojsk i cesarskiego prawa.

Im bardziej jednak zbliżał się do rozstaju, tym większy czuł strach. Nie znał okolicy, mapę widział raz, pamiętał tylko

główne szlaki. Nie miał żadnego jądła ani pieniędzy, niczego poza tym, co na grzbiecie. Miał za to pewność, że choć za przełęcz nie wybierają się jeszcze regularne wojska, to cały region roi się od zwiadowców. Trzymał wprawdzie w rękawie dokument uprawniający do opuszczenia twierdzy. Ale sam ten dokument bardziej go narażał, niż chronił, bo ujawniał, że jego posiadacz jest zesłańcem. Zaś list do komendanta obozu był bez wartości z dala od obozu, a zwłaszcza po jego unicestwieniu.

Pozostawał jeszcze miecz.

Miecz niezwykły i niemało wart.

I już wiedział, że się nie wyłga, nie wyrwie, nie wyzwoli.

Ponure zwalisko pozostałe po Twierdzy Migoczącego Księżyca minął stępą. Boczny dukt kusił, a może raczej wodził na pokuszenie. Z przedziwną mieszaniną poczu-

cia wstydlivej straty i zrezygnowanej ulgi Xiao opuścił równinę i wjechał między głązy, a potem w las. Pomiedzy koronami drzew zajaśniały wysokie tarasy Warowni. Nie chciał tam wracać, ale zmusił się do uznania, że to jedyne wyjście. Wychynął spomiedzy drzew i przygotował się na stromy podjazd, kiedy cichy głos zawołał:

– Xiao! Tutaj!

Odwrócił się i ku swemu niebotycznemu zdumieniu dostrzegł sylwetkę Zu Zi. Odziana w prostą suknię kiwała nań zza skałki.

Z bijącym sercem podjechał bliżej. Przypadła do końskiego boku i spojrziała na bakalarza swymi pięknymi migdałowymi oczyma. Na widok jego pokiereszowanej twarzy skrzywiła boleśnie usta.

– Nie możesz wrócić do Warowni! – jęknęła. – Przyszedł list gończy! Mają cię od razu ściąć!

Zacisnął powieki i pięści. Mocno, aż do

bólu. Czyż nie wystarczyło wygnać mnie w te dzikie ostępy? Otworzył je, dopiero kiedy przestraszona Zu Zi szarpnęła go za chałat.

Świat spływał krwią. Dłonie Xiao również.

– Musisz uciekać! Musisz! Bo cię zabiją! – Dziewczyna prawie płakała.

– Dlaczego mi pomagasz? Przecież... – Patrzył na nią z niedowierzaniem. Nie mógł uwierzyć, że jeszcze niedawno podglądał ją w Brzoskwiniowym Sadzie. Wydawała się wtedy tak odległa, tak obca... A teraz patrzyła nań ze łzami w oczach.

– Nikt... nigdy... – łkała już naprawdę – nie...

Zaszurgotały kamienie. Xiao poderwał wzrok. Drogą w dół na złamanie karku pędzili konni.

– Jada po ciebie – pisnęła Zu Zi.

– Chowaj się do lasu! – syknął i spał wierzchowca. Po białej twarzy dziewczyny pociekły łzy.

– Niech twa droga z wiatrem wiedzie – zdążyła jeszcze szepnąć, nim spojrzał na nią ostatni raz i puścił się galopem z powrotem.

Miał nad pościgiem przewagę, którą jednak szybko tracił. Jego koń był zmęczony, ich – świeżo okulbaczone. Nadrobił trochę dystansu w labiryncie głązów, gdzie nieustannie wodzony po górskich ścieżkach rumak czuł się pewniej niż trzymane w stajniach wierzchowce pogoni. Ledwo jednak wyjechali na równinę, odległość znów jęła się zmniejszać.

W ostatnim momencie, słysząc za sobą narastający tętent, nie skręcił w trakt ku południowej przełęczy. Na stromych podjazdach jego koń straciłby resztki przewagi nad wypoczętymi wierzchowcami, a on sam byłby znakomitym celem dla łuczni-

ków.

Puścił się przez las, już nie cichy, a wypełniony szumem wiatru w uszach i łomotem kopyt. Obejrzał się raz, w samą porę, by zobaczyć, jak jeden z jeźdźców barbarzyńską sztuką zmierza się do strzału. Przytulił się do szyi konia, skulił, skurczył, strzała przeleciała mu nad głową. Zmusił wierzchowca do jeszcze szybszego biegu. Widział już kres lasu. Gdyby udało mu się przejechać obok ruin obozu, tam dalej była kolejna droga na południe, wzdłuż Smoczego Muru, może dałby radę umknąć.

Wyjechał na otwartą przestrzeń.

I zrozumiał, że nie da rady.

Armia ludzi i koni zmierzała przez środek równiny ku rzece.

Z jednej strony Xiao miał skały i chaszczę, z drugiej wezbraną rzekę. Gdyby udało mu się brzegiem ominąć wojsko i skre-

cić na południe, miałyby szansę. Kolejną. I również niewielką.

Spiął konia. Za nim z lasu wystrzelił pościg. Krzyczeli, ale byli zbyt daleko, żeby wojsko mogło ich usłyszeć i zagrozić zbiegowi drogę. Pochylił się i błagał wierzchowca, żeby wytrzymał jeszcze trochę.

Bardzo długie trochę.

Rzeka niosła ze sobą wszelki możliwy śmieć. Nie zbliżył się do brzegu, wcześniej skorygował bieg konia. Teraz cwałował równoległe z mętным nurtem, lecz z dala od wyrzuconych na brzeg pni i gałęzi. Z przodu wyrosło jednak rozlewisko powstałe wokół góry gruzu, w jaką zmienił się Podniebny Fort. Zaczął skręcać, kiedy obok śmignęła strzała. Obejrzał się. Pogoń, a wraz z nią wieść dotarły już do wojska. W kierunku bakałarza galopowało kilkadziesięciu żołnierzy. Niektórzy napinali łuki, inni wyważali w dłoniach włócznie,

pozostali sięgali po miecze.

Spojrzał przed siebie. Rozlewisko sięgało daleko w głąb równiny. Nie zdąży go objechać, nim spotka się z cesarską konnicą. Nie miał wyjścia. Mógł tylko odwlekać koniec.

Szarpnął cugle, skierował wierzchowca ku rzece. Kopyta zaczęły siać wokół rozbryzgami. Ale fala już przeszła, woda była płytsza, niż się obawiał. Gdyby udało mu się dotrzeć na drugi brzeg, zgubić pogoń gdzieś w skałach... Miałby kolejną, już chyba ostatnią nikłą szansę.

Koń zapadł się nagle, kwiknął, zarył łbem w wodę. Xiao zacisnął kurczowo uda wokół grzbietu zwierzęcia, ale siła wyrzuciła go z siodła. Zobaczył tylko zbliżającą się błyskawicznie toń. Zdążył zamknąć oczy, nim otoczyła go zimna cisza.

Ból był odległy, acz wyraźny. Xiao chciał dotknąć rwącego przenikliwie ramienia, lecz nie mógł ruszyć ręką. Otworzył oczy i spojrzał wprost w oślepiający krąg słońca. Nagle wszystko wróciło, usłyszał szum i krzyki, poczuł, jak woda nim kołysze, syknął, doznawszy z całą mocą bólu rany zadanej strzałą, zakrztusił się i musiał walczyć o utrzymanie na powierzchni.

Płynął z nurtem. Po obu stronach miał skałki i zarośla. Coś przeszyło wodę nieopodal. Spojrzał w górę rzeki.

Gigantyczna sylwetka Szczytu Pięści, chociaż pozbawiona brzemienia zrujnowanego miasta, przytłaczała swym ogromem tłum żołnierzy na przeciwległym brzegu. Stali tam, gdzie kończyła się równina, a zaczynały skały. Przed chwilą widział jeszcze pojedyncze osoby, teraz ludzie zlewali się już w jednolitą masę. Nurt był rwący, woda głęboka. Po bokach skały rosły coraz

wyżej. Fale skradały się bakałarzowi do ust, oblepiały policzki włosami uwolnionymi z upięcia.

Obok spływała kłoda bambusa. Pokonując ból i zmęczenie, podpłynął i przerzuciwszy nad nią ramiona, wywindował klatkę piersiową ponad poziom wody. Dopiero teraz dostrzegł, że nie jest w rzece sam.

Wszędzie wokół płynęły ciała.

Lub fragmenty ciał.

Z każdym uderzeniem serca nurt unosił Xiao coraz dalej. Zamknął oczy i starał się nie myśleć, starał się zapomnieć. Udawało mu się to, póki nie zaczął szczekać zębami. Słońce wciąż stało wysoko na niebie. Trzeba będzie przybić do brzegu, wysuszyć ubranie i sklecić tratwę. A potem popłynąć na zachód, byle dalej.

Uniósł powieki i spojrzał przed siebie.

Skalne ściany kanionu wznosiły się pod

samo niebo. I dokąd Xiao sięgał wzrokiem, usiane były trumnami.

Nowymi.

Guyue wybrali drogę, z której się nie wraca.

Na pewno nie domyślacie się, dokąd Rzeka Tuzina Zakrętów zaniósł Xiao Longa, nie przerywajcie więc lektury!

Rozdział 30

w którym Xiao Long walczy z oporem materii, żywiołami i własną słabością

Unoszący się w wodzie chałat wyglądał jak kolejny trup. Xiao zacisnął zęby i postawiwszy mocno stopy na obmywanym nurtem rzeki głazie, pochylił się po sznur. Szarpnął nagle i ze stęknieniem poderwał chałat do góry. Ledwo zgojona skóra na ramieniu zapiekła krótko. Woda wybrzuszyła na chwilę materię, ale kiedy wypłynęła szwami i przetarciami, chałat nie obwisł, lecz żył własnym życiem, podrygując cały i machając zawiązanymi rękawami jakby w bezsilnej złości i daremnej rozpaczy. Xiao zarzucił roztrzepotany wór na ra-

mię i przeszedł po głazach na brzeg.

Po opuszczeniu kanionu Rzeka Tuzina Zakrętów przestawała zasługiwać na to miano, prostowała się bowiem i rozlewała szeroko pośród bujnego gąszczu, walczącego o lepsze ze skalnymi zwaliskami. Dzika okolica nie pozwalała mieć nadziei na ludzką pomoc, ale i obaw przed człowieczą niegodziwością. Dla uciekiniera, jakim był Xiao, odludzie stanowiło bezpieczną przystań.

Tratwa wciąż miała postać stosu zrąbanych mieczem bambusów leżących w płytkiej wodzie, ale Xiao musiał wpierw zadbać o strawę. Od brzasku zasypywał rzeczny żwirem kilka ciał, które pochował w zaimprovizowanym grobie między skałami pośród gęstwiny. Tylko tak mógł ustrzec się zemsty wodnych upiorów, w które obdarci przezeń z odzienia i dobytku zmarli zmieniliby się niechybnie, gdyby powierzył ich ciała rzece. Teraz miał zapas

sukna porzniętego na pasy, trochę sznura oraz parę lepszych lub gorszych noży, ale i omdlałe mięśnie, pod powiekami zaś martwe twarze i bezwładne ciała.

Wysypał na brzeg połów, złapany na znalezionej wcześniej śniętą rybę, wypatroszył jak umiał, a potem rozłożył na rozgrzanej skale. Miał nadzieję, że do wieczora słońce wysuszy mięso dość, by nadawało się do jedzenia. Od rana miał w ustach tylko wodę, tęsknił więc do jedła. Tymczasem siadł przy stercie bambusów i jał wiązać je niemrawo, leniwie krążąc myślami wokół prażących się rybich tusz. Wspinające się na nieboskłon słońce biło niemiłosiernie; Xiao czuł, że powinien schronić się w cieniu, lecz nie mając siły się podnieść, zwilżał tylko wodą rozpuszczone włosy. Wreszcie, kiedy umysł zaczął mu się mącić, zebrał się w sobie i przeniósł

pod drzewa, nie zważając na cierniste pnącza oraz uprzykrzone owady.

Kiedy się ocknął, słońce zniżało się już ku zachodowi. Walcząc z zawrotami głowy, poszedł po ryby i odgoniwszy ważki, wgrzyzł się w cuchnące mułem mięso. Kęsy rychło zaczęły rosnać mu w ustach, ale zjadł wszystkie oprócz jednej, którą chciał wykorzystać na nową przynętę. Potem, odpędzając rozleniwienie, wrócił do tratwy i podjął wiązanie bambusów najszybciej jak potrafił. Nie uśmiechała mu się kolejna noc na tym brzegu. Nocny spływ po nieznanym wodach był niebezpieczny, ale i tak lepszy od noclegu na kamieniach obok zarośli, które w ciemności ożywały, rozbrzmiewając nie tylko krzykiem nocnych ptaków, żabimi rechotami czy cykaniem świerszczy, ale i stapaniem niewiadomych bestii. Jeszcze jako dziecko nasłuchiwał się opowieści o taotie, owłosionych człekopodobnych stworach ze zwierzęcymi mordami.

mi, które wedle jednej z legend mieszkają na południu i napadają samotnych podróżnych. Teraz przekonywał się, że z takich strachów nigdy się nie wyrasta.

Kiedy jednak zepchnął tratwę na wodę i wszedł na nią, zaklął, a potem z najwyższym trudem powstrzymał łzy. Pod jego ciężarem wiązania rozstały się, a środek tratwy zanurzył na szerokość dłoni pod powierzchnię. Bez wzmocnienia konstrukcji jakakolwiek myśl o spływie była szaleństwem.

Słońce już zachodziło, las mroczniał. Xiao wypatrzył grupę głazów wystających z toni kilkadziesiąt kroków od brzegu i zanurzając się do pasa, zawlókł tam rozlazłą tratwę, a potem cały dobytek spakowany do worka chałatu. Umocowawszy tratwę na skałach, zastawił nieopodal kolejną pułapkę na ryby i położył się, drżąc z zimna.

Całą noc nie zmrużył oka, nasłuchując, czy któraś z przemierzających gęstwiny bestii nie zmierza doń przez wodę. Ledwo brzask rozjaśnił niebo, wrócił na brzeg, by podjąć pracę, z najwyższym trudem powstrzymując się od drapania puchnących miejsc po ukłuciach moskitów. Koło południa tratwa ze związanych na krzyż bambusów spoczęła na wodzie i nie załamała się już, kiedy na nią wsiadł. Zjadł suszące się od rana ryby, załadował na tratwę wór z całym dobytkiem i odpychając się długą żerdzią, zakończoną kawałem rozplatanego wzdłuż grubego bambusa, dał się złapać głównemu nurtowi.

Rzeka rozlewała się szeroko, usypiająco kołysząc tratwę. Xiao stał długo z żerdzią w dłoni i pilnował sytuacji. Kiedy jednak oswoił się z otoczeniem i poznał, że pod wodą nie kryją się groźne skały, zmęczenie wzięło nad nim górę. Krótco obserwował okolicę na siedząco, potem zwiesił stru-

dzoną głowę, wreszcie przechylił się i złożył skroń na wilgotnych bambusach.

Tratwa zadygotała nagle. Zdławiony zgrzyt przejął bakałarza dreszczem. Podrwał się i dźgnął toń żerdzią; zanurzwszy się ledwo na dwie piędzi, uderzyła w skałę. Kolejny dygot i chrobot, tratwa zakołysała się, zakreśliła. Xiao sapnął nerwowo. Dno rzeki podchodziło pod powierzchnię, i nie było to dno piaszczyste i przyjazne, lecz skalne i srogie.

Jał rozglądać się za co łatwiejszym miejscem na lądowanie, ale tratwa sunęła dalej gładko, nie niepokojona już zdradzieckimi skałami. Brzegi były dzikie, a rozciągający się za nimi kraj niezamieszkanym. Xiao nie czuł się na siłach podjąć pieszej wędrówki, póki nie zmusi go do tego sama rzeka. Usiadł na powrót, dając mdlejącym nogom odpocząć. Zaczerpnął dłonią wody i zwil-

żył usta. Czuć ją było mułem, ale gasiła pragnienie. Zmoczył włosy, które słońce zdążyło już wysuszyć, i położył się na wznak, osłaniając twarz zgiętym ramieniem.

Musiał znów się zdrzemnąć, bo kiedy tratwą podrzuciło ponownie, chrobot nie rozległ się jak poprzednio w kojącej ciszy. Xiao poderwał się i spojrzał przed siebie, ku źródłom przyprawiającego o dreszcz szumu.

Spomiędzy wzgórz na północnym brzegu wypływała oto szeroka rzeka. Trudno było orzec, co tu było czyim dopływem; dość, że nowe wody nie miały czasu uleżeć się we wspólnym nurcie. W dali bowiem na całą szerokość rzeki rozciągał się niewrózący nic dobrego opar. Mroczna toń przybierała tam białą barwę, rodząc złowrogi szum.

Kolejny dygot i chrobot. Tratwa okręciła się wokół własnej osi tak gwałtownie, że

Xiao stracił równowagę i upadł. Wór, ześlizgnąwszy się, z pluskiem zniknął w odmętach, zimna fala zalała tratwę, w jednej chwili do szczytu mocząc odzienie bakalarsza. Zatrząsał się, ale wstał, kurczowo dzierżąc żerdź, i klnąc, rozejrzał się po rzece. Nurt wciąż był spokojny, lecz delikatnie rozfalowaną toń pstrzyły coraz częściej białe plamy rozbryzgów, zwiastując rychłe przejście w rwącą kipieli i bezlitosne wiry. Nie tracąc czasu, Xiao zanurzył żerdź w wodzie i to wiosłując, to odpychając się od wypiętrzonych niemal pod samą powierzchnię skał, jał zdążać ku południowemu brzegowi.

Ręce omdlewały mu już, a wiązania tratwy rozchodziły się pod rosnącą siłą nurtu, kiedy wreszcie bambus uderzył o skałę tak płytko położoną, że niemożliwą do pokonania. Xiao nie szukał drogi wokół, od

razu przeskoczył na głaz. Od nadbrzeżnych zarośli dzieliło go już tylko kilkadziesiąt kroków przez labirynt omszałych głazów. Brzęczenie cykad prawie zagłuszało tu szum bliskiej kaskady. Xiao z najwyższym wysiłeniem wyciągnął tratwę na głazy i padł na nią wyczerpany.

Dopiero gdy nieco odzyskał siły, podniósł się znów i rozejrzał. O dalszym spływie nie mogło być mowy; rozhukane kaskady ciągnęły się od brzegu do brzegu, spowijając całą okolicę duszną mgiełką. Pobrzeżne skały porastał gąszcz tak zbity, że Xiao porzucił jakąkolwiek myśl o przeciągnięciu tratwy łodem w dół rzeki. Pozostawało mu iść piechotą, a kiedy kaskady się skończą, wybudowanie nowej tratwy. Chyba że po drodze natknie się na jakąś ludzką osadę. Rozglądając się wszakże po niegościnniej okolicy, czuł nie tylko zwątpienie, ale i nadzieję, że tak się nie stanie. Nie miał pojęcia, kogóż może tu spotkać.

Chciał jedynie płynąć byle dalej, aż trafi na jakieś większe miasto.

Sięgnął po miecz i poprzecinał zdobyte z takim trudem wiązadła tratwy. Stos bambusów pozostawił między głazami, zaś kłęb szmat oplótł sznurem i założył sobie na plecy. Związawszy włosy, ruszył z mieczem w zarośla.

Otoczyły go nieznośna duchota, lepka wilgoć i ogłuszający szmer cykad. Wokół jego głowy nieustannie unosiła się chmara owadów wszelkiego gatunku i rozmiaru. Wzdrygnął się cały, widząc podskakujące na wysokość dorosłego mężczyzny olbrzymie pająki. Raz nieopatrznie potracił mrowisko, zwisające z gałęzi na kształt długiego sopła. Długo musiał wytrzepywać spod chałatu wielkie, kaśliwe mrówki.

Zrazu ciął zieleń zagradzającą mu drogę, lecz wkrótce przekonał się, że ostre kikuty

czynią mu większą szkodę. Przeciskał się zatem przez zarośla, trzymając się brzegu na tyle, na ile było to możliwe. Kiedy jednak gąszcz zmusił go do oddalenia się od bezpośredniej bliskości rzeki, przekonał się, że las rzednie, przechodząc miejscami w długie polanki, zarosłe sięgającą barków trzcina. Ruszył raźniej przed siebie.

Szum przeszedł w łoskot, a potem w grzmot. Xiao czuł pod stopami wibrowanie skalnego podłoża. Ciekaw był kaskady i rad by ją zobaczyć, ale gąszcz stanowił nieprzeniknioną zaporę. Tylko kłęby oparu unoszącego się nad koronami drzew świadczyły o kotłującej się nieopodal topieli.

Polanka skończyła się, Xiao musiał znów wejść w las. Przez zarośla widział kolejny prześwit, szedł więc ochoczo. A kiedy wreszcie wyszedł na polankę, aż jęknął.

Nad korony drzew dźwigało się niefo-

remne zwałisko skalne. Strome z jednej strony, z drugiej wznosiło się łagodnie, dając nadzieję, że można wdrapać się na sam szczyt i stamtąd podziwiać kaskadę. Xiao przyspieszył i wkrótce wspinał się już, wydatnie pomagając sobie rękoma. Skała była pokryta gruzłami i porośla mocnym pnączem. Ze sterczących wokół gałęzi zwieszały się brzoskwiniopodobne owoce. Narwał ich kilka, a potem zdjął szmaty z pleców, rzucił je na wierzchołek skały i podźwignął się w ślad za nimi.

Straszliwy, fascynujący widok uderzył jego oczy:

siedem skalistych grobel staje na drodze
Rzeki Tuzina Zakrętów

sterczą czarne, oślizgłe, zębate, poszarpane

między nimi samotne skały porośnięte najwytrwalszymi z pnączy rzucają posepne

cienie

rozszała, rozwścieczona, rozbita na
białą miazgę rzeka tłucze o przeszkody ca-
łym swym ciężarem

usiłuje pokonać je karkołomnym sko-
kiem

i pryska zmuszona do odwrotu

lecz niezrażona wgryza się w skały

skręca w potworne wiry

wybuchu słupami w górę

wrze jak ukrop

zieje ze zmęczenia

i ostatnim gniewnym wysiłkiem może
wreszcie lunąć przez wyżarte przejścia

lecz znów rozlega się grzmot i szum
przeraźliwy

bo przy każdej grobli powtarza się za-
żarta walka i szaleńczy zamęt

z wyciem dzikiej kipieli miesza się pa-
niczny wrzask ptactwa

nżej zaś, daleko za najdzikszym rozhu-
kaniem żywiołów, w rozkrętach fal gałę-

zie, pniaki i wszelki śmieć wodny podrygują jakby przerażone tym, co napotkały w rozryczanej gardzieli, i uciekają w popłochu ku pokorniejszym wodom

Xiao długo nie mógł nasycić się widokiem tej nienasyconej otchłani, lecz wreszcie ssanie w żołądku odwróciło jego uwagę. Zresztą i strach jakiś zabobonny go zdjął, jakby zbyt długie spoglądanie na to dziwowisko natury mogło spowodzić nań pomieszanie zmysłów. Wgryzł się w chrupki miąższ owoców i rozejrzał po okolicy.

Kanion Rzeki Tuzina Zakrętów majaczył na wschodzie, obramowany fantazyjnymi postaciami gór i kłębowiskami wyniosłych chmur. Na południu szczyty ciągnęły się bez końca, ku niknącym we mgle i tajemniczy krainom. Na zachód dżungle walczyły o lepsze z łańcuchami wzgórz,

których mroczno zielone zbocza przywo-
dziły na myśl cielska leżących bawołów.

Wtem Xiao zamarł. Jego wzrok ześli-
zgnął się po lasach i górach i pomknął w
dół, gdzie na jednej z otaczających skałę
polanek mignęły ludzkie sylwetki.

Słodki sok spłynął bakałarzowi kąci-
kiem ust. Taotie? – przemknęło mu przez
głowę, ale z miejsca skarcił się za ten
straszny pomysł. Czyżby Armia Cesarska
dotarła aż tutaj? Postaci znajdowały się
między kaskadami a skałą, na której stał.
Zaraz powinny ukazać się znowu na kolej-
nej polance. Drząc, bacznie przepatrywał
las. I nie na darmo. W prześwicie sylwetki
znów się pojawiły. Tym razem na dłużej.

Nie byli to cesarscy żołnierze. Ale i nie
pobratymcy mieszkańców skalnych
twierdz, ani też taotie. Ci ludzie byli
nadzy, jeśli nie liczyć przepasek na bio-
drach, obwieszonych nożami i innymi
przedmiotami. Ciała mieli wymalowane w

wielobarwne wzory. W rękach dzierżyli włócznie i łuki.

Dzicy!

Xiao przypadł do skały, wciskając się w szczeliny. Serce waliło mu jak młotem. Sam nie wiedział, czego bardziej się bać – żołnierzy, którzy mogli doprowadzić go przed oblicze cesarskiej sprawiedliwości, mieszkańców fortów, którzy mogli paść chęcią zemsty, czy wreszcie dzikusów, którzy mogli zgotować mu straszną śmierć. Zamknął oczy, nasłuchując. Poza hukiem kaskady nie słyszał jednak nic. Widział za to kikuty gałęzi, stratowane za- rośla, powyrywane pnącza. Śladów zostawił aż nadto, by zaalarmować mieszcucha, a co dopiero dzikusa wychowanego w dżungli. A wtedy...

Zacisnął zęby i czekał.

Jeśli ciekawi Was, czego Xiao się doczekał i czy warto

było czekać, nie czekajcie, tylko czytajcie dalej!

Rozdział 31

w którym pojawia się jedna jedyna iskierka radości, lecz nie dla Xiao Longa

Rozkołatanе serce Xiao zaczęło się uspokajać. W szum kaskady nie wkradał się żaden podejrzany dźwięk. Bakałarz nie wiedział, dokąd zmierzali tubylcy, ale nawet jeśli ich droga prowadziła u podnóża skały, powinni byli już ją minąć. I chyba minęli, skoro Xiao nie słyszał odgłosów pogoni.

Otworzył oczy i podniósł się nieco, by rozeznać sytuację. Rozum mówił mu, że niepotrzebnie ryzykuje, wystawiając głowę ponad skałę, lecz ciekawość przemogła. Szybko i bacznie obrzucił spojrzeniem

okolice. Las był pusty, jednak kiedy wzrok Xiao powędrował w górę rzeki, z ust baka-
łarza wyrwało się przekleństwo.

Kilkanaście wąskich, długich czółen
przemierzało w poprzek rzekę. Jeśli dobrze
oceniał prędkość, z jaką nurt spychał dzi-
kusów ku kaskadom, miejsce lądowania
znajdowało się nieopodal skały.

Zapał znów w skalną rozpadlinę i za-
dumał się ponuro. Jeżeli dzicy rozłożą się
tu obozem lub chociaż przejdą większą
grupą, niebezpiecznie będzie schodzić z
powrotem w las. A przecież prędzej czy
później musi zejść na brzeg i zbudować
kolejną tratwę.

A jeśli... jeśli zechcą rozejrzeć się po
okolicy z najdogodniejszego punktu wido-
kowego?

Zdjął go strach jeszcze większy. Że też
akurat tutaj musiał trafić na kaskady! Ina-
czej spłynąłby już daleko w dół rzeki, z
dała od dzikusów, bliżej miast na zacho-

dzie.

Co robić, myślał gorączkowo. I poza przeczekaniem nic nie przychodziło mu do głowy.

Przemieścił się na drugi bok, osłonił twarz dłonią. Słońce przypiekało, a on nie miał wody. Na szczęście zaszumiały gałęzie, zapowiadając chłodny podmuch. Bakalarz sięgał po owoce, kiedy uświadomił sobie nagle, że szumowi listowia nie towarzyszy wiatr. Powietrze stało nieruchomo jak przedtem. Fala nieprzyjemnego ciepła rozlała mu się po brzuchu.

Znów szelest.

Sięgnął za plecy, po miecz. Nie zdążył dobyć broni, gdy wtem padł nań cień kilku odzianych tylko w przepaski biodrowe dzikusów, którzy wskoczyli na skałę jakby znikąd. Wytatuowane w różne zwierzęta ciała sprężyły się do ataku, włócznie mie-

rzyły w bakałarza, a spomiędzy czarnych, spiłowanych zębów dobywały się groźne dźwięki obcej mowy.

Xiao znieruchomiał. Paralizujący strach szedł w parze z nakazami rozumu – jeden ruch mógł wyzwolić zabójczy cios. Najbliżej stojący dzikus szturchnął bakałarza włócznią; Xiao zagryzł zęby, ale ani drgnął. Napastnicy wymienili bełkotliwe uwagi. Naraz dwóch schwyciło niestawiającego oporu bakałarza i cała grupa jęła schodzić ze skały.

Dopiero na dole Xiao przekonał się, w jakie tarapaty wpadł. Dżungla roiła się wprost od dzikusów, zbrojnych we włócznie i łuki. Niektórzy nieśli na drągach pojemne plecione kosze. Widok ich zawartości przejął zgrozą jestestwo bakałarza.

Oto znad krawędzi patrzyły ku niemu martwym wzrokiem poobijane, zdeformowane, okrwawione czerepy cesarskich żołnierzy.

Wzdrygnął się, jęknął, przystanął. Tu-
bylcy szarpnęli nim ostro raz i drugi, wbi-
jając w ramiona zaostrome do szpica pa-
znokcie, ryknęli coś groźnie nad uchem,
wreszcie podstawili pod twarz groty
włóczni. Dopiero wtedy zwiesił głowę na
piers i na wpół przymknawszy oczy, po-
zwolił się prowadzić dokądkolwiek.

Jeszcze przed chwilą siedział w słońcu,
patrząc na oszałamiający krajobraz, z per-
spektywą trudnej, ale możliwej do dokona-
nia ucieczki. Teraz w oczy zajrzała mu
śmierć, i to śmierć straszliwa, śmierć ska-
zująca na wieczną tułaczkę po bezdrożach
na krawędzi tego i następnego życia,
śmierć niezawiniona i niepotrzebna. Bo
przecież gdyby to odeń zależało, żaden
Człowiek Środka nie ruszałby z mieczem
na Dalekie Południe.

Xiao szedł pośród dzikusów jak pijany.

Pod powiekami przewijały mu się tysięczne obrazy. Widział pod sobą przepaście Świętej Góry Heng, przed sobą rozłożyste dachy siedziby Czerwonego Tygrysa, nad sobą majestat Podniebnego Fortu. A wsząd otaczała go duszna puszcza, spalona słońcem trawa polan, błotniste rzeczutki i wydeptane przez lata głębokie koleiny ścieżek. I dziesiątki, setki dzikusów, w których wytatuowanych rękach leżało teraz jego życie.

Widoczne i niewidoczne owady napełniały gęszcz kakofonią dźwięków, ptaki zrywały się z gałęzi, małpy nawoływały ostrzegawczo. Ta swoista muzyka dżungli zlewała się w jedno z dziwnie ostrą mową dzikusów. Tylko on, bakałarz z dalekiego Hengshanu, nie pasował do tego świata.

Wtem spoza ściany gęszczy dobiegły perliste śmiechy. Xiao podniósł głowę. Czy to złudzenie? Czy to wysunięci na czoło pochodzący dzicy wojownicy tak rado-

śnie dawali wyraz zwycięstwu nad intruzami? Bakalarz przebiegł wzrokiem po obliczach kroczących nieopodal mężczyzn, ale zanim rozszyfrował ich wyraz, polana zakręciła łagodnie, a oczom Xiao ukazała się wioska nad brzegiem rzeczki. Oto, jak wyglądała:

drogę rzeczulce zagradza tama ze zmur-
szalnych gładów i pni

w strugach tryskających z przebijają-
cych ją rur bambusowych uwija się kłębo-
wisko nagich brązowych postaci

starsi mężczyźni z oszczepami w dło-
niach polują na ryby

kobiety piorą szmaty

nagie dzieci baraszkują wesoło

za nimi, na zboczu, pośród bananow-
ców, stoją długie i wąskie, pozbawione
okien chaty bambusowe o spadzistych
trzciniowych dachach

największa z chat, długa na sto kroków,
odstrasza nieproszonych gości rogatymi
czaszkami bawołów

nad kilkoma ogniskami unoszą się słupy
dymów

na glinianych klepiskach pod ścianami
kobiety ubijają drągami w kamiennych
moździerzach

nie baczą na prosięta, kury, psy i mały
uwijające się wokół

na jednym skraju wioski kryje się w cie-
niu kilka słońi ze spętanymi przednimi no-
gami

na drugim stoją bambusowe klatki
cienie w ich środku zalegają ciemniej
niż w pobliskiej dżungli

na widok wynurzających się z dżungli
wojowników rozlegają się krzyki i piski
radości

kilkanaścioro dzieci puszcza się biegiem
powitać przybyszów

kobiety prostują się, zasłaniając oczy

dłońmi

mężczyźni wznoszą w górę włócznie i wymachują nimi na powitanie

Xiao znów spojrzał na otaczających go dzikusów. Ciemne twarze rozjaśniało wewnętrzne światło.

Większość grupy szła prosto ku rzece, ale eskorta Xiao pchnęła go w bok, ku bambusowym klatkom. Posłusznie wchodząc w mętny nurt rzeki, obejrzał się. Za nimi szło kilka par dzikusów niosących kosze z okropną zawartością. Strach, na chwilę przyćmiony widokiem wioski, znów przeszył bakalarza. Lecz nie szarpał się już; zagryzł tylko wargi i skupił się na stąpieniu przez niepewne koryto rzeki.

Najpierw wzmożony brzęk much, a potem mdlący odór kazały jeńcowi wreszcie podnieść wzrok. Zbliżali się do klatek z bambusowych źerdzi i lian. Xiao widział

na razie jedynie ich zarysy, ale kiedy tylko ze słońca rozświetlającego rzekę i jej brzegi wstąpili w bambusowy las, a źrenice przywykły do wilgotnego cienia, Xiao, nie zważając na żelazny uścisk dzikich, szarpnął się znowu.

W klatkach leżeli martwi już lub dogorywający żołnierze. Obok w rozgrzebanych stosach spoczywały odcięte głowy.

Wojownicy przełamali opór bakałarza i przemocą wepchnęli go do najbliższej klatki. Ledwo powstrzymując krzyk, stanął na palcach wyprężony jak struna, by nie dotknąć obsiadłych przez muchy i cuchnących nieznośnie ciał. Wystawił twarz przez kraty i próbował łapać świeższe powietrze.

Tymczasem na miejsce dotarli też tragarze. Kosze przechylono i z ohydny rumorem na ziemię wysypały się dziesiątki nowych głów. Xiao zgiął się wpół i jęknął, a potem zwymiotował pod nogi.

Jeszcze długo po opróżnieniu żołądka

walczył z torsjami. Kiedy nie miał już więcej żółci ani łez, dzicy odeszli ku wiosce. Przy klatkach zostało tylko dwóch strażników, gwarzących cicho ze sobą w kucki i leniwie odganiających się od much. Ale zaraz od strony wioski dobiegły głosy. Xiao spojrział w tamtym kierunku.

Oto ku klatkom kierował się kilkunastoposobowy orszak. Na jego czele kroczyła stara kobieta o długich na pół łokcia uszach, obciążonych okrągłymi metalowymi kolczykami. Podobnie obwisłe nagie piersi zwieszały jej się aż do pasa, gdzie zaczynała się ciemna spódnica. W dłoni trzymała rzeźbioną włócznię. Za nią zdążali zbrojni w dzidy postawni wojownicy z przepaskami na biodrach. Gdy się zbliżyli, Xiao dojrzał na twarzy kobiety tatuaże przedstawiające węże. Takie same tatuaże pokrywały całe ciała muskularnych wo-

jowników.

Orszak zatrzymał się przy stercie najświeższych czerepów. Kobieta grotem włóczni przebierała w stosie, co jakiś czas donośnym „E!” wskazując którąś z nich. Najbliżej stojący wojownik natychmiast nabijał ją na dzidę i szedł na tył orszaku. Wybrawszy kilkanaście obrzydliwych trofeów, kobieta bez słowa odwróciła się i poprowadziła wojowników z powrotem do wioski.

– Będą je wędzić przy swych ogniskach... – mruknął ktoś niewyraźnie.

Xiao zrazu nie zrozumiał. Nie tylko dlatego, że głos był słaby, lecz także dlatego, że nieznajomy mówił z silnym północnym akcentem. Bakalarz rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu mówcy.

– Tutaj...

W sąsiedniej klatce coś się poruszyło. Bakalarz chwiejnie przestąpił trupy dzielące go od drugiej strony więzienia i wystą-

wił twarz przez otwór.

Na szczycie ciał leżał mężczyzna. Żył, choć na pierwszy rzut oka zdawał się martwy. Czarne od skrzepłej krwi oblicze i także kolczuga upodobniały go do ofiary jakiejś straszliwej masakry. I pewnie był nią w istocie.

– Kim jesteś? – wyjąkał Xiao.

– Poddanym cesarskim – wyszeptał mężczyzna. – Schwytali mnie podczas rekonesansu. Tylko ja uszedłem żywy z całego oddziału. A ty?

– Ja też – odpowiedział krótko bakałarz. Wargi mu drżały, gdy dodał zaraz: – Co z nami zrobią?

– Zabiją.

Zapadło milczenie. Jedyne owady brzęczały i dżungla nie przestawała pulsować odgłosami wszelkiego stworzenia.

– Jak? – zdobył się wreszcie na pytanie

bakałarz.

Mężczyzna niezgrabnym gestem wskazał otoczenie.

– Ot tak. Zamorzą nas głodem i pragnieniem. Błagaj o deszcz, bo tylko wtedy napelnimy żołądki...

– To po co nas więżą? Dlaczego od razu nie zabijają? – Xiao walczył z łamiącym się głosem.

– A kto ich tam wie. Ale z oddziału, co go ogarnęli wcześniej, jednego rozstrzelali z łuku. Tak mówił mi ten – skinął w kierunku leżącego obok trupa – zanim szeszł. Podobno dlatego, że miał włosy na twarzy, a oni na takich polują w dwójnasób. Patrz! – Wydał otoczone niezdrowo czerwoną obwódką usta. – Też miałem wąsy, ale wydarłem je sobie co do włosa. I dlatego wciąż żyję.

Znów umilkli. Przez głowę Xiao galopowały tabuny myśli. Nie chciał, nie chciał, nie chciał umierać! Nie tutaj! Nie tak! A

gdyby położyć się, udać zmarłego, czekać... Ale jak przetrwać pośród trupów? I na co czekać? Na odsiecz? Przecież jest dezertorem, od swoich też czeka go śmierć, i wcale nie lżejsza. Jęknął, łykając łzy.

– Na imię mi Feng Jian – przerwał milczenie mężczyzna. – Pochodzę z Północnej Stolicy. Przez wiele miesięcy pełniłem służbę na naszym brzegu rzeki, ale potem zostałem wysłany na zwiad na drugą stronę. Napadli nas w Wąwozie Świerszcza i wybili do nogi. Kiedy mnie tu przywiedli, żyli jeszcze żołnierze z innego oddziału. Ich pojмали połowę i zamknęli tutaj, a resztę ścięli. Ostatni z tamtych zmarł dwa dni temu. Ukąsił go pająk. Ta stara to chyba królowa dzikusów. Widziałem, jak wybrała jednego mego towarzysza żywego z klatki. Potem słyszałem krzyki, ale nie wiem, co się z nim stało. Najgorzej jest w

nocy. Nie można spać. Wszystko się rusza. Lepiej położyć się na kilku ciałach, to mniej gadzin do ciebie dojdzie. Ale uważaj. Z góry spuszcza się węże. Jak spadnie deszcz, to aż roi się tu od żab. Zjedz, ile zdołasz pomieścić. Na zapas nie zabijesz, bo na drugi dzień zgniją. Inaczej zostanie ci tylko...

– Dosyć!

Straszny szept Xiao zamknął Fengowi usta. I znów zapadło milczenie. Xiao usiadł ciężko pod kratą i ukrył twarz w dłoniach.

Aby się przekonać, jaki los spotkał uwięzionego Xiao, trzeba przeczytać następny rozdział.

Rozdział 32

w którym po strasznej nocy nadchodzi straszny dzień

Szelest. Daleko. Szelest. Blisko. Ryk. Daleko. Krzyk – ptaka? Blisko. Skrzekot. Daleko. Cykanie. Wszędzie, coraz głośniejsze. Stukot – coś spadło? Gdzie? Szelest. Blisko. Szelest. Szelest. Szelest.

Kucający w kącie klatki Xiao nie wiedział, czy ma się bać tych szelestów. Feng pewnie wiedział, ale bakałarz nie chciał pytać, zwłaszcza teraz, w środku czarnej nocy. Zresztą i tak przepełniało go zbyt wiele strachu, by chciał wysłuchiwać opowieści Fenga. Nie mógł już mocniej zaciśnąć dłoni na rękojeści miecza. Był gotów go użyć. Choć wołał nie musieć. Bo sam

nie wiedział, czy nie wymierzy ostrza we własne gardło.

Szelest ustał o kilka kroków od Xiao. Bakałarz wstrzymał oddech i wyteżył słuch. Jakieś robactwo zaczęło go obłazić, jednak ani drgnął. Coś czało się w ciemności, nasłuchując tak samo jak człowiek w klatce. A potem ozwał się głuchy stukot, młaśnięcie i przeraźliwy trzask. Jeden. Drugi. Trzeci. W klatkę coś uderzyło, bambusy zaskrzypiały.

Drapieżnik ucztował na stosie głów.

Xiao nigdy w życiu tak się nie bał. Nie raz i nie dwa groziła mu już śmierć, ale dotychczas stawiał czoła niebezpieczeństwom w świecie, który znał, wedle reguł, które nie były mu obce. Tu obce było wszystko, wszystko inne, dziwne, dzikie i straszne. Nie potrafił się w tym świecie poruszać, nie wiedział, gdzie szukać ucieczki, nie miał pomysłu na ratunek, nie czuł nawet, że jest on możliwy.

Miał tylko jedną drogę ucieczki.

W śmierć zadaną własną ręką.

Ale pomimo ohydneho położenia, w jakim się znalazł, pomimo koszmaru, jaki go otaczał, nie chciał umierać.

I teraz, gdy o kilka kroków odeń bestia ucztowała głośno na ludzkich głowach, a ostrze miecza zdawało się samo mierzyć w grdykę bakalarza, przyrzekł sobie, że zachowa to wyjście na najczarniejszą chwilę – chwilę, kiedy nie będzie miał dokąd uciec. Bo teraz, choć położenie było straszne, coś mówiło mu, że jest jeszcze nadzieja.

Gdzieś daleko, w drobnym prześwicie między koronami drzew, coś błysnęło. Hałas czyniony przez drapieżnika – tygrysa lub może panterę – nie pozwalał dosłyszeć gromów, ale Xiao był prawie pewien, że oto nadciąga burza, jedna z tych potwor-

nych, choć krótkotrwałych burz południowych, kiedy woda i wiatr przygniatają wszystko do ziemi, a huk grzmotów wstrząsa posadami gór. Może wtedy... A choćby tylko nałapać wody i ugasić pragnienie...

Drapieżca najadł się widać do syta albo wyjadł co lepsze kąski, bo parsknął i jął się oddalać powoli. Szelest nie milkł jeszcze długo, lecz Xiao najgorsze z wątplenie miał już za sobą.

Jeśli burza istotnie nadejdzie, to bakałarzowi nadarzy się jedyna szansa ucieczki. Wiedział doskonale, że dzicy znają dżunglę jak on czubek własnego palca. Gdyby nawet udało mu się teraz wydostać z klatki bez wywoływania hałasu, który zapewne przywabiłby śpiących w nieodległej chacie strażników, nie uciekłby daleko – tubylcy aż nazbyt łatwo trafiliby na jego ślad. Ale podczas burzy, kiedy deszcz i grad łomocze o ziemię, a pioruny obalają drzewa,

wyrąbanie sobie drogi na wolność i ucieczka przez rozkołysany las były możliwe. Orientował się z grubsza, którądy dotrzeć do rzeki. Gdyby dzicy zostawili tam choć jedno czółno! A choćby i nie, na kawale bambusa puściłby się z nurtem rzeki. Nic gorszego niż tu spotkać bakałarza nie może.

Byle nie zabili go przed nadejściem burzy. Ale dlaczego mieliby? Tylu ludzi zdążyło pomrzeć tu z głodu. Niektórych wprawdzie zabierano żywcem na straszliwy los, większość jednak... Byle nie rzucać się w oczy, byle przeczekać...

Tylko co z Fengiem? Przecież nie mógłby go tu tak zostawić. Lecz Feng był słaby, ledwo się ruszał. Być może pomoc będzie musiała polegać na wymierzeniu mu ciosu łaski. Albo na zostawieniu miecza, by sam to uczynił. Jedyne miecza.

Jeszcze długo w noc wiódł rozmyślenia, ale kiedy jutrzienka wydobyła z nocnej ciemności pręty klatki, nie trzymał już kurczowo miecza. Miał plan. Póki było jeszcze ciemno, załatwił się w kącie klatki, a potem, powściągając obrzydzenie, wygospodarował trochę miejsca na klepisku i legł na podobieństwo trupa.

Nie potrafił jednak powstrzymać się przed podniesieniem na moment głowy, kiedy zaraz o poranku usłyszał kroki. Od wioski znów nadchodził orszak, tym razem bez królowej na czele. Wojownicy zatrzymali się przy stosie rozgrzebanym przez tygrysa i wymienili parę uwag. A potem zaczęli lustrację.

Xiao nie tyle widział, ile wyczuwał, że chodząc od klatki do klatki, dzicy przyglądają się leżącym w nich ciałom. Jeśli szukali żywych, to musieli uznać nieruchomego bakalarza za już zmarłego, bo szybko przeszli do klatki obok. Tam stali dłużej,

rozprawiając o czymś żywo. Wreszcie rozległo się skrzypienie bambusa. Weszli zabrać Fenga, pomyślał Xiao ze ściśniętym sercem. I cieszył się, że twarz ma zwróconą w drugą stronę, ponieważ malujące się na niej emocje od razu zdradziłyby, że żyje.

Feng jęczał coś, kiedy wywlekali go z klatki. Już poprzedniego dnia był osłabły, a kolejna noc bez jedzenia i picia tylko jeszcze bardziej mu zaszkodziła. Xiao starał się pojąć słowa mężczyzny, lecz bełkotany dialekt był już zupełnie niezrozumiały. Niebawem zanikł w oddaleniu.

Bakałarz długo jeszcze leżał bez ruchu. Być może nie było to konieczne – wydawało mu się, że wokół klatek nikt się nie kręci – ale znów ogarnęła go desperacja. Oto zabrano jedyne go człowieka, z którym bakałarza łączyło więcej, niż dzieliło, choć

przecież nie rozmawiał, nie chciał z nim rozmawiać. Teraz był już naprawdę sam pośród obcych. Zdany całkiem na siebie.

Słońce wspięło się na sam szczyt swej drogi po nieboskłonie i zaczęło schodzić. Xiao leżał w kałuży potu, jak nigdy łaknąc napitku. Przed oczyma przewijały mu się tysięczne czarki z herbata, które beztrąsko wychylał, dzbanki z cienkim winem, których nie dopijał, misy z bezcenną wodą, w których mył się niegdyś co wieczór. Teraz gotów był wrócić do armii i narazić się na karę, byle znów poczuć w ustach wilgoć i chłód.

Z dali dobiegło przytłumione dudnienie. Grom? Xiao uczepił się tej nadziei jak tonący bambusa. Żeby tylko wytrzymać do nadejścia burzy, żeby doczekać ulewy...

Wtem dalekim grzmotom zawtórował krzyk. Słaby i oddalony, lecz bakałarz nie miał wątpliwości – to wrzeszczał Feng. Cóż dzicy musieli mu robić, że w tym zne-

kanym ciele znalazło się dość siły na krzyk? Xiao zatrzęsł się z trwogi oraz bezsilnej wściekłości i podniósł głowę.

Tylko po to, by znieruchomieć.

Rozmyślania zaabsorbowały go tak bardzo, że nie dosłyszał szelestu, jaki wydać musiał wąż. A może nie. Bowiem wąż dopiero teraz opuścił w całości swe jaskrawozielone sploty z niskich gałęzi najbliższego drzewa. Gałąź zachwiała się, a reszta ciała gada opadła na ziemię z lekkim stukiem.

Szczupły łebek obracał się w obie strony, cienki język wysuwał z pyska jak zdradliwa igielka z zatrutego pierścienia. Nie był to dusiciel, a wąż jadowity. I nie wiedzieć, czy szukał ofiary, czy tylko padliny.

Xiao powoli jął sięgać drżącą dłonią za plecy. Gdyby tak wyciągnąć miecz i uciąć gadowi łeb, zanim zaatakuje... Powstrzymał się jednak od szaleńczego czynu. Le-

piej było nie zwracać uwagi węża, zamiast go prowokować. Zagryzł zęby i obserwując gada spod oka, zmusił się do zachowania bezruchu. Choć wszystko w nim krzyczało, by rzucić się do ucieczki. Lub by rąbać ostrzem na oślep.

Znów rozległ się grom, ale tym razem towarzyszył mu powiew wiatru. Korony drzew zaszumiały i oddały pokłon, najpierw niewielki, potem głębszy. Po ziemi jęły sunąć opadłe liście, po niebie ciężkie chmury. Kolejny grom. Na dżunglę spadła brzemienne ciemność.

Gad przez chwilę patrzył w kierunku skamieniałego bakałarza, a potem pochylił łebek i ruszył wolno ku najbliższemu stosowi głów. Jego długie na kilkanaście kroków ciało zniknęło pomiędzy krwawymi czuprynami. Xiao zamknął oczy i wsłuchał się w pogodę.

A ta zapowiadała się żywiołowo. Wiatr tarmosił już co słabszymi drzewami nad

rzeką jak fala wodorostami, gromom zaczęły towarzyszyć błyski. Burza była tuż-tuż. Wreszcie do szumu wiatru dołączył inny szum, bardziej miękki, bardziej głęboki. Kiedy pierwsza kropla spadła na skórę bakałarza, zrozumiał, że to już.

I choć w ślad za nią poszły wkrótce następne, wciąż było ich zbyt mało. Xiao potrzebował ulewy, potrzebował kurtyny wodnej zasłaniającej świat na kilkanaście kroków, potrzebował wodospadu zacieraającego wszelkie ślady, a nie zwykłego deszczu. I wciąż czekał.

Dopiero kiedy słońce mocno pochyliło się już ku zachodowi, szum kropeł uderzających w dach lasu nabrał mocy. Nie minęło kilkadziesiąt oddechów, a bakałarz przemókł do suchej nitki. Nie zważał na to, z rozkoszą łapiąc w usta obfite krople. Wtem szum wzmógł się jeszcze, a na ziemię jęły

spadać kule gradu wielkości bażancich jaj. Xiao osłonił głowę rękoma, ale grad wkrótce znikł. Za to nad wioskę dotarły wreszcie gromy. Gdy najbliższa chata zniknęła za srebrzystą zasłoną, Xiao zerwał się na równe nogi.

Teraz albo nigdy.

Liany szybko ustąpiły pod ostrzem, trzask utonął w grzmotach. Ale kiedy Xiao miał już wypychać kratę na zewnątrz, kątem oka dojrzał ruch. Instynktownie padł plecami na ziemię, trzymając miecz przy boku.

Kilka, a potem kilkanaście postaci opa-
dło klatki. W półmroku i strugach deszczu Xiao nie potrafił ich rozpoznać, lecz pierwsze słowa przybyszów zmroziły go do szpiku kości.

- To nasi!
- Widzisz te głowy?!
- Małpi pomiot!
- Zamordowali wszystkich!

– Zbydlone pokurcze, nie puścimy im tego płazem!

Postaci pobiegły dalej. Bakalarz słyszał nawoływania oficerów. Cesarscy żołnierze szykowali napaść na wioskę.

A Xiao musiał teraz strzec się dwóch niebezpieczeństw.

Nie ruszał się jeszcze długo, dopóki kurtyna deszczu nie zdała się na dobre odseparować go od świata. Ale i przygotowawszy się już do opuszczenia klatki, czekał wciąż, sam nie wiedział na co. I dopiero gdy przez szum i gromy od strony wioski doszedł jego uszu nagły harmider, poderwał się, pchnął kratę i wypadł na zewnątrz. Rozejrzawszy się błyskawicznie, puścił się biegiem w stronę rzeki. W ręce trzymał obnażony miecz. Był gotów siec każdego, kto stanie mu na drodze.

Ale nie musiał siec. Jeszcze nie.

Widział już rzeczkę, a za nią drogę ucieczki, gdy wtem zaroilo się w niej od cesarskich żołnierzy. Staął jak wryty.

– Co z naszymi?! – ryknął ktoś w jego kierunku.

– Atakują! – wykrztusił i zawrócił. Ostatnia rzecz, której teraz potrzebował, to zostać uznanym za dezertera. Miecz w dłoni sprawił, że wydał się żołnierzom jedynym z nich. Lecz przy pierwszej okazji zdradzi go brak czepca i znaków oddziału. Jeśli deszcz zelżeje...

Na razie jednak deszcz nie ustawał, przeciwnie, wzmagął się jeszcze. Xiao wbiegł z oddziałem do wioski. Tu działy się już straszliwe sceny rzezi i okrucieństwa. Dzicy, choć zaskoczeni, nie tylko bronili się dzielnie, ale i atakowali skutecznie. Między chatami leżały liczne trupy żołnierzy cesarskich. Tubylcy bronili się z wnętrza chat, strzelając z łuków i miotając włócznie przez szpary w bambusowych

ścianach i z dachów. Oręż, choć prymitywny, zbierał straszliwe żniwo wśród żołnierzy. Lecz i miecze oraz łuki napastników rozlewały krew. Krzyczano w obu językach.

Xiao starał się trzymać z dala od pierwszej linii starć, kiedy jednak żołnierze w ferworze walki rozbiegli się między chaty, i on stanął oko w oko z dzikimi. Pierwszej włóczni umknął spod grotu tylko dlatego, że rzucono ją niecelnie, ale od drugiej już uchylił się w ostatniej chwili, ujrawszy groźny ruch kątem oka. Przypadł do ziemi, a potem pobiegł pochylony ku rzece, gdzie spodziewał się znaleźć schronienie. Tu nadzieją się na wygasłe ognisko, przy którym zatknięte na kijach sterczały głowy. Rzucił się w bok tylko po to, by wpaść w środek starcia. Atakowany z dwóch stron dzikus rozpaczliwie zamachnął się na bakałarza

włócznie; Xiao przyjął cios na przedramię i wrzasnął z bólu. Ze zdrtwiałą ręką, nie wiedząc, czy nie jest złamana, padł na ziemię, nie widząc już, co stało się z tubylcem. Odczołgał się, aż zasłonił go deszcz. Przez kurtynę wody dojrzał ciemną ścianę lasu. Nie wiedział, którędy do rzeki. Chciał po prostu wyrwać się z teatru gwałtu i przemocy, którym stała się wioska. Podniósł się i ruszył pędem. Wbiegał już do lasu, gdy jego wzrok padł na dziwną postać przywiązaną do drzewa na skraju wioski. Rozejrzał się. Groźne i rozpaczliwe krzyki zostały w tyle, w zasięgu wzroku nie widział nikogo. Podbiegł i w nędznym, skatowanym, przebitym dziesiątkami strzał ludzkim łachmanie rozpoznał Fenga.

A więc taką śmierć mu obmyślili, jęknął w duchu, patrząc na niezliczone brzechwy sterczące z rąk i nóg mężczyzny oraz na dwie tkwiące w jego piersi i czole. Nie wątpił, w jakiej kolejności zostały wystrze-

lone.

Przynajmniej zmarł z całą szyją, pomyślał. I wbiegł w dżunglę.

Deszcz słabł, bliskie zachodu słońce zaczęło się przebijać przez odpływające szybko chmury. Z nagrzanym wcześniej liści całymi kłębami dobywała się para. Xiao biegł ile sił w nogach i tchu w płucach, nie bacząc na chlastające go po twarzy witki i gałęzie. Przewrócił się kilka razy, ale zrywał zaraz i parł dalej w gąszcz. Kiedy przez cichnący szum deszczu doszedł go szmer rzeczutki, puścił się ku niej. Wiedział, że zaprowadzi go do rzeki, która w górnym biegu nosiła miano Tuzina Zakrętów.

Gdy wbiegł, rozbryzgując krople, w wezbrany rdzawy nurt, przygnieciony ze wszech stron ciężarem zwisającej zieleni, chciał przystanąć i odsapnąć, ale strach po-

pędzał go nieubłaganie. Biegł więc dalej w wodzie sięgającej kolan, a czasem pasa, biegł nieprzerwanie, choć z płuc dobywało mu się już rzeźenie, a mięśnie mdlały. Biegł, aż wreszcie nie mógł już dłużej. Duszne, wilgotne opary zatykały dech. Ostatkiem sił doczłapał do brzegu i padł nieprzytomny na glinę.

Pod chmurnym niebem wznosi się dumny masyw. U jego stóp płożą się ludzkie sadyby. Ogrom szczytu zdaje się miażdżyć osadę. Ale to w niej mieszkają istoty, które potrafią ów szczyt poniżyć.

Kiedy się ocknął, była już noc. Deszcz przestał padać, gromy ucichły. W głębi dżungli rozlegały się zwierzęce wrzaski i przeraźliwy tumult. To chyba ten hałas wyrwał Xiao z nieprzytomności. Wstał i z mieczem w garści podjął marsz w dół nurtu.

Krzyki, stękania, skrzeki, piski, charkoty i kwiki zbliżały się, gałęzie poczęły szeleścić. Zatrzymał się, potoczył wzrokiem po spowitych mgłą czarnych koronach. Drzewa poruszały się, ale nie na wietrze. Coś oblało je niczym muszki pozostawione na powietrzu bułeczki miodowe z płatkami chryzantem. Wtem z ciemności wyodrębnił się pokraczny kształt i przeleciał z triumfalnym wrzaskiem na drugą stronę. W ślad za nim posypały się kolejne.

Dziesiątki, setki małp wędrowały w tę noc nad głową bakałarza. Ale gdy stado człowiekowatych podążało w głąb dżungli, samotny człowiek chciał wyrwać się z niej jak najdalej.

Szedł coraz wolniej, ale wytrwale, krok za krokiem. Raz zdradliwe dno zapadło się tak, że woda nieomal sięgnęła mu do ust, nie wyszedł jednak na brzeg. Bał się tego,

co mogło czaić się pośród czarnej głuszy.

Wreszcie wyczuł, że rzeczka się poszerza, a do jej szmeru dołącza szum większych mas wody. Było już zupełnie ciemno, lecz po nagłym zelzeniu duchoty poznał, że dotarł do celu. Pełną piersią zaczerpnął mulistej woni, jakże innej od zaduchu puszczy. Przez rzędzące chmury tu i ówdzie przebijały gwiazdy. W ich świetle dojrzał wąskie kształty przy brzegu. Czółna. Odwiązał jedno i z ulgą padł na jego dno. Leżąc niewygodnie na plecach, patrzył, jak przesuwiają się nad nim chmury, ufny, że nurt zepchnie go wreszcie ku rzece.

I tak się stało. Niebawem chmury zaczęły przesuwać się szybciej, a zaduch został w tyle. Czółno odpływało na zachód, a Xiao w sen.

Jeśli ciekawi Was, co czekało na Xiao w dole rzeki, czytajcie dalej!

Rozdział 33

w którym Xiao Long cierpi wewnątrz i zewnątrz

Jest nigdzie

otacza go nicość

widzi tylko szarość bez góry i dołu, bez
prawa i lewa, bez przodu i tyłu

nie słyszy niczego

nawet bicia swego serca

nawet szumu krwi w uszach

nawet oddechu

w głowie ma szarą pustkę, świadomą
tylko swego istnienia, niewybiegającą my-
ślą ani w przeszłość, ani w przyszłość

czuje, że istnieje

nic więcej

wtem szarość drga

przez świat przebiegają fale, ostre, szyb-
kie, przykre

widzi je, czuje i słyszy
zaraz potem słyszy szum
widzi czerń
i czuje ruch
Otworzył oczy.

Otaczała go szarość. Ale ta szarość była w ruchu. Z trudem wygiął szyję. Szarość ustąpiła poziomej czarnej tafli. Przez tafle i jego przylegające do niej ciało przebiegały drgania. Łączyły się z dobiegającym zewsząd stukiem i chlupotem.

Bakałarzowi zaczęła wracać pamięć. Przypomniwał sobie dzikusów. Zobaczył potworne klatki. Usłyszał krzyk Fenga i ucztowanie bestii na czerepach. Wróciła doń walka, bieg przez dżunglę i marsz przez rzeczkę. I odkrycie czółen.

Czarna tafla była burta, szarość mgłą, ruch falą.

Ale nie tylko.

Podniósł się z trudem, walcząc z zawrotami głowy. Łódką zachybotano. Czuł się niepewnie w tej wątej namiastce stałego ładu zagubionej we mgle na sunącej przez odludzie rzece. A kiedy rozejrzał się po toni, jego niepokój jeszcze wzrósł.

Wszędzie w zasięgu wzroku z wody wystawały srebrno-czarne rybie grzbiety.

Ławica musiała być przeogromna, bowiem pluski i chlupoty dochodziły zewsząd. Opasłe, długie nawet na łokieć ryby tłoczyły się, prac pod prąd. Dłubanka mozolnie wyorywała sobie drogę pośród grzbietów.

Xiao nigdy nie widział czegoś takiego. Lecz wiedział, że nie mogło to oznaczać niczego dobrego.

Długo patrzył na niezwykle zjawisko. Stwierdziwszy na koniec, że dwoi i troi mu się w oczach, zwalił się z powrotem na dno czółna. Był osłabiony i obolały, nie mógł skupić myśli. Ubranie miał przemoczone,

ale czuł w sobie dziwne, niezdrowe gorąco; stłuczone przedramię pulsowało. Przetarł wilgotnymi dłońmi twarz. A kiedy otworzył oczy i spojrzał na swą uniesioną rękę, omal nie krzyknął.

Skórę pokrywały mu ciemne, wypukłe plamy.

Zerwał się i usiadł, nie zważając na kołysanie się łódki. Zadarłszy rękaw, ujrzał na całym ramieniu kilka grubych pijawek przyssanych do ciała. Podciągnął drugi rękaw – tu żerowało ich kilkanaście. Z jękiem schwycił palcami pierwszą i spróbował oderwać. Śliska istota nie chciała jednak łatwo się poddać. W końcu zdarł ją, ale przykleiła się do palców tak mocno, że musiał jakiś czas ocierać dłoń o krawędź burty. Sięgnął do pasa, wyjął miecz i zaczął odcinać pasożyty jeden po drugim. Oczyszczywszy ręce, podciągnął chałat i no-

gawki. Cały aż zatrzęsł się na widok kilkudziesięciu obłych guzów. Klnąc i jęcząc na przemian, rozebrał się do naga i jał drżącymi rękoma odcinać pijawki.

Kiedy ostatnia w postaci szkarłatnych strzępów znikła za burtą, był cały umazany krwią, zziębnięty i roztrzęsiony, a przed oczyma wirowały mu czarne płatki. Położył się na mokrym dnie i przykrył wilgotnym chałatem. Zmagając się z drzeniem i nawrotami posępnych obrazów, czekał wyjścia słońca.

Mgła zalegała nad rzeką jeszcze długo. Kiedy wreszcie zaczęła rzednąć i zerwał się ciepły wiatr, Xiao zrzucił zimne przykrycie. Niebawem ciepłe promienie musnęły jego wyziębione ciało. Z rozkoszą wystawił twarz do słońca. Nie myślał teraz o niczym konkretnym, nie wspominał, nie planował. Cieszył się chwilą łagodnej przyjemności po długim okresie udręki.

Wreszcie poczuł, że w plecy gniecie go

dno, że głód ssie, że siły wracają. Podniósł się i rozejrzał.

Kłęby mgły spowijały jeszcze gdzieś nadbrzeżne gąszcze, ale krajobraz był daleko przyjemniejszy. Dokąd sięgnąć okiem rzeka sunęła powoli i dostojnie wśród łagodnych zielonych wzgórz. Na wschodzie w oddaleniu widniały górskie łańcuchy, na zachodzie het, het jaśniało coś białego, jakby niebotyczne szczyty. I nic nie zapowiadało kaskad, progów ani wodospadów.

Xiao zajrzał przez burzę, czy w pobliżu pławia się jeszcze jakieś ryby. Toń była jednak spokojna. Pożałował, że nie wykorzystał okazji, kiedy ryby same pchały się pod rękę. Teraz musiał uśmierzać głód samą wodą. Dobrze, że chociaż dosyć męt-
ną.

Rozłożył po czólnie ubranie, mając na-

dzieje, że do nocy wyschnie, i zadumał się. Wzrokiem błądził po okolicznych widokach, a myślami po swych widokach na przyszłość. I markotniał.

Siłą, która pchała go do ucieczki, był strach przed wojną i karą. Chęć znalezienia się jak najdalej od cesarskich wojsk i cesarskiego prawa, od zawiłości życia i machinacji nikczemników kazała mu gnać byle szybciej, byle dalej. Dopiął swego – nurt potężniejszej z każdą przebytą li rzeki unosił go w dal. Ale dokąd?

Bał się zachodnich rubieży Cesarstwa Środka. Wieści stamtąd dochodziły rzadko, zawsze zaś zdumiewały. Żyło się tam według reguł innych niż w jego rodzinnej prowincji i regionach okolicznych.

Lecz czy to nie od tych właśnie reguł chciał uciec?

Tylko jakich reguł życia szukał?

Bo reguły życia dzikusów też były inne, a jednak...

Parsknął i porzucił ślepią uliczkę myśli. Przecież nie miał do czego wracać. Być może będzie mu zrazu trudno się odnaleźć, nawet dogadać, ale nikt go na zachodzie nie zna. Będzie mógł zacząć życie od nowa. Znajdzie pracę jako kaligraf. Jeśli nie u rodaka, to u bogatego barbarzyńcy, którego nie będzie interesowało, co człowiek z samego środka Cesarstwa robi na peryferiach.

Tu przypomniały mu się opowieści o handlarzach sprowadzających nefryt z zachodnich pustyń i południowych dżungli, o kupcach przybywających do Cesarstwa z ładunkami cudzoziemskich dóbr, o posłach dalekich krain ciągnących do Północnej Stolicy z darami dla Cesarza... Jego wyobraźnię rozpałiły wyobrażenia obcych twarzy, dziwnych strojów, niezwykłych obyczajów, z którymi przyjdzie mu się ze-

tknąć... Twarzy brzydkich, strojów ordynarnych, obyczajów barbarzyńskich, ale przecież innych, nieprzywodzących na myśl tych, które splotły się w jego duszy nierozzerwalnie z tragicznymi przejściami. Dziwnych twarzy, niezwykłych strojów i obcych obyczajów, które jednak pozna i z którymi nauczy się żyć. Byle zakotwiczyć się gdzieś, byle jako nowo przybyły nie zwrócić uwagi, byle zdołać...

Zaburczało mu w brzuchu, czczość ozwała się boleśnie. Zaczerpnął wody i wypił, krzywiąc się. Potem wyteżył wzrok, a nie widząc w dole rzeki żadnych niepokojących ani obiecujących znaków, umościł się na dnie czółna.

Dywagował tak i drzemał na przemian, ale wkrótce zaczęły nim wstrząsać dreszcze, dziwne, bo niebiorące się z chłodu. Niemile gorąco znów rozlało się po ciele, ręce zaczęły drżeć. Spojrzał na rany, które zostawiły mu pijawki. Kto wie jakie jesz-

cze pasożyty pokąsały go, kiedy brodził w nieprzejrzystej wodzie rzeczki przecinającej dżunglę. I jakie trucizny miały w sobie.

Oczy zaczęły mu się zamykać, poczuł, że traci świadomość, że zapada nie w krzepiący sen, a w niezdrową drętwotę. Usiadł, zwilżył twarz wodą. Otrzeźwiło go to trochę. Co robić? Czy dobić do brzegu i tam poszukać ratunku? Lecz po obu stronach rzeki roztaczały się odludne krainy, a nawet jeśli zamieszkane, to wcale przez to nie mniej niebezpieczne. Czy w takim razie położyć się w dłubance i tu przetrzymać nadciągający atak choroby? Ale jeśli, czego nie mógł wykluczyć, w malignie zacznie się rzucać? Jeśli wywróci czołno i pójdzie razem z nim na dno?

Musiał przybić do brzegu.

I w tym momencie uświadomił sobie, że w łódce nie ma żerdzi ani pagaju. Po pro-

stu nie ma. Wsiadając do czółna, nie sprawdził, a teraz płynął bez żadnej możliwości kierowania jego ruchem.

Oblał go zimny pot. Płynął oto środkiem szerokiej rzeki w drobnej dłubance bez wiosła. Nawet jeśli przetrzyma atak choroby, to prędzej czy później trafi na nurt trudniejszy, a wtedy bez choćby żerdki straci kontrolę nad łodzią i... zginie. Nawet jeśli nurt nie stanie mu na przeszkodzie, to nie mogąc dobić do brzegu, nie napełni żołądka. Nawet jeśli przetrzyma głód, to ujrzawszy na brzegu wioskę lub miasteczko, nie będzie mógł wpłynąć do przystani ani ominąć większych statków. Gdyby miał choć kawałek bambusa, owinałby jeden koniec koszulą i tak zaimprovizowanym pagajem mógłby spróbować pokierować łodzią. Ale nie miał.

Serce waliło mu jak młotem, nie wiedział, ze strachu czy trawiącej go gorączki. Przechylił się za burtę i jał wiosłować dło-

nią. Łódeczka nie zmieniła kursu, a tylko rozchybotła się niebezpiecznie. Nie zważając na to, zerwał koszulę i owinąwszy ją sobie wokół przedramienia, rozgarniał wodę nieledwie panicznymi ruchami. Udało mu się skierować dziób czółna ku brzegowi, ale ramię rychło zaczęło mu mdleć. Drżąc o stabilność łódki, zwinął chałat w kłębek i położył się na nim twarzą do dziobu, wiosłując ramionami z całych sił. I tym razem efekt był w przeciwieństwie do zmęczenia niewielki. Nurt okazał się przeciwnikiem leniwym, ale wytrwałym.

Xiao ogarniała rozpacz, tym czarniejsza, im niżej opuszczało się słońce. Czekwała go kolejna noc w mokrym ubraniu, w walce z dziwną słabością, z chłodem, głodem i strachem. Przez chwilę rozważał popłynięcie wpław, ale wiedział, że nie dotrze tak do brzegu. Z kawałkiem bambusa pod ra-

mionami być może, sam – nie.

Rozpacz wkrótce przeszła w rezygnację. Nie położył się, by nie ulec atakom pomroki, ale i nie próbował już wiosłować. Siedział i tępym wzrokiem spoglądał na okolicę, pograżając się w marazmie.

Kiedy światło słońca przybierało już złocisty odcień, daleko na przedzie na północnym brzegu pojawiły się regularne kształty, wyraźnie odcinające się od krzywizn pagórków i bezładu gąszczy. Xiao zmrużył oczy i osłonił je dłonią przed padającymi ukośnie promieniami. Tak! Nad brzegiem stały zabudowania!

Od razu wróciły mu siły. Z bijącym sercem czekał, aż zbliży się na tyle, by poznać, co to za budynki i czy są zamieszkałe. Po jakimś czasie dostrzegł podniszczono wielobarwne dachówki i korony rosnących między nimi starych drzew. Resztę zasłaniał walący się kamienny mur. Nie napawało to otuchą – zabudowania, czym-

kolwiek były, wyglądały na zaniedbane, więc być może opuszczone. Od muru ku rzece schodziła dróżka wiodąca ku przystani, czy raczej po prostu drewnianemu podestowi wrzynającemu się w nurt. A obok...

Xiao przetarł oczy.

...a obok na wodzie unosiła się długa i wąska tratwa, na której stał człowiek i wybierał sieci.

– Ratunku! Nie mam wiosła! Pomocy! – wrzasnął bakałarz, podrywając się i wymachując rękoma. – Pomocy! Tutaj! Podpłyn do mnie! Słyszysz! Nie mam wiosła!

Krzyki zwróciły uwagę rybaka. Odłożył sieci i spojrzał w kierunku Xiao. Czółno przepływało już na wysokości zabudowań, lecz ciągle znajdowało się pośrodku rzeki. Bakałarz nie widział twarzy rybaka, nie wiedział więc, czy zrozumiał on wołanie o

pomoc. Ponowił wrzask, ale mężczyzna stał dalej jak kołek, gdy dżubankę znosił nurt. Xiao zaczął już tracić ducha. Darł się coraz głośniej i omal nie podskakiwał w łodzi, którą niewiele już dzieliło od obrócenia się do góry dnem. A bambusowa tratwa, przystań i zabudowania robiły się coraz mniejsze i mniejsze.

Głos bakalarza załamał się. Wymachiwał wciąż ramionami, lecz coś ścisnęło go w gardle tak strasznie, że nie mógł nic z siebie wydusić. Brudne dachy zaczęły ginąć w mrocznej zieleni gąszczy. Xiao opuścił ręce. Poczuł, że zaraz, nie zważając na niebezpieczeństwo, rzuci się do wody, by tym desperackim wyczynem zwrócić na siebie uwagę. Albo wreszcie to wszystko zakończyć.

Ale wtedy wydało mu się, że na przystani stanął ktoś jeszcze. I stał się cud.

Tratwa oderwała się od podestu i po-mknęła ku Xiao.

Krzyknął radośnie i znów wzniósł ramiona. Choć już nie musiał. Rybak zmierzał prosto ku niemu, dodając tratwie szybkości długą żerdzią. Zbliżał się powoli, ale wyraźnie. Xiao już widział jego krótkie szare spodnie i opalone, muskularne ramiona, niestrudzenie obracające żerdzią. Wreszcie ujrzał jego twarz. I wstrzymał oddech.

Oblicze mężczyzny było zdeformowane i tępe, jakie Xiao widywał u ludzi upośledzonych umysłowo.

Tratwa podpłynęła do czołna, bambus stuknął o drewno. Nieartykułowany dźwięk wydobył się z ust mężczyzny. Xiao zawahał się. Wtem silna dłoń chwyciła go za ramię i jednym ruchem przeniosła na tratwę. Bakałarz syknął i złapał się za obolałe miejsce; rybak już odpychał żerdź od dna.

– Moje odzienie! – zawołał Xiao i padł w kucki, wyciągając rękę ku oddalającej się dłubance. W ostatniej chwili złapał kłęb ubrań i przerzucił na tratwę. Ale w łódce pozostał jeszcze pas z mieczem!

– Czekaj! – krzyknął i chwycił burtę czółna, nie pozwalając mu odpłynąć z prądem. Rybak wybełkotał coś i znów ujął uratowanego za ramię, lecz palce bakałarza trzymały już pas.

Szarpnięty Xiao padł na bambusy. Zdumiony, zły i przestraszony popatrzył na osiłka. Ten jednak nie zaszczycił go spojrzeniem. Odpychając się potężnie, podjął mozolną drogę w górę rzeki. Rozkołysaną dłubankę bez pasażera i celu uniósł nurt.

Zanim dopłynęli do przystani, Xiao zdążył się ubrać i owinać mokry chałat pasem z mieczem. Był wdzięczny za ratunek, ale dziwna to była pomoc i dziwny ratownik. Bakałarz wolał się mieć na baczności. Kilka razy obmył twarz w zimnej wodzie, by

odpędzić słabość, i spoglądał z niepokojem ku przystani.

Wydawało mu się, że jest przygotowany na wszystko. Jednak kiedy ujrzał czekających na nich na przystani ludzi, stracił rezon.

Wszyscy nosili łachmany, mieli długie, splątane włosy.

I byli bezręcy.

Na pewno chcecie wiedzieć, jakie przywitania zgotowali bakałarzowi dziwni osobnicy, nie przerywajcie więc lektury!

Rozdział 34

o gościnności i tajemniczości mnichów, a także o zakłopotaniu i zadaniu Xiao Longa

Napój mdlił goryczą, lecz Xiao wychylił czarkę do dna. Sapnął, ocierając usta. W mieszance ziół wyczuł siłę zdolną postawić go na nogi.

– Dziękuję. – Z uśmiechem kiwnął głową gospodarzom. Odwzajemnili gest.

Mroczna sala była obszerna, ale i tak spróchniałe ściany zdawały się pękać pod naporem wypełniających ją postaci. Chyba cały klasztor przybył ujrzeć gościa. Xiao siedział w kucki, przed sobą mając niską drewnianą ławę, po bokach i naprzeciwko paru najstarszych, brodatych mnichów, a wszędzie wokół kilka tuzinów bezrękich. Pożegnalne światło dnia wpadało do środ-

ka tylko przez otwór drzwiowy, teraz zapchany gapiami, i szpary w dachu. Gdyby nie ostra woń ziołowego napitku, duchota byłaby nie do zniesienia.

Posługujący starszyźnie mniszek zareagował na skinienie jednego z brodaczy i wprawnie ująwszy dzbanek w palce stopy, dolał bakałarzowi napoju. Giętkość nóg i chwytność stóp mężczyzn zdumiewała bakałarza nie mniej niż ich bezrękość.

Drugą porcję wypił łatwiej; pierwsza rozlała się już po jego ciele przyjemnym, zdrowym ciepłem. Odetchnąwszy, zwrócił się do siedzących obok:

– Jeszcze raz zechciejcie przyjąć moją najszczerzą podziękę za wyratowanie z opresji.

Pochylił czoło. Odpowiedziały mu podobne, tyle że milczące pokłony.

Czuł się coraz bardziej nieswojo. Od po-

witania na przystani na dziesięć jego słów przypadało jedno słowo gospodarzy. Gdybyż jeszcze były to słowa treściwe... Lecz poza zdawkowymi formułami grzecznościowymi nie usłyszał nic konkretnego prócz informacji, że jest „rzadkim gościem w tym odludnym klasztorze”. Teraz wskaźnik ten jeszcze się pogorszył – mnisi ograniczali się już tylko do skinień. I do obmacywania wzrokiem jego rąk, co skonstatował z niepokojem. Tłumaczył sobie, że takie zachowanie nie powinno dziwić w odciętej od świata społeczności bezrękich, ale nie zmieniało to faktu, że nie było mu w smak.

Chcąc zwrócić rozmowę na inne tory, zagadnął z nadzieją:

– Dokąd prowadzi nurt rzeki, nad którą wznoszą się mury tego klasztoru?

Na to już nie dało się odpowiedzieć ruchem głowy. Mnich o niezbyt pomarszczonej twarzy i gęstych, ciemnych włosach

odezwał się twardo brzmącym, ale zrozumiałym dialektem:

– Do Długiej Rzeki.

Xiao odetchnął w duszy z ulgą. Bał się, że zapadnie krępujące, ba, groźne milczenie. Rad by wprawdzie usłyszeć coś więcej, lecz początek był obiecujący.

– A daleko stąd do zbiegu rzek? – pytał dalej.

Przytaknięcie.

– Jak daleko?

– Nie wiemy.

– Kaskady jakieś, wiry, wodospady po drodze są?

Ten sam zdawkowy ruch. Bakałarz się zafrasował.

– A duże? Gęsto rozsiane?

W dzień pewnie to miny mnichów dałyby mu do zrozumienia, że i ta rzecz nie jest im wiadoma. W mroku milczenie było jed-

nak niewiele mniej wymowne. Spróbował zatem inaczej.

– Jak daleko stąd znajduje się jakieś miasto?

Odpowiedziała mu cisza. Nim zrobiła się złowieszcza, doprecyzował:

– Macie tu jakiś gościniec?

– Był – odezwał się mrukliwie ten sam ciemnowłosy. – Ale nikt nim nie chodzi, to i zarósł. Dalej jest jakieś miasto, lecz nie wiemy gdzie, bo ani my tam nie chodzimy, ani nikt do nas stamtąd nie przychodzi.

Dłuższej kwestii za bytności Xiao w klasztorze nie wygłosił chyba żaden z jego mieszkańców. Bakałarz postanowił kuć żelazo, póki gorące.

– A w dole rzeki?

– Nad brzegami Długiej Rzeki są miasta – powiedział mnich, ledwo jednak rozbudził apetyt Xiao na informacje, już zamilkł, nie dbając o jego zaspokojenie.

Bakałarza naraz coś tknęło. Płynął oto

na zachód dopływem Długiej Rzeki, która, jak dotąd sądził, kierowała się z zachodu na wschód, czym nie różniła się od wszystkich wielkich rzek Cesarstwa Środka. Albo jego wiedza geograficzna była garści kłaków niewarta, albo rzeka wiła się jak...

Teraz to mnichowi cisza musiała zdać się niezręczna, bo sam z siebie podjął:

– Długa Rzeka zmierza wpierw z południa na północ i zachód, potem na wschód, dalej skręca na południe, a potem znów na wschód. W swej drodze przez kraj wije się niczym smok.

No tak, pomyślał Xiao. Smok. A mnich niewiedzący, jak dotrzeć do najbliższego miasta, ma w głowie mapę Cesarstwa Środka.

Coraz mniej mu się tu podobało. Uratowali go – świetnie. Poczęstowali ziołowym wywarem, po którym poczuł się lepiej –

znakomicie. Poinformowali o kaskadach w dole rzeki – doskonale. Teraz wypadało podziękować za gościnę i zwinąć manatki. Nocy na rzece obawiał się mniej niż noclegu w tym klasztorze.

– Czcigodni, czas mi w drogę. Niech będą wam dzięki za pomoc i opiekę, jaką mi zaoferowaliście. – Potoczył wzrokiem po zgromadzeniu, starając się, by pomimo pogłębiającej się ciemności dziękczynny uśmiech na jego twarzy był dla wszystkich widoczny. – Gdyby nie wy, nurt rzuciłby mnie prosto w paszczę kaskad, przed którymi tak wspaniałomyślnie mnie ostrzegliście. Gdybym posiadał jakieś skarby, bez wahania złożyłbym je wraz z pokłonem u waszych stóp. Jako że jestem jednak bogaty w to tylko, co mam na grzbiecie, niech wystarczą wam moje szczere podziękowanie i równie szczere przyrzeczenie, że kiedy los mój się odmieni, palić będę ku waszej chwale ognie w każdej świątyni, jaką

odwiedzę do końca mych dni. Niech będzie mi wolno prosić was o jedno jeszcze: o trawę, dzięki której uniknę niebezpieczeństw czyhających w dole rzeki.

To rzekłszy, pochylił czoło przed mrocznymi sylwetkami.

Bezruch i cisza ciągnęły się nieznośnie. Dało się słyszeć tylko ciężkie oddechy stłoczonych. Xiao nie podnosił wzroku, licząc, że w końcu zmusi w ten sposób starszyzną do odpowiedzi.

I nie mylił się. Tym razem odezwał się inny mnich. Starczy głos trząśł się w ciemności i skrzypiał.

– Kim jesteś z zawodu?

Xiao zmieszał się. Dotąd unikał mówienia o sobie, przedstawił się jedynie z imienia, bo tego uniknąć nie mógł, a przed kłamstwem coś – być może szacunek dla kalectwa – go wstrzymywało. Ale na pyta-

nie zadane wprost, choćby zadane tak dziwnie, bo przy pożegnaniu, nie mógł nie odpowiedzieć. Pokrzepiało go to tylko, że starzec nie zapytał, skąd przybywa.

– Jestem pisarzem.

Znów zapadło milczenie. Xiao zaczął się wewnątrz burzyć. Winien był tym ludziom szczerze podziękowania – złożył je. Winien był wdzięczność – obiecał spalać za nich ofiary. Czegóż chcieli jeszcze?

– Znasz się na kaligrafii?

Teraz znów pytał ciemnowłosego mnicha.

– Jestem bakałarzem, znam się na kaligrafii – odparł z nutą niecierpliwości, ale i chępliwości w głosie.

– Rzeka jest niebezpieczna, na tratwie się nie przepłynie – odezwał się kolejny brat. Xiao nie mógł go już rozpoznać w całkowitym niemal mroku. Być może mężczyzna wygłaszał ostrzeżenie z dobrodusznym uśmiechem, lecz nagłe włączenie się do rozmowy wcześniej milkliwych mni-

chów przestraszyło Xiao. Całe to zgromadzenie nie podobało mu się od samego początku, a teraz poczuł, że ogarnia go lęk.

– Przenocujesz tutaj i odpłyniesz rano – powiedział trzęsącym się głosem najstarszy.

– A może i nie odpłyniesz – mruknął ktoś niewidoczny w oblepiającej wszystko czerni i zanim bakałarzowi wszystkie włosy stanęły dęba, dodał: – Mielibyśmy dla ciebie pracę, którą może zechcesz wykonać.

– Zapłacimy – dorzucił ciemnowłosy.

Xiao przełknął ślinę. Zapłacą... Gdyby za cenę paru dni pobytu miał odpłynąć z jakże potrzebnym srebrem w rękawie, to mimo że nie podobało mu się tutaj... Ale przecież pogoń, przecież cesarska armia! Nawet jeśli nie ścigają bakałarza, jeśli dawno uznali go za zmarłego, jeśli już o

nim zapomnieli, to oddział wysłany na rutynowy rekonesans tych rejonów może zastanowić obecność w klasztorze przybysza z góry rzeki. Nie mógł ryzykować.

– Wielce mi przykro, czcigodni mnisi, lecz chociaż pragnąłbym zabawić tutaj dłużej i pomóc wam na miarę swych nędznych możliwości, to, niestety, nie mogę. Czas mi w drogę. Proszę tylko o tratwę lub pomoc w jej budowie. Proszę uniżenie.

I znów zapadło milczenie. Tym razem jednak nie drażniło już bakałarza. Przerażało go.

– Jesteś kaligrafem – rozległo się wreszcie. Xiao nie potrafił stwierdzić, czy to ktoś z zabierającej już głos trójki. – A my mamy zadanie dla kaligrafa. Zapłacimy szczerze.

– Zapłacimy szczerze – powtórzyło kilku innych.

I tyle w nich było stanowczości, że Xiao postanowił już się nie opierać. Bał się po-

myśleć, co się stanie, jeśli będzie naciskać, by puścili go wolno. Może powtarzać będą w kółko obietnicę zapłaty, a może...

– Cóż to za zadanie? – zapytał, starając się brzmieć rzeczowo.

– Obraz.

Obraz? – powtórzył zdumiony w myślach. Czyżby chcieli, bym coś namalował?

– Jestem prostym pisarzem, nie malarzem, nie potrafię komponować obrazów...

– Nie będziesz go komponował. Będziesz go reperował.

Niewiele lepiej, pomyślał stropiony. A może i gorzej.

– Cóż to za obraz?

– Przekonasz się jutro. Teraz czas ci do swej celi.

W sali naraz zrobiło się tłoczniej. Xiao niemal czuł napór mnichów na siebie.

Tłum porzucił bezruch, w jakim dotąd trwał, i sunąc ku wyjściu, porwał Xiao ze sobą.

Gwiazdy błyszczały już na granatowym firmamencie. Ludzka czerń powiodła bakałarza pośród ciemniejszych od nocy zabudowań, obok powykrzywianych ze starości drzew, przez wąskie uliczki ku niskiemu budynkowi z zapadniętym pośrodku ze starości spadzistym dachem. Drzwi zachrobotwały, bakałarzowi zakreśliły w nosie kurz i stęchlizna. Chciał przystanąć, ale dziesiątki ciał wparły go do środka. Ledwo się nie przewrócił.

– Spij – rzucił któryś z mnichów.

Drzwi zamknęły się i noc granatowa ustąpiła czarnej.

Xiao stał dłuższą chwilę bez ruchu, trzymając dłoń za plecami, przy klamrze pasa. Lecz tłum oddalał się szybko i wkrótce wszystko ucichło. We wnętrzu budynku panował spokój. Bakałarz miał nadzieję, że

nie ten spokój śmierci, jaki panował w klatkach dzikusów.

Po omacku zbadał otoczenie. Na podłodze nie wałały się żadne sprzęty, w ścianach – częścią kamiennych, częścią drewnianych – nie wybito najmniejszego nawet okienka. Brakowało choćby wiązki siana, na której mógłby się położyć.

– Zapłacą mi szczerze – mruknął pogardliwie. – Jeśli wcześniej nie zdechnę tu od zimna i robactwa.

Zgrzytając zębami, ułożył się z dala od drzwi, skąd ciągnął wilgotny powiew, i od muru, tchnącego niezdrowym chłodem. Zwinąwszy się w kłębek, położył dłoń na rękojeści obnażonego miecza i zamknął oczy.

Jeśli interesuje Was, co ujrzał Xiao w świetle poranka, koniecznie sięgnijcie do następnego rozdziału!

Rozdział 35

w którym pewne rzeczy się wyjaśniają, a inne zaciemniają jeszcze bardziej

Noc – jak i poprzednie – przeszła Xiao niespokojnie. Ożywczy wpływ gorzkiego naparu nie zdzierzył zimnu ciągnącemu od gołej ziemi. Do zawrotów głowy dołączyły drgawki, targające ciałem bakalarza wbrew jego najteższym wysiłkom. Siedząc w kuczki i kolebiąc się w przód i w tył, starał się dotrwać świtu. By odpędzić majaki, próbował skupić się i uporządkować swą wiedzę o malarstwie, ale jasności umysłu wystarczyło mu tylko na to, by bez końca obracać na wszystkie strony jedną anegdotę – o Lie Yi, który nie malował smokom i feniksom oczu w obawie, by nie ożyły.

Wreszcie przez liczne szpary w ścianach

do wnętrza jeła się sączyć gęsta, a potem coraz rzadsza szarość. Xiao zamrugał piekącymi oczyma i patrzył, jak pod zbitymi z wypaczonych desek drzwiami nabrzmiewa struga światła. Mimowolnie rejestrował inne szczegóły pomieszczenia – nierówne klepisko, zmurszałe ściany pokryte pajęczyną, zbutwiałe krokwie, szczeliny z boku dachu. I myślał ospale o kłębowiskach ślepych smoków.

Ze świata zewnętrznego dobiegły głosy i dźwięk kroków. Xiao spał się w sobie i próbował wstać, ale osłabienie wzięło górę. Kiedy drzwi otwarły się hałaśliwie, siedział z podkulonymi nogami, mrużąc oczy przed światłem.

W trzech ciemnych sylwetkach na tle rozjaśnionego dziedzińca Xiao rozpoznał młodych mnichów.

– Dobrego dnia – odezwał się jeden. Ba-

kałarż wymruczał odpowiedź, patrząc, jak brat unosi lekko nogę i zdjawszy z wiszącej na szyi drugiego tacy miskę, stawia ją na klepisku.

– Przyjrzyj się obrazowi i namyśl – ciągnął mnich. – Wrócimy wieczorem, żeby usłyszeć, jakich przyborów będziesz potrzebował.

– Przede wszystkim – wychrypiał Xiao – potrzebuję suchego ubrania, maty do spania i lekarstwa, bo jeszcze jedna noc tutaj i szesznię!

Mnisi zawahali się. Wreszcie ten sam odezwał się tonem niemal przeproszającym:

– Przekażemy, czego ci trzeba. A na razie przyjrzyj się obrazowi. Każda chwila jest droga.

– Przyjrzę się chętnie – warknął bakałarż. – Tylko mi go pokażcie!

– Jest za twymi plecami. – Mnich skłonił się i cała trójka wyszła, zamykając

drzwi. Xiao odwrócił się zdziwiony...

...i przeniósł się z półmrocznej, stęchłej sali w spowity mgłą górski przestwór:

 pękaty skalny zrab wznosi się setki stóp pod chmurnym niebem

 okraszone gęstwą karłowatych drzew i krzów zwaliska opadają w mglistą przepaść

 białe kłęby zdają się uciekać z niewiadomego serca otchłani ku górze

 po drodze czepiają się ostrych krawędzi i odpoczywają w ramionach bezładnych głązów

 te, którym się nie udało, rozpływają się w bieli u podnóża skały, by niżej jeszcze odsłonić wody rzeki, zamkniętej w swych brzegach przez pagórki

 na wierzchu jednego ze wzgórz, przycupnięta pod ogromem skalnego majestatu, trwa drobna, krucha świątynia

proceedzi do niej kamienista ścieżynka, wijąca się pośród kamieni i drzew ku dolnej krawędzi obrazu, łudzając oko i wywołując w widzu niezmierną a niespełnioną tęsknotę

Malowidło przenosiło wysokością dorosłego mężczyznę, szerokie zaś było na prawie dwa razy tyle. W wielu miejscach farba odpadała, gdzie indziej odbarwiały ją zacieki i grzyb, widać było ślady nieudolnej naprawy, ale uroda obrazu pozostała nienaruszona. Xiao nie mógł oderwać wzroku od tego dzieła sztuki i geniuszu, którego istota zdołała się oprzeć niszczącemu działaniu czasu.

Zauroczoney nie usłyszał, jak za nim otwarły się drzwi. Dopiero kiedy coś go trąciło w plecy, odwrócił się.

Mnisi już wychodzili, zostawiając na środku pomieszczenia zwiniętą matę z trawy, stos szat i dzbanek.

Xiao od razu sięgnął po naczynie. Nie

omylił się – dzban zawierał ziołowy napój. Niewiele myśląc, wychylił zawartość kilkoma haustami. Ledwo miłe ciepło jęło rozlewać mu się po brzuchu, zrzucił wilgotne ubranie i wciągnął suche, acz złachmanione szaty. Liczył, że jego własne rychno wyschną.

Owinąwszy się pasem, zajrzał do miski. Okazała się zawierać zupę z ryby, czy raczej lekko zabarwioną wodę, w której pływał rybi łeb z wygotowanymi ślepiami. Zioła zaostrzyły mu apetyt, zjadł więc śniadanie ze smakiem.

Pokrzepiony podszedł do obrazu. O ile mógł stwierdzić, wykonano go techniką starannego pędzla, wpieryw obrysowując kontury tuszem, a potem wypełniając je kolorem. Pod farbą krył się kamień, tak właśnie, jednolity kamień. Bakałarz dokładnie obejrzał ścianę; w przeciwieństwie

do pozostałych tę stanowiła lita skała, do której dobudowano kolejne z desek, tworząc zamkniętą przestrzeń.

Górny prawy róg malowidła ucierpiał najbardziej. Spod plamy wyłaniały się urywki nieczytelnej inskrypcji. Tu musiał znajdować się wiersz i być może pieczęć autora, skonstatował Xiao.

Z bliska obraz nieznanego twórcy nie tracił wcale na maestrii. Pejzaż malowała ręka wprawna i niebojąca się wyzwań, ale i niepoddająca się przesadzie. Drzewa nie miały w sobie zbędnej pokrętności, cechującej dzieła pretensjonalnych malarzy, mgła unosila się jak prawdziwa, a nie zalegała niczym dziura w plamie źle nałożonego tuszu, skały piętrzyły się imponująco, lecz bez przestylizowanej brawury. Bakałarzowi przypomniała się nagle starożytna anegdota, wedle której pewien władca, zapytawszy swego malarza, co najtrudniej namalować, usłyszał w odpowiedzi, że ko-

nie i psy. Podobnie jak góry, znał je z wyglądu każdy mieszkaniec Cesarstwa Środka. Najłatwiej namalować było duchy i demony, których nikt nie może zobaczyć. Nieznany pejzażysta z próby, jaką było spojrzenie okiem widza obeznanego z górskim krajobrazem, wyszedł obronną ręką.

Błądząc okiem po zawiłościach pędzla, Xiao błdził myślą po zarosłych ścieżkach swej wiedzy o malarstwie. Wiedział o tej sztuce tyle, ile przeciętny kaligraf wiedzieć powinien. Kiedy miał sposobność, podziwiał dzieła dawnych mistrzów. W ramach ćwiczeń kopiował niegdyś klasyczne inskrypcje, przy okazji próbując swych sił w kopiowaniu także towarzyszących im przedstawień bambusów czy kwiatów. Przejrzał też kilka klasycznych traktatów. Ale daremnie grzebał teraz w pamięci, szukając praktycznych wskazówek. Utkwiło

mu tylko sześć zasad malarstwa: duch, harmonia, myśl, sceneria, pędzel i tusz. Co się jednak tak naprawdę kryło za tymi hasłami, nie potrafił sobie przypomnieć. Może nigdy nie wiedział?

Patrząc za to na malowidło, wiedział dokładnie, jakie wyzwanie go czeka. Zdecydowana większość obrazów, z jakimi miał do czynienia, i wszystkie – choć nieliczne – jego własne wprawki wykonane były tużem. Dobrze znał tylko dzieła na jedwabiu i papierze, skalne widział jedynie w świątyniach i nie miał okazji ich studiować. Największy obraz, jaki sam namalował, mierzył łokieć długości; tego nie dało się objąć ramionami. Nigdy nie ćwiczył się w technice starannego pędzla. I wreszcie obraz miał nie tyle skopiować, ile zreperować. Co wobec paskudnych plam zacieków, grzyba i śladów poprzednich „reparacji” nie wywoływało w nim krzty entuzjizmu. Jakkolwiek patrzył, zadanie wydawa-

ło się beznadziejne.

Po co im, u lisa, naprawiać ten obraz? – pomyślał, zgrzytając zębami. Jest piękny taki, jaki jest. Nawet bardziej fachowa ręka może go zepsuć, a co dopiero ręka młodego i wcale nie nader wprawnego pisarczyka. Wyobraził sobie, że stoi z pędzelkiem i zastanawia się, jak nałożyć farbę tak, aby nie spłynęła. To było nie do wykonania!

Zgarbił się, zasepił, przespacerował wzdłuż ściany. Z ponurej zadumy wytrąciło go parcie na pęczek. Rozejrzał się w poszukiwaniu cebrzyka, lecz na próżno. Zdumiony i zaniepokojony przeschukał kąty izby – w żadnym nie znalazł najmniejszego choćby wgłębienia, które mogłoby posłużyć za dół kloaczny. Zmarszczył brwi. Gdyby miał wkrótce opuścić tę zapadłą rudere, nie wahałby się załatwić w kącie, ale skoro malowidło stanowiło inte-

gralną część owej rudery, nie chciał kalać własnego miejsca pracy. Głowiąc się nad nowym problemem, rozłożył matę i legł, czekając na rozwój sytuacji.

Nie wiedział już, jak się położyć, by nie czuć narastającej konieczności ulżenia sobie, kiedy drzwi uchyliły się ponownie. Tym razem na czele dwójki młodych mnichów stał ciemnowłosa.

– Czego ci trzeba do wykonania zadania? – zapytał bez żadnych wstępów.

Zadanie, zadanie, przedrzeźnił go w myślach Xiao. Można by pomyśleć, że bakałarz jest dla nich tylko środkiem do wypełnienia głupiego zadania. Nie zagłębiając się, czy tak istotnie było, zaczął równie bezceremonialnie:

– Cebrzyka albo dołu, żebym miał się gdzie załatwiać. Albo otwartych drzwi, żebym mógł załatwiać się na zewnątrz.

Mnich zmierzył go niechętnym spojrzeniem, a potem mruknął coś do stojącego

obok młodziana. Ten odszedł pospiesznie, a brat zwrócił się znów do bakałarza:

– Czego ci trzeba do naprawienia obrazu?

– Farb, przyborów do malowania, czegoś do starcia zacieków i grzyba – wyliczył beznamiętnie Xiao.

Mnich dłuższą chwilę przetrawiał informacje.

– Nie mamy farb – odezwał się wreszcie.

Xiao spojrzał nań zdumiony. No to po co w ogóle zawracacie mi głowę? – chciał zapytać kwaśno, ale się powstrzymał.

– Bez farb nie jestem w stanie nic zrobić. Przecież suchym pędzlem nie namaluję!

– Mamy tusz – mruknął mężczyzna.

– Chwała wam za to, ale tuszem kolorów nie wymaluję – uciał niecierpliwie

Xiao.

W tym momencie wrócił młodzieniec z cebrzykiem i postawił go w kącie. Bakałarz spojrział tęsknym wzrokiem ku naczyniu.

– Wrócę niebawem – rzucił posepnie mnich; wyszli. Ledwo zamknęły się drzwi, a Xiao już z błogim uśmiechem stał nad cebrzykiem.

– Nie mamy farb – ogłosił czarnowłosa, otwierając znów drzwi. Szukający w dzbanie resztek napoju Xiao przełknął kąśliwą uwagę. – Ale mamy tusz. I tym tuszem musisz obraz naprawić.

– Przecież powiedziałem, że bez farb to niemożliwe! – Bakałarz nie potrafił już powściągnąć zniecierpliwienia. – Barwnego malowidła nie da się naprawić czarnym tuszem. Zresztą nie potrafię malować tą techniką. Chętnie...

– Chodź z nami – przerwał mu mnich i

ruchem brody nakazał opuścić budynek.

Odwykłe od jaskrawego światła oczy Xiao załzawiły się w promieniach przedpołudniowego słońca. Zanim odzyskał pełnię widzenia, zagłębili się w wąskie uliczki. Po dwóch zakrętach weszli do sali podobnej do tej, w której bakałarzowi przedstawiono ofertę nie do odrzucenia.

Wewnątrz za ławą siedzieli starcy. Xiao kucnął naprzeciwko ,i czekał. Niedługo.

– Dlaczego farby są ci tak potrzebne? – zapytał beznamiętnie staruch o twarzy pokrytej wątrobowymi plamami.

Xiao zebrał całą pozostałą cierpliwość.

– Ponieważ obraz jest barwny – odpowiedział powoli. – Czarnym tuszem barwnego obrazu nie naprawię. W najlepszym razie powstanie pstrokate nie wiadomo co, ni koń, ni osioł, a w najgorszym malowidło będzie bezpowrotnie zepsute. Już teraz wi-

dać, że ktoś próbował je nieudolnie „reperować” – ostatnie słowo wymówił z przekąsem.

– Nie mamy farb – odparował starzec.

Xiao wywrócił oczyma.

– Skoro nie macie, to z naprawy nici.

Zapadło milczenie, tylko muchy przelatywały, bzycząc, przez snop światła dochodzący od otworu drzwiowego.

– Nie mamy farb – powtórzył po raz kolejny mnich. – Ale obraz musi być naprawiony. Co radzisz, czcigodny gościu?

Bakałarza zaskoczyła ta zmiana tonu. Odchrząknął i powiedział:

– Jeśli farb nie da się zdobyć, to malowidła nie da się naprawić. Ale jeśli się dowiem, w jakim celu jest ono wam potrzebne, może wymyślę coś innego.

Znów zapadła cisza. Starcy mierzyli Xiao nieodgadnionym wzrokiem. W końcu staruch zabrał głos.

– Obraz ten miał niegdyś niezwykłą

moc, którą zabrały mu czas i rozpad. Chcemy, by ją odzyskał. – Zamilkł i nie sprawiał wrażenia osoby, która ma jeszcze coś do powiedzenia.

Xiao zadumał się. W pustych korytarzach jego wiedzy o malarstwie ozwało się nagle dalekie echo.

– Nie wiem, rzecz jasna, o jaką moc wam chodzi – rzekł wreszcie. – Ale jeśli właśnie wewnętrzna moc obrazu jest tu najważniejsza, to może nie trzeba wcale reperować go takim, jaki jest. Wystarczy skopiować, byle z wewnętrzną konsekwencją, zachowując ducha oryginału. Wtedy mógłbym malować tuszem na jedwabiu i nawet inna technika nie...

– Nie mamy jedwabiu – przerwał staruch.

Xiao zgrzytnął zębami.

– To na papierze! – nieomal warknął.

Mnisi spojrzeli niepewnie po sobie.

– Papier mamy – skinał wreszcie ciemnowłosa.

Bakałarz chciał teatralnie westchnąć z ulgą, ale zmienił zdanie.

– W takim razie potrzebuję dużej ilości tabliczek tuszu – powiedział cierpliwie. – Kamień do rozcierania, co najmniej kilka pędzli, miseczki i wodę deszczową.

– Mamy tusz, inne przybory także, ale po co ci woda deszczowa?

– Rzeczna jest wykluczona, bo zawiera muł. Tylko deszczowa pozwala wydobyć z tuszu jego najlepsze właściwości. Czy nie padały tu ostatnio deszcze?

– Znajdziemy ci wodę deszczową. Możesz wracać do siebie. Niebawem otrzymasz, czego ci trzeba.

W drodze powrotnej Xiao przyjrzał się budynkowi, w którym przyszło mu mieszkać i pracować. Nie mylił się, sądząc, że dobudowano go do skały – wychodząc z

uliczki na dziedziniec, ujrzał za chatą nagie skaliste wzniesienie. Nie zdążył się jednak rozejrzeć, bo mnisi wprowadzili go do środka i zamknęli drzwi. W przywykłe do światła oczy uderzyła ciemność. Czcigodny gościu, won do chlewa, pomyślał z przekąsem i usiadł. Pozostało mu tylko cierpliwie czekać. I przemierzać korytarze swej niewiedzy o malarstwie w pogoni za nieuchwytnym echem.

Jaki skutek przyniosła ta pogoń, dowiedzie się z kolejnego rozdziału.

Rozdział 36

o tym, jak Xiao Long borykał się z brakami w pamięci, przyborach i umiejętnościach

Malarz dworski o imieniu Mao Yanshou skorzystał z faktu, że władca dobierał towarzyszek na noc wedle obrazów. Malując konkubiny cesarskie, w zamian za podarki upiększał je tak, by wpadły władcy w oko. Ale razu pewnego obrazy posłużyły do wyszukania pośród konkubin żony w darze dla barbarzyńskiego władcy. Wybór padł na szkaradną Wang Zhaojun. I dopiero kiedy władca skonfrontował malowidło z modelem, na jaw wyszły machinacje Mao. Otóż piękna Wang odrzuciła propozycje Mao, ten zaś z zemsty oszpecił ją na obrazie. Ale było już za późno na wycofanie daru. Wang pożegnała się z dworem i trafi-

ła w ramiona barbarzyńcy, a Mao pożegnał się z głową i trafił do anegdoty.

Wodząc wzrokiem po blacie stołu, stosie tabliczek tuszu, stercie kart papieru, paru miseczkach, kamieniach i pędzlach, Xiao szukał w pamięci praktycznych wskazówek. Na razie znajdował tylko anegdoty takie jak ta o Mao i Wang. Dobrze, że chociaż je pamiętał. Przynajmniej miał czym zająć skołatany umysł.

Bo przybory malarskie, jakie wreszcie przynieśli mu mnisi, pozostawiały wiele do życzenia. Tylko dwa kamienie do rozcierania tuszu prezentowały się jak trzeba. Stół był długi i niski, ale nierówny, a nade wszystko wąski, co uniemożliwiało pracę nad większymi fragmentami; tabliczki tuszu zleżały i skruszały, zamiast przyjemnego zapachu wydzielające stęchlą woń; papier pożółkły i tylko w długich na niecały

łokieć prostokątnych kawałkach; miseczki wyszczerbione; pędzle zaschnięte i zwichrowane. Jeśli dodać do tego kiepskie oświetlenie oraz niski poziom umiejętności malarza, nie wspominając o wołających o pomstę do nieba warunkach bytowych atelier, trudno się dziwić, że Xiao nie zacierał rąk z myślą o czekającym go zadaniu.

Mnisi dojść musieli do wniosku, że „czcigodny gość” wrócił już do zdrowia, bo w dzbanku zamiast ziołowej nalewki znajdowała się tylko woda, wnosząc zaś po smaku, od dawna nie była deszczówką. Ta ostatnia stała w drewnianym wiadrze obok stołu. I miało jej nie być więcej, przynajmniej do kolejnych opadów.

Co mam robić? – myślał usilnie Xiao, przeskakując wzrokiem między ściennym malowidłem a bezładnym zbiorowiskiem materiałów i przyborów malarskich, które własnym wysiłkiem musiał przeobrazić w dzieło dorównujące obrazowi nieznanego

mistrza. Od czego zacząć? Jak ocalić duch oryginału? Jak ocalić siebie?

Ta ostatnia troska dręczyła go bardziej niż pozostałe. Czuł, że jeśli nie podoła zadaniu, mnisi nie wypuszczą go ot tak. Trudno było nie dostrzec, jak bardzo zależy im na malowidle. Jeszcze trudniej było wyobrazić sobie, że porażkę bakałarza przyjmą z obojętnością.

A porażka zdawała się nieuchronna. Im dłużej Xiao łamał sobie głowę, tym silniej docierał doń ogrom trudności. Nachodziła go ochota, by pod byle pretekstem udać się na przystań, a potem znieńacka dobytym mieczem zastraszyć mnichów, porwać tratwę i ujść wolno. Ale wiedział, że byle pretekst nie wystarczy. I że nie wystarczy jednego miecza na kilkudziesięciu nawet bezrękich ludzi. Zwłaszcza że dotąd nie zagrozili jego życiu, a on nie byłby w sta-

nie zagrozić ich. Jeszcze nie. Pozostawało więc wykonać zadanie, zainkasować „szczodłą zapłatę” i odejść z uśmiechem na ustach. Lecz jak się do tego zadania zabrać?

Gorączkowe myśli przeskakiwały od jednego strzępka wiedzy do drugiego. Nie da się tego po prostu namalować, desperował. Tu nie chodzi o proste skopiowanie, tu chodzi o przeniesienie ducha obrazu za pomocą innej techniki. Nie mogą być jak płyta drukarska, odciskająca bezmyślnie dany kształt, muszę być artystą, twórcą, malarzem. A prawdziwy malarz...

W zakamarkach pamięci Xiao uchylily się jakieś drzwiczki. Uchwycił się ich i nie puścił, dopóki nie otwały się na oścież.

Księżę Yuan wezwał raz malarzy, by stworzyli mu obraz. Stawili się wszyscy i jęli lizać pędzelki oraz rozrabiać tusz. Tylko jeden, wysłuchawszy polecenia, wrócił do siebie. Księżę kazał go śledzić. Gdy do-

niesiono mu, że malarz zdjął górną część szaty i siedzi półnagi ze skrzyżowanymi nogami, powiedział: „Oto prawdziwy malarz”.

Myślę o wszystkim, tylko nie o samym duchu obrazu, zganił się Xiao. Kiedy w głębię się weń, droga jego uchwycenia ukaże mi się jasno i klarownie, a środki techniczne nią właśnie przyjdą do mnie. Sam obraz mnie poprowadzi. Papier, tusz, miseczki... Potem, potem!

Zrzucił ubranie, usiadł na macie ze skrzyżowanymi nogami i wpatrzył się w pejzaż. Długo w tok jego rozważań wdzierały się wszystkie inne problemy, ale piękno obrazu i determinacja wreszcie przemo-gły. Xiao zatopił się cały w wyczarowany pędzelkiem świat gór i mgły. Błądził po ścieżce, stąpał po graniach, nurzał się w chmurach, zaglądał do wnętrza świątyni.

Półmrok chaty rychło przestał mu przeszkadzać. Czuł, że przeniósł się z poziomu, na którym malowidło poznaje się tylko okiem, na poziom, gdzie doznaje się go myślą. Wreszcie zamknął oczy i wędrował po dawno minionym, a może nigdy nieistniejącym świecie już wyłącznie pod powiekami. Odkrywał miejsca niewidoczne na pierwszy ani drugi rzut oka, przestrzenie schowane za drzewami, przesłonięte mgłą, zakryte ogromem skalnego masywu. Luki i skazy, jakie zostawiły na obrazie czas i niewprawne ręce, wypełniły się treścią. I tylko inskrypcja pozostawała czarną plamą, przed której zbadaniem coś go powstrzymywało. Jeszcze nie, nie teraz; szept cichy niczym lot kłębow mgły unosił się na krawędzi świadomości bakałarza. I Xiao usłuchał.

Cała skąpa wiedza malarska, jakiej liźnął w życiu, stała teraz do jego dyspozycji, wydobyta na jaw spod pokładów kwe-

stii bardziej i mniej ważnych. Wiedział już, co znaczą duch, harmonia, myśl, sceneria, pędzel i tusz. Nie potrafił tego zwerbalizować, ale czuł całym sobą.

Kłopot, jakim był mały rozmiar kart papieru, stał się naraz zaletą. O Wang Xizhi, słynnym starożytnym kaligrafie, powiadano, że ćwiczył tak często, iż woda w pobliskim stawie poczerniała od płukania kamienia do rozcierania tuszu. Z głębi niepamięci bakałarza wypłynęła też opowieść o malarzu, który otrzymał zlecenie na namalowanie koguta. Po roku przybył do zlecniodawcy i na jego oczach w kilka chwil namalował obraz. Odbiorca był zadowolony z efektu, ale kręcił nosem na wysokość zapłaty za tak krótką pracę. Wtedy malarz pokazał mu swą pracownię – była pełna tworzonych przez cały rok studiów koguta.

Xiao wiedział, że dogłębne umysłowe i

duchowe poznanie malowidła nie przełoży się prosto na wytwór ręki. Zdawał sobie sprawę ze swych ograniczeń. I tu w sukurszła mu ilość kart papieru. Mógł ćwiczyć, próbować, eksperymentować, wprawiać się, szukać właściwych dróg, malować poszczególne fragmenty obrazu aż do osiągnięcia właściwego efektu, nie ryzykując, że błąd zepsuje całość. Złączenie fragmentów w jedno stanowiło nowy problem, ale jeśli odda ducha obrazu, to przy pewnej dozie precyzji efekt ogólny nie ucierpi.

Kiedy otworzył oczy, miał w nich jakiś blask. Do wieczora sprawdzał jakość tuszu, stan pędzli, własności papieru. Naza jutrz na jego życzenie mnisi wystarali się o płachtę chłonnej tkaniny do podścielenia pod papier, bez której tusz mógł rozlewać się pod spodem. Zgodzili się pozostawiać w dzień drzwi otwarte, by zapewnić właściwe oświetlenie. Przynosili mu też całe gotowane ryby i cienki, lecz smaczny napi-

tek na ziołach. I choć Xiao wciąż pozostawał w swoistym więzieniu, nie dbał już o to. Magia obrazu wciągnęła go bez reszty. Nie zważał na niewygody, na zamknięcie, na przyszłość niepewną jak przysłowiowy stos jajek. Nastąpiły dni wypełnione próbami pędzla i ręki, kopiowaniem charakterystycznych fragmentów, dobieraniem właściwego stopnia rozcieńczenia rozrobionego tuszu, poznawaniem własnych ograniczeń i przełamywaniem ich. Aż wreszcie, kiedy najdłużej stawiające opór motywy dały się wreszcie skopiować, bakałarz zrozumiał, że może już zaczynać właściwą pracę.

Tej nocy nie spał, a raczej jego ciało spało, gdy umysł wędrował po przestrzeniach obrazu. Skalny masyw i jego najbliższe otoczenie znał już lepiej niż Świętą Górę, pod której majestatem urodził się i

dorastał. Wiedział o wszystkich wspaniałościach dzieła. I o jego słabościach. Bo na obrazie brak było jednego – człowieka. Brakowało choć jednej figurki przygniecionej ogromem dzieła natury, choć drobnej sylwetki żyjącej w cieniu niebotycznej skały, wędrującej ścieżką ku klasztorowi, w głąb świata uwiecznionego pędzlem nieznanego mistrza.

Przed oczyma bakałarza przemknęła kartka czytanej dawno temu książki, a na niej opowieść o cesarskiej akademii malarzkiej. Tematem egzaminacyjnym był kiedyś cytat z wiersza: „Dzikie są wody, nikt ich w bród nie przejdzie. Wyciągnięte na brzeg czeka czółno”. Większość zdających namalowała pejzaż rzeczny z pustą łodzią na brzegu. Zwyciężył jednak ten kandydat, który w łodzi namalował człowieka grającego na flecie.

Brak ten nie dawał bakałarzowi spokoju i popychał do nadania dziełu własnego

rysu. Czuł się przecież nie tylko widzem, nie tylko kopistą, ale i współautorem obrazu. Czemuż miał nie uzupełnić świata przedstawionego częścią samego siebie? Świata, który istniał jedynie w umyśle twórcy i widza? Bo Xiao wiedział już na pewno, że, podobnie jak wiele klasycznych pejzaży, obraz nie przedstawia prawdziwej góry.

W Cesarstwie Środka nie brakowało krajobrazów równie pięknych, równie majestatycznych, równie oszałamiających. Ale jak i wielu innych twórców, tak i ten malarz z widzianych przez siebie widoków stworzył widok nowy, przesiany przez swą jaźń, przez swe tęsknoty, przez swój świat. Nie chciał naśladować natury, nie starał się oszukać widza, ale pragnął przedstawić coś nowego, swoistego, nie zwyczajnie kopiującego rzeczywistość, lecz ją uzupełniają-

cego, a wręcz stwarzającego.

Gdyby ktoś po prostu przekopiował obraz kreska po kresce, osiągnąłby efekt pozornie identyczny, lecz w istocie martwy. Trzeba było wejść w obraz jako w odrębną rzeczywistość, by nie uronić z jego ducha tego, co kryło się między kreskami. I tego właśnie musiał dokonać Xiao.

Przed świtem nad klasztorem przeszła burza. Dach przeciekał tu i ówdzie, lecz miejsce, gdzie leżał bakałarz i stał stół z materiałami i przyborami, pozostało suche. Xiao podniósł się i z pewnością, którą daje tylko intuicyjna znajomość miejsca, przystawił po ciemku wiadro pod strużkę ściekającą na klepisko. Kiedy słońce wzeszło i zmięczony delikatną mgiełką blask rozlał się po świecie, Xiao umysł miał jasny, a rękę pewną. Zaczął malować, zanim jeszcze otwarto drzwi. Malował, kiedy przyniesiono mu posiłek poranny, a potem południowy, których nawet nie tknął. Ma-

lował pod wieczór, kiedy mnisi zaglądali zdziwieni do środka, nie wiedząc, czy zamykać drzwi, ale nie śmieli przeszkadzać pogrążonemu w pracy malarzowi. Malował, kiedy zapadł niemal zupełny mrok. Jednak wtedy nie potrzebował już światła. Dogłębnie znał obraz, tworzywo i siebie.

Gwiazdy obsypały nieboskłon, gdy ostatnia krawędź skały wraziła się w kłęb mgły. Obraz był pełny.

A Xiao był pusty.

Drzwi stały otworem, pilnujący ich mnisi drzemali przykucnięci pod ścianą. Na zewnątrz rozpościerały się pogrążone w ciszy zabudowania i drzewa. Mógłby wyjść, przemknąć pod murami, zmylić strażę, zejść na przystań i odpłynąć z prądem rzeki. Ale nie myślał o tym. Nie myślał o niczym. Czuł się wydrażony, przezroczysty, rozcieńczony. Przelał samego siebie na pa-

pier. Niczego się nie bał, niczego nie pożałował. Nawet „szczodrej zapłaty”.

Kilkakrotnie gotował się do nakreślenia pędzelkiem drobnej, kruchej postaci ludzkiej na ścieżce. Ale za każdym razem coś go powstrzymywało. Wtedy wydawało mu się, że to ten sam szept, który kazał mu nie szukać treści zatartej inskrypcji. Teraz czuł, że to był instynkt samozachowawczy.

Ta częśćka siebie, którą chciał uzupełnić świat obrazu, była ostatnią częśćką, która zatrzymała go na tym świecie.

Odłożył pędzelek, zdjął ze stołu miseczki i wstał. Zachręściły stawy. Dopiero teraz poczuł, jak dużą cenę zapłaciło jego ciało za ten malarski maraton. Mięśnie bolały, w gardle drapało, pęcherz uciskał nieźnośnie. Zaczepnął kilka łyków z wiaderka deszczówki, załatwił się do cebrzyka i padł jak ścięty na matę.

Aby dowiedzieć się, co przyniósł poranek, przeczytajcie

następny rozdział.

Rozdział 37

w którym cel zadania staje się wreszcie jasny, ale los bakalarza niekoniecznie

Wędrujący promień trafił na oblicze śpiącego Xiao.

Czerwień i zieleń zawirowały. Przez chwilę sen, w którym na nefryt skapywały krople krwi, walczył o przetrwanie, ale światło było zbyt natarczywe. Bakalarz mruknął i odwrócił twarz. Jeszcze czas jakiś niespokojnie drzemał, by wreszcie unieść powieki.

Pamięć wróciła mu błyskawicznie. Podniósł się i rozejrzał. Mnisi przy drzwiach jeszcze spali. Dziwne porządki w tym klasztorze, pomyślał bakalarz przelotnie. Wstał i podszedł do stołu.

Obraz był znakomity. Mógł stwierdzić

to obiektywnie, bo nie czuł, że to on go namalował. Pamiętał swój dziwny stan umysłu poprzedniego dnia, pamiętał popychającą go siłę, ale nie rozpoznawał we wczorajszym Xiao siebie. Potrząsał głową, ze zdumieniem przeglądając pomalowane karty. Gdyby sam tego nie wiedział, nie uwierzyłby, że to on jest ich autorem. Miał się za znośnego kaligrafa, nic więcej, a już na pewno nie za wybornego malarza. Tymczasem te malunki wyszły spod ręki jeśli nie absolutnego mistrza, to naprawdę świetnego twórcy.

Jego uszu dobiegły kroki. Odwrócił się. To nadchodził ciemnowłosy mnich. Mężczyzna nie zwrócił uwagi na śpiących strażników. Spiesznym krokiem zmierzał prosto ku Xiao.

– Witaj – rzucił szybko. – Jak...

Przerwał, widząc na stole karty. Nachy-

lał się nisko nad każdą z osobna, jakby niedowidział lub chciał dostrzec każdy szczegół. Wreszcie wyprostował się i spojrzał na bakałarza. Jego oczy miały dziwny wyraz.

– Jeszcze tylko jedna rzecz – powiedział cicho – i będziesz wolny. Albo wybierzesz zapłatę.

Xiao zmarszczył brwi. Dotąd nie było żadnego albo, albo. Już otwierał usta, gdy odezwały się kolejne kroki. Mnisi zaczęli się schodzić.

Ciemnowłosa widział emocje na obliczu bakałarza, ale nie pozwolił mu dojść do słowa, tylko zaczął mówić szybko, urywanie:

– Dopiszesz jeszcze inskrypcję i będziesz wolny. Możesz zabrać z klasztoru, co tylko chcesz. Ale mamy dla ciebie szcudrzejszy dar. Do ciebie należy wybór. My wyboru nie mamy. Spójrz na nas! – Jego głos naraz się wyostrzył. – Widzisz

nasze cierpienie! A jest jeszcze coś, czego nie widzisz! Jak myślisz, ile mam lat? Ile? – Xiao nie zdążył odpowiedzieć. – Więcej, niż mógłbyś zgadnąć! Dużo więcej! Lecz już niedługo to cierpienie się skończy. Sami próbowaliśmy bez powodzenia. Nie jesteś pierwszym, którego zatrzymaliśmy. Jednak nikt nie potrafił tyle co ty. Tylko ty nie próbowałaś ucieczki, tylko ty wiedziałaś, czego obrazowi naprawdę trzeba. Straciliśmy już nadzieję, ale teraz widzę, że dobrze zrobiliśmy, zatrzymując cię tutaj. Dzięki tobie odejdziemy stąd na zawsze, dzięki tobie odzyskamy...

– Witaj, czcigodny bakałarzu – ozwał się ktoś słabo.

Starszyzna. Przed chatą tłoczyli się bracia. Xiao poczuł się jak pierwszego dnia, kiedy rozmawiał ze starcami pośród napierającego tłumu. Ale wtedy to był początek,

a teraz – koniec.

– Okaż, co działałeś.

Mnisi zbliżyli się do stołu. We wnętrzu pomroczyało od ciizby wtykającej głowy w drzwi.

Starcy długo i w milczeniu oglądali karty. Cały ten czas Xiao czuł dziwne podeksytowanie stojącego tuż obok mnicha. Zdawało się, że gdyby nie starszyzna, dalej zalewałby bakałarza potokiem nerwowych słów. Ale obecność innych kielźnała go. Xiao mógł rozważyć znaczenie jego słów.

Od początku zadanie, jakim była repera-cja obrazu, wydawało mu się dziwne. Teraz wiedział na pewno, że ów zabieg stanowił tylko środek do czegoś zupełnie innego. I coraz bardziej bał się owej tajemniczej „szczodrej zapłaty”.

Starcy podnieśli wreszcie wzrok znad kart i jak jeden mąż pokłonili się Xiao, a potem wyszli bez słowa. Został tylko ciemnowłosy i kilku młodych mnichów na

zewnątrz.

Jednak mężczyźnie ochota do rozmowy już przeszła. Patrzył na bakałarza dziwnie, jakby żałował, że się przed nim odsłonił, że powiedział za dużo albo w niewłaściwej chwili.

Xiao nie miał zamiaru biernie czekać na rozwój sytuacji.

– Albo ja czegoś nie rozumiem – powiedział sucho – albo tu się dzieje jakaś dziwna sprawa. Co to znaczy, że jesteś starszy, niż wyglądasz? Co to za szczerzejszy dar? Co zrobiliście z ludźmi przede mną?

– Zabiliśmy – szczerknął mnich.

Zapadła cisza. Tylko muchy jak zwykle bzyczały w tę i we w tę.

– Dlaczego? – zapytał Xiao ze ściśniętym gardłem, jednocześnie nieznacznie sięgając ręką za plecy.

– By nie donieśli o nas władzom – ciemnowłosemu widać wróciła ochota do rozmowy. – Póki jesteśmy kalekami mnichami na odludnym brzegu, nikt się nami nie interesuje. Porywacze, choćby byli kalecy, zasługują na karę. Ale ciebie nie zabijemy. – Uśmiechnął się nagle, patrząc bystro w twarz bakałarza. – Ty wykonałeś zadanie, a choćbyś doniósł potem władzom o tym, co miało tu miejsce, nas już tu nie będzie.

Xiao nie puścił rękojeści miecza. Słowa mogły być obliczone na uśpienie jego czujności. Albo szczerze. Sam nie wiedział, wiara w co byłaby większym szaleństwem.

– Ten klasztor – ciągnął mnich – jest bardzo stary. Niegdyś był ważny w tych dzikich stronach, lecz od dawna nie przybywają tu żadni pielgrzymi. To, co widzisz – zatoczył podbródkiem krąg, jakby chcąc pokazać nie tylko wnętrze chaty, ale i wszystko wokół niej – to cień dawnej świetności. Jak ten obraz, tak cały klasztor

wymaga reperacji. Obraz jest jego sercem. Był tu na długo, zanim my przybyliśmy, był tu od samego początku klasztoru i stanowił o jego wyjątkowości. I dopiero my przynieśliśmy upadek. I zaznaliśmy kary. Ale wciąż jest szansa! – głos mu zadrżał. – Jest szansa, by odzyskał świątynię i my wraz z nim, jeśli nie tu, to w... – emocja zdławiła go, pochylił głowę.

W tym momencie wbiegło kilku mnichów. Na twarzach mieli napięcie, na tarczach uwieszonych u szyi kubelki jakiegoś mazidła.

Ciemnowłosa w jednej chwili przejął dowodzenie.

– Tutaj, szybko! Rozprowadzać równo i cienko!

Xiao chciał protestować, ale było za późno. Schwytane w palce stóp pędzle jeły mazać skałę lepłą substancją. Obraz sza-

rzał w oczach, szpetniał, tracił czar. Jeszcze kilka oddechów i zmienił się w karykaturalny bohomas, pozbawiony nawet cienia dawnej chwały. Xiao odwrócił wzrok.

– Teraz ty. – Ciemnowłosa trącił bakałarza ramieniem. – Przyklej swój. Sam najlepiej wiesz, jak to zrobić.

Nie mówiąc nic, z kamienną twarzą, Xiao wziął pierwszą kartę i ruszył ku ścianie. Przez warstewkę kleju widział zarysy oryginału. Przyklejając kartę za kartą, sam się dziwił precyzji własnej wersji. Fragmenty pasowały nie tylko do siebie, ale i do oryginału. Jedynie tu i ówdzie krawędzie mijały się o włos, ale rozmywając lekko tusz, był w stanie zatrzeć różnicę.

Omdlałe ramiona odmawiały mu już posłuszeństwa. Wreszcie ostatnia karta przyległa do ściany. Cofnął się kilka kroków i objął wzrokiem całość.

To było to.

Do wnętrza znów weszła starszyzna, za

nią jęli wciskać się mnisi. Atmosfera zrobiła się jeszcze bardziej napięta niż wcześniej. Ciemnowłosy uznał widocznie, że nie tak rzeczy się mieć powinny, bo pełnymi gniewu krzykami zaczął ustawiać ciżbę w kolejkę. Zamiar powiódł się połowicznie, lecz tłum rozciągnął się nieco, a tłok zelżał.

– Bakałarzu – odezwał się najstarszy mnich – przed tobą ostatnie zadanie. Na obrazie brakuje jeszcze inskrypcji. Kiedy ją wykaligrafujesz, będziesz wolny. Nagrodę wybierzesz sobie sam.

Nie wiedząc, czy dopytywać się, czy wypełniać polecenia, Xiao spojrzął po twarzach zebranych. Starszyczna wyglądała jak przystało świątobliwie, ale oblicza zwykłych braci promieniały radością i nadzieją, której nie miał odwagi im odbierać. Rozrobił tusz i z pędzlem podszedł do ob-

razu.

– Pisz – powiedział mnich i zaczął pozwoli recytować:

Stroma i wąska ścieżka
dąży wytrwale na szczyt.
Zginają, lecz nie złamie
ciężar i skalny zrąb.

Sam w sobie czterowiersz ten nie różnił się od zwyczajowych inskrypcji często towarzyszących obrazom, lecz kiedy Xiao postawił pierwsze znaki, poczuł, że w papier wsiąka nie tylko tusz, ale sama istota tych słów. Malowidło, które dotąd miał za niemal skończone arcydzieło, nagle wydało mu się bez tej inskrypcji nagie. Coś nie tyle w treści, ile w strukturze znaków, w ich sprzężeniu z postacią obrazu wytwarzało nową jakość, wyższy poziom, głębsze znaczenie. A kiedy mnich drżącym głosem skończył recytować, bakałarz zaś

drżącą dłonią postawił ostatnią kreskę, zrozumiał dawno wybrzmiałe słowa mistrza Qinga o potędze kaligrafii. Bo oto już nie obraz mieli przed sobą, a – otwór. Prawdziwą bramę do realnego świata, tchnącą kojącym, rześkim chłodem.

A więc to tego bał się Lie Yi, malarz ślepych smoków, pomyślał Xiao. I w tym momencie rozpoznał pejzaż. Pagórki, rzeka, świątynia... Tylko – i aż – olbrzymie skalne zbocze w głębi różniło obraz od prawdziwego otoczenia klasztoru. To była piękniejsza wersja tego świata.

A może i prawdziwsza.

Xiao cofnął się, ustępując miejsca starcowi. Ten postąpił wolno ku otwartym wrotom, których obramowanie stanowiła brudna skała. Uniósł stopę, zawahał się i wstąpił na ścieżkę.

Drzenie przeszło przez mnichów stoją-

cych w chacie i przed nią. Xiao patrzył, jak po ścieżce stąpa już nie bezręki starzec w łachmanach, ale dostojny mędrzec w mniszej szacie i z kosturem w ręce. Nie odwrócił się, zmierzając ku świątyni na wzgórzu pod niebotyczną skałą.

Następni bracia ruszyli przez otwór na ścieżkę. Nie tłoczyli się, nie prześcigali, lecz kroczyli powoli i rozważnie, jakby w obawie, by nagłym ruchem nie zniweczyć tej... iluzji?

Xiao potrząsnął głową. Wierzył w to, co widzi, i na tym poprzestawał. Myślał dotąd, że wniknął w obraz i przeniknął jego świat, ale teraz miał przed sobą prawdę daleko potężniejszą niż wszystko, co poznał, zgłębiając dwuwymiarową postać dzieła.

Tłum malał. Wreszcie pozostali tylko Xiao i ciemnowłose mnich. Mężczyzna drżał cały i nie mógł oderwać wzroku od pejzażu i swych towarzyszy na ścieżce, ale nie zapomniał o bakałarzu.

– Tam – powiedział pełnym wzruszenia głosem i wydawało się, że już prawie ma rękę, którą może wskazać to „tam” – czeka na ciebie szczodra nagroda. Ale możesz zostać tutaj. Co wybierasz?

Xiao patrzył po strzelistych turniach, kłębach mgły, drzewach, dachach świątyni i czuł, że tam właśnie czeka nań zaspokojenie tęsknoty, którą dopiero teraz uświadomił sobie z całym bólem dotychczasowego niespełnienia i rozkoszą spełnienia rychłego. Tam mógłby... może... będzie...

Postąpił krok bliżej. Jeszcze jeden. Wyciągnął rękę. Uniósł stopę.

W tej chwili spomiędzy kłębowisk mgły, powykęcanych gałęzi i zwalisk skał doszedł wrzask spłoszonego ptaka. Coś nieuchwytnego zmieniło się w widoku, jakby przez jego środek przebiegła fałda. Bakalarz zachwiał się przerażony. Nagle

coś uderzyło go w bok. Stracił równowagę i padł, tłukąc biodro i łokieć o klepisko. Jęknąwszy, spojrział ze strachem na mnicha.

Ciemnowłosy stał między nim a obrazem ze zmienioną twarzą.

– Tobie nie wolno tam wejść – wydyssał. – Musisz jeszcze tu zostać. Ale przyrzeknij mi, że zniszczysz obraz! Przyrzeknij!

Bakałarz skinął machinalnie głową.

A mnich odwrócił się i przestąpił próg.

Krocząc po ścieżce, nie odwrócił się ani razu. Lecz po jego ruchach widać było, że brak mu tego spokoju, który przepęśniał jego poprzedników.

A pejzaż wciąż kusił.

Xiao wstał. Coś przeszkodziło mu przejść do drugiego świata. Przyrzekł zniszczyć malowidło, nie mógł jednak tego zrobić. Nie chciał robić niczego. Niczego.

Ale przecież mógł jeszcze raz spróbo-

wać.

Znów podszedł bliżej i uniósł stopę. Przesuwał ją powoli, ostrożnie. Kiedy dotknęła płaszczyzny progu, pejzaż znów się sfałdował, znów rozbrzmiał krzykiem. Ale bakałarz się nie cofnął. Zanurzał już w drugim świecie całą stopę, dotknął już płaszczyzny kolanem. Przez obraz przebiegły kolejne fałdy. Mnisi wciąż podążali po ścieżce, jednak nie widział ich już wyraźnie. Świat stracił klarowność, przestał być realny. Xiao wycofał się, lecz smugi pozostawione przez fałdy nie znikły. Obraz nadal był bramą, ale jakby widzianą przez zacinający deszcz, jakby zasnutą pajęczyną.

Następnej szansy już nie będzie, pomyślał Xiao i po raz trzeci podszedł do obrazu. Zaczerpnął powietrza i zdecydowanym ruchem wstąpił do środka.

Wszystko przechyliło się i przekreśliło,

świat przykrył cień, krzyki rozbrzmiały pod czaszką bakałarza. Chciał iść dalej, ale nie miał już dokąd, ścieżka znikła, a nań zaczęła spływać jakaś słabość i mdlący ból. Czuł, że nogi zaraz załamia się pod nim i padnie, kiedy wtem bezświetlny błysk dźgnął go w serce. Amulet! Xiao szarpnął się i przewrócił na plecy.

Obraz wciąż tam był i wciąż wydawał się otwarty, ale na powierzchni ujawniły się krawędzie kart. Mgła stężała, wiatr targał drzewami. Postaci na ścieżce nie dało się już zobaczyć. Zdawało się, że jasny dzień wnet ustąpi burzowej nocy.

Xiao podniósł się powoli i wylał sobie na czuprynę resztkę deszczówki. Pomogło. Już nie chciał przechodzić na tamten świat, czymkolwiek był. Tamten świat go nie chciał. Mam zniszczyć obraz, powtórzył w myślach.

Wtem spomiędzy klasztornych zabudowań doszły go krzyki. Słowa były niezro-

zumiały, ale brzmiał w nich strach. To pewnie tamten upośledzony rybak, pomyślał Xiao i zasepił się. Mnisi zostawili go na pastwę losu. Nie mogli przecież wiedzieć, że bakalarz nie zdoła przejść na drugą stronę. Kim oni byli? Co zrobili, że ponieśli karę? Czemu stracili ręce? Skąd wiedzieli, że obraz jest bramą?

Pytania cisnęły mu się na usta, ale oto krzyki rybaka zbliżyły się, a jego foremne ciało i zdeformowana twarz pojawiły w drzwiach.

Xiao nie wiedział, co rzec, i patrzył tylko na osiłka. A ten zaledwie nań spojrział, bo jego uwagę zwróciło malowidło. Przeżalenie znikło z tepej twarzy, zastąpione zdumieniem. Podszedł jak zaczarowany i długo patrzył pochylony w głąb obcej przestrzeni.

– Hej, ty – odezwał się wreszcie Xiao. –

Twoi panowie odjechali daleko, ale wszystko będzie dobrze. Muszę się tylko zastanowić, jak...

Urwał, bo rybak go nie słuchał. Spoglądał wciąż z tym samym wyrazem zdumienia na pejzaż. I nagle przez jego oblicze przemknęło coś jakby zrozumienie, dłonie przestały niezdornie przebierać palcami, plecy wyprostowały się. Przez moment zdawało się Xiao, że stoi przed nim ktoś więcej niż upośledzony biedak.

I kiedy Xiao mrugał, ten ktoś więcej podjął postanowienie. W jednej chwili stał przed obrazem, w drugiej w nim zniknął.

Bakałarzowi wydarł się okrzyk, który utonął w innych krzykach. Krzyczały nieznane ptaki i krzyczał rybak. Cień przemknął przez obraz i tak już pozostał, wizja spłowiła i zgasła. Wszystko ucichło. I tylko odstające rogi kart drżały w dobywającym się znikąd wietrze.

Brak pielgrzymów to brak datków. Xiao przekonał się o tym dowodnie, przeszukując zakamarki klasztoru. Mnisi żyli skromnie, wręcz nędznie, i jedynie w głównej świątyni znać było ślady dawnej świetności. Złocenia posągów Nieśmiertelnych pokrywała teraz warstwa kurzu, ale niegdyś zdobione wnętrze musiało robić wrażenie. Bakałarz z kwaśną miną przypomniał sobie słowa ciemnowłosego: „Możesz zabrać z klasztoru, co tylko chcesz”.

Z galeryjki na piętrze rozejrzał się po okolicy. Niedysiejszy gościniec był już tylko bładą, porwaną nicią wijącą się między wzgórzami ku niewiadomemu. Rzeka, choć zdradliwa, stanowiła jedyną drogę.

W kuchni znalazł wyopatroszone ryby. Mnisi nie zdążyli ich przyrządzić, nim udali się do lepszego świata. Xiao rozpałił ogień i przypiekł mięso. Tak zaopatrzony

poszedł po raz ostatni spojrzeć na obraz.

Masyw wciąż górował nad mgłą, świątynia nadal trwała przycupnięta u jego stóp, ale duch ożywiający obraz zniknął pośród skaz i zniszczeń. Malowidło nie miało już nawet tej mocy, jaką posiadał ścienny oryginał, kiedy bakałarz widział go po raz pierwszy. Byłażby to wina materiału? Czy malarza? A może jego uporu?

Wtem jakiś szczegół zwrócił uwagę Xiao. Jedna z plam miała dziwnie sugestywny kształt. Bakałarz podszedł i nachylił się.

Na ścieżce leżał człowiek.

Dramatycznie poskręcane ciało należało do silnego mężczyzny.

Rybak? Zastygły w agonii?

Czy i jemu nie było dane wejść do świata obrazu? A może zabiło go popsute przez upór Xiao przejście?

Bakałarz wyprostował się i naraz jął rwać rogi kart, drzeć papier na strzępy,

orać paznokciami zbyt mocno przyklejone skrawki. Przestał, dopiero kiedy palce zaczęły mu krwawić, a człowiek na ścieżce znikł.

Obraz, choć w strzępach, wciąż istniał i sygnalizował swe piękno widzowi, ale trzeba będzie wejść weń naprawdę głęboko, by dało się odtworzyć jego ducha. Trzeba będzie naprawdę wielkiego malarza.

A tacy chodzą przecież po tym świecie.

Xiao odwrócił się i wyszedł. Na przystanku czekała nań tratwa.

Aby dowiedzieć się, czy bakalarz dotarł wreszcie do kresu podróży, przeczytajcie następny rozdział.

Rozdział 38

o tym, jak Xiao Long próbował się odnaleźć

Ostrzeżenie o kaskadach, wirach i wodospadach okazało się oszustwem lub skutkiem niewiedzy. Dno wystrzelało czasem ku powierzchni rzeki głazem lub ciągiem skał, ale tratwa przemykała ponad lub obok bez szwanku, trzęsąc się tylko lub zgrzytając. Raz nagłe zatrzymanie kosztowało Xiao kąpiel, raz też, kiedy białe języki fal zwiastowały zagęszczenie skał, bakałarz zastanawiał się chwilę, czy nie zejść na ląd, lecz poza tym podróż przebiegała spokojnie.

Xiao kończyła się już cierpliwość i zapas pieczonych ryb, kiedy w dali zamajaczyło ujście. Z utęsknieniem wypatrywał Długiej Rzeki. Czy prędko zobaczy jakieś

miasto? Ile barek spotka na rzece? Jacy będą tutejsi ludzie? Z drżącym sercem wstał i patrzył, jak na tle dalekich, ośnieżonych szczytów na jego oczach zbiegają się dwie rzeki – dążąca na zachód Tuzina Zakrętów i prąca na północny zachód Długa. Już widział przed sobą długą zmarszczkę, już widział, jak mieszają się różnobarwne wody, już wciągał w płuca wiatr z północy, od którego przestała go oddzielać linia wzgórz, już po obu stronach rozpościerać się zaczęła szeroka panorama...

Długa Rzeka była pusta, brzegi dzikie.

Splunął do wody i ponury usiadł z powrotem na bambusach. Nudziła go już ta rzeka, niby zmieniające się, a w istocie monotonne krajobrazy, jednostajne kołysanie, bezczynne wypatrywanie skał. Marzył o mieście, i to najlepiej większym, gdzie można wmieszać się w tłum, posiedzieć w

parku bez obawy, że z krzaków wyskoczy tygrys albo dzikus, posłuchać gawęd ulicznych opowiadaczy, wstąpić do zajazdu na ciepłe wino i tłustą wieprzowinę...

Ale za co?

Zasepił się jeszcze bardziej. Nie miał miedziaka przy duszy, a roił sobie wino i wieprzowinę w zajeździe. Przybycie do miasta rozwiązywało jedne problemy tylko po to, by przysporzyć innych.

Długa Rzeka była głębsza, bakałarza przestała więc wkrótce pobudzać potrzeba baczenia na skały i mielizny. Zatopiony w niewesołych rozmyślaniach, kiwał się do taktu falom, wpierw siedząc, potem na leżąc. Patrząc na przepływające obłoki, myślał o czekającym go szukaniu pracy. Miał pewność, że prędzej czy później jako niezły kaligraf znajdzie posadę, lecz bał się tego „później”. Bo wcześniej dokąd ruszy, gdzie się podzieje, jak wyżywi?

Wtem wyczuł pod dłonią pas. Na jedno

uderzenie serca jego twarz rozświetliła się, lecz jeszcze szybciej na powrót oblekła w posepność. Tak – na sprzedaży kunsztownego miecza mógł zyskać dość, by zapewnić sobie utrzymanie przez wiele dni. Ale równie dobrze jako przybłęda mógł zostać oszukany lub wręcz ograbiony. Przede wszystkim zaś czuł, że nie będzie w stanie rozstać się z bronią, która niejedną już raz dowiodła swej przydatności i której zawdzięczał życie. Uświadomił sobie, że między nim a mieczem niepostrzeżenie wytworzyła się więź jakiejś dziwnej zależności, jak gdyby oręż był więcej niż tylko martwym kawałkiem metalu. W ostateczności, kiedy nie będzie już innego wyjścia... – pomyślał Xiao i ta odsunięta na daleki plan ewentualność pokrzepiła go. Przed nim nie rozpościerała się już bezdena czerń niewiadomej przyszłości – roz-

błysło w niej odległe, ale uchwytnie światło.

Niebo zaczęło ciemnieć, powietrze po-chłodniało. Usiadł i wtedy ujrzał, że nie jest na rzece sam. Daleko za nim na ołowianej toni unosiły się dwa spore statki i coś niższego, być może tratwa. To nagle, choć przecież wyczekiwane wtargnięcie wytworów cywilizacji w dziki krajobraz uradowało go, ale i nieco przstraszyło. Nie mógł wiedzieć, czy to płyną rybacy, kupcy, czy piraci lub może cesarskie jednostki patrolowe. Tych dwóch ostatnich ewentualności obawiał się najbardziej. Jak dotąd jednak nie widział nigdzie śladów cesarskiej opieki nad rzeczonym szlakiem handlowym. Mogło to oznaczać tylko dwie rzeczy – albo nie dotarł jeszcze w granice Cesarstwa Środka, albo z jakichś względów władze uznały, że ten odcinek Długiej Rzeki nie wymaga ochrony.

Pomimo to zaczął obmyślać oficjalną

wersję swego pochodzenia i rozcierając drżące ramiona, wypatrywał miasta, klasztoru, wioski. W końcu, kiedy niebo niemal całkiem już zgranatowało, a obłoki traciły resztki purpury, jaką nadało im zachodzące słońce, daleko przed nim mignęło światółko, potem drugie, a wreszcie cała chmara.

Dotarł do miasta. I sądząc po tym, jak głęboko mrowie ogników wrzynało się pomiędzy wzgórze po zachodniej stronie rzeki, całkiem sporego.

Co robić? – zapytał sam siebie. Czy płynąć, dopóki nie dotrze do przystani? Czy dobić do brzegu wcześniej? A może przepłynąć wzdłuż miasta i wypatrzywszy najlepsze miejsce, wysiąść i wrócić doń piechotą?

Gdyby był nadal pisarzem sądowym z Hengshanu, człowiekiem ustatkowanym i ustosunkowanym, nie wahałby się płynąć

do przystani. Jako zbieg wolał dmuchać na zimne. Zresztą nie znał dobrze portów, a już na pewno nie znał portów Dalekiego Zachodu, nie wiedział, czy przystani ktoś pilnuje, czy sprawdza, kim są przybysze, każe płacić cło, przyznaje pozwolenia lub ich odmawia. W każdym razie nie mógł ryzykować. Wiosłując zawzięcie pagajem, jał zmierzać do brzegu.

Pierwsze światelka zaczęły już wydobywać z ciemności bryły budynków, a Xiao wciąż walczył z prądem. Nie docenił siły rzeki. Gdyby był wiedział, jak nieustępliwy będzie nurt, zaczęłyby wiosłować ku brzegowi już od samego zbiegu rzek. Być może wybrałyby niewłaściwy brzeg, ale mógłby też schodzić teraz na ląd. Tymczasem ramiona odmawiały mu już posłuszeństwa, a przepływające w ciemności zabudowania miasta wciąż przemykały zbyt daleko. Porzucił wiosło i zapuścił w toń długą żerdź, ale choć sięgnęła dna, znajdowa-

ło się zbyt głęboko, by mógł się odeń odpychać. Pozostawało przemóc słabość i wiosłować, wiosłować, wiosłować, póki ręce nie odpadną od tułowia lub dno się nie podniesie.

Przed jego oczyma przemknęła pierwsza ulica, oświetlona porozwieszanymi u okapów lampionami. W jej perspektywie zobaczył paru przechodniów i lektykę. Nie zdążył się zachwycić tym widoczkiem, a już ukazała się kolejna ulica, jeszcze szersza i bardziej ruchliwa. Wkrótce przestał je liczyć. Miasto było doprawdy rozległe. Bakalarz lada chwila spodziewał się przystani. Kilka razy ujrzał pod brzegami przycumowane niewielkie tratwy i czółna, lecz prawdziwych łodzi i barek wciąż wypatrywał.

Piędź po piędzi zbliżał się do brzegu, ale i do przystani, której chciał uniknąć. Po-

śródm licznych łodzi jego tratwa być może przemknęłaby niezauważona przez urzędników, jednak samotnego przybysza wypatrzy nawet pijany urzędnik. Jeśli oczywiście brak ruchu na rzece nie oznacza, że i przystani nikt nie pilnuje... Zgrzytnął zębami, odganiając nużące rozważania. Najważniejsze to zejść na ląd, nim zostawi miasto daleko za sobą. Potem się zobaczy.

Od brzegu dzieliło go już niewiele, kiedy usłyszał dochodzący z dołu rzeki gwar.

Płytką zatoczkę wypełniały statki. Były tam zarówno wąskie łodzie, jak i ciężkie, pękate barki, wyniosłe dżonki, jak i tratwy z bambusa. Mimo późnej pory praca wrzała. Światła wydobywały z kłębowiska pokładów, lin, masztów, skrzyń i worków dziesiątki uwijających się wokół i w środku ludzi.

Xiao sapnął z konsternacją. Nie wiedział, co wybrać – czy płynąć dalej, aż nurt zniesie go pomiędzy statki, czy też skakać

do wody, zostawiając tratwę na pastwę rzeki i próbując dotrzeć do brzegu wpław. Zanim podjął decyzję, przystań zbliżyła się tak, że dopłynięcie do brzegu stało się niemożliwe. Pozostawało przemknąć mimo i spróbować jeszcze raz poniżej przystani.

Na swe szczęście nie wiosłował był mocniej, bo inaczej jego tratwa uderzyłaby już w najbliższą barcę. Pręc ociążale ku drugiemu brzegowi, wyminął cumujące jednostki. Jeden, drugi, piąty, dziesiąty, dwudziesty kadłub przepłynęły obok. Wreszcie przystań została w tyle, a światła przygasły. Z jękiem podjął wiosłowanie.

Po długich wysiłkach dziób tratwy zaszeleścił wreszcie o nadbrzeżne zarośla. Spłynął daleko od centrum miasta; w istocie przystań okazała się położona bliżej północnego krańca miasta, bo wkrótce po jej minięciu znikły ulice i już tylko poje-

dyncze domostwa wznosiły się na pagórkach. Wyczerpany bakałarz, dysząc ciężko, wygramolił się na brzeg i padł na wznak. Jeszcze przez chwilę słyszał łomot tętna we własnych żyłach, a potem zapadł w błogą ciemność.

Obudziło go łaskotanie w nos. Podniósłszy rękę, stracił z twarzy coś ruchomego. Parskając i mrugając oczyma, podniósł się i rozejrzał.

Słońce już wstało, złoty blask przesiewał się przez liście i igły nadbrzeżnych drzew. O dwa kroki chlupotała cicho bagnista woda. Dalej rozlewał się szeroki nurt.

Ale nigdzie nie było widać tratwy.

Pagaj leżał wbity w przybrzeżny muł, lecz po tratwie i żerdzi nie został nawet ślad. Xiao wstał z trudem. Sycząc z bólu nadwyreżonych mięśni i gniotąc ssący żołądek, spojrzał w dół rzeki. Dokąd jednak

sięgnął okiem, nie widział tratwy.

A zresztą, pomyślał. Nie potrzebuję jej już. Przecież jestem w mieście!

Obejrzał się, ale górny nurt ginał za zwieszającymi się nisko gałęziami. Nadbrzeżne chaszczki równie dobrze mogłyby być położone w pół drogi między klasztorem bezrękich a zbiegiem rzek – tak bardzo okolica pozbawiona była śladów życia.

Wtem do uszu bakałarza dotarły ludzkie głosy. Chwycił się pnia wychylonego nad wodę drzewka i spojrział w dół rzeki. To niewielka łódź rybacka sunęła ku drugiemu brzegowi.

Xiao spojrział po sobie. Permanentnie przemoczone buty na dobre już chyba przybrały barwę oblepiającego je błota. Spod chałatu wystawały czarne i wystrzępione nogawki spodni. Sam chałat wresz-

cie, noszony bez przerwy i zawilgotniały, wyglądał jak bawołu z gardła wyciągnięty. I jeszcze brak czepca, i rozpuszczone włosy. Jak w takim stroju pokazać się w mieście? Jak znaleźć pracę?

Wyszukał cienką, giętką gałązkę, przewzorycznie upiął włosy i pocieszając się, że miasto jest barbarzyńskie, a więc mniej wyczulone na wymogi cywilizowanego współistnienia, jał przedzierać się przez las. Kiedy wyszedł zeń na pylistą ścieżkę między pagórkami, prezentował się jeszcze gorzej. Ale nie przystanął, by strzepnąć z siebie ciernie, tylko ruszył przed siebie.

Wkrótce dotarł do pierwszego domu. Budynek wzniesiono z suszonej cegły i zwieńczono strzechą. Kury chowane w półdzikim stanie szwendały się dookoła. Xiao przystanął, rozglądając się za gospodarzami, którzy mogliby poczęstować go śniadaniem. Nigdzie nie widział jednak ludzi, a sam do środka wchodzić nie chciał,

ruszył więc dalej.

Obok drugiego domu dojrzał starszą kobietę. Pochylona nad poletkiem papryki, podśpiewywała coś niewyraźnie.

– Dobrego dnia! – zawołał. Staruszka odwróciła się.

Była jego krajanką, lecz oczy miała nieco okrągłejsze, a cerę o ton ciemniejszą. Odkrzyknęła coś niezrozumiale. Xiao stał niezdecydowany i wciąż się kłaniał. Tymczasem kobieta odłożyła motykę i podeszła. Na twarzy miała uśmiech, jednak mimo najlepszych chęci Xiao nie potrafił zrozumieć prawie nic z jej szybkiej mowy; miejscowy dialekt zbytnio się różnił. Napisał palcem na dłoni ideogram „głodny”, ale tylko się roześmiała – musiała być niepiśmienna. Wreszcie pokazał palcem na usta i brzuch. Znow się zaśmiała i gestem zaprosiła go do domu.

Drzwi przesłonięte szmatą prowadziły do wąskiej klitki. Po jednej stronie stało drewniane łóżko, po drugiej parę półek zastawionych wszelkiego rodzaju rupieciami. Na wprost otwierało się przejście do kolejnego, pogrążonego w ciemnościach pokoju. Kobieta zawołała coś głośno. Z mroku wynurzyła się kilkunastoletnia dziewczyna i nieco starszy chłopak. Mieli podobne do starej oczy i cerę. Między ich bosymi nogami pętało się dziecko.

Kobieta ze śmiechem wskazała na gościa. Chwilę trwała narada rodzinna. Wreszcie Xiao poproszono, by spoczął na łóżku, a dziewczyna znikła w drugim pokoju. Wróciła z kubkiem wykonanym z kolanka grubego bambusa. W środku znajdowała się polewka na liściach. Xiao podziękował ukłonem i podniósł kubek do ust.

Polewka okazała się ciepława, w smaku zaś cierpka. Przeżuł i połknął łykowate li-

ście, po czym wstał, kłaniając się głęboko. Ale stara gestem nakazała mu wrócić na łóżko. Kilka słów i chłopak wyszedł na zewnątrz. Zapadła cisza, podczas której kobiety wierciły Xiao wzrokiem, dzieciak zaś, najwidoczniej nieporuszony niespodziewaną wizytą, uczepiony spódnicy wiercił palcem w nosie. Wreszcie chłopak wrócił i wręczył Xiao kurze jajo. Staruszka pospieszyła z bambusowym patyczkiem. Bakalarz znów się pokłonił, przebił skorupkę i wyssał zawartość.

Starczy tego dobrego, pomyślał i wstał. W plecach łupało go niemożebnie, ale złożył kolejny – miał nadzieję, że już ostatni – pokłon. Rodzina odwzajemniła gest. Xiao skierował się ku wyjściu, kiwając głową i dziękując w swym języku. Odpowiedziały mu obce słowa, w których domyślał się formuł grzecznościowych. Jeszcze kilka

skinień oraz uśmiechów i był z powrotem na ścieżce.

Dziwni jacyś ludzie, ale dobrzy, pomyślał, ruszywszy w dalszą drogę. Przez czas jakiś mógł skupić się na sprawach innych niż jedzenie.

Domy, niektóre drewniane, inne z kamienia lub suszonej cegły, rozstawione były coraz gęściej, ścieżka przez pagórki i poletka stała się drogą, aż wreszcie przeciwnąwszy się między dwoma domami o prostych dachach wyłożonych ceramicznymi płytkami, bakałarz postawił pierwszy krok na prawdziwej ulicy. Oto, co ujrzał:

dwóch złanych potem Ludzi Środka dźwiga lektykę z brodaczem w spiczastym czepcu

pięciu śniadych mężczyzn w zawojach kroczy dumnie, rozprawiając w charkotliwym języku

dwóch obdartusów z worami na plecach i kosturami w ręku snuje się środkiem uli-

cy

na pokracyjnych, garbatych i brodatych koniach przejeżdża dwóch półnagich dzikusów o skórze barwy wątroby i nogach poowijanych pasami brudnej tkaniny

we wszystkie strony zmierzają tragarze, dźwigający na spalonych słońcem barkach nosidła wypełnione warzywami i owocami

ze sklepu, na którego szyldzie widnieją obce bakałarzowi znaki, wyłania się jego gruba krajanka w bogatym stroju i wysoko upiętej koafiurze, z parasolką w dłoni; zamiast jednak kolebać się powolutku, zasuwając zamaszystymi krokami, jak gdyby nigdy nie krępowano jej stóp

Xiao przyglądał się temu wszystkiemu ze zdumieniem, ale i z otuchą w sercu. Jego włos dziki i szata plugawa nie mogły wzbudzić zdumienia w miejscu tak wyzutyk z wszelkich reguł oraz konwenansów.

Rozejrzał się i ruszył przed siebie.

Miasto nie tylko zamieszkiwało wielu cudzoziemców, ale i wzniesiono je inaczej, niż widział to w znanych sobie miastach Cesarstwa Środka. Ulice wiły się i łączyły ze sobą pod różnymi kątami; za nawierzchnię zamiast kamiennych płyt służyła ubita stopami i kopytami glina; najróżniejsze sklepy, zamiast skupiać się wedle branż w wydzielonych dzielnicach, stały obok siebie; wywiniętych ku górze krawędzi dachów niemal się nie widziało, podobnie jak papierowych wizerunków tygrysów i boskich strażników naklejonych przy drzwiach domostw dla ochrony przed złymi duchami. Rosnące tu i ówdzie drzewa były Xiao nieznane, przekąski serwowane przez uliczne garkuchnie również. O dziwo, miasto okazało się nieotoczone murem, ani nawet najnędrniejszym wałem. Oszołomiony tłumami, widokami i woniami rychło się pogubił. Kilku ziomków,

których zagadnął, nie rozumiało jego dialektu, a na czytanie znaków kreślonych palcem na dłoni nie mieli widocznie czasu, bo pokręciwszy tylko głową, oddalali się spiesznie. Uradował się więc bardzo, kiedy w głębi jednej z ulic, której środkiem płynęła dość szeroka rzeczka, poprzecinana licznymi łukowatymi mostkami, ujrzał żagle. Czerwień i oranż znaczyły poziome linie listew. Czym prędzej ruszył przez wielojęzyczną ciżbę ku przystani.

Z pierwszej tratwy, do jakiej podszedł, wyładowywano właśnie bryły nieobrobionego nefrytu. Obok na matach z trzciny piętrzyły się zwoje cennych tkanin. Tylko parę kroków dzieliło je od świeżych, jeszcze rzucających się ryb, sprzedawanych ciśniejącym się ludziom. Wtem rozległy się trzask i krzyk. W pyle placu leżała pęknięta beczułka. Z wnętrza wysypywał się

ciemny pył, aromatyczna woń wzbiła się w powietrze. Niezręczny tragarz skulił się pokornie, ale nie uchroniło go to przed razami wściekłego kupca. Tragarz kulił się coraz bardziej, by nagle wystrzelić niczym pestka spomiędzy palców i zniknąć w gromadzącym się tłumie. Jeszcze czas jakiś ścigały go złorzeczenia, a potem cała sprawa rozplynęła się w tłoku i ścisku, zaś przyjemną woń zastąpił ostry odór skór wyładowywanych z pękatej barki obok. Xiao precisnął się dalej, ku skrzyniom dziwnych owoców, i jeszcze dalej, ku kolejnemu ładunkowi nefrytu, kolejnym beczułkom przypraw i kolejnej macie ze zwojami tkanin.

– Hej, ty, masz co do roboty?

Xiao z bijącym sercem spojrzał w kierunku wołającego. Pośród wielorasowego tłumu mężczyzna w błękitnym jedwabnym chałacie i z głową nietypowo jak na Człowieka Środka przewiązaną białą chustą

wyróżniał się na pierwszy rzut oka.

– Szukam pracy – odpowiedział, przeciskając się ku rodakowi.

– To chodź, mam ładunek do przeniesienia, potrzebuję tragarzy.

Xiao zawahał się. Przecież był bakałarzem, u lisa, nie jakimś niepiśmiennym dziadem! Czyż przysłowie nie powiada, że miejsce feniksa nie jest w byle ciernistej kępie? Zmitygował go opłakany stan własnego stroju. Na kogóż innego wyglądał, jak nie na nieuczonego obszarpańca, który wyciągnął stary chałat ze śmietnika? O co się obrażać? Zarobi na ryż, a teraz tylko to się liczy.

Zaczął przebijać się przez tłum w ślad za oddalającym się kupcem. Po chwili stanęli nad samym brzegiem, przy tratwie z potężnych bambusów zastawionej skrzyniami, których pilnowało dwóch byczków

w kapeluszach z opadającymi na plecy i ramiona płachtami chroniącymi przed słońcem.

– Będziecie nosić po dwóch. – Kupiec wskazał dłonią podchodzącego właśnie tragarza, ogorzałego chudzielca w płócien-nych portkach i bez koszuli. – On wie, gdzie zanieść. Zapłacę ci po robocie.

I nim Xiao zdążył zapytać o stawkę i termin, kupiec wskoczył na tratwę, a z niej na sąsiednią barękę i wdał się w rozmowę z kilkoma obcokrajowcami.

Chudzielec już brał się za najbliższą skrzynię i machał niecierpliwie na Xiao. Ten zbliżył się niepewnie i złapał skrzynię z drugiej strony. W plecach mu łupnęło, a w oczach pociemniało, kiedy wyprostował się w ślad za chudzielcem. Skrzynia musiała zawierać przedmioty z metalu lub kamienia, ciężka była bowiem jak nieszczęście. Stękając mimowolnie i pocąc się obficie, na drżących nogach poniósł ciężar

przez niechętnie rozstępujący się tłum.

Miejscem przeznaczenia okazał się skład po drugiej stronie przystani. Zwalili skrzynię pod stopy naburmuszonego rządcy i truchtem wrócili do tratwy. Xiao z niechęcią spojrział na osiłków pilnujących tratwy kupca. Każdy z nich bez trudu przeniósłby pewnie po dwie skrzynie szybciej niż dwóch cherlaków jedną pospołu. Ale co było robić? Xiao pokrzepił się myślą, że po pracy porozmawia z kupcem, a ten, usłyszawszy o zdolnościach bakałarza, z radością zatrudni go na właściwszym stanowisku.

Po trzeciej skrzyni Xiao był już od góry do dołu zlany potem. Słońce stało jeszcze wysoko, niemiłosiernie siekąc ziemię palącymi promieniami. Pytał towarzysza o wodę, ale ten nie odpowiadał – być może nie rozumiał – i popędzał ciągle gestami

do jeszcze żwawszej pracy. Xiao ledwo zdążył pozbyć się chałatu, który rzucił na pokład tratwy. W samej koszuli i spodniach zrobiło mu się chłodniej, ale pragnienia tym nie ugasił ani zmęczenia nie oddalił. Wreszcie ostatnia skrzynia trafiła do składu. Chudzielec jednak nie miał dosyć: jeszcze bardziej ochoczo śmignął ku tratwie. Kiedy Xiao, deptając mu po piętach, wypadł na brzeg, dwóch osiłeków stało obok pustej tratwy. Na widok tragarzy bez słowa wręczyli im noże. Xiao patrzył na swój ze zdumieniem, ale dla chudzielca nie była to widać pierwszorzędna, bo bez zwłoki jął ciąć wiązania. Xiao ledwo uratował spod ostrza chałat i chcąc nie chcąc poszedł w ślady towarzysza niedoli. Niewygodna rękojeść gniotła go w dłoń, strudzone mięśnie protestowały, ale zaciskając zęby, rozcinał splot za splotem. Myślał już tylko o tym, jak zdziwi się kupiec, dowiedziawszy się, kogo zatrudnił jako

zwykłego tragarza.

Ledwo tratwa zmieniała się w stos rur bambusowych, do przyglądających się wciąż osiłków podszedł wąsaty człowiek w białej, zwiewnej szacie i takimże zawoju. Zapytał o coś, na co zobaczył w odpowiedzi gest wskazujący barkę obok. Ale nie musiał fatygować się do kupca; ten schodził już na brzeg. Przycupnięty na bambusach Xiao patrzył znużonym wzrokiem na pełną żywej gestykulacji rozmowę w nieznanym mu języku. Wreszcie podjechał wóz zaprzężony w dwa osły, kilku ludzi załadowało nań bambusy i tratwa przeszła do historii.

Kupiec zbliżył się do Xiao i jego towarzysza.

– Szybko się uwinęliście.

Sięgnął do rękawa i rzucił obu po pięć monet. Nim bakałarz się obejrzał, kupiec

wraz z osiłkami już rozplynęli się w tłumie. Chudzielec też nie zwlekał; poderwał się i odszedł szybkim krokiem. Xiao został sam.

To by było tyle, jeśli chodzi o zadziwienie kupca, pomyślał kwaśno i przyjrzał się monetom. Wykonane z miedzi lub podobnego metalu, pozbawione były kwadratowej dziurki do przewlekania sznura, a zamiast znanych mu ideogramów widniały na nich obłe szlaczki. Obracał je w palcach dłuższą chwilę, nie mając pojęcia, ile są warte. Choć coś mu mówiło, że niewiele.

Pragnienie i głód przemogły wreszcie zmęczenie. Podniósł się i rozejrzał za gospodą.

Niedaleko, na niewielkim wzniesieniu po północnej stronie zatoczki, stało coś w rodzaju otwartego pawilonu zbudowanego na planie prostokąta. Dłuższy, zwrócony ku rzece bok liczył jakieś trzydzieści kroków. W cieniu przy ławach siedziało kil-

kunastu ludzi. I o ile bakałarza wzrok nie mylił, jedli i pili.

Wysuszone usta zaraz wypełniły się śliną. Nie zwlekał dłużej. Zanurzył się w tłum, zmierzając ku gospodarzom. Oczy wyobraźni już widział, jak spełnia czarę wina za czarką i rwie zębami wieprzowinę.

Przybytek nosił wypisaną w kilku językach nazwę „Delikatna Woń Słodkiego Wiatru” i na odległość cuchnął przypalonym tłuszczem. Wypełniony był na szczęście ledwo w połowie. Xiao przecisnął się między ławami ku ladzie, gdzie stało paru gości. Zatrzymał się nieco z boku i patrzył, czym płacą. Szybko się przekonał, że jego monety są tylko jednym z wielu używanych tutaj środków płatniczych. Obok znanych mu sztuk srebra i dziurkowanych miedziaków na sznurku w obrocie były także dziwaczne sztabki różnych metali,

trójkątne żetony i kawałki nefrytu pośledniejszej jakości. Nie zdziwiłyby się nawet bardzo, gdyby w mieście krążyły także cesarskie kwity solne i zbożowe. Niestety, monety ze szlaczkami okazały się mieć niewielką siłę nabywczą – za miskę warzyw jeden z klientów wyłożył trzy takowe. Kiedy przyszła kolej na Xiao, rzucił na blat cały swój zarobek.

– Miskę smażonego ryżu i wina za resztę.

Karczmarz, w jedwabnym chałacie, lecz o obcych rysach twarzy, rozumiał widać w kilku językach, bo pokiwał głową, a potem krzyknął coś za siebie. Zanim wygrzebał spod lady dzbanek wina i brudną czarę, umorusana dziewczynka wybiegła z zaplecza z miską w rękach, mało nie wylewając zawartości. Zamiast pałeczek w środek ryżowej papki niegrzecznie wbita tkwiła drewniana łyżka zdumiewających rozmiarów. Słyszając własne kiszki, Xiao w jedną

rękę złapał misę, w drugą dzbanek i zostawiając niepotrzebną czarę, odwrócił się ku ławom.

Ledwo siadł ciężko, już opróżnił dzbanek do połowy. Wino – nie ryżowe – było nad miarę słodkie i ciężkie, lecz nie zważał na to. Łyżka okazała się bardzo nieporęczna, pozwalała za to nabierać większe kęsy. Ryż rozrobiono z jajkiem i okraszono drobno posiekanymi warzywami. Gorąca papka skutecznie syciła głód, a dziwny smak dzielnie walczył z apetytem, nic więc dziwnego, że Xiao wkrótce przestał zapamiętane pałaszować potrawę. Podnosząc z rzadka łyżkę do ust i zapijając winem, zaczął zwracać uwagę na otoczenie.

Widziana z oddali krętanina przy dżonkach była nawet miła dla oka. Szum i gwar w tym spokojnym zakątku nabierał walorów relaksujących. Xiao obracał w ustach

ryż z winem i rozkoszował się chwilą. Ale świadomość, że nie ma gdzie spać, tkwiła gdzieś głęboko, jak głaz pod powierzchnią rzeki, ukryty, a rozdzierający jej wody, niewidoczny, a hamujący bieg.

Siedzący wokół ludzie wielu ras mieli inne problemy. Dziwaczne potrawy, które nieopatrznie zamówili, trzeba było jeść palcami albo kroić nożem i nawet w grupach każdy musiał trzymać się jednego dania, zamiast sięgać do wspólnych mis. Ze strzępków rozmów Xiao wywnioskował za to, że ruch w mieście zwanym, o ile dobrze usłyszał barbarzyńską nazwę, Hkyen Bhamo był niezwykajny. W dole rzeki osunęła się góra. Lawiny ostatnimi czasy nękały cały region, ale to osuwisko nieszczęśliwie ścieśniło już i tak wąski kanion i zasypało drogę dla tragarzy, ciągnących statki pod prąd rwącego tam nurtu. Towary spławiane na południu trzeba było zatem wyładować tutaj i albo sprzedawać na miejscu,

albo transportować dalej drogą lądową, omijając kanion, a potem promem do miasta na wschodnim, cesarskim brzegu, gdzie znów trzeba było wybrać – sprzedaż na miejscu lub wynajem statków na dalszą podróż. Miejscowi przedsiębiorcy zacierali ręce.

Zastanawiał się, czy to dobra dlań wiadomość. W tym galimatiasie zaaferowani kupcy mogą nie mieć głowy do najmowania kaligrafa; z drugiej strony... Machnął ręką i łyknął wina.

Misa była już pusta, w dzbanku pozostało kilka kropel, kiedy cienie zrobiły się nieprzyjemnie długie. Bakałarz przeciągał pobyt w gospodzie, ile się dało, ale nie mógł tu siedzieć wiecznie. Rozglądał się ponuro po spieszących we wszystkie strony przechodniach i myślał, że każdy z nich położy się wkrótce we własnym łóżku, a

nań czeka tylko goła ziemia pod gołym niebem.

Mroczniało, gdy wysączył ostatnią kroplę wina i wyszedł na ulicę. Na niebie jak okiem sięgnąć nie widniała najmniejsza chmurka – dobry znak. Rozwazał powrót do odludnej okolicy, gdzie spał wcześniej, lecz odrzucił ten pomysł. Nie był pewien, jak tam trafić, i za daleko miałby do przystani. A chciał od rana zacząć pracę, by przez cały dzień zarobić na najlichszy choćby nocleg.

W górze rzeki, niedaleko, wypatrzył niezabudowane wzgórze porośnięte gęstym lasem. Zmierzając ku niemu przez ulice, starał się trzymać z dala od ulicznych sprzedawców jadła. Dziwne, lecz apetyczne aromaty tylko jeszcze bardziej go przygnębiały.

Kiedy zagłębił się wreszcie w mroczną gęstwę pod wzgórzem, na niebie pojawiały się pierwsze gwiazdy. Wspiął się w górę

wschodniego zbocza, póki nie znalazł poziomego, dość równego terenu. Narwał gałęzi długoigłych krzewów i podmościwszy je sobie, położył się, zakrywając twarz rąbkiem chałatu. Miał nadzieję, że obudzą go pierwsze promienie słońca.

Aby się dowiedzieć, co obudziło strudzonego bakalarza, przeczytajcie kolejny rozdział!

Rozdział 39

o zderzeniu zamierzeń z rzeczywistością

Przez pajęczynę majaków spowijającą umysł bakałarza przedarł się jakiś szum. Deszcz! – pomyślał Xiao. Majaki ustąpiły klarownej wizji kropel coraz gęściej padających na chałat okrywający ciało śpiącego. Czuł, jak robi mu się zimniej, ale jedynie kulił się w sobie, jak gdyby mógł przeczekać ulewę, chociaż wiedział, że będzie tylko coraz większa, że przemoczy go do suchej nitki, że będzie brnął przez błoto na przystań, gdzie zważywszy na jego opłakany stan, najmą go do noszenia kamieni, bo jedwabie mógłby skalać, że zarobi mie-dziaki tak nędzne, iż karczmarz odprawi go bez słowa, że wróci do lasu i siedząc na kupie mokrych gałęzi, snuć będzie ponure

rozmyślania.

Przez pajęczynę majaków spowijającą umysł bakalarza przedarł się jakiś szum. To nie deszcz, pomyślał Xiao. Przecież marzyłbym, a tymczasem czuję na ciele ciepło. Z trudem podniósł ciężkie powieki. W oczy uderzył go ciepły blask. Marszcząc się, zsunął z twarzy chałat.

Wokół roztaczał się jasnozielony, rozświetlony słońcem las. Drzewa szumiały w ciepłym wietrze. Tu i tam rozlegał się poranny świergot ptaków.

Xiao usiadł i rozejrzał się. Miejsce, które w nocy zdawało się ponurą gęstwina, o poranku przywoływało na usta uśmiech. Przeciągnął się i przetarł oczy pięściami. Czekał go ciężki dzień. Ale zaczynał się całkiem przyjemnie.

Tak jak się spodziewał, na przystani pracowano już w najlepsze. Kręcił się dość

długo, szukając wczorajszego pracodawcy, lecz nigdzie nie mógł wypatrzeć błękitnego chałatu i białej chusty. Chodząc w tę i we w tę, odkrył za to publiczną studnię. Ugasiwszy pragnienie i obmywszy twarz, z większym wigorem rzucił się do poszukiwania pracy Wreszcie zwrócił nań uwagę handlarz nefrytem. Dźwiganie ciężkich brył było niemal ponad siły bakałarza, ale kiedy w południe praca została zakończona, miał w ręku siedem monet. Nie udał się jednak do gospody, tylko do obwoźnych garkuchni. Za dwie monety kupił tyle placzków ryżowych z kawałkami ryby, że wypełniłyby dwie takie misy, z której jadł wczoraj. Po odzyskaniu sił wrócił na przystań. Z miejsca najął się do rozładunku przypraw. Powoli bakałarzowi zaczął się rysować pewien plan.

Pracował i spał w lesie trzy doby z rzędu. Szczęściem niebo było czyste, a nocie ciepłe. Moskity kąsały go okrutnie, niekie-

dy wstrząsały nim gorączkowe dreszcze i w grzbiecie łupało, jednak czwartego dnia wieczorem miał dość pieniędzy, by wprowadzić w życie swój szlifowany na jawie i we śnie zamysł.

Gospodarz zdziwił się, że gość nie zamawia posiłku, ale Xiao przed pójściem do zajazdu zaopatrzył się u ulicznego handlarza. Służka zaprowadziła go do wąskiej klitki z jeszcze węższym okienkiem, a raczej szczeliną w ścianie. Miejsca ledwie było tu dość, by wetknąć szydło, jednak na widok twardej, lecz równej pryczy zasłanej wyleżaną, lecz suchą ryżową słomianką nogi pod bakałarzem zmiękły. Oddał chałat i buty do czyszczenia i walnął się spać, przed snem napełniwszy brzuch plackami rybnymi.

Następnego dnia, wypoczęty, w jako tako czystym chałacie, możliwych do

przyjęcia butach i schludnie upiętych włosach zapuścił się w tłoczne i gwarne uliczki. Najpierw zaopatrzył się w najtańszy możliwy czepiec uczonego w stylu popularnym w Cesarstwie Środka, a potem, za ostatnie monety, w przybory piśmiennicze. Sporządziwszy z karty papieru i cienkiego bambusa zgrabny szyld „Kaligrafia, nauka do egzaminów”, jał przechadzać się z wolna ulicami Hkyen Bhamo, rozmyślając, w jakiej rezydencji znajdzie dziś nocleg i dzieci jakiego notabla będzie uczył.

Nie liczył, że na jego widok z sunących nad ciżbą palankinów natychmiast powyskakują miejscowi bogacze, ale kiedy słońce minęło zenit, a jeszcze nikt nie otworzył doń nawet ust, zaczął się martwić. Czy do prawdy żaden miejscowy kupiec lub urzędnik nie poszukiwał skryby? Czy żaden notabl nie szukał nauczyciela dla swych dzieci? Trudno mu było w to uwierzyć, jednak słońce zniżało się coraz bar-

dziej wraz z szyldem trzymanym przez ba-
kałarza coraz słabiej, a chętnych na jego
usługi wciąż nie było. Przełamując zmę-
czenie, przyspieszył kroku, by przed zmro-
kiem obejść jak najwięcej ulic, lecz gdy
słońce zaszło, a ulice zaczęły pustoszeć,
musiał uznać, że pierwszy dzień okazał się
porażką. Pozostało mu wrócić do lasu.
Rozwiesił chałat na gałęzi, szylld postawił
pod drzewem i położył się spać, mając na-
dzieję, że tej nocy nie będzie padać.

Nie padało. Wrócił do miasta i z szyl-
dem w ręce, a czczością w żołądku podjął
pielgrzymkę po ulicach. Liczył, że jeśli po-
przedniego dnia nikt doń nie podszedł, to
dlatego, że pojawienie się w mieście na-
uczyciela z Cesarstwa Środka trzeba było
przedyskutować w rodzinie przed podję-
ciem ważkiej decyzji o jego zatrudnieniu.
Ale słońce znów minęło zenit i znów wałę-

sał się od ulicy do ulicy, sam jak palec ofiary palcościsku. Wreszcie czując, że maści mu się w głowie, usiadł pod murem i zapadł w ni to drzemkę, ni medytację.

Wytrącił go z niej chłód. Zimny wiatr pędził chmury po ciemnym niebie. Długo martwym wzrokiem mierzył opustoszałą ulicę. Tylko tu i ówdzie w załomie muru widniał zarys leżącej ludzkiej sylwetki. Z jakichś powodów niektórzy woleli spać w pyle ulicy niż w podmiejskich krzakach. Wreszcie wstał i zostawiwszy szyld na pastwę nadciągającej ulewy, poszedł gdzie oczy poniosą.

Deszcz zastał go na peryferiach miasta, gdzie przez kilka płynących równolegle potoków przerzucono drewniane mostki. Ukrył się pod jednym z nich i zapadł w niespokojny sen.

Przebudzenie było niemiłe, lecz nie za sprawą podnoszącej się w potoku wody, a za sprawą podnoszących go bezceremo-

nialnie rąk.

– Dawaj, co tam masz, wielbłądzi wypierdku, albo!

Zamroczony umysł Xiao uczepił się tego ostatniego słowa. Zastanawiał się, jaka treść kryła się za tym urwanym ostro „albo!”. Nie doszedł jednak do żadnej własnej konkluzji, kiedy treść ta skryształizowała się w postaci ciosu w brzuch. Zgiął się wpół, a groźny głos powtórzył:

– Dawaj pieniądze, pókim dobry, albo...

Tym razem napastnik chyba chciał dokończyć, ale Xiao mu nie pozwolił. Trzymając się za brzuch, trafił dłonią na pas. Dotyk miecza błyskawicznie przywrócił mu pełnię świadomości. Gdybym go był przefrymarczył... Sięgnął za plecy. Prostując się ostrze jęknęło, a bakalarz ciął z całej siły wyciągniętą ku sobie chciwą rękę.

Krzyk bólu poniósł się po okolicy i wró-

cił echem. Xiao zamachnął się znowu, lecz mężczyzna uciekał już w te pędy. Skurczona sylwetka rychło rozplynęła się w mroku.

Xiao klapnął na ziemię, czując, że drżą pod nim kolana. Krew łomotała mu w skroniach, serce w piersi. Dopiero po dłuższym czasie uspokoił się na tyle, że mógł ogarnąć sytuację.

Deszcz musiał padać, kiedy spał pod mostkiem, bo ziemia była rozmokła, a w powietrzu dało się wyczuć wilgoć. Ale teraz między chmurami migotały gwiazdy. Do ranka było wciąż daleko; niebo miało jednolitą barwę granatu.

Xiao podniósł się i ruszył z mieczem w dłoni ku mroczniejącym w oddali zabudowaniom miasta. Marzył, by była to ostatnia spędzona tu noc. Hkyen Bhamo, choć zrazu przyjęło go przyjaźnie, okazało się obce, wręcz wrogie. Nawet swoi byli tu obcy, jak ten znający jego język rabuś. Nie

chciał spędzić tu już ani chwili, nie chciał nosić worów ani skrzyń, choćby zawierały najcenniejszy nefryt. Gdyby nie osuwisko w dole rzeki, jeszcze tej nocy ukradłby czółno i spłynął byle dalej. A może i spłynie, może i pokona groźny kanion albo zejdzie na brzeg, zanim porwie go zdziczały nurt, i dotrze odludnymi brzegami do miasta na wschodnim, należącym do Cesarstwa Środka brzegu?

Szwendał się mrocznymi ulicami, dygocząc z zimna i nawrotów choroby, póki ciemności do najciaśniejszych zaułków nie przegnały pierwsze promienie słońca, a ku rogom ulic nie zaczęli toczyć swych gar-kuchni sprzedawcy jadła. Zdążył schować miecz, nim któryś z przechodniów wszczął rejuwach. Przyspieszył, by torturujący jego żołądek zapach pieczonej, smażonej i gotowanej strawy zastąpić czym prędzej zgni-

łym powiewem nadrzecznego wiatru.

Przy niektórych łodziach krzatali się już tragarze i załogi, ale szło im nieskoro. Oczy i ręce odrywały się od roboty, bo oto do Hkyen Bhamo, choć nawykłego do przybyszów z wielu krain, zawitał ktoś nowy.

Xiao od razu zorientował się, że unoszący się na wodach na wysokości przystani statek nie należy tu do widoków codziennych. Od grubych barek i jednorazowych tratw odróżniało go niemal wszystko.

Uwagę obserwatora zwracał z miejsca galion w kształcie łba i szyi smoka. Misternie rzeźbiona, złocona figura musiała wyglądać imponująco, kiedy rozcinała łuskowatą pierśią fale, ale i teraz, kołysząc się łagodnie, robiła wrażenie. Xiao, obeznany z wizerunkami smoków, od razu poznał, że figury nie wyrzeźbiono w Cesarstwie Środka: smok, bez wątpienia smok, ale inny, choć ta inność nie była w pełni

uchwytna. Za nim ciągnął się długi i smukły kadłub, pośrodku zadaszony i opatrzony masztem o spuszczonej żaglach, zakończony niezwykle cienką i wygiętą ku górze zdobioną rufą.

Statek z jakichś względów nie przybijał do brzegu. Maleńka łódka wyciągnięta na błoto wskazywała jednak, że załoga nie stroni od kontaktu. I istotnie – pośród ludzi na przystani Xiao dostrzegł przybysza.

Nawet w tym wielokulturowym mieście cudzoziemiec wyróżniał się na pierwszy rzut oka. Młodzieniec cerę miał ciemną, oczy okrągłe, a włosy upięte w kok na czubku głowy owijał zieloną przepaską, której długi węzeł zwisał mu aż na plecy. Muskularne ciało opinała dziwna, bo pozbawiona zapięcia, długa niebieska koszula, zaś czerwone spodnie sięgały mu do kolan. Przy boku miał krótką, ale twardą

pałkę z inkrustowanego kamyczkami drewna. Bosy, rozgestykulowany, tłumaczył coś głośno i zawzięcie. Zaciekawieni ludzie zbliżali się, rychło jednak odchodzili. Kiedy zbliżył się i Xiao, zrozumiał dlaczego.

Języka, którym posługiwał się przybysz, nie słyszał dotąd nigdy, nawet na tutajszych wielobarwnych ulicach.

Choć wymięty i znoszony, to jednak wyróżniający się pośród robotników strój bakałarza zwrócił uwagę cudzoziemca. Mężczyzna podszedł do Xiao i zaczął go o coś szybko wypytywać. Wskazywał przy tym na statek i dolny bieg rzeki. Xiao mógł tylko rozłożyć ręce i mamrotać, że nie rozumie, ale na widok pełnej napięcia twarzy młodzieńca zdjęło go współczucie.

– Czy nikt tu nie wie, skąd jest ten człowiek? – zapytał gromko, rozglądając się po przystani. – Czy ktoś zna ten język?

Przybysz pojął chyba, że zagadnięty szuka dlań pomocy, bo na jego twarzy po-

jawiała się ulga. Umilkł i czekał, co nastąpi.

Większość robotników i przechodniów zajęła się już swymi sprawami, choć niektórzy zaczęli wymieniać uwagi. Wtem od strony rzeki ktoś zawołał:

– To ktoś z Południowego Królestwa.

Xiao odwrócił się. Na barce, oparty o krawędź burty, stał jego krajan, kupiec, który dał mu pierwszą pracę.

– Czy znasz, panie, jego język? – zapytał bakałarz.

– Nie, ale znam kogoś, kto zna. Pozwólcie tu obaj.

Xiao ujął cudzoziemca za ramię. Podeszli do barki i zadarli głowy do góry. Na widok bakałarza kupiec uniósł brwi, lecz nie zmienił tematu.

– Pójdziecie do końca ulicy Portowej, stamtąd skróćcie w Cienia na Pustyni, a potem Rączego Wielbłąda. Tam pytajcie o

sklep Thiha Shwe. On zna tamte strony i będzie umiał się z nim dogadać.

Bez nadmiernego szacunku wskazał podbródkiem przybysza. A potem spojrział bystro na Xiao.

– Od tragarza do bakałarza w tydzień, no, no!

Xiao poczuł przyływ nadziei.

– Bakałarzem nie jestem od wczoraj, a tragarzem nie będę już jutro, jeśli los da. Zbłądziłem w te strony bez miedziaka w rękawie, jednak jeśli znajdę rodzica pragnącego dla swych dzieci wykształcenia i kariery, będę miał nie tylko pełny rękaw, ale i ręce pełne pracy godnej mych kwalifikacji, serce zaś pełne radości.

Z tymi słowy pokłonił się lekko.

Kupiec roześmiał się.

– Widzę, że gotowałem kurę w kotle na wołu! Gdybym chciał kształcić mych synów, w promieni stu li nie znalazłbym nikogo lepszego niż mój niedawny tragarz.

Ale zmartwię cię, bakałarzu. Moi synowie zostaną kupcami, jak ich ojciec, a kupiec urzędnikiem nie będzie. Nawet nie zechce. Zwłaszcza tutaj, na zachodnich rubieżach Cesarstwa, gdzie spotykają się ludy i towary z najdalszych krańców świata.

Xiao znów się pokłonił.

– Pozostaje mi wierzyć, że w tym rozległym mieście...

– To miasto kupców – przerwał mężczyzna – i cudzoziemców, a najczęściej cudzoziemskich kupców. Opowiadał mi ktoś wczoraj o nauczycielu ogłaszającym się po mieście. Teraz widzę, że to byłeś ty. Jeśli szukasz chętnego na swą wiedzę lub kaligrafię, od razu ci powiem: nikogo takiego tu nie znajdziesz.

Xiao pokiwał smętnie.

– Cóż więc mam robić? – zapytał. Ten człowiek odzierał go z marzeń, ale przy-

najmniej był skłonny poświęcić mu swój czas.

– Dobre pytanie – odparł kupiec – ale odpowiedź dobra nie będzie. Gdybyś chciał otworzyć sklep, zajazd, kupić własną barkę, nigdzie nie znajdziesz lepszego miejsca. Jeśli jednak marzy ci się posada nauczyciela albo urzędnika, wyjedź stąd byle dalej, na północ, na wschód, gdziekolwiek, tylko nie trać tu już czasu.

– Podróż kosztuje – mruknął Xiao.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Jak wszystko. Możesz zostać tu jeszcze parę dni i zarobić na miejsce w karawanie do Jingping, możesz zaciągnąć się do niej jako tragarz albo jeśliś dobry piechur, pójść tam na piechotę.

– Jingping?

– To miasto w dole rzeki, po wschodniej stronie – odpowiedział z pewnym zniecierpliwieniem kupiec. – Należy do Cesarstwa Środka, więc i łatwiej się w nim odnaj-

dziesz. Jednak nie oczekuj, że znajdziesz tam wielu chętnych na swe usługi. To nie centralne prowincje, tam się inaczej myśli. Możesz spróbować, ale lepiej nastaw się na długi spływ rzeką, nim trafisz na ludzi potrzebujących twych usług. A teraz zajmij się tym tutaj, bo już przebiera nogami!

To rzekłszy, złożył dłonie, pożegnał się i odwrócił.

– Portowa, Cienia na Pustyni, Rączego Wielbłąda, Thih Shwe! – rzucił jeszcze za siebie i zniknął w głębi barki.

Xiao spojrzał na przybysza. Na ciemnej twarzy istotnie odbijało się zniecierpliwienie.

– Do Thiha Shwe! – powtórzył Xiao, licząc, że imię wywrze na cudzoziemcu jakieś wrażenie. Ale jeśli nawet tak było, to przykryło je rozkojarzenie i rozdrażnienie. Nie zwlekając już dłużej, bakałarz pocią-

gnał młodzieńca ku miastu.

Żeby dowiedzieć się, kim był Thih Shwe i jak przyjął Xiao oraz cudzoziemca, trzeba zapoznać się z kolejnym rozdziałem.

Rozdział 40

o skutkach zadawania się z cudzoziemcami, zwłaszcza przy winie

Sklep Thiha Shwe okazał się drugiego sortu trunkarnią. Mimo obskurnego otoczenia i cuchnącego wnętrza cieszył się popularnością. Wchodząc, Xiao i jego cudzoziemski towarzysz nieomal zderzyli się z amatorem mocniejszych napitków, dzierżącym w dłoniach po dwa skórzane worki z chlupoczącą zawartością, a w środku zastali kilku bywalców pochylonych nad czarkami i kubkami. Za zastawioną dzbankami ladą stał ponury typ. Xiao poza oczy-
ma nie dostrzegł większego podobieństwa między nim a cudzoziemcem, ale ten ostatni na widok trunkarza od razu jął mleć

ozorem.

Przez chwilę na twarzy zagadniętego malowało się zdumienie większe niż na obliczach bywalców, którzy jak jeden mąż spojrzeli znad szerniałych blatów. Otrząsnął się jednak szybko i kilkoma gniewnymi – jak sądził Xiao – szczęknięciami przerwał tyradę. Młodzieniec umilkł, a Thih Shwe zawołał z zaplecza kobietę i zostawiwszy klientów pod jej czujną opieką, gestem ponaglił krajana i Xiao, by poszli za nim w głąb lokalu.

Ciemne zaplecze zavalone było workami, beczułkami, dzbankami i wszelkiego rodzaju pojemnikami. Thih siadł na sporej beczce, nie wskazując gościom żadnego miejsca do spoczynku, i wdał się z rodakiem w rozmowę.

Rozmowa rychło przerodziła się w niemalże kłótnię. Trunkarz aż podnosił się z beczki, przybysz wymachiwał rękoma. Xiao stanął z boku i oparłszy się o ścianę,

zachodził w głowę, co on tu właściwie robi. Zamiast łamać sobie tęże głowę nad najlepszym sposobem dotarcia do Jingping lub zarabiać na zatkanie zionącego pustką żołądka, stał w ostatniej pijackiej dziurze, wdychał smród i znosił w milczeniu, jak w czaszkę wwiercają mu się przykre dźwięki barbarzyńskiej mowy.

Ale dźwięki te ucichły nagle. Rozmówcy zamilkli, nie patrząc na siebie. Wreszcie Thih przeniósł wzrok ze ściany na bakałarza.

– Wiesz, kogoś mi tu przyprowadził? – zapytał zaskakująco zrozumiałym dialektem.

Xiao najeżył się.

– Ziomka. A co?

– Ziomka, tak, ziomka – pokiwał szyderczo trunkarz. – To synalek południowego władcy, a mój ojciec był urzędnikiem

w Południowym Królestwie, dopóki go nie zamordowali. Teraz ten książęcy pomiot chciał mnie przeistoczyć na powrót w poddanego!

To mówiąc, splunął zamaszyście pod nogi „synalkowi władzyki”. Ten splunął i ze zmienioną twarzą wypadł z trunkami.

– Wiesz, czego on ode mnie chciał?

– A skąd miałbym wiedzieć? – mruknął Xiao. I istotnie nie wiedział tego, jak i tego, czy wobec oczywistej klęski misji powinien wyjść za cudzoziemcem, gadać z trunkarzem, czy też przywłaszczyć sobie worek wina i iść gdzie oczy poniosą.

– Rzeczywiście – zaśmiał się trunkarz. – A dobrze by było, żebyś wiedział. Jak i wszyscy w mieście. Bo na tym ich statku jest coś, co nie powinno było nigdy opuścić Południowego Królestwa.

Xiao nadstawił ucha. Widząc, że zainteresował słuchacza, Thih poprawił się na beczce i podjął:

– Zakazał mi tego mówić, ale co tam. Nawet chętniej powiem wbrew jego zakazom. Chciał mnie najać, bym popłynął z nimi do Smoczych Wrót. Rozumiesz? Do Smoczych Wrót! Przecież to za Kanionem Paszczęki! Mówię mu, że to rzecz niemożliwa, bo góra się osunęła i z paszczęki zrobił się pyszczek, że nie ma nawet co próbować, że niech lepiej udadzą się tam łądem, bo przynajmniej do pory deszczowej na południu woda nie zmyje osypiska, jeśli w ogóle. A on mi na to, że do samych Smoczych Wrót dotrzeć muszą, nie dotknąwszy brzegu. Pytam: dlaczego? A on mówi – tu trunkarz ściszył głos – że jeśli statek dotknie brzegu, nie będą w stanie okiełznać rakszas.

Jeśli Thih liczył na oszołomienie bakalarsza, to rozczarował się srodze. Xiao patrzył nań zdumiony nie tyle treścią wypowiedzi,

ile teatralnym urwaniem jej w najciekawszym momencie.

– Nie wiesz, co to rakszasa – mruknął trunkarz i podrapał się po głowie. – To takie coś jak wasz lis. Tylko gorsze. Rakszasy też, jak chcą, potrafią zmieniać postać, ale o ile wasze lisy ciągną z człowieka energię, rakszasy mordują dla samego mordowania, często w towarzystwie innych demonów, które przybywają na ich zew. Żyją w dżunglach Południa i dają się we znaki najpotężniejszym. Nie tylko ludziom, ale i – znów ściszył głos – bogom...

– I te rakszasy jadą z twymi rodakami na tym statku – podsumował Xiao.

– Jakimi tam znowu rodakami. – Thih machnął ręką. – Uciekłem stamtąd jeszcze jako wyrostek, schowałem się pod tratwą i oddychałem przez szparę między bambusami, potem jechałem z karawaną z Yindu... Gdyby nie to, pewnie zostałbym jak mój ojciec urzędnikiem, czyli więźniem ja-

kiegoś władcy, który z byle kaprysu mógłby kazać udusić mnie moimi własnymi wnętrznościami... Ale mniejsza z tym. Na tym statku znajdują się urny z rakszasa-
mi. Rozzuchwalone słabością króla napa-
dły na jego pałac i tylko najwyższym wy-
siłkiem kapłanów udało się je uwięzić.
Przynajmniej tak powiedział mi ten pani-
czyk. Urny zabezpieczone są zaklęciem
kapłanów, ale z każdym dniem zaklęcie
traci na sile. Rakszasy to istoty potężne i w
całym Południowym Królestwie nie znale-
ziono mędrców dość uczonych, by byli w
stanie unicestwić je na dobre. Dlatego po-
słano je na północ, do Cesarstwa Środka,
by w świętych grotach Smoczycy Wrót
zniweczyć ich moc, zanim wyrwą się na
wolność i siejąc spustoszenie, wrócą do
Królestwa pomścić się na królu. Woda to
żywił obcy rakszasom i póki statek płynie

z nurtem wielkiej rzeki, nie mają one pełni mocy potrzebnej, by przełamać zaklęcie. Dlatego ten głupiec nie chce słuchać mych rad i szuka szaleńca, który pokona z nimi Kanion Paszczęki, doprowadzi do grot i wyłuszczy całą sprawę mnichom. A tym szaleńcem miałbym być ja! – parsknął.

Xiao słuchał tego jak bajki o żelaznym smoku, ale teraz coś go tknęło.

– Czy nie mogli spuścić tych urn na dno jakiegoś jeziora?

– Ha!

Trunkarz pochylił się, wybrał jeden z baterii dzbanków i powąchawszy zawartość, podał bakałarzowi. Ten przyjął naczynie chętnie i podniósł do ust. W środku znajdowało się całkiem niezłe ryżowe wino. Pociągnął słuszny łyk, czując, jak napitek wsiąka w jego wyposzczony żołądek.

– Na kupiecki rozum mogliby, ale podobno woda na dłuższy czas nie poradzi, a

w ostatku kapłańskie zaklęcia i tak tracą moc. Albo unicestwią demony na dobre, albo sczezną, a król wraz z nimi. Niech tam! – Wybrał dla siebie drugi dzbanek i w kilka łyków opróżnił. – W każdym razie szykuj się już do opuszczenia miasta, bo jak ci szaleńcy rozbiją się w kanionie, to rakszasy zrównają okolicę z ziemią. – Zasepił się. Sięgając po kolejny dzbanek, rzucił nagle: – Ale ty niegłupi jesteś!

Odstawiający właśnie naczynie bakałarz chciał się obruszyć, gdy trunkarz z uśmiechem podał mu następny.

– Wiesz co, kompanie, dość się już urobiłem na dziś. Niech tam poharuje moja żona i dzieci. I tak za dużo mają wolnego!

Wtem z głównej sali dobiegł głos. To wołał cudzoziemiec. Twarz Thiha w okamgnieniu się zasepiła.

– Co, u lisa... – sapnął i wyszedł, zosta-

wiając Xiao sam na sam z trunkami.

Rozmowa szybko zaczęła przybierać agresywny obrót. Po chwili gniewne głosy przemieściły się do innego pomieszczenia i przycichły. Xiao usiadł z ulgą na beczce i kosztował wino. Pod czaszką buzowało mu już lekko; zasługa – lub wina – pierwszego dzbanka. Pod wpływem napitku zmęczenie z udreki zmieniało się w przyjemną leniwość. Spodobał mu się ten trunkarz, sam nadzwyczaj „niegłupi” i mowny, choć zrazu wyglądał na ponuraka. Gdyby tak szukał dla synów nauczyciela... W końcu w jego słowach o rodzinie było więcej szorstkiej czułości niż prawdziwej przygany. Tylko co z tymi rakszasami? Żartował, że to takie potworne demony, czy mówił poważnie?

Porzucił właśnie niezborne rozmyślenia na rzecz kwestii, czy wypada mu samemu wybrać sobie trzeci dzban, gdy rozległy się kroki i wszedł trunkarz. Na bladej niczym

papier twarzy miał trudne do opisanie emocje. Bakalarz patrzył, jak przez oblicze mężczyzny przemykają cienie i błyski wewnętrznej walki. Rozstrzygnęła się wreszcie, bo Thih roześmiał się głośno.

– Suszy mi głowę ten paniczyk, ale niech tam! Ja urazy nie żywię, bo tych rak-szas jakoś pozbyć się trzeba. Pozazdrościć im odwagi, ale i nagroda na załogę czeka suta. Chodź pić, przyjacielu! – I z tymi słowy podał Xiao kolejny dzbanek. – Dam ci strawy. Raz się żyje!

Bakalarzowi na myśl o jedzeniu usta wypełniły się śliną. Przełknął ją wraz z haustem wina.

– Jesteś dziś moim gościem! – wołał coraz głośniejszą męczyzną. – Nie będziemy siedzieć z tamtymi łachudrami. Zapraszam cię do siebie!

Wstawszy z beczki, Xiao zachwiał się,

ale Thih złapał go za ramię i pociągnął w głąb domostwa. Do wyczerpanej świadomości niewyspanego, głodnego i spitego bakałarza nie dotarło, że prowadzące go ręce drżą.

Dlaczego ręce Thiha Shwe drżały, kiedy ciągnął Xiao na pijatykę? Dowiedzie się tego tylko z kolejnego rozdziału.

Rozdział 41

o tym, jak Xiao Long znalazł się na lasce i niełasce przybyszów z Południowego Królestwa

Plama bladej zieleni i rudej czerwieni tańczyła, rozjaśniając się powoli. Xiao próbował skupić wzrok, ale oczy nie chciały go słuchać. Próbował rozejrzeć się po otoczeniu, lecz kark uparcie i ciężko zwisał nad zielono-rudą plamą. Próbował przypomnieć sobie, co się działo, i nie pamiętał niczego. Wiedział tylko, że nie panuje nad swym ciałem, że ma mdłości i zawroty głowy, że słońce go razi, że jego świadomość rozwarstwia się i gubi, nie mogąc ogarnąć otoczenia.

Wtem coś porwało go za ramiona, prze-

mknęła jakaś jasność, w oczy zajrzała czyjaś twarz. Xiao wyteńczył całą uwagę.

To był cudzoziemiec z kokiem i przepaską.

Przez umysł bakalarza przesunął się jakby długi zwój poziomy z ciągiem obrazów. Dziwny statek, rozpytujący przechodniów przybysz, kupiec i jego pomoc, ulice, trun-karnia, Thih Shwe, kłótnia, dzbanki... Tu obrazy zaczęły się rozmazywać, jakby malarz zbyt rozcieńczył tusz, jakby pędzelek gubił włosie. Kolejne dzbanki, mięso, nabrzmiała twarz trunkarza, napięcie przyby-sza, zygzakowate ulice, chybotliwa łódka, plusk wody, śmiech ludzi na brzegu...

Młodzieniec odwrócił się i zawołał. Ry-chło obok jego oblicza pojawiły się kolej-ne. Xiao poczuł, że podnoszą go i prze-mieszczają, i że w jego żołądku narasta nieznośny napór. Jęknął i szarpnął się nie-mrawo. Odpowiedziały mu śmiechy. Pla-my zawirowały i nagle znalazł się twarzą

w dół, wpatrzony w ciemne wody. Zanim pomyślał cokolwiek, już opróżnił żołądek.

Znów zaczęli go przenosić, ale teraz czuł się lepiej i umysł miał jaśniejszy. Dostrzegł maszt i burty, dodał dwa do dwóch i zakonkludował niezbitcie, że znajduje się na spływającym Długą Rzeką statku cudzoziemców.

Ale po co?

Jakieś straszne podejrzenie zaczęło mu kielkować. Przecież nie chciał płynąć z cudzoziemcami, wolałby zatrudnić się przy karawanie, niż ryzykować spływ, zwłaszcza że trunkarz przestrzegał go przed...

Demonami.

W tej chwili niemal otrzeźwiał. Wróciła doń cała rozmowa z Thihem Shwe i późniejsza pijatyka. Przywoływał przed oczy wyobraźni twarz trunkarza, szukając w niej

oznak zdrady. Znalazł je.

Nie mógł dłużej wątpić.

Został porwany.

Cudzoziemcy posadzili go przed znajomą zielono-rudą plamą. Okazała się graniastą nefrytową urną sięgającą kolan, na dwa łokcie długą i jeden szeroką. Kamień pokrywały ryty. W kłębowisku kształtów rozpoznał Xiao scenę walki, ale szczegóły nikły pod grubą warstwą krwi. Po grzbiecie przeszedł mu dreszcz. Krew na nefrycie! Śnił to kilka dni temu, a teraz miał przed sobą nefryt. Czyżby...

Już nie dreszcz, a mdląca fala przeniknęła bakalarza od stóp do głów. Ogarnął go dojmujący strach, wyobraźnia zaczęła podsuwać koszmarne widzenia. Dygocząc, próbował się uspokoić. Nie, to nie tak, nie tak to ma być, jęczał w myślach. Wtem poczuł przyływ siły i zerwał się ku burcie. Gotów był rzucić się do wody i uciekać wpław. Ledwo jednak spał się do susa,

stracił równowagę i padł na pokład. Ból zagłuszyły głosy i śmiech. Podniósł omroczoną głowę i zobaczył, że nogi zaplątały mu się o krępującą go w pasie grubą linę, przywiązaną do jednej z kilku przecinających pokład desek. Tak ograniczony w ruchach musiał wrócić na miejsce.

Nie mogąc patrzeć na okrwawiony neryt, przymknął powieki i oddychał głęboko wilgotnym powietrzem. Po dłuższym czasie uspokoił się nieco i był już w stanie w miarę klarownie myśleć i działać. Przy najmniej tak mu się wydawało, chociaż żadnego obiektywnego probierza nie posiadał. Wreszcie otworzył oczy i rozejrzał się.

Statek płynął środkiem potężnego nurtu Długiej Rzeki. Po obu stronach wznosiły się wzgórza pokryte gęsto roślinnością. Tu i ówdzie przelatywały ptaki, a dalej, w

prześwitach między wzgórzami, migotały śnieżne szczyty gór tak wysokich, że sięgających chyba samego nieba. Wszystko to niekiedy zamazywało się na moment, przesłonięte chyżą chmarą olbrzymich ważek.

Siedząc twarzą ku rufie gdzieś w przedniej części kadłuba, Xiao miał widok na cały pokład. Przybysze z tajemniczego Południowego Królestwa siedzieli pod zadaniem, nie kłopotząc się ni żaglem, który był zwinięty, ni wiosłami leżącymi u burt. Statek płynął wiedziony prądem ku swemu przeznaczeniu. Tylko sternik – młodzieniec, jak i cała reszta – napierał od czasu do czasu na wiosło przechodzące przez otwór w wysokiej rufie.

Wzdłuż pokładu, po przeciwległych stronach zadaszonej części, stało osiem nefrytowych urn, uwiązanych do pokładu krzepkim sznurem. Wszystkie plamiła krew. Xiao odwrócił wzrok i spojrzał za

siebie.

Smoczy pysk szczyrzył zębiska ku wzgórzom, które zdawały się zagradzać rzece drogę. Wypiętrzone masywy błyskały tu i ówdzie gołą skałą. Wydawało się, że rzeka prze ku najwyższemu punktowi górskiego muru jakby samobójczo, gardząc pomniejszych pagórkami wokół. Bakałarz zmrużył oczy. Chyba wzrok go mylił, bo nurt zdawał się znikać u stóp gór, jak gdyby woda wsiąkała w ziemię i ginęła w niewiadomych czeluściach, by wypłynąć z powrotem na świat dopiero po niewidocznej drugiej stronie przeszkody. Albo przepaść bez śladu i wieści.

Oczy zaczęły łzawić, szyja boleć. Xiao znów zwrócił się twarzą ku wstrętnemu nefrytowi. Chciał zapytać, porozmawiać, ale nie miał z kim. Pośród załogi nie było Thiha Shwe, a reszta – to już wiedział –

nie знаła słowa w jego języku.

Thih... Kim był ten człowiek? Nic nie wskazywało, że współdziałał z przybyszami, nie miał przecież oporów, by mówić o nich ostro przy Xiao. Lecz bakałarz nie miał wątpliwości. Z postrzępionej masy wczorajszych wspomnień wysnuł jedno – obecność Thiha u boku, kiedy meandrując, szli na przystań, jego twarz, kiedy Xiao wsiadał z cudzoziemcem do łódki. I jego milczenie pośród śmiechów przechodniów, kiedy bakałarz stracił równowagę i wpadł do rzeki.

Xiao spojrział po sobie. Chałat wciąż miał mokry. Wtem przebiegł go dreszcz. Miecz! Dla pewności sięgnął ręką pod chałat, choć pamiętał, że pas trzymał na wierzchu. Oczywiście nie znalazł. Musiał go postradać, kiedy gramolił się z błota.

To nie pijacki wid, to się naprawdę stało. I stało się, bo spity przez trunkarza zapomniał nagle o jego wcześniejszych sło-

wach i dał się porwać wizji wielkiej nagrody po ukończeniu rejsu. Zaklął i bezsilnie zacisnął pięści.

Znów dałem się nabrać, pomyślał gorzko, znów straciłem i przegrałem. Dałem się złapać na przysłowiową wędkę bez haczyka. Ale tym razem będę umiał odpłacić. Jeśli myślą, że pomogę im dotrzeć do Smoczyczych Wrót...

Przestał zgrzytać zębami, spojrzał na krwawy ołtarz. Jeśli taki był cel porywaczy, a wszystko wskazywało, że tak, to jego krew nie zrosi tego nefrytu. Jeżeli zaś w tych urnach istotnie znajdowały się demony czekające tylko, by wyrwać się na wolność i siać spustoszenie, to w jego własnym interesie leżało dopomóc cudzoziemcom znaleźć mniszych mędrców. Ale potem...

Jeśli będzie jakieś potem. Bo statek miał

do pokonania Kanion Paszczeki.

Jeden z młodzieńców poszedł na rufę i wyjął z wody sieć. Kilkanaście lśniących ryb padło, trzepocząc, na pokład. Xiao na myśl o jedzeniu poczuł, jak w jego żołądku na nowo narasta mdlący napór. Zamknął oczy i jął głęboko oddychać. Pomogło. Już się odprężył, gdy usłyszał zbliżające się kroki i poczuł, jak na jego twarz coś przyska. Podniósł powieki.

Mężczyzna wyciskał z ryby na nefryt ostatnie krople wodnistej krwi.

Bakałarz, walcząc z nudnościami, spojrział po innych urnach. Każda błyszczała świeżą czerwienią. Wypatroszone i wykrwawione ryby trafiły na dach, pod palące promienie słońca. Xiao znów musiał dłuższy czas oddychać głęboko z zamkniętymi oczyma.

W ferworze wydarzeń postradał gdzieś czepiec. Kiedy żar stał się nie do wytrzymania, a wszystkie opróżnione w trunkami

dzbanki i worki zaczęły domagać się napełnienia świeżą wodą, nie wytrzymał.

– Hej, wy tam! – zawołał w kierunku leżących w cieniu „paniczyków”. – Dajcie mi pić! Wody! Wody!

Pod dachem rozległy się pomruki, wreszcie jeden z cudzoziemców wstał i podszedł do Xiao. Ten wymownym gestem pokazał, czego mu potrzeba. Młodzieniec pokiwał głową i niebawem wrócił z beczką. Jednym zamaszystym ruchem napełnił ją wodą z rzeki i postawiwszy obok bakałarza, spoczął znów w cieniu.

Taką wodę to mógłbym sam sobie sprawić, pomyślał Xiao, rzucając za nim gniewne spojrzenie, i aż się wzdrygnął. Mężczyzna przewiązał rozchełstaną koszulę jego pasem.

A więc nie zgubiłem go w wodzie, pomyślał z ulgą Xiao. Kiedy dotrzemy do

Smoczych Wrót, nie omieszkać upomnieć się o swą własność.

Jeśli dotrzemy.

Machnął ręką na ponure myśli i szybko napełnił żołądek wodą, a potem zmoczył długie włosy i opuścił je na twarz. Zbyt krótka lina nie pozwalała mu zażyć cienia, zresztą nie wiedział, czy nie zostałby spod dachu wyrzucony, musiał więc jakoś przetrwać, póki żar nie zelżeje.

Dopiero teraz zaczął się zastanawiać, jaki to dzień. Czy pił z Thihem tego czy poprzedniego dnia? Patrząc na stojące niemal w zenicie słońce, wymiarkował, że musi to być dzień następny. Wprawdzie zakładało to, że popijawa z trunkarzem trwała niemożliwie długo, ale lepiej było założyć to właśnie, niż zaakceptować myśl, że schlał się w kilka chwil i już w południe znalazł na statku płynącym w dół rzeki. Zresztą dzicz rozpościerająca się po obu stronach nurtu nie wskazywała na bli-

skość miasta. Musieli płynąć całą noc.

Odwrócił się ponownie. Szczyty zagrażające drogę rzecze były coraz bliżej, odsłaniając wrzynającą się w nie dolinę. Z tego miejsca nie dało się dostrzec żadnych śladów osunięcia się zbocza – stoki były gładkie, zielone i szare. Xiao nie wiedział jednak, ani jak długi jest kanion, ani gdzie dokładnie nastąpiło osunięcie. Pozostawiało mu trzymać się nadziei, że Thih Shwe – kimkolwiek był i komukolwiek służył – podzielił się z załogą wiedzą wystarczającą, by przeżyli przeprawę.

Choć sam w jej powodzenie przecież nie wierzył.

Xiao machnął ręką i znów zwilżył czuprynę. Słońce łapczywie wysysało każdą kroplę. Spojrzał w niebo, osłaniając dłonią oczy. Do wieczora było jeszcze daleko.

W beczułce zaczęło już świecić dno,

kiedy świecić przestało wreszcie słońce. Dopiero wtedy załoga wyszła spod zadania. Kamienna kotwica wpadła z pluśkiem do wody, łódź zatrzymała się i obróciła lekko. Obrócił się i drzemiący dotąd Xiao.

Strome zbocza piętrzyły się pod niebo, przesłaniając słońce. Wtłoczona w zwązające się koryto rzeka burzyła się i pieniała. Nurt nie wyglądał jeszcze na groźny, ale jeśli istotnie gdzieś w głębi kanionu osunęło się zbocze, to rzeka musiała zostać doprowadzona do prawdziwej furii. Jak zatem...

Nad odpowiedzią nie musiał sobie łamać głowy. Kiedy zdumiony dziwną nutą w głosach ciągle rozmawiających cudzoziemców odwrócił się w ich kierunku, zobaczył scenę pożegnalną. Bo czymże innym mogło być obejmowanie się, i to obejmowanie osobliwe, bo rozpoczynane spleceniem rąk i wyprostowaniem ramion,

a wieńczone zetknięciem się torsami i czołami. Xiao nie wiedział, czy mu się nie przywidziało, ale kilka par oczu lśniło bardziej, niż powinno.

Dwóch młodzieńców wsiadło do łódki i wiosłując pagajami, oddaliło się od statku. Wkrótce nurt wciągnął ich w paszczkę kanionu. Wszyscy patrzyli za nimi w milczeniu. Nawet Xiao z dziwnym uczuciem spoglądał, jak jego porywaczy unosi rozfalowana woda. Wreszcie łódeczka znikła za zakretem.

Reszta załogi pokręciła się jeszcze trochę po pokładzie, a potem zapadła w cień.

I wtedy Xiao uprzytomnił sobie, że mają oto przed sobą kilka, a być może i kilkanaście dni czekania. Jeśli nawet dwójka śmiałków przepłynie kanion pomyślnie, to z wieściami o warunkach przeprawy nie wróci tą samą drogą. Spojrzał po roztacza-

jących się wokół wzgórzach. Nawet nie chciał myśleć, jak długo zajmie mężczyznom ich pokonanie.

A przez cały ten czas on będzie siedział uwiązany na linie na pokładzie statku obsadzonego przez ludzi, z którymi nie miał wspólnego języka.

Ogarnęła go słabość. Pochylił się i oparł czoło na okrwawionym nefrycie demoniej urny, nie zważając na ciepło promieniujące od amuletu ku jego sercu.

Aby dowiedzieć się, czy i kiedy dwóm śmiałkom udało się wrócić, czytajcie dalej!

Rozdział 42

o potędze Długiej Rzeki

Xiao sam już nie wiedział, co gorzej smakuje – muł czy kwiecie. Niestety, nie miał wyboru. Jego porywacze okraszali suszone ryby przyprawą, której smak przywodził na myśl zwiedłe kwiatki. Żując cuchnące mięso, próbował skupić się na czymś innym, ale ohydny smak przebijał wszystko. Co gorsza, mijający czas wcale nie pomagał bakalarzowi przywyknąć do monotonnej diety; wręcz przeciwnie.

Nadbrzeżne lasy i zarośla kusiły dzikimi owocami i zwierzyną. Xiao na próżno roztrząsał, czy drzewka brzoskwiniowe na jednym ze wzgórz to przywidzenie, czy prawda. Spoglądał na barbarzyńców i zastanawiał się, czy gdyby mieli jeszcze jed-

ną łódkę, udaliby się na brzeg, by urozmaicić dietę. A może im wystarczały te ohydne ryby? Z tonu rozmów przy posiłkach nie umiał wymiarkować, ale sądząc po obfitym stosowaniu kwietnej przyprawy, znajdowali w niej upodobanie.

Takimi to zagadnieniami zaprzętał sobie głowę bakałarz, czekając na rozwój sytuacji. Właściwie to czekał tylko z początku, bo po kilku dniach miał już wszystko gdzieś. Jego umysł otoczył się skorupą zubożenia, tak jak ciało okryło się skorupą potu i brudu. Dni mijały jednostajnie, każdy podobny do poprzedniego i następnego. Raz spadł deszcz, a i to niewielki, kilka też razy statek zmienił położenie, ale więcej urozmaiceń nie było.

Zabijał czas, przebiegając myślą wydarzenia ostatnich dni, tygodni, miesięcy. Doskonale pamiętał wszystko od momentu zesłania w góry Dalekiego Południa. Ale życie w Hengshanie, praca pisarza sądowe-

go, dom rodzinny zamazały się już w jego pamięci i wyblakły. Nie odnajdywał w sobie tęsknoty za ówczesnym spokojnym życiem, nawet za najbliższymi. Wracał wspomnieniem do tamtych czasów i zastanawiał się, czy gdyby przypadki potoczyły się inaczej, znalazłby zadowolenie w pracy urzędniczej, w przyjemnościach ciała, w rodzinie; czy cieszyłyby go schludnie spisane dokumenty, szacunek ludzi o niższej pozycji, zmienna łaskawość zwierzchników. I nie potrafił sobie na to odpowiedzieć. Bo chociaż chciał żyć spokojnie i leniwie, to na pewno nie w Hengshanie. Nie po tym, czego tam doznał, nie po dowodach nieprzychylności boga tego miasta. A zresztą nie był nawet pewien, czy potrafiłby zadowolić się codziennością.

Z głębin leśnych, z zakamarków klasztorów, z górskich rozpadlin, z mgieł prze-

strzeni i miriadów twarzy spłynęło nań... sam nie wiedział co. I choć marzył teraz o wygodnym kangu oraz regularnych posiłkach, o czystej odzieży i solonych śliwkach, to nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, czy po miesiącu takiego życia nie...

No właśnie... Nie zechciałby zaznać przygód? Zobaczyć obcych miast i barbarzyńskich ras? Ryzykować życia? Bzdura. Poznał, co to strach o własne życie. Wiedział aż za dobrze, ile warte są takie „przygody”. Nie chciał ich.

Przynajmniej teraz, kiedy ciągle trwały, a on był z konieczności tylko biernym ich elementem. Gdyby miał miecz, mógłby przeciąć linę i spróbować wymknąć się wpław, najlepiej nocą i w deszczu. Gdzieś na zachodnim brzegu, za tymi wzgórzami, leżał gościniec wiodący ku przeprawie promowej do Jingping. Gdyby zdołał się przedrzeć, umknąć pogoni i uniknąć rabu-

siów, którzy niewątpliwie czaili się przy trakcie, trafić na karawanę i podążyć z nią... Gdyby, gdyby...

Ale wszystkie te myśli, wspomnienia i marzenia nie znajdowały odbicia na twarzy Xiao. Siedział z zamkniętymi oczyma, nieruchomo i w milczeniu, na pozór śpiący, gdy w jego głowie rodziły się i gasły całe światy. Ocykał się, tylko by zjeść, wypić, rozejrzeć się i załatwić za burtę.

Nie wiedział, który to był z kolei dzień, kiedy pewnego późnego popołudnia w monotonne rozmowy załogi wkradła się nowa nuta, gdy zdziwione głosy przeszły w krzyki, Xiao otworzył oczy i podążył wzrokiem w ślad za wyciągniętymi rękami młodzieńców.

Na szczycie jednego z niższych nadbrzeżnych wzgórz przez gęste krzewy przedzierał się samotny mężczyzna. Są-

dząc po ubiorze, był to jeden z dwójki śmiałków.

Kiedy zniknął w lasach oddzielających wzgórze od brzegu, załoga czas jakiś jeszcze czekała na pojawienie się drugiego. Ale nie nadszedł. Krzyki ucichły. Samotny mężczyzna pojawił się wreszcie nad rzeką. Podniesiono kotwicę, statek zaczął zmierzać do brzegu. Xiao obserwował te manewry z niepokojem, lecz odetchnął z ulgą, gdy zatrzymali się kilkanaście kroków od brzegu. Młodzieniec wszedł do wody i niebawem pobratymcze ręce wyciągnęły go na pokład.

Przeprawa musiała kosztować śmiałka dużo zdrowia. Wychudzony, wszędzie nosił ślady ukąszeń i otarć. Z wyraźną ulgą spoczął pod zadaszeniem, łapczywie rzucił się na ryby. Potem długo opowiadał cichym głosem. Skupienie towarzyszy udzieliło się i bakałarzowi, choć nie rozumiał ani słowa. Z tonu, gestykulacji i mi-

miki odczytywał historię przeprawy

Mężczyzna skończył opowieść, kiedy słońce dotykało już wzgórz. Narady trwały jeszcze długo po zapadnięciu zmroku. Xiao usnął wreszcie, ukołyszany niezrozumiałymi dźwiękami.

Dzbanuszek stara się skryć za innymi, ale zdradza go kolor. Czerwone maźnięcia widać wyraźnie między szarymi naczyniami. Zawartość wystarcza na jeden słuszny łyk i dostarcza sił na jeden słuszny czyn.

Obudziło go szturchnięcie. Cudzoziemiec, ten sam, którego Xiao na własną zgubę przywiódł do Thiha Shwe, stał nad bakałarzem na tle jaśniejącego nieba. W dłoni trzymał pałkę.

Xiao nie zdążył się przestraszyć, kiedy ostre kamienie przejechały po linie. Młó-

dzieniec wrócił do krzątających się po pokładzie towarzyszy, a bakałarz spojrzął po sobie. Był wolny. A w każdym razie nie spętany. Bo burty statku i pałki załogi wciąż stały na przeszkodzie. Tylko po co zdjęto zeń linę?

Ale oto podniesiono kotwicę. Smok na dziobie jął dążyć najpierw powoli, a potem pędzić coraz szybciej ku gardzieli kanionu. Xiao poczuł niemiłą mdłość w brzuchu. A więc zdecydowali się na przeprawę!

Teraz zrozumiał, dlaczego zdjęto mu pęta. A kiedy w ramię uderzyło go boleśnie pióro wiosła i młodzieniec zdecydowanym gestem kazał mu zasiąść pośród nich przy burtach, zrozumiał jeszcze lepiej. Kawałkiem sznura spiął włosy i ujął ciężki drag.

Góry rzuciły na statek swój długi cień. Ludzi owionął wilgotny wiatr, z objęć kamiennych zwalisk wypłynęły kłęby mgły. Po pierwszym łagodnym zakręcie rzeki

szczyty górowały już nad statkiem ze wszystkich stron. Zbocza były nieomal pionowe, jak gdyby na skały spadł z rozmachem z nieba wszechpotężny miecz i rozrąbał je na dwoje. Spękane szare zbocza porastały gigantyczne pnącza, w nurt wci-
nały się gliniane zwaliska i jezory żwiru. Na wysokość dorosłego mężczyzny od tafli wody rozciągał się wypłukany, żłobiony w fantazyjne wgłębienia pas – oznaka zmiennego poziomu rzeki.

Za następnym zakretem koryto zwężyło się jeszcze bardziej, nurt przyspieszył, statek zaczął się narowić. Łatwo było sobie wyobrazić trudność prowadzenia w górę ciężkiej barki, gdy rosnącej mocy nurtu nie można było przeciwstawić siły wiatru. Podmuchów nie dawało się przewidzieć – zmieniały się z każdą mijaną skałą, raz więcej pod prąd, raz z prądem, a najczę-

ściej w poprzek, i zawsze porywiście. Stąd w zamierzchłych czasach wzdłuż brzegu wykuto drogę dla tragarzy. Xiao patrzył w zdumieniu na ten wyżłobiony w litej skale półtunel, którego dno uformowane było w płytkie stopnie. Ilu tragarzy stąpało jeszcze niedawno pochyłonych tą drogą, by uciągnąć ciężką barcę wbrew rzece? Xiao nie potrafił sobie tego wyobrazić.

Skalistym brzegom dorównywało koryto. Gdyby nie sterczące wysoko drewniane pale ostrzegawcze, łódź niechybnie szybko skończyłaby zdruzgotana o czające się tuż pod powierzchnią rafy lub ugrzęzłaby na mieliznach. Xiao nie mógł się nadziwić ogromowi pracy, jaką podjęto niegdyś, by ujarzmić ten dziki rejon.

Ale wiosło zamarło w jego dłoniach, kiedy ujrzał czarne wąskie stopnie wykute w litej skale, wspinające się bez końca po zboczu góry, której wierzchołek zdawał się ginać w chmurach.

Wiosłujący z tyłu młodzieniec mruknął coś i uderzył bakałarza w plecy. Xiao podjął pracę, ale oglądał się jeszcze za schodami, starając się w kłębach mgły dojrzeć owo tajemnicze coś, do czego prowadziły. Tymczasem nurt rozkiełznął się na całego. Wiosło zaczynało żyć własnym życiem, coraz trudniej przychodziło bakałarzowi naśladować ruchy młodzieńca przed nim, który – jak reszta załogi – wykonywał polecenia sternika. Pomimo widocznych z daleka pali kilka razy o włos nie wpadli na podwodne przeszkody. Czyżby statek nie był tak ścigły, jak się wydawało?

Rzeka zdawała się znajdować upodobanie w rozcinaniu się o skały. Rozbryzgi fal już nie rosły, a oblewały załogę. W głosie sternika brzmiało rosnące napięcie. Jeśli przybysze z Południowego Królestwa załowali decyzji o przeprawie, to na żalu mu-

sieli poprzestać – na odwrót było już za późno.

A przecież nawet nie dotarli jeszcze do osypiska! Xiao starał się nie myśleć o tym, co czekało tam na nich. Z dwóch pionierów wrócił jeden; Xiao nie potrafił stwierdzić, czy drugi zginął w kanionie, czy podczas powrotu przez górskie lasy, ale gdyby jego szczęśliwszy towarzysz nie był pewny, że statkowi uda się przeprowić, chyba nie namawiałby towarzyszy na podejmowanie ryzyka. A i jemu samemu, kiedy patrzył na smukły statek w Hkyen Bhamo, wydało się, że jeśli na czymkolwiek, to na nim właśnie przeprawa może się powieść. Teraz jednak wątpił i w swój dosyć wątpliwy osąd, i w zdrowe zmysły załogi. Było już jednak zbyt późno i na żale, i na animozje – przecież dosłownie znajdowali się w tej samej łodzi na wezbranej rzece, jak mówi przysłowie.

Niemal ocierając się o wyżłobioną po-

wierzchnię skały, minęli kolejny zakręt. Ze wszystkich piersi wyrwał się jęk.

Już nie jezor żwiru, a zbita masa kamieni, roślin i gliny tarasowała wpół koryto. Rzeka zdawała się wrzeć, jakby rozwścieczona ciasnotą koryta. Raz po raz ponawiała ataki na nową przeszkodę, ale ta nie chciała ustąpić. Rozjuszona oporem do białości, nie mogąc wyładować gniewu na skałach, rzeka z impetem parła na wbite w rafy słupy, a nie zdoławszy ich wyrwać, szukała zemsty gdzie indziej.

I znalazła.

Załoga przemoczona już była od stóp do głów miotanymi wściekle rozbryzgami, między nogami przewalała się woda. Xiao skulił się i mrużąc oczy, wiosłował z całych sił, choć starczało mu ich ledwie na to, by nie wypuścić drąga z rąk. Otaczająca statek zewsząd furia żywiołu dawała jed-

nak jasno do zrozumienia, że z wiosłem czy bez, los statku był przesądzony.

Bo oto zbiegający się coraz ciaśniej nurt zatrzepotał kadłubem i długa rufa zahaczyła o mijany pal. Słyszając trzask i krzyk sternika, młodzieńcy obejrzeli się, ale ani mężczyzny, ani rufy już nie było, tylko wyrwa i poszarpane drewno.

Spływając od samych źródeł Długiej Rzeki, młodzieńcy nabrali jednak byli wprawy i hartu ducha. Może i zawsze je mieli. „Synalkowie władyków” nie wypuścili drągów z rąk i wiosłowali dalej za wzięcie.

Zwał zbliżał się z zastraszającą szybkością. Jeszcze dwa pale, jeszcze jeden i statek wpadł w skotłowany biało-brązowy war. Kipiel zerwała się, wyrwała wiosła i porwała je ze sobą. Impet, z jakim nurt rzucił się na statek, sprawił, że nikt nie zdołał w porę czegoś się uchwycić. Xiao przewalił się w bok, a razem z nim w po-

krywającą pokład wodę padła reszta załogi. Nie! Xiao przez zalane oczy ujrzał, jak kilku młodzieńców wypada za burzę, wprost w spienioną czeluść.

Chwycił się masztu i objął go kurczowo, twarz wtulił w ramię. Czuł każdym nerwem, jak statek toczy skazaną na przegraną walkę z rozhukanym prądem. Szaleństwo! Samobójstwo! – tętniło mu w skroniach. Każdy dygot torturowanego kadłuba odzywał się echem w kościach bakałarza. Zdawało mu się, że w huku fal słyszy przeraźliwe ryki i okropne wycia, jak gdyby to nie rzeka ze statkiem, ale jakieś dzikie bestie zmagają się na śmierć i życie.

Wtem wstrząsy zmalowały, bryzgi przestały zalewać pokład. Xiao podniósł niepewnie głowę i napotkał zagubiony wzrok dwóch leżących nieopodal młodzieńców. Wstawali właśnie niezgrabnie, jeden –

śmiałek z wyprawy przecierającej szlak – był blady jak papier. Bakałarz podniósł się również i razem z nimi wyjrzał ponad burty.

Zwalisko zostało w tyle, statek wpływał na spokojniejsze wody. Wciąż pędził, nie trząsał się już jednak i nie kolebał na wszystkie strony. Lecz z całej załogi zostało ich trzech. Na wodzie unosiły się kępy trawy, węzły pnączy i gałęzie, i tylko po ludziach nigdzie nie było śladu.

Wtem ktoś krzyknął. Bakałarz spojrział ku dziobowi. Z zastraszającą szybkością zbliżał się pal. Jeśli tam jest skała... – pomyślał Xiao. W tym momencie obaj młodzieńcy rzucili się do wody. Spojrzął na pal. Wydało mu się, że widzi wodorosty porastające szerniałą dolną część słupa. Już blisko! – przemknęło mu przez głowę. Na łeb na szyję przewalił się przez burzę.

Woda nakryła go, otoczyła pomroka, przejęła zimnem. Rozpaczliwie uderzył ra-

mionami, dążąc ku górze, ale nurt targał nim i rzucał. Zdezorientowany i przerażony, miotał się desperacko. Zaczęło mu brakować powietrza. A może tylko tak mu się zdawało w zgrozie całej sytuacji? Dość, że czuł, iż w płucach ma ogień. Szamotał się, sięgając rękoma tam, gdzie w trwożnej konfuzji miał nadzieję trafić na powierzchnię. I po chwili długiej jak ostatnia przed śmiercią poczuł, że opór wody znika, a jego twarz przebija się na powierzchnię.

Pierwszy haust zaprawionego wodą powietrza o mało nie przyprawił bakałarza o atak kaszlu. Gdyby wychynał na powierzchnię wcześniej, przy zwalisku, padłby pewnie ofiarą wzburzonych fal, ale tu nurt, choć pędził, nie kipiał już gniewem. Po kilku panicznych oddechach Xiao odzyskał jasność myśli. Podbił się konwulsyjnym ruchem wyżej i rozejrzał. Niedale-

ko ponad toń wystawała zwirowa łącha zwieńczona solidnym palem. Zebrał siły i skierował się ku niej.

Kiedy poczuł pod nogami grunt, ledwo dyszał. Całe jego ciało wołało o koniec udreki. Wynurzając się, z każdym krokiem czuł, jak przytłacza go własny ciężar. Wreszcie nie udźwignął brzemienia i padł na żwir, z nogami wciąż w płytkiej wodzie. Wszystko w jego wnętrzu zdawało się falować w rytm chrapliwego oddechu. Oddał mu się bez reszty.

Gdy paroksyzm minął, podczołgał się i legł pod samym słupem. Obecność tego drobnego, a jednak trwałego znaku ludzkiej bytności krzepiła bakałarza wobec otaczającej potęgi żywiołu. Leżał długo, dając skołatanemu ciału czas. Przed oczyma wyobraźni przewalały mu się obrazy morderczej przeprawy, wciąż te same, wciąż na nowo. Nawet gdyby chciał myśleć o czymś innym, nie znalazłby w sobie dość siły. A

on nie chciał niczego. Poza leżeniem tak jak teraz.

W końcu, po wielu, wielu chwilach wypełnionych szumem wody wokół i szumem oddechu we wnętrzu, podciągnął się i usiadł, wsparłszy plecami o pał. Przed nim w całym majestacie toczyła swe zmęczone walką, lecz wciąż potężne wody rzeka. Skały stały nad nią nieporuszone, niczym niemi i obojętni świadkowie wydarzeń rozgrywających się u ich stóp. A pomiędzy nimi, na drugiej w zasięgu wzroku oznaczonej słupem łasze, przekrzywiony i pobijany leżał statek.

Xiao długo patrzył na ten niezwykły widok. Rzeka zdołała utopić prawie całą załogę, ale nie zatopiła statku. Trwał tam teraz pośród skał i fal i czekał na ratunek ze strony przepływającej łodzi lub śmierć od wezbranej rzeki. Jak długo utrzyma się na

łasze, Xiao nie wiedział. Wiedział tylko, że im dłużej na niej pozostanie, tym trudniej będzie demonom ujść na wolność.

Cudzoziemcy zginęli – przynajmniej wszystko na to wskazywało – ale ich cel stał się teraz jego celem. Kiedy nadejdzie pora deszczowa i rzeka wzbierze, statek spłynie w dół i osiadzie na dnie lub rozbije się o brzeg. Żadna z tych sytuacji nie pozwalała mieć nadziei na uniknięcie nieszczęścia. Nawet na dnie rzeki demony będą próbowały się uwolnić i wreszcie im się to uda, a znaleźć urny będzie niemożliwością. Jeśli zaś rozbiją się na brzegu, uwolnią się jeszcze szybciej. Jeśli wierzyć Thihowi, spustoszenia mogły być ogromne.

Trzeba znaleźć kogoś, kto będzie umiał stawić demonom czoła.

Mnichów ze Smoczych Wrót.

Xiao jęknął. Niech ktoś inny się tym zajmie, przecież ja nawet nie potrafię się stąd

wydostać! – pomyślał i potoczył bezradnym wzrokiem po ciągnących się bez końca w obie strony skałach. Wtem kątem oka ujrzał coś niezwykłego. Obrócił głowę i ujrzał znów to, co tak zadziwiło go na początku przeprawy.

Nieopodał, za załomem skalnym, zaczynały się stopnie – wąskie, czarne i biegnące na niebotyczną wysokość po niemal pionowej ścianie.

Rozejrzał się jeszcze raz po całej okolicy, a potem długo przetrawiał to, co ujrzał. Wiedział już, że ma do wyboru jedynie dwie drogi wydostania się z mielizny Mógł pochwyć przepływającą gałąź i spłynąć z nią w dół w nadziei, że nie trafi na wiry, rafy lub kolejne zwaliska. Albo wejść po schodach, dokądkolwiek prowadziły. Bo przecież gdzieś prowadzić musiały.

Długo jeszcze odpoczywał. A kiedy

słońce wspięło się wreszcie w swej wędrówce na sam szczyt i rozświetliło ponure wnętrze kanionu, wstał i taplając się w pokrywającej żwirowisko tu i ówdzie wodzie, ruszył ku stopniom.

Jak powiadają:

Szczypta odwagi warta jest tyle, co namiętne powodzenia.

O tym, jak Xiao pokonał schody i co zastał na ich szczycie, dowiedzie się z kolejnego rozdziału!

Rozdział 43

w którym Xiao Long stawia czoła próbie niemal ponad siły

Już pierwszy krok zwiastował trudy, jakimi okupione J być miało postawienie ostatniego. Schody nie wiodły naturalną półką skalną, lecz wrzynały się w zbocze płytkim na ledwie łokieć wgłębieniem. Jakby mało było stapania po wąskich stopniach, gdy z każdym krokiem czeluść z boku potężniała, to jeszcze skośna ściana wgłębienia uniemożliwiała wyprostowanie się. Nie chcąc zapłacić wygórowanej ceny za wygięcie górnej połowy ciała w kierunku przepaści, Xiao zgarbił się i stapał w napięciu, unikając patrzenia w przepaść.

W miarę wspinaczki schody zdawały się

coraz węższe, a przepaść głębsza. Chcąc nie chcąc bakałarz rzucał spojrzenia w bok i w dół, gdzie skalny przestwór rozwielał się coraz śmieiej. Gdyby stopnie były szersze, gdyby ściana nie napierała z boku, jakby chcąc zepchnąć wspinacza w otchłań, widok przejmowałby dreszczem zachwytu. Tymczasem jedyne dreszcze, jakie czuł Xiao, były dreszczami trwogi.

Zbocze skręciło lekko, po stopniach jąła się sączyć strużka wody. Namoknięty kamień pokryły tu i ówdzie zgniłoszare porosty. Xiao na pierwszy rzut oka poznał, że wilgotne są zabójczo śliskie. Jak na złość ludzie wykuwający przechód musieli byli znużyć się niesamowicie trudną robotą, bo ściana nachylała się tu jeszcze niżej. Xiao garbił się i garbił, wreszcie, klnąc w żywy nefryt, musiał wspinać się na czworakach.

Kolana rychło zaczęły go boleć, dłonie marznąć. Powtarzał sobie uparcie, że jeszcze trochę, że już zaraz, za chwilę, ale miał

pełną świadomość, że to nieprawda. Widział przecież drogę z dołu, wiedział, na jaką wysokość wznosi się skała. Wbijał uparcie wzrok w schody, których krawędzie wygładziły stopy – i kolana – szaleńców zdążających nie wiedzieć po co, dokąd i jak dawno. Pajęczynowy wzór porostów wżerał mu się w mózg. Czuł, że kiedy dotrze na szczyt, na tle nieba będzie widział wszechobecne siateczki.

Strużka zmieniała się w strugę. Pomimo promieni słońca przeszywających powietrze tuż obok Xiao w zacienionym przejściu drżał z zimna. Woda obmywała mu skostniałe, poranione na kamieniach dłonie i poobijane kolana, skapywała bezpośrednio ze sklepienia na naprężone plecy. Trzeba mi było jednak złowić jakąś gałąź i spłynąć w dół rzeki, powtarzał przez zaciśnięte zęby. Gdyby mógł zawrócić na

łachę, już by to zrobił. Mielizna, choć dzika, była dalece bardziej gościnna niżli ten poroniony wytwór człowieka. Ale nie miał już wyjścia – czy raczej zejścia. O ile wchodziło się z trudem, to schodzić się po prostu nie dało.

Ściana znów się zagięła, tym razem pod ostrzejszym kątem. Schody zdawały się kończyć. Z bijącym sercem Xiao wyjrzał z za zakrętu. Nie, jeszcze nie dotarł do kresu drogi. Lecz niedaleko za załomem w stopniach zionęła wyrwa długa na krok lub półtora.

Xiao chciał zakląć, ale naraz zaczął się histerycznie śmiać. Z niezmiernie oddalonej odeń o piędź wróciło echo. Wyrwa, którą przesadziłby jednym lekkim skokiem, a może nawet zwyczajnie przekroczył, gdyby znajdowała się na równej drodze lub normalnych schodach, tu, gdzie nie dało się wyprostować, a śmierć czyhała o włos, stanowiła przeszkodę nie do poko-

niania. Pomyśleć, że jeszcze przed chwilą zachęcał się do dalszej drogi, tłumacząc sobie, że powrót jest całkiem niemożliwy. Teraz zejście jawiło mu się jako jedyne wyjście.

Trwał długo w bezruchu, gryząc wargi. Wytrzymałby tak, gdyby czas mógł przynieść pomoc, rozwiązanie, radę. Ale nie mógł. Xiao miał do wyboru albo śmiertelnie ryzykowny powrót, albo sforsowanie niebezpiecznej przeszkody i kontynuowanie niewygodnej, lecz możliwej wspinaczki.

Wreszcie zebrał się w sobie. Ostrożnie wyminął zakręt i zbliżył się do wyrwy. W górę i w dół zbocza ciągnęły się tu szczeliny, jak gdyby góra zaczynała się rozpadać. Sądząc po ostrych krawędziach, dziury nie wypłukała woda, a przynajmniej nie ona była głównym sprawcą. Szczeliny musiały

zbiec się tutaj niefortunnie, być może też przyczyniła się jakaś skaza w tej części przejścia, dość, że szeroki na jeden krok, a głęboki na kilkanaście fragment osunął się i zniknął w otchłani.

Xiao szybko wypatrzył zachęcająco wystający głaz między krawędziami wyrwy, ale długo jeszcze nadaremnie szukał czegoś pewniejszego. Myśl, że będzie musiał wyciągnąć się ponad przepaścią i zawieźć życie jednemu niepewnemu skalnemu występowi, przejmowała go chłodem bardziej dojmującym niż ten bijący od wilgotnych ścian. Ale musiał się przełamać.

Wciąż trwał na czworakach. Teraz cofnął tułów i wsparł się jedną dłonią o skraj schodów, a drugą o przytłaczające go sklepienie, i przerzucił nogi do przodu. Potem przesunął się i przewiesił je przez krawędź wyrwy. Dreszcz przebiegł mu po grzbiecie, gdy nogawki wydał mu wiatr zionący z przepaści. Jeszcze nic nie jest postano-

wione, jeszcze sprawdzę, zdecyduję się, powtarzał sobie. Przemieścił się kawałek do przodu, wymacał stopą głaz. Kamień okazał się mniej śliski, niż się bakałarz obawiał. Pewniej wsparł stopę, a potem, zanim pomyślał, odbił się i wyciągnął ręce przed siebie.

To trwało całą wieczność. Xiao nie miał pojęcia, dlaczego tak bez zastanowienia porwał się na pokonanie wyrwy. Ale stało się. Kiedy tak leciał do przodu nad czeluścią, wsparty tylko na jednej nodze, wiedział, że za nieskończony moment jego dłonie wesprą się na przeciwległej krawędzi i albo się jej uchwycą, albo ześlizgną. I wiedział też, że jeśli spadnie, to ostatnia chwila będzie jeszcze dłuższa.

Ból rozciętej skóry.

Lęk, kiedy stopa omsknęła się na kamieniu.

Ulga, kiedy zdołała ustać.

Podciągnął się i oto leżał już na schodach, z nogami wciąż w powietrzu. Ale leżał. Bał się, że jeśli spróbuje teraz podciągnąć kolana, to straci oparcie i ześlizgnie się, więc jedynie wił się jak wąż, dźwigając się ze stopnia na stopień na dłoniach, przesuając do przodu piędź po piędzi. Wreszcie i jego stopy dotknęły pierwszego stopnia. Udało się.

Odпочywał długo, rozkoszując się solidnością skały. Wokół ogromne czeluści tylko czekały na błąd, ale on go nie popełnił. Wreszcie podniósł głowę. Daleko przed sobą ujrział kolejny zakręt. Ruszył ku niemu ostrożnie, lecz bez tej trwogi, która towarzyszyła mu wcześniej. Najgorsze miał za sobą.

Gdy wyjrzał zza załomu, przekonał się, że niekoniecznie.

Kilka kroków za zakrętem przechód się kończył. Schody szły teraz skosem, wyku-

te płytko w powierzchni niezbyt stromego, ale upiornie nagiego zbocza.

Xiao zbliżył się do końca przechodu. Zaczynające się tam stopnie były nieco szersze, ale jeszcze bardziej wytarte. Gdyby nie to, można byłoby spróbować iść dalej na stojąco, jednak patrząc na płytkie, zaokrąglone stopnie bakałarz postanowił dalej iść na czworaka. Kolana zmieniły mu się już w jeden wielki siniec, dłonie miał całe we krwi, lecz tylko tak się poruszając, mógł mieć nadzieję, że nie potknie się i nie ześlizgnie po stoku.

Otuchy dodawał mu fakt, że wspiał się już na dużą wysokość, a szczyty okolicznych skał nie nikły już w niebiosach, tylko wystawiały się na widok w całej swej krasie. A jeśli budowniczywie schodów nie byli do szczytu szaleńcami, to napowietrzną drogę poprowadzić musieli najłatwiej-

szym i najniższym zboczem. Tak się pocieszając, podjął wspinaczkę.

Tu już nie zasłaniały bakalarza ani skała, ani cień. Zewsząd otaczał go srogi przestwór, gdzieniegdzie jedynie przesłonięty kłębem mgły. Słońce przeszło na zachodnią stronę nieba, kiedy Xiao zmagał się z wąskim przechodem, ale jeszcze nie znikło po przeciwległej stronie kanionu, a szczyty żarzyły się pomarańczowym blaskiem. Zimny wiatr owiewał zziębnięte ciało bakalarza. Znajome drzenie poczęło nawiedzać strudzone członki. Ale zaciskał zęby i wspinał się, wspinał ku upragnionemu kresowi drogi.

Wreszcie, kiedy już omdlałe mięśnie nie chciały słuchać, a poranione dłonie i kolana nie mogły znieść dotyku skały, w zasięgu wzroku pojawiły się głazy, zbocze złągodniało, a stopnie ustąpiły płytkim wgłębieniom oddalonym od siebie na długość kroku. Xiao podniósł się z trudem i nie-

zgrabnie kuśtykając, podążył coraz bardziej płaską powierzchnią ku przerwie między głazami. Szczelina po kilku zakrętach wyszła na pokrytą lichą trawą polanę. Bakalarz zatrzymał się zdumiony.

W jednym z głazów tkwiły kości jakiegoś gigantycznego zwierza lub olbrzyma, który przed tysiącem lat zasnął tu snem kamiennym i w kamień się obrócił.

Wtem spomiędzy labiryntu skał dobiegł ochryply śpiew. Pieśń nie była Xiao znajoma, nie przypominała nawet pieśni z jego rodzinnych stron, ale brzmiała całkiem ładnie i sympatycznie. Xiao poczuł, jak w jego ściśnięte serce wlewa się otucha. Ten ktoś go ogrzeje, nakarmi, napoi, zaoferuje nocleg pod dachem, poradzi, dokąd pójść...

Utykając, ruszył ku głosowi.

Choć nie musiał, bo oto śpiewak wynurzył się spomiędzy głazów.

Był to mężczyzna drobny i kościsty, w nieokreślonym wieku. Zdawał się uginać pod ciężarem pękatego wora na plecach. Cerę miał znacznie bardziej ogorzałą niż Xiao, ciemniejszą nawet od niektórych cudzoziemców, jakich bakałarz widział w Hkyen Bhamo. Nosił, czy raczej był obwieszony za dużą, niegdyś zapewne białą, a teraz brudnoszarą szatą; takiegoż koloru zawój chronił mu głowę. Węzeł na czole opadał na pofałdowaną twarz. Głęboko osadzone oczy były bardziej okrągłe niż bakałarza. Na widok Xiao błysnęły, śpiew umilkł.

– Witaj, drogi nieznajomy – przywitał mężczyznę bakałarz.

– Witaj, czcigodny przybyszu – usłyszał w odpowiedzi. Z ulgą zrozumiał słowa. Miejscowe narzecze brzmiało dziwacznie, ale dało się je zrozumieć.

– Nazywam się Xiao Long – ciągnął. – Przybywam z daleka. Łódź, którą podróżo-

wałem, nie zdołała oprzeć się potędze rzeki. Będę wdzięczny za pomoc, a choćby i dobrą radę.

– Jestem Zhang Liangbi – mruknął mężczyzna, podchodząc. – Tuszę, że przybyłeś schodami. Od wielu lat nie powstała na nich ludzka stopa. Widzę, żeś potłuczony i znużony. Zaopiekuję się tobą jak nikt inny. Jestem uzdrowicielem.

Xiao uśmiechnął się z ulgą, ale mężczyzna jeszcze nie skończył:

– Wkrótce zabiorę cię do siebie, teraz jednak poczekasz. Wpierw muszę zebrać porcję smoczych kości.

Z tymi słowy odwrócił się i podszedł do wystającego z głazu szkieletu, następnie wyjął z wora narzędzia i zaczął kuć.

Bakałarz rozejrzał się, a potem przysiadł pod głazem i pogrążył się w rozmyślności. Zdrzemnął się i ocknął dopiero trą-

cony w ramię.

– Wstawaj, czas nam w drogę.

Słońce musiało już być bliskie zachodu, bo długie cienie wypełzły spomiędzy głązów. Xiao podniósł się cały zeszywniały i podążył za uzdrowicielem w mroczny labirynt.

Jeśli ciekawi was, dokąd uzdrowiciel zaprowadził Xiao i co mu zgotował, przeczytajcie kolejny rozdział!

Rozdział 44

o przyjmowaniu poczęstunku z rąk nieznanego

Kociołek bulgotał wesoło, ale dobywające się spod pokrywki zapachy razily nos bakałarza. Opary owiewały suszący się obok chałat. Uzdrowiciel krzątał się po zagraconej izbie. Ostatnie światło dnia sączące się przez brudny papier oklejający okienną kratownicę rozpięzchło się na widok zgromadzonych tu okropności i znikło gdzieś, ustępując półmrokowi. Kilka lampek dawało więcej dymu niż blasku. Siedzący na stołku w kącie Xiao widział jednak dosyć, by mieć dosyć.

Chociaż obok poskręcanych dziwacznie korzeni, wiązek nieznanych ziół i pęczków

szkaradnych grzybów rozłożone na półkach leżały i pod belkami wisiały zamęczone na śmierć ptaki, zasuszone żywcem owady, larwy i pasożyty oraz oplecione własnymi wnętrznościami gryzonie, to widoki takie znał dobrze, i nie tylko z aptek, ale także z jadłodajni, straganów i kuchni. Nie wstrząsnął nim nawet rozcięty wzdłuż małpi trupek, kołyszący się melancholijnie na środku sufitu. Tym, co powodowało, że czuł się nieswój w tej dusznej izdebce, nie była śmierć, lecz życie.

Wszędzie – pod sufitem, na podłodze i wokół ścian – znajdowały się klatki i klateczki z żywymi węzami, jaszczurkami, ropuchami, pajakami, żabami, owadami i wszelkim innym trującym stworzeniem. U samych stóp bakałarza w głębokim garncu kotłowała się długa jak męskie przedramię, wściekle kolorowa skolopendra. Xiao słyszał, czuł niemal, jak setki odnóży chroboczą i stukają o ścianki więzień. Obawa, że

któraś z tych bestii może wyslizgnąć się z klatki, przyprawiała go o dreszcz. Wystarczyłoby, by owa wyraźnie napastliwa skolopendra wyskoczyła z garnca na ściśnięte razem tuż obok nogi bakałarza... Nie chciał myśleć, co by się wtedy stało. A Zhang Liangbi zajmował się wciąż sobą, jak gdyby wcale nie miał gościa. Wór otworzył był zaraz po wskazaniu Xiao stołka i powymował zeń woreczki oraz skrzynki. Zbiory w izbie rychło wzbogaciły się o nowe zioła, korzonki i grzyby, kawałki odłupanych „smoczyczych kości” i klateczkę z bladozielonym gekonem. Część świeżych specyfików powędrowała do postawionego na piecyku żarowym gara, wraz z dobrze już podsuszonymi grzybami i owadami. Coś mówiło bakałarzowi, że to dla niego.

Uzdrowiciel podszedł do klatek z węza-

mi i stukając w nie bambusowym prętem, zaczął wybierać. Xiao patrzył niepewnie, jak na podłodze ląduje klatka z najbardziej agresywnym, choć niewielkim gadem. Niebawem dołączyła do niej kolejna, ze wzdętym ohydnie pajakiem oraz z żabą o wyjątkowo paskudnym wejrzeniu. Jedynie postawiony na koniec obok tej trójki dopiero co złowiony gekon był w miarę przyjemny dla oka. Głód, który jeszcze niedawno szarpał kiszki bakałarza, nieco jakby przygasł.

Gospodarz wziął jedną z klatek i podszedł w kierunku Xiao. Ten struchlał, ale Zhang pochylił się nad garem ze skolopendrą, uchylił drzwi klateczki i wrzucił pająka do środka. Ten sam los spotkał gekona, żabę i węża. Metalowa pokrywa miłosiernie zasłoniła straszliwe kłębowisko.

– To trucizna gu – odezwał się uzdrowiciel beznamiętnym głosem. Były to jego pierwsze słowa, odkąd opuścili labirynt

głazów i zobaczyli w dali koślawe chaty. – Przeżyje tylko jedno zwierzę, przejmując jad pozostałych.

Xiao pokiwał machinalnie głową. Jeśli czegokolwiek się z tego wyjaśnienia dowiedział, to tego, że uzdrowiciel poza leżeniem zajmuje się widocznie także i truciem.

– Chodźmy – rzucił krótko mężczyzna, wziął lampkę i wyszedł, nie oglądając się. Bakalarz poderwał się ze stołka, bacząc, by nie potrącić gara, i podążył za uzdrowicielem.

Zwarte skupisko kilku chałup leżało na trawiastej równinie między skałami kanionu a zboczem łagodnie opadającym ku pagórkom ciągnącym się het aż po horyzont. Xiao zdążył tylko przelotnie obejrzeć okolicę, kiedy wcześniej szedł tu z uzdrowicielem. Teraz było już zbyt ciemno, by do-

strzec cokolwiek więcej.

Przecisnęli się wąskimi przejściami ku niczym niewyróżniającej się chacie. Jak wszystkie, wzniesiona była z uszczelnionego gliną, szerniałego ze starości drewna, kryta zaś zszarzałą strzechą. Za rozklekotanymi drzwiami panowała ciemność. Blask lampki trzymanej przez Zhanga padł na zastawione dzbanuszkami półki, kilka skrzyń, stołek i łóżko, czy raczej ramę z bambusa, obciążoną zapadniętym płótnem.

– Kładź się – mruknął gospodarz i ledwo Xiao ułożył się na wznak, złapał go za rękę. Raz miętosił ją silnie, to znów nieruchomiał tak, że zdawało się, iż słyszeć, jak korniki dłubią w drewnie. Wreszcie się odezwał: – Tętno jest słabe i nierówne. U podstawy kciuka wyczuwam oznaki wzburzenia sześciu zmysłów i siedmiu uczuć. Płuca są rozognione, wzmagają się też płomień wątrobowy. Rozgrzana nadmiernie

krew krąży nierównomiernie w czterech kończynach. Ale choroba sięga dużo głębiej. Pierwiastki jin i jang są skłócone, co objawia się raz w dreszczach, raz w gorączce. Zawiązał się również guz przygnębia. Trapi cię gorączka, która nie jest gorączką, i zimno, które nie jest zimnem. Twój umysł się błąka, twoje ciało słabnie. Tylko szybkie leczenie zapobiegnie przeniknięciu choroby do szpiku. Potrzebne będzie przyżeganie. Ale to dopiero jak przygotuję odpowiednie medykamenty. Teraz napijesz się wywaru ośmiu szlachetnych składników. Wzmocni on twe siły życiowe i usunie nadmiar zimna i gorąca. Jutro zażyjesz kości tygrysa, rogi jelenia i skorupę żółwia. Leż tu i czekaj na mnie.

Z tymi słowy uzdrowiciel wyszedł, zabierając z sobą lampkę.

Leżąc w zupełnej ciemności, Xiao starał

się ogarnąć to, czego się dowiedział. Bardziej oszałamiającej diagnozy nigdy nie słyszał. Czy mógł ufać temu znachorowi? Przecież nawet nie czuł się tak źle, ot, trochę dreszczy, a gorączki od dawna nie miał. Chyba że choroba przyczaiła się, że zżera go od środka. Uzdrowiciel może i był dziwny, ale któryż nie był dziwny? A ten miał izbę pełną medykamentów, jak niewielu innych. Gdyby tylko nie te trucizny, skrzywił się bakałarz. Czym on się naprawdę zajmuje? Dlaczego mieszka na takim odludziu? Ma tu w ogóle jakichś chorych? Czy może sprzedaje swe dekokty gdzieś w mieście?

Nie skończył jeszcze formułować wszystkich cisnących mu się pytań, nie mówiąc o znalezieniu na nie odpowiedzi, kiedy drzwi zadygotały i w blasku lampki ukazała się twarz Zhanga. Trzymał w dłoni bambusowy kubek.

– Wypij to – burknął. – I śpij spokojnie.

Bakałarz ostrożnie przybliżył kubek do ust. Wywar nie był gorący, zapewne uzdrowiciel zmieszał go z innym, już przestudzonym. Pachniał ziołami i czymś mdłym, być może rozgotowanymi owadami. Xiao spojrział na gospodarza – ten patrzył nań ze zmarszczonymi brwiami, jakby zniecierpliwiony – wziął oddech i łyknął.

Cienki wywar nie smakował tak paskudnie, jak można się było obawiać. Mdlił wprawdzie, ale nie odrzucał. Nie było go też zbyt dużo. Bakałarz oddał próżny kubek uzdrowicielowi. Zhang odwrócił się i wyszedł bez słowa, zanim Xiao zdążył podziękować.

– Stary dziwak – mruknął bakałarz. – A tym bardziej dziwny, że w sumie nie taki stary.

Zaczął się mościć do snu. Znalazłszy

pod wyrkiem dziurawy koc, otrzepał go z robactwa oraz paprochów i okrył się szczelnie. Czekał, aż po brzuchu rozleje mu się miłe ciepło, a na razie szukał w sobie oznak choroby. Ale daremnie. Nawet dreszcze nim nie trzęsły. Po co więc uzdrowiciel kazał mu wypić ów dziwny dekokt? Skąd taka poważna diagnoza?

Postanowił, że rano podziękuje gospodarzowi za pomoc i pójdzie do najbliższej wioski. Nie widział sensu tracić czasu na kurację, skoro nie czuł się źle, a mnichów ze Świętych Wrót trzeba było przecież zawiadomić jak najszybciej.

Tymczasem wywar, zamiast rozlać się przyjemnie po ciele, zaległ w żołądku niczym kamień. Xiao czuł się coraz bardziej nieswój. Położył się na drugim boku, potem na wznak, masując brzuch. Zaczęły go dręczyć ponure myśli. Żałował, że zgodził się przyjąć lek. Przecież nie znał uzdrowiciela, nie miał kogo zapytać o jego reputa-

cję, był w okolicy całkiem sam z mrukiem, który warzył truciznę gu. I przyjął z jego rąk niewiadomy napój!

Znów odwrócił się do ściany, nie przestając złościć się na siebie. Udało mu się przeżyć piekło Kanionu Paszczęki, pokonać niebezpieczne schody i po tym wszystkim ot, wystawił się na niebezpieczeństwo. Jak mógł bez krzty ostrożności skorzystać z gościny nieznanego, ba, zawierzyć mu własne życie? Leżał teraz sam w obskurnej, ciemnej izbie, z dala od ludzi, na pastwie obcego dziwaka i zachodził w głowę, dlaczego postąpił tak pochopnie. Instynktownie sięgnął ręką do pasa i uświadomił sobie, że miecz przepadł przecież w odmętach Długiej Rzeki. Mimowiednie jęknął. Na domiar złego był bezbronny!

Zmęczenie wzięło jednak wreszcie górę nad złością. Myśli zaczęły się bakałarzowi

mącić, obrazy przewijające się przed oczyma blednąc. Zapadł w niespokojny sen.

Dzbanuszek stara się skryć za innymi, ale zdradza go kolor. Czerwone maźnięcia widać wyraźnie między szarymi naczyniami. Zawartość wystarcza na jeden słuszny łyk i dostarcza sił na jeden słuszny czyn.

Obudził się z dziwnym uczuciem. Nie, nie chodziło tylko o sen, choć wiedział, że niedawno śnił to samo. Coś w otoczeniu było nie tak, jak powinno, coś się zmieniło także w nim samym. Otworzył oczy i nasłuchiwał długo, lecz poza cykaniem i brzęczeniem owadów nie usłyszał nic. Wszystko spowijała ciemna, ciężka cisza. Ale niepokój nie zniknął. Podniósł się...

Nie.

Chciał się podnieść i nie zdołał.

Poczuł, że robi mu się zimno.

Wyciągnął rękę ku twarzy... nie, chciał

ją wyciągnąć i nie mógł. Zamrugał oczyma. To potrafił. Mógł też oddychać. I na tym koniec.

Był sparaliżowany.

I w jednej straszliwej chwili zrozumiał, że znalazł się na łasce i niełasce Zhanga Liangbi.

Żeby dowiedzieć się, jak Zhang Liangbi wykorzystał swą władzę nad bezsilnym Xiao Longiem, nie przerywajcie lektury!

Rozdział 45

w którym Zhang Liangbi wykorzystuje swą władzę nad bezsilnym Xiao Longiem

Skrzypnęły wypaczone drzwi, półmrok izby ustąpił bladości poranka. Xiao otworzył oczy, ale zobaczył tylko chropawą powierzchnię ściany – tyle, ile mógł ujrzeć, poruszając samymi gałkami ocznymi. Choć z całych sił starał się odwrócić, nawet nie drgnął.

Wtem poczuł na sobie dotyk. Silne ręce obróciły jego ciało na wznak. Xiao spojrział w twarz uzdrowicielowi. Była nieruchoma, oczy zaś obojętne. Tyle ujrzał, nim Zhang znikł mu z pola widzenia. Bakałarz patrzył teraz w spowite pajęczynami belki dachu i z bijącym sercem czekał, co będzie dalej. Po chwili znów ujrzał zimne oblicze

pochylające się nad nim. Gospodarz zaczął go bezceremonialnie rozbierać.

Niewyraźne stęknięcie dobyło się z ust bakałarza. Cały jego wysiłek, wszystkie starania, by zapytać milczącego Zhanga, co robi, by zażądać, żeby wrócił mu władzę nad własnym ciałem, skończyły się tym jednym ledwo słyszalnym stęknięciem. Podnoszony, tarmoszony i opuszczany z powrotem mógł tylko patrzeć to na sufit, to na ściany, to wreszcie na niewzruszonego gospodarza.

Tymczasem odzienie Xiao leżało już odkopnięte w kąt, a uzdrowiciel przyglądał się rozciągniętemu na łożku nagiemu ciału. Niech coś powie, niech wreszcie coś powie, u tysiącletniego lisa! Xiao aż trząsał się w środku, choć na zewnątrz był tylko w stanie mrugać coraz szybciej oczyma.

Uzdrowiciel znów zniknął z pola widze-

nia. Coś zgrzytnęło o podłogę. Stołek! – przemknęło przez myśl bakałarzowi. Rzeczywiście – Zhang właśnie siadał przy łóżku. Xiao nie widział, co Zhang robi, czuł za to, że w pomieszczeniu zaczyna unosić się ziołowa woń. Będzie mnie przyzegał! – zrozumiał nagle i spłynęła nań błoga ulga.

Ale nie trwała długo. Rychło uzdrowiciel począł przykładać do nóg pacjenta tłący się zwitek ziół. Raz, drugi, trzeci... bakałarz poczuł ból. Przyzeganie mogło być przyjemne lub bolesne, wszystko zależało od tego, kto je stosował. A Zhang Liangbi, jak właśnie dowodnie się Xiao przekonywał, należał do tych uzdrowicieli, którzy byli zwolennikami tezy, że im mniej przyjemności, tym więcej pożytku.

Kiedy Zhang zabrał się do przypalania ramion bakałarza, ten chciał krzyczeć, by przestał wreszcie. I znów tylko jęk wydostał się z jego gardła. Wywracał oczyma, szukając azylu w pajęczych sieciach mię-

dzy belkami.

Wtem dreszczem przeszył ich obu rozdzierający krzyk. To krzyczała kobieta, rozpaczliwie, histerycznie, łykając łzy. Zhang zerwał się na równe nogi, przewracając stołek, i wypadł z chaty.

Na ramieniu Xiao, tuż przy pasze, pozostał tłący się zwitek.

Bakałarz jął mrugać jak opętany. Ból przenikał go na wskroś, woń tłących się ziół mieszała się ze swądem przypiekanego ciała, bijąc prosto w nozdrza. Wybałuszając oczy, Xiao zaczął z całych sił duchowych zмагаć się z cielesną słabością. Gdyby tak choć raz się wzdrygnąć, choć przechylić, aby ten przeklęty zwitek, to narzędzie tortur spadło na podłogę!...

Wszystko na nic. Z daremnego wysiłku, z bólu i swądu zaczęło mu się kręcić w głowie. Czuł, że razem z urwanym nagle

szlochom kobiety ulatuje gdzieś między belki, pośród pajęczyny i kurz...

W tym locie przeszkodził mu powrót gospodarza. Twarz miał ściągniętą, w oczach złe błyski. Bez słowa stracił zwitek z ramienia bakałarza, podniósł coś z podłogi i wyszedł.

Xiao przestał się cieszyć, że przeklęty zwitek już go nie pali, a zaczął martwić, że pali go teraz oparzone miejsce i ani chybi oszpeci kolejną blizną, kiedy Zhang znów się pojawił. Dłuższy czas przetrząsał półki. Gdy obrócił się wreszcie do pacjenta, trzymał w ręce szary dzbanuszek. Xiao o mało nie stęknął, dla odmiany z rozkoszy, gdy na jego rany połało się czyste ukojenie. I tym razem radość nie trwała długo po wyjściu uzdrowiciela. Oparzenia przestały wprawdzie dokuczać, zaczął za to głód i pragnienie. Xiao daremnie jednak wyglądał powrotu gospodarza.

Skąd ten krzyk i płacz? – pytał sufitu.

To nie był zwykły wrzask bólu czy strachu, który mogłaby wydać służka uzdrowiciela – jeśli takową miał – gdyby oparzył ją kipiący wywar lub ukąsił jadowity pajak. To był prawdziwy krzyk rozpacz, jaki wydaje człowiek, gdy po wymuszonym milczeniu daje upust rozedrganym emocjom. Kim była więc ta kobieta? Czy pacjentką uzdrowiciela, który podawał jej te same środki oszałamiające co bakalarzowi, a które przestały teraz działać? Czy może ofiarą czegoś straszniejszego? – zastanawiał się ponuro, starając się nie myśleć o głodzie i podejrzanych dekoktach Zhanga.

Po pewnym czasie wszakże, choć żołądek i gardło domagały się posłuchu, przestał wypatrywać uzdrowiciela, a nawet nie chciał widzieć go na oczy. Odkrył bowiem, że powoli i nieznacznie, ale stopnio-

wo odzyskuje władzę w członkach. Oto mógł już obrócić lekko szyję, oto potrafił już poruszyć palcem, oto zdołał wyprostować ramię. Potrzebował tylko czasu.

A ten płynął nieubłaganie. Blask dochodzący z zewnątrz przez brudny papier okna przestał się wzmagać, a potem zaczął gasnąć. Xiao przesunął się już na krawędź wyrka i było pewne, że prędzej czy później spadnie zeń na podłogę. A co wtedy? Sądząc z tempa, w jakim niedowład mijał, jeszcze długo nie będzie w stanie normalnie chodzić, nie wspominając o biegu. Ledwo wygramoli się z chaty, zostanie złapany. Wokół były tylko puste łąki. Nawet gdyby potrafił zebrać się na równie głośny krzyk, kogóż mógłby zawołać? Zostawał powrót nad krawędź kanionu i ukrycie się w labiryncie skał. Ale jeśli nawet zdoła dotrzeć tam niepostrzeżenie, jak długo uda mu się tak chronić? Czy zdąży odzyskać pełnię władzy nad ciałem, nim Zhang go

wytropi?

Tyle wątpliwości wystarczyło, by jego usilne próby ustały. Czy był sens się męczyć, skoro rezultat mógł się okazać więcej niż wątpliwy? Ledwo rozniecona nadzieja zgasła. Znow począł błądzić wzrokiem po chacie. Tyle mógł zrobić, niczego nie ryzykując. Ale i niczego nie zyskując.

I wtedy właśnie, w chwili zwątpienia i rezygnacji, na przeciwległej ścianie pośród szarych dzbanuszków na półce ujrzał jeden odmienny.

Skryty w tyle, nie byłby widoczny, gdyby nie pokrywające go czerwone ideogramy.

Serce zabiło Xiao żywiej. Przecież to był ów dzbanuszek ze snu!

I nie wiedząc wcale, co tak naprawdę kryło się za obrazem ze snu, nie wiedząc jeszcze, jak sięgnie na wysoką półkę, ze

zdwojoną mocą począł walczyć ze słabością.

Zhang zastał bakałarza akurat, kiedy do zsunięcia się na ziemię brakowało mu już tylko jednego ruchu. W ręce trzymał bambusowy kubek, ten sam co wczoraj. Nie okazał zdumienia, tylko pewnym krokiem podszedł, przesunął Xiao z powrotem na środek łóżka i usiadł obok, a potem, wciąż milcząc jak głaz, ujął bakałarza za głowę i podetknął mu do ust naczynie.

Inaczej niż poprzednio, polewka była gorąca i pachniała apetycznie. Xiao jednak zacisnął zęby i bełkotliwie dał do zrozumienia, że jeść nie zamierza, póki nie usłyszy choć słowa wyjaśnienia. I to nie zdziwiło Zhanga. Podniósł kubek do ust i pociągnął słuszny łyk. To nie był wybieg – bakałarz widział wyraźnie, jak mężczyzna przetyka. W tym momencie żołądek odezwał się ze zdwojoną mocą, zapach potrawy zaczął nagle kusić. Nie zdołał już dłu-

żej się opierać, tylko z trudem przełykał wolno podawaną polewkę. Była całkiem smaczna. Gospodarz nakrył sytego kocem i wyszedł.

Dopiero w nocy, kiedy z przerażeniem stwierdził, że znów ma władzę tylko nad powiekami, zrozumiał istotę wybiegu uzdrowiciela. Zhang upił jeden łyk, Xiao – całą resztę. Zresztą nie trzeba było wiele, by bezwładne jeszcze ciało utrzymać w tym stanie dłużej. A uzdrowiciel przecież na pewno miał na podorędziu odtrutkę.

Ale bakałarz nie mógł długo wyrzucać sobie nierozwagi. Jakieś mętne majaki stały mu przed oczyma, jakieś niewyraźne skrzydła zatrzepotały w ciemności i obsunął się w ciemność pełną widziadeł, urojeń i złud.

Jedyną otuchą i punktem odniesienia w tych halucynacjach był dlań dzbanuszek

pokryty czerwonymi ideogramami.

Jeśli nie możecie się doczekać wyjaśnienia, o co chodzi z tym dzbanuszką, sięgnijcie po następny rozdział!

Rozdział 46

w którym Xiao Longstara się
przechytrzyć Zhanga Liangbi

Zwidy nie opuszczały Xiao także w blasku dnia. Wiedział, czuł, że leży na łóżku, że Zhang Liangbi karmi go, poi, nakłuwa i smaruje maściami, ale nie potrafił umiejscowić tych zdarzeń, nie potrafił się do nich odnieść ani ich zrozumieć. Rzeczywistość przewalała się gdzieś obok, czas mijał gdzieś wokół, a Xiao porwany wirem barwnych obrazów tylko częścią siebie postrzegał niektóre przejawy tego przewalania i mijania, drugą zaś częścią nurzał się w sobie samym. I w miazmatach własnej fizjologii.

Zhang nie był jedynym człowiekiem,

który pojawiał się w zasięgu świadomości bakałarza. Oprócz niego gdzieś na obrzeżach zmysłów krążył łysy starzec z łagodnym uśmiechem na pomarszczonym obliczu, rzadką siwą brodą i jaskrawozielonymi oczyma. Parę razy Xiao zdało się, że starzec trzyma w dłoniach księgę. Ale postać nigdy nie podchodziła blisko, nigdy nie wyrzekła słowa.

Bakałarz nie potrafił stwierdzić, czy jawa to, czy sen. Na wpół świadomy był obecności starca – i nic więcej.

Uzdrowiciel karmił „pacjenta”, a ten posłusznie przełykał. Na początku próbował zaciskać szczęki. Ale gospodarz nie pozwolił mu głodować. Wmusił płyn w Xiao, aż ten zaczął się krztusić. Zadziałał instynkt i zaprawiona macącymi ziołami polewka popłynęła bakałarzowi do żołądka.

Xiao nie wiedział, ile już takich posiłków przyjął, stracił rachubę, ba, nawet nie

był w stanie jej prowadzić. Ale nie miał wątpliwości, że z każdym łykiem jego ciało coraz bardziej słabnie, że każdy łyk oddala go od pełni przytomności. Zamiast leczyć, uzdrowiciel w sobie tylko znanych celach truł go, traktował jak przedmiot, wpędzał w chorobę. Bakalarz musiał coś zrobić.

Wreszcie błędzącym umysłem trafił na pewne rozwiązanie. Odczekał do wieczora, czy raczej przypomniał sobie o pomysle, gdy w izbie pociemniało. Kiedy Zhang przyszedł nakarmić pacjenta, a właściwie więźnia, Xiao pokornie wypił zupę. Ale gdy tylko mężczyzna zamknął za sobą drzwi, jął z całych sił przekręcać się na bok.

Bezwładne ciało długo lekceważyło jego polecenia, a kiedy wreszcie zaczęło go słuchać, robiło to opornie i powoli. Ale kawa-

łek po kawałku leżący dotąd na wznak Xiao dopiął swego. Po wielu próbach udało mu się zgiąć nogę w kolanie. Trochę odpychając się stopą, trochę manewrując ociężałym tułowiem, przewrócił się wreszcie na bok.

To nie była jeszcze nawet połowa sukcesu. Teraz musiał opróżnić żołądek, nim trucizna przeniknie do krwi. Ale jak to zrobić? Jak zmusić się do wymiotów, skoro nie mógł ani się schylić, ani sięgnąć palcem do gardła?

Skupił rozproszoną świadomość i przywołał najbardziej obrzydliwe obrazy, jakie tylko w życiu widział i jakie potrafił sobie wyobrazić. Niedługo trwało, nim na myśl przyszedł mu stos gnijących trupów i odciętych głów w wiosce dzikich. Dalej nie musiał już się wysilać – wygrzebaną z karmat pamięci wizję porwały ze sobą majaki i widziadła. Rojenia spotworniały, z halucynacji zniknął uśmiechnięty starzec i

barwna mozaika obrazów. Świat wewnętrzny bakałarza wypełniły ohydne zwiady.

I przepełniły żołądek.

Fala wezbrała. Xiao poczuł, że instynkt rozwiera mu przemocą szczęki. Wyrzygał wszystko. Polewkę. Żółć. Trupy. Czerepy. Starca. Zhanga. I własną przytomność.

Dzbanuszek stara się skryć za innymi, ale zdradza go kolor. Czerwone maźnięcia widać wyraźnie między szarymi naczyniami. Zawartość wystarcza na jeden słuszny łyk i dostarcza sił na jeden słuszny czyn.

Ocknął się głuchą nocą. W ciemności rozpraszaną poświatą, nie, cieniem poświaty księżyca, słysząc było tylko nieustające owadzie pogwarki. Wiecznie hałasują, skonstatował leniwie. Nigdy nie prze-

stają. Chyba tylko wtedy, kiedy nakaże im to wielki człowiek – władca, wysoki urzędnik lub poeta. Kontemplując tak rozpowszechnioną w legendach moc wielkich ludzi do zapanowania nad zwierzętami, uświadomił sobie nagle, że zwidy zniknęły. Myślało mu się nadal opornie, ale pannał nad swoim umysłem. Jeśli tak samo panuje nad...

Ledwo zaświtała mu nadzieja, już ruszył ręką. Ruszył. I to jak! Dłoń, niepewna jeszcze i drżąca, podskoczyła mu do twarzy i uderzyła w nos. Prychnął i złapał się zań obiema rękoma. Były obce w dotyku, ciężkie i toporne, ale go słuchały.

Podźwignął się wolno. Kręciło mu się w głowie, przed oczyma wirowały tęczowe koła, lecz siedział oto na brzegu wyrka. Kiedy poczuł się pewniej, wstał i próbował doczłapać do okienka. Jednak nie mógł. Ledwo postawił pierwszy krok, zachwiał się i byłby upadł jak długi na ziemię, gdy-

by nie pochylił się i nie złapał za ramę łóżka. Był straszliwie słaby, mięśnie mu drżały. Już ostrożniejszy padł na czworaka i syknął z bólu posiniaczonych kolan. Cemu ten szarlatan nie zajął się moimi kolanami? – pomyślał wściekle. Dopiero po dłuższej chwili zdecydował się ponownie wstać i zbliżywszy się z trudem do kratownicy, pchnął ją. Nie chciała ustąpić, więc tylko zdarł z niej cicho papier, a uparcie się trzymające skrawki poprzebijał palcem.

Powiedzieć, że po izbie rozlała się poświata księżycy, byłoby przesadą, ale we wnętrzu zrobiło się nieco jaśniej. Xiao wyjrzał przez otwory na zewnątrz. Okno wychodziło na północ. Po lewej stronie w mroku kłębiły się gruzła skał, na wprost i na prawo pagórkowate pustkowia ciągnęły się hen ku rozjaśniającemu się niepostrzeżenie niebu.

Kończyła się pora księżycy. Xiao musiał działać szybko.

Ale jak? Stał przed tym samym dylematem co poprzednio. Mógł chodzić, lecz niezbyt pewnie i niezbyt daleko. Jeśli wróci się, zbiegając po stoku, jeśli trzaśnie czaszką o głązy...

Po co w takim razie wyrzygałem truciznę? – zgrzytnął zębami na własne rozterki. Do wschodu słońca zostało sporo czasu. Musiał coś przedsięwziąć, inaczej uzdrowiciel złapie go poza wyrkiem...

A gdyby tak udać bezwład i zaatakować Zhanga, kiedy będzie się tego najmniej spodziewał? – pomyślał nagle. Biorąc pod uwagę kondycję bakałarza, chyba tylko to wchodziło w rachubę. Potrzebował jedynie broni, by napaść gospodarza podczas serwowania trującej polewki.

Jakże żałował, że utracił miecz! Poniewierzył się pewnie teraz gdzieś na Długiej Rzece, owinięty wokół rozkładającego się

ciała młodzieńca z Południowego Królestwa. Myśli Xiao pobiegły ku temu przemyślnemu orężowi, który zawsze znajdował się niezauważony pod ręką i już nieraz uratował właścicielowi życie. Ale otrząsnął się z nich szybko; jak powiada przysłowie: odległa woda nie ugasi bliskiego ognia. Z braku miecza potrzebował choćby kija czy kamienia. Jął przetrząsać izbę. Skrzynie były albo wypełnione szpargałami, albo puste jak i kąty, lecz jedna z bambusowych nóg stołka słabo trzymała się wiązań. Ostatnio Zhang siadał na łóżku, więc warto było zaryzykować. Jedyne problem w tym, że zydeł po amputacji nie chciał samodzielnie stać. Xiao musiał oprzeć stołek o ścianę, licząc, że uzdrowiciel nie będzie pamiętał, gdzie go zostawił.

Z zaimprovizowaną pałką u boku legł z powrotem na łóżku i zaczął czekać. Wie-

dział, że gospodarz przyjdzie dopiero o poranku. Cały świt miał dla siebie.

I w miarę jak z ciemności wyłaniało się coraz więcej szczegółów otoczenia, tym szybciej biło bakałarzowi serce. Czas dłużył się nieznośnie. Zdawało mu się, że gdyby zdecydował się był jednak na ucieczkę, dotarłby już daleko, zbyt daleko, by Zhang mógł go doścignąć. Nie przestawał się przekonywać, że jest zbyt słaby, że ledwo może ustać, ale coś mówiło mu, że uczynił źle. Na tej walce z samym sobą zszedł mu cały świt.

Wreszcie poranek, przesączaający się przez szpary w ścianach, ozłocił wnętrze izby. Już niebawem miał się zjawić uzdrowiciel z kubkiem strawy. I albo miał ulec pod pałką bakałarza, albo...

W tej chwili wzrok Xiao padł na półkę. Na widok czerwieni ideogramów aż się wzdrygnął. Ile razy śnił o tym dzbanuszkę? Ile razy czuł, że musi poń

sięgnąć? Więc dlaczego teraz, kiedy potrafił to wreszcie uczynić, zapomniał?

Zhang mógł wejść w każdym momencie, lecz Xiao wiedział, że trzeba mu wstać i sięgnąć na półkę. Po prostu trzeba. Ścisnąc wciąż pałkę, podniósł się i na chwiejnych nogach podszedł do półki. Jedno, drugie szare naczynie spadło z trzaskiem na ziemię, ale już trzymał oto w drżącej dłoni dzbanuszek z czerwonymi ideogramami. Głosiły wszem wobec wyścig poczwórny.

Cokolwiek to znaczyło, Xiao wyrwał zębami drewnianą zatyczkę i jednym haustem wychylił zawartość.

Nie zdążył poczuć smaku, nie mówiąc o działaniu specyfiku, kiedy zaklekotały drzwi i stanął w nich Zhang Liangbi.

Tym razem nie trzymał w ręce kubka paralizującej polewki.

Trzymał zwój szorstkiego sznura.

*Aby dowiedzieć się, do czego Zhang potrzebował sznura,
czytajcie dalej!*

Rozdział 47

w którym Xiao Long odkrywa, kto krzyczał, sam także krzyczy i krzyczy również Zhang Liangbi

Na widok stojącego Xiao twarz Zhanga Liangbi ściągnęła się w grymasie gniewu. Z pomrukiem postąpił naprzód. Sznur w jego dłoni świsnął wściekle. Wtem uzdrowiciel zatrzymał się. Jego wzrok padł na dzbanuszek w ręku nieruchomego bakałarza.

Xiao wzniósł ramię i zanim zdążył pomyśleć, co robi, cisnął w mężczyzną pałką.

Bambusowy kij rąbnął Zhanga w czoło i odbił się, padając z głuchym trzaskiem na podłogę.

Uzdrowiciel zachwiał się, zatoczył

oczyma, ale ustał. A potem odwrócił się i wypadł z chaty.

Xiao stał jeszcze przez kilka uderzeń serca, gapiąc się w puste ramy drzwi. Nadal nie wiedział, jaki smak ma wyciąg, który przed chwilą wypił. Nie zarejestrował go, przez ciało przeszła mu bowiem istna fala sejsmiczna. W okamgnieniu opadły zeń okowy bezwładu. Otepienie i słabość, które ciążyły mu jeszcze przed momentem, minęły jak ręką odjął. Stał bez ruchu już tylko ze zdumienia. Także własnym brawurowym i celnym rzutem.

Wreszcie otrząsnął się z zadumy. Nie myślał już o ucieczce. Czuł się zdrów, kipiał energią i był zdolny stawić czoła Zhangowi.

W kilku susach wypadł z izby pomiędzy chaty, podnosząc po drodze kij. Wąskimi przejściami snuły się tylko ukośne promienie słońca. W porywach wilgotnego, wiejącego znad kanionu wiatru widać było

unoszący się w powietrzu pył i uwijające się wszędzie owady. Uzdrowiciel skrył się lub zbiegł.

Xiao podbiegł do chaty, gdzie Zhang podejmował go był pierwszego wieczora, i przebił palcami papier okienny. Wewnątrz panował półmrok, zwłaszcza kiedy bakałarz zasłonił sobą okno, ale uzdrowiciela chyba tam nie było. Xiao rzucił się w dalsze poszukiwania. Wiedział, że jego siłą jest zaskoczenie. Póki Zhang się nie pozbiera, póki będzie niepewny siebie, póty bakałarz miał szanse dać mu odpór.

Tylko po co dawać mu odpór? Nienaturalny wigor popychał bakałarza ku starciu, ale rozum wskazywał, że przecież nie trzeba było stawiać na szali życia swego ani Zhanga. Jamen w Jingping bez wątpienia zainteresuje się całą sprawą, więc po co brać ją we własne ręce?

I kiedy tak łamał się sam ze sobą, czy raczej z podnieceniem wlanym w żyły za sprawą wywaru, przypomniał sobie krzyk, który przerwał przyżeganie. Ten krzyk i reakcja nań Zhanga wskazywały jasno, że Xiao nie był jedynym więźniem uzdrowiciela.

Zagryzł zęby i już bez ceregieli jął wpaść kolejno do chat. Nie przejmował się, że w którejś z nich czyhać może Zhang z orężem w garści. Ścisnął mocno bambusową pałkę i wpychał drzwi do środka. Żadnych nie zamknięto. I za żadnymi nie znalazł uzdrowiciela.

Dopiero w ostatniej chacie ujrzał coś, co nieomal wytrąciło mu kij z dłoni.

Pod sufitem, ze spętanymi nogami, wisiała uwiązana za ręce na sznurze naga młoda kobieta. Długie czarne włosy okalały bladą twarz. W ustach miała knebel, w otwartych szeroko oczach przerażenie.

Ścianę za nią przecinały gęsto zastawio-

ne półki, przed nią stały dwa niskie stoły. Xiao przebiegł między nimi i dopadł nóg dziewczyny. Machinalnie sięgnął za plecy po miecz...

I nie trafił nań. Nie trafił nawet na odzienie.

Również był nagi; bladą skórę pokrywały cętki oparzeń i ran po pijawkach. I dopiero teraz spostrzegł, jak bardzo jest wychudzony.

Spojrzał w rozszerzone oczy dziewczyny.

– Pomogę ci! – syknął. – On tu wciąż gdzieś jest, ale dam mu radę, nie bój się!

Obrzucił wzrokiem izbę. Na stołach leżało kilka wysłużonych noży, niektóre metalowe, inne kościane. Porwał największy i poskramiając rozsadzającą go siłę, rozciął pęta na nogach, a potem rękach dziewczyny. Stanąwszy na ziemi, zachwiała się i

jęknęła. Poprowadził ją do stołu. Usiadła i nagle zarzuciła mu ręce na szyję.

– Ratuj! – pisnęła. – Ratuj! On już ostrzył noże, błagam, ratuj!

Xiao przeszedł dreszcz. Przyżeganie podtrutego pacjenta to jedno, ale z nożem do spętanej kobiety – to coś zgoła innego!

– To twój krzyk słyszałem wczoraj? – spytał gorączkowo, odwzajemniając uścisk. Cały czas rzucał niespokojne spojrzenia ku drzwiom.

– Wczoraj? – Podniosła głowę znad jego ramienia. – Udało mi się wypluć knebel, ale to było kilka dni temu!

Nie miał czasu odpowiedzieć, bo z zewnątrz dobiegł odgłos kroków. Przez okamgnienie bakałarz rozważał, czy lepiej będzie bronić się w chacie, czy na zewnątrz, a potem dopadł do drzwi i wypadł przez nie z pałką w jednej, a nożem w drugiej ręce.

Zhang Liangbi zbliżał się uliczką wolno,

bez śladu podniecenia. Na twarzy miał kamienny spokój, w dłoni zaś – skórzany woreczek.

Zaskoczony Xiao zatrzymał się, choć jeszcze przed chwilą myślał, że rzuci się na uzdrowiciela. Ale uzdrowiciel miał być uzbrojony w nóż, włócznię, łuk, jakikolwiek oręż, a nie trzymać woreczek z...

...trucizną?

W żyłach Xiao zawrzała wywar. Spisał się do ataku, ale oto Zhang, wciąż stąpający niemal spacerowym krokiem, zniknął za ścianą chaty. Zdziwiony bakałarz podążył za nim. Otoczył róg budynku z konieczności niezbyt szerokim łukiem. Kiedy ukazało mu się przejście, nie zobaczył w nim nikogo.

– A niech to – zaklął. Przed momentem miał uzdrowiciela na oku, a teraz poniosło go nie wiadomo dokąd. Mógł właśnie za-

chodzić bakałarza od tyłu, mógł wpadać do chaty, by zabić dziewczynę, mógł wszystko.

Z nerwami napiętymi jak postronki zbliżył się do narożnika. Przed sobą miał ścianę chaty, której wszystkie nierówności wydobywały na jaw promienie wschodzącego słońca. Chropowatej powierzchni nie mącił żaden cień. Jeśli Zhang ukrywał się w tej uliczce, to po zachodniej stronie. Xiao mocniej chwycił oręż i wypadł nagle zza węgła, gotów do walki.

Ale uzdrowiciela nie było.

Gryząc wargi i powściągając buzującą krew, bakałarz podążył uliczką krok za krokiem. Jeszcze tak niedawno miał Zhan-ga w zasięgu wzroku. Teraz mógł tylko sunąć na chybił trafił między chatami, przystając z bijącym sercem przed każdym narożnikiem.

Jak teraz.

Energia rozpierała go, popychała, by jak

poprzednio wpaść zza rogu i uderzyć bez namysłu. Ale przekonał się już, że siła wywaru poczwórnego, choć wyratowała go z odrętwienia, miała i złe strony. Musiał utrzymać na wodzy swój wigor. Groźba była zbyt wielka.

Cóż on może mieć w tym woreczku? – zastanawiał się. Jeśli istotnie truciznę, to w jakiej postaci? I jak chce mi ją zadać?

Nie mógł ryzykować, że wyskakując nagle zza węgła, dostanie się w zasięg praktyk uzdrowiciela. Musiał postępować rozważnie. Uganianie się między chatami za człowiekiem, dla którego były codziennym mieszkaniem, stawiało przybysza od razu na straconej pozycji. Lepiej będzie wziąć dziewczynę ze sobą i uciekać na pustkowiach, póki Zhang ich nie dopadł. Byli nadzy i bosi, ale żywi. Odwrócił się i potruchtał z powrotem.

Wtem w promieniach słońca rozmigotał się kłęb pyłu. Pałka i nóż wypadły bakałarzowi z rąk. Cofnął się i odwrócił, a potem zaczął uciekać. Tylko przelotnie poczuł ostrą woń pyłu niesionego podmuchem wiatru, ale to wystarczyło, by zakręciło mu się w głowie, a ciało zaczęło dygotać. Gdyby zrobił wtedy wdech, zapewne leżałby już nieprzytomny, może nawet martwy. Potykając się, skręcił w boczną uliczkę, później w kolejną. Nagle te kilka chat wydało mu się labiryntem rozmiarów całego miasta. Nie wiedział, dokąd biegnie, poza tym, że biegnie do dziewczyny, która siedzi na stole w chacie i czeka, aż on wróci. Ale zapomniał, która to była chata. Wszystko widział przez zasłonę migoczącego kłębu, nie słyszał zaś niczego poza własnym świszczącym oddechem.

Nagle zatrzymał się, sam nie wiedział dlaczego. Stał tyłem do słońca, o krok od narożnika. Ciężko dysząc, czekał na coś,

przed czym ostrzegła go intuicja, a może któryś ze zmysłów, przyćmionych, niedocierających do świadomości, lecz wciąż czynnych. I doczekał się. Bo oto na długą płamę jego cienia nastąpiła stopa uzdrowiciela. Zhang wyszedł z bocznej uliczki z twarzą wykrzywioną uśmiechem. W jednej ręce trzymał wciąż ten sam woreczek, w drugiej – nóż.

Xiao z krzykiem wyciągnął przed siebie niepewne ręce, ale mężczyzny to nie powstrzymało. Uniósł woreczek i trzepnął nim mocno.

Zanim chmura pyłu owionęła oblicze Xiao, ten obrócił się i wpadł plecami przez otwarte drzwi do środka najbliższej chaty. Potylicą uderzył o coś twardego. Rozległ się niski, przeciągły dźwięk, a bakałarzowi lampiony stanęły przed oczyma. Nie padł jednak nieprzytomny, lecz wiedziony in-

stynktem przeżycia począł się odczołgiwać do tyłu, byle dalej od Zhanga, byle dalej od trucizny. Cały czas jak zaczarowany patrzył w otwór drzwiowy, tylko kątem oka rejestrując otoczenie – półki, pudełka, klatki, małpi trup na suficie. Częścią siebie wiedział, że znalazł się w pierwszej chacie, do której wpuścił go uzdrowiciel, ale niemal cała jego uwaga była skupiona na Zhangu, który miał już, już wejść do środka.

I rzeczywiście wszedł.

Już nie trzymał woreczka. Może trujący proszek się skończył, może mężczyzna uznał, że w zamkniętym pomieszczeniu ryzyko dla niego samego jest zbyt duże, a może zwyczajnie się znudził; dość, że teraz trzymał w dłoni nóż.

Skrzywione, nadzarte rdzą, wyszczerbione ostrze przyciągnęło całą uwagę ba-kałarza. Wiedział jedno – że musi znaleźć się jak najdalej. Wierzgając nogami, zaczął

cofać się w głąb izby.

Wtem jego bosa stopa uderzyła w coś twardego i zimnego. Mimowolnie spojrział i dostrzegł gar. Ten sam gar, w którym niedawno – albo dawno – kotłowało się pięć jadowitych stworzeń.

Może wciąż się kotłowały.

Xiao nie wiedział, czy któreś z nich przeżyło morderczą walkę o życie w garze, nie wiedział, czy Zhang zdążył już opróżnić naczynie, lub też czy trzymał w nim nowe osobniki. Wiedział tylko, że jedynie cud może go uratować.

Oparł o gar nogę i pchnął.

Naczynie obaliło się z głębokim hukiem i ze środka wyskoczyła... żaba.

Zhang cofnął się z krzykiem. Było już jednak za późno na ucieczkę. Rozwścieczona, syta zwycięstwa, naładowana pięciokrotną mieszanką jadów żaba dała susa

w kierunku uzdrowiciela.

Wydawało się, że oślizgły płaz ledwo musnął dłoń mężczyzny. Ale tyle wystarczyło. Zhang zwałił się jak rażony gromem. Kilka chwil jego ciało podrygiwało w straszliwych konwulsjach, by wreszcie zeszywnieć bezruchem śmierci. Z wykrzywionych agonią ust pociekła różowa piana.

Xiao śledził wzrokiem żabę. Siedziała dłuższy czas na progu, jakby napawając się triumfem nad swym ciemniejszym. A potem zarechotała krótko i skoczyła poza pole widzenia.

Bakałarz byłby zadowolony, gdyby mógł choć się dźwignąć, o skakaniu nie wspominając. Ale słabość była nie do przewyciężenia. Czując, że zaraz straci przytomność, zebrał resztki sił.

– Zhang zabity! Chodź tutaj! Już jesteśmy bezpieczni... Uważaj na...

Z tymi słowy na ustach pograżył się w

mroku, gdzie nie było już ani uśmiechniętego starca z księgą, ani dzbanuszką, ani w ogóle niczego.

Jeśli ciekawi was, co ukazało się oczom Xiao, kiedy uniósł powieki, nie przerywajcie lektury!

Rozdział 48

w którym Xiao Long odkrywa tajemnicę dziewczyny i jej rodziny

Pierwszym, co zobaczył, był dyndający zewłok małpy

Szczeńciem zaraz przysłoniła go znacznie milsza dla oka twarz dziewczyny.

– Już ci lepiej? – spytała troskliwie.

Dopiero teraz Xiao zwrócił uwagę na swe samopoczucie. Czuł się słaby i mdły, ale nie dolegał mu żaden ból, myśli zaś miał klarowne. Spróbował się podnieść i ku swej radości zdołał podźwignąć się na łokciu.

Dziewczyna wyciągnęła ku niemu bambusowy kubek. Taki sam jak ten, z którego truł go Zhang.

Widząc, że się wzdryga, uśmiechnęła się.

– Nagotowałam trochę ziół, już sama woń cię otrzeźwiła. Jak wypijesz, będzie ci jeszcze lepiej.

Dopiero teraz Xiao poczuł rześki zapach naparu. Ujął drżącymi palcami kubek, posmakował. Napój był gorzki i lekko piekący. Popatrzył w wesołe oczy i wychylił kubek do dna.

Nie zatrzęśło nim, w żyły nie chlusnął ogień, przed oczyma nie pojawiły się zwiady. Ot, po prostu poczuł się lepiej.

Dopiero teraz zobaczył, że nie jest już nagi. Okrywał go chałat. Dziewczyna musiała znaleźć strój pozostawiony przy ogniu do wyschnięcia. Spojrzał na nią. Także miała już na sobie wybrudzoną, ale ładną suknię.

Dopiero teraz u drzwi zobaczył zwłoki Zhanga. Co się ze mną dzieje, pomyślał, że od razu nie zauważam takich rzeczy? Za-

stygłe w konwulsjach ciało lizały promienie słońca. Czyn był słuszny, ale widok paskudny.

– Wyjdźmy stąd – mruknął i podniósł się z trudem, lecz samodzielnie. Dziewczyna odwróciła wzrok, kiedy się zapinał.

Wyszli na skąpaną w złotym świetle uliczkę. Słońce wzniosło się już dość wysoko. Znów przeleżałem nieprzytomny kawał czasu, pomyślał kwaśno Xiao i popatrzył ponuro na wystającą z chaty rękę Zhanga. Wtem przypomniał sobie coś i obrzucił szybkim spojrzeniem otoczenie.

– Teraz jesteśmy bezpieczni – rzekł prędko. – Ale musimy uważać, gdzie stąpamy Czai się tu żaba...

– Żaba? – parsknęła śmiechem.

– Żaba. – Pokiwał poważnie głową. – To ona zabiła Zhanga. Szykował z niej truciznę i sam padł jej ofiarą.

– O Zhangu mówiono, że zajmuje się ciemnymi sprawkami. Ale nigdy nie my-

ślałam... – głos jej zadrżał, uśmiech znikł z gładkiej twarzy. – Już ostrzył na mnie nóż, już ostrzył nóż...

Xiao chciał ją pocieszyć, gdy wtem uświadomił sobie, że nie zna imienia niedoszłej ofiary szarlatana. Pogładził ją po włosach.

– Jestem Xiao Long, bakałarz. A ty? – spytał łagodnie.

Otarła łzy.

– Jiaojiao. Pochodzę z wioski Shaoshan.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział, patrząc jej w oczy. Była całkiem ładna, choć nie pozbawiona pewnej pustoty w rysach. W zależności od rodzaju więzi mogła to być zaleta albo wada. Podczas potyczki z uzdrowicielem Xiao nie zwrócił większej uwagi na jej wdzięki, ale teraz obraz drobnych, jędrnych piersi i przyjemnej krzywizny bioder znów stanął mu przed oczyma.

Tylko stopy miała brzydkie, bo nigdy niekrępowane. Musiała dobrze pracować na roli, ale urody jej przez to nie przybyło. Pomimo tego defektu poczuł przyjemne mrowienie. Nie pamiętał nawet, kiedy ostatnio krzesał ogień.

Jiaojiao zauważyła zmianę w charakterze jego zainteresowania, bo spuściła głowę. Błysk jej oczu spod ciemnych brwi był jednak wystarczająco jasny.

– Chodźmy – powiedział i pociągnął Jiaojiao pomiędzy chaty. Chciał znaleźć resztę swych szat. A potem się zobaczy.

Izba, w której spędził ostatnie dni, cuchnęła wydaliniami. Cały czas załatwiałem się pod siebie, pomyślał Xiao. Zastanawiał się, jak sam musiał cuchnąć. Przez ostatnie tygodnie mało dbał o czystość i zdążył się już do tego przyzwyczaić, ale teraz potrzeba umycia się stała się nieodparta. Wsunął obolałe stopy w buty, pozbierał spodnie i koszulę leżące w kącie i szybko wyszedł

na powietrze.

– Jest tu gdzieś jakiś strumień? – zapytał. Dziewczyna wysunęła tylko język w wyrazie zakłopotania. – Skądś musiał brać wodę – mruknął do siebie i ruszył na wprost.

Po chwili znalazł się na otwartej przestrzeni. Porosłe wybujałą trawą i zielskiem pagórki opadały od skalnych wypiętrzeń ku szerokim ziemiom na wschodzie. Spośród dwóch wzniesień sączyła się struga – oaza chłodu pod palącym słońcem.

– Idę się umyć. – Odwrócił się do Jiaojiao. – Idziesz ze mną?

– Jestem zmęczona, odpocznę tutaj.

Zdziwiony patrzył, jak wraca między chaty. Ruszając ku strumieniowi, rozmyślał o Jiaojiao. Skąd wzięła się u Zhanga? Została porwana, czy może zjawiała się u niego dobrowolnie? Jeśli tak, w jakim

celu? Nagle przestała mu się podobać. Pustota dziewczyny, która jeszcze przed chwilą podniecała go, teraz zaczęła niepokoić.

Woda była lodowato zimna, ale dzięki temu resztki otępienia uleciały na dobre. Wytarł się chałatem, upiął włosy i ubrany tylko w spodnie i koszulę wrócił ku chałtom. Jiaojiao już nań czekała.

– Chodźmy! – ponagliła bakałarza. – Do wioski daleko, powinniśmy już ruszać!

Ten nagły pośpiech i sposób, w jaki unikała jego wzroku, nie spodobały mu się. Skinął jednak głową i narzucił chałat. Ruszyli ramię w ramię po wijącej się pośród traw dróżce.

– Miałem pecha – odezwał się po jakimś czasie, gdy cisza zrobiła się krepująca. – Spływałem statkiem przez Kanion Paszczeki... – Czekał na okrzyk zdumienia, ale ten nie nastąpił. Albo w Shaoshan nie było dotąd wiadomo o obsunięciu się góry, albo

dziewczyna myślała o czymś innym. – Ale nurt był zbyt dziki, łódź wywróciła się i zatonięła. Tylko ja się uratowałem. Byłbym zapewne do teraz siedział w Kanionie, mrać z głodu, gdyby nie schody wspinające się po zboczu... – znów umilkł, lecz i tym razem Jiaojiao zdawała się nic nie wiedzieć. – Na szczycie spotkałem Zhan-ga. Zaoferował mi gościnę, ale potem podstępnie napoił wywarem, po którym straciłem władzę w członkach. Cudem udało mi się odzyskać siły, uratować ciebie i siebie. A ty jak doń trafiłaś?

Nie zareagowała od razu. Przez głowę przeszła mu absurdalna myśl, że ogłuchła i gadał tylko do siebie. Jednak zanim powtórzył pytanie, odezwała się głosem tak cichym, że nieomal tonącym w szeleście traw.

– Przyszłam do niego spędzić płód. Zra-

zu myślał, że rozmyślnie zaszłam w ciążę, by zarobić pieniądze, ale kiedy dowiedział się, że jestem tu w tajemnicy przed rodziną, uwięził mnie. Po poronieniu miałam ciągłe wymioty, nie mogłam pić jego wywarów. Związał mnie i zakneblował. Kilka razy o mało nie udusiłam się własnymi wymiocinami. Gdy usłyszałam, że pojawił się ktoś jeszcze, udało mi się wypluć knebel. Ale zamiast pomocy przybył Zhang. Potem już nikogo w chatach nie słyszałam. Straciłam nadzieję. Dziś wywlókł mnie na sznurze do innej chaty i powiesił u stropu – zająknęła się. – Wiedziałam, że on z płodów wyrabia leki na długowieczność. Przybywają doń nawet bogacze z miasta. Widzimy ich co jakiś czas, bo przejeżdżają przez naszą wioskę. Ale nie wiedziałam, że z dorosłych ludzi także...

Szli w milczeniu. Xiao zadawał sobie w myślach pytanie: co znajdowało się w polewkach, które serwował mu Zhang? Sły-

szął o lekach z płodów i dzieci, wiedział, że za ich wyrabianie grozi najwyższa kara. Skoro jednak uzdrowiciel miał bogatych klientów, to chyba nie trwoniłby cennego leku na obcego przybysza? Zwłaszcza takiego, którego najwidoczniej nie zamierzał wcale wyleczyć?

Jiaojiao podniosła wzrok i pierwszy raz od opuszczenia sadyby uzdrowiciela spojrzała na bakałarza.

– Gdyby nie ty, pewnie oboje warzylibyśmy się teraz w garze...

Uśmiechnął się i po chwili zapytał:

– Skoro mam w naszym wyratowaniu niebagatelny udział, to czy nie sądzisz, że należy mi się również udział w pieniądzach Zhanga?

Nie dała nic po sobie poznać, szła dalej z nieruchomą twarzą. Teraz wiedział już na pewno, że trafił w sedno. Złapał ją za

ramiona i zatrzymał.

– Nie wezmę ci wszystkiego. Podzielimy się po połowie. Nie sądzisz, że tak będzie uczciwie?

Nie spojrzała nań, nie odezwała się; nagle wyrwała się nadspodziewanie silnym szarpnięciem i puściła biegiem w dół, przed siebie.

Zaklął i rzucił się w pościg. Wydawało mu się, że złapie uciekinierkę w lot, ale przebierała nogami z chyżością czólenka tkackiego. Naraz schyliła się. Potknęła się? – przemknęło bakałarzowi przez głowę, gdy wtem koło głowy przemknął mu kamień. Uskoczył i zwolnił.

– Ożeż ty, psia bǫdzino! – warknął i aż zatrząsł się z gniewu. Ze zdwojoną mocą i zaciśniętymi pięściami rzucił się za Jiaojiao.

Obejrzała się raz. Już nie rzucała kamieniami, tylko biegła co sił. Wreszcie ją dorwał. Padli na ziemię.

– To taka jesteś, siostrzyczko! – syczał, przyciskając Jiaojiao do ziemi. Jej wściekła twarz zrobiła się niemal brzydka. Naraz plunęła mu w oczy. Otarł je ramieniem, przytrzymując wijące się ciało dziewczynny. – Mogłem cię tam zostawić – krzyknął wzburzony. – Mogłem uciec, a ty nawet nie podziękujesz, nawet się nie przyznasz, że znalazłaś pieniądze! A może to twoje własne pieniądze? Może poszłaś sprzedać płód? Może kusiłaś Zhanga swymi wdziękami, aż krew w nim wzburzyłaś i cię uwięził? Co? Odpowiadaj!

Zamiast słów z ust z oczu Jiaojiao popłynęły łzy. Przestała się wiercić, zwiotczała. Puściwszy ją, usiadł obok. Oddychał ciężko, starał się nie słuchać bezsilnego szlochu. Gdy wstała i oddreptała, nie oponował. Dopiero po dłuższym czasie, kiedy stała się tylko drobną figurką na wijącej się

dróżce, ruszył jej śladem.

Odtąd szli tak wciąż w zasięgu wzroku. Dróżka zmierzała czasem stromo w dół, czasem nieco pod górę, ale niemal nigdy płasko. Trawiaste łąki ustępowały gęstwinom krzewów, tu i ówdzie rozpościerał się zagajnik lub las. Bakalarza paliły upał i pragnienie, ale dróżki nie przecinała nawet najwątlejsza struga. Rwał łodygi co bardziej zielonych traw i wysysał niezwałkowane końcówki, myśląc o wszystkim i niczym zarazem.

Wreszcie ujrzał pod sobą otoczoną niskim wałem wioskę. Składało się na nią kilkanaście obszernych obejść. Kryte strzechą domy mieszkalne z wewnętrznymi dziedzińcami otoczone były zabudowaniami gospodarczymi i altankami w cieniu drzewek owocowych. W przepływającej obok rzeczce taplały się bawoły, wokół rozpościerały się kępy bananowca i pola uprawne.

Zagłębiająca się między gospodarstwa dróżka poszerzała się, by wychodząc po drugiej stronie wioski, być już prawdziwym gościńcem. Tenże wił się ku północy, wsiąkając w dali między pagórki i pola. Gdzieś tam czekało Jingping.

Xiao stracił dziewczynę z oczu. Musiała zniknąć w którymś z domów. Wszedł niepewnie do wioski niestrzeżoną bramą. Większość mieszkańców pracowała jeszcze na polach. Ujrzał kilkoro starców wygrzewających się w słońcu i malutkie dzieci baraszkujące dookoła. Słysząc było tylko ich pokrzykiwania, brzęk owadów i dalekie porykiwania bawołów.

Jakaś dziewczynka podbiegła do Xiao i pociągnęła za chałat. Spojrzał na nią, a potem w kierunku, dokąd go ciągnęła.

Przed jednym z domów stała Jiaojiao. Na jej twarzy nie było widać oznak płaczu;

przeciwnie, promieniała wręcz. Za nią stał mężczyzna w wieku nieco więcej niż średnim, obok garbiła się kobieta.

Bakałarzowi zabiło serce, ale gesty, jakimi przywoływała go dziewczyna, były przyjazne. Podszedł i pokłonił się rodzinie. Nie czekając, aż Xiao wygłosi zwykłe grzecznościowe formułki, zaprosili go do środka.

Liczne ażurowe okna przepuszczały do wnętrza sporo światła. Kobieta, najpewniej matka lub teściowa Jiaojiao, wskazała bakałarzowi trzcinowe maty otaczające niski stoliczek. Obok na ścianie wisiał ołtarzyk z owocami dla boga dobrych zbiorów. Cała czwórka przykucnęła na matach, czekając, aż służka przyniesie poczęstunek. Wokół kręciła się wyraźnie zaciekawiona nowym gościem dziewczynka. Skręcający się z głodu na widok ofiar dla boga-niejadka Xiao o mało co nie jęknął, widząc służkę wchodzącą li tylko z herbatą. Kiedy czarki

wypełniły się parującym płynem, bakałarz z najwyższym trudem powstrzymał się od spełniania jednej za drugą.

– Więc to ty wyratowałaś nam Jiaojiao – zagaiła kobieta.

Bakałarz pochylił czoło.

– Zbieg okoliczności pozwolił mi uratować siebie i ją. Podobnie jak Jiaojiao, zostałem porwany przez Zhanga Liangbi. – Tu spojrzął na dziewczynę. Nie dała po sobie poznać, czy docenia to kłamstwo. – Uzdrowiciel ten nastawał na nasze życie. Tylko łut szczęścia i wspólne przeciwstawienie się złu pozwoliły nam wyjść z oparów obronną ręką.

– Skąd przybywasz? – zagadnął mężczyzna. Xiao od razu poznał, że pytanie pada z grzeczności, nie z ciekawości. Mężczyzna wydawał się bardziej zainteresowany Jiaojiao.

– Przybywam z Hkyen Bhamo – wyjaśnił bakałarz, patrząc na kobietę. W jej oczach dostrzegł więcej zaciekawienia gościem. – Płynąłem statkiem do Jingping, kiedy pokonała nas niezmierna siła nurtu w Kanionie Paszczęki. Zhang Liangbi zaoferował mi pomoc, która okazała się w istocie podstępem.

Kobieta przytaknęła.

– Nasz syn, a mąż Jiaojiao, wrócił wczoraj z rejsu w dół Długiej Rzeki. Słyszał o osunięciu się góry w Kanionie Paszczęki. O mało zębów od zgrzytania nie postradał, gdy dowiedział się, że żona parę dni temu poszła nazbierać larw i dotąd nie wróciła! Teraz biega za nią po polach i lasach, nie wróci pewnie przed nocą. Ale zdzierzył bez żony tyle miesięcy, to i jeden dzień więcej zdzierzy! – roześmiała się.

– Żeby po larwy zachodzić aż pod chaty Zhanga? – pokręcił głową mężczyzna. – Nie dość, że o mało nie zginęłaś, to zginął

jedyny uzdrowiciel w okolicy! Głupio uczyniłaś, dziewczyno, bardzo głupio! Jak syn wróci, to natrze ci uszu, zobaczysz – utyskiwał, jakby miał co najmniej dwa tuziny więcej lat.

– Głupio uczyniła, prawda – przytaknęła kobieta. – Ale na przyszłość będzie wiedzieć.

– Trzeba by przetrzepać dobytek Zhanga – ciągnął teść Jiaojiao – zanim zajedzie tam kto miastowy. Musi sporo dobra mieć. Jeszcze kto nam je sprzed nosa sprzątnie...

– Ty się raduj, że Jiaojiao wróciła cała, bo syn by nam się zapiekł w bólu!

– Raduję się, a jakże – odmruknął dziwnym tonem mężczyzna. – Ale żeby chociaż parę sztuk srebra zabrała, byłbym spokojniejszy. Uch, dziewczynisko rozumu nie ma! – nie przestawał zrzędzić. Ale jego gderliwym słowom przeczyły oczy. Patrzył

na Jiaojiao wzrokiem, w którym było ciepło.

Nie...

Żar.

I wtedy Xiao zrozumiał wszystko.

Odstawił czarękę z mdłą herbatą i skinął głową domownikom.

– Wybaczcie, czcigodni gospodarze, czas mnie goni i nie pozwala nacieszyć się waszą życzliwą gością. Chciałbym jak najszybciej znaleźć się u celu. Będę wdzięczny za wskazówki, jak dotrzeć do Jingping...

– Do Jingping? – przerwała kobieta. – Do Jingping daleko, na jutro nie dotrzesz...

– Piechotą nie – przerwał z kolei mężczyzna. – Ale konno tak. Sąsiad mówił mi, że będzie jechał dziś z warzywami na poranny targ do miasta.

– Gdzie znajdę tego sąsiada? – spytał szybko Xiao.

– Jak to sąsiada, w domu obok.

– A nie zostaniesz poznać naszego syna?
– wyraźnie rozczarowała się kobieta. –
Byłby ci rad...

– I ja byłbym rad go poznać – pokłonił się bakałarz. – Jednak trzeba mi być w mieście jak najszybciej. Cierpię, odmawiając gościny, i proszę o wybaczenie.

– Idę się wywiedzieć. – Teść wstał i wyszedł. Kobieta jeszcze trochę narzekała, ale elokwentne pochwały i przeprosiny bakałarza udobruchały ją w końcu. Pożegnała go nawet życzliwie, lecz przed dom nie odprowadziła, wymawiając się obowiązkami.

Mrużąc oczy przed promieniami słońca, Xiao wyszedł z domostwa. Za nim wyszła Jiaojiao. Chwilę stali obok siebie w ciszy. Potem dołączyła do nich dziewczynka i jęła podskakiwać wokoło.

Xiao poczuł, jak dłoń Jiaojiao dotyka

jego dłoni.

– Miałeś rację – szepnęła, patrząc w ziemię. – Należą ci się te pieniądze. Pewnie nie masz nawet miedziaka przy sobie, a w Jingping...

– Nie przyjmę od ciebie żadnych pieniędzy – odparł bardziej opryskliwie, niż zamierzał, i odsunął rękę. – Tylko rozporządzaj nimi dobrze, żeby twój mąż nie musiał już wypływać w długie rejsy.

Podniosła głowę. Popatrzyli sobie w oczy. Wreszcie Xiao wskazał ręką chatę obok.

– To chyba ten sąsiad – mruknął. – Czas na mnie.

Rzeczywiście. Teść już machał na bakałarza, by wskakiwał na wyjeżdżający właśnie z sąsiedniego obejścia wóz. Na koźle siedział stary chłop i młody chłopak, najpewniej syn albo wnuk. Bakałarz uniósł kąciki warg w wysilonym uśmiechu i zszedł na ulicę.

– Niech twa droga z wiatrem wiedzie – szepnęła za nim dziewczyna.

Sąsiad zgodził się zabrać pasażera pod warunkiem, że ów pasażer pomoże rozładować wóz po przybyciu do miasta. Xiao przystał na to bez wahania. Krótco pożegnał teścia Jiaojiao. Wóz już miał ruszać, kiedy do moszczącego się między arbuza-
mi Xiao podbiegła dziewczynka.

– Jeszcze to, jeszcze to – pisnęła, wyciągając rączkę do Xiao. Sięgnął i na jego dłoń spadła sztuka srebra. Nim zdążył oddać białą sztabkę, dziewczynka, zapewne dokładnie poinstruowana, cofnęła się i odbiegła.

Zresztą potrzebował pieniędzy.

Odwrócił się, by podziękować choć gestem, ale Jiaojiao nie było już przed domem.

– Jak chcesz, to jedz banany, ale jeno te

nadgnięte – burknął chłop i zaciął konie. Wóz ruszył, skrzypiąc, do Jingping. Pierwsza skórka wypadła na drogę, zanim jeszcze wtoczyli się na gościniec.

By przekonać się, co czekało na Xiao u kresu gościńca, zapoznajcie się z następnym rozdziałem.

Rozdział 49

w którym Xiao Long trafia do nowego miasta i na starego znajomego oraz odnajduje, co zgubił

Chłopu wydawały się nie przeszkadzać ani kolebanie wozu na wyboistej drodze, ani wścibskie promienie wstającego słońca. Kiwał się na koźle obok powożącego wyrostka i chrapał donośnie. Za to Xiao z radością przyjął poranek. Nie dość, że pośród jarzyn trudno mu było umościć się do snu, to jeszcze całą noc nie mógł zmrużyć oka na myśl o grasujących przy gościńcach rzezimieszkach. Być może okolica należała do spokojniejszych, lecz bakałarz za nic w świecie nie zgodziłby się podróżować nocą z powrotem, kiedy zamiast arbuzów

chłop wieźć będzie gotowiznę.

Prężne cielsko Długiej Rzeki i plama pasożytującego na nim Jingping rozpościerały się już przed nimi pośród pagórków. Nieco wcześniej za którymś kolejnym łagodnym zakrętem dzikie łąki i zarośla ustąpiły polom uprawnym, zaś przy drodze pojawiły się pierwsze chaty. Teraz widać już było pojedyncze domy miasta wylewającego się poza obręb murów, strzegący okolicę kamienny fort na wcinającym się w zakole rzeki wzgórzu i mrowie łodzi pstrzających ciemną toń. Widok zamykał gruzłowaty wał skalistych wzgórz.

Wóz zatrząsł się na wyjątkowo głębokim wyboju. Chłop chrząknął i rozbudził się, a widząc słońce już nad widnokrengiem, jął łajać wyrostka za opieszałość. Gderając, przejął lejce.

Kiedy wóz zajechał wreszcie na miejsce, targowisko buzowało już w najlepsze. Rozdzielając ponaglące kuksańce, chłop

nakazał wyrostkowi i Xiao czym prędzej rozkładać towar. Sam pomimo bólu w krzyżu też przyłożył ręki do roboty. Uwinęli się w mig, ale zwalając na maty ostatniego arbuza, Xiao czuł, że gdyby miał jeszcze kilka razy schylić się w ten sposób, narzekałby na plecy jak stary. Podziękował za podwiezienie i pożegnał się z chłopem. Ten ledwo mu odpowiedział – pierwsi klienci już pytali o towar.

Przepychając się przez ciżbę, Xiao odychał pełną piersią. Oczy mu błyszczały, w sercu pomimo zmęczenia czuł radość. Otaczały go znajome twarze, stroje, dźwięki i zapachy. Był w cesarskim mieście, pośród Ludzi Środka, i wszystkimi zmysłami chłonał świat. Oto, co ujrzał:

w oddali, nad morzem czarnowłosych głów falującym między murem a polem, widać wywinięte ku górze okapy bramy o

zielonych dachówkach

straganiarz dobywa z wiaderka wijące się węgorki, przybija je nożykiem do deski i jednym ruchem drugiego ostrza patroszy

naciągacz kręci maszyną szczęścia, miaukliwym głosem obiecując wysokie wygrane i odmianę losu

handlarz szybkimi jak myśl pociągnięciami zaczepu skóruje żaby, podrzucane mu z pojemnika przez dzieci

opowiadacz snuje gawędę dla zbiorowiska słuchaczy w różnych stadiach zaciekania lub znudzenia

dwaj żebracy siedzą naprzeciw siebie i trykają się głowami niczym barany, aż echo idzie po ulicy, dopóki jakiś naiwniak nie rzuci im paru monet, by wstrzymali się choć na chwilę

kilku tragarzy niesie na pola beczki ze zbieranym po domach ludzkim nawozem

kobiety z miasta drobią powolutku na

lotosowych stopkach

pod niebo biją kłęby pary z obwoźnej ja-
dłodajni

Tu burczenie w brzuchu przerwało baka-
łarzowi kontemplację uroków znajo-
mych wrażeń. Szybko rozejrzał się za kan-
torem. Urzędujący za wysoką ławą ponury
chudzielec nie wzbudzał zaufania, zwłasz-
cza że Xiao nie miał własnej wagi, ale cóż
było robić? Na widok dobytej przez baka-
łarza sztuki srebra twarz mężczyzny ani
drgnęła. Beznamiętnie wyciągnął wagę
dźwigniową i począł niespiesznie przeli-
czać. Xiao starał się z całych sił pokazać,
że nie zależy mu na czasie, lecz kanciarz
miał bystre oko. Wyliczył jak trzeba dzie-
sięć sznurów miedziaków, każdy jednak
uszczuplony o jakie trzydzieści monet jak
nic. Xiao zacisnął zęby i niefrasobliwie
przerzucił wiązkę sznurów przez ramię.

Nie dbając już o pozory, nieledwie podbiegł i przecisnął się przez zajadający i ujadający tłumek do straganu.

Płomienie wprost omiatały woka, którego kolorową zawartością kuchta z gołą od gorąca głową co rusz brawurowo wstrząsał. Obok w bulgoczących garnkach przevalały się bryły tofu i psie łby. Bezpośrednio na ogniu piekły się szczury i cywety. Xiao łapczywie wciągał unoszone z kłębamii pary zapachy. Najłakomiej patrzył jednak na mocno podsmażone wieprzowe szaszłyczki na słodko. Wskazał je straganiarzowi. Po chwili trzymał w drżących rękach dwa patyczki suto owleczone kawałkami mięsa. Już tylko jeden. Już.

Straganiarz podetknął Xiao cybuch długiej fajki, ale bakałarz nie potrzebował zaostrzać sobie apetytu. Wskazał kolejną potrawę. Kuchta do wytartej brudną szmatą miski wrzucił kluchowaty ryż i warzywa z mięsem na ostro. Xiao niemal wyszarpnął

pałeczki z wiaderka z pomyjami i zaczął wcinać parzącą potrawę. Nasyciwszy się, z radością wyciągnął rękę po czarę letniej herbaty. Wiedząc, że zaraz znów będzie głodny, wziął do ręki parę kawałków tofu i odszedł z lżejszym ramieniem, lecz cięższym żołądkiem.

Pogryzał jeszcze czas jakiś tofu, rozglądając się po targowisku, aż wreszcie syty strawy i wrażeń skierował się do bramy. Owionął go chłód grubych murów oraz smród stłoczonych ludzi i pędzonych czarnych świń, o mało nie rozdeptał jakiejś przekupce melonów, lecz w końcu stanął w mieście. Oczy śmiały mu się do dobrze znanej architektury, uszy gorliwie łowiły zrozumiałe wyrazy, stopy ufnie stąpały po kamiennych płytach ulic i łukowato wygiętych mostów, przy których rozkładano stragany. Z przyjemnością słuchał nawoły-

wań sklepikarzy oraz nuconych tu i ówdzie pieśni, z lubością wdychał woń znajomych przypraw i potraw, z zachwytem patrzył na urokliwą piętrową herbaciarnię, wzniesioną na palach pośrodku okolonego wierzbami stawu, do której prowadził chroniący przed demonami zygzakowaty mostek. Ale wkrótce zmarkotniał.

Zaczęły wracać doń niechciane wspomnienia.

No i nie przyjechał zwiedzać.

Pierwszy i drugi zaczepiony przechodzień zbył go milczeniem, dopiero trzeci okazał się rozmowniejszy.

– Smocze Wrota? Najszybciej byłoby łodzią, a pewnie się nie uda, więc pozostaje tylko bardzo trudna Ścieżka Pielgrzymia albo bardzo długa droga okrężna.

– Dlaczego miałoby się nie udać dopłynąć tam łodzią? – spytał zaniepokojony Xiao.

– Bo łodzi mało – lekko zniecierpliwiał

się zagadnięty. – Zresztą przekonasz się na miejscu. Przystań jest tam. – Wskazał dłonią i ruszył w swoją stronę.

Bakałarz podziękował ponuro i poszedł w kierunku przystani. Łodzi mało? W takim porcie? – zachodził w głowę. Tymczasem tłum tężał, pośród przechodniów coraz więcej było tragarzy przenoszących wszelki towar we wszelkich kierunkach. Wreszcie domy rozstały się, plac rozpostarł w obie strony, oczom Xiao ukazały się maszty, a słowa przechodnia stały się zrozumiałe.

Przystań byłaby łudząco podobna do tej w Hkyen Bhamo, gdyby nie płynąca z boku, a nie środkiem, rzeczka i cień piętrzącego się skaliście fortu. Harmider był tak samo nieznośny, ścisk równie niemożliwy, dżonki i barki nie mniej liczne. Nawet wygląd większości kręcących się po

nabrzeżu ludzi odróżniał ich od jingpingczyków z głębi miasta. Większość cudzoziemskich kupców sprzedawała towary w Hkyen Bhamo, skąd gościńcem transportowano je do przystani promowych na przeciwległym brzegu Długiej Rzeki. Statki i stateczki najróżniejszego typu przewoziły w obie strony dobra i ludzi, którzy chcieli zbyć je tutaj lub wynająć barkę i spłynąć w dół rzeki. Czy w obliczu takiego łatwego zarobku ktoś zdecydowałby się wieźć jednego niezbyt zamożnego pasażera do Smoczych Wrót?

Xiao ukląkł się, nauchylał i poobijał, nim dotarł wreszcie na samo nabrzeże. Rozglądał się za jakąś łódką, której właściciela mógłby namówić na rejs. Wreszcie znalazł takową.

Na zbitej z czterech bambusów tratwce siedział w kucki miejscowy rybak i brudnymi palcami obierał z łupiny liczi. Słyszając pytanie bakałarza, nie odłożył nawet

kiści. O dziwo, odpowiedział jednak dość obszernie.

– W górze rzeki zapadła się góra – wymlaskał spokojnie, plując dużymi pestkami. – Wszystko dobro z południa dopiero tu można spławiać. Moja mała tratwa w dół Długiej Rzeki nie popłynie, ale od brzegu do brzegu jest dobra jak każda inna. Rejs do Smoczych Wrót jest długi, a powrót trudny. Po cóż mi tracić czas i pieniądze?

Xiao szybko przeliczył w myślach stan posiadania.

– Pięć sznurów – rzucił.

Rybak pokręcił głową.

– Sześć – podbił Xiao.

– Miesiąc temu bym cię za to przewiózł.

– Mężczyzna cisnął objedzoną kiść w wodę. – Dziś nie.

– Bierz wszystko – warknął Xiao, łapiąc

się za obciążone ramię. Rybak nie odpowiedział, tylko podniósł się i chwycił długą żerdź. Przez okamgnienie bakałarzowi zaświtała nadzieja, ale w tym momencie mężczyzna odkrzyknął gromko komuś, kto nieco niżej na brzegu wołał o podwiezienie na drugą stronę. Xiao odwrócił się i poszedł w przeciwnym kierunku, mrużąc pod nosem przekleństwa.

Nie szło mu tak, jak sobie zaplanował. Nie przypuszczał, że z Jingping do Smoczycich Wrót będzie trudno dotrzeć. No chyba że pierwszy rozmówca przecenił trudność Ścieżki Pielgrzymiej, a rybak był wyjątkowo nieużyty. Xiao dał sobie jeszcze trochę czasu na rozeznanie się w sytuacji na przystani, zanim skieruje swą uwagę na drogę lądową.

Kolejni rybacy i właściciele czółen także odrzucili jego propozycje. Jeden byłby może i skłonny podwieźć bakałarza, ale dopiero w dwa dni później, kiedy będzie

spływał do rodzinnej wioski poniżej, i wysadziłyby Xiao tylko u ujścia dopływu Długiej Rzeki, przy którym położone były Wrota. Tknięty nową nadzieją Xiao zaczął rozpytywać załogi łodzi spływających w dół rzeki, ale usłyszał, że żadna nie zboczy z kursu, by przybić do brzegu bez wyraźnej potrzeby, oraz że droga piechotą brzegiem Smoczej Rzeki ku Wrotom nie należy bynajmniej do krótkich ani łatwych. Rozczarowany i zły rozpytywał już o Ścieżkę Pielgrzymią, kiedy tumult od strony nabrzeża zabrzmiał jakoś inaczej.

– Na północ od rozstaju w lasek morwo-
wy wchodzi ścieżka... – stojący na skrzyni
mężczyzna urwał i spojrzał ponad głowami
tłumu. – Przywieźli trupy – stwierdził
wreszcie, a widząc pytający wzrok Xiao,
dodał: – Wszystkich topielców trzeba wy-
ciągnąć na brzeg i pochować, żeby nie

zmienili się w rybie duchy.

Patrzył jeszcze chwilę, a potem mruknął:

– Dziwni jacyś... Nie nasi chyba...

Bakałarza coś tknęło. Przecisnął się przez gęstniejący tłum i przyjrzał ciałom.

Byli to młodzieńcy z Południowego Królestwa.

Widać pośród jingpingczyków szacunek do zmarłych nie obejmował szacunku do ich własności, bo trupy były obdarte z wierzchnich ubrań, a jeden wręcz całkiem nagi. Xiao szybko obrzucił wzrokiem szaty młodzieńców. Na żadnym nie ujrzał pasa, ale strata, z którą zdążył się już pogodzić, zaboląła na nowo. Stawiwszy czoła niebezpieczeństwu w domostwie uzdrowiciela, przekonał się na własnej skórze, ile warta jest skryta a skuteczna broń.

Rozjazgotany tłumek deliberował, kim mogą być tajemniczy przybysze, których zwłoki wały się w brudzie nabrzeża. Ry-

bacy niechętnie odpowiadali na pytania. Na ciała natknęli się pośród trzciny kilka li pod wylotem Kanionu Paszczyki. Nie chcieli mówić, co znaleźli przy trupach, czym rozjuszyli podejrzewający szwindel tłum. Jak nie przestaną tak na nich наста- wać, to następnym razem więcej oni będą dbać o swoje dobro niż o rybie upiory, po- myślał Xiao.

– Trupozdziery! Ile myślicie dostać za te szmaty? – wołał ktoś.

– Oddawajcie skarby! – ryczał inny

– Inspektor się o wszystkim dowie!

– Oby was demony zeżarły razem z jajami!

Kiedy spór coraz bardziej rozgorzewał, Xiao zwrócił uwagę na stos odzieży na pokładzie łodzi rybaków. Pełnym niepokoju, lecz i nadziei wzrokiem przepatrywał kłębowisko w poszukiwaniu znajomego

kształtu. Wtem serce zabiło mu mocniej. Pas! Leżał tam, prosty jak struna, do połowy zakryty przemoczoną zieloną koszulą. Miecz musiał się wyprostować przy zdejmowaniu. Cud, że nikt nie zbadał go od razu. A może zbadali? Czym prędzej przebił się bliżej do łodzi.

– Dacie przejrzeć? – zawołał, licząc, że jego daleki akcent zwróci uwagę. – Może co kupię.

Mężczyźni, szykujący się już do odpłynięcia, spojrzeli ponuro. Wreszcie jeden wyciągnął do bakałarza rękę. Starając się ukryć podekscytowanie, Xiao wgramolił się na pokład i z udanym spokojem pochylił nad stosem. Dłuższą chwilę przerzucał szmaty, rozmyślnie ignorując pas. Wreszcie podniósł go i sceptycznie zbliżył do oczu. Wystarczy tego, pomyślał wreszcie i zwrócił się do stojącego obok rybaka:

– Wezmę ten pas, bo z tego wszystkiego jeszcze najlepszy, choć przemokły i zdatny

na nic. Dwa sznury mogę dać.

Mężczyzna machnął ręką i już wyciągał rękę po miedziaki, gdy wtem odezwał się jego kompan, siedzący dotąd pod burtą i jakby obojętny na całe zamieszanie.

– Obserwowałem cię, bratku – zarechotał. – Od początku oczy ci się śmiały do tego pasa. Nibyś go zrazu nie zauważał, żeby cenę zbić. Myślisz, że na głupców trafiłeś?

– Na głupców może nie – odparł Xiao, którego ubodło szyderstwo – ale na prostaków na pewno. Czy wiesz, do kogo mówisz? – Wyciągnął rękę, by poprawić bakalarski czepiec, ale kiedy dotknął gołej głowy, poprawił tylko niezgrabny kok. – Ciesz się, że chcę kupić choć ten kawałek mokrej skóry, bo z tego, co widzę – zatoczył dłonią w kierunku złorzeczącego tłumu – za chwilę będziecie się musieli po-

zbyć wszystkiego darmo.

– Sztuka srebra – z kamienną twarzą odpowiedział rybak.

Bakałarza przez mgnienie oka korciło, by powiedzieć „trzy sznury i ani miedziaka więcej”, ale w porę się powstrzymał, rzucił towar na stos szmat i odwrócił się, by odejść.

– No i co narobiłeś – wściekle warknął do kompana drugi rybak i niegrzecznie złapał Xiao za ramię. – Daj, panie, dwa sznury i pas będzie twój.

Bakałarz, nie zwlekając, wręczył mu pieniądze i czym prędzej zeskoczył na brzeg z pasem w ręku. Za nim wywiązywała się sprzeczka, ale nie miało to już żadnego znaczenia. Bardziej przejmował się wciąż rozeźlonym tłumem, który powitał go posępными spojrzeniami. Tylko z najwyższym trudem przebił się w głąb nabrzeża, gdzie ludzie żyli innymi problemami. Rozpierała go radość. Odzyskał broń!

Ledwo jednak zapiął pas na biodrach, mina mu zrzedła. Przystanął, nie zważając na potracających go przechodniów. Nadal nie wiedział, jak dotrzeć do Smoczych Wrót, jak uratować siebie i ludzi przed koszmarem spowodowanym potęgą rakszas. A coś zrobić musiał, i to wnet. Zazgrzytał zębami. Znow zagotowało się w nim na myśl o sytuacji, w której się znalazł i której więźniem się czuł.

– Człowiek ma swoje pragnienia, Niebios są inne zrządenia – wymruczał do siebie banalne, lecz jakże prawdziwe przysłowie. Jeszcze przecież nie tak dawno zjadał suszone śliwki na spokojnej posadzie pisarza sądowego. Tamto życie przeminęło, a absurd sposobu, w jaki to się stało, dogłębność przeobrażeń, jakim poddana została egzystencja bakałarza, nie przestały frustrować. Czekala go kolejna wy-

muszona kapryсами losu „przygoda”, choć on na nią nie czekał.

Jakie miał wyjścia? Powiedzieć o zagrożeniu władzom portu? Znalezienie ciała przybyszów z daleka mogło mu jednak tyleż pomóc, co zaszkodzić. Gdyby wpierw doniósł o groźbie, a potem rybacy przywieźli ciała... Zresztą jego zeznanie, tak czy owak, zostałoby przyjęte z niedowierzaniem, a on sam z podejrzliwością. Pytania, skąd pochodzi, jak tu trafił i inne niewygodne indagacje były nieuniknione i tym groźniejsze, że fort rzucał na miasto nie tylko zwykły cień. Tu rozciągała się władza Cesarza, tu sięgały długie ręce jego urzędników i oficerów. Póki Xiao tkwił wtopiony w tłum, był po prostu jednym z wielu poddanych Cesarza. Jeśli z tego tłumy wystąpi, będzie tym z wielu poddanych Cesarza, którego trzeba sprawdzić i zbadać. A na to nie mógł sobie pozwolić. Musiał więc nadal na własną rękę próbować

dotrzeć do mnichów. Mógł zarobić na przejazd, dźwigając paczki na własnych plecach. Mógł zaciągnąć się na jakąkolwiek barcę spływającą z nurtem i wyskoczyć, kiedy będzie mijać ujście Smoczej Rzeki. Mógł ukraść tratwę. Mógł ją nawet porwać, grożąc mieczem.

Mógł wreszcie zaciągnąć się na dżonkę i odpłynąć byle dalej, poza zasięg rakszas. Byłby wolny.

Ale nie od wyrzutów sumienia.

Zmełł w ustach przekleństwo i ruszył przed siebie. Nie patrzył, gdzie idzie, szedł, byle iść, byle stworzyć sobie iluzję czynu, złudę zamiaru, miraż celu. Coś zaczęło się w nim kotłować. Coraz brutalniej przepychał się przez tłum, rozdzielał rozmawiających, potraçał powolnych, nie zważając na przekleństwa i złe spojrzenia, ba, sam je rzucał. Jęła świerzbić go ręka,

na umysł opadać mroczna mgła. Naraz zaświtała mu dzika, chora myśl. Wyciągnąć miecz, przebić się przez ten tłum, dopaść kogoś, dorwać coś, dostać się gdzieś, kogośkolwiek, cokolwiek, gdziekolwiek...

Uderzenie, pisk, stop.

Otrząsnął się.

Młoda dziewczyna leżała u jego stóp w błocie, patrząc nań wzrokiem pełnym bólu i nienawiści. Jakiś mężczyzna obrzucał bakałarza przekleństwami, łapał za ramię. Xiao wyrwał się i ruszył wielkimi krokami dalej, przez sierzający się tłum. Serce mu biło, zęby zgrzytały, ale mgła podniosła się z jego umysłu, a usta przestały obrzucać wszystkich przekleństwami. Wreszcie opuścił portowy plac i zapuścił się w wilgotne, ciemne uliczki wciskające się pomiędzy ceglane mury podziurawione okrągłymi bramami domostw. Tu otrzeźwiał na dobre. Przystanął i oparł się o zimną ścianę.

Coś złego się z nim działo. Teraz minę-

ło, ale wciąż czyhało tuż obok, tuż obok, aż znów...

Uderzył potylicą w mur, odetchnął. Takich „znów” mogło go czekać w najbliższych dniach bardzo wiele. Wciąż nie miał pojęcia, jak zrobić to, co zrobić musiał, wciąż nie widział dobrego, ba, żadnego wyjścia. Ale czuł, że choć na moment musi o tym wszystkim zapomnieć, bo zwyczajnie zwariuje.

Wycofał się z uliczki, widząc, że prowadzi między prywatne domostwa, i wrócił na nabrzeże. Tuż nad rzeką, podobnie jak w Hkyen Bhamo, dojrzał gospodę. Nie musiał zagłębiać się z powrotem w tłum, by do niej dotrzeć. Przeszedł wzdłuż fasad domów i wstąpił między ławy rozstawione pod pokrytym drewnianym gontem dachem. Rozsiadł się wygodnie i już miał wołać na sługi, kiedy złapawszy się za ra-

mię, nie znalazł na nim sznurów monet.

Nawet jednego.

Oblał go zimny pot. W panice rozejrzał się wokół, jak gdyby gruba wiązka ześlizgnęła się dopiero teraz. Ale wiedział przecież, wiedział doskonale, że musiała się ześlizgnąć w tłumie, choćby kiedy przewrócił tę dziewczynę. A może ktoś mu ją ściągnął, po nieobecny wzroku poznając łątwą ofiarę kradzieży?

Coś zaczęło wypełzać z jaskiń duszy Xiao. Jeszcze przed chwilą prawie czuł już na języku smak wina; teraz dzieliła go odeń niewiadoma przepaść czasu. Jeszcze niedawno zajadał solone śliwki...

Poderwał się i już miał wychodzić, kiedy jakiś głos, głos, który szemrał za jego plecami od pewnego czasu, zdał mu się nagle znajomy.

– Umawialiśmy się.

– Co ja poradzę. Jest tyle towarów do przewiezienia.

– Nie tak miało być.

– Ale przecież ja nie mówię „nie”! Dwa, może trzy dni i zawiozę was.

– Już raz to mówiłeś.

– Taki czas jak teraz może się już nie powtórzyć. Przyjdą deszcze, poziom wody się podniesie i Kanion znów będzie żeglowny. Jeśli teraz nie zarobię...

– Mogę zapłacić więcej. Powiedz ile.

– Nie o to chodzi! Nie jadę i już!

Gwar gospody zubożał o tę jedną rozmowę. Xiao nie musiał się odwracać, by wiedzieć, do kogo należy jeden z głosów.

– Jeśli mnie dziś nie przewieziesz – podjął ponuro mężczyzna – pożaluj się tego.

– Grozisz mi? – w tonie rozmówcy irytację zastąpił gniew.

– Nie ja. Niebezpieczeństwo ci grozi. Muszę dotrzeć do mnichów jeszcze dzisiaj!

– A ja ci mówię, że dziś wyruszyć nie dam rady i koniec! Jeśli ci się tak spieszy, to idźże tam, jak idą pielgrzymi, i dajże mi spokój!

Szurnęła ława, szybkie kroki utonęły w szumie przystani. Odwróciwszy się, Xiao spojrział w ściągniętą zmęczeniem i goryczą twarz Thiha Shwe.

Na pewno nie domyślacie się, co powiedzieli sobie Xiao i Thih, nie pozostaje Wam zatem nic innego, jak poszukać odpowiedzi w kolejnym rozdziale!

Rozdział 50

w którym okazuje się, że nic nie jest takie, jakie miało być

Właściciel trunkami nie tyle się postarzał, odkąd Xiao widział go był w Hkyen Bhamo, ile wychudł i skurczył się w sobie. W oczach miał niezdrowe błyski. Przez chwilę patrzył tylko nieruchomo w puste czarki leżące na ławie. Ale musiał wyczuć, że ktoś mu się przygląda, bo naraz podniósł wzrok.

I aż się wzdrygnął.

Xiao wstał i podszedł. Ból rozdrapanej nagle rany na duszy słodziło mu zaskoczenie i strach w oczach mężczyzny. Usiadł, studiując z bliska jego zdumioną twarz.

Thih szybko się otrząsnął.

– Uciekłeś? – zapytał cicho, wpatrując się pilnie w bakalarza. Ten nie odpowiedział od razu, przeciągając wibrujące milczenie, aż stało się nieznośne.

– Rozbiliśmy się.

Ledwo odzyskana równowaga Thiha prysła. Omal nie zerwał się z ławy.

– Kiedy? Gdzie? Co z urnami? – w jego głosie drżało przerażenie.

Xiao powoli pokręcił głową.

– Źle się wyraziłem. Statek utknął na mieliźnie w Kanionie, wszyscy utonęli. Poza mną.

Thih nie uspokoił się wcale.

– Kiedy to się zdarzyło? – powtórzył niepewnie.

– Parę dni temu – odpowiedział beznamiętnie Xiao, nie odrywając oczu od oblicza mężczyzny.

– Co z urnami?

– Wciąż były na statku, gdy się ratowałem. Do pory deszczowej pewnie tam zo-

stana.

Ręce Thiha zaczęły drżeć. Nalał sobie czarzkę ryżowego wina, rozlewając na boki drugie tyle, i wychylił jednym łykiem.

– Duża ta mielizna? – odchrząknął.

– Jak to mielizna. Ale kadłub w wodzie jest.

Thih zamyślił się, Xiao milczał. Wydałoby się, że ma sporo pytań, zarzutów i żalów, że powinien zasypywać nimi tego zdrajcę i sprzedawczyka. Ale nie musiał nic mówić. Wszystkie zarzuty i żale rozbrzmiewały właśnie w tym milczeniu. I Thih wreszcie im uległ.

– Nie mogłem inaczej – jęknął, patrząc błagalnie w nieruchomą twarz bakałarza. Łapczywie łyknął znów wina i jakby potwierdzając maksymę o napitku uwalniającym spętane słowa, zaczął mówić szybkim, zdyszczanym głosem: – Zaszantażowali

mnie. Potrzebowali kogoś za przewodnika. Kiedy odmówiłem, powiedzieli, że muszę skłonić cię do wejścia na pokład tak, aby nikt nie powziął podejrzeń, bo inaczej zabiją mnie i całą moją rodzinę. I że jeśli zawiadomię władze miasta, to wypuszczą rakszase. Jednej oni by się oparli, to samo ich król, ale wszyscy w mieście by poginęli. Musiałem cię upić, rozumiesz? Musiałem! Choć wiedziałem, że rozbijecie się w Kanionie Paszczęki, ale wiedziałem też, że nie wpłyniecie tam bez rekonesansu, że jest czas. Zabrałem rodzinę i uciekłem do Smoczych Wrót, żeby się ratować. Nie miałem wyjścia, rozumiesz? Nie miałem wyjścia!

Xiao milczał. Patrzenie z góry na Thiha przestało sprawiać mu przyjemność. Czuł tylko odrazę. Do wszystkiego.

– Dotarłem do Jingping – ciągnął mężczyzna – ale nikt, nikt!... – głos nagle mu się załamał. – Nikt nie chce płynąć do

Smoczych Wrót! Rozumiesz? Nikt! A wiesz dlaczego?!

Bakałarz, choć wiedział doskonale, nie przytaknął. Nie patrzył już na Thiha. Nie mógł uwierzyć, że jeszcze przed chwilą miał smak na wino. Teraz sam zapach napitku budził w nim wstręt.

– Bo interes wietrzą – odpowiedział sam sobie Thih. – Bo towary trzeba przewozić.

– Musimy iść do władz – mruknął nagle Xiao. Sam jeszcze tak niedawno obawiał się tego rozwiązania, ale teraz, kiedy przestach i gorycz Thiha udzieliły się jemu samemu, zrozumiał, że tu chodzi o coś więcej niż tylko o własną skórę.

Ale Thih wydał usta.

– Nic w ten sposób nie zyskamy. Pójdiesz bić w dzwon przed jamenem, a oni wyjdą pobić cię za zakłócanie spokoju. Nie marzę o pięćdziesięciu plagach w pięty. A

nawet jeśli urzędnicy nas wysłuchają, to na wszelki wypadek wtrącają do więzienia i sami, bez mnichów, którymi gardzą, udadzą się zbadać statek. Możemy jedynie mieć nadzieję, że statek utrzyma się na mieliźnie dość długo, byśmy zdążyli znaleźć schronienie w Smoczycach Wrotach.

Bakałarz mógłby coś powiedzieć, ale podkradające się doń od pewnego czasu odrętwienie ogarnęło go wreszcie na dobre. Nie spoglądał już na Thiha ani na czarki, tylko gdzieś w bok, na nabrzeże, gdzie mrowili się mieszkańcy Jingping i przybysze z dalszych stron. Wszyscy doskonale mu obcy. A jednak jakaś dziwna odpowiedzialność za nich wiązała go niczym dyby, krępowała, nie pozwalała myśleć tylko o sobie. Więcej – nie pozwalała myśleć nawet o sobie.

Wtem w szum i gwar wkradła się nowa nuta. Wiedziony dziwnym przeczuciem Xiao popatrzył w górę rzeki.

Pośród dziesiątków tratw i tratewek, łodzi, dzonek i barek jeden kształt wybijał się na odrębność. Złożony pysk smoka przechodził w długi i smukły kadłub, zakończony wyrwą po wygiętej ku górze cienkiej rufie.

Thih podążył za wzrokiem Xiao. Tym razem ani drgnął, ale między oboma mężczyznami przeskoczyła jakaś iskra. W tej samej chwili zrozumieli, co się dzieje. Wymienili spojrzenia.

Xiao wsparł łokcie o ławę i utopił twarz w dłoniach. Thih z kolei podniósł się z wyrazem determinacji na ciemnym obliczu.

– Poczekaj tu – mruknął. – Zaraz wracam.

I z tymi słowy skierował się do wnętrza gospody.

Bakałarz nie odpowiedział. Śledził obojętnie płataninę szpar i plam znaczących

powierzchnię łąwy. Przez kilka oddechów ten wycinek przestrzeni ograniczony łokciami po bokach, pustymi czarkami z góry i opadającą w ciemność krawędzią u dołu stał się światem, w którym chciał się zanurzyć. Mógłby tak wędrować wzrokiem przez przepaście żłobień starego drewna, przemierzać akweny zacieków bez końca, bez pamięci.

Ale Thih wrócił.

– Chodźmy! Szybko!

Xiao podniósł się w milczeniu i podążył za żwawym mężczyzną. Kątem oka zauważył odprowadzającą ich wzrokiem kobietę i kilkoro dzieci. Rodzina Thiha, pomyślał. To dla nich mnie zdradził.

Schodzili już na nabrzeże. Nie tylko oni. Dziwny statek przyciągał uwagę wielu. Straganiarze i klienci zgodnie wyciągali szyje, tragarze odkładali ciężary, przechodnie zbaczali z obranej drogi. Już poprzednio tłum był gęsty, a teraz zbił się jeszcze

bardziej. Szczęściem zdążył w tym samym kierunku. Thih, a za nim Xiao przeciskali się ku brzegowi nie pod prąd, a wraz z leniwym, lecz sprzyjającym im nurtem ludzkiej ciekawości.

Na kilka długich chwil przybijający już do brzegu statek zniknął im z oczu. Tylko maszt migał z rzadka ponad głowami. A kiedy dotarli wreszcie do brzegu, na żwir wyciągnięte już leżały pierwsze nefrytowe urny.

Xiao spojrzął ku statkowi z Południowego Królestwa. Na pokładzie uwijali się żołnierze, przechodząc często na stojący burta w burtę statek patrolowy i z powrotem na wrak. Wrak? Statek był w takim stanie, w jakim Xiao widział go po raz ostatni. Musiał ześlizgnąć się z mielizny i spłynąć z prądem na szersze wody, gdzie natknęli się nań żołnierze podczas rutynowego rekone-

sansu. Bo chyba nie wpłynęli w Kanion Paszczęki?

Ostatnia urna zsunęła się po sznurze żołnierzy na brzeg. Xiao spojrział na Thiha. Bładość na obliczu mężczyzny nie przesłaniała determinacji. Rozglądał się czujnie, nie zwracając już uwagi na urny. Xiao zaś niemal nie potrafił od nich oderwać wzroku. Pamiętał, jak patrzył z bliska na wyrzeźbione na nich wzory, jak nie zważając na rybią krew, opierał o nie czoło, jak zastanawiał się, co znajduje się w środku. Wszystko wróciło, spowite w tamto dławiące poczucie niewoli i obawy o życie. Teraz był wolny, lecz o życie wciąż się bał.

Thih poderwał się i przepchnął dalej. Xiao niemrawo ruszył za nim, ale tłum wnet ich rozdzielił. Nie wiedział, co tak zalterowało Thiha. Wkrótce się przekonał.

Dobiegające od pewnego czasu z głębi nabrzeża krzyki ucichły, kiedy z tłumy wy-

łonił się urzędnik otoczony strażą hojnie rozdzielającą razy pałkami. Tuż obok drep- tał Thih. Jakoś udało mu się przekonać urzędnika, żeby dopuścił go do siebie. Te- raz perorował coś zawzięcie. W obliczu nie miał już bladości, lecz nerwowy pąs.

Orszak zatrzymał się przy urnach. Urzędnik milczał, z kamienną twarzą słu- chając Thiha. Gwar zagłuszał słowa trun- karza, sądząc jednak po tym, że urzędnik nie kwapił się do otwierania urn, musiały przynosić efekt. Xiao zaczął się uspokajać. Teraz żołnierze załadują je z powrotem na statek, popłyną do Smoczych Wrót i odda- dzą sprawę w ręce mnichów.

A on sam? Co ze sobą zrobi? Poszuka pracy w mieście? Spłynie w dół Długiej Rzeki? Zbuduje sobie chatkę między wzgórzami i przeczeka kłopoty, bezrad- ność, życie?

Wtem urzędnik szczeknął coś gniewnie. Strażnicy przyskoczyli do Thiha. Na trunkarza posypały się uderzenia pałek. Zaskoczony i przestraszony jął się wycofywać, lecz padł pod gradem ciosów. Urzędnik nie patrzył na ofiarę, ale musiał chyba uznać, że wyraził się wystarczająco jasno, bo przywołał strażników i gestem kazał im otworzyć urny.

Xiao poderwał ręce i już robił krok, zatrzymał się jednak. Co może powiedzieć urzędnikowi ponad to, co powiedział już Thih? Nie uniknie bicia, a demony i tak zostaną uwolnione. Odczołgującego się trunkarza zakrył ciekawski tłum. Pod naporem zwartej masy gapiów bakałarz, chcąc nie chcąc, zbliżył się do naczyń otoczonych przez strażników i żołnierzy. Nawet gdyby zdołał się odwrócić, przebić przez tłum i pobiec uliczkami przed siebie, cóż by osiągnął? Przecież wedle słów Thiha rakszasy miały spustoszyć całą okolicę.

A sądząc po reakcji trunkarza, w tym nie kłamał. Xiao mimowolnie sięgnął dłonią do szyi i złapał za brązowe lusterko-amulet. Ani drgnęło. To dodało mu otuchy.

Szeroko otwartymi oczyma patrzył, jak strażnicy oglądają pierwszą urnę. Pamiętał, że wieko nie odstawało od reszty. Strażnicy musieli jednak znaleźć szczelinę w miejscu łączenia, bo jęli podważać pokrywę nożami. Po chwili dołączyli do nich żołnierze ze swymi mieczami.

Naraz coś zgrzytnęło. Tłum pchnął Xiao jeszcze bliżej, aż na plecy kordonu. Zobaczył, jak wieko opornie poddaje się ostrzom. Dopasowane, siłą wsadzone do środka, nie chciało łatwo ustąpić. Szczelina między brzegiem a pokrywą była już zbyt duża, by miecze mogły się na coś przydać. Kilku co bardziej krzepkich żołnierzy zaczęło ciągnąć za wieko, gdy inni

przykucnięci trzymali naczynie u podstawy. Zmagania trwały, dopóki sapania żołnierzy i nerwowych szeptów tłumu nie uciał ostry zgrzyt, a zaraz potem szum, krzyk i łomot. Wieko poleciało w górę w tumanie czarnego prochu, wyrywając się z zaskoczonych rąk, a urna przewróciła się na podtrzymujących ją żołnierzy. Tłum cofnął się przed mknącymi na boki ciemnymi kłębami.

Xiao złapał się za usta, kiedy w nozdrza uderzył go przeraźliwy smród. Stojący wokół zasłaniali twarze kołnierzami lub kryli je w zgięciach łokci, kasłali, niektórzy zginali się wzdłuż i wymiotowali. Ciemny dym zdawał się oblepiać zebranych, mdlący swąd dławił i szczypał w oczy. Jeszcze chwila, a ludzie zaczęli wycofywać się w popłochu.

Na szczęście od strony rzeki powiał zgnięty wiatr. Cuchnące kłęby zawirowały i rozproszyły się. Xiao przecierał załzawio-

ne oczy, kiedy wokół usłyszał krzyki i przekleństwa. Przestraszony spojrział w kierunku urn.

I ujrzał ucieleśniony koszmar senny. Koszmar, od którego przez długie dni oddzielała go tylko niezbyt gruba ścianka z nefrytu.

Na nadbrzeżnym żwirze leżała chuda człekopodobna postać. Do urny wciśnięto ją przemocą, o czym świadczyły powyginane i zwinięte kończyny. Ale samo to nie wyjaśniało groteskowych dysproporcji w rozmiarach i kształcie czarnego, jakby spalonego kościstego ciała. Gdyby się wyprostowało, przewyższałoby pewnie najwyższą osobę z tłumu dwukrotnie, zarazem rękoma sięgając poniżej swych kolan. Jak tak wysoką istotę zdołano wcisnąć w tak małą przestrzeń, trudno było pojąć. Jej oblicze zaś...

Xiao poczuł, że i bez smrodliwych kłę-
bów zbiera mu się na wymioty. Głowa po-
staci wyglądała, jakby należała do ofiary
ciężkiego poparzenia, której straszliwe
rany dopiero co się zabiłiły. Zdeformo-
wanych rysów dopełniał odsłonięty garni-
tur drobnych trójkątnych zębów. Dreszcz
przeszedł bakałarzowi na myśl, że rakszasa
może w każdej chwili rozplątać zwinięte
kończyny i ruszyć na tłum.

Żołnierze, dotąd trzymający się na dy-
stans z bronią w ręku, podszli do postaci.
Któryś znalazł w wątrobie dość odwagi i
tracił szerniałe cielsko mieczem. Xiao po-
czuł, że serce podchodzi mu do gardła.

Wtem rakszasa zbielała, albo raczej spo-
pielala, i w mgnieniu oka obróciła się w
proch. Wiejąca znad rzeki wilgotna bryza
jęła rozwiewać szary pył po okolicy.

Krzyk zdumienia wyrwał się z dziesiąt-
ków ust, żołnierze spojerali po sobie za-
skoczeni. Jeszcze przed momentem patrzy-

li na ohydne stworzenie, teraz oblepiał ich pył, w które się zmieniało. Rzucano pełne zdziwienia spojrzenia i uwagi.

Żołnierze otworzyli pozostałe urny. W żadnej nie znaleźli tego, o co najpewniej im chodziło – kruszców, klejnotów, drogich tkanin. Ale zmieniające się w lotny pył istoty znajdowały się w naczyniach z cennego nefrytu. Urzędnik nakazał zabrać je z portu. Wraz z odejściem żołnierzy zaczęli rozchodzić się i ludzie. Choć rozmowy o niezwykłym znalezisku wciąż trwały, po nim samym nie zostało nic – niewidoczny pył pomknął z wiatrem w uliczki miasta, osiadł w zakamarkach domów, załegł w płucach mieszkańców. I tylko statek kołysał się na przybrzeżnych falach, strzeżony przez kilku obojętnych żołnierzy.

Xiao rozglądał się za Thihem, ale ten zniknął. Zdziwił się, odnajdując w sobie

chęć rozmowy z trunkarzem. Czyżby wybaczył zdrajcy? Nie. Nie czuł w sobie zrozumienia dla położenia, w jakim znalazł się Thih, skoro postępowanie mężczyzny omal nie skończyło się śmiercią Xiao. A chociaż groźba ze strony rakszas, przed którymi ostrzegał, okazała się nie mieć wiele wspólnego z rzeczywistością, to sam fakt, że myślał tylko o sobie, że do Smoczycich Wrót uciekał, by się schronić, a nie by błagać mnichów o pomoc dla okolicznych mieszkańców, wystarczał do potępienia.

Ale choć Xiao nie wybaczył Thihowi, to go i nie potępiał. Nie chciało mu się. Ot, miał ochotę po prostu zamienić słowo z człowiekiem, z którym łączyło go odrobinę więcej niż ze wszystkimi innymi ludźmi w Jingping. Chęć ta nie była jednak przemożna. Gdyby trunkarz kręcił się gdzieś w zasięgu wzroku, podszedłby doń; nie kręcił się jednak, więc Xiao po chwili zwrócił

uwagę na inne problemy.

Bo skoro rakszasy okazały się niegroźne... to cóż miał robić? Znajome rozterki opadły bakalarza znów niczym moskity. Skoro nie jechać do Smoczych Wrót, to dokąd? Zaciągnąć się na barkę i spłynąć w dół rzeki? A może zostać w Jingping? Skrzywił się na tę myśl. Miasto zamieszka-
ne przez cesarskich poddanych stanowiło przyjemną odmianę po dzikusach i barbarzyńcach, ale wychowanemu bliżej środka cesarstwa Xiao wkrótce mogło zacząć się przykrzyć; a kiedy jeszcze powrócą wspomnienia o...

Dość.

Splunął, odetchnął i podszedł ku barkom i tratwom. Najważniejsze to zarobić dość pieniędzy, by mieć czym napełnić domagający się uwagi żołądek i gdzie złożyć nocą skołataną głowę.

Nie czekał długo. Ciężar bali cennego drewna przygiął go do ziemi, ale nie zламаł. Xiao uwijał się na nabrzeżu dopóty, dopóki w swym wychudłym ciele znajdował dość sił. Skończyły się razem z ładunkiem drewna. Wziął zapłatę i trzymając się za obolały grzbiet, powłókł się do gospody. Zamówił herbatę i gotowaną rybę. Na więcej nie było go stać, ale ta cuchnąca mułem, oścista ryba smakowała jak najwykwintniejsze wiktuały. Ani się obejrzał, jak zaczęło się ściemniać. Sączył taniutką herbatę, nie myśląc o niczym i rozkoszując się sytością, odpoczynkiem i bezpieczeństwem, póki nie zrobiło się ciemno, a powieki nie zaczęły mu ciążyć. Wtedy podniósł się niemrawo i poszedł za służką do obszernej sali, podzielonej papierowymi ściankami na kilkanaście otwartych od góry klitek. Tam zważył się ciężko na prycę i wnet zasnął kamiennym snem.

Jeśli chcecie poznać, kto obudził Xiao i co zastał on na nabrzeżu, nie przestawajcie czytać!

Rozdział 51

o upiorach nie tylko przeszłości

Długie, wąskie oczy patrzą z tysiącletnim spokojem. Czy naprawdę tego chcesz? – zdają się pytać. Nie odwodzą, nie zachęcają, po prostu pytają. 7 wciąż patrzą. Długie, wąskie oczy. w nich odbija się łysy starzec z łagodnym uśmiechem na pomarszczonym obliczu, rzadką siwą brodą i jaskrawozielonymi oczyma.

Xiao przebudził łagodny dotyk. Miękką, ciepłą dłoń sunęła powoli z jego szyi na tors i brzuch, tam zatrzymała się na moment i znów ruszyła w dół. Bakalarz poczuł, jak jego jaspisowy szept wzbiera gotowością do potyczki. Wyciągnął ręce, by objąć kochankę, lecz tylko machnął dłońmi w pustce. Dotyk ustąpił. Xiao otworzył

oczy, usiadł na łóżku i rozejrzał się przestraszony.

Gdzieś dalej na sali musiała palić się świeca lub lampka, bo przez papierowe ścianki przebijała niska poświata. W rozproszonym świetle Xiao dojrzał drobną postać w kącie swojej klitki. Charakterystycznie upięte włosy, odcinające się od nieco jaśniejszej ścianki, przywodziły na myśl dawno minione czasy – czasy solonnych śliwek, nudnej pracy i... odwiedzania przybytków wiatru i wierzb.

Postać poruszyła się, postąpiła do przodu. Xiao wyteżył wzrok. Jakieś dzikie przeczucie targnęło jego sercem. Zagryzłszy wargi, wpatrzył się w materializującą się przed nim ciemność.

Postać zbliżyła się i nachyliła.

Xiao poczuł, jak przeszywa go zimno.

W mrocznej zjawie rozpoznał Modry

Lotos.

Cofnął się, kiedy kurtyzana usiadła na pryczy i uśmiechając się łagodnie, wyciągnęła doń rękę. Niezdolny do reakcji, patrzył szeroko otwartymi oczyma, jak jej dłoń zbliża się do jego twarzy. Drobne palce sięgnęły szyi. Opuszkami dotknęły skóry.

Wstrząsnął nim dreszcz. Uchylił się z przerażeniem, czując, jak amulet drży mu na piersi. Dłoń Modrego Lotosu była lodowato zimna, choć w półśnie zdawała się rozkosznie ciepła. Jej twarz zaś zmieniła się w jednej chwili. Uprzejmy uśmiech ustąpił gniewnemu grymasowi, pomiędzy wargami błysnęły perełki zębów, palce zakrzywiły się niczym szpony. Xiao zerwał się z pryczy i sięgnął po ubranie. Kiedy chałat wymykał się jego drżącym palcom, kurtyzana przeszła czy raczej przesunęła się nad pryczą i stanęła obok. Jej dłonie znów wyciągnęły się ku twarzy Xiao, ale

tym razem zdawały się gotować do podrapania, nie pogładzenia.

Nie zdążył namacać rękojeści miecza, gdy wtem z sąsiedniej klitki dobiegły jęk i charkot. Coś zakotłowało się hałaśliwie, rozległ się krzyk i jakiś mężczyzna przebił ściankę, wpadając wprost na Modry Lotos.

Xiao rzucił się w tył, sam przebijając papier i wpadając do innej, pustej klitki. Kurtyna zaś, choć uderzona przez mężczyznę, nie padła przewrócona, lecz zachwiała się tylko, jak przedmiot unoszący się w wodzie, obok którego ktoś przeciągnął ręką. Bakalarz nie czekał, co się stanie. Złapał chałat i buty i odwrócił się, by uciec.

Nagle zgasła odległa świeca, w sali zrobiło się zupełnie ciemno. Z kilku klitek dochodziły głosy, ktoś przebiegał między rzędami ścianek. Xiao ruszył przed siebie

na pamięć i po omacku. Czuł na swych plecach chłód, nie wiedział, czy ze strachu, czy promieniujący od Modrego Lotosu.

Na korytarzu wpadł na bełkoczącą coś kobietę, która starała się uciekać na skrzepowanych stopkach, i złorzeczącego mężczyznę, miotającego się w tę i we w tę. Wyminął oboje i wypadł między ławy, gdzie poprzedniego wieczoru spędził miło czas przy rybie i herbacie. Migiem wzuł buty, włożył chałat i pospieszył czym prędzej przed siebie, byle dalej od zmór i zjaw.

Ale rychło się przekonał, że to, co widział i czego doświadczył w gospodzie, jest niczym wobec scen, jakie rozgrywały się w mieście. Jeszcze przed okamgnieniem chciał zbiec na nabrzeże; teraz zatrzymał się, a po chwili cofnął pod ścianę.

W czerwonym świetle wywieszonych przed fasadami lampionów, pod zimnym blaskiem księżyca i gwiazd działały się rze-

czy przyprawiające o dreszcz zgrozy. Na-
brzeże, które w dzień roiło się od zabiega-
nych kupców i klientów, tragarzy i prze-
chodniów, teraz wzięli we władanie bie-
gnący we wszelkich kierunkach obłąkań-
cy:

krzyczący jak w opętaniu
miotający się
padający twarzą na ziemię
składający pokłony nie wiedzieć komu
zanoszący się rozpaczliwym płaczem
wybuchający przeraźliwym śmiechem
wałący głowami o ściany domów i burty
statków
zmagający się z niewidzialnymi prze-
ciwnikami
napadający na wszystkich wokół
tarmoszący
bijący
kąsający siebie i innych bez opamiętania

Tylko niektórzy byli odziani; większość nosiła ledwo spodnie szaty, niektórzy biegali całkiem nago i bosi, jak gdyby z domów wygnała ich ślepa męka domagająca się natychmiastowej obecności innych nieszczęśników. Który z nich jeszcze wczoraj był bogatym kupcem, a który nędznym tragarzem, nie można było poznać we wszechobecnym zamięcie.

Tumult powstawał wszędzie. Xiao słyszał krzyki dochodzące z wąskich uliczek nieopodal gospody, od strony miasta i z góry – ze szczytu wyniosłego fortu. Wtem jakiś mężczyzna potracił bakalarza, biegnąc i krzycząc w panice. Xiao odwrócił się ku gospodzie. Naraz przypomniał sobie o Modrym Lotosie. Cóż to wszystko miało znaczyć? – pomyślał. I co mam robić?

Znienacka powietrze zadrżało, jakby wstrząsnął nim niesłyszalny grzmot. Xiao znów obejrzał się na nabrzeże. Coś mu mówiło, że właśnie stało się tam coś dziw-

nego, a zaraz stanie się coś strasznego.

I nie mylił się.

Niedaleko brzegu ciemność zaczęła się raptem skupiać, jak gdyby nie była po prostu brakiem światła, lecz substancją samą w sobie. Pustka zestaliła się. Kilkoro przebiegających opodal ludzi przewróciło się lub odsunęło, jakby jakaś siła przeszkodziła im w pędzie. I nagle zmaterializowana ciemność rozpadła się na osiem chudych, wysokich postaci o przeraźliwie białych oczach.

Rakszasy!

Xiao poczuł, jak nogi pod nim miękną. Oparł się plecami o ścianę i patrzył, jak na jego oczach ożywa koszmar, o którym ledwo śmiał myśleć. Rakszasy rozbiegły się promieniście w kierunku miasta i podjęły dzieło zniszczenia. I podjęły je, jak na demony przystało, poruszając się po liniach

prostych, niszcząc wszystko na swej drodze. Kamienne mury eksplodowały, kiedy wbijały się w nie rozpedzone rakszasy, ludzie rozbryzgiwali się na krwawe szczątki, budynki zawały z przyprawiającym o omdlenie rumorem.

Xiao żywiej zabiło serce. Jedna z rakszas zdawała się kierować prosto na niego. Poderwał się i rzucił w bok. Niepotrzebnie. Trasa demona przechodziła o kilkanaście kroków od miejsca, gdzie znajdował się bakałarz. Czarna postać przemknęła obok z dziwnym dźwiękiem, jak gdyby powietrze drżało, obmywając jej ohydne członki, i staranowała gospodę. Dobiegające z wnętrza krzyki zmieszały się z hukiem i trzeszczeniem. Wtem coś tapnęło i gospoda runęła, zmieniając się w spowity kurzem stos drewna.

Xiao odbiegł kawałek, poza zasięg duszących kłębow. W polu widzenia nie było żadnych rakszas; tylko łoskot i krzyki do-

biegające z głębi miasta świadczyły, że robią swoje. Nie wiedział, co będzie dalej, ale nie sądził, by rakszasy miały przeć przed siebie bez ustanku. Kiedyś musiały wrócić tam, skąd przyszły, do Południowego Królestwa, by wyrzucić zemstę na swych pogromcach. Albo do Jingping, by przemierzać je tam i z powrotem, póki ostatnie domostwo nie przeistoczy się w stertę desek, póki krew ostatniego mieszkańca nie wsiąknie w ziemię.

Nic nie było dość potężne, by móc im się oprzeć.

Poza rzeką.

To rzeka miała zapewnić, że rakszasy nie zdołają opuścić urn, to od rzeki teraz stroniły, atakując tylko Jingping, choć po drugiej stronie leżały przystanie promowe i niewielka osada. Gdyby tak popłynąć ku Smoczym Wrotom! Teraz nikt nie będzie

się zasłaniał nieopłacalnością wyprawy; zresztą nikt w ogóle nie będzie się niczym zasłaniał, bo najpewniej strażników przy łodziach dopadło to samo opętanie co wszystkich.

Poza Xiao.

Złapał się za amulet. Był ciepły i lekko drżał. Czyżby to jemu właśnie miał przypisać fakt, że nie miotał się teraz w obłąkaniu? Że nie biegł bez celu przed siebie, rzucając się wściekle na innych nieszczęśników? Że myślał zaskakująco chłodno i klarownie?

A czemuż innemu?

...Niechaj strzeże twego serca...

W tej chwili wyczuł czyjaś obecność. Zwrócił wzrok ku rumowisku pozostałemu po gospodarze.

Modry Lotos szła powoli, z doskonale obojętną twarzą. Tylko zakrzywione drapieżnie palce świadczyły, że Xiao obojętny jej nie jest.

Niewiele myśląc, zbiegł na nabrzeże, ku zacumowanym najbliższej łodziom. Ale nie ustrzegł się opętańców. Jakiś toczący pianę z ust golas na widok bakałarza ryknął i rzucił się nań, wymachując kułakami. Xiao dobył miecza, lecz widok broni nie zniechęcił napastnika. Zaczął uciekać, golas był jednak szybszy. Cios w kark powalił bakałarza na ziemię. Szaleniec już zamierzał się do kopniaka w głowę leżącego, kiedy ten w rozpaczy ciął go w nogę. Do kakofonii na nabrzeżu dołączyło pełne fizycznego bólu wycie. Xiao zostawił obłąkańca zwijającego się w męce i podbiegł do brzegu. Szukał czółna lub tratwy, którą mógłby sterować samodzielnie, lecz na tym odcinku kotwiczyły tylko większe jednostki. Biegł wzdłuż brzegu, póki nie znalazł bambusowej tratewki. Była pozbawiona wiosła i żerdzi, ale te zabrał z pokładu

zaczumowanej obok większej łodzi, której dwóch załogantów udusiło się wzajemnie w szaleńczych zapasach.

Jakiś opętaniec pędził w jego kierunku, lecz Xiao odepchnął się już od brzegu. Wkrótce porwał go czarny nurt. Wiedział, że musi się trzymać prawej, wschodniej strony, by nie przeoczyć ujścia Smoczej Rzeki. Księżyc świecił wciąż jasno; kto wie, może zanim dopłynie do ujścia, wstąpią pierwsze ranne zorze?

Wtem łódź zatrzęsała się potężnie. Xiao ledwo złapał równowagę. Mielizna? – pomyślał zaniepokojony, siadając na bambusach. W samą porę, bo łódź zatrzęsała się znów. Nim miał czas się zastanowić, w wodzie tuż obok zamigotała ryba. Spojrzał w jej kierunku. Oto, co nastąpiło:

na krawędź tratwy wskakuje ryba

zaraz po niej druga

serce podchodzi bakałarzowi do gardła

srebrna łuska lśni wyraźnie w świetle

księżycyca

lecz nie pokrywa ryb

pokrywa dwie dłonie zaciśnięte na krawędzi tratwy

Krzyknął mimowolnie i odsunął się, ale wtedy poczuł na plecach zimny, mokry dotyk. Obejrzał się i ujrzał do połowy już wynurzającego się z wody rybiego upiora.

Człekopodobna, pokryta łuską istota zanurzyła się z powrotem w czarnych odmętach, kiedy wiosło spadło jej na łeb, lecz widok ostrych jak igielki zębów wypełniających okrągłe usta zdążył wryć się bakalarzowi w mózg. Odwrócił się i odesłał w topiel pierwszego upiora, który zdołał już wydzwignąć nad powierzchnię swój obły łeb. Klnąc w żywy nefryt, Xiao jał wiosłować z powrotem do brzegu. Ale oto łodzią znów zakołysało. Upiory, widząc, że wychylać się z wody niebezpiecznie, postanow-

wiły zapewne wywrócić tratwę od spodu. Bakalarz chwycił się jedną ręką krawędzi, błagając w myślach wszelkie bóstwa, by owe igielkowate zęby nie wgryzły mu się w palce, a drugą zaczął wiosłować, jakby sam był opętany. Raz i drugi ledwo utrzymał równowagę na podrzucanej tratwie, ale od brzegu dzieliło go już kilkanaście kroków, już tylko kilka, już tylko jeden skok, już! Ziemia przywitała go twardo; o niczym więcej nie marzył.

– Ratunku! – krzyknął wtem ktoś od strony rzeki.

Xiao odwrócił się i ujrzał obok tratwy tonącego. Łysy mężczyzna szamotał się przy brzegu, z trudem wystawiając głowę i jedną rękę na powierzchnię. Upiory go wciągają! – pomyślał i już rzucał się na pomoc, gdy stanął jak wryty.

Kiedy przybijał, nie widział nikogo w wodzie – skąd nagle wziął się w niej człowiek? Od tratwy dzieliła tonącego odle-

głośność kroku, dlaczego więc nie chwycił się jej, tylko głupio machał ręką?

Xiao stał i patrzył. Mężczyzna rzucał się jeszcze jakąś chwilę, walcząc z wodą i gulgocząc wołania o pomoc, a wreszcie zanurzył się cały i zniknął. Bakalarza zdjął strach. Może ten człowiek tonął naprawdę? Może upiory trzymały go tutaj i wypuściły, spłoszone pojawieniem się tratwy? Podszedł niepewnie do brzegu i spojrzał w połyskującą srebrzyście toń. Po topielcu i rybich upiorach nie było śladu.

Naraz o kilka kroków w dół nurtu z wody wynurzyła się głowa mężczyzny.

– Ratuj! Wciągają mnie! Rat...

Reszta utonęła w rozpaczliwym bulgocie. Xiao wciąż stał niezdecydowany. Nie zamierzał ryzykować zanurzenia się w wodzie i wystawienia na żer upiorom. Wreszcie rzucił wiosłem w kierunku tonącego, li-

cząc, że ten złapie je i taką zaimprovizowaną bronią odeгна potwory.

W tej chwili coś ścisnęło go za nogi. Zdażył jeszcze spojrzeć w dół i zobaczyć pokryte łuską ramiona, kiedy szarpnięty gwałtownie padł plecami na ziemię. Stracił dech, w oczach mu pociemniało, ale poczuł, jak łydki, a potem biodra ogarnia mu chłód wody. Wciągają mnie! – pomyślał i walcząc ze słabością, złapał za miecz. Upiór nie zdażył całkiem wciągnąć Xiao, kiedy ten jął przeszywać toń klingą. Coś zakotłowało się nagle pod powierzchnią, uścisk osłabł. Nie przestając ciąć i kłuć, Xiao wygramolił się na brzeg i chwiejnie przeszedł kilkanaście kroków w głąb lądu. Tam padł wyczerpany.

Po dłuższej chwili przestał oddychać ciężko, ból w stłuczonych plecach zmałał. Xiao spojrział na rzekę.

Łysy topielec unosił się na falach, milcząco mierząc bakałarza wzrokiem. A po-

tem zaczął ku niemu iść. Już wynurzył się z wody do pasa, już stał w niej tylko po kolana, już robił pierwszy krok na brzeg.

Xiao poczuł nagle przyływ nienawiści. Wymacał pod dłonią kamień i szybciej niż myśl rzucił. Pocisk odbił się od połyskującej czaszki mężczyzny i zniknął w ciemności, a mężczyzna z jękiem przewrócił się na plecy.

Ale zanim przykryła go połyskująca srebrzyście toń, jego skóra sama zasrebrzyła się łuską.

Xiao odpełził jeszcze kawałek i położył się z mieczem w dłoni. Musiał odpocząć, pozbierać myśli. Uszedł oto z rąk, czy też płetw, wodnych duchów, o których słyszał, że potrafią przybierać ludzką postać. Niektóre ponoć wybierały nawet życie na lądzie, gdzie żeniły się z kobietami i płodziły potomstwo. Zdradzało je tylko jedno –

musiały się codziennie kąpać. Tym jednak nie chodziło o życie rodzinne ani o higienę. Kto stracił życie w odmętach Długiej Rzeki, ten przybywał na zew rakszas i szukał ofiar w swoim żywiole. Tak samo jak przybywały i szukały ofiar inne upiory.

Także upiory przeszłości.

Xiao obejrzał się, ale nikogo nie było widać. Z ulgą spojrzął z powrotem ku rzece.

Modry Lotos kucała grzecznie w pół drogi między brzegiem a bakalarzem, patrząc nań beznamiętnie.

Zerwał się i pobiegł przed siebie, byle dalej. Przebił się przez jakieś krzaki i wbiegł w wąskie uliczki. Raz i drugi przeciął pasmo zniszczenia pozostałe po przejściu rakszasy, co rusz wpadał na ciała zamordowanych i obijał się o żywych jeszcze opętańców, ale biegł, póki nie stracił tchu w piersiach. Kiedy już miał się zatrzymać, usłyszał łoskot zbliżającej się raksza-

sy. Zmusił się do biegu, ale nie zmusił się, by spojrzeć za siebie, gdy przewalała się przez ulicę.

I dopiero straszliwy rumor i łomot, huk oraz drzenie ziemi kazały mu przystanąć i odwrócić się ze strachem. Ulica zdawała się kołysać, jak gdyby rakszasy sprowadziły ze sobą trzęsienie ziemi. Ale w dygot wprawiły miasto nie siły dochodzące spod ziemi, lecz znad niej. Bo oto w prześwicie między domami Xiao dojrzał, jak fort na wzgórzu zapada się w sobie i obraca w ruinę, a kawały murów i potoki głazów zasypują tłum nieszczęśników kłębiący się na nabrzeżu...

Bakałarzowi nie potrzeba już było dalszego dowodu potęgi i okrucieństwa rakszas. Drżąc do wtóru falom przebiegającym przez grunt pod jego stopami, ruszył biegiem gdzie oczy poniosą.

Zatrzymał się wreszcie niedaleko herbariarni, która tak go zachwyciła poprzedniego dnia. Na wodach stawu unosiło się kilka ciał; poza tym panował zwodniczy spokój. Ludzie w najbliższej okolicy pozabijali się lub rozproszyli, a rakszasy jak dotąd oszczędziły zakątek. Xiao usiadł pod wierzbą i znów spróbował pozbierać chaotyczne myśli. Ale tym razem miał mniej do ustalenia. Ze wszystkich możliwości, którymi dysponował jeszcze jakiś czas temu, pozostała tylko jedna.

Dotrzeć do Smoczych Wrót drogą dla pielgrzymów.

Do rozstrzygnięcia pozostawał pomniejszy dylemat: jak dotrzeć do niej szybko.

Z tego, czego zdążył się wywiedzieć, do rozstaju było jakieś trzydzieści li – odległość możliwa do pokonania pieszo, lecz nie nawiedzoną nocą, jak ta. Musiał zdobyć konia. I to migiem.

Wtem znów wyczuł czyjąś obecność.

Zadrzał, ale zdzierzył i podniósł oczy.

Ojciec patrzył nań wzrokiem, w którym mieszały się przygana i żal.

Xiao zdziwiłby się mniej, gdyby nawiedziła go Modry Lotos lub gdyby z wody wyłonił się rybi upiór. Ojca się nie spodziewał. Nie miał powodu, od dawna nawet o nim nie myślał.

I chyba właśnie o to ojciec miał żal.

Bo Xiao w jednym rozbłysku zrozumiał, że ojciec umarł. I potępia syna za to, że ten nie zaopiekuje się duchem zmarłego.

Nie o solone śliwki chodziło. Nie o kojąco nudną pracę ani o spokojne życie. Xiao wykrzywił usta w nagłym olśnieniu. Dopiero teraz zrozumiał, co go tak dręczyło od wielu dni, tygodni i miesięcy. Zrozumiał, czego mu brak.

Poczucia zakorzenienia.

Stał się człowiekiem znikąd, jednostką

wyrwaną z linii następujących po sobie pokoleń, kimś, kto nie opiekuje się duchami przodków i sam nie dozna opieki po śmierci.

Stał się nikiem.

Postać ojca rozwiała się w powietrzu. Xiao sam już nie wiedział, czy duch objawił się tu naprawdę, czy też było to jedynie przywidzenie. Wiedział tylko, że coś rozumiał. I że wcale nie jest mu z tym łatwiej.

Łoskot zapowiedział zbliżanie się rakszasy. Ale tym razem Xiao nie znalazł w sobie siły, by poderwać się do ucieczki. Nie znalazł siły na nic. Patrzył nieruchomo na rząd parterowych domków po drugiej stronie stawu, skąd dochodził narastający hałas. I oto, co ukazało się jego zmęczonym oczom:

jeden z domków dygocze i nagle zmienia się w drzewną miazgę

z kłębow srebrzącego się w księżycowej

poświacie pyłu wyłania się czarna, wysoka, chuda, makabryczna sylwetka rakszasy
sękaty nogi niosą ją prosto ku herbaciarni

zygzakowaty most, broniący przejścia demonom, rozpryska się na tysiące drzazg pod groteskowo długimi ramionami

jeszcze chwila i sama herbaciarnia wali się jak domek z kart

rakszasa brodzi przez wstrząsane falami jeziorko

taranuje wierzbę o kilkanaście kroków od skamieniałego Xiao

zwraca ku niemu swą koszmarną twarz
swe oślepiająco białe oczy

a potem potworna ręka wyciąga się i wrywa z korzeniami wierzbę, pod którą siedzi bakałarz

i wszystko pochłania czerń

Żeby dowiedzieć się, co wyłoniło się z tej czerni, czytajcie

dalej!

Rozdział 52

o tym, jak Xiao Long próbował wydostać się z owładniętego przez demony miasta i dotrzeć do Smoczyczych Wrót, oraz o tym, kogo spotkał po drodze

Ocknął się na wpół zanurzony w stawie. Dopiero kiedy wypłynął na brzeg i wstał, by się rozejrzeć, ogarnął sytuację.

W miejscu, gdzie stała wierzba, pod którą był siedział, zionął teraz głęboki wykrot. Przypomniawszy sobie, jak turlał się w dół, wyrzucony ze swego miejsca siłą, z jaką rakszasa wyrwała drzewo. Miał tyle szczęścia, że nie zahaczyła szponami o jego głowę. I że nie wpadł tą głową do wody.

W czasie gdy był nieprzytomny, musiał

tędy przejść inny demon, bo wszystkie domki po drugiej stronie zostały już zrównane z ziemią. Ale gdyby nie daleki odgłos panoszących się rakszas, wszystko wydawałoby się złudnie spokojne, jak gdyby miasto zawsze przedstawiało sobą obraz zniszczenia. Być może demony już dopełniały dzieła i niebawem ruszą w inne strony; a być może nie spoczną, póki w Jingping będzie stało choć jedno drzewo, będzie oddychał choć jeden człowiek.

Długą, wypełnioną niepokojem chwilę szukał miecza; wreszcie znalazł go w wykrocie. Uzbrojony ruszył ulicami w kierunku bram. Musiał opuścić Jingping.

Kilka razy natknął się na opętańców, ale żaden mu nie zagroził. Tych, których nie zamordowały rakszasy lub inni szaleńcy, zmordowało samo obłąkanie i dręczące ich upiory. Snuli się bez celu, wymachując rękoma i mamrocząc złorzeczenia. Xiao przemykał mimo, choć być może powinien

litościwie skracać ich męki. Nie wypuszczał z jednej dłoni miecza, z drugiej zaś amuletu. Cóż innego, jak nie właśnie ten dar od przeora Klasztoru Niebiańskiego Tygrysa zdołał wyrwać go spod władzy upiorów?

Nagle z bocznej uliczki dobiegło rzenie. Podbiegł i trafił na tyły gospody. W stajni znalazł cztery konie. Dwa już nie żyły, trzeci dogorywał. Zagryzły i skopały się wzajemnie ze strachu, kiedy przez sąsiedni budynek przeszła rakszasa. A może padły jej ofiarą – boczna ściana stajni przeorana była potwornymi szponami. Jedyny ocalały wciąż dygotał, ale kojące słowa i gesty bakałarza go uspokoiły. Xiao nadaremnie rozglądał się jednak za siodłami. Musiano przechowywać je gdzie indziej. Nie miał czasu ani odwagi szukać ich teraz. Tłumacząc sobie, że trzydzieści li na oklep to

wcale nie tak dużo, dosiadł wierzchowca i ruszył ku bramie.

Pod zamkniętymi na głucho wrotami natknął się na wyjątkowe zatrzesienie trupów. Być może biegli tu ci, których opętanie nie dotknęło lub którzy pomimo udreżenia myśleli na tyle jasno, by wiedzieć, dokąd uciekać. Żaden nie ocalał życia. Wymordowali się wzajem.

Xiao podjechał pod sam mur. Gdzieś musiały znajdować się wyłomy poczynione przez rakszase. Nie sądził, by w swej destrukcji ograniczały się tylko do ścisłych granic miasta, lecz dotąd musiały omijać bezpośrednio sąsiedztwo bramy, bo w polu widzenia mury stały nienaruszone.

Wtem łoskot znów jął się zbliżać. Xiao wyteżył uwagę, by ustalić, w którą stronę zmierza rakszasa. Kierowała się prosto na bramę. Xiao wprowadził rżącego nerwowo konia w boczny zaułek i przyczaił się.

Tak jak przewidywał, demon zmierzał

ku wrotom. Huk i rumor aż zaboląły baka-
łarza; koń stulił uszy, przysiadając na za-
dzie. Kiedy hałas ucichł, Xiao wyjechał na
ulicę i ujrzał zionący dymiącą pustką po-
tężny otwór. Rakszasa minęła bramę led-
wie o kilka kroków. Podjechał powoli, by
nie narazić wierzchowca na skaleczenie
lub złamanie nogi na gruzach, i wyjrzał na
równinę.

Wiedział, że demony poruszają się po li-
niach prostych, ale gdzieś musiały zawra-
cać. Teraz zobaczył, jak to się dzieje. Rak-
szasa po prostu zatrzymała się, obróciła i
ruszyła z powrotem, lecz pod nieco innym
kątem. Nie chciałby zwrócić na siebie jej
uwagi w takim właśnie momencie. Gdyby
zboczyła w kierunku bakałarza, najbardziej
ściągły rumak nie wybawiłby go z opresji.
Ale ta rakszasa już wgryzała się znów w
mury miasta. Poza nią i poza ruinami pod-

miejskich zabudowań równina jak okiem sięgnąć zionęła pustką. Xiao spał konia i pomknął ku rozstajowi.

Miał wrażenie, że ciało odpada mu już od kości, kiedy wreszcie dotarł do rozstaju. Świtało, ale głębokie cienie zalegały jeszcze w lesie po obu stronach i w chaszczach rozdzielających dwa gościńce. Zgodnie ze słowami mężczyzny w porcie, na północ prowadziła trzecia droga, a raczej ścieżka, wąska, lecz głęboka, wydeptana niezliczonymi stopami pielgrzymów wspinających się od setek lat po stromym zboczu. Xiao obrzucił okiem porastające je morwy i inne zarośla, by po namyśle uznać, że lepiej będzie puścić już wierzchowca wolno. Na takiej stromiźnie i tak niezbyt mu się przyda. Zsiadł, stękając ni to z bólu, ni z ulgi i klepnął konia w zad.

Nagle pośród cieni w chaszczach dojrzał ruch. Błyskawicznie wyciągnął miecz.

– Kto tu! – zapytał gromko, starając się nadać głosowi groźne brzmienie.

Utkana z cieni sylwetka podniosła się i wystąpiła na drogę.

Xiao spodziewał się człowieka, w najgorszym razie zjawy ojca albo Modrego Lotosu. Na to jednak, co ujrzał, nie był przygotowany.

Stał przed nim Deng.

Na rękach i nogach miał ślady powrozów, z których wyrwały go demony na Świętej Górze Heng.

Koń zarżał i odkłusował z powrotem. Xiao zrazu się cofnął. Wspomnienia zalały go dławiącą falą. Kiedy to się skończy? – pomyślał rozpaczliwie.

Deng stał bez ruchu, tępy wzrokiem patrząc w twarz bakalarza. Ten potrząsnął głową, a potem wydobył spod chałatu amuletem. Deng cofnął się, lecz nie znik-

nał. Xiao podszedł doń, ściskając drżącą dłońią amulet i wymachując mieczem; Deng tylko cofnął się na tyle, by zachować między nimi ten sam dystans. Dygoczący bakałarz obejrzał się za koniem, ale wierzchowiec zniknął mu już z oczu. Zresztą nawet gdyby odsądzić się od Denga na kilka li, to był przecież upiór i mógł pojawić się w innym miejscu w dowolnej chwili.

Xiao z najwyższym trudem zmusił się do uspokojenia i ruszył, kuśtykając, na ścieżkę. Odwracał się kilka razy, wciąż widząc Denga w tej samej odległości. Kiedy upiora przed wzrokiem bakałarza zakryły drzewa, nie przestał się oglądać; wręcz przeciwnie, robił to dwa razy częściej.

Lecz stromizna zmusiła go rychło do skupienia uwagi na drodze. Ścieżkę prócz nóg pielgrzymów żłobiły strumienie, które musiały spływać tędy obficie podczas deszczów. Im wyżej, tym więcej wypełniało ją kamieni i wilgotnego żwiru. Gęsty

szpaler zarośli po obu stronach sprawiał, że nawet pomimo chłodu poranka nieruchome powietrze było tu nieprzyjemnie ciężkie. Wspinał się mozolnie, jeden drżący krok za drugim drżącym krokiem, często potykając się i ślizgając na zdradliwych kamieniach. Mięśnie miał obolałe, ścięgna rwały po jeździe na oklep, ale nie mógł im pofolgować. Nie teraz.

Znikąd spłynęła mgła. Słońce musiało już wejść, lecz tu nie było po nim śladu. Mętna zasłona odzierała zarośla z zieleni – szarzały, bledły, znikwały. Wkrótce Xiao nie widział już dalej niż na kilkanaście kroków. Wszedłem w chmury, pomyślał i zatrzymał się, ocierając pot z czoła. Między kamieniami ujrzał kałużę przejrzystej wody. Uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny i spragniony. Pochylił się i zaklął, kiedy łupnęło go w kręgosłupie. Aby nie

uronić ani kropli, uklękawszy, przytknął do kałuży wargi i wysączył ją do cna. Wtem obezwładniło go znużenie. Nie zważając na kamienie, położył się, rozkoszując bezruchem. Ale choć jego nadwyrężone nogi bardzo potrzebowały odpoczynku, niebawem zmusił się do dalszej drogi. Postój tylko wzmógł uczucie zmęczenia. Na szczęście ścieżka przestała się wreszcie wspinać. Nie oznaczało to jednak końca podróży.

Zarośla zostały w tyle, pasma mgły jeły przemykać z jednej otchłani w drugą. Dróżka prowadziła odtąd wąską granią. Tu i ówdzie we mgle pojawiały się niewyraźne kształty iglic skalnych, szczytów i głazów. Mógł się tylko domyślać piękna pejzażu w słoneczny dzień. Gdyby miał czas, być może zatrzymałby się i przeczekał, aż mgła się podniesie, a jemu wrócą siły. Musiał jednak iść dalej.

Kiedy we mgle przed nim zamajaczyła

ludzka sylwetka, nie zdziwił się. Czegoś takiego gdzieś w głębi serca się spodziewał. Obejrzał się tylko, czy z tyłu też ktoś nie idzie, ale z mgły wyłaniały się jeno skały. Przystanął i czekał, co się stanie.

Sylwetka skryształizowała się w postać Modrego Lotosu. Dziewczyna podeszła do Xiao. Na ślicznej twarzy znów miała uśmiech – pogodny, ciepły, przyjazny – a ręce wyciągnięte w geście szczerego zaproszenia. Bakalarz poczuł dziwną tęsknotę. Wiedział, że tak naprawdę nic ich nigdy nie łączyło, że on sam był wtedy tylko zwodzonym przez cwana, dwulicową rajfurkę rozwiązłym młodzikiem, czego powinien się wstydzić. Swe ówczesne postępowanie mógł ukryć przed wszystkimi, tylko nie przed samym sobą. Wiedział, że uśmiech Modrego Lotosu był wystudiowanym chwytem zawodowej kurtyzany,

stworzonej, by zadowalać mężczyznę na wszelkie sposoby. Wiedział wreszcie, że starając się jak teraz odtworzyć z tamtych chwil to, co było w nich dobre, a zamykając oczy na to wszystko, co było w nich kłamstwem i niegodziwością, zachowuje się jak ten złodziej z przysłowia zatykający uszy, by ukraść dzwon. Ale uśmiech dziewczyny otworzył w nim dawno zamknięte drzwi. Choć na jeden oddech wrócić do czasów, kiedy płacił za iluzję wyjątkowości rozkoszy i otrzymywał ją...

– Chang!

Xiao wzdrygnął się i w tym momencie poczuł, że traci równowagę. Instynktownie rzucił się do tyłu i upadł. Kamienie wbiły mu się w pośladki. Ból otrzeźwił go w okamgnieniu. Ujrzał przed sobą Modry Lotos. Nie stała jednak na drodze, a unosiła się we mgle spływającej ku niewiadomej przepaści. Twarz miała teraz ściągniętą złym grymasem. Xiao rozejrzał się i zro-

zumiał, że upiór otumanił go i poprowadził nad krawędź otchłani. Jeszcze krok, a straciłby grunt pod nogami. Gdyby nie krzyk...

Bakałarz rozejrzył się ponownie, ale nikogo więcej nie było widać. Nie miał jednak żadnych wątpliwości. To jego ojciec używał był imienia osobistego „Chang”, kiedy przywoływał Xiao do porządku. I użył go teraz, by wybić synowi z głowy głupie tęsknoty, a tym samym ocalić życie.

Xiao podniósł się, ignorując nachmurzoną Modry Lotos, i ruszył dalej. Nie patrzył na boki, nie oglądał się. Skupił się na stawianiu pewnych kroków po niepewnej drodze.

Równa grań wkrótce się skończyła. Ścieżka zaczęła na przemian pięć się na strome szczyty i schodzić karkołomnymi zejściami. Niekiedy omijała je, wrzynając się w niemal pionowe zbocza. Xiao szedł

powoli, uważnie wybierając pnącza i wypusty skalne, których się chwycił. W duchu chwalił mgłę. Gdyby nie ona, z widokiem przepaści pod stopami byłoby łatwiej o fałszywy krok.

To skupienie na najbliższym otoczeniu sprawiło, że nie zauważył ciała, dopóki schodząc ze skały, nie nastąpił na nie. Z krzykiem przestachu odskoczył; szczęściem grań była tu szersza i zdołał złapać równowagę. Z walącym sercem przyjrzał się zabitemu.

A raczej zabitej. Dziewczynka mogła mieć dziesięć lat. Oceniał to po wzroście i sylwetce, bo twarz miała zalaną krwią z pękniętej czaszki. Jęknął i rozejrzał się dookoła, ale mgła nie oferowała żadnych odpowiedzi. Jeszcze raz spojrzął na dziewczynkę. I wtedy na widok jej cery przeszył go dreszcz zrozumienia.

To musiała być córka Thiha Shwe. Szalenie ze strachu przed rakszasami popro-

wadził rodzinę Ścieżką Pielgrzymią. I to nocą. Cud, że śmierć dała o sobie znać dopiero tutaj, jak wilk urywający po jednej sztuce ze stada.

Potrząsnął głową. Przecież widział tylko grań. Niewykluczone, że inni skończyli już wcześniej w niewidocznych przepaściach. Jedno było pewne – ktoś musiał iść dalej. Gdyby dziewczynka ocalała jako ostatnia, pewnie zostałyby na miejscu, nie wiedząc, dokąd iść, a nie porywała się na samotną drogę. Chociaż... kto wie co się dzieje w umyśle dziecka w obliczu takiej tragedii. Może sama skoczyła...?

Porzucił jałowe rozmyślenia. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie sprawić dziewczynce namiastki pogrzebu. Ale by przysypać ją choć żwirem, musiałby długo drapać palcami zbocza grani. Jeśli zaś Thih lub inny członek rodziny żył jeszcze i zo-

stawił ciało bez choćby symbolicznego pochówku, to albo pogrzeb nie był potrzebny, albo rytuał pożegnalny w Południowym Królestwie wyglądał inaczej, niż sobie Xiao wyobrażał. W ostateczności u kresu drogi powie mnichom o dziewczynce, a ci przyniosą jej ciało i sprawią godny pochówek.

Ruszył dalej, głowę mając pełną ponurych myśli. Thih musiał być zdesperowany, jeśli by chronić rodzinę przed rakszami, zdecydował się narazić wszystkich na niebezpieczeństwa górskiej przeprawy. Poznawszy moc rakszas i grozę przyciągniętych przez nie upiorów, Xiao rozumiał determinację Thiha, ale nie przestał uważać jej za szaleństwo.

Kolejny raz ścieżka ustąpiła przed skałą zbyt stromą i wiodła niemal pionowym zboczem, usianym zwietrzalymi głazami. Xiao jął stąpać krok po kroku po wąskim wgłębieniu. Wielokrotnie upewniał się,

czy to wytargane wiatrem pnące ma dość mocne korzenie, czy tamten podziurawiony deszczem kamień jest dość krzepki. Pot zmęczenia i napięcia rychło zaczął zalewać mu oczy. Nie raz i nie dwa kusiło go zawrócić i czekać nie wiadomo na co. Jednak szedł dalej. Minał już najgroźniejszą wypukłość zbocza i złapał dłonią za pierwszy z liczniejszych tutaj głazów, czując, że teraz będzie lżej, kiedy...

– Chang!

Odwrócił się w samą porę, by odbić ramieniem cios mierzący w jego skroń. Chu zamierzał się ponownie, gdy Xiao złapał wolną dłonią za amulet na piersi, zerwał go i uderzył upiora w twarz.

Pięść z dyndającym sznureczkiem przeszła na wylot, ale Chu oderwał się od skały i poszybował we mgłę. Po bezruchu jego niematerialnego ciała Xiao poznał, że amu-

let zadziałał. Objął głaz obiema rękoma i trwał tak dłuższy czas, póki nie upewnił się, że świat wokół jest trwały i stabilny i że jeszcze tylko te kilka kroków spędzi zawieszony w mglistej nicości. Wreszcie schował amulet w zanadrze i podjął drogę. Kiedy znów stanął na wąskiej, ale niewzruszonej skale, usiadł z podkurczonymi nogami i pochylił głowę, otaczając ją ramionami. Musiał dać wytchnienie obolałym nogom i plecom, chciał przeczekać, aż mgła się uniesie. Wiedział, że w świetle słońca przepaście będą głębsze, a góry wyższe, ale wierzył, że upiorom trudniej będzie go zaskoczyć. Nie mógł polegać tylko na ostrzeżeniach ojca. Zwłaszcza że przychodziły w ostatniej chwili.

Żwir zazgrzytał. Xiao jeszcze przez moment pozostawał zamknięty w swym własnym, ciasnym świecie, ale gdy kroki się zbliżyły, uniósł wzrok. W pomarszczonej twarzy Baixue drwina mieszała się z bólem

i nienawiścią.

Przypomniął sobie, jak krępował rajfurkę jedwabną szarfą, jak pomiędzy cienkie wargi wtykał oderwany strzep spódnicy. A więc rzeczywiście się udusiłaś, pomyślał.

Baixue była o trzy kroki, już o dwa. W jej oczach coś błysnęło.

Ale wtedy błysnął i miecz Xiao. Ostrze raz i drugi przecięło zawiesziste tkanki zjawy. Oczy rajfurki zmatowiały, postać utkana z mgły i przeszłości rozwiała się bez śladu. Xiao padł na kamienie i skulił się, z powrotem odcinając się od świata.

Ale nie na długo.

Świadomość czyjejs obecności kazała mu podnieść głowę.

Pustelnik z jaskini obok Wodospadu Grubej Małpy.

Długo mierzyli się wzrokiem. Pod spojrzeniem wątego starca bakalarz kurczył

się w sobie i drżał coraz silniej. Zimno przeniknęło go na wskroś. Ścisnął w dłoniach amulet i miecz, ale ten pierwszy był lodowaty, a drugi – ciężki jak głaz.

Wtem w oczach mnicha coś zamigotało, przez jego pomarszczoną twarz przemknął jakiś grymas i – rozwiął się. Xiao pozostał nieruchomy. W końcu pomiędzy skałami zaczął świszczeć wiatr. Jednolita zasłona mgły rwała się, splątanymi pasmami umykała w niewiadomym kierunku. Pojaśniało; wreszcie Xiao poczuł na karku ciepłe promienie. Podniósł wzrok.

Grań, którą prowadziła ścieżka, wiodła przez istny skamieniały las, gdzie iglice skalne dźwigały się z przepastnych czeluści i godziły w niebo. Gdzieniegdzie w objęciach skał zalegały jeszcze kłęby mgły, lecz cały krajobraz opływał w słońce. Szare i czerwone grzbiety porastała zieleń, tu i ówdzie zrudziała. Bakalarzowi przypominał się krajobraz krainy Guyue, choć w

tej dziczy chyba nawet Latający Lud nie zdołałby wznieść swych sadyb. Daleko na przedzie skały kończyły się, ustępując kanyonowi. Bakałarzowi zdawało się, że na przeciwległym klifie widzi otwory grot, ale nie mógł stwierdzić, czy wykuli je ludzie, czy wyłobiły woda i wiatr. Na pewno spod ludzkich rąk wyszła za to smukła iglica pagody. Pokrzepiony podjął wspinaczkę.

Słońce zniżało się ku zachodowi, kiedy zaczął wspinać się na ostatni, jak oceniał, szczyt. Być może moc rakszas tu nie sięgała albo to słońce przegnało duchy, dość, że Modry Lotos, Deng ani Baixue nie pojawiali się już, a ojciec nie musiał już wołać. Omdlałe członki niemal odmawiały bakałarzowi posłuszeństwa, lecz sił dodawała mu świadomość, że wnet stanie twarzą w twarz z mnichami i uzyska od nich pomoc

dla siebie i miasta. Szczyt był coraz bliżej. Xiao uświadomił sobie, że zaczyna się spieszyć. Już raz i drugi obsunęła mu się noga, gdy stąpnął zbyt niefrasobliwie. Po hamował zapał i zwolnił. Nie chciał ryzykować na ostatnim odcinku.

Niebezpieczeństwo uświadomił sobie tym mocniej, że nagle zza skalnego załomu kiwnęła nań ręka. Zamarłszy, sięgnął po miecz i amulet, gdy wtem zauważył, że wygięte przedramię poruszane jest wiatrem. Wspiął się ostrożnie i zajrzał za załom.

Widział tę kobietę tylko dwukrotnie, ale też od razu ją poznał. To właśnie ją przywołał Thih, by zastąpiła go przy gościach, gdy wraz z przybyszem i Xiao udawał się na zaplecze trunkami, i to ona stała w gospodzie, gdy ujrzawszy statek, szli na nabrzeże.

Żona, najstarsza córka – nie wiedział, ale to nie miało znaczenia. Przeprawa Thi-

ha okazała się tragicznym błędem.

Nastrój prysł. Xiao nie przyglądał się dłużej zmarłej. Podjął wspinaczkę ze zdwojoną świadomością ryzyka. Kiedy wreszcie stanął na szczycie i ogarnął wzrokiem całą okolicę, nie czuł radości, raczej straszliwe znużenie.

Setki otworów w ciągnącej się na kilka li, niemal pionowej przeciwległej ścianie skalnej okazały się grotami, jeśli nawet nie wyżłobionymi przez człowieka, to przezeń użytkowanymi. Xiao zobaczył wykute pomiędzy nimi ścieżki, a na nich sylwetki mnichów o wygolonych głowach. W kilku płytszych jaskiniach dojrzał posągi bóstw; samą skałę pokrywały płaskorzeźby. Na szczycie klifu widniały zabudowania świątynne. To być może gdzieś tam przed wielu laty Qing poznawał tajniki kaligrafii, które usiłował po swojemu przekazać ba-

kałarzewi. Dalej oba brzegi kanionu łączył niewiarygodnie długi i wąski most linowy, który pokonywały właśnie rzadkiem drobne postaci. Głęboko pod nim burozielone wody toczyła na zachód Smocza Rzeka.

Nakarmiwszy oczy, Xiao zszedł ze szczytu nad krawędź kanionu, którą ku mostowi zmierzała ścieżka. Miał dość drózek wiodących nad przepaściami, ale ta miała być już ostatnią na bardzo długi czas – tak sobie przyrzekł. Przynajmniej wiodła kilka kroków od samej krawędzi, co było przyjemną odmianą. W wyobraźni stawało mu już wygodne łóżko i miska ciepłej sprawy. Tylko o tym teraz marzył.

Szedł już dłuższy czas, wymijając głazy i krzewy, między którymi wiła się ścieżka, kiedy do jego uszu dobiegł dziwny dźwięk. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Po chwili już wiedział.

Ktoś łkał.

Kilka gładów i krzewów dalej ujrzał nad

krawędzią siedzącego w kucki mężczyznę, który na odgłos kroków odwrócił się i spojrzał na Xiao.

Był to Thih Shwe.

Z ust trunkarza dobywał się szloch, ale w oczach nie miał łez – tylko obłąkanie.

Bakałarz stał bez ruchu. Ten moment zdawał się trwać wieczność całą. Nawet nie drgnął. Rozmyślał, jakie upiory dręczyły nieszczęsnego mężczyznę na podniebnej ścieżce. Nie wiedział, co powiedzieć ani co zrobić, nie

wiedział, co powie ani co zrobi Thih. Bezruch i milczenie były najbezpieczniejszym wyjściem. Dla Xiao i dla Thiha.

Trunkarz jednak nie potrafił znieść tego milczenia. Otworzył stłuczone, zakrwawione usta i wybełkotał coś, czego bakałarz nie zrozumiał. Potem powtórzył to jeszcze raz. Nagle podniósł się i zaczął

krzyczeć. Xiao nie pojął ani słowa – Thih mówił w swym ojczystym języku. Próbował odpowiedzieć, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Wyciągnął ręce do Thiha.

A wtedy trunkarz odwrócił się i pochylił nad samą krawędzią przepaści. Z jego ust wyrwało się wycie. Xiao rzucił się doń, ale było już za późno.

Nogi Thiha ugięły się i raptownie wyprostowały, stopy oderwały od skały.

Przez mgnienie oka zdawało się, że mężczyzna zawisł w powietrzu.

A potem runął w dół.

I zniknął.

Xiao zachwiał się i o mało nie przewrócił. Dopiero po dłuższej chwili był w stanie podejść do krawędzi.

Po Thiha nie został nawet punkt na ciemnej toni.

Co jeszcze czekało bakalarza w Smoczyc Wrotach? O tym traktuje kolejny rozdział.

Rozdział 53

o tym, jak Xiao Long spotkał siedziwego mnicha z dalekich krajów i co ów postanowił

Xiao nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje.

Przeszedł niebezpieczną drogę, narażając życie, by powiadomić mnichów o grozie, jaka rozpanoszyła się w okolicy, by prosić o ratunek dla siebie i mieszkańców Jingping oraz innych miast. Tymczasem kiedy dotarł wreszcie na miejsce, mnisi nie chcieli go słuchać. Po prostu go ignorowali.

Na liczną grupę natknął się przy moście, do którego dotarł wycieńczony i zły. Młodzieńcy o wygolonych głowach, w cieli-

stych opończach i z worami na plecach lub w rękach zmierzali dalej na zachód. Przywitał ich, próbował zagadać, ale tylko kilku przelotnie nań spojrzęło, a żaden nawet nie otworzył ust. Chwilę szedł za nimi ścieżką, potem się zatrzymał. Nie chcą z nim gadać – to nie! Przeklęte łyse pały, pomyślał. I gdzież oni, u lisa, idą? Tam, gdzie zmierzali, nie było nic poza krzakami i skałami; po drugiej zaś stronie wśród świątynnych pawilonów widniały ludzkie sylwetki. Tam trzeba było Xiao iść.

Ale jeszcze nie teraz.

Usiadł pod skałką i jął wędrować wzrokiem po budynkach i grotach po drugiej stronie. Dzielił go od nich długi, chwiejny most. Czuł się zbyt wyczerpany i obolały, by od razu porwać się na niebezpieczną i trudną przeprawę. Musiał pierwej odsapnąć.

Późnopołudniowe słońce przygrzewało przyjemnie, w powietrzu skrzyły się

chmary wielobarwnych ważek i migotliwy pył. Z zarośli dochodził śpiew ptaków, wiatr pachniał wodą. Xiao przymknął oczy. Można było ulec iluzji, że siedzi w parkowej altanie pośród kwitnących drzewek wiśniowych na wzgórzu nad rzeką i czeka, aż łodzią przypłynie piękna kobieta... Ta iluzja, tak odmienna od jego ostatnich doświadczeń, była tym właśnie, czego teraz potrzebował. Chciał się upewnić, chciał wiedzieć, że gdzieś tam istnieje spokojny, bezpieczny świat przyjemności i szczęścia. Świat, który nie jest przed nim zamknięty. Przynajmniej jeszcze nie.

Wtem rozległ się odległy rumor, a przez skałę przeszło lekkie drżenie. Xiao otworzył oczy nie na żarty zaniepokojony. Czyżby klif miał się osunąć, jak ten w Kanionie Paszczeki? Obejrzał się na zarośla. Zbity gąszcz twardych gałęzi nie wyglądał

na łatwy do przebycia. Bakałarz wstrzymał dech i wsłuchał się w otoczenie. I dopiero wtedy usłyszał dźwięk, który obecny był w tle przez cały czas, lecz tak stłumiony odległością, że własny oddech Xiao go głuszył.

Stukot metalu o skałę, zgrzyt kamienia o kamień.

To tam zdążali ci mnisi, pomyślał. Pewnie wykuwają nowe groty.

Uspokojony przysiadł znów pod skałką, by pogрузić się w kojących marzeniach o czekaniu w altance na przybycie oblubienicy, gdy wtem w leniwe odgłosy popołudnia wkradł się odgłos kroków i metaliczne brzęczenie. Xiao niechętnie uniósł powieki.

Niestety, to nie rzeką przybywała piękność na łodzi, lecz piechotą drałował po ścieżce starszy mnich. Czaszka lśniła mu w słońcu, chudą twarz szpeciła nadająca pozór mądrości rzadka broda. W dłoni

dzierzył kostur zwieńczony metalowymi obęczami, które dzwoniły przy każdym kroku. Sądząc po dziarskich ruchach, mnich nie potrzebował podpierać się przy chodzeniu, ale też nie temu służył kostur – brzęczenie miało z daleka odganiać wszelkie żywe stworzenia, by nie zginęły przypadkiem zdeptane. Z daleka uśmiechał się do Xiao.

– Witaj, pielgrzymie! – zawołał przyjaźnie, nim jeszcze bakałarz zdążył wstać.

– Witaj – mruknął Xiao, podnosząc się z trudem. Zesztywniałe mięśnie słuchały go niezbyt skwapliwie.

– Co cię tu sprowadza? – pytał mnich, wciąż się uśmiechając. Albo rzeczywiście taki miły, albo chce mnie wybadać, pomyślał bakałarz.

– Straszne nieszczęście – odpowiedział.
– W Jingping szaleją rakszasy, mordują lu-

dzi, zrównują z ziemią miasto.

Z twarzy mężczyzny uśmiech znikł jak zdmuchnięty.

– W rzece wodne upiory przeszkadzają przeprawie – ciągnął Xiao. – Także na wiodącej do was ścieżce dla pielgrzymów grasują zjawy sprowadzające ludzi w przepaść. Sam o mało co nie postradałem życia. Widziałem po drodze trupy nieszczęśników. Wiem skądinąd, że w Smoczych Wrotach jest moc zdolna przeciwstawić się demonom. To po nią tu przybywam.

Mnich milczał chwilę.

– Straszne rzeczy prawisz – odparł wreszcie ściszym głosem. – Trzeba o nich donieść przeorowi. Chodźmy.

I nie oglądając się na Xiao, wstąpił na most.

Bakałarz miał niegdyś wątpliwą przyjemność pokonywania mostu linowego przez Kanion Niebiańskiego Tygrysa. Teraz tamten strach wrócił, choć złagodzony

także tamtym powodzeniem. Wstąpił na chwiejną, skrzypiącą konstrukcję. Stawiając ostrożnie kroki po bambusowych szczeblach i kurczowo trzymając się lin bocznych, ruszył za sprawnie poruszającym się mnichem.

Ten w połowie mostu zwolnił, by pozwolić się dogonić. Xiao nie było to w smak – odległość od toczących się ciężko wód Smoczej Rzeki i chwiejność bambusowej trasy zaczynały napełniać go nieprzyjemnym uczuciem niepewności. Mężczyzna zaś najwyraźniej uznał, że pora zabawić przybysza rozmową.

– Pewnie rozeźliło cię, że braciszku nie nawet słowa do ciebie nie rzekli – rzucił, nie odwracając się. – Wybacz im, bo dziś przykazane mieli milczenie. Na pracy im się skupić trzeba. Przekazali mi jednak zaraz na migi, że przy moście jest pielgrzym,

i stąd przybyłem cię powitać. Moje imię brzmi Wu.

Xiao przedstawił się plecami mnicha, który jak na złość zwolnił jeszcze bardziej, jakby nadto zatroskany o strudzenie przybysza.

– A nad czym tak z poświęceniem pracują? – zapytał, chcąc zająć czymś umysł. Starał się, by w jego głosie nie zabrzmiało ani drzenie, ani szyderstwo. – Wykuwają nowe groty?

– O, coś więcej – zaśmiał się mnich. – Dużo więcej! Dość ci się obrócić, by ujrzeć.

Ale Xiao nie obrócił się, póki ostatni szczebel mostu nie został za nim. Dopiero minawszy skałę, do której uwiązano krzepkie liny, spojrzął za siebie.

I oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

W dzikiej, miejscami zarosłej pnączami, gdzie indziej zaś nagiej ścianie skalnej zionęła olbrzymia, sięgająca od powierzchni

rzeki do samego szczytu klifu wyrwa. Wewnątrz niej znajdowała się gigantyczna postać Zhanshenga. Majestatyczny posąg siedzącego bóstwa wciąż nie wyłonił się jeszcze w pełni ze skały, ale po obu stronach wyciosanych z grubsza kolan stały we własnych skalnych wnękach ukończone już figury straszliwych strażników. Xiao nie potrafił ogarnąć rozumem ogromu pracy, jaki został włożony w to dzieło. Pracy wymagającej nie tylko siły i wytrwałości, ale i artyzmu. O tym ostatnim świadczyła prawie gotowa piękna głowa posągu, barwna, o gładkiej, płaskiej twarzy oraz niezwykle długich i wąskich oczach.

Które Xiao już kiedyś widział.

– Cały sześćdziesięcioletni cykl wykonywania Siedzącego Zhanshenga – odezwał się Wu. – Mnie nie będzie dane dożyć końca prac. Ale ty za to poznasz samego prze-

ora Haitonga, bez którego posąg nigdy by nie powstał!

Xiao chciał odrzec, że nie przybył tu składać hołdu żadnemu przeorowi, choćby był nie wiadomo kim, tylko po ratunek dla siebie i innych. Zmilczał jednak i podążył posłusznie za mnichem ku wyniosłej bramie wiodącej do wnętrza klasztoru.

Po tej stronie rzeki zarośla ustępowały zadbanym krzewom i starym drzewom. Drewniane zabudowania świątynne widziały już wiele wiosen i jesieni, ale dachów, choć glazurowane płytki straciły już dawny połysk, nie porastały samosiejki, otaczający klasztor kamienny mur stał równo i krzepko, zaś ściany pawilonów nie były popekane.

– Nie zdziw się na widok przeora Haitonga – szepnął Wu, kiedy minęli pagodę i zatrzymali się u wejścia do jednego z budynków, przed którym na drewnianym stojaku wisiał brązowy dzwon. – Jest nie tyl-

ko niezwykle sędziwy, ale i pełen poświęcenia, co poznasz zaraz po jego twarzy. Uczynił to sam, by udowodnić swe oddanie dla sprawy.

Zanim Xiao zdążył dopytać, czym jest owo „to”, mnich nakazał mu ściągnąć buty; sam odstawił też kostur. Wstąpili boso do środka. Zamiast przez ażurowe okiennice, służące też jako drzwi, światło wpadało tu przez przemyślnie wkomponowane w jednolitą ścianę okrągłe drewniane kratownice rzeźbione w smoki, feniksy albo słonie. Wewnątrz Xiao ujrzał... niewiele. Przynajmniej dopóki jego oczy nie przywykły do półmroku. Sala okazała się długa i zasłana cienkimi kobiercami, na których siedzieli w grupach lub pojedynczo mnisi i odprawiali modły, uderzając co pewien czas w drewniane kołatki. Poza tym była pusta. Brakowało nawet świętych

inskrypcji, nie wspominając o posągach. Nic nie mogło rozpraszać uwagi pogrążonych w modłach i rozmyślaniach mnichów.

– Chodź za mną – wyszeptał towarzysz bakałarza i powiódł go w głąb sali. Zatrzymali się dopiero w najdalszym i najciemniejszym kącie. Klęczał tam starzec wręcz nieprzyzwoicie posunięty w latach. Pomarszczona cera o barwie wątroby zdradzała, że pochodzi z daleka, być może z samego Yindu. Twarz miał zapadniętą, czoło zaś cofnięte. Garbił się głęboko, wciągając szyję w spiczaste ramiona. Z obu nozdrzy dwa gluty niczym jaspisowe pałeczki zwisały mu aż na długą siwą brodę, której koniec walał się na podłodze.

W jego pomarszczonym obliczu było jeszcze coś dziwnego, ale mrok nie pozwalał Xiao od razu rozpoznać, cóż to jest. Kiedy jednak pochyliwszy się w ukłonie, znalazł się zaledwie na łokieć od przeora,

aż się wzdrygnął. W miejscu oczu starca zionęły bowiem zapadnięte ciemne plamy.

Sam się okaleczył, by udowodnić poświęcenie, jak twierdził Wu, czy też ktoś mu to uczynił, bakałarz nie miał ochoty roztrząsać.

– Przekażę przeorowi Haitongowi twe słowa – szepnął mnich. – On zadecyduje, czy i jak pomóc ofiarom rakszas. Ty zachowaj milczenie i czyń, co będzie ci nakazane. Potem nakarmimy cię i poszukamy kwatery.

Xiao chciał zrazu zaprotestować. Dotąd nie miał wątpliwości, że mnisi ruszą na pomoc ofiarom demonów, teraz zaś usłyszał, że nie jest to wcale pewne. Wzmianka o kwaterze uciszyła go jednak. Przez moment zdążył zapomnieć o zmęczeniu i głodzie, ale teraz poczuł, że już o wiele dłużej nie będzie w stanie im się opierać. Wypro-

stował się i czekał cierpliwie, aż przeor wybudzi się z letargu.

Wu nachylił się do starca i jął sączyć mu słowa do ucha. Xiao został sam na sam z własnymi myślami. A te nie stanowiły najlepszego towarzystwa. Po długiej chwili przeor drgnął i uniósł ślepią twarz. Mnich zaczął nieco głośniejszym głosem przekazywać doniesienia przybysza. Haitong nie zareagował, słysząc o rakszasach. Kiedy Wu zamilkł, przeor dłuższy czas pozostawał nieruchomy. Gdyby nie to, że klęczał, można by pomyśleć, iż nie żyje. Wreszcie jednak otworzył usta i szepnął coś mnichowi. Ten odwrócił się i skinął na Xiao.

– Klęknij i czekaj spokojnie, aż cię obejrzy – mruknął cicho.

Zachodząc w głowę, jak może wyglądać owo „obejrzenie” w wykonaniu ślepego, Xiao spoczął na kolanach przed przeorem.

Haitong wpierw położył drżące dłonie na włosach bakałarza, a potem jął wędro-

wać lodowatymi palcami po jego czole, badać oczy, macać kości policzkowe i nos. Xiao wzdrygnął się, kiedy kościste kciuki zaczęły gmerać mu w ustach, jakby sprawdzając uzębienie. Szarpnął się, ale starzec widać „obejrzał” już dosyć, bo cofnął ręce i skinął na Wu. Ten nadstawił uszu, lecz Xiao mimo najlepszych chęci nie mógł zrozumieć niczego z tej szeptaniny. Bezzebny przeor marniał szkaradnie, a i to zapewne w jakimś starożytnym dialekcie. Bakałarzowi pozostało czekać cierpliwie na rozwój sytuacji. Marzył, żeby wyjść i wystawić twarz na ostatnie promienie słońca. Palce starca wyssały z ciała Xiao ciepło, zostawiając niezdrowy, mrowiący chłód.

Haitong przekazał wreszcie, co miał do przekazania. Mnich pokłonił mu się i wstał, dając bakałarzowi znak, że spotka-

nie skończone. Twarz miał dziwnie ściągniętą i unikał wzroku Xiao. Ten nie wiedział, co myśleć. Miał dziwne przeczucie, że przeor ujrzał za pomocą swych palców coś, czym zdumiał i zraził Wu. Ale cóż to mogło być?

Uśmiechnął się smutno. Nie musiał zagłębiać się w nienawistne wspomnienia, by znaleźć sporo możliwości. Pełen złych myśli ruszył za mnichem ku wyjściu.

Słońce już zachodziło, ostatnie promienie wciskały się między zabudowania i wyczarowywały z powietrza migotliwe roje owadów. Wu szedł przed siebie bez słowa. Gdy opuścili teren klasztoru, Xiao nie wytrzymał:

– Dokąd mnie prowadzisz? Co powiedział przeor?

Mnich nie odwrócił się, lecz zwolnił kroku. Po chwili zrównał się z bakałarzem.

– Świątobliwy Haitong ujrzał to, co ty widziałeś, i postanowił odprawić modły i

obrzędy niweczące moc rakszas – odparł, nie obracając głowy. – Ale jak sam wiesz, największe zniszczenia już się dokonały...

Przerwał, bo zstąpił na wąskie schodki wykute w ścianie klifu. Xiao podążył za nim, starając się nie patrzeć w przepaść. Przepaście przejadły mu się na bardzo długi czas.

– Zabitym nikt nie wróci życia – ciągnął Wu, gdy ruszyli szerszą dróżką, wrzynającą się półtunelem w skałę. Słońce już zaszło za krawędź klifów, zapanował półmrok. – Możemy tylko ufać, że moc Smoczycich Wrót odpędzi rakszasy jak najdalej i że pierwotnej siły nie odzyskają już nigdy. Ciałami na Ścieżce Pielgrzymiej zajmiemy się godnie. Ty zaś...

Urwał, choć nadal szli ramie w ramie. Bakałarza coś ścisnęło za gardło.

– Co ja? – zapytał zdławionym głosem.

Mnich przystanął i po raz pierwszy od wyjścia z pawilonu spojrzął Xiao prosto w oczy.

– Ty musisz porozmawiać z kimś, kogo myśli nie zna nawet świątobliwy przeor.

Z tymi słowy pokazał Xiao wejście do grotty. Czerń skalnego otworu okalały drewniane odrzwia, do których przymocowane było pojedyncze skrzydło. Ze środka ciągnął chłód.

– Wejdz – zachęcił bakałarza Wu. – I czekaj. Jak długo będziesz czekał, nie wiem. Ale doczekasz się.

Xiao stał bez ruchu. Czuł kielkujący bunt. Spojrzął hardo w twarz mnicha.

– A po kiego grzyba mun? – spytał opryskliwie.

Ale Wu uśmiechnął się nagle z poprzednią życzliwością.

– Nie obawiaj się. Tam wszystko zostanie ci wyjaśnione. Nie tylko to, co dzieje się teraz, ale to, co dzieło się dawniej, a co

w głębi serca nie przestaje cię trapić. Być może także to, co dzieć się dopiero będzie. Wejdź. Śmiało.

Xiao łamał się z sobą jeszcze chwilę, ale w końcu wstąpił do groty. W tym momencie drzwi zamknęły się za nim. Usłyszał stukot spuszczonej zasuwki i został sam w ciemności i chłodzie.

Jeśli chcecie wiedzieć, jak wyglądało spotkanie Xiao z kimś, kogo myśli nie zna nawet świątobliwy przeor, przeczytajcie ostatni rozdział!

Rozdział 54

o odpowiedziach, wątpliwościach i postanowieniach

Znał ten chłód.

Kiedyś, jeszcze w rodzinnych okolicach, poczuł to samo nieziemskie zimno. Dobywało się z czeluści, którą odsłonił w Klasztorze nad Wschodnim Brzegiem Rzeki.

To nie były dobre wspomnienia. Ale tych ostatnich miał mało. Zresztą i te nieliczne pełne spokoju i solonych śliwek wywoływały poczucie utraty, które zaraz z powrotem przywodziło mu na myśl te pełne strachu, bólu i złości.

Przykucnął na podłodze groty, drżące ramiona objął dłońmi. W wygięte łukiem obolałe plecy wgrzyzał mu się chłód, w żołądek głód. Prychnął, wspominając słowa mnicha o posiłku i kwaterze. Kwatera na

zimnych kamieniach, posiłek w pajęczych sieciach, pomyślał ze złością. W przebłysku buntu zerwał się i podszedł po omacku ku drzwiom, ale zakręciło mu się w głowie, zanim w nie uderzył. Oparł się o drewno i chwilę oddychał głęboko. Jego ciało domagało się godziwej stawy i wygodnego spoczynku, ale to akurat było poza zasięgiem.

Zadrzał. Chłód jął przejmować go do szpiku kości. Ze sklepienia skapywały krople wody. Roztarł ramiona i zaczął obchodzić grocie, wymacując drogę rękoma. Ściany pokryte były płaskorzeźbami. Pod palcami wyczuł stojące postaci ludzkie różnej wielkości. Rychło krzywizna ścian powiodła go z powrotem do punktu wyjścia. Grota mierzyła kilkanaście kroków wszerz i wzdłuż. Jeszcze ostrożniej, sprawdzając drogę stopą i wyciągając daleko przed sie-

bie ręce, ruszył na wskroś pomieszczenia. Po paru krokach dotknął kamiennej statui. Obszedł ją dookoła, badając dotykiem. Posąg przedstawiał człowieka siedzącego w pozycji lotosu na postumencie. Postać była naturalnej wielkości, a dzięki postumentowi znajdowała się twarzą w twarz z Xiao.

Wytworzywszy sobie w umyśle obraz groty i rozgrzawszy się trochę, znów przykucnął i jał czekać. Wkrótce jednak zmęczenie wzięło górę. Myśli skłębiły się i zwichrowały, obracając się wciąż wokół miski parującego ryżu i rozpalonego piecykiem kangu. Wreszcie nie był w stanie dłużej kucać. Półprzytomny położył się na boku i ignorując wbijające mu się w biodra nierówności podłogi, zapadł w niespokojny sen.

Obudziło go światło. Nie wiedział, jak długo miał wrażenie, że wciąż śni, ale w końcu do jego otępiełej świadomości dotarło, iż blask jest realny. Podniósł się na

łokciu i mrużąc bolące oczy, rozejrzał się.

To nie od drzwi bił blask; to malowidła na ścianach groty roztaczały wielobarwną poświatę. Wyrzeźbione w skale postaci, choć nieruchome, zdawały się żywe dzięki swym kolorowym szatom i takimże twarzom, znamionującym różną narodowość.

Xiao zwrócił wzrok ku posagowi. Nie mylił się, spodziewając się podobnej plastyczności. Na postumencie nakrytym zmyślnie wykutą z kamienia wzorzystą tkaniną siedział łysy starzec z łagodnym uśmiechem na pomarszczonym obliczu i w cielistej szacie o przestarzałym kroju, jaki widywało się tylko na obrazach z epoki poprzedniej dynastii. Z podbródka zwisało mu kilka rzadkich siwych pasemek. Siedząc, wyginał ciało w łuk, jak przystało na Nieśmiertelnego. Xiao mimowolnie przypomniał sobie inne wyróżniki Nieśmiertel-

nych: wyniosłość sosny, głos dzwonu i chłód wiatru. Zręczność rzeźbiarza i żywość barw w połączeniu z trójwymiarowością postaci tworzyły iluzję, przy której bledły wspaniałe przecież płaskorzeźby. Bakalarz musiał przypomnieć sobie dotyk kamienia pod swymi palcami, by przekonać się, że to tylko posąg, że na postumencie nie siedzi żywy człowiek.

Ale w chwili kiedy w umyśle Xiao zaczęło krystalizować się wspomnienie pewnej postaci ze snów, posąg otworzył jaskrawozielone oczy.

Mężczyzna na postumencie żył naprawdę.

Xiao rzucił się w panice w tył, aż uderzył grzbietem o drzwi; drewno zaskrzyphiało. Nie poczuł jednak bólu. Wpatrywał się w starca, który kiedyś mu się śnił, a teraz stanął przed nim naprawdę. Starca, który zajął miejsce kamiennego posągu. A może nim był? Bo Xiao wciąż czuł w pal-

cach zimno i twardość kamienia, z którego wykuto statwę.

W dłoni starca pojawiła się opaska, czarnooprawna księga. A może i wcześniej w niej tkwiła? Nie odrywając straszliwych oczu od bakalarza i wciąż się uśmiechając, wzniosł księgę w górę i odezwał się głosem dźwięcznym niczym dzwon:

– Pod Czarnym Żółwiem zatrzęsała się ziemia. Fale spustoszyły wybrzeża pod Niebieskim Smokiem. Wojny pochłaniają niezmierzone masy ludzkie pod Czerwonym Ptakiem. Pod Białym Tygrysem zapadają się łańcuchy górskie. Czy rozumiesz?

Xiao nie odpowiedział. W głowie miał mętlik. Wzrokiem przeskakiwał z płonącej twarzy starca na księgę i z powrotem.

– Wszędzie na północy, wschodzie, południu, zachodzie i w środku kraju kury zmieniają się w koguty, pojawiają się

wtórne tęcze, ławice ryb prą pod prąd rzek. Pałac cesarza Hongzu w Północnej Stolicy spowijają chmury. Czy rozumiesz?

Xiao i tym razem nie odpowiedział. Ale nie patrzył już na księgę. W oczach starca czytał więcej, niż mógłby wyczytać w jakiegokolwiek księdze.

– W każdej prowincji i każdym mieście mężczyźni ludzie z oskoma patrzą na oręż. Pod każdą czaszką lęgną się wywrotowe myśli. Brak im tylko wiedzy. Brak im tylko wódza. Czy rozumiesz?

Xiao zrozumiał. Albo wydawało się, że zrozumiał. I byłby roześmiał się szalonymu starcowi w twarz, gdyby strach nie trzymał go za gardło. Znów nie odpowiedział. Ale nie musiał. Starzec opuścił dłoń. Nagle gruby tom znalazł się u boku bakałarza.

– Z Księgi Sztuk Tysiącletnich a Niezbędnych dowiesz się wszystkiego, czego ci potrzeba – powiedział starzec. Oczy nie

przestawały mu płonąć zielonym ogniem, który zadawał kłam rozciągniętym w łagodnym uśmiechu wargom. – Lecz pamiętaj: nie wolno ci działać na własną rękę, bo spotka cię surowa kara. Stosuj się do wskazówek Księgi, a będziesz niezwycony i położysz kres zepsutym rządóm.

Xiao spojrział na księgę. Jego dłoń mimowolnie wyciągnęła się, by ją podnieść, lecz w tym momencie poczuł drżenie ukrytego w zanadrzu amuletu. Podniósł głowę i wykrztusił:

– Kim jesteś?

Starzec przymknął oczy. W grocie jakby pociemniało.

– Jestem Oświecony Nieśmiertelny Mędrzec Niosący Pomoc.

Przez moment słychać było tylko kapanie wody. Wreszcie Xiao zebrał się w sobie i zapytał już spokojniej:

– Dlaczego wybrałeś mnie?

Nieśmiertelny na powrót otworzył straszliwe oczy.

– Nikt ciebie nie wybrał – odpowiedział powoli. – Sam się wybrałeś.

Xiao wczepił się pełnym zdumienia, lęku i protestu wzrokiem w oczy mędrca. Usta Nieśmiertelnego rozciągnęły się jeszcze szerzej.

– Nie pamiętasz – stwierdził.

Nie, to nie był już uśmiech. To było szyderstwo.

Bakałarz, drząc, pokręcił głową. Mędrzec milczał. A potem znów przymknął oczy.

– Wielki Miecznik Nefrytowego Cesarza – zaczął – został wygnany z Niebios, po tym jak uchybił w swych obowiązkach i naraził się na gniew Nefrytowego Cesarza. Na Ziemię zesłano go w pokracznej postaci. Wiódł życie nieszczęsnego prowincjonalnego płatnerza, póki ludzkie modły nie

zostały wysłuchane i Nefrytowy Cesarz nie postanowił zgładzić pewnego okrutnego gubernatora, który opierał się zapisom Rejestrów Śmierci i stał się demonem za życia.

Umilkł. Na jego usta wypełził nieprzyjemny grymas. Nie otwierając oczu, poznał, że twarz Xiao wykrzywia nagle zrozumienie.

– Wydawało się – podjął – że wystarczy płatnerz, jego rodzina i wtajemniczony mnich, by wykonać wyrok Nefrytowego Cesarza i znów dostąpić niebiańskich łask. Narzędziem kary został miecz namaszczonej krwią kobiety, zdolny do przełamania demoniej siły. Ale Nefrytowy Cesarz nie wrócił swemu dawnemu miecznikowi pełni dawnych mocy. Surowa kara dla gubernatora miała być ciężką próbą dla płatnerza. I taką była.

Mędrzec podniósł powieki, ale teraz to bakałarz miał je spuszczone. Jaskrawa zieleń oczu Nieśmiertelnego przebiła się jednak przez barierę, jaką Xiao postawił światu, i wraziła się w jego jaźń.

– Tymczasem pewien młodzieniec bez troski wmieszał się w sprawy, których nie rozumiał, wtrącił się w cudzą próbę i cudzą karę. Na koniec przywłaszczył sobie środek do spełnienia próby i narzędzie kary, czym przyciągnął uwagę sił potężniejszych nad jego wyobrażenie. Od tamtej chwili te siły nie były odeń nigdy daleko. Nawet w snach. Czy wiesz, kim był ów gubernator? Kim był płatnerz? Mnich? I młodzieniec? Czy teraz rozumiesz?

Xiao nie odpowiedział. Lecz jego milczenie było równie wymowne, co drżenie warg. Pod powiekami przewijały mu się niezliczone obrazy przeszłości. Znał je na pamięć, ba, tworzyły jego pamięć. Tworzyły jego samego. A je z kolei stworzył

przypadek. Czy było tym brzemennym w skutki przypadkiem zabranie głosu przed mandarynem? A może podążenie za oddziałem przewożącym ciało chłopaka o oszalałych oczach? Czy też zatrzymanie się akurat w przybytku, obok którego przejeżdżał oddział żołnierzy Czerwonego Tygrysa i gdzie stręczycielka знаła płatnerza Zhao Quana? Czy może już samo zatrzymanie się w lesie kamforowym i zwrócenie uwagi wysokiemu chłopakowi o oszalałych oczach, by nie niszczył drzew...?

Jak daleko mógł się cofnąć?

Jak daleko musiał się cofnąć?

Jak daleko musiał się posunąć?

A może nic nie musiał?

Czy mógł wierzyć słowom tego starca o nie mniej szalonych oczach i niepokojącym uśmiechu? Czy mógł oddać całe swe życie za sprawę, która była mu obca? Czy

sam Nieśmiertelny nie powiedział, że Xiao wmieszał się był w sprawy, których nie rozumiał? Że wtrącił się w cudzą próbę i cudzą karę? Dlaczego teraz miał popełnić ten sam błąd? Dlaczego miał wtrącić się w sprawę, która nigdy go nie interesowała? W sprawę, której nie rozumiał? W sprawę przewyższającą jego zdolności?

...Podejmuj każde wyzwanie...

Te słowa przeora Klasztoru Niebiańskiego Tygrysa wróciły naraz do Xiao. Mimoswolnie sięgnął po amulet i poczuł pod palcami drzenie brązowego lusterka. Podejmować każde wyzwanie? A co, jeśli wyzwań jest więcej niż jedno? Co, jeśli ma wybrać między sprzecznymi wyzwaniami: przewodzenia rebelii przeciwko prawowitej dynastii i przeciwstawienia się Nieśmiertelnemu? Co będzie większym wyzwaniem – sprzeciwiać się całe życie Cesarzowi czy teraz Nieśmiertelnemu? Sprzeciwić się odległemu Cesarzowi czy bliskie-

mu Nieśmiertelnemu? Ulec namowom Nieśmiertelnego i sprzeciwić się autorytetowi Cesarza czy ulec autorytetowi Cesarza i sprzeciwić się namowom Nieśmiertelnego?

Tyle pytań, żadnych odpowiedzi.

Nie wybieraj! – coś szepnęło mu do ucha. Nie teraz!

Otworzył oczy i wyciągnął amulet. Wzrok Nieśmiertelnego pociemniał, krzywy uśmiech spelzł z warg. Lusterko rozgrzało się i zadrżało. Xiao nic nie mówił, mędrzec zaś nie poruszył się, patrząc zimno, jak bakałarz wstaje i cofa się ku drzwiom, a potem zaczyna bić o nie ramieniem coraz silniej, z coraz większym zapalem i determinacją na twarzy. Nieśmiertelny nie poruszył się też, kiedy drzwi zaczęły podskakiwać w zawiasach, a deski trzeszczeć ani kiedy zaaferowany Xiao

opuścił dłoń z amuletem i skupił się cały na wyważaniu drzwi. Wreszcie, kiedy przez szpary w deskach do wnętrza zaczęło się wlewać sine światło, mędrzec przy-mknął oczy

Trzasnęło, drzwi wyleciały z impetem i padły z hukiem na dróżkę. Xiao stracił równowagę i porwany rozpędem wyleciał razem z nimi. Upadek wycisnął mu z ust jęk, ale pomimo zasłony bólu wyczuł, że drzwi wysunięte częściowo poza krawędź dróżki chwieją się ku przepaści. Szarpnął się w tył i przeturlał na skałę. Usłyszał, jak deski obijają się o klif, a potem z dalekim pluskiem uderzają o powierzchnię wody. Na moment ogarnął go mrok. A gdy już przejrzał na oczy, zobaczył, że mrok ogarnął również grotę. Wnętrze było tak samo ciemne, jak kiedy do niej wchodził.

Długo łapał dech. Gdy odzyskał namiastkę sił, podniósł się i usiadł, rozciera-jąc obolałe członki i rozglądając się.

Miało się ku świtaniu. Rzekę spowijały mgły, nocna ciemność zalegała jeszcze u skał i w olbrzymiej grocie, gdzie zasiadał Zhansheng, lecz niebo zaczynało już zbywać się granatu, a gwiazdy blednąć.

Xiao wstał, przełamując opór stężyłych mięśni. Kuśtykając, ruszył dróżką, nie wiedząc dobrze, dokąd zmierza. Przed oczyma miał jeszcze grocie skapaną w niebiańskiej światłości, lecz wokół siebie już ziemski mrok. Łatwo poszło, pomyślał. I nagle poczuł, że to nieprawda, że wcale nie poszło łatwo, że tak podjęcie, jak rezygnacja z wyzwania, jakiegokolwiek by ono było i kogośkolwiek by je stawiał, zostawia ślad. A on czuł, że tych śladów ma na sobie bardzo dużo. I że ten nowy to zbyt wiele.

Szedł wolno, patrząc, jak świat przed jego oczyma rozjaśnia się światłem dnia. Ale z grot wciąż wylewała się nocna ciem-

ność. Czaiła się w nich zawsze, w skalnych czeluściach bezpieczna od najgorętszego słońca. Tylko niebiańska światłość mogła wyprzeć ją ze wszelkich zakamarków. Ale ta światłość nie przynosiła radości, nie dawała otuchy, nie krzepiła nadziei.

Xiao nie miał dokąd uciec.

Jego błędzący wzrok zahaczał o wizerunki przemyślnie wyryte w litej skale, o kunsztowne płaskorzeźby, o wyłaniające się z cieniów w grotach fragmenty posągów. Lecz widział tylko zielone oczy Nieśmiertelnego, a w nich siebie z tak niedalekiej, a tak odległej przeszłości.

Wtem na jego drodze stanęły schody. Wstąpił na nie machinalnie i wkrótce znalazł się na szczycie klifu.

Jego oczom ukazały się wierzchołki iglic skalnych, tworzących kamienny las po przeciwległej stronie kanionu. Wrócił doń obraz pasm mgieł spowijających turnie w słonecznych promieniach. Ale teraz

skąły wznosiły się szereg za szeregiem, coraz bledsze, by zginać wreszcie w sinej dali, za którą leżała druga sina dal. I tak bez końca, bez spoczynku, bez celu.

Głód nigdy nie zostanie nasycony. Ból nigdy nie zostanie uleczony. Chłód nigdy nie zostanie odegnany. Nigdy, niczym i przez nikogo.

Nie zastanawiał się, co i po co robi, kiedy wstępował na most. Liny zaskrzypiały, a on sunął po bambusowych szczęblach, ledwo świadomy kołysania i podmuchów zimnego wiatru.

Coś kazało mu zatrzymać się w połowie drogi. Stojąc bez ruchu, w dwójnasób poczuł ruch mostu i siły, którym konstrukcja musiała się przeciwstawiać. Oto od mrocznej, okraszonej mgłą rzecznej toni dzieliła bakałarza tylko moc lin i ludzkiej prze-myślności. Spojrzał w dół i pod warstwą

oparów dostrzegł niepowstrzymany ruch mas wody. Niepowstrzymany jak sam czas. Przypomniwał mu się fragment Czteroksięgu: „Stojąc nad rzeką, Mistrz rzekł: Oto obraz przemijania, co ni dniem nie ustaje, ni nocą”.

Czym to wszystko będzie kiedyś, gdzieś, hen, za wiele pokoleń? – pomyślał i zawstydził się własnych uczuć. Ale w tej chwili pamięć podsunęła mu klasyczny wiersz, którego musiał się nauczyć, kiedy był dzieckiem:

*W dal, hen ku wschodowi pędzi Długa
Rzeka.*

*Jej grzywacze po walecznych śmiałkach
zmyją wszelki ślad.*

*Dobro i zło, chwała i hańba w oka-
mgnieniu się rozwieją, lecz po wieczność
zielone wzgórza będą stać i płonąć o za-
chodzie.*

Skoro czas i tak zmyje po mnie wszelki ślad, pomyślał, po co czekać i cierpieć?

Niech zmyje go po mnie rzeka.

Coś kazało mu podnieść wzrok. We wnętrzu Zhanshenga zalegały głębokie ciemności, ale Xiao był pewien, że z mroku i mgły z tysiącletnim spokojem patrzą nań długie, wąskie oczy. Czy naprawdę tego chcesz? – pytają. Chcesz pójść drogą, z której się nie wraca? Nie odwodzą, nie zachęcają, po prostu pytają. I wciąż patrzą.

Spuścił głowę, przerzucił nogę przez linę boczną. Most zachybotał się, tylko pomagając Xiao podjąć decyzję. Obrócił się i złapał krawędź palcami stopy. Potem przełożył drugą nogę. Czuł napór szczebli, szorstki dotyk lin. Zimny wiatr przeszył go dreszczem, zakołysał mostem. Nie myśląc już o niczym, Xiao puścił linę i runął w mrok.

– Chang!

Moim duchem też nikt się nie zaopiekuje. Tyle jeszcze zrozumiał. Nikt. I w chwili gdy to zrozumiał, wszystko przeminęło.

Od autora

Biały Tygrys to powieść o innym świecie i czasie. Mimo że nie pada w niej słowo „Chiny”, dołożyłem starań, by duch Państwa Środka unosił się nad każdym rozdziałem.

Tworząc Cesarstwo Środka, nie dałem się jednak zniewolić chińskiej historii i kulturze – z nieprzebranej dalekowschodniej skarbnicy czerpałem wedle upodobań i potrzeb, za najważniejsze mając sedno i fabułę opowieści. Dlatego realia pod względem historycznym czy geograficznym rozdzielne w świecie Xiao Longa sąsiadują ze sobą, tak jak autentyczne przysłowia, powiedzenia i przekleństwa sąsiadują z wymyślonymi, wiersze własne z inspirowanymi oryginalną poezją klasyczną, techniki współczesne z literacką tradycją, a rzeczy-

wistość z fantastyką.

Tym z Was, którzy nieobeznani są z kulturą Dalekiego Wschodu, książka ukazała stylizowany, lecz nieodległy od prawdy obraz dawnego cesarstwa chińskiego. Znamcom zaś i wielbicielom „chińszczyzny” dała – mam nadzieję – okazję do tropienia nawiązań i wystawiania autorskiej wizji na próbę.

To nie koniec opowieści o Cesarstwie Środka – Biały Tygrys jest przecież symbolem tylko jednej ze stron tego prawdziwego-wymyślonego świata.

Słowo o transkrypcji

Większość nazw i imion zapisano w systemie pinyin, powszechnie stosowanym na świecie, lecz niełatwym w wymowie. Jego znajomość – lub brak takowej – nie przekłada się na satysfakcję z lektury, ale dociekliwi znajdą poniżej garść wskazówek:

x czytamy jak ś, w jak ł, y jak j, j jak dź, q jak ć, z jak c lub dz, zh jak dź, ch jak cz, sh jak sz, i po z, c, s, zh, ch, sh jak y, r na początku sylaby jak ż, na końcu jak r „angielskie”, ng jak n tylnojęzykowe (n). Xiao Long to zatem siao lon.